



Santa
Monteskiore

PIEŚNI
O WOJNIE I MIŁOŚCI

Świat Książki

Spis treści

Karta tytułowa Karta redakcyjna Prolog Część pierwsza Rozdział 1 Rozdział 2
Rozdział 3 Rozdział 4 Rozdział 5 Rozdział 6 Rozdział 7 Rozdział 8 Część druga
Rozdział 9 Rozdział 10 Rozdział 11 Rozdział 12 Rozdział 13 Rozdział 14 Rozdział
15 Rozdział 16 Rozdział 17 Rozdział 18 Rozdział 19 Rozdział 20 Rozdział 21
Rozdział 22 Część trzecia Rozdział 23 Rozdział 24 Rozdział 25 Rozdział 26
Rozdział 27 Rozdział 28 Rozdział 29 Rozdział 30 Rozdział 31 Rozdział 32
Rozdział 33 Rozdział 34 Rozdział 35 Rozdział 36 Rozdział 37 Rozdział 38 Epilog
Bantry Bay Podziękowania

Santa Montesiore

PIEŚNI O WOJNIE I MIŁOŚCI

Z angielskiego przełożyła
Alina Jakubowska


Świat Książki
wydawnictwo

Tytuł oryginału
SONGS OF LOVE AND WAR

Wydawca
Grażyna Woźniak

Redaktor prowadzący
Beata Kołodziejska

Redakcja
Joanna Wysłowska

Korekta
Jadwiga Piller
Marzenna Kłos

Copyright © 2015 by Santa Montefiore by arrangement with Proprietor
All rights reserved
Copyright © for the Polish translation by Alina Jakubowska, 2017

Świat Książki
Warszawa 2017

Świat Książki Sp. z o.o.
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

Księgarnia internetowa: swiatksiazki.pl

Skład i łamanie
Joanna Duchnowska

Dystrybucja
Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o., sp. j.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
e-mail: hurt@olesiejuk.pl, tel. 22 733 50 10
www.olesiejuk.pl

ISBN 978-83-8031-711-6

Skład wersji elektronicznej
pan@drewnianyrower.com

*Mojemu drogiemu
przyjacielowi Timowi Kelly,
bez którego wskazówek i wsparcia
nigdy nie miałabym odwagi
napisać tej książki.*

*Is mise Peig Ni Laoghaire. A Tiarna Deverill, dhein tú éagóir orm
agus ar mo shliocht trín ár dtalamh a thógáil agus ár spiorad a bhriseadh.
Go dtí go gceartaíonn tú na h-éagóracha siúd, cuirim
malacht ort féin agus d-oidhri, I dtreo is go mbí sibh gan suaimhneas
síoraí I ndomhan na n-anmharbh.*

Nazywam się Maggie O'Leary. Lordzie Deverillu, skrzywdziłeś mnie i moich potomków, odbierając nam ziemię i łamiąc nam ducha. Póki nie naprawisz wyrządzonych nam krzywd, przeklinam ciebie i twój ród, przeklinam was na wieczność. Niech wasze dusze nigdy nie zaznają spokoju, błakając się między światem żywych i umarłych.

Maggie O'Leary, 1662

Prolog

Hrabstwo Cork, Irlandia, 1925

Dwaj chłopcy o umorusanych buziach i podrapanych kolanach dotarli do zardzewiałej kutej bramy – wiodła do niej ledwie widoczna ścieżka, odchodząca od głównej drogi i łagodnym łukiem przecinająca las. Po drugiej stronie bramy ukryte za drzewami znajdowały się osmalone zgliszcza Castle Deverill, ongiś siedziby jednego z najpotężniejszych anglo-irlandzkich rodów na tej ziemi, nim przed trzema laty ostatecznie strawiła zamek pożoga. Mur z surowego kamienia okalający posiadłość zawalił się w kilku miejscach pod naporem zachłannego lasu i ostrych zimowych wiatrów. Mech rozrastał się nieubłaganie, chwasty pleniły bez granic, trawa niczym kępki włosów wyrastała na zwieńczeniu muru, a bluszcz rozpościerał swe liściaste palce na kamieniach, niemal całkiem je zasłaniając. Chłopców nie wystraszyła ani pokaźnych rozmiarów tablica ostrzegająca nieproszonych gości, ani ciemny podjazd zaścielony gnijącymi liśćmi, gałązkami i błotem, nagromadzonymi tu przez kolejne martwe sezony. Kłódka brzęknęła o łańcuch, gdy uchylili bramę i wślizgnęli się do środka.

Po drugiej stronie park był cichy, a ziemia grząska, ponieważ lato dobiegło już końca i nastąpiła jesień z lodowatymi podmuchami wiatru i zimnym deszczem. Kiedyś wzdłuż podjazdu kwitły na czerwono rododendrony, ale dziś ginęły w gąszczu pokrzyw, paproci i rozrośniętych wawrzynów. Chłopcy biegiem minęli krzaki, nieświadomi, że tędy kiedyś do wspaniałego zamku, z którego rozpościerał się widok na morze, zajeżdżały powozy z najznamienitszymi osobami w hrabstwie. Teraz podjazd zmienił się w zapuszczoną dróżkę, a zamek leżał w ruinie. Odwiedzały go jedynie kruki i gołębie oraz nieustraszeni mali chłopcy żądni przygód i pewni, że nikt nie odkryje ich obecności w tym zapomnianym przez Boga i ludzi miejscu.

Podekscytowane dzieci przedarły się przez wysokie trawy, żeby pobawić się w ruinach okazałych niegdyś pokoi. Ogromna klatka schodowa dawno przestała istnieć, główne kominy przebiły dach, tworząc górę cegieł, na którą chłopcy mogli się wdrapywać. W zachodnim skrzydle zachowany fragment dachu w postaci potężnych krokwi, spinających dwie z pozostałych ścian, przypominał żebra

gigantycznego zwierzęcia rozkładającego się pod gołym niebem.

Chłopców zbyt pochłaniała zabawa, żeby udzielał im się smutek unoszący się nad rumowiskiem; nie mogli również usłyszeć zawodzącego echa przeszłości. Byli zbyt młodzi, by nawiedziła ich nostalgia oraz melancholijne poczucie śmiertelności, które to miejsce wywołuje. Duchy mieszkające w starych murach, oplakujące utratę swojego domu oraz przelotnego ziemskiego życia, brzmiały jak wiatr ciągnący znad wody. Jęk pustych ram okiennych oraz gwizd w nienaruszonych kominach przyprawiał małych intruzów o emocjonujący dreszcz radości, ponieważ niesamowita, pełna grozy atmosfera przynosiła tym większą uciechę z zabawy. Duchy mogły się poczuć jeszcze bardziej samotne wobec kompletnego braku uwagi ze strony nieoczekiwanych gości.

Nad frontowymi drzwiami starszy chłopiec zdołał odczytać łacińskie litery, zmatowiałe od sadzy, niemal zatarte na poczerniałym nadprożu.

– Castellum Deverilli est suum regnum tysiąc sześćset sześćdziesiąt dwa – przeczytał głośno.

– Co to znaczy? – spytał ten młodszy.

– Wszyscy w okolicy wiedzą. Zamek Deverilla jest jego królestwem.

– Niewiele zostało z tego królestwa – skwitował młodszy ze śmiechem.

W gasnącym z wolna świetle chłopcy niczym para urwisów buszowali po pokojach w poszukiwaniu skarbów, rozkopując ziemię w miejscach, gdzie była dostatecznie miękka. Ich cicha paplanina mieszała się z krakaniem kruków i gruchaniem gołębi, a duchy mogły w spokoju wspominać swoje własne dzieciństwo, gdy bawiły się w imponujących zamkowych ogrodach. Ponieważ kiedyś naprawdę były tu wspaniałe ogrody.

Na przełomie wieków na ogrodzonym terenie rozpościerał się wielki sad i warzywnik, obfitujące w rozmaite owoce i warzywa, które zaspokajały wykwintne gusta rodziny Deverillów oraz zaopatrywały służbę. Był ogród różany, arboretum oraz labirynt, w którym dzieci Deverillów gubiły się wśród cisowych żywopłotów. W rozległych szklarniach hodowano pomidory wśród storczyków i fig, a na łące, gdzie latem słońce odbijało się w żółtych pierwiosnkach, panie z zamku mogły miło spędzać czas na piknikach i podwieczorkach pełnych śmiechu i plotek. Nad bez mała rajskimi wtenczas ogrodami dziś unosiła się woń rozkładu. Pomimo słońca tonęły w cieniu, a pajęczyna powojów z roku na rok dusiła rośliny na śmierć. Z minionej świetności nie pozostało nic prócz swego rodzaju dzikiego piękna, które robiło wstrząsające wrażenie.

Terkot silnika oderwał chłopców od kopania. Dźwięk narastał, gdy samochód zbliżał się do zamku. Spojrzeli po sobie w osłupieniu i pospiesznie przeczołgali się do głównego wejścia, skąd przez wybite okno zobaczyli lśniącego forda T zmierzającego w ich stronę. Samochód zatrzymał się przy schodach wiodących kiedyś do frontowych drzwi.

Zzerani ciekawością przepychali się między sobą, żeby lepiej widzieć, uważając zarazem, aby nie wystawić głowy zza ściany. Szczęki im opadły na widok wozu o opływowej linii karoserii i miękkim dachu. Słońce odbijało się od wypolerowanej zielonej maski, a srebrne reflektory błyszczały jak żabie oczy. Drzwi od strony kierowcy otworzyły się i z forda wysiadł mężczyzna w miękkim brązowym kapeluszu i eleganckim płaszczu z wielbłądziej wełny.

Omiotł wzrokiem zamek, zatrzymując się na chwilę, by oswoić się z dramatycznym widokiem. Pokręcił głową, skrzywił się, jakby oceniając rozmiary kataklizmu, który zniszczył tę piękną budowlę. Potem podszedł do drzwi od strony pasażera i je otworzył.

Wyciągnął rękę, by ująć drobną dłoń w czarnej rękawiczce. Chłopcy stali jak zamurowani; gdyby nie ich zarumienione twarze i czarne włosy, można by ich wziąć za parę posążków psotnych cherubinów. Z narastającym zaciekawieniem przyglądali się wysiadającej kobiecie. Miała na sobie wytworną sukienkę w kolorze ciemnego szmaragdu, długi czarny płaszcz i głęboko nasunięty czarny kapelusik, spod którego widać było jedynie jaskrawoczerwone usta, ostro kontrastujące z bielą skóry. Na jej prawej piersi lśniła duża brylantowa broszka w kształcie gwiazdy. Chłopcy rozszerzyli oczy, ponieważ kobieta wyglądała, jakby przybyła z innego świata – z czasów, gdy ów wspaniały zamek przeżywał chwile świetności.

Kobieta, stojąc u podnóża poczerniałych ścian, uniosła podbródek. Wzięła mężczyznę za rękę i zwróciła ku niemu twarz.

– Biorę Boga na świadka – powiedziała, a chłopcy musieli nastawić uszu, by ją dosłyszeć – że odbuduję ten zamek. – Umilkła, a mężczyzna nie uczynił najmniejszego gestu, żeby ją ponaglić. W końcu znów omiotła wzrokiem walące się mury i szczęka jej zeszywniała. – Ostatecznie mam do tego takie samo prawo jak inni.

Część pierwsza

Rozdział 1

Hrabstwo Cork, Irlandia, 1910

Kitty Deverill skończyła dziewięć lat. Dla dzieci urodzonych w innych dniach dziewiąte urodziny nie miały specjalnego znaczenia. Ale dla Kitty, która pojawiła się na świecie dziewiątego dnia dziewiątego miesiąca roku tysiąc dziewięćsetnego, dziewiąte urodziny były naprawdę znaczące. Ale to nie jej matka, piękna i narcystyczna Maud, zaszczerpiła tę myśl w głowie małej dziewczynki; Maud nie interesowała się Kitty. Miała jeszcze dwie córki, wkrótce wchodzące w dorosłość, i syna uczącego się w Eton, który był jej oczkiem w głowie. W ciągu pięciu lat, pomiędzy urodzeniem Harry'ego i Kitty, Maud trzykrotnie poroniła, co było skutkiem szybkich przejażdżek konnych po wzgórzach wokół Ballinakelly; Maud nie chciała rezygnować z przyjemności z powodu niewygodnej ciąży. Jednak żaden nierozważny galop nie uchronił jej przed czwartym dzieckiem, które w przeciwieństwie do oczekiwań okazało się słabą i piskliwą dziewczynką z czerwonymi włosami i przezroczystą skórą, podobną bardziej do mizernego kociaka niż niemowlęcia. Maud z obrzydzeniem odwróciła twarz od córeczki, odmawiając jej uznania. Właściwie całkiem odrzuciła dziecko, nie przyjmując wizyt przyjaciół z gratulacjami i kontynuując zwyczaj przejażdżek konnych i polowań, jakby narodziny córki w ogóle nie miały miejsca. Piękna kobieta, zapatrzona we własną urodę, urodzenie brzydkiego dziecka uznała za afront losu. Nie, Maud nigdy nie zaszczerpiłaby w głowie Kitty myśli, że jest z jakiegokolwiek powodu wyjątkowa i ważna.

To babka Kitty, matka jej ojca, lady Adeline Deverill, powiedziała jej, że rok tysiąc dziewięćsetny będzie dla niej wielce obiecujący, gdyż data jej urodzin ma niezwykłą wymowę ze względu na liczbę dziewiątek. Twoim opiekunem jest Mars, przypomniawszy, gdy siedziały razem w saloniku na pierwszym piętrze, jednym z niewielu pokojów w zamku, gdzie zawsze było ciepło. A to miało oznaczać, że życie jej wnuczki będzie zdominowane przez konflikt, ale jednocześnie dobry Bóg da jej do ręki specjalne karty, przeświadczone, że Kitty użyje ich z odwagą i mądrością. Adeline dużo jej opowiadała, a Kitty zdecydowanie wolała babcine historie o diabłach i aniołach od drętwych opowieści czytanych przez szkocką guwernantkę, a nawet od pogaduszek pokojówek, głównie dotyczących miejscowych plotek, których z powodu młodego wieku nie była w stanie zrozumieć. Adeline Deverill znała się na „tych sprawach”. Sprawach,

które dziadek Kitty traktował z przymrużeniem oka, nazywając je zwykłą błagą; sprawach, z których jej ojciec podrwiwał dobrotliwie, wreszcie sprawach, które jej matkę przyprawiały o niepokój.

Maud Deverill nie bawiły bajki o duchach, kamiennych kręgach oraz klątwach, zaleciła więc pannie Grieve, szkockiej guwernantce Kitty, żeby karała dziewczynkę, ilekroć ta pozwoli sobie na głoszenie, jak je nazywała, „okropnych zabobonów pospólstwa”. Panna Grieve, osoba o wiecznie zaciśniętych ustach, z których wydobywały się równie ściśnięte samogłoski, z lubością smagała dłonie Kitty szpicrutą. Dziewczynka nauczyła się zatem trzymać język za zębami. Nauczyła się lisiej przebiegłości, ujawniając swoje zainteresowania tylko wobec babci, w cieple jej małego salonu, gdzie unosił się zapach bzu i torfowego dymu z kominka.

Kitty nie mieszkała w zamku: zamieszkiwali w nim jej dziadkowie, dopiero w przyszłości miał go odziedziczyć jej ojciec wraz z sięgającym siedemnastego wieku tytułem lorda Deverilla. Kitty mieszkała w Hunting Lodge, dawnym domku myśliwskim, położonym nad rzeką nieopodal zamku. Ignorowana przez matkę i zbyt sprytna dla guwernantki, dziewczynka potrafiła się wymknąć i biegać swobodnie po ogrodach i okolicy, gdzie bawiła się z katolickimi dziećmi, które wyprawiały się na pola, żeby grać w chowanego. Gdyby jej matka się o tym dowiedziała, dostałaby gorączki i zamknęła w swoim pokoju na tydzień, żeby dochodzić do siebie po takiej traumie. Zresztą Maud bywała często tak rozkojarzona, że jak się zdawało, całkowicie zapominała o swoim czwartym dziecku i irytowało ją, gdy panna Grieve jej o nim przypominała.

Najlepszą przyjaciółką Kitty była Bridie, kruczowłosa córka pani Doyle, kucharki lady Deverill. Urodziła się w tym samym roku co Kitty, był między nimi zaledwie miesiąc różnicy, i obie święcie wierzyły, że są „duchowymi siostrami” nie tylko ze względu na zbliżone daty urodzenia, ale również na fakt, że zrzędzeniem losu spotkały się w zamku Deverillów, gdzie Bridie pomagała matce w kuchni przy obieraniu ziemniaków i zmywaniu, podczas gdy Kitty kręciła się wokół dużego drewnianego stołu i wykorzystując nieuwagę pani Doyle, podkradała marchewki. Możemy mieć innych rodziców, powiedziała kiedyś Kitty swojej przyjaciółce, ale nasze dusze są połączone na wieki. Pod materialną powłoką żyją w nas bowiem świetlne duszki niezwykle do siebie podobne.

Bridie, wdzięczna za przyjaźń Kitty, uwierzyła przyjaciółce.

Adeline, mając niekonwencjonalne spojrzenie na świat, pobłażliwie przymykała oko na wspólne zabawy dziewczynek. Kochała swoją dziwną małą wnuczkę, jakże podobną do niej samej. W rodzinie, która kpiła z opowieści o wrózkach i irytowała się na samo wspomnienie o duchach, jednocześnie zapewniając, że nie wierzy w nie, w Kitty znalazła sojusznika. Była przekonana, że dusze przybierają fizyczną postać, by żyjąc na ziemi, zdobywać wiedzę potrzebną

do swojej duchowej ewolucji. Dlatego pozycja człowieka i bogactwo były jedynie kostiumem potrzebnym do odgrywania roli, nie zaś odbiciem wartości jego duszy. W opinii Adeline włóczęga wart był tyle samo co król, a więc traktowała każdego z równym szacunkiem.

Co szkodzi, że Kitty i Bridie cieszą się nawzajem swoim towarzystwem? – rozważała. Siostry Kitty były zbyt dorosłe, żeby się z nią bawić, a Celia, jej angielska kuzynka, przyjeżdżała z wizytą tylko w lecie; biedne dziecko nie miało przyjaciół i czuło się samotne. Gdyby nie Bridie, Kitty groziło niebezpieczeństwo, że ucieknie w świat skrzatów oraz goblinów i utonie w nim na zawsze.

Jedna opowieść szczególnie fascynowała Kitty, a mianowicie klątwa ciążyąca nad Bartonem Deverillem. Cała rodzina o niej słyszała, ale nikt oprócz babci Adeline oraz samej Kitty w nią nie wierzył. One natomiast nie tylko wierzyły, ale wręcz wiedziały, że to prawda, i ta wiedza mocno i nieodwracalnie je połączyła. Adeline posiadała pewien dar, o którym nikomu nie wspominała, nawet swojemu mężowi, a mała Kitty go odziedziczyła.

– Opowiem ci o klątwie rzuconej na Bartona Deverilla – powiedziała Kitty do Bridie pewnego zimowego popołudnia, trzymając kurczowo świecę w ich ciemnej kryjówce pod schodami, która kiedyś pełniła rolę szafy w części zamku przeznaczonej dla służby.

W świetle padającym na białą twarz Kitty jej duże szare oczy wyglądały dziwnie staro, jak u wiedźmy. Bridie przeszył dreszcz strachu. Słyszała kiedyś opowieść matki o wiedźmie Banshee i jej lamencie zwiastującym śmierć.

– Kim był Barton Deverill? – spytała z melodyjnym irlandzkim akcentem, kontrastującym ostro z wyrazistymi angielskimi samogłoskami charakterystycznymi dla wymowy Kitty.

– Był pierwszym lordem Deverillem. To on zbudował ten zamek – wyjaśniła Kitty niskim głosem dla wzmożenia dramatycznego efektu. – Był prawdziwym brutalem.

– Co takiego zrobił?

– Zabrał ziemię, która nie należała do niego, i zbudował na niej zamek.

– A do kogo ta ziemia należała?

– Do O’Learych.

– Do O’Learych! – Czarne oczy Bridie rozszerzyły się, a rumieniec zabarwił jej policzki. – Nie masz chyba na myśli naszego Jacka O’Leary’ego?

– Tego samego. Mówię ci, nie ma przyjaźni pomiędzy Deverillami i O’Learymi.

– Co się stało?

– Barton Deverill, mój przodek, popierał króla Karola I, a gdy ten został pokonany przez Cromwella, uciekł razem z nim do Francji. Później Karol II, gdy został koronowany, nagrodił Bartona tytułem lorda i tą ziemią, na której zbudował

zamek. Stąd rodzinne motto: „Zamek Deverilla jest jego królestwem”. Problem polegał na tym, że te ziemie nie należały do króla, ale były własnością O’Learych. Gdy więc zostali zmuszeni do ich opuszczenia, stara Maggie O’Leary, która była czarownicą...

Bridie roześmiała się nerwowo.

– Przecież naprawdę nie była czarownicą!

Kitty miała bardzo poważną minę.

– Ależ nią była! Miała kociół i czarnego kota z wielkimi zielonymi oczami, który jednym spojrzeniem mógł zamienić człowieka w kamień.

– To, że miała kociół i kota, nie oznacza jeszcze, że była czarownicą – upierała się Bridie.

– Maggie O’Leary była czarownicą i wszyscy o tym wiedzieli. Rzuciła klątwę na Bartona Deverilla.

Śmiech ugrzązł Bridie w gardle.

– Co to za klątwa?

– Barton Deverill i wszyscy jego męscy potomkowie nie opuszczą nigdy zamku Deverill i po śmierci będą się błąkać na granicy zaświatów, dopóki O’Leary’owie nie powrócą na tę ziemię. Żle się składa, ale mój dziadek i tata utkną tu być może na wieki. Babcia mówi, że jest mało prawdopodobne, żeby Deverill kiedykolwiek ożenił się z kobietą z rodziny O’Learych!

– Nigdy nie wiadomo. Od tamtych czasów ich pozycja wzrosła – dodała przytomnie Bridie, myśląc o Jacku O’Learym, którego ojciec był miejscowym weterynarzem.

– Nie, oni wszyscy są skazani, nawet mój brat Harry – westchnęła Kitty. – Oni w to nie wierzą, ale ja tak. Smutno mi, bo znam ich los.

– Chcesz mi powiedzieć, że Barton Deverill ciągle tu przebywa? – zdumiała się Bridie.

Kitty rozszerzyła oczy.

– Tak, i nie jest zbyt szczęśliwy z tego powodu.

– Ale poważnie, to wcale w to nie wierzysz, prawda?

– Ja to wiem – odpowiedziała Kitty z emfazą. – Widzę go. – Zagryzła wargę, uświadamiając sobie, że być może za dużo zdradziła.

Ciekawość Bridie rosła, wiedziała przecież, że jej przyjaciółka nie jest kłamczuchą.

– Jak możesz go widzieć, skoro jest duchem?

Kitty pochyliła się i wyszeptwała:

– Ponieważ widzę zmarłych ludzi.

Płomień świecy zamigotał upiornie, jakby na potwierdzenie tych słów. Bridie zadrżała.

– Możesz widzieć zmarłych ludzi?

- Mogę i widzę. Przez cały czas.
- Nigdy mi o tym nie mówiłaś.
- Nie wiedziałam, czy mogę ci zaufać.
- Jacy oni są, ci umarli?
- Przezroczyści. Niektórzy jaśni, inni ciemni. Niektórzy są mili, a inni nie. –

Kitty wzruszyła ramionami. – Barton Deverill jest całkiem ciemny. Chyba nie był miłym człowiekiem za życia.

– Czy to cię nie przeraża?

– Kiedyś tak, ale babcia rozwiąła moje lęki. Ona też ich widzi. Twierdzi, że to szczególny dar. Ale nie wolno mi nikomu o tym mówić. – Bezwiednie potarła dłoń kciukiem.

– Zamkną cię – powiedziała Bridie drżącym głosem. – Wiesz, że tak się robi. Zamyka się ludzi w domu wariatów w Cork za mniejsze sprawy i nigdy stamtąd nie wychodzą. Nigdy!

– A więc lepiej nikomu o tym nie mów.

– Och, nie powiem.

Kitty się rozpromieniła.

– Chcesz go zobaczyć?

– Ducha?

– Bartona Deverilla.

Krew odpłynęła z policzków Bridie.

– Nie wiem...

– Nie martw się, przedstawię cię. – Kitty zdmuchnęła świecę i pchnięciem otworzyła drzwi.

Pospiesznie ruszyły korytarzem. Choć miały odmienną urodę, biegnąc razem, mogły wydawać się siostrami, ponieważ były podobnego wzrostu i budowy. Jednak różniło je ubranie i wyraz twarzy. Kitty nosiła białą sukienkę przewiazaną w pasie jasnoniebieską kokardą i ozdobioną delikatną koronką oraz jedwabiem, natomiast sukienka Bridie była brązowa, workowata, uszyta ze zgrzebnego, szorstkiego sukna. Kitty nosiła czarne sznurowane buciki do pół łydki oraz ciepłe czarne pończochy, stopy zaś Bridie były bose i brudne. Guwernantka czesała włosy Kitty i splatała je, ozdabiając wstążkami, o Bridie zaś nie dbano i jej sięgające do pasa włosy były tłuste i zawsze w nieładzie. Dziewczynki różnił nie tylko strój, ale również sposób patrzenia na świat. Kitty miała spokojne, wyniosłe spojrzenie uprzywilejowanego i utytułowanego dziecka, podczas gdy w oczach Bridie czaiła się dzikość wiecznie głodnego, zabiedzonego człowieka. A jednak tkwiąca głęboko w Kitty potrzeba posiadania przyjaciółki przerzucała most nad dzielącą je przepaścią. Gdyby nie troskliwi dziadkowie oraz sporadyczne zainteresowanie, jakim obdarzał ją ojciec, jeśli akurat nie był na polowaniu, zawodach strzeleckich albo wyścigach, Kitty cierpiałyby okrutnie z braku miłości. Ten dokuczliwy brak

równoważył przyjaźń pomiędzy nimi, ponieważ Kitty potrzebowała przyjaciółki w równym stopniu jak Bridie.

Kitty nie zdawała sobie sprawy z dzielących je różnic, ale Bridie, która nieustannie słyszała narzekania rodziców i braci na ich dołę, była tych różnic boleśnie świadoma. Jednak zbyt lubiła Kitty, żeby dać upust zazdrości, a przyjaźń z nią nazbyt jej schlebiała, żeby ryzykować jej utratę. Zaakceptowała więc swoją pozycję z uległością bezbronnej owieczki.

Dziewczynki, słysząc, jak w kuchni pani Doyle beszta jedną z pokojówek, cicho jak koty przemknęły tylną klatką schodową, wiedząc, że jeśli je tu nakryją, zabawa się skończy, a Bridie zostanie zagoniona do zmywania.

Nikt z domowników ani ze służby nie zaglądał do zachodniej wieży. Na górze było zimno i wilgotno, a spiralne schody prosiły się o naprawę. Dwa stopnie całkiem się zapadły i przyjaciółki musiały przeskakiwać przez dziury. Bridie oddychała teraz swobodnie, pewna, że nikt jej tu nie znajdzie. Kitty otworzyła ciężkie drzwi na górze i zajrzała do środka.

– Chodź – szepnęła. – Nie bój się. On nie zrobi ci krzywdy.

Serce Bridie zaczęło galopować. Czy naprawdę zobaczy ducha? Kitty wydawała się tego pewna. Nieśmiało, z wielkimi nadziejami, weszła za Kitty do pokoju. Spojrzała na towarzyszkę, która uśmiechała się do sfatygowanego starego fotela, jakby ktoś w nim siedział. Ale Bridie nie widziała nic oprócz spłowiałego jedwabnego obicia w kolorze burgunda. Ponieważ było tu znacznie chłodniej niż w innych częściach zamku, zadygotała i objęła się ramionami.

– Widzisz go? – spytała Kitty.

– Nikogo nie widzę – odpowiedziała Bridie, nie kryjąc zawodu.

– Ależ on tu jest! – wykrzyknęła Kitty, wskazując na fotel. – Przypatrz się uważniej.

Bridie wpatrywała się w fotel tak intensywnie, aż oczy jej zwilgotniały.

– Wierzę ci, Kitty, ale widzę tylko fotel.

Kitty była wyraźnie rozczarowana. Wpatrywała się w mężczyznę, który z grymasem niezadowolenia na twarzy siedział w fotelu, opierając nogi na podnóżku, a dłonie splatając na wydatnym brzuchu, i zachodziła w głowę, jak to możliwe, że ona widzi kogoś tak wyraźnie, a Bridie nic nie dostrzega.

– Ale on tu jest, tuż przed twoim nosem – upierała się. – To jest moja przyjaciółka, Bridie – zwróciła się w końcu do Bartona Deverilla. – Ona cię nie widzi.

Barton pokręcił głową, przewracając oczami. Wcale nie był zdziwiony. Siedział w tej wieży od ponad dwustu lat i przez cały ten czas widziało go zaledwie kilka osób – większość przypadkowo i mimowolnie. Z początku rola ducha wydawała mu się nawet zabawna, ale do dziś zdążyło go już znudzić obserwowanie kolejnych pokoleń Deverillów, które przychodziły i odchodziły, a ci, którzy

podobnie jak on utknęli w tym zamku jako duchy, niemiłosiernie go denerwowali. Nie lubił towarzystwa, a teraz zbyt wielu wściekłych lordów Deverillów pałętało się po korytarzach, by łatwo ich było uniknąć. Ukrywał się więc w tej wieży, by się uwolnić od nich i ich wściekłości, gdy zaraz po śmierci odkrywali, że klątwa ciężąca nad Bartonem Deverillem nie jest li tylko rodzinną legendą, ale nieodwołalną prawdą. Z perspektywy swego losu żalowali, że nie poślubili którejś kobiety z O'Learych, co zapewniłoby ich duszom wieczny odpoczynek w raju. Cóż, było za późno. Ugrzęźli tu i pozostało im jedynie utyskiwanie i wieczne pretensje, że zbudował zamek na cudzej ziemi.

Barton zwrócił znużone oczy na przedziwną dziewczynkę, której twarz teraz poczerwieniała z oburzenia, jakby to była jego wina, że jej przyziemna koleżanka nie jest w stanie go zobaczyć. Skrzyżował ramiona i westchnął. Nie miał nastroju do rozmowy. Fakt, że od czasu do czasu udawało jej się go odnaleźć, nie czynił z niej jeszcze jego przyjaciółki i nie oznaczał przyzwolenia na pokazywanie go jak zwierzęcia w menażerii.

Kitty przyglądała się, jak wstaje i przechodzi przez ścianę.

– Poszedł sobie – powiedziała, opuszczając ramiona w poczuciu klęski.

– Dokąd?

– Nie wiem. Jest rozdrażniony, ale ja też bym była, gdybym utknęła pomiędzy światami.

– Możemy już stąd wyjść? – Bridie zaszczękała zębami.

Kitty westchnęła.

– Chyba musimy. – Zeszły z powrotem krętą klatką schodową. – Nie powiesz nikomu, prawda?

– Przysięgam na wszystkie świętości – odparła uroczyście Bridie, zastanawiając się nagle, czy jej przyjaciółka nie grzeszy jednak zbyt bujną wyobraźnią.

*

W głębi zamku pani Doyle z wielką wprawą ubijała masło dwiema żłobionymi drewnianymi trzepaczkami, podczas gdy kościste podkuchenne obierały kartofle, ubijały jajka oraz skubały drób na wieczorne przyjęcie, na które lady Deverill zaprosiła swoje dwie niezamężne siostry, Laurel i Hazel, czule nazywane Krzaczkami[1], Bertiego i Maud, rodziców Kitty, oraz zarządzającego miejscową parafią pastora wraz z żoną. Raz w miesiącu lady Deverill zapraszała pastora na obiad, co było jej obowiązkiem, a jednocześnie niosło ze sobą prawdziwą udrękę, ponieważ duchowny był nie tylko łakomy, ale również nadęty, skory do wygłaszania przy stole kazań, wcale o to nie będąc proszony. Lady Deverill niezbyt go poważała, ale jako seniorce rodu w Ballinakelly i członkini Kościoła Irlandii wypadało jej od czasu do czasu gościć duchownego. Poleciała

więc kucharce przynieść świeże kwiaty ze szklarni i ze złośliwą premedytacją zaprosiła siostry, żeby rozpraszały jego uwagę swą nieustanną paplaniną.

Pani Doyle na widok Bridie zacisnęła usta.

– Bridie, jak możesz wałęsać się po zamku, gdy ja przygotowuję przyjęcie? Chodźże, zajmij się czymś pożytecznym. Oskub tę kuropatwę! – Podniosła ptaka za szyję.

Bridie posłała Kitty krzywy uśmiech i zajęła miejsce wśród podkuchennych przy długim dębowym stole stojącym pośrodku kuchni. Pani Doyle zerknęła na Kitty, która zatrzymała się w drzwiach, na jej pociągłą, bladą twarz, na zawsze osobliwie zaciśnięte usta, jakby posiadała jakąś tajemniczą wiedzę, i zastanowiła się, o czym ta dziwna osóbka myśli. W oczach tego dziecka było coś budzącego strach. Nie potrafiła tego zrozumieć. Co prawda, nie miała zastrzeżeń, że dziewczynki się razem bawią, ale uważała, że z tej zażyłości nic dobrego dla jej córki nie wyniknie. Kiedy małe dorosną, ich drogi życiowe nieuchronnie się rozejdą. Wtedy Bridie poczuje się porzucona przez swoją przyjaciółkę i czeka ją cierpienie.

Wróciła do ubijania masła. Kiedy chwilę później podniosła wzrok, Kitty już w drzwiach nie było.

1 Laurel (ang.) – wawrzyn; hazel (ang.) – leszczyna (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Rozdział 2

Uwagę Kitty rozproszył huk wystrzału. Zastygła na moment na tylnych schodach. Zdawało się, że dźwięk pochodzi z wnętrza zamku. Po nim nastąpiła eksplozja szczekania. Kitty popędziła do holu i zobaczyła, jak trzy brązowe wilczarze jej dziadka wypadają z biblioteki i galopują na górę. Bez wahania popędziła za nimi, pokonując po dwa stopnie naraz, żeby szybciej dotrzeć na piętro. Psy pomknęły korytarzem, ślizgając się na dywanie, a gdy skręcały za róg, nieomal uderzyły o ścianę.

Kitty zastała dziadka w swoim zwykłym stroju – spłowiałych tweedowych bryczesach i marynarce – celującego ze strzelby do ogrodu przez okno swojej garderoby. Triumfalnie oddał jeszcze jeden strzał, który rozmył się w wilgotnej zimowej mgle zasnuwającej trawnik.

– Przekłęci papiści! – ryknął. – Oduczę was wchodzenia na moją ziemię! Zabierajcie się stąd, zanim dobrze wymierzę i wyślę was przedwcześnie na tamten świat!

Kitty obserwowała go z przerażeniem. Widok Huberta Deverilla strzelającego do katolików nie był szczególnym zaskoczeniem. Często miewał utarczki z kłusownikami i innymi intruzami zakradającymi się na teren jego posiadłości, a Kitty podsłuchiwała to i owo pod drzwiami biblioteki, żeby dokładnie wiedzieć, co o nich myśli. Nie mogła jednak zrozumieć, jak jej dziadek może nienawidzić ludzi tylko dlatego, że są katolikami. Przecież wszyscy przyjaciele Kitty byli irlandzkimi katolikami!

Psy Huberta dyszały u jego stóp. Wciągnął broń do środka i poklepał psy z czułością. Na widok wnuczki stojącej w drzwiach ze ściągniętymi z dezaprobatą brwiami, zupełnie jakby była miniaturową wersją jego żony, uśmiechnął się figlarnie.

– Kitty, moja droga, nie zjadłabyś trochę ciasta?

– Z porterelem?

– Z odrobiną brandy. Dobrze ci robi. Doda koloru twoim bladym policzkom. – Nacisnął guzik, który w części zamku przeznaczonej dla służby uruchamiał mały dzwonek nad tabliczką z napisem „Lord Deverill”.

– Urodziłam się blada, dziadku – odparła Kitty, przyglądając się, jak rozładowuje strzelbę i przewiesza ją sobie przez ramię w taki sposób, jaki babcia zwykła nosić torebkę, gdy udawały się do Ballinakelly.

– Jak tam bitwa nad Boyne? – spytał.

Westchnęła.

– To było w zeszłym roku, dziadku. Teraz przerabiam wielki pożar Londynu.
– Dobrze, dobrze – mruknął, ale widać było, że myślami buja już gdzie indziej.

– Dziadku?

– Słucham.

– Kochasz ten zamek?

– Głupie pytanie – rzekł szorstko Hubert.

– Chodzi mi o to, czy miałbyś coś przeciwko temu, gdybyś pozostał tu na wieczność?

– Jeśli masz na myśli klątwę Bartona Deverilla, to znaczy że twoja guwernantka uczy cię folkloru zamiast właściwej historii.

– To nie panna Grieve uczy mnie folkloru, tylko babcia.

– Tak, tak... – wymamrotał. – DUBY SMALONE.

– Ale ty byłbyś szczęśliwy, prawda? Babcia twierdzi, że kochasz ten zamek bardziej niż którykolwiek z Deverillów.

– Wiesz, że twoja babcia ma zawsze rację.

– Zastanawiam się, czy bardzo by ci przeszkadzało życie...

Przerwał jej, zanim zdążyła dokończyć.

– Gdzie, u diabła, podziwia się Skiddy? Lepiej chodźmy i weźmy sobie sami trochę ciasta, zanim myszy je zjedzą. Skiddy!

Gdy szli zimnym korytarzem w stronę klatki schodowej, spotkali po drodze zasapanego Skiddy'ego. Sześćdziesięcioośmioletni Frank Skiddy pracował w zamku Deverillów od ponad pięćdziesięciu lat, zatrudniony jeszcze przez poprzedniego lorda. Był bardzo chudy i wątły ze względu na alergię na zboża oraz słabe płuca po infekcji, którą przeżył we wczesnym dzieciństwie, ale ze wstrętem odrzucał myśl o emeryturze i pracował nadal mimo szwankującego zdrowia.

– Słucham, milordzie – powiedział, widząc lorda Deverilla sunącego ku niemu po dywanie, a za nim jego wnuczkę i trzy psy.

– Spóźniasz się, Skiddy. – Hubert podał lokajowi strzelbę. – Trzeba ją dokładnie oczyścić. Mnóstwo królików zaległo się w ogrodzie.

– Tak, milordzie – odpowiedział Skiddy, przyzwyczajony do ekscentrycznego zachowania swojego pana i w ogóle nim niewzruszony.

Lord Deverill zszedł po frontowych schodach.

– Może przy okazji rozegramy partyjkę szachów? Co na to powiesz, młoda damo?

– Z chęcią – odpowiedziała uszczęśliwiona Kitty. – Ustawię szachownicę i będziemy mogli zagrać po herbacie.

– Problem polega na tym, że za dużo czasu spędzasz na bujaniu w obłokach. Wyobraźnia to niebezpieczny teren. Twoja guwernantka powinna lepiej organizować ci czas.

- Nie lubię panny Grieve – wypaliła Kitty.
- Guwernantki nie są po to, żeby je lubić – odrzekł stanowczo dziadek, jakby lubienie guwernantki było tak samo dziwne jak bycie katolikiem. – Należy je tolerować.
- Kiedy się jej pozbędę, dziadku?
- Gdy znajdziesz sobie odpowiedniego męża. Jego też przyjdzie ci tolerować.

Kitty kochała swoich dziadków bardziej niż rodziców i rodzeństwo, ponieważ w ich towarzystwie czuła się ważna. W przeciwieństwie do matki i ojca poświęcali jej czas i uwagę. Gdy Hubert nie był zajęty polowaniem, łowieniem ryb, strzelaniem do bekasów w swojej posiadłości ani nie przebywał w Dublinie w Kildare Street Club lub na spotkaniu w Royal Dublin Society, z zadziwiającą cierpliwością jak na mężczyznę, który w zasadzie nie tolerował dzieci, uczył ją grać w szachy, brydża i wista. Adeline pozwalała pomagać sobie w ogrodzie. Chociaż zatrudniali mnóstwo ogrodników, Adeline godzinami harowała w szklarniach o kopulastych dachach przypominających foremki do budyniu. W ciepłym, przesyconym zapachem ziemi powietrzu hodowała goździki, winogrona oraz brzoskwinie i pielęgnowała w doniczkach wiele różnorodnych roślin o długich łacińskich nazwach. Uprawiała też zioła i rozmaite rośliny dla celów medycznych, starając się przekazać swoją wiedzę młodej wnuczce. Jałowiec na zapalenie stawów, anyżek na kaszel i niestrawność, pietruszka na wzdęcia, koniczyna na rany i głóg na serce. Jej faworytami były konopie indyjskie na stres i ostropest plamisty na wątrobę.

Gdy Hubert i Kitty weszli do biblioteki, Adeline podniosła wzrok znad obrazu przedstawiającego orchidee, który właśnie malowała, siedząc przy stoliku przy wykuszowym oknie, gdzie korzystała z resztek dziennego światła.

– Przypuszczam, że to ty, mój drogi, strzelałeś z okna swojej gotowalni? – powiedziała, spoglądając na męża z wyrzutem sponad okularów.

– Przekłete króliki – odparł Hubert, zapadając się w fotelu stojącym obok kominka, w którym wesoło trzaskał ogień, i przezornie chowając się za „Irish Timesem”.

Adeline pokręciła głową z pobłażaniem, po czym wróciła do malowania.

– Jeśli dalej będziesz tak robił, tylko bardziej ich rozwścieczysz – skomentowała.

– Te gagatki wcale nie są wściekłe – odparł Hubert.

– Oczywiście, że są. Od setek lat.

– Masz na myśli króliki?

Adeline na moment odwróciła się od sztalug i westchnęła.

– Jesteś niemożliwy, Hubercie!

Kitty przysiadła na sofie i wpatrywała się głodnym wzrokiem w ciasto oraz

dzbanek z herbatą i porcelanowe filiżanki, które stały przed nią na stoliku. Psy, ciężko wzdychając, położyły się przed kominkiem. Ciasto nie było przeznaczone dla nich.

– Proszę, moja droga, częstuj się – zachęciła Adeline wnuczkę. – Nie dają ci tam jeść? – dodała, marszcząc brwi na widok rachitycznych rąk i szczupłej talii dziewczynki.

– Pani Doyle jest lepszą kucharką – powiedziała Kitty, mając przed oczami tłuste mięso i rozgotowaną kapustę panny Gibbons.

– Bo nauczyłam ją, że jedzenie nie służy tylko do napełniania żołądka, ale musi też dobrze smakować. Byłabyś zaskoczona, ilu ludzi je tylko dla zaspokojenia głodu, a nie dla przyjemności. Powiem twojej matce, żeby przysłała tu waszą kucharkę na szkolenie. Pani Doyle na pewno będzie zachwycona.

Kitty poczęstowała się kawałkiem ciasta, starając się wyobrazić sobie zachwyconą panią Doyle. Ze świecą było szukać bardziej zgorzkniałej kobiety.

Chwilę później zapadł zmierzch i Adeline przysiadła obok wnuczki na sofie. O’Flynn, trzęsący się stary kamerdyner, nalał im herbaty niepewną ręką, a młoda pokojówka cicho przemieszczała się po pokoju, zapalając naftowe lampy. Wkrótce biblioteka jaśniała ciepłym, złotawym światłem.

– Rozumiem, że Victoria niebawem nas opuści i zamieszka u Beatrice w Londynie – zagadnęła Adeline.

– Ja nie chcę jechać do Londynu, gdy dorosnę – stwierdziła Kitty.

– Och, pojedziesz, gdy skończysz osiemnaście lat. W końcu znudzą cię te wszystkie bale myśliwskie i irlandzcy chłopcy. Będziesz potrzebowała innych podniet i nowych twarzy. Zobaczysz, Londyn jest ekscytujący. Lubisz ciotkę Beatrice, prawda?

– Tak, ona jest bardzo miła. Celia też jest zabawna, ale najbardziej lubię być tutaj z wami.

Twarz babci rozpogodziła się w czułym uśmiechu.

– Wiesz, miło jest bawić się w zamku z Bridie, ale w życiu ważne jest mieć odpowiednich przyjaciół. Kuzynka Celia jest dokładnie w twoim wieku i to naturalne, że powiniście razem wejść w świat.

– Na pewno odbywają się też bale debutantek w Dublinie?

– Oczywiście, ale ty jesteś Angielką urodzoną w Irlandii, moja droga.

– Nie, babciu, jestem Irlandką. Anglia w ogóle mnie nie obchodzi!

– Polubisz Anglię, gdy ją poznasz.

– Wątpię, by było tam równie uroczo jak w Irlandii.

– Nigdzie nie jest tak uroczo jak tu, ale w Anglii też nie jest źle.

– Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby być przeklętą i pozostać tu na całą wieczność.

– Myślę, że nie byłabyś zadowolona. – Adeline zniżyła głos. – Zawieszenie

pomiędzy światami nie jest przyjemne, Kitty. Taka dusza skazana jest na samotność.

– Jestem przyzwyczajona do samotności. Byłabym bardzo szczęśliwa, gdybym została w tym zamku na zawsze, nawet jeśli musiałabym spędzać czas ze starym zrzędą Bartonem. Nie miałabym z tym problemu.

Po rozegraniu partii szachów z dziadkiem Kitty po ciemku wróciła do domu. Powietrze pachniało dymem torfowym oraz zimą, a z gęstniejącej mgły dobiegał skrzekliwy pisk sowy. Jasny sierp księżycy oświetlał jej drogę, gdy wydeptaną ścieżką przemykała uszczęśliwiona przez ogrody.

Do domu wślizgnęła się przez kuchnię, gdzie panna Gibbons męczyła się przy gulaszu, który mimo jej wysiłków nigdy nie był smaczny. Kitty, słysząc dochodzące z salonu dźwięki fortepianu i rozpoznając niewprawną rękę szesnastoletniej Elspeth, uśmiechnęła się na myśl o matce, siedzącej na sofie z filiżanką herbaty w smukłej białej dłoni i zmuszającej jakiegoś nieszczęsnego gościa do wysłuchania tego nieznośnego występu. Kitty na palcach weszła do holu i ukryła się za olbrzymią paprocią. Muzyka urwała się niespodziewanie bez żadnego wycucia tempa. Rozległy się lekkie brawa, a potem głos matki, która z zapalem chwaliła Elspeth, a po nim równie ożywione pochwały najbliższej przyjaciółki Maud, a zarazem chrzestnej Elspeth, lady Rowan-Hampton. Kitty poczuła ukłucie przelotnej tęsknoty. Lady Rowan-Hampton, którą jej rodzice nazywali Grace, była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziała, i oprócz dziadków jedyną dorosłą osobą, przy której czuła się ważna.

Wiedząc, że nie wolno jej schodzić na dół, chyba że na wezwanie rodziców, Kitty z niechęcią uciekła na górę klatką schodową dla służby.

Domek myśliwski nie był tak wielki i imponujący jak zamek, ale stanowił odpowiednią rezydencję dla najstarszego syna lorda Deverilla i był o wiele większy, niż sugerowała jego skromna nazwa. Budowlę z surowego szarego kamienia częściowo pokrywał bluszcz, jakby dla ochrony przed ostrymi zimowymi wiatrami. W przeciwieństwie do zamku, któremu miękkie zwietrzały kamień dodawał pewnego ciepła, wyglądał zimno i surowo. Nawet latem w środku było chłodno i panowała wilgoć, a kominki rozpalano tylko w pokojach, których używano. W pozostałych czuć było pleśnią i stęchlizną.

Sypialna Kitty znajdowała się z tyłu na samej górze i rozpościerał się z niej widok na stajnie. Tę część domu nazywano dziecięcym skrzydłem. Victoria, Elspeth i Harry dawno przenieśli się do eleganckich frontowych sypialni blisko głównego holu, których okna wychodziły na ogrody. Kitty pozostawiona sama z panną Grieve czuła się odizolowana i zapomniana.

Idąc wąskim korytarzem do swojej sypialni, zobaczyła światło bijące spod drzwi pokoju panny Grieve. Szła na palcach, żeby nie zwrócić na siebie uwagi. Ale gdy mijała pokój guwernantki, usłyszała ciche szlochanie. Niesłychane! Do głowy

by jej nie przyszło, że panna Grieve może kiedykolwiek płakać. Zatrzymała się i przycisnęła ucho do drzwi. Przez moment pomyślała, że jej guwernantka ma gościa. Ale przecież ona nigdy nie łamała zasad, a matka Kitty nie zezwalała na przyjmowanie gości na górze. A zresztą, czy panna Grieve ma jakichś przyjaciół? Wspominała jedynie o matce mieszkającej w Edynburgu. Kitty uklękła i przyłożyła oko do dziurki od klucza. Panna Grieve siedziała na łóżku, na jej kolanach leżał otwarty list. Kitty zdumiał widok jej brązowych włosów, które w gęstych puklach opadały na ramiona i plecy. Błada twarz w świetle lampy wyglądała zadziwiająco łagodnie. Nie przypominała sztywnej nauczycielki ze ściągniętymi do tyłu włosami i ustami zaciśniętymi w tak wąską kreskę, że wargi stawały się prawie niewidoczne. Wyglądała jak wrażliwa młoda kobieta, w dodatku zaskakująco ładna.

Kitty chciałyby wiedzieć, co zawiera ten list. Czy ktoś umarł, może matka panny Grieve? W sercu jej wezbrało takie współczucie, że nieomal przekreśliła gałkę i weszła do środka. Ale zaraz pomyślała, że panna Grieve może się poczuć zażenowana, że dała się przyłapać w tak rzadkiej u niej chwili słabości. Kitty stała jednak pod drzwiami sparaliżowana widokiem jej drżących ust oraz wilgotnej od łez twarzy, pozbawionej zwykłego napięcia. Zafascynowała ją rzucająca się w oczy młodość guwernantki. Ile mogła mieć lat? Zawsze uważała ją za starą, ale teraz nabrała wątpliwości. Możliwe, że nie była starsza od jej matki...

W końcu Kitty wycofała się do swojej sypialni. Nora, jedna z pokojówek, rozpałała w kominku i w pokoju przyjemnie pachniało dymem. Lampa naftowa stojąca przy ścianie na komodzie rzucała jasne światło na wiszący nad nią obraz przedstawiający ogrodowe wróżki, który namalowała dla niej babcia. Zasłony były zaciągnięte, ale Kitty je rozsunęła i usiadła przy oknie, wpatrując się w księżyc i gwiazdy świecące jasno na wspaniałym aksamitnym niebie.

Kitty nie miała pojęcia, że czuje się osamotniona, ponieważ samotność stanowiła integralną część jej natury. W głębi serca doznała znajomego, głębokiego i wzruszającego skurczu, który zawsze się pojawiał, gdy podziwiała piękno nocy, ale chociaż zdawała sobie sprawę z poczucia tęsknoty, nie pojmowała jeszcze, że wyraża ono pragnienie miłości. Uczucie było dla niej tak znajome, że odbierała je jako coś przyjemnego i te godziny wpatrywania się w gwiazdy stały się dla niej tak powszednie jak dla wilka wycie do księżyca.

W końcu w drzwiach pojawiła się panna Grieve, sztywna i surowa, z włosami ściągniętymi w ciasny koczek; najwyraźniej opanowała już emocje i wcisnęła je w gorset. Jej napięte policzki i niebieskoszare oczy nie nosiły już śladu łez. Kitty przemknęło przez myśl, czy ich sobie nie wyobraziła. Co takiego sprawiło, że panna Grieve była tak rozgoryczona?

– Czas na kolację, młoda damo – powiedziała do Kitty. – Umyłaś ręce?

Kitty posłusznie pokazała dłonie, lecz guwernantka parsknęła z dezaprobatą.

– Nie wyglądają na czyste. Natychmiast je umyj. Nawiasem mówiąc, młoda dama nie powinna się włóczyć po okolicy jak zabłąkany pies. Porozmawiam z twoją matką. Być może lekcje fortepianu pomogą cię zdyscyplinować i uchronić przed kłopotami.

– Lekcje fortepianu nie na wiele przydały się Elspeth – odparła odważnie Kitty. – A jej śpiew przypomina miauczenie duszonego kota.

– Nie bądź arogancka, Kitty!

– A gra Victorii na skrzypcach brzmi jeszcze gorzej. Jak chór miauczających kotów. Ja chciałabym śpiewać. – Kitty nałała zimną wodę z dzbanka do miski i umyła ręce karbolowym mydłem. Jak do tej pory Kitty nie pobierała ani lekcji gry na fortepianie, ani na skrzypcach, ponieważ wykształceniem muzycznym córek zawiadywała matka, a Kitty była niewidzialna dla Maud Deverill. Tylko pasji ojca do polowań i wyścigów zawdzięczała, że od najwcześniejszego dzieciństwa uczono ją jazdy konnej. Mawiał, że póki żyje, nie dopuści, żeby jego dziecko nie potrafiło dosiąść konia.

– Masz już dziewięć lat, Kitty, czas najwyższy, byś nabrała trochę wdzięku. Nie rozumiem, dlaczego nie miałabyś pobierać lekcji muzyki tak jak twoje siostry. Porozmawiam jutro z twoją matką i postaram się to załatwić. Im mniej będziesz miała wolnego czasu, tym lepiej. Bezczytność daje pole do popisu diabłu.

Kitty poszła za panną Grieve do pokoju dziecięcego, gdzie jadały posiłki przy stole służącym również do lekcji. Stały za krzesłami, żeby odmówić modlitwę, a potem panna Grieve usiadła, podczas gdy Kitty przyniosła na stół naczynie z gulaszem i pieczone kartofle przywiezione windą kuchenną.

– Dlaczego rodzice nie chcą cię widzieć podczas posiłków? – spytała panna Grieve, gdy Kitty usiadła. – Panna Gibbons mówiła mi, że lunch był zawsze sprawą rodzinną, gdy twoje rodzeństwo było małe. – Nałożyła sobie porcję gulaszu. – Być może to dlatego, że jeszcze nie potrafisz się właściwie zachować. W moim poprzednim miejscu pracy u lady Billow zawsze jadałam lunch z rodziną, ale kolację oddzielnie, co było zresztą błogosławioną ulgą. Czy będziemy jadać razem, dopóki nie dorośniesz?

Kitty była przyzwyczajona do złośliwych drwin panny Grieve i starała się nimi nie irytować. Dowcip był jej jedyną obroną.

– To pewnie dlatego, żeby sprawić pani przyjemność, ponieważ inaczej czułaby się pani samotna.

Panna Grieve roześmiała się gorzko.

– Czyżbyś uważała się za dobre towarzystwo?

– Lepsze takie towarzystwo niż samotność.

– Nie byłabym tego taka pewna. Jak na dziewięciolatkę masz zbyt cięty język. Nic dziwnego, że rodzice nie chcą cię widywać. Victoria i Elspeth to młode damy, a ty jesteś małym urwisem, którego trzeba okiełznać. To zadanie spadło na

mnie i doprawdy jest dla mnie wielkim wyzwaniem, ale zrobię wszystko, co w mojej mocy. Masz przed sobą długą drogę, zanim znajdziesz męża.

– Nie chcę żadnego męża – zaprotestowała Kitty, wkładając do ust kawałek mięsa. Było zimne w środku.

– Oczywiście, że teraz nie chcesz. Bo jesteś jeszcze dzieckiem.

– A pani kiedykolwiek chciała mieć męża, panno Grieve?

W oczach guwernantki na chwilę pojawiła się niepewność, której nie omieszkała zauważyć bystra mała dziewczynka.

– Nie twoja sprawa, Kitty. Usiądź prosto! Nie jesteś workiem kartofli.

– Czy guwernantki mogą wychodzić za męża? – ciągnęła Kitty, choć znała odpowiedź, ale cieszył ją zbolaty wyraz oczu panny Grieve.

Guwernantka zacisnęła usta.

– Oczywiście, że mogą. Skąd przyszedł ci do głowy taki pomysł?

– Żadna z nich nigdy nie wyszła za męża. – Kitty mężnie żuła łykowany kawałek wołowiny.

– Dostyc tego! Wyślę cię do łóżka bez kolacji!

Twarz panny Grieve nagle poczerwieniała i Kitty na moment stanęła przed oczami młoda kobieta, która w sypialni płakała nad listem. Zamrugła i obraz zniknął. Panna Grieve wpatrywała się w talerz, próbując się opanować. Kitty żałowała, że zachowała się tak wrednie, ale wykorzystała możliwość, żeby ukradkiem wypluć mięso w serwetkę i schować je na kolanach. Starła się wymyślić coś miłego do powiedzenia, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Chwilę siedziały w milczeniu.

– Czy pani gra na fortepianie, panno Grieve? – spytała w końcu Kitty.

– Kiedyś grałam – odpowiedziała guwernantka spiętym głosem.

– Dlaczego więc nigdy pani nie gra?

Kobieta spojrzała na Kitty tak, jakby dziewczynka dotknęła jakiegoś niewidzialnego nerwu.

– Dostyc tych pytań, młoda damo. Resztę posiłku zjemy w milczeniu.

Kitty była zaskoczona. Nie spodziewała się tak ostrej reakcji na coś, co w jej mniemaniu w prosty i uprzejmy sposób zmieniało kierunek rozmowy.

– Jeszcze jedno słowo i zaciągnę cię za te rude włosy do sypialni – dodała guwernantka ostrym tonem.

– Moje włosy są tycjanowskie, nie rude – zaprotestowała odważnie Kitty.

– Możesz sobie używać takich wyszukanych określeń, ale rude jest rude i jeśli chcesz znać moje zdanie, wygląda niezbyt pociągająco.

Kitty w milczeniu męczyła się przez resztę kolacji. Twarz panny Grieve stwardniała jak granit. Kitty żałowała, że starała się być miła, i postanowiła, że już nigdy nie będzie tak głupia, żeby znów okazać tej kobiecie współczucie. Gdy skończyły, posłusznie odstawiła naczynia do windy i nacisnęła dzwonek, żeby

ściągnięto je do kuchni.

Umyła się zimną wodą, ponieważ Sean Doyle, brat Bridie, który przynosił gorącą wodę z kuchni do skrzydła dziecięcego, dostarczał ją co drugi dzień. Panna Grieve obserwowała ją podczas modlitwy. Kitty pomodliła się sumiennie za mamą i tatę, rodzeństwo i dziadków. Następnie dodała modlitwę w intencji panny Grieve: „Boże, proszę, zabierz ją stąd. Jest straszna, niemiła i jej nienawidzę. Gdybym miała moc Maggie O’Leary, nałożyłabym na nią klątwę, żeby nieszczęście nie opuściło jej do końca życia”.

Rozdział 3

Maud Deverill w milczeniu siedziała w powozie obok męża. Mimo że dłonie w rękawiczkach miała schowane pod kocem, a ciepłe futro chroniło jej piersi i plecy, ciągle drżała. Noc była jasna i zimna, w powietrzu wisiała wilgoć, ciągnąca od rozmiękłej ziemi i przenoszona w głąb łądu przez przenikający do kości słony wiatr od morza. Bertie wrócił zgodnie z utartym zwyczajem późnym popołudniem, pachnąc stajnią i końskim potem. Uprzejmie przywitał się z lady Rowan-Hampton, ale Maud nie dała się zwieść pozorom. Często czuła perfumy Grace na kołnierzyku jego marynarki i zauważała ukradkowe spojrzenia, które między sobą wymieniali, gdy sądzili, że nikt tego nie widzi. Można by spytać, dlaczego tak pielęgnowała przyjaźń z kochanką męża. Otóż Maud wierzyła, być może mylnie, że należy utrzymywać bliskie kontakty z przyjaciółmi, a z wrogami jeszcze bliższe. A więc przyjaźniła się z Grace, swoim największym wrogiem, tak blisko, jak tylko mogła.

Powóz trząśł się na pełnej kałuż i wybojów polnej drodze biegnącej wokół posiadłości i nim dotarł do zamku, pasażerowie zdążyli dotkliwie poczuć przejażdżkę na własnej skórze. Lokaj otworzył drzwi i podał pani Deverill rękę, ta zaś niepewnie wysunęła nogę, szukając w ciemnościach pierwszego stopnia.

W końcu wysiadła z powozu i ujęła męża pod ramię. Bertie miał płowe włosy, przystojną, szeroką twarz o regularnych rysach i oczy szare jak kacze jaja. Miał ironiczne poczucie humoru i słabość do ładnych kobiet. Rzeczywiście był lubiany w całym hrabstwie Cork za swój łagodny wdzięk i faworyzowany przez wszystkie damy, oczywiście oprócz Maud, która czuła doń urazę, że nigdy nie należał wyłącznie do niej.

Pochodnie z dwóch stron oświetlały wejście do zamku. Bertie i Maud Deverillowie mieszkali najbliżej, ale ponieważ Maud jak zwykle się grzebała, zawsze przyjeżdżali ostatni.

Podświadomie liczyła na to, że jeśli będzie się ociągać, być może jej mąż pojedzie bez niej.

– Jeśli znów posadzą mnie obok tego klechy, chyba się zabiję – wycedziła, a jej purpurowe usta w ciemnościach wydawały się czarne.

– Moja droga, zawsze siedzisz obok pastora i nie pamiętam, byś kiedykolwiek targnęła się na swoje życie – odparł spokojnie Bertie.

– Twoja matka chce mi zrobić na złość.

– Dlaczego miałyby to robić?

– Ponieważ mną gardzi.

– Bzdury. Moja matka nikim nie pogardza. Po prostu bardzo się różnicie. Nie

rozumiem, dlaczego nie możecie się dogadać.

– Boli mnie głowa. W ogóle nie powinnam wychodzić.

– Ale skoro już wyszłaś, spróbuj się dobrze bawić.

– Łatwo ci mówić, Bertie. Jesteś duszą towarzystwa. Wszyscy cię kochają.

Ja jestem w gruncie rzeczy tylko zbędnym dodatkiem do twojej wielce pożądanej osoby.

– Pleciesz głupstwa, Maud. Chodźmy, bo się przeziębisz. Muszę się napić.

Weszli do holu, gdzie Maud z niechęcią zdjęła futro oraz rękawiczki i podała je O’Flynnowi. Maud była piękną kobietą, aczkolwiek o nieco chłodnej urodzie. Natura obdarzyła ją wysokimi kośćmi policzkowymi, symetryczną twarzą w kształcie serca, dużymi błękitnymi oczami oraz ładnym prostym nosem. Miała pełne usta, lśniące, grube blond włosy, układające się w fale i loki, które upinała w typowo edwardiańskim stylu. Jej skóra była mlecznobiała, a dłonie i stopy filigranowe. Przywodziła na myśl marmurową rzeźbę, stworzoną przez życzliwego twórcę, ale zimną, twardą i zupełnie pozbawioną zmysłowości. Jedyne, co dodawało jej trochę charakteru, to jej niezdolność do widzenia czegokolwiek poza sobą.

Dziś była ubrana w jasnoniebieską suknię do ziemi, która podkreślała jej smukłą figurę; szyję zdobił naszyjnik z pereł z błyszczącym brylantem pośrodku. Gdy weszła do salonu, rozległo się gremialne westchnienie podziwu, które niesłychanie jej schlebilo. Od razu poczuła się lepiej, a jej nastawienie wobec przyjęcia zmieniło się diametralnie. Natychmiast obstały ją dwie ekscentryczne niezamężne siostry Adeline – Hazel i Laurel.

– Droga Maud, wyglądasz uroczo – zaszczębiotała Hazel. – Nie uważasz, Laurel? Maud wygląda uroczo, prawda?

Laurel, która rzadko miała inne zdanie niż Hazel, uśmiechnęła się do swojej pucołowatej siostry.

– Masz rację, Hazel. Naprawdę wygląda uroczo.

Maud popatrzyła z góry na dwie okrągłe twarze uśmiechające się do niej z zapalem i uprzejmie odwzajemniła uśmiech, zanim pod pretekstem przywitania się z pastorem pospiesznie się od nich uwolniła.

– Biedna pani Daunt, znów jej się pogorszyło – powiedziała Hazel o żonie pastora.

– Powiemy Mary, żeby jutro upiekła ciasto i jej zaniósła – zasugerowała Laurel.

– Doskonały pomysł, Hazel. Ciasto z dodatkiem brandy pomoże jej wrócić do zdrowia, nie sądzisz?

– Och, ma się rozumieć! – wykrzyknęła impulsywnie Laurel, z ekscytacją klaszcząc w swoje małe dłonie.

Pastor był korpulentnym mężczyzną o kłujących wąsach i rumianej, nalanej

twarży. Posiadał o sobie wysokie mniemanie i używał przyjemności życia, jakby to było jedno z zapomnianych boskich przykazań. Z entuzjazmem polował, doskonale strzelał i był zapalonym wędkarzem. Często widywano go, jak dreptał wśród swoich owieczek na wyścigach, wykorzystując byle okazję do wygłaszania kazań, tak jakby nieustanne moralizowanie usprawiedliwiało jego obecność w tej jaskini nieprawości. Maud uważała się za osobę religijną, zwłaszcza wtedy gdy jej to pasowało, ale nie cierpiała pastora Daunta za jego ekstrawaganckie upodobania. Wikary w jej rodzinnym mieście w Anglii był surowym, prostym człowiekiem, uznającym tylko zwykłe i proste przyjemności, co jej zdaniem powinno charakteryzować sługę bożego. Ale wyciągnęła rękę i przywitała się z duchownym, skrywając prawdziwe uczucia pod płaszczkiem chłodnej uprzejmości.

– Och, nasza uroczą pani Deverill – powiedział, ujmując swoją gąbczastą ręką jej smukłą dłoń i mocno nią potrząsając. – Czy Victoria przygotowała czytanie na jutrzejsze nabożeństwo? – spytał.

– Tak – odparła Maud. – Ćwiczyłam z nią, ale zna pan młodych, czytają o wiele za szybko.

– Jak mniemam, wkrótce wyjedzie do Londynu.

– Nie wiem, jak sobie dam bez niej radę – pożaliła się Maud, której zawsze udawało się skierować rozmowę na własną osobę. – Będę się czuła bardzo osamotniona, mając tylko Elspeth do towarzystwa.

– Wkrótce Harry przyjedzie na wakacje i oczywiście nadal ma pani... – Zamierzał wspomnieć o Kitty, ale Maud bez pardonu mu przerwała.

– Zawsze płaci się wysoką cenę za dobrą edukację – rzekła uroczyście. – Taki już ten świat. Harry jest szczęśliwy w Eton, a więc nie powinnam się skarżyć. Ale bardzo za nim tęsknię. Wart jest dziesięciu moich córek. Bóg niestety poskąpił mi więcej synów – dodała z wyrzutem, jakby sam pastor był za to odpowiedzialny.

– Córki zaopiekują się panią na starość – zauważył tonem pocieszenia, sącząc sherry.

– Harry się mną zaopiekuje. Moje córki na pewno będą zbyt zajęte własnymi dziećmi, żeby myśleć o starej matce.

W tym momencie dołączyła do nich Adeline, a jej słodki uśmiech oraz iskiereki w oczach przyniosły duchownemu ulgę.

– Właśnie mówiliśmy, lady Deverill, jaką pociechą na starość dla matki są córki.

– Cóż, moja córka czmychnęła za Atlantyki, nie oglądając się za siebie – powiedziała bez urazy Adeline. – Ale oczywiście ma pan rację. Maud, mając trzy córki, może się czuć rozpieszczana przez los.

Maud odwróciła wzrok. Adeline miała niepokojącą umiejętność przenikania jej na wskroś, jakby widziała wszystkie jej wady i nawet była nimi lekko rozbawiona.

– Bardzo prawdopodobne, że Victoria i Elspeth poślubią Anglików i na zawsze opuszczą Irlandię. Jediną nadzieję pokładam w Harrym, który niezależnie kogo poślubi, zostanie tutaj.

Adeline popatrzyła uważnie na Maud.

– Zapominasz o Kitty, moja droga.

Pastor uśmiechnął się szeroko, ponieważ bardzo lubił najmłodszą latorośl Deverillów.

– Ona na pewno nie opuści Irlandii. Każda, ale nie Kitty. Założę się o duże pieniądze, że poślubi Irlandczyka.

Maud próbowała się uśmiechnąć, ale jej pąsowe usta tylko lekko się wykrzywiły.

Adeline pokręciła głową, nie ukrywając swojego żywszego uczucia do najmłodszej wnuczki.

– Ona niczego się nie boi. Bez wątpienia dokona w życiu zaskakujących rzeczy. Postawiłabym na to niemałe pieniądze.

Maud czuła, że oczekuje się od niej, żeby coś dodała do rozmowy, ale w gruncie rzeczy niewiele wiedziała o tej córce. Oprócz tego, że ma takie same płomiennorude włosy jak Adeline i takie samo niepokojące spojrzenie, jakby skrywała jakieś tajemnice.

Wreszcie w drzwiach pojawił się O'Flynn, oznajmiając, że podano do stołu. Maud znalazła swego męża pogrążonego w ożywionej rozmowie z ojcem o następnym polowaniu; Bertie zdążył już wysączyć trzecią szklaneczkę sherry. Strój lorda Deverilla jak zwykle sprawiał wrażenie nadgryzionego przez mole. Siwe włosy miał rozwichrzone jak po karkołomnym galopie, a rękawy smokingu wystrzępione, jakby ucztowały w nich myszy. Pomimo że Skiddy bardzo się starał utrzymać ubrania swego pana w nienagannym stanie, jakoś tak się działo, że nieodmiennie wyglądały jak wyciągnięte z dna szafy, lord zaś kategorycznie odmawiał zakupu nowych.

– Czy mogę mieć przyjemność odprowadzenia cię do stołu? – spytał Hubert, z przyjemnością patrząc na piękną twarz synowej. – Mogę podać ci ramię, Maud?

Maud, która zawsze mogła liczyć na wsparcie teścia, oczywiście pozwoliła się poprowadzić do jadalni.

Bertie towarzyszył Krzaczkom, a ich podekscytowana paplanina dźwięczała mu w uszach jak niezrozumiały świergot ptaków. Pastor szedł u boku Adeline; ich konwersacja ograniczała się do jednostronnego wykładu na temat praw wyborczych kobiet, do którego Adeline nie przykładała większej wagi i jeszcze mniej zainteresowania.

Stanęli, żeby odmówić modlitwę; Hubert u szczytu stołu, Adeline naprzeciwko, pastor po jej prawej stronie, a obok niego poirytowana Maud. Pochylili głowy i duchowny przemówił niskim, pompatycznym głosem, jakby

wygłaszał kazanie z ambony. Ledwie skończył, drzwi otworzyły się i stanął w nich, opierając się o futrynę, Rupert, młodszy brat Bertiego. Był rozczochrany i wyraźnie pijany.

– Znajdzie się dla mnie miejsce? – zwrócił się do matki.

Adeline nie sprawiała wrażenia zaskoczonej widokiem swojego młodszego syna, który mieszkał w domu znajdującym się nad morzem w odległości około półtora kilometra przez pola, zajmowanym kiedyś przez jej zmarłą teściową, wdowę po poprzednim lordzie Deverillu. – Możesz usiąść pomiędzy ciotkami – rzekła, opadając na krzesło.

Hubert, który miał mniej cierpliwości do swego beznadziejnego syna i uważał, że lepiej by było, gdyby wzorem młodszej siostry wyjechał do Ameryki albo wreszcie znalazł żonę i zrobił coś ze swoim życiem, chrząknął głośno i powiedział:

– Twoja kucharka ma dziś wolne, jak rozumiem?

Rupert uśmiechnął się z właściwym sobie urokiem.

– Usłyszałem, że moje drogie ciocie Hazel i Laurel będą na kolacji, nie mogłem więc oprzeć się okazji, by je zobaczyć.

Krzaczki zarumieniły się z radości, nie zauważając lekko drwiącego tonu w głosie siostrzeńca. Odsunęły się od siebie, by O’Flynn mógł wstawić pomiędzy nie krzesło.

– Cóż za uroczy wieczór – zaszczebiotała Laurel. – Nie uważasz, Hazel?

– Och, jak najbardziej, Laurel. Rupercie, mój drogi, usiądź i opowiedz nam, co u ciebie słychać. Prowadzisz takie ekscytujące życie, nieprawdaż? Nie dalej jak wczoraj rozmawiałyśmy, jak to jest być młodym, prawda, Laurel?

– Och, tak. Hazel i ja jesteśmy tak stare, że pozostało nam jedynie cieszyć się ciekawostkami, których nam dostarczasz, Rupercie, niczym okruchami z pańskiego stołu.

Rupert usiadł i rozłożył serwetkę.

– Co dziś pani Doyle przygotowała na kolację? – spytał.

*

Było już dobrze po północy, gdy Bertie i Maud odjechali do Hunting Lodge. Maud dała upust swojej złości przed znużonym i przyjemnie podchmielonym mężem.

– Rupert się kompromituje, przychodząc niezaproszony! W dodatku był podpity i nieodpowiednio ubrany. Powinien mieć tyle przyzwoitości, żeby ubrać się stosownie na kolację, zważywszy, że twój ojciec nie szczędzi mu pieniędzy. – Gwałtownie poleciała do przodu, gdy powóz podskoczył na wyboju.

– Mama i tata nie zwracają uwagi na takie rzeczy – odparł Bertie, ziewając.

– A powinni. Cywilizacja to dbałość o standardy. Ten kraj stoczyłby się

w barbarzyństwo, gdyby nie tacy ludzie jak my, którzy trzymają fason. Wygląd ma znaczenie, Bertie. Twój rodzice powinni świecić przykładem.

– Sugerujesz, że są źle ubrani, Maud?

– Ubrania twego ojca jedzą mole. Co by szkodziło, gdyby raz na jakiś czas odwiedził krawca w Londynie?

– Ma ważniejsze sprawy na głowie.

– Masz na myśli polowania, strzelanie i łowienie ryb?

– Właśnie. On jest stary. Pozwól mu oddawać się jego przyjemnościom.

– A twoje ciotki są doprawdy śmieszne.

– Są szczęśliwe, dobre i miłe. Surowo oceniasz ludzi, Maud. Nikt ci się nie podoba.

– Rupert potrzebuje żony – zmieniła temat.

– To mu ją znajdź.

– Powinien pojechać do Londynu i poszukać sobie miłej angielskiej dziewczyny z dobrymi manierami i silną ręką, żeby przywołała go do porządku.

– Jesteś rozgoryczona, Maud. Czy naprawdę wieczór był taki niemiły?

– No tak, ty doskonale bawiłeś się w jadalni, popijając porto i paląc cygara, podczas gdy my utknęliśmy w salonie. Czy wiesz, że twoja matka i jej siostry zamierzają przeprowadzić seans spirytystyczny w zamku? Trzy media, dobre sobie! To jakiś absurd!

– Och, daj im spokój, niech się bawią, moja droga. Co ci to przeszkadza, że chcą się komunikować ze zmarłymi?

Maud zdała sobie sprawę ze słabości swoich argumentów.

– To grzeszna zabawa – dodała cierpko. – Nie sądzę, żeby wielebny był nią zachwycony. Nic dobrego z tego nie wyniknie, wspomnisz moje słowa.

– Nadal nie rozumiem, w jaki sposób dotyczy to ciebie, Maud.

– Twoja matka ma zły wpływ na Kitty – rzuciła w odpowiedzi, wiedząc, że wspomnienie Kitty przyda większej wagi jej słowom.

Bertie zmarszczył brwi i potarł pokrytą szczecina szczękę.

– Ach, Kitty! – westchnął, czując ukłucie winy.

– Spędza za dużo czasu ze swoją babcią na rozmowach o bzdurach.

– Może dlatego, że ty w ogóle nie poświęcasz jej czasu?

Urażona Maud przez chwilę milczała. Bertie nigdy się nie skarżył na jej oczywisty brak zainteresowania najmłodszą córką. Zresztą należało do zwyczaju trzymać najmłodsze dzieci z dala od rodziców w dziecięcym skrzydle pod opieką guwernantek. Maud ogarnęła nagła fala złości: Grace Rowan-Hampton musiała mu o tym wspomnieć! Przyjaźń z wrogiem nie wychodziła jej na dobre. Grace szpiegowała w jej domu!

Powóz zatrzymał się przed frontowymi drzwiami. Siąpiła lekka mżawka, którą miejscowi nazywali kapuśniaczkiem. Wiał silny wiatr, jęcząc upiornie, gdy

przedzierał się przez nagie gałęzie kasztanowców. Kamerdyner czekał na nich w holu, trzymając lampę naftową, żeby oświetlić im drogę na piętro. Maud weszła za mężem na podest, mając nadzieję, że zauważy jej milczenie i zapyta, co ją dręczy.

– Dobranoc, moja droga – powiedział, nie obdarzając jej nawet spojrzeniem.

Patrzyła, jak znika w swojej sypialni i zamyka drzwi. Z wściekłością weszła do swojej, gdzie czekała na nią pokojówka, żeby pomóc jej się rozebrać. Bez słowa niecierpliwie odwróciła się do niej plecami.

*

Nazajutrz rano Kitty zjadła śniadanie z panną Grieve w pokoju dziecięcym, a potem ubrała się do kościoła. Niedzielne nabożeństwo w kościele Świętego Patryka w Ballinakelly było jedyną okazją, gdy cała rodzina gromadziła się razem. Prawdę mówiąc, tylko wówczas Kitty widywała swoich rodziców. Panna Grieve ubrała ją w świeży biały fartuszek oraz czarne lakierki i spędziła więcej czasu niż to konieczne na rozczesywaniu jej włosów, nie zwracając uwagi na ból, jaki sprawiała swojej podopiecznej. Ale Kitty utkwiała wzrok w szarych chmurach pędzących po niebie za oknem, postanawiając nie uronić ani jednej łzy.

Podczas gdy rodzice i dziadkowie jechali powozami, Kitty i jej siostry udawały się do kościoła bryczką; panna Grieve siedziała z przodu obok Millsa, który powoził. Victoria była podobna do matki – ładna, z szeroką twarzą w kształcie serca, długim, prostym nosem i iskierkami złości w niebieskich oczach. Błyszczące fale blond włosów opadały jej do pasa, gdy siedziała wyprostowana, z uniesionym do góry podbródkiem, bardzo świadoma swojej urody i pełnych podziwu spojrzeń, jakie wzbudzała. Elspeth była skromniejsza i mniej atrakcyjna niż starsza siostra. Jej włosy były w kolorze myszowatego brązu, nos przypominał płaski guziczek, a na jej bezmyślnej twarzyczce malowała się pokora jak u pokojowego pieska. Starsze dziewczynki ignorowały Kitty, preferując rozmowę między sobą. Ale Kitty się tym nie przejmowała, zbyt zajęta rozglądaniem się po polach pełnych pasących się krów i owiec.

– Mama mówi, że muszę mieć nowe suknie na wyjazd do Londynu – oznajmiła uszczęśliwiona Victoria, przytrzymując kapelusz, żeby nie odfrunął na wietrze. – Już wysłała cioci Beatrice moje wymiary. Nie mogę się doczekać! To będą najmodniejsze fasony, jestem tego pewna.

– Ty to masz szczęście – skwitowała Elspeth, w charakterystyczny sposób przeciągając samogłoski, przez co jej głos brzmiał jak lament. – Szkoda, że nie mogę z tobą pojechać. Zostanę tu sama i z nikim nie będę mogła porozmawiać oprócz mamy. Bez ciebie zrobi się tu potwornie nudno.

– Lepiej się do tego przyzwyczaj, Elspeth – poradziła jej ostro siostra. – Zamierzam tam znaleźć męża.

- O to przede wszystkim chodzi, czyż nie?
- Mama powiedziała, że jeśli panna nie znajduje męża, to oznacza, że jest brzydka, nudna albo jedno i drugie.
- Nie jesteś ani brzydka, ani nudna – stwierdziła Elspeth. – Na szczęście żadna z nas nie odziedziczyła po babci rudych włosów.
- Nie są rude – wtrąciła Kitty spod swojego kapturka. – To tycjanowska czerwień.

Starsze siostry zachichotały.

- Mama mówi, że są rude – rzuciła Victoria złośliwie.
- To wielkie nieszczęście mieć rude włosy – zauważyła Elspeth. – Rybacy nie wypływają w morze, gdy po drodze do portu spotkają rudą kobietę. Clodagh mi powiedziała – wyjaśniła, wspominając jedną z pokojówek.

– Lepiej trzymaj je ukryte pod kapturkiem – poradziła Victoria. Spojrzała na najmłodszą siostrę, a Kitty uniosła swe szare oczy i odważnie wytrzymała to spojrzenie. Victoria, nagle wystraszona, przestała się śmiać. W oczach siostry było coś przerażającego, jakby samym spojrzeniem mogła rzucić na kogoś urok. – Nie bądźmy dla siebie niemiłe – załagodziła szybko, nie chcąc rozgniewać Kitty, co jakimś cudem mogłoby przynieść pecha jej pierwszemu londyńskiemu sezonowi. – Rude włosy są w porządku, szczególnie w połączeniu z twoją ładną buzią, prawda, Elspeth? – Szturchnęła siostrę łokciem w żebra.

– Tak, rzeczywiście – przyznała posłusznie Elspeth. Ale Kitty już nie słuchała. Przyglądała się wracającym z mszy katolickim dzieciom, szukając wzrokiem Bridie i Jacka O’Leary’ego.

Rozdział 4

Ballinakelly było zjawiskowo pięknym miasteczkiem, pełnym uroczych białych domów przyczepionych do wzgórza niczym małże do skały. Był tu niewielki port, trzy kościoły (kościół Irlandii pod wezwaniem Świętego Patryka, kościół metodystów i kościół katolicki pod wezwaniem Wszystkich Świętych), główna ulica z małymi sklepami i zawsze przepełnione cztery puby. Miejscowe dzieci chodziły do szkoły prowadzonej przez Kościół katolicki, a wieczorami gromadziły się przy kapliczce Maryi Dziewicy, żeby zobaczyć, jak święta figura się porusza, co nader często czyniła, wyraźnie wskutek sił nadprzyrodzonych. Kapliczka, zbudowana w tysiąc osiemset dwudziestym ósmym roku na zboczu wzgórza na pamiątkę objawienia, jakiego doznała tu młoda dziewczyna, stawała się podczas letnich miesięcy swego rodzaju atrakcją turystyczną – pielgrzymi przybywali zewsząd, padali na kolana w błocie i żegnali się pobożnie za każdym razem, gdy rozlegał się charakterystyczny dźwięk. Dzieci rozbawione tym spektaklem, a zarazem przestraszone, zrywały się gromadnie do ucieczki, maskując strach pod salwami nerwowego śmiechu. Szeptano, że konie, mijając kapliczkę, niekiedy się wzdrygały, co miało być zwiastunem tragedii.

Bryczka powoli sunęła przez miasto. Kitty uważnie przeszukiwała wzrokiem tłum idących do kapliczki katolickich dzieci. Były pobladłe z głodu, ponieważ pościły od wczorajszego wieczora, i znużone po mszy. W końcu dostrzegła Bridie, idącą ciężkim krokiem wraz ze swoją rodziną. Na jej twarzy na wpół ukrytej w płataninie potarganych włosów malowała się apatia. Kitty wiedziała, że Bridie nie przepada chodzić na msze. Ojciec Quinn był surowym, bezlitosnym kapłanem, skorym do ciskania gromów z ambony. Często wskazywał karcącym palcem tych członków wspólnoty, którzy jego zdaniem złamali przykazania. A najbardziej obrywało się najbiedniejszym z nich.

Kitty wbiła wzrok w przyjaciółkę, aż Bridie podniosła oczy akurat w momencie, gdy bryczka mijała ją ze stukotem kopyt po bruku. Twarz Bridie pojaśniała w uśmiechu. Kitty odwzajemniła uśmiech. Parę kroków za Bridie szedł Liam O'Leary, weterynarz, ze swym dwunastoletnim synem Jackiem. Kitty uśmiechnęła się również do niego. Jack był bardziej dyskretny. Jego błękitne oczy zalśniły pod gęstą, brązową grzywką, a kąciki ust nieznacznie się uniosły. Bryczka sunęła naprzód. Kitty się obejrzała i znów ich oczy się spotkały, ponieważ Jack rzucił jej ukradkowe spojrzenie przez ramię.

Kościół Świętego Patryka był prawie pełen. Miejskowa arystokracja uczestniczyła w nabożeństwie wraz z prostym ludem. Protestanci – sklepikarze,

pośrednicy w handlu bydłem, krawcowe, a także zarządca oraz księgowy z posiadłości Deverillów – wszyscy pochodzili od hugenotów. Lord i lady Deverillowie zasiedli w pierwszej ławce wraz z Bertiem, Maud, Victorią i Elspeth. Panna Grieve zajęła miejsce obok Kitty w rzędzie z tyłu. Ku radości Kitty okazało się, że siedzi obok lady Rowan-Hampton, ubranej w dopasowany ciepły płaszcz i otulonej futrzaną etolą. Jej mąż, postawny, czerwony na twarzy sir Ronald, siedział z brzegu, żeby móc wstać i przeczytać naukę z Pisma Świętego.

– Droga Kitty – szepnęła lady Rowan-Hampton, kładąc książeczkę do nabożeństwa przed sobą na pulpicie – tak dawno cię nie widziałam. Och, wyrosłaś na ładną dziewczynkę. Muszę przyznać, że urodę odziedziczyłaś po babci. Wiesz, przed laty o jej urodzie było głośno w Dublinie. Jak my przetrzymamy to nabożeństwo? Już wiem, zabawimy się. Znajdź zwierzę, które najlepiej pasuje do każdego członka twojej rodziny! Oczywiście, nie wyłączając wielebnego pastora. Gdybyś była zwierzątkiem, Kitty, byłabyś... – Zmrużyła swe łagodne brązowe oczy, a Kitty była oczarowana jej wydatnymi lekko zarumienionymi policzkami, gładką mleczną skórą i wyrazistymi ustami. Kitty pomyślała, że jeśli ludzie byłiby ciastkami, lady Rowan-Hampton byłaby biszkoptem przełożonym słodkim owocowym nadzieniem, jej matka zaś suchym gorzkawym ciastem porterowym. – Oczywiście, moja droga, byłabyś lisem! – ciągnęła lady Rowan-Hampton. – Sprytnym, uroczym małym liskiem!

Nabożeństwo rozpoczęło się pierwszym hymnem. Kitty stała wyprostowana, śpiewając tak ładnie, jak tylko potrafiła, żeby zrobić wrażenie na przyjaciółce matki. Panna Grieve tylko porusza ustami, pomyślała Kitty, ponieważ jej głos był niesłyszalny. Pani Daunt, żona pastora, która zazwyczaj grała na organach, zresztą równie źle jak Elspeth na fortepianie, dzisiaj była chora, więc ich sąsiad, podobny do świnki pan Rowe pięknie zagrał na skrzypcach. Kitty czuła zapach perfum lady Rowan-Hampton, słodki, kwiatowy jak tuberoza, i postanowiła, że gdy dorośnie, będzie dokładnie taka jak ona. Oczywiście nie chciała poślubić kogoś tak starego i grubego jak sir Ronald, przewodniczący miejscowego koła łowieckiego, który był drętwym nudziarzem, a ożywał się jedynie po pijanemu; Kitty często słyszała, jak perorował po kolacji, gdy panie wycofały się już do salonu. Lady Rowan-Hampton zawsze nosiła lśniące diamenty wokół szyi i nadgarstka oraz długie suknie, które szeleściły przy każdym jej ruchu. Kitty dokładnie tak wyobrażała sobie księżniczkę. Toteż siedziała obok Grace urzeczona.

Sir Ronald przeczytał pierwszy fragment Pisma Świętego. Jego tubalny głos odbijał się echem od ścian, gdy wyrzucał z siebie słowa, akcentując każdą sylabę jak dowódca musztrujący żołnierzy. Victoria czytała jako druga, cicho i trochę zbyt szybko, połykając końcówki zdań, przez co ich znaczenie stawało się niezrozumiałe. Gdy wielebny Daunt zbierał się do wygłoszenia kazania, lady Rowan-Hampton pochyliła się do ucha Kitty i wyszeptała:

– Mors!

Kitty stłumiła chichot, ponieważ dokładnie o tym zwierzęciu pomyślała, gdy sir Ronald czytał lekcję.

Podczas końcowego hymnu puszczone w obieg tace. Lady Rowan-Hampton podała Kitty monetę; gdy taca do nich dotarła, dziewczynka z lekkim brzęknięciem dorzuciła ją do innych. Na koniec nabożeństwa pan Rowan wziął skrzypce i zagrał skoczną gigę, co rozbawiło większość ludzi prócz Maud, która z dezaprobatą jeszcze mocniej zacisnęła usta.

– A jakim zwierzątkiem byłby twój ojciec? – spytała lady Rowan-Hampton.

– Lwem – odpowiedziała Kitty natychmiast.

– Znakomicie! – pochwaliła ją Grace. – Chyba masz rację. Ma jasną karnację i włosy, no i jest przystojny, zupełnie jak lew. A twoja mama?

– Białą łasicą.

Lady Rowan-Hampton wyglądała na zszokowaną.

– Moja droga, jesteś pewna, że wiesz, jak wygląda łasica?

– Oczywiście. Nie uważa pani, że właśnie tak?

Lady Rowan-Hampton zawahała się i mocno zarumieniła.

– Ne jestem pewna. Raczej przypomina panterę śnieżną.

Kitty zmarszczyła nos i pomyślała o suchym i gorzkawym cieście porterowym.

– A twoje siostry? – ciągnęła zabawę lady Rowan-Hampton.

– Małe łasiczki – odparła z szerokim uśmiechem Kitty.

– Cóż za łasicza rodzinka! – skwitowała lady Rowan-Hampton również z uśmiechem. – Myślę, że powinniśmy zachować tę zabawę dla siebie, nie sądzisz?

Kitty skinęła głową, przyglądając się, jak łasice wstają i gęsiego idą nawą w kierunku wyjścia.

Przed kościołem rozpoczęło się spotkanie towarzyskie. Anglo-Irlandczycy byli małą społecznością, znali się i trzymali razem od pokoleń dla poczucia komfortu i bezpieczeństwa. Polowali, spotykali się na wyścigach i bawili podczas niekończącej się serii balów i kolacji po polowaniach. Łączyła ich miłość do sportu i rozrywek, lojalność wobec Korony, traktowanie Irlandczyków z szacunkiem, ale i czujnością oraz podświadoma determinacja, żeby trwać w zmieniającym się świecie, jakby schyłek ich egzystencji nie był nieuchronny.

Kitty dostrzegła na trawie pajęczynę z kroplami rosy niedaleko od miejsca, gdzie jej ojciec rozmawiał z lady Rowan-Hampton. Wyczuwając, że mówią o niej, odwróciła uwagę od pająka, żeby nastawić uszu. Raz czy dwa, gdy ojciec zerknął w jej stronę, musiała udawać, że patrzy gdzieś indziej. Lady Rowan-Hampton gestykulowała w perswazyjny sposób i sądząc z gwałtownych ruchów rąk, była dość rozgniewana. Ku zaskoczeniu Kitty ojciec zrobił skruszoną minę, jakby dostał reprimendę. Potem uwagę Kitty odwróciły inne oczy, które przyglądały się parze

z przeciwnego końca dziedzińca. Należały do jej matki i były zimniejsze niż kiedykolwiek.

Niedzielnny lunch zawsze spożywali w zamku. Rodzina zbierała się w salonie przy kominku, w którym huczał ogień, żeby szklaneczkami sherry i whisky Jameson rozgrzać się po lodowatym kościele i jeździe w silnym wietrze. Krzaczki, zawsze obecne, przybywały dwukółką, wstążki ich kapeluszy trzepotały dziko na wietrze, a ponieważ zwykle były zaaferowane rozmową, głowy miały przyciśnięte do siebie. Rupert przyjeżdżał sam, zazwyczaj już podchmielony, i zabawiał gości; jego rodzice często zapraszali do stołu większą liczbę osób, w porywach do dwudziestu. Dziś jednak była tylko rodzina. Kitty siedziała na końcu stołu, obok swoich sióstr, które całkowicie ją ignorowały. Ku jej zaskoczeniu ojciec zwrócił się do niej.

– Kitty, moja droga, dziś po południu zrobimy sobie konną przejażdżkę. Chciałbym zobaczyć, jak sobie radzisz. – Elspeth odwróciła się i zdumiona popatrzyła na Kitty ze złością. Przejażdżka z ojcem należała do rzadkich prezentów. – Czas, żebyś zaczęła jeździć z dorosłymi, prawda? Już dość próżnowania w pokojach dziecięcych. Ile ty masz lat, osiem?

– Dziewięć – poprawiła go Kitty.

– Dziewięć? Jak ten czas leci! Miałem nie więcej jak pięć lat, gdy już uczestniczyłem w polowaniach z psami.

– Ale będzie zabawa! – ucieszyła się Hazel.

– Tak, rzeczywiście – zgodziła się z nią Laurel. – Ale postaraj się znaleźć dla niej łagodnego konika, Bertie. Gdy byłam dziewczynką, o mało nie zginęłam, gdy mój złośliwy kucyk Teasel zrzucił mnie do rowu. Pamiętasz, Hazel?

– Oczywiście! – zaśmiała się jej siostra.

Hubert natychmiast sięgnął po swą ulubioną myśliwską anegdotę, a Kitty siedziała całkiem zagubiona pośród tej ożywionej konwersacji. Ale serce biło jej z podniecenia na myśl o przejażdżce z ojcem. Zastanawiała się, czy matka z nimi pojedzie, ale doszła do wniosku, że nie. Ten zaimprovizowany plan był wyraźnie pomysłem lady Rowan-Hampton, a poza tym jej matka ostatnio rzadko jeździła konno. Gdy już to robiła, zadawała szyku w czarnej amazonce i kapeluszu z prześwitującą woalką sięgającą jej do podbródka.

*

Kitty kochała jazdę konną. Uwielbiała dzikie, surowe wzgórza, drapieżne ptaki krążące nad głową, szemrzące strumienie i wzburzone morze. Była ciekawa świata poza swą izolowaną egzystencją i lubiła do niego uciekać, gdy pojawiała się taka możliwość. Teraz ruszyła stępa obok ojca; on na wysokim kasztanie, ona na szarym koniku Thruppence.

– Dokąd pojedziemy? – spytała, gdy jechali długą aleją pod wysokimi

bezlistnymi drzewami.

– A dokąd chciałybyś pojechać? – odparł ojciec, patrząc na nią z góry swymi miłymi, uśmiechającymi się oczami.

– Do Magicznego Kręgu – zaproponowała Kitty.

Bertie uniósł brwi. Dobrze znał to miejsce, ale nie wzbudzało jego zainteresowania.

– Jeśli chcesz.

– Jeżdżę tam z babcią.

– Wcale mnie to nie dziwi. – Roześmiał się. – Tańczycie wśród kamieni przy pełni Księżyca?

– Oczywiście – odrzekła z powagą. – Zamieniamy się w wilki i wyjemy.

Bertie wpatrywał się w nią ze zdziwieniem. Szare, niepokojące oczy córki wytrzymały jego spojrzenie przez dłuższą chwilę, a potem, gdy się roześmiała, Bertie z ulgą zorientował się, że żartuje.

– Niezłe masz poczucie humoru jak na ośmiolatkę.

– Dziewięciolatkę – poprawiła go Kitty z emfazą.

Pokręcił głową w zadumie. Cóż, jego najmłodsze dziecko dorastało w nienaturalnych warunkach. Grace miała rację, że go skrytykowała. To nie było z ich strony w porządku, że zostawili córkę w skrzydle dziecięcym tylko z surową szkocką guwernantką. Doskonale wiedział, że Maud nie interesuje się dziewczynką, ale nie zadał sobie trudu, by zorientować się, jak wielkie jest to zaniedbanie. Czuł się winny. Powinien wcześniej interweniować. „Jesteś słabeuszem – zgromiła go Grace i te słowa naprawdę go dotknęły. – Twoja chęć uniknięcia konfrontacji za wszelką cenę prowadzi do tego, że Maud robi, co jej się podoba. Czas, żebyś wziął sprawy w swoje ręce, Bertie, i zareagował”.

– Pojedźmy więc do Magicznego Kręgu. Ciekaw jestem, co ty i moja mama wyprawiacie, gdy jesteście same – powiedział, a uśmiech, którym obdarzyła go Kitty, sprawił, że zaczął się zastanawiać, czemu częściej nie szukał jej towarzystwa.

Magiczny Krąg był starożytną, mistyczną budowlą składającą się z siedemnastu szarych głazów ustawionych na szczycie wzgórza, skąd roztaczał się widok na szachownicę pól ciągnących się aż po ocean. Widać stąd było domki drgające w świetle zmierzchu, cienkie wstążki dymu unoszącego się z kominów, gdy farmerzy gromadzili się przy opalanych torfem paleniskach.

– To wszystko ziemia Deverillów – rzekł Bertie, omiatając wzrokiem rozległe połacie pól uprawnych. – Mieliśmy dziesięć razy więcej, zanim ustawa Wyndhama umożliwiła dzierżawcom wykup użytkowanej przez nich ziemi. Mieszkamy tu od ponad dwustu lat, ale pewnego dnia życie, które znamy, dobiegnie końca, gdy z naszych kurczących się posiadłości nie zdołamy utrzymać się na poziomie, do którego przywykliśmy. Nie sądzę, aby panna Grieve cię o tym

uczyła. – Kitty pokręciła głową. Jej ojciec nie miał pojęcia, jak rozmawiać z dziewięciolatką. – Tak, nie sądzę – dodał smętnie Bertie. – Czego ona cię właściwie uczy?

– O wielkim pożarze Londynu i zarazie.

– Czas, żebyś dowiedziała się czegoś o naszym dziedzictwie.

– Bartonie Deverillu? – rzuciła gorączkowo.

Bertie się uśmiechnął.

– Już o nim wiesz. Oczywiście, powinnaś znać swoich przodków, ale również wiedzieć o walce irlandzkich nacjonalistów o niezależność. Irlandczycy nie chcą, żeby rządili nimi Brytyjczycy. Chcą się rządzić sami.

– Wiem o tym – wtrąciła, pamiętając, co powiedziała jej Bridie. – Nienawidzą tego, że Brytyjczycy mają pełnię władzy, i uważają, że podatki są za wysokie.

Zaskoczony uniósł brwi.

– A więc już coś wiesz?

Nie mogła się zdradzić, że bawi się z katolickimi dziećmi i słucha ich patriotycznej paplaniny.

– Wiem, że Irlandczycy nas nie lubią, pomimo że też jesteśmy Irlandczykami.

– Jesteśmy Anglo-Irlandczykami, Kitty.

– Nie ja! – oznajmiła prowokacyjnym tonem, obejmując się ramionami. – Nie lubię Anglii.

– Ale to dzięki Anglii tutaj żyjemy. Gdyby nie Karol II, Barton Deverill nigdy nie wszedłby w posiadanie tej ziemi.

– Ona należała do O’Learych – powiedziała odważnie.

Bertie zmrużył oczy i chwilę myślał, jakby szukał najwłaściwszej odpowiedzi.

– Ziemia, na której zbudował zamek, rzeczywiście należała do O’Learych.

– Chcą ją z powrotem?

– Na pewno kiedyś chcieli, Kitty. Ale to było ponad dwieście lat temu. Liam O’Leary jest weterynarzem, tak jak jego ojciec. Od pokoleń już nie są farmerami.

– A więc nie ma pomiędzy nami walki?

– Nie, walki nie ma.

– Jesteście przyjaciółmi?

Poruszył się niespokojnie w siodle, myśląc o naburmuszonej żonie Liama.

– Owszem, stosunki są przyjacielskie.

– Czy to możliwe, że pewnego dnia któryś z Deverillów poślubi kobietę z rodziny O’Learych?

– Myślę, że to wysoce nieprawdopodobne – odrzekł spięty Bertie. – Słuchasz babci, prawda? Jej opowieści są bardzo zabawne, Kitty, ale musisz pamiętać, że to

tylko bajki, a nie rzeczywistość. Coś jak mitologia grecka albo irlandzkie legendy, takie jak *Dzieci Lira*, które tak lubisz. Ale trudno je traktować poważnie. Powiedz mi lepiej, co wy tu z babcią robicie? – Wskazał szpicrutą na głazy.

– To starożytne pogańskie miejsce kultu – oświadczyła Kitty z przekonaniem. – W każdym z tych głazów żyje zaklęty człowiek. Gdy słońce zachodzi, ozywają.

– Bardzo ciekawe – powiedział Bertie, zupełnie niezainteresowany magią. Myślnami wrócił do butelki dżinu i płonącego kominka, które czekały na niego w domu.

– Chcesz to zobaczyć, tato? – Kitty obróciła twarz do słońca, które już chowało się w morzu na horyzoncie, rozpalając na niebie intensywną czerwono-złotą łunę.

– Innym razem – odparł pobłażliwym tonem, dochodząc jednak do wniosku, że Maud miała rację. Kitty stanowczo za wiele czasu spędza na rozmowach o głupotach z babcią.

Zaczęli wracać na dół. Wieczór był zimny, ale intensywny zapach wilgotnej ziemi i wrzosów unoszący się nad rozmokłym gruntem nasycił letnie powietrze obietnicą wiosny. Od czasu do czasu kuropatwa lub zając wyskakiwały z janowców, a stado krów podeszło bliżej i łagodnie rycząc, przyglądało się im dużymi brązowymi oczami. Kitty była zachwycona. Wolałaby zostać tu dłużej, zamiast wracać do nudnego dziecięcego skrzydła i jeść kolację z panną Grieve.

Ale kiedy wróciła do swego pokoju, panna Grieve, która czekała tam na nią, ubrana w sztywną suknię, okrywającą całe jej ciało poza bladą twarzą i dłońmi, zakomunikowała, że dziś wieczorem rodzice oczekują jej w jadalni.

– Nie rozumiem, co się stało, że tak nagle chcą cię widzieć – oświadczyła z wyrzutem. – Dotychczas ledwie zauważali twoje istnienie.

– To dlatego, że mam dziewięć lat, a papa myślał, że osiem – wyjaśniła dziewczynka. – Niemądry papa!

– Mam nadzieję, że nie zapomnisz o dobrych manierach. Mnie tam nie będzie, żeby cię szturchnąć w odpowiedniej chwili.

– Nie potrzebuję żadnego szturchania, panno Grieve. Zachowam się jak młoda dama.

– Nie miej zbyt wielkiego mniemania o sobie, moja droga. Jeszcze nie jesteś młodą damą. A dokąd to pojechałaś z ojcem?

Kitty wiedziała, że nie może wspomnieć o Magicznym Kręgu. Raz, gdy podekscytowana powiedziała pannie Grieve, że widziała głazy, które budzą się do życia, otrzymała niezłe cięgi szpicrutą. Tak szybko znów się nie zapomni.

– Pojechaliśmy na wzgórze. Było uroczo.

– Lepiej się do tego nie przyzwyczajaj. Nie przypuszczam, żeby ojciec znów ci zaproponował przejażdżkę. Chyba woli towarzystwo panny Victorii; w końcu to

już młoda kobieta. Och, wiosną wyjeżdża do Londynu i bez wątpienia tyle ją będziemy widzieli. Taka ładna panna szybko znajdzie sobie miłego męża. Potem przyjdzie kolej na Elspeth i ona też odleci jak wiatr. A jeśli chodzi o ciebie... – Panna Grieve popatrzyła w dół swojego długiego nosa na Kitty. – No cóż, biedne, małe stworzenie. Z tymi wszystkimi niedoskonałościami naprawdę będziesz miała szczęście, jeśli pójdiesz w ślady siostr. Nie patrz tak na mnie. Z takim grymasem na twarzy wyglądasz jeszcze gorzej.

Kitty ubrała się w najlepszą sukienkę i zaciskała pięści, gdy panna Grieve rozczesywała jej potargane włosy.

– Gdybym miała w tej sprawie coś do powiedzenia, obciąłabym je na krótko – stwierdziła guwernantka, pociągając szczególnie wrażliwy kosmyk na skroni Kitty. – Poświęcamy im tyle czasu, a najlepszym rozwiązaniem byłaby para nożyczek!

Gdy Kitty była gotowa, zbiegła na dół, pozostawiając pannę Grieve samą. Guwernantka będzie jeść kolację, mając za towarzystwo tylko swoją gorycz.

Kitty zatrzymała się przed lustrem na podeście i wpatrzyła w swoje odbicie. Naprawdę jest taka brzydka? Czy lady Rowan-Hampton tylko z uprzejmości skomplementowała jej urodę? A jeśli nawet jest nieatrakcyjna, czy to ma aż takie znaczenie? Pomyślała o swojej babci i się uśmiechnęła. Była piękną bożą duszyczką. Ale panna Grieve była zbyt ślepa, żeby to dostrzec.

Rozdział 5

Był niedzielny wieczór. Torf na palenisku u starej pani Nagle mocno dymił, gdy pykała glinianą fajkę, gorliwie przesuując paciorki różańca. Z zawieszzonego nad paleniskiem dużego czarnego kociołka z potrawką z pasternaku i kartofli wydobywała się para, wypełniając i tak już zadymione pomieszczenie. Pani Nagle przycupnęła jak zwykle na krześle przy ogniu, zgarbiona i wychudzona, cała w czerni, cmokając dziąsłami, ponieważ zęby dawno już jej wypadły. Jej wnuczka Bridie drewnianą łyżką starannie mieszała potrawkę, a od smakowitego słonawego zapachu w żołądku jej burczało jak wygłodniałemu psu. Pani Doyle siedziała na bujanym fotelu naprzeciwko matki, zajęta cerowaniem, jednym uchem łowiąc słowa męża i synów. Dwaj starsi bracia Bridie, Michael i Sean, siedzieli wraz z ojcem wokół drewnianego stołu, pogrążeni w przyciszonej rozmowie. Ich poważne twarze były zniekształcone w migotliwym płomieniu świecy, ledwie rozświetlającej mrok, a w chropowatych, spracowanych dłoniach trzymali cynowe kufle z ciemnym irlandzkim piwem Beamish. Co chwila do Bridie dolatywały strzępy ich rozmowy. Słyszała już przedtem wiele razy o powstaniach fenian[2] przeciw Brytyjczykom, niepokoje o pracę u arystokratów, wieczne obawy, że mogą zostać wzięci za szpiegów lub zdrajców, i co wtedy?

Bridie od dawna wiedziała o walce Irlandczyków o niepodległość oraz o ich niechęci do Brytyjczyków. Urywki rozmów wraz z zapachem portera i tabaki przenikały przez podłogę, gdy zapadała w sen; ojciec i jego przyjaciele toczyli długie rozmowy do późna w noc, swobodnie podniesionymi głosami, pijąc i grając w karty. Widziała gazety organizacji Sinn Féin[3] ukryte za łóżkiem Michaela, ale miała trudność z ich przeczytaniem. Jej ojciec, Tomas Doyle, okazywał mądrość, gdy był trzeźwy. Argumentował, że w przeciwieństwie do innych lord Deverill jest wspaniałomyślnym panem, a Sean i pani Doyle, zatrudnieni w zamku, są tam dobrze traktowani. Czyż podczas wielkiej zarazy ziemniaczanej poprzednia lady Deverill nie otworzyła garkuchni w jednej ze stodół, gdzie wydawano darmową zupę, i w ten sposób nie ocaliła wielu ludzi od głodowej śmierci? Powszechnie wiadomo, że ani jeden z dzierżawców Deverillów nie umarł z głodu ani nie musiał płynąć do Hameryki na statku śmierci, dzięki Bogu. Ale Michael, najstarszy brat Bridie, dziewiętnastolatek, który wraz z ojcem pracował na roli, chciał pozbyć się brytyjskich protestantów, niezależnie od tego, kim byli i jak by byli dobrzy dla swoich dzierżawców. „To kwestia zasad i honoru: Irlandia powinna należeć do Irlandczyków – podkreślał z pasją. – Brytyjscy protestanci powinni wrócić tam, gdzie ich miejsce. Przywilej wykupienia naszej ziemi? Też mi przywilej!

Pozwalają nam wykupić ziemię, które wcześniej nam ukradli! – denerwował się, waląc pięścią w stół, a jego długie czarne włosy opadały mu na czoło. – Oni ukradli nie tylko ziemię. Obrabowali nas z naszej kultury, naszej historii, języka i sposobu życia!”.

Bridie słyszała, jak ich głosy się podnosiły, gdy próbowali się wzajemnie przekonać, a wtedy ogarniał ją niepokój o Kitty i ich potajemną przyjaźń, którą tak ceniła. Miała nadzieję, że jeśli kiedykolwiek w Ballinakelly dojdzie do kłopotów, Deverillowie nie ucierpią z rąk rebeliantów ze względu na ich szeroko znaną szczodrość i życzliwość wobec miejscowej ludności.

Bridie była rozczarowana, że dzisiaj Kitty nie czekała na nią, jak zwykle siedząc na murze okalającym teren zamku. Potem zazwyczaj razem biegły i grały w *pikki* z miejscowymi dziećmi. Kitty nazywała to grą w klasy, ale to jedno i to samo. Kitty taka właśnie była – jeśli coś ją bawiło, angażowała się w to całym sercem. Ani przez myśl jej nie przeszło zastanawiać się, czy powinna się zadawać z katolickimi dziećmi. Nawet jeśli jedno z nich nosiło nazwisko O’Leary.

Gdy Bridie pomyślała o Jacku O’Learym, o jego zamglonym spojrzeniu i ulubionym jastrzębiu, którego nosił na ramieniu, poczuła w brzuchu łaskotanie, jakby delikatny trzepot motyli skrzydeł. Jack był wysoki, miał gęste brązowe włosy, a oczy tak jasnoniebieskie jak irlandzkie zimowe niebo. Na jego ustach błąkał się arogancki uśmiezek, a lodowate oczy zawsze spoglądały drwiąco, gdy przyglądał się dziecinnyim zabawom dziewczynek. Ale Jack miał też swoją wrażliwą stronę. Uwielbiał wszystkie stworzenia boże, od tajemniczych pajaków do uległych osłów, i spędzał pomiędzy nimi większość czasu. Wczesnymi wieczorami leżał na brzuchu, czekając na borsuki, karmił bezpańskie psy i obserwował ptaki na plaży w Smuggler’s Bay. Pewnego popołudnia w styczniu zabrał Kitty i Bridie do komórki za swoim domem, żeby mogły obserwować stadko myszy. Stały tam ponad godzinę, zastygłe jak posągi, a myszy biegały po drewnianej podłodze, jakby zamiast nóg miały małe kółka, i posilały się ziarnem, które wysypał im Jack. Ten epizod połączył ich jak spiskowców w konspiracji. Od tej pory zaczęły się ich wspólne przygody. Kitty była odważna, nawet zuchwała, Bridie zaś bała się włochatych gąsienic i rozmaitych robali; czasem musieli ją nakłaniać do zabawy. Jack śmiał się z jej obaw i mówił: „Wszystkie zwierzęta, nawet cuchnący szczur, są boskimi stworzeniami, jeśli spojrzysz na życie z ich punktu widzenia. Tak samo jak my mają dane przez Boga prawo pobytu na tej ziemi”. I Jack opowiadał im o życiu z punktu widzenia szczura, a Bridie siliła się, by opanować wstręt.

Jack dzisiaj też się nie pokazał. Liam O’Leary, jego ojciec, który był weterynarzem, zaczął zabierać go ze sobą, gdy jeździł na ratunek koniom cierpiącym na kolkę, kulawym owcom i poranionym w walkach psom. W takim miejscu jak Ballinakelly, gdzie było mnóstwo zwierząt, miał pełne ręce roboty.

Bridie bawiła się więc tego dnia z innymi dziećmi, których nie lubiła tak bardzo jak Kitty ani nie podziwiała tak bardzo jak Jacka.

Bridie kochała Kitty bardziej, niż kochały ją jej siostry. Czasem jednak zastanawiała się, czy jej przyjaciółka nie jest trochę dziwna, tyle rozprawiając o duchach. Być może uciekała w świat fantazji z powodu samotności, większość bowiem czasu spędzała ukryta w dziecięcym skrzydle, mając za towarzystwo jedynie posępną pannę Grieve. Bridie zadrżała na myśl, że opowieści o duchach mogły być prawdziwe.

– Nie zapominaj o mieszaniu, Bridie – skarciła ją matka, podnosząc wzrok znad robótki. Bridie, która nie zauważyła, że jej ręka nagle zastygła, raptownie wróciła do przerwanej czynności.

– Ona buja w obłokach z duchami – rzekła tonem nagany stara pani Nagle, potrząsając głową. Bridie pomyślała, że jej babcia tak by się nie wyraziła, gdyby wiedziała o pewnych rzeczach, o których mówiła Kitty.

Po posiłku pani Doyle oznajmiła, że czas na modlitwę. Bridie, jak co wieczór, uklękła na podłodze z łokciami opartymi o krzesło, złączonymi palcami i pochyloną głową. Pani Nagle pozostała na swoim miejscu, mamrocząc słowa modlitwy bezzębnymi ustami.

– O, Panie, otwórz wargi moje – zaczęła uroczyście pani Doyle.

– A usta moje będą głosić Twoją chwałę – dopowiedzieli pozostali.

Następnie pani Doyle wyrecytowała psalm, który miała wryty w sercu. Ostatnia modlitwa była krótka – za przyjaciół, rodzinę oraz lorda i lady Deverillów, którzy byli zawsze życzliwi i szczerzy.

Po modlitwie do ich domu tak jak zawsze zaczęli się schodzić sąsiedzi ze skrzypcami i nielegalnym bimbrem starego Badgera Hanratty’ego, zaskakująco dobrym, pędzonym z kartofli w stogu siana za jego domem. Wkrótce zaczęły się śpiewy. Bridie popijała maślanek; uwielbiała słuchać irlandzkich pieśni ludowych, lubiła przyglądać się starym wzruszonym mężczyznom, którzy pogrążeni w nostalgii mieli łzy w oczach. Czasem tańczyli ludowy taniec *Obleżenie Ennis*, a jej matka pokrzykiwała: „No już, chłopaki, dwa razy dookoła kuchni, ale na Boga, uważajcie na komodę!”. Albo jej ojciec chwycił matkę i tańczyli do rytmu wystukiwanego nogami i uderzeniami o stół, aż pani Doyle z zaczerwienioną z uciechy twarzą wyglądała jak młoda dziewczyna adorowana przez zapalczego konkurenta.

Ojciec Bridie był topornym mężczyzną, z szopą niesfornych czarnych włosów oraz tak gęstą czarną brodą, że chyba by go nie poznała, gdyby pewnego dnia wrócił do domu ogolony. Choć niskiego wzrostu, był silny jak byk, i biada temu, kto śmiałyby wyzwać go na pojedynek. Wyszedł zwycięsko z licznych awantur w pubie, łamiąc przy tych okazjach wiele szczęk i wybijając mnóstwo zębów. Miał porywczą naturę, ale równie szybko okazywał skruchę; parę razy, gdy

przyłożył swoim synom, padał później na kolana jak kupka nieszczęścia i żegnając się żarliwie, obiecywał Maryi Dziewicy, że już więcej tego nie zrobi. Alkohol był jego złym duchem, ale dobre serce boskim darem; problem polegał jedynie na znalezieniu równowagi pomiędzy jednym i drugim.

Nagle ojciec pomachał na Bridie. Spodziewała się, że wyśle ją do łóżka, ale on chwycił ją za rękę.

– Dziś zatańczę z moją małą Bridie – powiedział, przyciągając ją do siebie.

Zażenowana, że wszyscy na nią patrzą, pokraśniała. Ale nie musiała się martwić o kroki; często przyglądała się, jak tańczyły starsze dziewczyny. Ojciec kręcił nią po kuchni tak, jak to robił wcześniej z żoną. A gdy nią obracał, dostrzegła morze uśmiechniętych twarzy. Wśród nich zobaczyła twarz matki, pełną czułości, która złagodziła jej zmęczone pracą rysy. Potem przyszła kolej na braci; Bridie, która dotychczas była jedynie widzem, teraz znalazła się w centrum uwagi i serce pęczyło jej z dumy.

Tej nocy ledwie mogła spać z podniecenia. Wieczór przyniósł jej tyle radości, że odpłynęła myślami podczas odmawiania różańca i ledwie wiedziała, co mówi. Nie mogła sobie wyobrazić, żeby Kitty któregoś wieczora zatańczyła ze swoim ojcem. A brata, który studiował w Anglii, widywała od wielkiego dzwonu. Przez chwilę Bridie ogarnęło cudowne poczucie wyższości. Pławiła się w nim, odsuwając na bok tak często odczuwaną zazdrość. Próbowwała nie porównywać swego życia z życiem Kitty, ale ostatnio coraz wyraźniej zdawała sobie sprawę z istniejących pomiędzy nimi różnic. Być może wynikało to z pełnych niechęci uwag jej brata Michaela, a może dlatego, że spędzały razem coraz więcej czasu; cokolwiek to było, teraz Bridie mogła wnikać głębiej w życie Kitty i przyjrzeć mu się z szerszej perspektywy, i zaczęła się zastanawiać, dlaczego Kitty ma tak dużo, podczas gdy ona tak mało.

Słyszała głosy dochodzące z dołu; ojciec i bracia grali w karty, pan Hanratty, który się upił własnym bimbrem, parskał głośno, siedząc w bujanym fotelu jej matki, ktoś inny śpiewał tęskną pieśń *Eileen a Roon* do wzruszających dźwięków samotnych skrzypiec. Była to pokrzepiająca znajoma kołysanka i Bridie w końcu zapadła w sen.

*

O świcie obudziło ją głośne pukanie do drzwi. Nadal panowały ciemności, ale na wschodnim niebie pojawiła się już strużka czerwieni. Pukanie stało się uporczywe. Usiadła rozespana. Kto mógł przyjść o tej porze? W końcu usłyszała na schodach ciężkie człapanie ojca i poczuła powiew zimnego przeciągu, jakby jeden z węży, od których Święty Patryk uwolnił Irlandię, wślizgnął się pod jej drzwiami do środka. Zadrżała i mocno owinęła się kocem. Chwilę później drzwi trzasnęły i usłyszała znów kroki na schodach. Wreszcie zapanowała cisza, tylko myszy

szurały pod deskami podłogi i wiatr jęczał na dworze.

– Tato, kto był tu rano? – spytała ojca, gdy zeszła na dół na śniadanie.

– Nikt – odpowiedział, głośno siorbiąc herbatę.

Stara pani Nagle się przeżegnała.

– To stara Banshee zastukała do nas po raz pierwszy, niech Bóg ma nas w opiece – rzekła ponuro.

Pani Doyle zbladła, też się przeżegnała i pokropiła izbę święconą wodą z butelki po lemoniadowej stojącej przy drzwiach.

– To pewnie jakiś włóczęga – wtrącił, chichocząc Sean.

– Ktokolwiek to był, zniknął, zanim otworzyłem drzwi – wyjaśnił Tomas Doyle.

Bridie ukroiła sobie kawałek chleba sodowego i posmarowała go grubo masłem. Nie podobał jej się wyraz przerażenia na twarzy matki i próbowała na nią nie patrzeć.

– To była Banshee – powtórzyła stara pani Nagle, znów się żegnając.

– Boże chroń nas od Banshee! – wymamrotała pani Doyle.

– Powtarzam ci, kobieto, że za drzwiami nie było nikogo. Sean ma rację. To musiał być jakiś włóczęga, który chciał się ogrzać. Chodźcie, bo spóźnimy się na mszę. – Ojciec wstał.

Bridie odpędziła od siebie ponure myśli, Banshee bowiem, zgodnie z legendą, była jasnowłosą kobietą, której zawodzenie zwiastowało śmierć. Nie słyszała żadnego zawodzenia, a więc jej matka i babcia pewnie przesadzają. Po drodze do szkoły, ku swojej ogromnej uldze, zobaczyła starego wyliniatego konia ciągnącego wóz pełen umorusanych dzieci. Z tyłu przywiązane do wozu szły wynędzniałe kozy, a jedno czy dwa kozłątka jechały na nim wraz z dziećmi. Obszarpane dzieciaki patrzyły na nią czujnie czarnymi oczami; ich matka, zajęta pokrzykiwaniem na swego męża, w ogóle jej nie zauważyła. Cyganie, pomyślała uszczęśliwiona Bridie. Ojciec miał rację. Prawdopodobnie przez pół nocy pukali do różnych drzwi w poszukiwaniu ciepłego kąta, gdzie mogliby się przespać. Bridie przyspieszyła kroku. Ojciec przestrzegał ją, żeby nigdy nie ufała Cyganom i, broń Boże, nie patrzyła im w oczy.

Szkołę Najświętszej Maryi Panny w Ballinakelly prowadził Kościół, ale na szczęście ojciec Quinn miał niewiele wspólnego z codziennym nauczaniem. Nauczycielką Bridie była zakonnica z Cork, siostra Hannah, osoba dobra i miła. „To dzięki edukacji stajemy się lepsi – powiedziała raz w klasie Bridie. – Jediną drogą wyjścia z ubóstwa jest nauka, a więc słuchajcie uważnie tego, czego was ucze. Mogą wam zabrać wszystko, co posiadacie, ale nikt nie odbierze wam serca, umysłu ani miłości do Boga. A tylko to ma znaczenie”. Bridie przykładała się do nauki, ale Jack O’Leary, który uczył się w sąsiedniej męskiej klasie, głównie wyglądał przez okno i obserwował ptaki.

Pod koniec dnia Bridie i Jack zastali Kitty jak zwykle na murze. Tym razem stała na jednej nodze, nieruchomo jak czapla.

– Co robisz? – spytał Jack.

– Ćwiczę równowagę – odparła.

– Dlaczego?

– Tak sobie. Dla zabawy, jak sędzę. To wyzwanie. A ty jakie sobie stawiasz?

– Jack musi jutro w szkole poprowadzić lekcję o ptakach – powiedziała Bridie. – To kara za patrzenie przez okno w czasie lekcji.

– To żadne wyzwanie – powiedziała Kitty. – Jack przecież wie wszystko o siewkach i kormoranach!

– Rzeczywiście. Dam siostrze Margaret lekcję, której nigdy nie zapomni – roześmiał się Jack.

– Czy ona nie wie, że jesteś ekspertem? – spytała Kitty.

– Jutro się dowie – powiedziała Bridie, rumieniąc się z podziwu dla Jacka.

– Chodźcie ze mną poćwiczyć – zawołała Kitty. – To o wiele trudniejsze, niż się wydaje. Chodźcie!

Jack wdrapał się na mur jak małpa, podczas gdy Bridie z trudem szukała oparcia. Po chwili Jack podał jej rękę i wciągnął dziewczynkę na górę.

– Tylko nie spadnij – powiedział, a Bridie spojrzała na niego z wdzięcznością.

– Nie wiem, czy potrafię się utrzymać – odparła.

– Oczywiście, że potrafisz. O tak! – Podniósł jedną stopę. – Spokojnie – dodał śpiewnym tonem. – Teraz ty.

Ale gdy Bridie miała unieść nogę, usłyszeli w drzewach za plecami jakieś głosy. Pospiesznie zeskoczyli na dół, nawet Bridie, która bała się wysokości, i przykucnęli.

– Kto to? – wyszeptał Jack. – Widziałyście kogoś?

Kitty i Jack wyjrżeli zza muru. Między drzewami skradała się grupa obszarpanych ludzi, którzy wtargnęli na teren posiadłości lorda Deverilla. Jack pociągnął Kitty w dół.

– Cyganie! – syknął. – Dziś rano pojawili się w mieście.

– Też ich widziałam – potwierdziła Bridie, zadowolona, że może coś dodać do rozmowy. – Czego tu chcą?

– Zwierzyny – rzekła ponuro Kitty. – Szukają czegoś do zjedzenia.

– Powiedziałbym, że chodzi o coś więcej. Musimy ostrzec lorda Deverilla – zaproponował podniecony Jack.

– Chodźcie za mną – zarządziła Kitty. – Znam krótszą drogę do zamku.

Dzieci chyłkiem przeszły naokoło muru, aż dotarły do miejsca od strony zabudowań gospodarczych, które łatwiej było sforsować. Popędziły piaszczystą drogą do stajni znajdujących się z tyłu domku myśliwskiego.

– Co się z wami dzieje? Diabeł was goni, czy co? – zawołał Mills, który przy stajni wypręgał konia z dwukółki lady Deverill, którą właśnie wróciła z miasta.

– W lesie są Cyganie – wydyszała Kitty, ciężko łapiąc oddech.

– Nie mają dobrych zamiarów – dodał Jack.

– Przyszliśmy powiedzieć lordowi Deverillowi – włączyła się skwapliwie Bridie.

– Spokojnie. Cyganie w lesie, czy tak?

– Tak, musimy powiedzieć dziadkowi – nalegała Kitty, mając nadzieję, że dziadek wyciągnie strzelbę i zacznie strzelać z okna garderoby.

– Nie ma potrzeby niepokoić lorda – powiedział Mills. – Skrzyknę chłopaków i sami to załatwimy. Gdzie oni są?

– Pokażemy wam – powiedziała Kitty, z podniecenia przeskakując z nogi na nogę. – Pospieszcie się, zanim uciekną!

– Panno Kitty, lepiej niech panienka tu zostanie. Może być niebezpieczne – zauważył stajenny.

– Ale ja muszę z wami pójść! – upierała się Kitty. – Nie boję się kilku Cyganów.

– Panienki dziadek by mi nie darował, gdyby stała się panience krzywda.

Kitty ze złością wyduła wargi.

– Chcę pójść z wami!

– Tutaj panienka jest bezpieczniejsza – rzekł stanowczo Mills.

Kitty nie miała wyboru. Mogła tylko obserwować, jak Jack, Bridie i Mills ruszają w stronę lasu z bratem Bridie Seanem Doyle'em oraz kilkoma stajennymi i naganiaczami uzbrojonymi w kije i maczugi.

*

Ze starszym bratem u boku Bridie poczuła się odważniejsza. Podobnie jak ojciec Sean nie był wysoki, ale silny, odważny i głęboko oddany Deverillom. Jeśli w posiadłości Deverillów pojawiał się jakiś złodziej, było pewne, że go przegoni i napędzi mu takiego stracha, że drugi raz raczej nie wróci. Przemierzyli ogród warzywny, szklarnie lady Deverill i przeszli na drugą stronę ogrodzonego pola, gdzie konie pały się leniwie w zanikającym świetle zmierzchu. Wreszcie dotarli do lasu po wschodniej stronie i zbliżali się do miejsca, gdzie dzieci widziały Cyganów. Między drzewami było ciemno, a powietrze zrobiło się zimne i wilgotne. Skradali się cicho jak koty, wsłuchani czujnie w każdy dźwięk.

Nagle stanęli naprzeciwko obszarpanych, brudnych, dziko wyglądających włóczęgów. Kobieta trzymała za szyję dwa bażanty i kuropatkę, podczas gdy mężczyźni wpatrywali się w gęstwiny, prawdopodobnie dostrzegając tam kolejną wartościową zdobycz. Bridie zauważyła, że jeden z bażantów ciągle żył – wykręcał się na wszystkie strony w próżnym usiłowaniu ucieczki. Spojrzała na Jacka

i zobaczyła, że jego twarz wykrzywia wściekłość.

Gdy Cyganie zauważyli Millsa i jego ludzi, odwrócili się i zastygli w miejscu, jak zwierzęta złapane w pułapkę, z której nie ma ucieczki. Ukrywanie łupów nie miało sensu; wiedzieli, że zostali przyłapani na gorącym uczynku. Dwóch wychudzonych mężczyzn i jedna kobieta nie mogło się równać z Millssem i jego krzepakimi chłopakami.

– Wkroczyliście na teren posiadłości lorda Deverilla – odezwał się surowym tonem Mills.

– Posiadłość lorda Deverilla? Nie wiedzieliśmy – odpowiedział jeden z mężczyzn, pokazując w uśmiechu bezzębne usta.

– A więc uprzejmie was proszę o pozostawienie tych ptaków i natychmiastowe opuszczenie tego terenu.

Mężczyźni zmrużyli oczy i zmierzli wzrokiem Millsa, jakby oceniając ryzyko związane z walką. Sean podniósł widły, a wyraz jego twarzy nie pozostawiał im wątpliwości, że nie warto zadzierać. W końcu, patrząc na swoich przeciwników spode łba, nakazali kobiecie upuścić ptaki.

– Przeklinam was! – zaskrzeczała do Millsa, ale ten nie wystraszył się słów Cyganki.

– Wynoście się, zanim wezwę policję i zamknę całą waszą trójkę – powiedział tonem człowieka, za którym stoi autorytet lorda Deverilla.

Kobieta z ociąganiem rzuciła ptaki na ziemię i cała trójka powoli odeszła.

Mills poklepał Jacka po głowie.

– Dobra robota, chłopcze – powiedział. – A Bridie, gdzie ona się podziała? – Przeszukiwał wzrokiem mrok. Gdy dostrzegł dziewczynkę schowaną za plecami brata, skinął do niej głową z uznaniem. – Ty też dobrze się spisałaś, Bridie. Powiem lordowi. Jestem pewien, że zechce cię wynagrodzić. – Oczy Bridie rozszerzyły się i zauważyła, że Jack na nią patrzy. – Uciekajcie już, zanim zrobi się tak ciemno, że choć oko wykol! – dodał Mills.

*

Zapadała noc, a wraz z nią nadeszły przejmująco zimne wiatry. Jack i Bridie w podskokach wrócili do Ballinakelly. Trafiła im się nie lada przygoda. Z niecierpliwością będą oczekiwali szczodrej nagrody od lorda Deverilla.

W miasteczku, ku swemu przerażeniu, znaleźli się twarzą w twarz z Cyganami szykującymi konie do drogi. Rozejrzeli się wokół; na ulicy było pusto i cicho, paliło się tylko światło w znajdującym się naprzeciwko pubie O'Donovana. Na widok dzieci Cyganka wymierzyła w nich oskarżycielski palec i wykrzyknęła coś w języku, którego ani Jack, ani Bridie nie zrozumieli. Zanim Jack zdążył się zorientować, dostał cios w szczękę i upadł do tyłu w błoto, a jeden z mężczyzn zrobił użytek z całej siły swojej pięści. Bridie wrzasnęła tak głośno i przenikliwie,

że drzwi pubu otworzyły się, oświetlając miejsce, gdzie leżał bezwładny Jack. Chwilę później ojciec Bridie wypadł na ulicę. W momencie gdy jeden z Cyganów wyciągnął rękę, żeby wymierzyć Bridie taki sam cios, Tomas błyskawicznie chwycił go za ramię i uderzył w nos. Krew oblała twarz Cygana, który cofnął się, lądując na tyłku w błocie. Ale drugi mężczyzna zaszedł Tomasa od tyłu. Miał nóż i jednym ciosem zatopił ostrze w jego żebrach.

Gdzieś daleko z lasu dobiegło zawrozczenie Banshee, niesione złowieszcym wiatrem, który gwałtownie przybrał na sile.

2 Tajne irlandzkie stowarzyszenie niepodległościowe, założone ok. 1858 r.; w 1867 r. zorganizowało powstanie przeciw Wielkiej Brytanii.

3 Organizacja niepodległościowa, a następnie partia polityczna o nacjonalistycznym charakterze założona w 1905 r. (irl. My Sami).

Rozdział 6

Ballinakelly było dogłębnie wstrząśnięte z powodu odrażającej zbrodni na Tomasie Doyle'u. Pani Doyle lamentowała tak głośno, że z powodzeniem mogłaby rywalizować z samą Banshee.

– Gdy jako młoda dziewczyna poszłam zobaczyć regaty w Bantry – opowiadała, przyciskając chusteczkę do nosa – pewna stara Cyganka, przepowiadając mi przyszłość, powiedziała, że moje życie będzie padołem łez. Nigdy nie usłyszałam czegoś bardziej prawdziwego. Boże, miej nas w swojej opiece!

Bridie była zdruzgotana. Nie tylko straciła ukochanego tatę, ale wyrzucała sobie, że stało się to z jej winy. Gdyby nie poszła z panem Millsem i chłopcami, Cyganie by jej nie rozpoznali. A gdyby nie krzyczała, ojciec by jej nie usłyszał i nie wyszedł z pubu O'Donovana. Och, gdyby tego dnia nie wyszła na spotkanie z Kitty koło muru, ojciec nadal by żył! Sean pocieszał ją najlepiej jak umiał, ale na próżno.

Michael oskarżył ich oboje o brawurę.

– Głupcy! Dbacie o interesy Anglików! Kilka bażantów lorda Deverilla za życie naszego ojca! – krzyczał z purpurową z wściekłości twarzą. – Były tego warte? Czy nie mówił wam, żeby nigdy nie patrzeć Cyganowi w oczy?

Oczy starej pani Nagle były suche; napatrzyła się już na śmierć podczas zarazy kartoflanej, tak że wylała już wszystkie łzy. Jednak w kościstej klatce piersiowej serce jej krwawiło z powodu nieszczęścia, jakie dotknęło jej córkę. Chciała jedynie wiedzieć, czy ktoś szepnął Tomasowi przed śmiercią do ucha akt skruchy, żeby ominął czyściec w drodze do raju, ale nikt nie mógł jej o tym zapewnić.

Odpowiedzialnego za morderstwo Cygana aresztowano na miejscu przestępstwa i zapewne zostanie skazany na powieszenie. Ale dla pani Doyle nie było to wielkim pocieszeniem.

– Stryczek jest za dobry dla takich jak on – powiedziała głębokim, drżącym głosem. – Niech diabeł porwie jego duszę, niechaj się smaży w piekle na wieczność! Boże, miej nas w swojej opiece.

Tomas Doyle przez dwa dni leżał na kuchennym stole. Pani Doyle otworzyła szeroko okno, żeby pozwolić odejść jego duszy. Dwie stare kobiety, znane jako dwie Nellie, panny Nellie Clifford i Nellie Moxley, przybyły ubrane w białe suknie i niebieskie welony, żeby umyć ciało; potem wezwano ojca Quinna, żeby dokonał namaszczenia. Przyjechał, odziany w ciepłe szaty, siwe włosy miał rozwiane

przenikliwym wiatrem, a twarz czerwona z oburzenia, że jedna z jego owieczek padła ofiarą pijanego złodzieja. Z powodu wysokiego wzrostu musiał schylić głowę, przechodząc przez próg.

– Był dobrym człowiekiem – powiedział, klękając obok pani Doyle, która siedziała przy palenisku na bujanym fotelu, biadoląc i ściskając paciorki różańca. – Teraz jest już z naszym Panem, Mariah. A człowiek, który dopuścił się tego czynu, będzie palił się w ogniu piekielnym przez całą wieczność. – Jego głos był niespodziewanie miękki i tak czuły, że zszokowana Bridie przestała płakać. Widziała, jak jej matka podnosi głowę i patrzy na kapłana dużymi, błyszczącymi oczami, a twarz jej odpręża się w błogim uśmiechu, jakby te słowa ukończyły ból jej serca, a zamiast niego wstąpiła w nie pewność, że jej ukochany Tomas jest już z Maryją i aniołami. Jeśli ojciec Quinn to powiedział, to musi być prawda, ponieważ ojciec Quinn znał zamysły Boga.

– Michaelu – rzekł ojciec Quinn, wstając i górując nad synami Tomasa. – Jesteś teraz głową rodziny. Sean, musisz pomóc mu w pracy na roli. Jesteś tu potrzebny. A ty, Bridie? – Utkwił przenikliwy wzrok w dziewczynce, która zadrżała pod tym spojrzeniem. – Pomożesz swojej babci w domu, aż będziesz dość dorosła, żeby pomóc mamie przy pracy na zamku.

– Tak, ojciec – odparła cicho Bridie.

Położył ciężką rękę na jej ramieniu.

– To nie była twoja wina. Rozumiesz?

– Tak, ojciec – odpowiedziała, nie mogąc powstrzymać łez płynących jej po policzkach.

– Musisz być silna dla twojej mamy. A ty, Michael... – Jego głos przybrał zwykły surowy ton.

– Tak, ojciec?

– Nie szukaj winnych. Każdy czyn ma swoje konsekwencje, ale my nie potrafimy ich przewidzieć. Widać, taka jest wola Boga i nie wolno nam jej podważać.

– Tak, ojciec – odparł posłusznie Michael, ukrywając pragnienie zemsty w ciemnych, nieprzeniknionych oczach.

Lady Deverill pojawiła się z koszykiem wiktuałów. Oddała hołd Tomasowi Doyle, po czym usiadła wraz z panią Doyle i starą panią Nagle, pocieszając je, jak tylko mogła.

– Widzi pani, droga pani Doyle – zaczęła, patrząc uprzejmie na wdowę poprzez kłęby dymu wydobywające się z glinianej fajki starej pani Nagle. – Nie jesteśmy istotami ludzkimi obdarzonymi duszą, ale duchami, które doświadczają ludzkiego żywota. Pani Tomas zawsze będzie przy pani. To, że go nie widać, nie oznacza, że go z nami nie ma. Teraz jest tylko światłem, jak tęcza, ale znajduje się w o wiele szczęśliwszym miejscu.

– Tak, Tomas jest z Panem, lady Deverill – odparła wdowa. – Jestem już spokojna.

Adeline podała Bridie pudełko.

– A to od lorda Deverilla. Nagroda dla ciebie, Bridie, za odwagę. Wiem, że to nie przywróci ci ojca, ale mam nadzieję, że będzie pewną pociechą.

Po wyjściu lady Deverill Bridie otworzyła pudełko. Znalazła w nim pantofle z czarnej, błyszczącej skóry, z dużymi srebrnymi klamrami. Z zachwytu zaparło jej dech. Bridie dotąd nie nosiła skórzanych butów i podeszwy jej stóp były twarde jak niewyprawiona skóra. Wstrzymując oddech, natychmiast je włożyła.

– Piękne buciki, Bridie – powiedział cicho Sean, mając nadzieję, że Michael nie popsuje tej chwili i nie oskarży siostry o czerpanie korzyści z wypadku, który doprowadził do śmierci ich ojca. Ale Michael zważał na słowa ojca Quinna i siedział uroczyście na krześle, zagryzając język.

Serce Bridie lekko podskoczyło, jakby ekscytacja z powodu pierwszej w życiu pary prawdziwych butów na chwilę przywróciła je do życia. Pantofle były trochę za duże, całe szczęście, bo na dłużej starczą. Niezdarnie, jak koń pociągowy, zaczęła chodzić naokoło kuchni, starając się przyzwyczać do ciężaru obuwia i uczucia, że coś twardego dotyka jej skóry. Ale nie mogła oderwać oczu od bucików: były najwspanialszą rzeczą, jaką kiedykolwiek posiadała.

Wkrótce zaczęli się zbierać sąsiedzi i przyjaciele, żeby oddać hołd zmarłemu. Pani Doyle poczęstowała ich tabaką, whisky oraz rzeczami z obfitego kosza, który dostała od Deverillów. Liam O’Leary przyszedł z żoną Julią i synem; na policzku Jacka widniał lśniący fioletowy siniak. Jack zdjął czapkę i na widok biednego Tomasa Doyle’a smętnie pokręcił głową. Julia, która uważała się za zbyt ważną, żeby w ogóle wchodzić do tak ubogiego domostwa, przyłożyła chusteczkę do nosa i skrzywiła się na widok ciała, woskowatego w świetle świec.

Liam O’Leary nie pozostał długo, poczęstował się drinkiem i wyraził swoje współczucie. Wychodząc, przeżegnał się wodą święconą, którą pani Doyle trzymała w butelce przy drzwiach wraz z palemką z Niedzieli Palmowej. Julia zignorowała wodę – chciała jak najszybciej opuścić tę nędzną izbę i uwolnić się od widoku leżącego w niej ciała.

Bridie ucieszyła się na widok Jacka i okazała mu o wiele większe współczucie niż jego rodzona matka. Natychmiast zauważył jej buty.

– Lord Deverill podarował mi beagle’a – powiedział. – Mama chciała, żebym go oddał.

– Dlaczego? – spytała zaskoczona Bridie.

– Nie wiem, ona nie lubi Deverillów.

– Oddasz go?

Uśmiechnął się zawadiacko.

– Ani mi się śni, Bridie. Nagroda jest nagrodą. Zasłużyłem na nią. –

Przesunął chropowatymi palcami po szczęce.

– Boli? – spytała Bridie.

– Jak cholera! – Zerknął na leżącego na stole Tomasa i pokręcił głową. – Ale mam szczęście, że żyję. A twój biedny tata... Niech odpoczywa w pokoju!

*

Następnego dnia całe miasteczko wyległo na pogrzeb, a słońce świeciło jakby na zamówienie Tomasa.

– Szczęśliwe jest ciało, na które pada światło słońca – mówiono w drodze do kościoła Wszystkich Świętych. Wszystkie ławki zostały wypełnione, a w kościele panował taki ścisk, że ledwie kilkanaście centymetrów kamiennej podłogi dzieliło od siebie kolejne pary stóp. Z przodu siedziała pani Doyle z rodziną, dystygowana, w czarnym szalu i sukni, pomiędzy dwoma synami i Bridie w nowych błyszczących pantoflach. Ojciec Quinn wygłosił poruszające kazanie, wychwalając Tomasa za jego ciężką pracę, dobre serce, łaskawie nie wspominając o jego wybuchowym temperamencie i upodobaniu do whisky. Postawił go za wzór do naśladowania dla reszty społeczności.

– Bóg zabiera do siebie najlepszych ludzi – mruknęła pod nosem panna Moxley.

– Oczywiście, teraz ja czekam na jego wezwanie – odpowiedziała szeptem panna Nellie Clifford. – To nie potrwa długo. Jestem już jedną nogą w grobie...

Tomas został pochowany na miejscowym cmentarzu, tam, gdzie inni członkowie społeczności, którzy odeszli wcześniej. Bridie trudno było uwierzyć, że jej ojciec leży już w ziemi, że nigdy nie zobaczy jego dobrych oczu ani nie doświadczy jego krzepiącej obecności. Pomimo że Michael był dorosłym mężczyzną i mógł przejąć obowiązki ojca, nadal czuła, że runęła solidna podstawa jej egzystencji. Będzie jej brakować pocieszającej pewności, jaką niosła ze sobą miłość ojca. Oczy jej zabłysły łzami, gdy wspomniała, jak jechała obok niego na furmance z masłem na Giełdę Maślaną do Cork. Brzmiały jej w głowie jego słowa: „Wieziemy irlandzkie masło, żeby nakarmić imperium”. Słyszała jego głos, gdy szeptał jej do ucha: „Nie zwracaj uwagi na grzmoty, Bridie. To tylko beczki toczą się po niebie”.

Zaczęła cicho płakać.

*

Gdy Adeline przekazała Kitty smutną wiadomość o Tomasie Doyle’u, dziewczynce dech zapało z przerażenia. Przyłożyła rękę do otwartych ust.

– Dałam jej parę butów w nagrodę, że ostrzegła nas o pojawieniu się kłusowników, ale to słodko-gorzki prezent, zważywszy na tę tragedię – powiedziała lady Deverill. Kitty siedziała w ciepłym saloniku na sofie obok babci

i myślała o swej przyjaciółce. – Pogrzeb jest dzisiaj – ciągnęła Adeline. – Chyba przyjdzie całe Ballinakelly. Był ogólnie lubiany – dodała.

– Chciałabym pójść na pogrzeb – odezwała się Kitty.

– To niemożliwe, moja droga. Trzeba zachować się taktownie.

– Ale Bridie to moja przyjaciółka!

– To prawda, ale inni mogą mieć do niej pretensje, że zadaje się z takimi jak my.

– Dlaczego tak jest, babciu?

– Ponieważ między nami jest wiele niechęci, Kitty. Pokonani zawsze czują urazę do zwycięzców. To zupełnie naturalne, czyż nie? Wielu irlandzkim katolikom odebrano ziemię i przyznano ją Anglikom...

– Na przykład O’Learym – wtrąciła Kitty.

– Masz rację, moja droga, tak jak O’Learym. – Adeline westchnęła ze znużeniem i rezygnacją. – A więc chcą z powrotem swojej ziemi, wyrzucenia Anglików i żądają niepodległości. Naturalnie, są podejrzliwi wobec każdego, kto ma jakieś związki z Anglikami. A to my, Kitty. Bridie nie chciałaby, żeby jej rodzina i przyjaciele uznali ją za nielojalną, nieprawdą?

– Ja też chciałabym odzyskać swoją ziemię, gdyby ktoś mi ją zabrał.

– Oczywiście. – Adeline uśmiechnęła się pobłaźliwie do wnuczki, ale czuła dumę z powodu jej inteligencji. – Ale jeśli O’Leary’owie mieliby odzyskać ziemię, nie mielibyśmy Castle Deverill i wszystkiego, co jest z nim związane. To, co się stało, nie odstanie się bez drastycznych konsekwencji. Dobrze, że żyjemy teraz i nie rozmyślamy o okrucieństwach, które wydarzyły się w przeszłości. W końcu musimy żyć razem i jakoś się dogadywać.

– Biedna Bridie – westchnęła Kitty.

– Wiem, ma ciężkie życie. Utrata bliskiej osoby jest straszna, ale irytuje mnie, jeśli ktoś nie zdaje sobie sprawy, że tak naprawdę ludzie nie odchodzą, a jedynie znikają z pola widzenia.

– Ty nigdy mnie nie opuścisz, babciu? – spytała z powagą Kitty.

Adeline objęła Kitty ramieniem i mocno przytuliła.

– Nie opuszczę cię, kochanie. Co więcej, będziesz wiedzieć, że nadal z tobą jestem, ponieważ zdołasz mnie zobaczyć. To rzadki i cudowny dar.

Kitty pobiegła do ogrodu, rozmyślając o Bridie. Słońce grzało jej skórę, a powietrze było przesycone intensywnym, słodkim zapachem egzotycznych kwiatów *Sarcococca confusa* i *Daphne bholua*. Znała każdą roślinę w ogrodach babci i wkrótce natrafiła na oczar, którego żółte kwiaty wydawały kojący ziołowy zapach. Zerwała dość gałązek, żeby ułożyć mały bukiet i przewiązała go sznurkiem znalezionym w szklarni. Potem poszła poszukać Millsa.

– Panie Mills! – zawołała na podwórku przed stajniami.

Mills wyłonił się z jednej ze stajni, trzymając w rękach ściereczkę i pastę do

skóry.

– O co chodzi, panienko Kitty?

Podbiegła do niego po brukowanym podwórku i podała mu bukiet.

– Proszę to zanieść Bridie. Pani Doyle i Seana nie ma w zamku, a ona musi to dzisiaj dostać.

Mills z ponurą miną pokręcił głową.

– Okropne! Biedna mała Bridie, tak wcześnie stracić ojca! – Wszedł do stajni, a Kitty podążyła za nim. W środku pachniało końmi, sianem i nawozem. Dwóch chłopców siedziało na stołkach, podwinięte rękawy ich koszul odsłaniały silne ramiona, gdy szybkimi ruchami polerowali skórzane siodła. Przerwali na moment pracę, by popatrzeć. Gdyby zamiast Kitty pojawiła się lady Deverill albo jakaś inna kobieta z rodziny, skoczyliby na równe nogi, ale Kitty była dzieckiem, które zazwyczaj biegało po okolicy z Bridie Doyle, a więc pozostali na swoich miejscach.

Mills odłożył szmatkę i pastę; w siodlarni znalazł zakurzony dzbanek. Zaczepnął wodę z beczki i wziął od Kitty kwiaty.

– Po południu je zaniosę i złożę rodzinie kondolencje. Na pewno Bridie będzie wdzięczna za troskę i współczucie, panienko Kitty.

– Przynajmniej tyle mogę zrobić. To moja przyjaciółka – powiedziała odważnie Kitty, urażona, że Mills wydawał się zaskoczony jej gestem. – Moja najlepsza przyjaciółka!

*

Od czasu przejażdżki z ojcem pozwolono Kitty opuszczać skrzydło dziecięce i uczestniczyć w rodzinnych posiłkach. Maud obserwowała ją podejrzliwie ze swojego końca stołu. W śmiałym spojrzeniu tego dziecka było coś niepokojącego, co budziło w Maud poczucie winy. Oczy Kitty były o wiele za duże, o niezwykłym odcieniu szarości, zupełnie jak u wilka lub jakiegoś dzikiego zwierzęcia, którego Maud nie umiała zidentyfikować, i w jakiś sposób okropnie impertynenckie. Wydawało się, że Kitty, podobnie jak Adeline, potrafi zajrzeć do najskrytszych zakamarków jej duszy i zna wszystkie jej sekrety. Maud czuła się bezradna i zepchnięta do defensywy, chociaż Kitty była zbyt młoda, żeby zrozumieć podłoże chłodu matki. Maud próbowała rozmawiać z najmłodszą córką tak, jak rozmawiała z Victorią czy Elspeth, ale oczy Kitty wydawały się drwić z jej prób nawiązania rozmowy, jakby bawiły ją wysiłki matki, by znaleźć jakiś punkt zaczepienia, gdy w gruncie rzeczy ani odrobiny zrozumienia pomiędzy nimi nie było.

– Panno Grieve, chciałabym, żeby nauczyła pani Kitty trochę pokory – Maud udzieliła instrukcji guwernantce po którymś szczególnie nieprzyjemnym lunchu. – Ona w taki ostentacyjny sposób wpatruje się w ludzi. Szczerze mówiąc, wygląda to bardzo niegrzecznie. Dziewczynka w jej wieku powinna spuszczać wzrok, a nie

wpatrywać się komuś prosto w oczy.

– Zajmę się tym, pani Deverill – obiecała panna Grieve.

– Bardzo o to proszę, w przeciwnym razie Kitty będzie musiała znów jadać posiłki w dziecięcym skrzydle.

Dla Maud było ulgą, gdy Kitty przez cały lunch siedziała ze wzrokiem wlepionym w jedzenie. Kitty, zbyt przebiegła, by dać się zastraszyć, szybko nauczyła się, że może patrzeć na wszystkich, byle nie na matkę, która wzdrygała się, gdy napotykała jej spojrzenie. Kitty była sprytna i odporna, ale jednak nie aż tak mocna, żeby nie odczuwać wrogości matki. To dotkliwie bolało.

*

Mills oparł rower o pobieloną ścianę domu Doyle'ów i otworzył drzwi. Stara pani Nagle siedziała na swym krześle, dorzucając gałązki do ognia, podczas gdy na kominie wędziła się ryba. Pani Doyle, jak zwykle w bujanym fotelu, przyszywała do rękawa marynarki Michaela czarny kawałek materiału w kształcie pięcioboku, który symbolizował żałobę. Dom był słabo oświetlony, ale ciepły, a kuchenne zapachy sprawiły, że Millsowi zaburzało w żołądku.

– Dzień dobry, pani Nagle, dzień dobry, pani Doyle – powiedział, zdejmując czapkę, i się uklonił.

– Napije się pan herbaty? – zaproponowała pani Doyle. – Bridie panu należy. Czajnik jest ciągle gorący.

Mills odwrócił się i zobaczył wylaniającą się z mroku bladą twarz Bridie. Duże ciemne oczy sprawiały, że jej twarz wyglądała na jeszcze drobniejszą i bardziej zbolałą. Klamry jej nowych pantofli zabłyśły w świetle ognia.

– Co za wspaniałe buty, Bridie – powiedział Mills i na moment twarz dziecka odzyskała kolor, gdy patrzyła na nie z uśmiechem.

– Prezent od lady Deverill – odpowiedziała cicho.

– W pełni sobie na niego zasłużyłaś. – Wyciągnął ku niej bukietek. – To dla ciebie od paničky Kitty. – Bridie wzięła kwiaty z wdzięcznością i powąchała. Jej oczy napelniły się łzami z powodu tej uprzejmości i na moment straciła głos ze wzruszenia. – Powiedziała, że to ważne, żebym dał ci go dzisiaj. – Serce Millsa łamało się na widok udręczonego dziecka. – Powiedziała, że jesteś jej najlepszą przyjaciółką.

Bridie uśmiechnęła się nieśmiało i skinęła głową. Mills dostrzegł, z jakim wysiłkiem stara się ukryć emocje.

– Może nalejesz mi herbaty? – poprosił delikatnie, dając jej czas na zebranie się w sobie. Dziarsko skinęła głową i zabrała się do nalewania wody do kubka.

– Życie toczy się dalej – powiedziała pani Doyle siedząca przy palenisku. – Pan Doyle jest teraz z naszym Panem, a my musimy żyć tak jak przedtem. On nie chciałby, żebyśmy się poddali, prawda?

- Na pewno nie, pani Doyle – powiedział Mills.
- A więc dość już łez. – Zaciśnięła usta i wróciła do szycia.

Bridie podała Millsowi kubek herbaty, a potem poszła po drugi dla babci.

– Bridie i chłopcy są dla mnie pocieszeniem – odezwała się znów pani Doyle, uśmiechając się do córki z taką czułością, jakiej Mills nigdy przedtem u niej nie widział. – Mój mąż był bardzo dumny ze swoich dzieci, panie Millls. Michael i Sean ciężko pracują, a Bridie wkrótce będzie dość duża, żeby pracować dla lady Deverill. Damy sobie radę, prawda, Bridie? Jest za co dziękować Bogu. Mamy dach nad głową i życzliwego pana. Niewielu może powiedzieć to samo.

Bridie usiadła przy stole i postawiła dzbanek z gałązkami oczaru pośrodku. Jej zbolełe serce koił widok kwiatów, promieniujących przyjaźnią i zrozumieniem tak wyraźnie, jak wypełniały swoim zapachem zadymioną izbę. Pomyślała o Kitty, wyobrażając sobie jej twarz, jakby siedziała dokładnie naprzeciwko niej, jej oczy, bystre i niesamowite w płomieniu świecy, słyszała w głowie jej głos, jakby naprawdę do niej mówiła. „Twój ojciec nadal z tobą jest, Bridie. Musisz wierzyć, że jest obok ciebie. Ci, których kochamy i tracimy na zawsze, pozostają z nami”. Bridie, która kiedyś powątpiewała, że Barton Deverill naprawdę siedział w fotelu w zamkowej wieży, teraz chciała ze wszystkich sił uwierzyć, że jej drogi ojciec jedynie zniknął z pola widzenia. Żałowała, że nie ma w sobie tej pewności Kitty oraz jej daru widzenia umarłych; bardziej niż czegokolwiek pragnęła móc cofnąć wskazówki zegara i sprowadzić ojca do domu.

*

Michael nie należał do mężczyzn, którzy by siedzieli cicho, pogrążeni w modlitwie. Trawiła go żądza zemsty. Stryczek dla mordercy to za mało za życie Tomasa Doyle’a. Wypijając duszkiem kubek bimbru Hanratty’ego, który wypalił mu ścieżkę w gardle, zdecydował, że cały tabor Cyganów zapłaci mu za tę zbrodnię. Oko za oko, ząb za ząb, pomyślał ponuro. Nienawiść i żal nie stanowiły już dwóch oddzielnych emocji, ale zlały się w jedną potężną siłę złej woli. Gdy chyłkiem przez krzaki i zarośla podkradał się do obskurnych cygańskich wozów i wózków, stłoczonych na środku pola, cieszył się, że chmury zakryły księżyc. Może Bóg odwrócił wzrok, pozostawiając jemu uczynienie zadość sprawiedliwości.

Dotarł do skupiska prymitywnych siedzib, ciesząc się, że Cyganie jeszcze nie ruszyli w drogę. Być może zostali, mając nadzieję na ułaskawienie mężczyzny skazanego na powieszenie? Michaela to nie obchodziło. Odwiązał konie. Potulne zwierzęta cicho zarżały, ale nie ruszyły się z miejsca. Zapalił pochodnię, po czym odpalił od niej cztery następne, które ze sobą przyniósł. Podkradł się do taboru i rzucał pochodnie wszędzie tam, gdzie dostrzegł jakąś przerwę. Ogień rozprzestrzeniał się szybko i skutecznie, zapalając słomiane posłania i pożerając

materiałowe pokrycia dachów. Ponad odgłosami trzasków i huków ognia rozległy się krzyki. Ludzie zaczęli uciekać z szalejących płomieni jak szczury. Dobrze im tak, pomyślał z satysfakcją Michael. Znikając w ciemnościach, jeszcze odwrócił się, żeby zobaczyć dzieło zniszczenia; wielki ogień w centrum pola rzucał złotawą poświatę na okoliczną trawę i krzaki. Ale gdy już odchodził, krzyk jakiejś kobiety zmroził mu serce.

– Pomocy! Pomocy! Moja mała Noreen! Moja mała Noreen!

*

Nie było wątpliwości, że to Michael Doyle jest odpowiedzialny za pożar, w którym zginęło cygańskie dziecko, ale nikt w Ballinakelly nawet o tym nie pisał podczas przesłuchania przez policję. Michael Doyle był dziki i groźny, zdolny wgnieść człowieka w ziemię samym tylko spojrzeniem swoich czarnych oczu i żaden mężczyzna w Ballinakelly nie chciał narazić się na jego gniew. Całe miasteczko zwarło wokół niego szyki, a pani Doyle, stara pani Nagle i Badger Hanratty ręczyli nawet za jego obecność w domu tej nocy.

Niemniej udręka Michaela dopiero się zaczynała. Noreen, pojawiająca się jak szept w jego nocnych koszmarach, była plamą na jego sumieniu; poczucie winy sprawiło, że jego czarne serce jeszcze bardziej stwardniało.

Rozdział 7

W drugim tygodniu sierpnia, po Dublin Horse Show, który miał miejsce w pierwszym tygodniu i był stałym elementem irlandzkiego kalendarza, kuzyn Digby Deverill wraz z całą rodziną opuścili Deverill Rising, swoją posiadłość w Wiltshire, i zjechali do Castle Deverill z taką ilością bagażu, jakby zamierzali tu pozostać przez cały rok. Sir Digby i jego żona, ekstrawagancka Beatrice, oraz ich czwórka rozpieszczonych i niezdolnych dzieci zatrzymali się na cztery tygodnie u Maud i Bertiego w Hunting Lodge. Celia była dokładnie w wieku Kitty, bliźniaczki Leona i Vivien równolatkami Elspeth, ich syn George zaś nieco młodszy od Harry'ego i uczył się w tym samym college'u w Eton. Rodzice Digby'ego, Stoke Deverill, potomek młodszego brata Bartona Deverilla, oraz jego żona Augusta zamieszkali w zamku z Hubertem i Adeline. Jak co roku opuścili Anglię z ciężkimi kuframi pełnymi rakiet tenisowych, strojów do jazdy konnej, sukni wieczorowych i dziennych, butów do tańca – gotowi na rozgrywki tenisowe, letnie bale, kolacje i lunche, z wydawania których słynęli Anglo-Irlanclzycy. Towarzyszyła im świta pokojówek, lokajów oraz guwernantka Celi, panna Springer.

Była to ulubiona pora roku Kitty. Nie tylko uwolniła się od ścisłego nadzoru panny Grieve, ale wraz z Bridie i Celią stworzyły sekretny klub zajmujący się szpiegowaniem dorosłych. Wybitne zdolności obserwacyjne Kitty dawały gwarancję, że dziewczynki niczego nie pomina. Ta zabawa zajmowała je przez całe wakacje. Główną atrakcją był Letni Bal w zamku, na który zjeżdżali się goście z całego zachodniego Cork; ze wspianiałych powozów wysiadały damy w jedwabnych balowych sukniach i tańczono do białego rana. Kitty i Celi pozwolono na nim zostać. A ponieważ zaproszeni raczyli się nadmiernie alkoholem, kuzynki mogły bezkarnie włóczyć się po zamku i wszystkiemu się przypatrywać. Niezauważone krążyły więc po pokojach i często były świadkami rzeczy, które dorośli woleliby ukryć.

Maud tolerowała Beatrice – dużą, postawną kobietę z wydatnym biustem, wielkim sercem i jeszcze większą kolekcją najwspanialszych diamentów, podarowanych jej przez przedsiębiorczego męża, który zbił fortunę na kopalniach w Afryce Południowej. Digby za swoje zasługi dla Korony otrzymał tytuł szlachecki od królowej Wiktorii, co zwiększało irytację Maud, ponieważ Beatrice była nie tylko bogata, ale również utytułowana. W opinii Maud Beatrice nosiła się nazbyt krzykliwie i brakowało jej dobrej krwi w żyłach, ale ojciec Kitty lubił towarzystwo Digby'ego, ponieważ był on wielkim entuzjastą życia. Ledwie umiał

jeździć konno, a jednak ochoczo galopował po wzgórzach, wybuchając gromkim śmiechem za każdym razem, gdy spadł. Nie potrafił zarzucać wędki, ale spędzał długie godziny, szukając szczęścia na morzu, i nie przeszkadzało mu, jeśli pod koniec dnia okazywało się, że złowił jedynie pustą butelkę po rumie pochodzącą z zatopionego statku pirackiego. Przywoził najlepsze kubańskie cygara, whisky i wino w dużych skrzynkach, a Beatrice obdarowywała dziewczynki jedwabiami i koronkami w najmodniejszych kolorach. Ekstrawagancy, ale sympatyczni, jako para naprawdę robili wrażenie, a Kitty uwielbiała ich za śmiech, który wnosili ze sobą do jej domu.

George, Leona, Vivien i Celia byli rozpuszczeni ponad miarę i zadzierali swe małe, perkate noski, przekonani, że wszystko im się należy. Dziewczęta zawsze przyjeżdżały w ciepłych paltach i kapeluszach, owinięte wełnianymi szalami i głośno narzekając na zimno, biegły ogrzać się przed kominkiem, jakby przybyły z tropików. Beatrice przywoziła dodatkowe koce na łóżka oraz ciepłe skarpetki na zmarznięte stopy. „Traktujcie to jak przygodę!” – wykrzykiwała do córek, gdy skarżyły się na wilgotną pościel i słaby, aczkolwiek niezaprzeczalny mysi zapach w sypialniach. Ale wkrótce dawały się porwać irlandzkiemu stylowi życia; tańczyły przez całą noc, grały w krokieta na idealnie przystrzyżonym trawniku, w tenisa na trawiastym korcie, piknikowały na plaży w ładną pogodę, ucztowały w zamku z lokalnym ziemiaństwem, chichocząc ukradkiem z powodu ekscentrycznego zachowania swoich irlandzkich kuzynów i ich zbzikowanych przyjaciół. Wkrótce Leonę i Vivien adorowali irlandzcy chłopcy, ponieważ były pięknymi blondynkami, ale również dlatego, że pochodziły z bogatego domu, a ubożający Anglo-Irlandczycy mieli nieodparty pociąg do angielskich pieniędzy. Celia uwielbiała emocje, a zamek Deverillów dostarczał ich co niemiara. W Kitty znalazła znakomitą współniczkę grzesznych sekretnych zabaw. Dla dziecka, które łatwo się nudziło i wpadało w ponury nastrój, kuzynka Kitty była niewyczerpanym źródłem aktywności i rozrywek.

Victoria po pełnym sukcesów półrocznym londyńskim sezonie, który spędziła u kuzynów w ich imponującym, zbudowanym we włoskim stylu Deverill House przy Kensington Palace Garden, powróciła do hrabstwa Cork jako światowa panna, z poczuciem wyższości w stosunku do Irlandii i wszystkiego, co się z nią łączy, przynależąc już w swoim mniemaniu do sal balowych Londynu i świata tamtejszej szlachty i arystokracji. Tak samo jak Leona i Vivien narzekała na wieczną mżawkę i wilgoć, a większość zdań rozpoczynała od słów: „W Londynie...”, tonem sugerującym, że tam wszystko jest lepsze. Otrzymywała listy od konkurentów, czytała je głośno matce i Beatrice, a ta rozważała z niestrudzonym entuzjazmem, który hrabia czy lord byłby dla niej najlepszą partią. Kitty tylko przewracała oczami, zastanawiając się, dlaczego nigdy nie brały pod uwagę uczucia do danego mężczyzny.

Kitty lubiła Celię pomimo jej dąsów i grymasów. Kuzynka odziedziczyła po ojcu zamiłowanie do zabawy, a po matce do intryg, i nie miała nic przeciwko zadawaniu się z Bridie, którą traktowała jak swego rodzaju ciekawostkę z powodu jej śmiesznego akcentu i słownictwa.

Wkrótce po przyjeździe kuzynek Kitty, Bridie i Celia spotkały się wśród pomidorów i winogron w jednej ze szklarni Adeline.

– Victoria jest bardzo zadowolona z siebie, odkąd wróciła z Londynu – rzekła Kitty, żując liść szczawiu.

– Słyszałam, jak mówiła mamie, że nie chce już mieszkać w Irlandii – powiedziała Celia. Zerwała figę z drzewa i dokładnie jej się przyglądała, czy nie ma robaków.

– Będę bardzo szczęśliwa, gdy ona i Elspeth wreszcie wyjadą i zamieszkają w Londynie. Wcale ich nie lubię. Mama w gruncie rzeczy też ich za bardzo nie lubi. Ona kocha tylko Harry’ego. – Kitty ściszyła głos i dodała ponuro: – Wiecie, że ja też miałam być chłopcem?

– Skąd wiesz? – spytała Celia.

– Podśluchałam rozmowę mamy z lady Rowan-Hampton w salonie. Powiedziała: „Gdyby tylko Kitty była chłopcem...”.

– Czyli wcale cię nie chciała? – Celia westchnęła, otwierając usta pełne figi.

– Jestem pewna, że chciała – wtrąciła Bridie, która w obecności Celi i rzadziej zabierała głos.

– Nie, nie chciała! Byłam jej wielkim rozczarowaniem. Pewnego dnia, gdy będę miała własną córeczkę, będę ją bardzo kochać. – Kitty uśmiechnęła się szeroko, ponieważ nie należała do osób, które użalają się nad sobą. – Zróbmy jakąś psotę!

– Och, wspaniale! – Celia klasnęła w ręce. Przebywanie z Kitty było naprawdę podniecające i zabawne.

– Jeśli znajdziemy żabę, być może Victoria pocałuje ją w nadziei, że zamieni się w księcia. Co o tym myślicie? – Kitty parsknęła śmiechem. – Chodźmy, może jakąś znajdziemy.

– Gdzie można znaleźć żabę?

– Nad rzeką – stwierdziła Kitty. – Jeśli pójdziemy nad staw z liliami wodnymi, mogą nas zobaczyć. Co o tym myślisz, Bridie?

– Żeby tylko nie musiała jej dotykać – odparła z obrzydzeniem Bridie. – Od żab dostaje się brodawek.

– Przesady, Bridie – powiedziała Kitty lekceważąco. – Chodź! Ostatni jest zepsutym jajkiem!

Dziewczynki pobiegły przez ogród. Gdy dotarły do muru, Celia zaczęła narzekać, że na kamieniach pobrudzi sukienkę.

– Nie ma tu bramy?

– Nie chcemy, żeby nas zauważono – wyjaśniła Kitty.

Celia westchnęła i obserwowała, jak Kitty zwinnie niczym jaszczurka wdrapuje się na mur, a tuż za nią Bridie, której sukienka była już brudna, a więc nie miało to wielkiego znaczenia. Celia, zacisnąwszy dłonie w pięści, wysunęła dolną wargę.

– Nie dam rady – oświadczyła. – Będę musiała skorzystać z bramy i zaryzykować, że mnie przyłapią.

– Musisz się wdrapać – nalegała Bridie. – To wcale nie jest trudne.

Ale Celia się nie poruszyła. Stała z założonymi rękami i poczerwieniała z oburzenia buzią.

– Nie ma mowy!

W tym momencie usłyszały za plecami czyjeś kroki na zasłanym liśćmi podłożu. Kitty gwałtownie się odwróciła, jakby spodziewała się kolejnych kłusujących włóczęgów. Poczowała ulgę na widok piegowatej twarzy Jacka, który uśmiechał się spod czapki, i beagle'a biegnącego truchtem u jego boku.

– A więc tu jesteście! – krzyknął. – Szukałem was.

– Pomyślałam, że to jakiś włóczęga – wyznała Kitty.

– Żaden włóczęga nie odważyłby się tu wdrzeć po tym... – Zawahał się, zerknął na Bridie, której sylwetka w brązowej sukience, podobna do wychudłej kuropatwy, zlewała się z murem. Twarz dziewczynki pojaśniała na jego widok; brudną ręką odgarnęła splątane włosy.

– Celia nie chce się wdrapać na mur – oznajmiła Kitty.

– Chodź, Celio, pomogę ci – zachęcił Jack. Sprawnie wskoczył na mur i wyciągnął rękę.

Celia niechętnie przyjęła pomoc i pozwoliła się podciągnąć. Wygładziła sukienkę i sprawdziła, czy się nie pobrudziła.

Jack się roześmiał.

– Co wy, dziewczyny, kombinujecie?

– Chcemy znaleźć żabę – poinformowała go Bridie.

– Chcemy podarować ją Victorii, żeby sprawdzić, czy po pocałunku zamieni się w księcia – dodała, chichocząc, Kitty.

– Ale nie zrobicie jej krzywdy, prawda? – zaniepokoił się Jack.

– Odniesiemy ją na miejsce, obiecuję.

– A więc chodźcie, pokażę wam, gdzie można znaleźć żaby. – W tej samej chwili ulubiony jastrząb Jacka zanurkował z nieba i wylądował na jego grubej, ochronnej rękawicy. – Polował na króliki i myszy – wyjaśnił Jack. – Jak dotąd niczego nie znalazł.

– To dlatego, że tata z wujem Digbym oraz chłopcami buszują po okolicy i zabijają wszystko, co się rusza – rzekła Kitty.

Jack poprowadził je przez wysokie trawy do szczeliny w zboczu wzgórza,

którą woda spływała do morza. Pośród paproci i mchu panował mrok. Bridie stanęła za Kitty, która przykucnęła. Nie chciała znaleźć się zbyt blisko, gdyby nagle jakaś ropucha podskoczyła. Jack stał pośrodku strumienia z rękami na biodrach i rozglądał się dookoła, bardziej zainteresowany swoim jastrzębiem niż poszukiwaniem żab. Celia, zostawszy na mostku, ciągle krzyczała:

– Znaleźliście coś?

Wreszcie Kitty zauważyła wśród kamieni na brzegu małą, oliwkowo-brązową żabkę. Z okrzykiem podniecenia delikatnie ją podniosła i zamknęła w dłoniach.

– Jack! – syknęła. – Znalazłam!

Jack badawczym wzrokiem zajrzał pomiędzy jej palce.

– Masz jedną? – Celia podniecona podskakiwała.

– To mała żabka – powiedział Jack. – Wiesz, że ona może zmieniać kolor, żeby wtopić się w otoczenie?

– Zrobi się różowa, żeby pasować do mojej skóry?

– Nie, zmiana barwy zajmuje jej ze dwie godziny. Może się zrobić żółta, jeśli dasz jej czas. Powinnaś ją nieść na podłożu z liści, a nie w gołej dłoni. Możesz zrobić jej krzywdę. – Pochylił się i zaczął rozglądać za odpowiednią podściółką.

Bridie badawczo, choć z pewną rezerwą, zaglądała w dłońe Kitty.

– Jest zimna i śliska? – zapytała.

– Wydaje się miękka i wilgotna – odparła radośnie Kitty. Jack pomógł jej usadować żabkę na liściach. – Musisz mi pomóc, Jack. Mam zajęte dłonie.

Jack roześmiał się i wziął Kitty na ręce.

– Ważysz tyle, co worek kartofli – skonstatował, zamaszystym krokiem pokonując zbocze. Bridie patrzyła na nich z zazdrością. Pragnęła, żeby Jack ją też wniósł na górę. Ale weszła sama i przyglądała się, jak Kitty pokazuje żabę Celi. Obserwując obie kuzynki, ich złączone głowy, jedną rudą, drugą blond, tak podobnie do siebie ubrane i mówiące z tym samym akcentem, poczuła przypływ otuchy, że Jack należy jednak do jej świata. Łączyła ich wspólna kultura, podczas gdy Kitty i Celia – Angielki i arystokratki – tak bardzo się od nich różniły. Jack mógł lubić Kitty, ale nigdy nie uzna jej za równą sobie.

– Bridie, znajdziesz coś, w co mogłybyśmy ją włożyć? – spytała Kitty, gdy dotarli do zamku; zrobiła minę niewiniątka, gdy mijał je jeden z lokajów. Wiedziała, że czekają na nią i Celię z lunchem, a ich siostry i matki prawdopodobnie już siedzą w salonie wraz z Adeline i babcią Celi, Augustą. Bridie zniknęła, by po chwili wrócić z pudełkiem po czekoladkach firmy Fry, które Beatrice kupiła u Harrodsa, a rodzina zjadła je wszystkie poprzedniego wieczoru.

– Gdzie zamierzasz ją schować? – spytała.

– Nie wiem – przyznała Kitty, wyściełając pudełko liśćmi. – Pomyślę o tym na górze.

– Leona i Vivien umrą ze strachu – podniecała się Celia. – Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć ich twarze.

– A ja nie mogę się doczekać, aż zobaczę Victorię i Elspeth. I mamę. Nie zapominajmy o mamie! – zachichotała Kitty. – Ona nienawidzi takich stworzeń. Może następnym razem złapiemy mysz i włożymy jej do łóżka?

Kitty i Celia umyły ręce, twarze, i najlepiej jak potrafiły poprawiły włosy, po czym przemknęły ukradkiem tylnymi schodami i przez kuchnię wślizgnęły się do holu. Kitty ukryła pudełko po czekoladkach za dużym wazonem z liliami.

– Będzie tu na razie bezpieczne – powiedziała z przekonaniem, biorąc Celię za rękę.

Weszły jak dwa niewiniątka do salonu; panie, siedzące na sofie i fotelach, gawędziły przy kieliszkach sherry, dziewczęta zgromadzone w kącie szeptały coś do siebie, a panowie stali, paląc, przy kominku.

– Ach, są nasze małe diabłatka. – Hubert popatrzył z nieskrywaną dumą na wnuczkę w sukience, której obrąbek był zapaćkany błotem, a jej nieposkromione włosy wymykały się spod wstążek. – Co tam nabroiliście?

Kitty stanęła przed nim.

– Nic, dziadku. Byliśmy w szklarni.

– Coś kombinowaliście, na pewno – dodał ze śmiechem Digby.

Maud zerknęła ze swojego miejsca na sofie na córkę i cień irytacji przemknął jej przez twarz, gdy zauważyła pobrudzoną sukienkę Kitty. Ale nim zdążyła się odezwać, Adeline wyciągnęła do wnuczki rękę.

– Kitty, moja droga, podejdź do mnie i opowiedz, co robiłyście przez cały ranek. Wyglądasz, jakbyś kopała dół w ogrodzie.

Zdając sobie sprawę z dezaprobaty matki, Kitty podeszła do babci, zerkając po drodze na swoje brudne buty.

– Panna Grieve zaniedbuje swoje obowiązki – rzekła Maud lodowatym tonem, zauważając nieskazitelny wygląd Celi.

Adeline się roześmiała.

– Nie sędzę, by to była wina biednej panny Grieve. Nie wyobrażam sobie, żeby panna Grieve mogła dotrzymać kroku tym dzieciom! Jak udało ci się tak pobrudzić, podczas gdy Celia pozostała czysta?

– Nie wiem – odpowiedziała Kitty, zerkając na Celię w niemej prośbie, żeby zachowała tajemnicę.

– Jesteś podobna do swojego dziadka – powiedziała Adeline. – On też potrafi wszędzie się ubłocić.

Beatrice włączyła się energicznie do rozmowy.

– Celia zamienia się w dzikuskę, ledwie postawi stopę w Castle Deverill. Dziwne, że jej sukienka jest czysta. Być może coś tu jest w powietrzu, ale każde lato w Irlandii to prawdziwa przygoda, prawda, Celio? Przygoda, której

niecierpliwie wyczekujemy.

– Podejrzewam, że ten rok będzie moim ostatnim – wtrąciła ponuro Augusta. Babcia Celi była przystojną kobietą z gęstymi siwymi włosami, spiętymi na czubku głowy, dużym, obwisłym biustem ukrytym pod warstwami czarnej koronki i szmaragdów oraz szerokimi, dotkniętymi artretyzmem biodrami. Wzrostem górowała nad mężem, który był drobnej postury i miał szczupłą twarz zdominowaną przez sumiaste białe wąsy. Ulubionym tematem Augusty nieodmiennie była śmierć, a niczyja śmierć nie interesowała jej bardziej niż własna. – Spędziłam całe życie – ciągnęła – myśląc o innych, zamiast o sobie i oto, co dostałam: żywot pełen rozczarowań i niespełnionych marzeń. Och, być znowu młoda! – westchnęła. – Gdy byłam młoda, myślałam, że starość nigdy nie nadejdzie, a tymczasem stoję nad grobem. – Nie zauważyła, że Leona i Vivien przewracają oczami. – Jeśli w środku nocy usłyszycie jakieś głosy, nie bójcie się, to tylko ja rozmawiam z Bogiem.

– Nonsens, Augusto. Przeżyjesz nas wszystkich – zapewniła ją Adeline, jak się zdawało, dobywając resztek cierpliwości.

– Powiedziałam Stoke'owi, że nie chcę żadnego zamieszania, gdy nadejdzie mój czas. Tylko zwykłe nabożeństwo w kościele w obecności bliskiej rodziny i przyjaciół.

– Nie sądzę, żeby to cię obchodziło, Augusto – zauważyła Adeline. – Będziesz już wtedy bardzo daleko.

– Moja droga Adeline! – Augusta położyła rękę na dłoni Adeline i ją uścisnęła. – Ufam, że dopilnujesz, żeby Stoke niepotrzebnie nie wydawał pieniędzy. Znasz go przecież. Jestem skromną kobietą, która nie potrzebuje pompy i ceremonii. Opuszczę ten świat cicho i skromnie, tak jak żyłam.

Poproszono do stołu i wszyscy zaczęli opuszczać salon. Elspeth i Victoria na czele, zaraz za nimi Leona i Vivien. Stoke sumiennie towarzyszył żonie, gdy podnosiła się, wspierając ciężko na lasce i nieco lżej na swym kruchym mężu. Kitty złapała Celię i wysforowała się do przodu, żeby odzyskać pudełko po czekoladkach. Ale gdy dotarły do holu, ku swemu przerażeniu odkryły, że bezcenne pudełko zniknęło.

– I co teraz? – syknęła Celia. – Może być wszędzie!

– Ktoś ze służby musiał je zabrać – westchnęła Kitty.

– Myślisz, że je wyrzucili?

– Nie wiem. O, rany! To bardzo źle się składa.

– Może spytamy kogoś?

– Chodźcie, dziewczynki – zawołała Beatrice, wkraczając do holu. – Założę się, że jesteście głodne. A może przekąsiłyście już coś w szklarni?

– Nie, mam. Jesteśmy bardzo głodne – odparła Celia.

Kitty z ociąganiem weszła do jadalni w towarzystwie Celi i Beatrice,

starając się nie myśleć o biednej żabie i obietnicy, którą złożyła Jackowi.

Dorośli usiedli na jednym końcu stołu, Hubert jak zwykle u szczytu, podczas gdy jego wnuk Harry po przeciwległej stronie w otoczeniu sióstr i kuzynek. Znudzony kobiecym towarzystwem, omawiał przez stół z George'em plany na popołudnie. Kitty gmerała widelcem w talerzu. Jej myśli krążyły wokół żaby. Victoria i Elspeth ciągle na nią zerkały i uśmiechały się znacząco, jakby o czymś wiedziały. Nagle zauważyła pudełko. Leżało dokładnie przed talerzem jej matki. Krew odpłynęła jej z twarzy, ponieważ zdała sobie sprawę, że siostry odkryły, co jest w środku, gdy weszły do holu. Napotkała spojrzenie Elspeth, ale Elspeth odwróciła wzrok, zanim Kitty zdążyła ją przygwoździć rozsierdzonym wzrokiem.

Dopiero przy deserze Maud sięgnęła po pudełko. Kitty zbladła, gdy matka spojrzęła na nie z zakłopotaniem.

– Doprawdy, Beatrice, rozpieszczasz nas tymi pysznościami. – I otworzyła pudełko.

Kitty wstrzymała oddech. Elspeth i Victoria uśmiechały się triumfalnie. Celia, która dopiero teraz zorientowała się, co się dzieje, oblała się rumieńcem. Wydawało się, że czas stanął w miejscu i ciągnął się w nieskończoność, gdy Maud wpatrywała się w żabę, jakby nie rozumiejąc, co widzi. Wreszcie westchnęła z głośnym świstem, a potem wydała przerażający okrzyk:

– Żaba!!!

Elspeth i Victoria udawały zaskoczenie, wpatrując się oskarżycielsko w Kitty. Harry próbował zdusić śmiech – nie mógł się powstrzymać, żeby nie uznać psoty swojej młodszej siostry za zabawną. Maud raptownie zatrzasnęła wieczko i głośno przełknęła ślinę, starając się opanować.

Bertie wstał. Przeszedł naokoło stołu i zabrał pudełko.

– Co to ma znaczyć? – warknął, patrząc ze złością na dzieci.

Do oczu Kitty napłynęły łzy. Wiedziała, że zaraz tajemnica się wyda, ponieważ Victoria i Elspeth tylko czekają, żeby z radością ją zdradzić. Zaciśnęła dłonie w pięści, przewidując ból, jaki sprawi jej szpicruta panny Grieve.

A wtedy Adeline się roześmiała, swobodnym, lekkim śmiechem, który przeciął pełną napięcia ciszę i przykuł uwagę wszystkich.

– Ależ ze mnie głuptas – oświadczyła. – Doprawdy, O'Flynn musiał pomyśleć, że to czekoladki. Dziś rano znalazłam tę żabkę w saloniku i pomyślałam, że trochę ją potrzymam. Czyż nie jest urocza?

Maud wpatrywała się w teściową.

– To twoja żaba? – spytała z niedowierzaniem.

– Maud, moja droga, tak mi przykro, że cię wystraszyłam. Daj mi ją, Bertie. Poproszę któreś z dzieci, żeby odniosło ją do ogrodu. – Adeline rozejrzała się, jakby rozważając, kogo poprosić o tę przysługę. Utkwiła jasne oczy w Kitty, która patrzyła na nią z miłością i wdzięcznością. – Kochana Kitty, ty lubisz zwierzęta.

Może znajdziesz jakieś dogodne wilgotne miejsce i ją tam wypuścisz? Naprawdę, nie powinnam trzymać jej w pudełku. Co za okrucieństwo z mojej strony! Celia, może pójdziesz z Kitty? Ale... wracajmy do pysznego deseru. Kto chciałby dokładkę?

Rozdział 8

Irlandzkie lato jest jedyne w swoim rodzaju. Powietrze wilgotne od delikatnego deszczu i gęste od zapachu wrzosów oraz róż ożywiają odgłosy morskich ptaków karmiących się bogatymi zasobami morza oraz bujną roślinnością tej żyznej ziemi. Ale gdy zaświeci słońce, robi się zaskakująco ciepło. Niebo po deszczu staje się przejrzyste, jasne i czyste, chmury się rozpraszają, ukazując baldachim w kolorze indygo. Zachodzące słońce roztacza feerię barw – od ostrego różu po ognistą purpurę – a w momencie gdy dzień gaśnie za horyzontem, zamienia wodę w płynne złoto. Można odnieść wrażenie, że nie ma nic piękniejszego na ziemi i w niebie.

Kitty, Celia i Bridie przez okno na samym szczycie zamku przypatrywały się morzu. Spektakl odebrał im mowę. Wrażliwe dziewczęce serca były poruszone nieziemską wspaniałością i poczuciem czegoś o wiele potężniejszego niż one same, czego jednak w jakiś niezrozumiały sposób były częścią.

Bridie myślała o swoim ojcu; zastanawiała się, czy gdzieś tam jest, w tym magicznym świetle. Nadal bolała nad jego śmiercią, czuła intensywną, palącą tęsknotę, ale tonące w oceanie słońce wypełniało jej duszę jakimś kojącym uczuciem, którego nie potrafiła do końca zdefiniować. Celia była zbyt młoda, żeby wiedzieć, co takiego było w zachodzie słońca, co wibrowało głęboko w niej, ale była urzeczona dziką i tajemniczą Irlandią. Przypomniała sobie Magiczny Krąg i w nagłym przypiływie emocji zapragnęła na zawsze opuścić Anglię i zamieszkać w tym zaczarowanym miejscu. Kitty, której zmysłowość rozwinięta była ponad wiek, kochała swoją rodzinną ziemię. Nie miała wątpliwości, że cokolwiek się wydarzy w jej życiu, gdziekolwiek rzuci ją los, zawsze będzie nosiła w sercu Castle Deverill – i nikt ani nic jej tego nie odbierze.

Słońce raptem znikło i niebo nad morzem poczerniało. Był początek września, dzień dorocznego Letniego Balu w Castle Deverill. Okazałe powozy, zaprzężone we wspaniałe konie i prowadzone przez stangretów w liberiach, turkotały na podjeździe. Pochodnie ustawione po obu stronach podjazdu oświetlały im drogę. Zamek, majestatyczny symbol brytyjskiej władzy, stał dumnie w poświacie księżyca, który właśnie rozpoczynał swą mozolną wspinaczkę po niebie. Dziewczynki pobiegły na drugą stronę i przystały za balustradą podestu nad frontowymi drzwiami, obserwując, jak damy w sukniach balowych i dżentelmeni we frakach wchodzą po schodach, witani uprzejmie przez gospodarzy, lorda i lady Deverillów.

Kitty i Celia miały na sobie swoje najlepsze sukienki z szerokimi wstęgami

opasującymi ich wąskie talie, a na delikatnych stopach błyszczące lakierki. Ich włosy zostały tak energicznie wyszczotkowane przez guwernantki, że lśniły jak wypolerowana miedź i złoto. Bridie spoglądała na koleżanki z mieszaniną podziwu i zazdrości. Wkrótce wróci do kuchni pod schodami, żeby pomóc matce. Miło było towarzyszyć Kitty i Celi, które namówiły ją, by poszła z nimi na górę, ale matka będzie się zastanawiać, gdzie jest, a jeśli zostanie przyłapana w prywatnej części zamku, znajdzie się w poważnych tarapatkach.

– Opowiecie mi o wszystkim jutro rano? – spytała z nadzieją.

– Szkoda, że nie możesz z nami zostać, żeby obserwować gości – powiedziała szczerze Kitty. – Prawda, Celio?

– Tak. Ty, Bridie, jesteś jak Kopciuszek. Musisz pracować w piwnicy, podczas gdy jej siostram wolno iść na bal.

– Gdybym miała swoją dobrą wróżkę, która mogłaby mnie z czarować... – westchnęła Bridie ze smutnym uśmiechem. Wzruszyła ramionami. – Ale nie mam.

– Za to masz piękną parę pantofli – pocieszyła ją Kitty.

Policzki Bridie zrobiły się purpurowe, gdy przypomniła sobie ukłucie bólu w momencie, gdy dwie dziewczynki drwiły z niej w szkole. „Popatrz, nadchodzi lady Deverill” – powiedziała jedna pełnym pogardy tonem. Na co druga dodała szyderczo: „Nie, to tylko Bridie w swoich podarowanych butach, jak przystało na nędzarkę!”. Od tamtej pory Bridie ani razu ich nie włożyła. Schowała je do pudełka jak bezcenny skarb.

– Piękne pantofle nie wystarczą, Kitty – rzekła cicho, po czym ruszyła korytarzem i zniknęła za drzwiami, za którymi znajdowała się kuchenna klatka schodowa prowadząca do suterenu.

W kuchni wrzało jak w ulu, pokojówki i lokaje kręcili się w tę i z powrotem, a pośrodku izby pani Doyle niczym królowa pszczoł wydawała polecenia, wprowadzając ostatnie poprawki do swoich dań. Sean, brat Bridie, zostawał w zamku na noc, żeby zadbać o ogień w kominkach we wszystkich pokojach. Bridie była zbyt młoda, żeby pomagać w prywatnej części zamku. Zająła miejsce przy zlewie i zaczęła wycierać naczynia.

Kitty i Celia ze schodów obserwowały dorosłych wchodzących do holu. Przyznawały punkty damom w pięknych sukniach i biżuterii, a odejmowały je tym, które ich zdaniem nie włożyły dostatecznego wysiłku w swoje kreacje. Pary wchodziły jedna po drugiej, witały się z lordem i lady Deverillami, a potem mieszały się z narastającym tłumem gości. Lady Rowan-Hampton w olśniewającej jedwabnej sukni w kolorze najjaśniejszego błękitu przybyła wsparta na ramieniu swego korpulentnego męża sir Ronalda. Kitty nagrodziła ją dziesięcioma punktami za suknię i kolejnymi dziesięcioma za diamenty i szafiry, które błyszczały na jej kremowym dekolcie. Grace, wyczuwając, że jest obserwowana, podniosła wzrok i uśmiechnęła się do dwóch małych szpiegów, ukrytych za balustradą podestu na

półpiętrze imponującej klatki schodowej.

– Lepiej uważajmy na siebie dziś wieczorem – powiedziała do męża. – Spójrz na te dwie małpki.

Sir Ronald podniósł swe wodniste oczy na schody i pomachał do Kitty.

– Moja droga, ja zawsze się pilnuję. To ty bywasz nieostrożna. Postaraj się dziś wieczorem nie wprawić mnie w zakłopotanie.

– Popatrz, są już Krzaczki. Jakże one są zabawne! Chodź, przywitamy się z nimi.

– Kolejne dwie głupie kobiety, z którymi muszę się przywitać – burknął sir Ronald. – Powinno się je wyrwać z korzeniami. Idź pociąć chwasty, ja poszukam sobie rozrywki gdzie indziej. – Rozdzielili się, lady Rowan-Hampton poszła do salonu, sir Ronald do biblioteki, gdzie Bertie bawił gości przy kominku, paląc cygara i pijąc whisky z kuzynem Digbym i jego kolegami z wyścigów.

– Czyż to nie uroczy bal, Grace? – zagadnęła Laurel, gdy dołączyła do nich lady Rowan-Hampton.

– Zamek wygląda pięknie w blasku tyłu świec – powiedziała Grace.

– Pięknie, po prostu pięknie – powtórzyła z przejęciem Hazel.

– Widziałyście już salę balową? Palili tam od trzech dni, żeby pozbyć się wilgoci – powiedziała Laurel. – O’Flynnowi i całej armii chłopaków zajęło trzy tygodnie, żeby zdjąć żyrandole i każdy dokładnie wypolerować. Tyle lichtarzy, wyobrażacie sobie? Ale efekt jest magiczny.

– Będę tańczyć aż do świtu – stwierdziła uszczęśliwiona Grace. – Ach, moja droga Maud, wyglądasz uroczo! – zawołała do Maud sunącej do nich przez tłum. Grace cmoknęła ją w policzek. – Wielkie nieba, jakaś ty zimna. Powinnaś ogrzać się przy kominku.

– Tak, naprawdę powinnaś – zgodziła się z nią Hazel.

– Dobrze się czujesz? – spytała Laurel, której okrągła twarz była mokra od potu. – Dla mnie tu jest nawet za gorąco. Wystarczająco, żebym zwiędła.

– Czuję się doskonale – odparła Maud.

– A gdzie są dziewczynki? – dopytywała się Hazel. – Nie widziałyśmy Victorii, odkąd wyjechała do Londynu, ale słyszałyśmy, że zrobiła tam furorę. Bez wątpienia niebawem usłyszymy o ślubie.

– Och, uwielbiam śluby! – oświadczyła radośnie Laurel. – Spodziewam się, że zdobędzie serce jakiegoś angielskiego arystokraty.

Maud westchnęła melodramatycznie.

– I opuści Irlandię, tak jak one wszystkie. Zostanę sama, przekonacie się.

– Może wyjdzie za Irlandczyka – pocieszyła ją Grace. – Nigdy nie wiadomo, nie brakuje tu dziś prawdziwych przystojniaków.

– Ale oni są biedni – stwierdziła Maud, rozglądając się po salonie i zatrzymując wzrok na braciach DeCourseyach, wysoko urodzonych

i przystojnych, ale bez odpowiedniego majątku. – Brakuje im pieniędzy – podstawowego przymiotu w oczach takich dziewcząt jak Victoria czy Elspeth.

– Tom i William DeCourseyowie. – Grace podążyła za spojrzeniem Maud. – Proszę, dwaj najlepsi myśliwi w Irlandii, a do tego z zamkiem.

– Ale mają za mało ziemi – powiedziała Maud lekceważąco. – I za mało pieniędzy, żeby starczyło dla następnej generacji. Tom odziedziczy Dunashee Castle, William pewnie ucieknie do Ameryki czy Australii, i dzieciom Toma, gdy jego spadek się wyczerpie, co niechybnie nastąpi, pozostaną tylko zamkowe mury. Nie, zdecydowanie wolę bogatych Anglików dla moich córek.

– Ale przecież sama poślubiłaś Irlandczyka – zauważyła cicho Grace. – I źle na tym nie wyszłaś.

– Jesteśmy ostatnim pokoleniem, które może się cieszyć godnym życiem. – Maud poruszyła długimi palcami w powietrzu. – Harry pewnego dnia zostanie lordem Deverillem, ale nasza ziemia się kurczy, dzierżawcy, którzy nam pozostali, rzadko płacą rentę, a Hubert jest zbyt pobłażliwy. Na pewno mają go za głupka. To tylko kwestia czasu, zanim się zbuntują...

Grace się roześmiała.

– Och, są na to zbyt leniwi!

– Bertie będzie tak samo niekompetentny jak jego ojciec. Bardziej go interesują polowania i łowienie ryb niż ślęczenie nad rachunkami. Myśli, że ma schowany garnek złota na końcu tęczy i że słońce nigdy nie zgaśnie. Na litość boską, zastanawia się nad kupnem nowego psa myśliwskiego, a ma ich już tuzin! Harry'emu nic nie pozostanie, a ja będę siedzieć na swojej podniszczonej sofie i powtarzać: „A nie mówiłam”. Ale wtedy będzie już za późno. Tak, mam nadzieję, że moje córki poślubią Anglików, ponieważ nic tu dla nich nie zostanie.

Laurel i Hazel, zazwyczaj tak radosne i uśmiechnięte, patrzyły zmieszane na Maud. Nie wiedziały, co powiedzieć ani jak zrozumieć ten gorzki wybuch.

– Cóż, to niezbyt wesołe – odezwała się Grace, usiłując obrócić w żart ponury monolog przyjaciółki. – Mam nadzieję, że moje dziewczynki wyjdą za Irlandczyków, ponieważ Irlandia jest najpiękniejszym miejscem na ziemi. Za żadne skarby bym jej nie opuściła.

Krzaczki znów się rozpromieniły.

– Ani my! – wypowiedziały razem podekscytowanym głosem.

– Daj spokój, Maud, chodźmy porozmawiać z Roddym Fitzgeraldem. Słyszałam, że przyjechał na lato i zatrzymał się u Claremontów. To taki uroczy facet...

Grace i Maud zniknęły w tłumie.

– O co jej właściwie chodziło? – spytała Laurel.

– Ona chyba nie jest szczęśliwa – odparła Hazel.

– Maud urodziła się nieszczęśliwa – zauważyła Laurel. – Moim zdaniem

zawsze była zimna.

– Tak, rzeczywiście, bardzo zimna. – Hazel westchnęła. – Biedny Bertie. Mam nadzieję, że znajdzie pocieszenie gdzieś indziej.

– Moja droga, na tym właśnie polega problem. Gdyby znajdował pocieszenie w domu, jego żona nie byłaby tak rozgoryczona.

*

Kitty i Celia doskonale się bawiły, wędrując po pokojach. Dorośli, których znały, zachwycali się nimi, a świeżo poznani uznali je za urocze, małe laleczki i też byli nimi zauroczeni. Kolację podano w długiej galerii na górze, gdzie stoły na dwieście osób ustawiono wśród wielkich, oprawionych w złote ramy portretów przodków, począwszy od Bartona Deverilla, pierwszego lorda Deverill w Ballinakelly. Dzieci posadzono razem na końcu stołu, ponieważ Adeline nie uznawała zasady, że dzieci należy trzymać poza zasięgiem wzroku. Victorię posadzono pomiędzy dwoma chłopcami w jej wieku, których znała od dzieciństwa. Starali się nawiązać rozmowę z dziewczyną, która straciła zainteresowanie Irlandią i obrała za cel okazałe domy i zamki w Anglii. Jej kuzynki Vivien i Leona były uszczęśliwione, mając za towarzystwo pełnych werwy braci DeCourseyów, którzy zabawiali je opowieściami o polowaniach; przy głównym daniu zgodziły się wyruszyć z nimi nazajutrz na konną przejażdżkę. Elspeth zawsze uważała Petera MacCartaina za niebywale atrakcyjnego. Świetnie grał w tenisa, doskonale jeździł konno, ale cóż, jej matka nieustająco powtarzała, że nigdy nie zgodzi się na zięcia Irlandczyka, chyba że byłby to markiz Waterford. George i Harry spotkali przyjaciół ze szkoły, którzy wrócili do Irlandii na wakacje, i prawie cały czas dyskutowali o krykiecie.

Kolacja się przeciągała; pod koniec dzieci były już trochę znudzone. Świece się wypaliły i zabrano talerze. O'Flynn najwyraźniej nie szczenił sobie wina, ponieważ poruszał się jak na statku podczas sztormu. W końcu ze znajdującej się na dole sali balowej dobiegły dźwięki muzyki i zwabieni nią dorośli zaczęli jeden po drugim, jak szczury z Hameln, odchodzić od stołu. Bracia DeCourseyowie zniknęli z Vivien i Leoną, Elspeth zgodziła się zatańczyć z Peterem, ale Victoria z wdzięcznym ziewnięciem odrzuciła wszystkie propozycje. Kitty i Celia pobiegły na dół, żeby obserwować tańce. Sala balowa wyglądała cudownie, oświetlało ją setki świec, a ich złote płomienie odbijały się w lustrzanych ścianach. Kryształowe żyrandole lśniły, jakby zrobiono je z diamentów Digby'ego. Mała orkiestra siedziała na podwyższeniu, a muzyka wznosiła się i opadała w czarownym walcu. Pary ruszyły na parkiet i zaczęły wirować po sali w szalonym kalejdoskopie kolorów. Kitty i Celia przyglądały się temu z zachwytem, tęskniąc za dorosłością, żeby też tańczyć w takt muzyki.

– Elspeth ma pląfusa – powiedziała ze śmiechem Kitty, obserwując, jak jej

siostra ciężko porusza się w tańcu.

– Vivien też nie lepsza – dodała Celia.

– Och, spójrz na Krzaczkę! – Kitty wskazała swe cioteczne babcię, które tańczyły z Rupertem, stryjem Kitty, oraz z naburmuszonym sir Ronaldem. – Tańczą lepiej od wszystkich!

Dziewczynki przyglądały się przez dłuższą chwilę. Kitty zauważyła, że ręka Petera MacCartaina opadła niebezpiecznie nisko na plecach Elspeth. Twarze kobiet były zarumienione od szampana, mężczyźni zaś całkiem czerwoni i w nieco już rozchełstanych strojach, palili cygara, wypełniając powietrze słodkim zapachem tytoniu. Nikt już nie zwracał uwagi na dzieci; równie dobrze mogły być niewidzialne, gdy tak kręciły się wokół, łowiąc strzępy rozmów i chichocząc, gdy usłyszały coś nieprzyzwoitego.

Było dobrze po północy, gdy Kitty i Celia znużone podglądaniem dorosłych, postanowiły udać się na górę. Ze świecami w dłoniach przemykały przez pokoje jak para myszek. Nagle na końcu korytarza Kitty spostrzegła jakąś ciemną postać. Zaciekawiona przyspieszyła kroku; zasapana Celia podążała tuż za nią. Muzyka cichła, w miarę jak zagłębiały się w zakamarki zamku. Za każdym razem, gdy Kitty czuła, że zbliża się do ducha, on znowu zniknął.

– Pospiesz się!

– Po co ten pośpiech? – jęknęła Celia.

W chwili gdy Celia już chciała stchórzyć, Kitty przystanąła. Duchem, którego wyraźnie teraz widziała, był Egerton Deverill, syn Bartona. Ze wszystkich Deverillów, którzy utknęli na ziemi, Egertona lubiła najmniej. Miał w sobie jakąś złośliwą i złowieszczą energię. Stojąc przy drzwiach, spod których wydobywała się smuga światła, wpatrywał się w Kitty swymi ciemnymi oczami z grymasem niezadowolenia na twarzy.

Celia położyła dłoń na ramieniu Kitty.

– Ktoś tam jest.

Kitty szeroko się do niej uśmiechnęła.

– Nie jesteś ani trochę ciekawa?

– Boję się!

Z ciemności wyłonił się Barton Deverill. Kitty wstrzymała oddech. Barton zaczął robić wymówki swojemu synowi, ale Kitty nie mogła ich usłyszeć; wyczuwała tylko narastającą gniewną atmosferę i ogarniający je teraz chłód. Wiedziała, że Barton Deverill nie chce, żeby zaglądała do środka.

Kitty była zbyt odważna, by w ogóle przez myśl jej przeszło, że może mieć kłopoty. Gdy Celia zaczęła się wycofywać, Kitty, wiedzona nieodpartą ciekawością, przekręciła gałkę i uchyliła drzwi. To, co zobaczyła, było tak straszne, że jej brawura spłonęła jak torf w ogniu. Jej ojciec na łożu z baldachimem, z opuszczonymi spodniami, wbijał się w Grace, która obejmowała go nogami

w pasie, opierając kostki o jego biodra. Nawet nie zdjęła butów. Kitty poczuła obrzydzenie. Barton wślizgnął się przez ścianę. W jednej chwili znalazł się przy kominku. Szybkim ruchem ręki zrzucił na podłogę porcelanową pasterkę. Figurka spadła z hukiem i roztrzaskała się na drobne kawałki.

Kitty nie chciała widzieć, co dalej się stanie. Wycofała się i pobiegła korytarzem, a Celia tuż za nią. Nie oglądała się za siebie. Czowała mdłości z powodu tego, czego przed chwilą była świadkiem, i pragnęła znaleźć się jak najdalej od tego pokoju.

*

Bridie siedziała na krawędzi łóżka, zapatrzona w księżyc za oknem. Okrągły i gruby, wyglądał, jakby był w ciąży z wieloma małymi księżycami. Obserwowała go przez chwilę, zafascynowana jego tajemniczością. Wysoko z nieba na pewno można zobaczyć pół świata. Kraje, których Bridie nigdy nie odwiedzi, ludzi, których nigdy nie spotka, morza, po których nie będzie żeglować. Czy spędzi życie tu, w Ballinakelly, podążając wydeptaną ścieżką swej matki? Czy istnieje dla niej jakaś inna przyszłość? Czy zdoła znaleźć klucz, żeby otworzyć ukryte drzwi? Czy powinna zacząć go poszukiwać? Ale od czego ma zacząć?

Czy po skończeniu szkoły ma podjąć pracę u Deverillów, tak jak jej matka, aż zestarzeje się i zmarnieje jak ona? Czy tylko tego może oczekiwać od życia? Czy znajdzie męża tu, w Ballinakelly, założy rodzinę i będzie patrzeć, jak jej córki podążają tą samą ścieżką pełną znoju? Bridie zamrużyła oczami, po jej policzku potoczyła się łza. Kitty uchyliła przed nią drzwi do świata, do którego nigdy nie będzie należała, a przez to jej własny świat stracił coś ze swojej siły przyciągania. W sercu zakiełkowało jej ziarno buntu. Kitty stąd wyjedzie, tak samo jak Victoria. Twierdzi, że kocha Irlandię, ale pewnego dnia pojedzie do Londynu z Celią i poślubi Anglika. Stopniowo przepaść pomiędzy nimi będzie się pogłębiała, aż w końcu Kitty stanie się dla niej nieosiągalna. Kitty, Bridie i Celia, wszystkie urodziły się w tysiąc dziewięćsetnym roku, ale Bridie była przekonana, że liczba dziewiątek nie odmieni jej losu.

Bridie otworzyła pudełko i wyjęła czarne pantofle z dużymi srebrnymi kłamrami, które podarowała jej lady Deverill. Przykładając je do piersi, przysięgła sobie: „Pewnego dnia, gdy dorosnę, opuszczę Ballinakelly i zrobię coś ze swoim życiem. Znajdę klucz do innego świata i stąd wyjadę. A gdy wrócę, włożę swoje pantofelki i już nikt nie nazwie mnie nędzarką. Biorę Boga na świadka, że nikt nie będzie mną pogardzał, ponieważ stanę się damą”.

Część druga

Rozdział 9

Hrabstwo Cork, Irlandia, listopad 1914

Po wybuchu wojny Maud, narzekając na jakąś tajemniczą przypadłość, położyła się do łóżka, i nie podnosiła się z niego tygodniami. Pozbawiona męża i ukochanego syna, którzy walczyli we Francji przeciwko Niemcom, czuła się osamotniona w Hunting Lodge. Towarzystwo Elspeth, teraz dwudziestoletniej i ciągle niezamężnej, pomimo zakończonego umiarkowanym sukcesem sezonu w Londynie, oraz krnąbrnej, czternastoletniej Kitty stanowczo jej nie wystarczało. Victoria, dziś już hrabina Elmrod, poślubiła Erica, starszego od niej o osiemnaście lat nudnego brytyjskiego arystokratę o cofniętym podbródku, który posiadał okazały dom na wsi w Kent oraz białą rezydencję w Belgravii, i wiodła życie, o jakim Maud sama kiedyś marzyła. Nie mogła zaprzeczyć, że zazdrości córce, chociaż jej mąż też wyjechał na wojnę i Victoria obawiała się jego utraty, a co za tym idzie materialnego statusu, który jej zapewniał. Jak do tej pory pozostawała bezdzienna, co dla żony hrabiego stanowiło powód do wielkiego zmartwienia.

Oprócz zdenerwowania z powodu wojny z Niemcami Maud dręczyła ustawiczna niepewność, ponieważ przyszło jej żyć w kraju, którego ludność prowadziła własną wojenkę przeciwko brytyjskim ciemieżycielom. Sporadyczne ataki przeprowadzane to tu, to tam przez irlandzkich nacjonalistów, rzucających wyzwanie Zjednoczonemu Królestwu, wprowadzały atmosferę niepokoju i niepewności. Dlatego Maud wołała zakopać się głębiej pod kołdrą i wspominać stare, dobre czasy, gdy Imperium Brytyjskie rządziło niepodzielnie. Miała nadzieję, że szaleńcze dążenie do ustanowienia *Home Rule*[4] w końcu wygaśnie; ostatecznie Irlandczycy byli niecywilizowani i potrzebowali silnej ręki. Czyż nie rozumieli, co dla nich dobre? Jakże pragnęła, żeby Bertie był w domu i ją uspokoił! Na teściu bowiem zupełnie nie można było polegać z jego nieracjonalnymi tyradami na temat „krwawych, cholernych papistów” i narastającą paranoją, że czyhają w lesie na dogodną chwilę, by sforsować mury i wygnać ich z zamku. Odgłosy strzałów odbijających się echem po posiadłości nie pozwalały Maud poczuć się ani trochę bezpieczniej, a prawdę mówiąc, znacznie pogarszały jej nastrój.

I na dokładkę Kitty. Wysiłki panny Grieve, żeby ją nieco utemperować, spełzły na niczym. Maud nie była w stanie pokonać strachu, jaki ją ogarniał za każdym razem, gdy Kitty wpatrywała się w nią tymi wielkimi i dziwnymi oczami –

oczami nieznanym – i poczucia winy, jakie pojawiło się wraz ze świadomością, że jej brak uczucia do tego dziecka jest jednak sprzeczny z naturą. Fakt, że Kitty od dawna zdawała sobie sprawę z uczuć matki, aczkolwiek nie znała ich powodu, tylko potęgował jej wstyd. Gdy tak leżała w łóżku, rzucając się i wierząc w swej niedoli, zaczynała gorączkować i mieć urojenia. Wołała Eddiego, co wprawiało służbę w konsternację, ponieważ nie wiadomo, kim ów Eddie jest, i krzyczała: „Nie chcę tego dziecka!”, co podsycalo plotki w kuchni. Wmawiała sobie, że gdyby nie dotkliwy ból i dyskomfort, których doświadczyła, gdy dziecko opuszczało jej ciało, mogłaby przysiąc, że Kitty nie jest jej córką. Kitty należała do Adeline, to pewne, rozumowała, a w jej pomieszonym stanie umysłu wydawało się to całkowicie logiczne: w taki czy inny sposób jej teściowa użyła czarów, żeby stworzyć swoją replikę.

Gdy Maud wydobrzała na tyle, aby móc podróżować, zabrała Elspeth i wyjechała do Anglii do Victorii, zostawiając Kitty w ukochanym zamku z dziadkami i znieawidzoną guwernantką. Kitty była zachwycona. Gdy matka zeszła jej z drogi, mogła żyć bez żadnych ograniczeń. Nie będzie już chodzenia w domu na palcach ani mówienia ściszym głosem z obawy, że zakłóci się jej spokój, napiętej atmosfery, gdy służba biegła w górę i w dół po schodach z gorącą herbatą, wrzątkiem, kompresami czy dodatkowymi kocami; nie będzie nocnych pobudek, soli trzeźwiących oraz wiecznego niepokoju, że wysiłki ich wszystkich pójdą na marne i zasługują tylko na ostre upomnienie, zwłaszcza że w chorobie Maud była jeszcze mniej przyjemna niż zwykle.

Zamek żył leniwym, unormowanym rytmem minionej epoki. Służący byli starzy i zgrzybiali, a przez lata jej dziadkowie stali się niewolnikami swoich zwyczajów. Regularne tykanie zegara w holu było uspokajającym dźwiękiem, przeszywającym ciszę jak delikatne stukanie kijem o zakurzoną podłogę. Niewidzialna obecność duchów nadawała zamkowi aurę beczasowości, jakby on też znalazł się poza światem, i Kitty wtopiła się w ten klimat niczym kot w puchową pierzynę po wylegiwaniu się na twardej kamiennej podłodze.

Tęskniła za ojcem, ale dodająca otuchy męska obecność dziadka, okazywane jej przez niego uczucie oraz pobłażliwość sprawiały, że brak Bertiego stał się łatwiejszy do zniesienia. Hubert i Adeline lubili towarzystwo; wieczorami często zjawiały się Krzaczkki, które siadywały wokół obitego zielonym sukniem stołu, aby popijać sherry i grać w wista, oraz sąsiadki i ich mężowie, którzy byli tak starzy, że walczyli jeszcze w wojnach burskich. Mężczyźni, paląc cygara i popijając whisky, rozprawiali o wojnie i wszyscy zgadzali się, że zakończy się przed świętami Bożego Narodzenia, a jeśli nie, to najdalej na wiosnę. A w kwestii *Home Rule* byli przekonani, że ustawa nie przejdzie przez Izbę Lordów; zatem jeśli wojna jej nie pogrzebie, to lordowie na pewno, miejmy nadzieję, że na zawsze. Dwustu Irlandczyków zaciągnęło się do irlandzkich regimentów, aby służyć Wielkiej

Brytanii. Większość ludzi w Irlandii popierała wojnę tak samo jak Anglicy. Krzaczkę, opierając się na opinii pastora Daunta, wyrażały przekonanie, że pomimo okropności wojny, szczęściem w tym całym nieszczęściu będzie ściślejsze połączenie Irlandii z Anglią, a marzenie o autonomii, która zdaniem pastora od początku była mirażem, rozplynie się jak poranna mgła.

Kitty lubiła grać w wista. Świetnie sobie radziła przy zielonym stoliku i niewiele brakowało, żeby zaczęła wygrywać z dziadkiem w szachy. Malowała wraz z babcią, która z cierpliwością i humorem uczyła ją również gry na fortepianie, krzątała się w szklarniach, brała udział w polowaniach w Ballinakelly i co najmniej dwa razy w tygodniu jeździła konno, równie odważnie i nie bacząc na kaprysy pogody jak młodzi mężczyźni. Panna Grieve nadal ją uczyła, ale od dawna zrezygnowała z kontrolowania samowolnej podopiecznej. Kitty wyrosła na nieustraszoną młodą kobietę i panna Grieve nie mogła już sprawować nad nią władzy za pomocą szpicruty, tak samo jak nie potrafiła przekonać jej, że jest Angielką.

Kitty buńczucznie uważała się za Irlandkę. Pomimo że bardzo kochała dziadka, nie mogła ani zrozumieć, ani zaakceptować jego niechęci do katolików. Spędziła zbyt dużo czasu z Bridie i Jackiem, żeby nie zdawać sobie sprawy z prawdziwej sytuacji irlandzkiej biedoty i nie rozumieć powodów, dla których irlandzcy nacjonałści chcą się rządzić sami.

Nie tylko Kitty broniła Irlandczyków. Problem polegał na tym, że ich sojusznikiem była również kobieta, którą Kitty pogardzała od czasu, gdy przyłapała ją in flagranti ze swoim ojcem w pamiętną noc Letniego Balu. Kitty podziwiała kiedyś Grace Rowan-Hampton niemal tak samo, jak podziwiała swoją babcię Adeline. Zachwycała się jej urodą, olśniewał ją jej urok i pochlebiało jej, że Grace poświęca jej uwagę. Gdy przez uchylone drzwi zajrzała do sypialni i zobaczyła ją w tak kompromitującej, a wręcz niegodnej pozycji, przeżyła dotkliwie rozczarowanie. Pomimo że nic nie wiedziała o seksualnych relacjach pomiędzy mężczyzną i kobietą, wystarczająco często była świadkiem kopulacji zwierząt, żeby zrozumieć, co jej ojciec robił z Grace. A to wzbudziło w niej odrazę i strach. Nie obwiniała jednak ojca; całkowitą winą obarczyła Grace. To ona go uwiodła, zwabiła do ciemnej alkowy w zamku i dopięła swego niegodziwego celu.

Grace nie tylko uwiodła jej ojca, ale również zdradziła jej matkę, która uważała ją za przyjaciółkę. A o przyjaźni Kitty wiedziała wszystko. Pomimo że Kitty nie żywiła głębokiego uczucia do Maud, zwyciężyło w niej poczucie lojalności; ostatecznie, czy to jej się podobało czy nie, to była jej matka. I choć nie miała życiowego doświadczenia, by zrozumieć skomplikowane podłoże goryczy swej matki, rozumiała zdradę. Miała mocny zapach jak cebula, i wisiał on w powietrzu za każdym razem, gdy lady Rowan-Hampton przyjeżdżała z wizytą, co, zanim Maud wpadła w depresję, zdarzało się aż trzy razy w tygodniu. Teraz,

gdy Bertie był we Flandrii, a jego żona powracała do zdrowia w Anglii, Grace nie przyjeżdżała tak często. Kitty widywała ją na polowaniach, ale w jakiś sposób udawało jej się unikać z nią bezpośredniego kontaktu. Sir Ronald wraz z synami również był na wojnie, ale Grace dzielnie znosiła swe nieszczęście. Czarna amazonka korzystnie podkreślała jej jasną skórę i różowe policzki, a spod czarnej woalki sięgającej tuż poniżej nosa szerokie i zmysłowe usta uśmiechały się mężnie na przekór troskom.

Kitty nauczyła się zamazywać w pamięci wszelkie miłe wspomnienia związane z Grace. Zastanawiała się, czy uprzejmość Grace w stosunku do niej nie była wykalkulowana, żeby wygrać uczucie jej ojca. Czy naprawdę darzyła Kitty czułością? Od Letniego Balu sprzed czterech lat Kitty jej unikała, co nie było trudne, zważywszy że matka wołała, żeby trzymała się z dala od towarzystwa. Gdy spotykały się przy okazji rodzinnych kolacji, polowań, partii tenisa czy krokieta, Kitty witała się z nią uprzejmie, po czym umykała tak szybko jak to możliwe. Trudno powiedzieć, czy Grace wyczuwała ten dystans. Ale w ten chłodny listopadowy poranek podczas dorocznego polowania na lisa, gdy myśliwi zebrali się przed zamkiem na szklaneczkę tarninówki lub porto, znalazła się obok Grace, zanim zdążyła spać konia.

– Moja droga, jak tyś wyrosła! – zawołała Grace, a jej miękkie brązowe oczy przyglądały się twarzy Kitty uważnie i z czułością, którą Kitty uznała za nieszczerą. – Masz jakieś wiadomości od Harry’ego?

Kitty uniosła podbródek.

– Harry się nie odzywa, co mamę odwodzi od zmysłów, za to tata pisze, że bardzo tęskni za domem. Brakuje mu mamy – skłamała, mając nadzieję, że zrobi tym przykrość Grace, ale twarz starszej kobiety niczego nie zdradziła.

– Ja też bardzo tęsknię za Ronaldem i moimi chłopcami. Mówią, że wojna skończy się na święta, ale nie jestem przekonana. Czuję, że potrwa o wiele dłużej, niż myślimy. Modlę się za nich i staram się żyć możliwie normalnie. Sztuka polega na tym, żeby znaleźć sobie jakieś zajęcia. – Kitty zauważyła, jak mizernie wygląda twarz Grace pod woalką. Kości policzkowe wystawały, była też znacznie szczuplejsza. Straciła wiele ze swego blasku. – Powiedz mi, jak się ma twoja droga mamusia?

– Lepiej, dziękuję – odpowiedziała spięta Kitty.

– To dobrze. Jej też mi brakuje. – Uśmiechnęła się lekko. – Pamiętasz ten dzień w kościele, gdy powiedziałaś, że wygląda jak łasica?

Kitty zeszytniała, czując, że Grace usiłuje przełamać lody.

– Od tamtej pory trochę urosłam – odparowała bez ogródek. Nienawidziła się za swoją nieuprzejmość. Jakaś część niej, gdzieś głęboko, nadal pragnęła uczucia Grace.

Lady Rowan-Hampton zmarszczyła brwi.

– Ta straszna wojna! – nagle wykrzyknęła, odwracając głowę. – Przynosi nam tyle cierpień. Co jest ważniejsze od ludzi, których kochamy? – Westchnęła, a gdy znów spojrzała na Kitty, jej brązowe oczy rzuciły gniewne błyski. – Miłość do naszego kraju, otóż to! Tak, do Irlandii. Przychodzimy, odchodzimy i nie pozostawiamy po sobie nic, oprócz wspomnień w umysłach naszych dzieci, ale one też w końcu bledną i odchodzą, jakbyśmy nigdy nie żyli. Ale Irlandia pozostanie wraz z całym swoim pięknem i całą swoją tragedią. Mam nadzieję, że wygramy tę wojnę, ale tu, na naszej ziemi, toczymy odwieczną walkę, o której nie możemy zapominać. Wiem, że się ze mną zgadzasz, Kitty. Pod tym względem jesteśmy jak siostry, nieprawdaż?

Kitty była zaskoczona nagłym wybuchem Grace. Na wiedziała, jak zareagować. Zazwyczaj tak błyskotliwa, nie potrafiła znaleźć słów.

– Jesteś wobec mnie bardzo chłodna, moja droga – ciągnęła Grace. – Doprawdy nie wiem, czym mogłam cię urazić...

Teraz Kitty popatrzyła na nią uważnie, a koncept jej wrócił momentalnie jak smagnięcie biczem.

– Skąd pani może wiedzieć, czy podzielam pani poglądy polityczne, lady Rowan-Hampton?

– Twój drogi ojciec mi o tym wspomniał, oczywiście z troską, ponieważ sam jest lojalny wobec kraju i Korony. – Roześmiała się pobłażliwie, zdradzając wyraźną i nieprzemijającą sympatię do Bertiego.

– W takim razie powinna pani dokładnie wiedzieć, czym mnie pani uraziła. – Kitty lekko pociągnęła nosem. – Mam nadzieję, że będzie pani dobrze się bawić na polowaniu, lady Rowan-Hampton. Jest wystarczająco zimno, żeby psy podjęły trop, ale ziemia jest twarda, a więc musimy uważać, żeby utrzymać się w siodle.

– Proszę, Kitty, mów mi Grace... – Ale Kitty zdążyła już lekko ścisnąć konia łydkami i odjechać.

Jakiś czas później siedziała w Hunting Lodge w bibliotece ojca, którą po wyjeździe matki dwa miesiące temu zamknięto, a meble przykryto pokrowcami przed kurzem. Nadal pachniało tu dymem z cygar i wilgocią. Rozpaliła w kominku, który w zimnym powietrzu trzaskał niemrawo, i otuliła ramiona kocem, czekając na Bridie i Jacka, którzy obiecali przyjść po podwieczorku. Nikt ich tutaj nie znajdzie.

Czuła się przybita. Konfrontacja z Grace Rowan-Hampton sprawiła jej przykrość i musiała ciągle przypominać sobie scenę w sypialni podczas Letniego Balu, żeby nie zmiękło jej serce i nie ogarnęły jej wyrzuty sumienia. Nie czuła się samotna; miała przecież Bridie i Jacka, a także dostawała listy od Celii wystarczająco często, żeby ich przyjaźń trwała, żywa i silna. I nie nudziła się. Ale czegoś jej brakowało. Dnie miała wypełnione, niemniej, szczególnie w nocy, gdy gwiazdy świeciły jasno, pragnęła czegoś, czego nie potrafiła określić, i z tej

osobliwej tęsknoty wpadała w posepny i niespokojny nastrój.

Drzwi otworzyły się, weszli Jack i Bridie, a wraz z nimi wtargnął podmuch lodowatego powietrza. Zajęli swoje zwykłe miejsca, Jack w skórzanym fotelu Bertiego, Bridie na sofie obok Kitty, starannie ubrana w czarną sukienkę i biały fartuszek, ponieważ teraz pracowała w zamku jako pomoc kuchenna. Jack powoli palił przy kominku. Miał już szesnaście lat, był wysoki, przystojny, rozpiełała go zadziorna, buntownicza energia, podsycana patriotycznymi rozmowami, które słyszał u O'Donovana. Oczywiście był za młody, żeby walczyć na wojnie, ale nawet gdyby był starszy, opierałby się werbunkowi, i miał pretensje do ojca, że zaciągnął się do Królewskiego Pułku Fizylierów Irlandzkich.

– Masz ochotę na łyk tarninówki? – spytała Kitty, podając Jackowi piersiówkę, którą jej ojciec zabierał na polowania.

– Chętnie – odparł z uśmiechem Jack. Spojrzał na srebrną butelkę, podziwiając herb Deverillów wryty na froncie wraz z inicjałami Bertiego Deverilla. – Ładna – powiedział, z uznaniem kiwając głową.

– W środku jeszcze ładniejsza – zażartowała Kitty, przyglądając się, jak Jack pociąga duży łyk nalewki.

Podsunał piersiówkę Bridie, ale ta gwałtownie pokręciła głową.

– No, spróbuj! Tylko odrobinę. To jest słodkie – zachęcał.

Bridie nie była w stanie odmówić Jackowi, którego podziwiała najbardziej ze wszystkich. Przyłożyła do ust piersiówkę, którą zaledwie przed chwilą dotykały usta Jacka. Przełknęła nalewkę i zakaszła.

– Ależ pali! – Zaczerwieniła się, Kitty i Jack wybuchnęli śmiechem.

– Przyzwyczaisz się – powiedział Jack, zabierając jej piersiówkę i pociągając kolejny łyk. – Powiedz nam, Kitty, jak się ma urocza panna Grieve?

– Tak samo urocza jak zawsze, dziękuję, Jack!

– Dlaczego jej się nie pozbędziesz? Właściwie, jak długo musisz mieć guwernantkę?

– Dopóki nie dorosnę.

– No, to jeszcze długo potrwa.

– Tak, ale daję sobie z nią radę. Myślę nawet, że ona trochę się mnie boi.

– Zuchwała z ciebie dziewczyna – przyznał Jack z błyskiem w jasnych oczach.

– Jeśli ten zamek jest nawiedzony, tak jak mówią – wtrąciła Bridie, dumna, że zna sekret Kitty – dlaczego nie uciekła za strachu? Ja na pewno bym zwała, gdybym zobaczyła ducha.

Kitty zmarszczyła brwi, przypominając sobie, jak Egerton, syn Bartona, zaprowadził ją do sypialni tamtej nocy podczas Letniego Balu. O tym, co tam zobaczyła, nie powiedziała ani Bridie, ani Celi. Od tamtej pory nie tęskniła do spotkań z duchami. Ale Bridie miała rację. Jako zadośćuczynienie za okrutny żart

syna Barton powinien coś dla niej zrobić...

– Ona śpi mocno jak stara sowa – powiedziała Kitty złośliwie. – Nic nie zdoła jej obudzić, nawet rozrabiający duch.

– Jeśli chcesz, mogę się wspiać po drabinie i ją wystraszyć – zaproponował Jack, wypuszczając dym kącikiem ust. – Powiedz, gdzie jest okno jej sypialni, a zajmę się resztą.

Kitty zmrużyła oczy. Pomysł Jacka był wart rozważenia.

– W porządku – zgodziła się z uśmiechem. – Tylko nie zrób jakiegoś głupstwa. – Opisała okno wychodzące na labirynt żywopłotów. – Jeśli dziadek cię zobaczy, zastrzeli cię. Nie żartuję!

Bridie pobladła.

– To nie jest dobry pomysł, Jack.

– Doskonały trening – odparł.

– Do czego? – zacięła się Kitty.

– Zamierzam dołączyć do Irlandzkich Ochotników[5] i walczyć za naszą wolność.

Kitty wytrzeszczyła oczy. Bridie wyglądała na przestraszona.

– Słuchałeś Michaela, prawda? – powiedziała. – Domyślam się, że o tym rozprawiacie co wieczór u O'Donovana. Obalenie brytyjskich rządów. O niczym innym nie słyszę w domu.

– Jesteś za młody, żeby dołączyć do ochotników – przekonywała Kitty.

– Mogę im się przydać.

– Co na to powie twój ojciec? – spytała Bridie.

– Nie dowie się. Teraz walczy na zachodnim froncie za Anglię. – Jack z pogardą pokręcił głową. – Nie powinien być mięsem armatnim dla Anglii. Powinien walczyć za Irlandię!

– On walczy za Irlandię, Jack – wtrąciła Kitty. – Wojna Anglii przeciwko Niemcom jest też wojną Irlandii. To nasz wspólny wróg. Tak mówi dziadek.

– Nie dziwię się, że twój dziadek tak mówi! Ale ja nie zamierzam siedzieć z założonymi rękami i pozwalać Anglikom odbierać nam naszą tożsamość.

Na pewno usłyszał to od kogoś innego, pomyślała Kitty.

– Popieram naszych braci i będę walczył za naszą wolność – dodał. – Za *Home Rule!*

– Dziadek mówi, że ta ustawa nigdy nie przejdzie przez Izbę Lordów.

– A więc będziemy musieli ich do tego zmusić, prawda? – Jack pochylił się do przodu, oparł łokcie na kolanach, a oczy zabłyśły mu w blasku świec. – Musimy ich zmusić.

– Przemoc? – zdziwiła się Kitty.

– Jeśli to jedyny sposób, żeby posłuchali.

– Najpierw musimy przeżyć tę wojnę – rzekła Bridie.

– Nie o to chodzi, Bridie. Powinniśmy skorzystać z tego, że Anglicy są zajęci wojowaniem z Niemcami.

– Co się stanie z Kitty? – spytała z niepokojem Bridie, myśląc również o sobie oraz o matce, zatrudnionej u Deverillów.

– Zajmiemy się nią. W końcu jest jedną z nas, prawda, Kitty? – Uśmiechnął się do niej szeroko, Kitty odpowiedziała tym samym, a we dwoje emanowali takim przekonaniem, że Bridie poczuła się jeszcze bardziej nieswojo.

– Ballinakelly żywi głęboki szacunek dla lorda Deverilla – zauważyła z nadzieją Bridie. – Zawsze był dobry dla tutejszych ludzi. Nie ma powodu, żeby robić mu krzywdę, prawda, Jack?

Jack skinął głową, zadowolony, że dziewczęta uznają go za wyrocznie.

– Nie ma powodu – przyznał, ale w gruncie rzeczy wcale nie był tego pewny. Zdaniem irlandzkich nacjonalistów lord Deverill był angielskim uzurpatorem, lojalnym wobec wrogiej strony. Jeśli Michael mógłby decydować, cała rodzina zostałaby deportowana do Anglii, a zamek zrównany z ziemią.

*

Tego wieczoru Kitty wdrapała się na zachodnią wieżę zamku. Jak zwykle znalazła Bartona w fotelu, z nogami opartymi na podnóżku, patrzącego spod wpeł przymkniętych powiek w przestrzeń, jakby śnił o dawno minionym życiu. Gdy weszła, podniósł wzrok. Na jego twarzy pojawiło się zaskoczenie.

– Wiem, że minęło trochę czasu – odezwała się Kitty, owijając szal wokół ramion. Nie rozmawiała z nim cztery lata, ale przecież dla Bartona upływ czasu nic nie znaczył.

– Próbowałem cię powstrzymać – rzekł niechętnie. – Ale nie chciałaś słuchać.

– Zapłaciłam za swoją niezdrową ciekawość – odparła uroczyście. – Potrzebuję twojej pomocy.

– Znów?

– Tym razem ją przyjmę.

– Nie potrafię nikomu pomóc, a już najmniej sobie.

– Och, potrafisz. Widziałam, jak strącasz figurkę z kominka. Jeśli się przyłożysz, jestem pewna, że wypłosisz moją guwernantkę z zamku.

Barton wyszczerzył zęby w uśmiechu. Ten pomysł przypadł mu do gustu.

– Skoro tego sobie życzysz.

– Dziwię się, że Egerton do tej pory tego nie zrobił.

– Egerton to próżniak, Kitty. Był nic niewart za życia i jest jeszcze bardziej bezużyteczny po śmierci. Draństwo wymaga wysiłku.

– A więc dziękuję ci z góry za twój wysiłek.

Szelmostwo połączone z frustracją ujawniły się w szerokim uśmiechu

Bartona.

– Masz to załatwione, moja mała przyjaciółko.

4 Ustawa o Rządach Krajowych – mająca zagwarantować autonomię dla Irlandii; dwukrotnie odrzucana (1886 i 1893), ostatecznie uchwalona w 1914 r., przy jednoczesnym odroczeniu jej wejścia w życie do zakończenia wojny.

5 Paramilitarna organizacja założona przez irlandzkich nacjonalistów w 1913 r. W 1916 r. uczestniczyła w powstaniu wielkanocnym. W 1919 r. wraz z Armią Obywatelską utworzyła Irlandzką Armię Republikańską.

Rozdział 10

Kitty obserwowała pannę Grieve jak lampart czyhający na swą zdobycz. Guwernantka wyglądała teraz staro. Blade usta jeszcze bardziej się zwęziły, kości policzkowe sterczały, a cera poszarzała. Zniknęła nieodwołalnie młoda kobieta płacząca nad listem, którą dziewczynka podglądała przez dziurkę od klucza. Kitty zastanawiała się, dlaczego niektórym kobietom, jak jej matce czy lady Rowan-Hampton, służy irlandzka mżawka, podczas gdy cera panny Grieve zrobiła się szorstka i pomarszczona. Kiedyś myślała nawet, że guwernantka jest rówieśnicą jej matki; dziś wyglądała starzej niż babcia, której pełna ekspresji twarz była nadal delikatna i młodzieńcza.

Panna Grieve podniosła wzrok znad książki, zauważając, że Kitty jej się przygląda.

– Kitty, co chcesz wyczytać z mojej twarzy?

– Ile pani ma lat, panno Grieve? – spytała Kitty zuchwale.

Guwernantka zeszywniała.

– To bardzo niegrzeczne pytanie.

– Śmiało, panno Grieve, znamy się od tylu lat i już nie jestem dzieckiem.

Czy nie możemy być przyjaciółkami?

– Nie wiem, dlaczego uważasz, że status przyjaciółki miałby cię upoważniać do poznania mojego wieku – odparła, a jej twardy szkocki akcent wyciskał wszystkie soki z samogłosek.

Kitty uśmiechnęła się szeroko. Pytanie o wiek przytłoczyło pannę Grieve i uczyniło z niej osobę w pewnym sensie bezbronną; poczuła współczucie dla kobiety, która kiedyś tak uprzykrzała jej życie. Zmrużyła oczy.

– Myślę, że pani ma pięćdziesiąt lat – powiedziała przekonana, że robi pannie Grieve komplement.

Na policzkach guwernantki wykwitły dwie czerwone plamy, które zaczęły rozpełzać się po jej twarzy jak atrament po bibule.

– Myślisz, że mam pięćdziesiąt lat? – Zamrugwała z niedowierzaniem. – Mam trzydzieści osiem! – oświadczyła zduszonym głosem.

Kitty nie wiedziała, co powiedzieć. Patrzyła przerażona, jak panna Grieve odsuwa krzesło i wstaje. Guwernantka odwróciła się do niej tyłem, ale dreszcz, który przeszył jej ramiona, uświadomił Kitty, że głęboko ją dotknęła.

– Skończ to ćwiczenie – rzuciła na odchodnym. – Będę w swoim pokoju i proszę mi nie przeszkadzać.

Kitty skończyła ćwiczenie, które nie stanowiło dla niej wielkiego wyzwania,

i zeszła na dół poszukać babci. Dźwięki fortepianu zaprowadziły ją do salonu. Gdy Kitty weszła, Adeline oderwała dłonie od klawiatury.

– Kitty, moja droga, skończyłaś już lekcje z panną Grieve?

– Obawiam się, że ją obraziłam. – Kitty westchnęła, przesuwając palcami po lśniącej powierzchni fortepianu. – Powiedziałam jej, że ma chyba z pięćdziesiąt lat, a okazało się, że ma trzydzieści osiem. Ona nie wygląda na trzydzieści osiem lat, prawda?

– Łatwo się pomylić – odparła jej babcia. – Chociaż nie uważam, aby omawianie wieku kobiety w jakichkolwiek okolicznościach było rozsądne.

– Nigdy się nie lubiliśmy – powiedziała Kitty. – Nie znam osoby tak pozbawionej poczucia humoru.

– Ja również nie pamiętam, żebym lubiła swoją guwernantkę. Należą do szczególnego typu kobiet.

– Dlaczego są takie dziwne?

– Ponieważ to dobrze wykształcone kobiety, które z takiego czy innego powodu nie wyszły za mąż. Jedynym dla nich rozwiązaniem, żeby zarobić na życie, jest posada guwernantki albo damy do towarzystwa. Współczuję im. To musi być bardzo frustrujące nigdy nie zostać panią własnego domu.

– Panna Grieve to najbardziej wredna osoba, jaką znam – burknęła Kitty.

Adeline zerknęła z uwagą na wnuczkę.

– Moja droga, musisz mieć dla niej trochę współczucia. Niemili ludzie są nieszczęśliwi, a ja uważam, że panna Grieve jest głęboko nieszczęśliwa.

– Nie sądzę, żeby poczucie nieszczęścia usprawiedliwiało okrucieństwo, babciu.

– To prawda, ale na pewno je wyjaśnia. Panna Grieve musiała w życiu doznać dotkliwych rozczarowań. Wyobrażam sobie, że twoje szczęście, Kitty, tylko przypomina jej o własnym nieszczęściu. Chociaż trudno jest znaleźć w sercu zrozumienie i przebaczenie, wierzę, że należy próbować.

W tym momencie, szurając nogami, wszedł O'Flynn z listem na srebrnej tacy.

– List, proszę pani – oznajmił.

Adeline wzięła list i spojrzała na charakter pisma.

– Od Ruperta. Wspaniale! – Otworzyła kopertę srebrnym nożykiem, leżącym obok. Przez chwilę czytała w milczeniu, a potem uśmiechnęła się tęsknie, przyciskając list do piersi. – Kochany Rupert, on nie jest stworzony do wojaczki. Hubert uważa, że do niczego nie jest stworzony, ale ja myślę, że to wyjdzie mu na dobre.

– Czy on ma jakieś wiadomości o tacie? – spytała gorączkowo Kitty.

– Tak, pisze, że jest wściekły, bo na twoim ojcu mundur lepiej leży niż na nim. – Roześmiała się. – Doprawdy, cały Rupert! Zawsze dostrzega śmieszność

stronę rzeczy. – Westchnęła. – Och, naprawdę mam nadzieję, że wrócą na święta.

*

Tego wieczoru, gdy Kitty położyła się do łóżka, zupełnie zapomniała, że poprosiła Bartona o wystraszenie panny Grieve. Jadła kolację z dziadkami oraz Krzaczkami, które odkąd Rupert i Bertie wyjechali na wojnę, wydawały się stałym elementem przy stole. Świergotały jak wróble i mówiły różne głupstwa, żeby oderwać uwagę swojej siostry oraz własną od telegramów, które zaczynały z wolna napływać do Irlandii z wiadomościami o zaginionych, rannych i poległych. Rzeczywistość wojny powoli wyzierała spod powłoki brawury.

Po drodze do sypialni Kitty minęła drzwi panny Grieve. Zauważyła, że są zamknięte, a spod nich nie sączy się światło. Kitty nie widziała guwernantki, odkąd ta ze łzami w oczach wyszła z pokoju. Przystanęła na chwilę, nagle ogarnięta falą żalu. W korytarzu było cicho i spokojnie; tylko podmuchy wichru od morza świszczwały w kominach. Kitty weszła do swojego pokoju, sąsiadującego z pokojem guwernantki, i rozsunęła zasłony, żeby popatrzeć na rześką zimową noc. Chmury, gęste jak owsianka, przesuwały się po niebie, rozdzielając się tu i tam, aby odsłonić kuszące mignięcie księżyca, a poniżej labirynt przystrzyżonych żywopłotów skąpanych w upiornej srebrnej poświacie. Pomyślała o pannie Grieve i jej serce zalało współczucie. Była przedwcześnie postarzałą kobietą, bez żadnych perspektyw prócz nauczania takich dziewcząt jak Kitty. Czy to nieszczęście uczyniło ją tak bezlitosną? Czy gdyby poślubiła mężczyznę, który by ją uszczęśliwił, spoglądałaby życzliwiej na świat?

Kitty wyglądała przez okno, aż głowa zrobiła jej się ciężka i zachciało jej się spać. W końcu zasunęła zasłony i rozebrała się, odkładając sukienkę na krzesło. Lubiła swoją sypialnię w zamku. Łóżko z baldachimem było duże i mogła zaciągnąć wokół zasłony, chroniące przed zimnem. Na palenisku tliły się resztki ognia, wiatr grzechoczący o szyby brzmiał jak kojąca kołysanka.

Obudził ją głośny krzyk. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że nie śni, a krzyk dochodzi z sąsiedniej sypialni. Poderwała się z łóżka. Po omacku odnalazła zapalnik i zapaliła stojącą obok lampkę. Mrużąc oczy w blasku i kręcąc głową, ciężką od snu, zarzuciła na siebie wełniany szlafrok i wsunęła stopy w kapcie. W korytarzu było ciemno i cicho, ale drzwi do sypialni panny Grieve stały otworem. Kitty wpadła do środka. Spodziewała się, że zastanie guwernantkę siedzącą na łóżku, ale kołdra była odsunięta, a kobiety nigdzie nie było. Wtem coś przykuło jej uwagę; odwróciła się i zobaczyła przy oknie upiorną postać, ale gdy zamrugnęła, postać zniknęła. Kitty zrobiło się lodowato na sercu. Podchodziła do okna, jakby brodziła przez wodę. Wstrzymała oddech i obawiając się najgorszego, spojrzała w dół na ogród. Wiatr wyrwał dziurę w chmurach i księżyc oświetlił gramolącego się jej przyjaciela Jacka, który utkwiał w żywopłocie, przygnieciony

drabiną używaną do przycinania pnących róż.

– Jezu! – syknęła, czując ulgę, że to Jack, a nie panna Grieve, która wypadła przez okno. – Co on najlepszego zrobił?

Kitty popędziła w dół po schodach i wybiegła kuchennymi drzwiami. Rzuciła się w ciemność, owijając się ciasniej szlafrokiem, ponieważ wicher rozrywał poły. Wiatr targał jej włosy, rozplątując wstążki i tarmosząc nimi niemiłosiernie, ale Kitty szła zamaszystym krokiem z pochyloną głową, chroniąc się przed zimnem. Oszroniona trawa pod jej kapciami była lodowata; zadrżała nagle, gdy wilgoć zaatakowała jej stopy. Gdy dotarła do żywopłotu, Jackowi udało się już wyswobodzić. Na widok Kitty na jego twarzy rozlała się ulga.

– Słodki Jezu, Kitty, zobaczyłem w oknie ducha, przysięgam! – Jąkał się, twarz miał białą jak kreda, a jasne oczy szeroko otwarte z przerażenia. – Boże, miej nas w swojej opiece...

– Już w porządku, Jack. To tylko duch – uspokajała go Kitty, kładąc ręce na jego trzęsących się ramionach. Zauważyła, że uniósł jedną stopę, opierając się ciężko na drugiej. – Zrobiłeś sobie krzywdę?

– Chciałem ją tylko przestraszyć, a zamiast tego sam niemal umarłem z przerażenia.

Nagle ostry, urywany pisk przeciął wycie wiatru. Obydwoje odwrócili się w stronę lasu.

– Banshee! – szepnął złowieszczo Jack.

Kitty usłyszała głuchy odgłos, jakby z dużej wysokości spadł worek kartofli.

– To nie Banshee, Jack. – Teraz ona pobladła. – O Boże! – Zachwiała się lekko i Jack wyciągnął rękę, żeby ją podtrzymać.

– Co to było?

– Uciekaj, Jack. Szybko! – Popchnęła go ponaglająco. – Proszę.

– Ale...

Wpatrywała się w niego z przerażeniem.

– Uciekaj – powtórzyła. – Zanim ktoś się dowie, że tu byłeś. Ruszaj!

Jack pokuśtykał w ciemność i zniknął. Kitty powoli, z narastającym przeczuciem, że stało się coś złego, przeszła na tył zamku. Serce waliło jej o żebra, gardło miała ściśnięte, ponieważ spodziewała się, co tam znajdzie. Wyczuwała to w dołku, w żółci, która zaczynała się podnosić. I się nie pomyliła. Na twardej, zamarznętej ziemi leżała panna Grieve.

Kitty opadła na kolana przy jej ciele. Trzęsącą się rękę ścisnęła nadgarstek kobiety, żeby wyczuć puls. Nie czuła ani drgnienia. Panna Grieve wyglądała jak lalka, połamana i wyrzucona z dziecinnego pokoju. Gorące łzy paliły policzki Kitty w poczuciu winy i wyrzutów sumienia. Chciała ją objąć, ale nie mogła się przełamać, ponieważ nigdy nie były przyjaciółkami; zamiast tego z łkaniem sama opasała się ramionami. Na krótką chwilę zapomniała o okrucieństwie panny

Grieve, pamiętała jedynie jej młodzieńczą twarz i malujący się na niej smutek, okraszony delikatnymi łzami, nad listem, który leżał otwarty na jej kolanach.

Nazajutrz w zamku pojawił się przedstawiciel Królewskiej Irlandzkiej Policji, a ciało panny Grieve zabrała karetka. Babcia pocieszała Kitty w bibliotece. Znalaziono drabinę przy żywopłocie, a wygnieciona w nim dziura została dokładnie zbadana i ogrodzona jako miejsce ewentualnego przestępstwa. Kitty wyjaśniła posterunkowemu O'Dugganowi, że usłyszała krzyk, ale gdy wpadła do pokoju panny Grieve, guwernantki tam nie zastała. Podeszła do okna i zobaczyła twarz mężczyzny. Musiała go przestraszyć, ponieważ zachwiał się na drabinie i spadł do tyłu prosto w żywopłot. Pobiegła do ogrodu, ale gdy tam dotarła, mężczyzna już zniknął. Wtedy właśnie usłyszała krzyk i uderzenie spadającego ciała.

– Czy dobrze przyjrzała się pani jego twarzy, panno Deverill? – spytał posterunkowy.

– Nie – odpowiedziała Kitty. – Byłam zszokowana jego widokiem. Zanim zdążyłam mu się przyjrzeć, zniknął. Mogę tylko powiedzieć, że to był mężczyzna. Jeśli chodzi o inne szczegóły, było zbyt ciemno.

– Wygląda na to, że panna Grieve rzuciła się z dachu.

– Jak, na Boga, tam trafiła? – spytała Adeline.

– Znalazła drogę na strych, lady Deverill, a tam małe okno.

– Wielkie nieba, naprawdę musiała chcieć się zabić, skoro zadała sobie tyle trudu!

– Dlaczego nie wzywała pomocy? – wtrącił Hubert, podparłszy się pod boki.

– Zawsze trzymam strzelbę w pogotowiu. Z wielką chęcią bym go ustrzelił. Do diabła, dlaczego on nie wybrał mojego okna?

– Znajdziecie go? – spytała rozgorączkowana Kitty.

Posterunkowy O'Duggan pokręcił głową.

– Obawiam się, że to mało prawdopodobne. Nie ma dowodów, a w Ballinakelly nikt nie piśnie słowa. Ale zrobimy, co w naszej mocy.

– Dziękujemy, panie posterunkowy – powiedziała Adeline.

Policjant podrapał się po wąsach, jakby trochę zakłopotany.

– Problem polega na tym, że nie znamy motywu. Wiecie państwo, jeśli on chciał was obrabować, dlaczego wchodził przez okno na pierwszym piętrze, co wymagało użycia drabiny? I dlaczego wybrał właśnie to okno? Nie było otwarte ani uchylone. Dlaczego panna Grieve pobiegła na górę, na strych, żeby rzucić się z dachu? Może miała jakiegoś konkurenta? A może była przez kogoś nękana?

Adeline wyglądała na zaskoczoną.

– W ogóle o tym nie pomyślałam – powiedziała, zwracając się do wnuczki. – Może Kitty coś będzie wiedzieć...

– Panna Grieve nie miała nikogo na świecie prócz matki – odparła Kitty,

postanawiając nie mówić nikomu o liście, który udało jej się wykraść z sypialni guwernantki, zanim policja przybyła na przeszukanie. – Nigdy nie rozmawiała z nikim w Ballinakelly ani też nikt z nią nie rozmawiał. Była bardzo skrytą i poważną osobą.

Posterunkowy O'Duggan ze zrozumieniem skinął głową.

– Cóż, dziękuję za poświęcony mi czas. A, jeszcze jedno, panno Deverill...

– Słucham? – Kitty poczuła, że z nerwów oblewa ją gorąco.

– Na przyszłość proszę nie ścigać włamywaczy. Zwykle są uzbrojeni i niebezpieczni. To może się źle skończyć.

– Więcej tego nie zrobię, panie posterunkowy. Nie pomyślałam o tym. – Spuściła oczy, wzdychając ciężko. – W przeszłości nie będę tak impulsywna.

*

Gdy Kitty wreszcie została sama, zamknawszy drzwi do pokoju, wyjęła list spod poduszki, gdzie go schowała. Usiadła na łóżku i zaczęła czytać.

18 stycznia, 1910

Najdroższa Lottie

Wiem, że nakazałaś mi, żebym nie pisał, aż będę zdolny dotrzymać mojej obietnicy, i zamierzałem tak postąpić. Przysięgam na Boga, że to prawda. Nie mogę jednak przestać myśleć o Tobie, moja droga Lottie. Twoja twarz wryła mi się w serce, a Twój głos, piękny, melodyjny głos, ciągle dźwięczy mi w uszach, słyszę go, gdy budzę się rano i gdy zapadam w sen, a potem dręczy mnie w snach, ponieważ w nich Cię przytulam, a rano znów Cię tracę. Myślę o Tobie za każdym razem, gdy zasiadam do fortepianu, i czuję tak ogromny smutek, że ledwie mogę grać.

Nie mogę pojąć, dlaczego los tak okrutnie się przeciw nam sprzyścił.

Dlaczego nie mogliśmy się spotkać kilka lat temu, kiedy byłem wolny? To pytanie dręczy mnie bez ustanku.

„Gdyby tylko” – najsmutniejsze słowa, jakie kiedykolwiek napisano.

Piszę z sercem przepelnionym smutkiem. Jestem uczciwym człowiekiem, ale obawiam się, że nie mogę dotrzymać mojej obietnicy, mimo że czekałaś na mnie tak wiele lat. Wiem, że uciekłaś do Irlandii, ponieważ byłaś zniecierpliwiona moimi niekończącymi się obietnicami i doszłaś do wniosku, że są fałszywe. Ale przysięgam, moja kochana, że nie były fałszywe, po prostu czas był zawsze nieodpowiedni. Wiesz, że gdybym mógł, rozstałbym się z Edwiną. Naprawdę wierzyłem, że nadejdzie taka chwila. Teraz wiem, że tak się nie stanie. Mogę tylko przypuszczać, że Bóg nie miał wobec nas planów.

Moją radość z rychłego ojcostwa psuje jedynie świadomość, że to nie Ty będziesz matką...

Moja ukochana Lottie, serce mi krwawi z Twojego powodu, ale musisz pozwolić mi odejść, tak jak ja muszę pozwolić odejść Tobie.

Zawiodłem Cię i zawiodłem sam siebie. Na zawsze będę żyć z tym żalem.

Twój kochający przyjaciel Jonnie

Kitty złożyła list i wsunęła go z powrotem do koperty. Otarłszy oczy, wrzuciła list do kominka. Obserwowała, jak obejmują go płomienie, aż zamienił się w popiół i zniknął.

Wpatrywała się w ogień, aż oczy jej znów zawilgotniały. Czy panna Grieve zabiła się, ponieważ jej życie było pozbawione miłości? To mało prawdopodobne, zważywszy, że otrzymała ten list cztery lata temu. Czy zrobiła to dlatego, że Kitty powiedziała jej, że wygląda na pięćdziesiąt lat, i nagle zdała sobie sprawę, że przedwcześnie się zestarzała? Czyżby przez wszystkie te lata była tak rozpaczliwie nieszczęśliwa? Czy Kitty kiedykolwiek się nad tym zastanawiała? Czy to jej wina? Siedziała, trzęsąc się przed kominkiem, mimo że było ciepło.

*

Policjanci przeszukali pokój panny Grieve oraz teren pod jej oknem, ale ostatecznie uznali, że to był przypadek samobójstwa w obronie przed rabunkową napaścią. Nikt nie wierzył, że znajdą winowajcę. Jeśli ktokolwiek coś wiedział na ten temat, posterunkowy O'Duggan był pewien, że usłyszałyby o tym ostatni.

Po południu Kitty wybrała się do Ballinakelly, żeby porozmawiać z Jackiem. Mieszkał w małym, ale porządnym białym domu z widokiem na port. Teraz, gdy ojciec był na froncie, obowiązki weterynarza spadły na jego barki. Miała nadzieję, że zastanie go w domu. Zeskoczyła z konia i zapukała do drzwi. Chwilę później otworzyła je matka Jacka. Nie ucieszyła się na widok Kitty.

– Panno Deverill, czemu zawdzięczamy tę przyjemność?

– Szukam Jacka – odpowiedziała gładko Kitty. – Mam problem z koniem.

Pani O'Leary zawołała syna. Następnie popatrzyła na siwą klacz, przywiązaną do słupka.

– Co jej jest?

– Drobiazg, nic poważnego. – Kitty czuła się głupio; w całym Ballinakelly nie było konia w lepszej kondycji.

– Jack! – zawołała znów matka.

Jack zjawił się po chwili.

– Panno Deverill... – Podobnie jak matka był zaskoczony widokiem Kitty.

– Mam nadzieję, że nie przeszkodziłam w obiedzie.

– Nie, nie przeszkodziła pani. Wczoraj wieczorem skręciłem nogę na schodach i musiałem leżeć przez cały dzień. – Pokiwał głową z przygnębioną miną.

– Co za pech!

Matka Jacka wycofała się w głąb domu, a wtedy wyszedł na zewnątrz, zamykając za sobą drzwi.

– Musiałam cię zobaczyć – powiedziała cicho Kitty.

Jack podszedł, kulejąc, do klaczy i udawał, że ją ogląda.

– Słyszałem, co się stało.

– To okropne, Jack. Ona zginęła przeze mnie – wyszeptała, a jej oczy znów wypełniły się łzami.

– Przez nas – podkreślił.

– Myślą, że to próba rabunku.

– Tym lepiej.

– Nigdy sobie nie wybaczę.

– Ja też – rzekł z namaszczeniem Jack. – Zabiorę tę tajemnicę do grobu, Kitty. Nie denerwuj się.

– Nie podejrzewałam, że naprawdę to zrobisz.

Jack rozejrzał się ukradkiem po ulicy, klepiąc konia po boku.

– Chciałem ci zaimponować – odparł smętnie. – Nie spodziewałem się, że zobaczę czyjaś twarz w tym oknie. – Wyprostował się i uważnie jej się przyjrzał. – O co właściwie chodzi z tymi duchami?

– Widzę je – szepnęła. – Zawsze je widziałam. To dar.

Przyglądał jej się w skupieniu.

– Cóż, nie mogę powiedzieć, że ci nie wierzę, prawda?

– Teraz już nie.

– Niemal umarłem ze strachu.

– Miałeś szczęście. Gdyby nie żywopłot, być może opłakiwalibyśmy dwie ofiary.

Jack podnosił po kolei końskie kopyta, a Kitty dreptała za nim.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Babcia zakazała mi komukolwiek o tym mówić. Ale powiedziałam Bridie. Stwierdziła, że ludzi zamykają w domu wariatów za mniejsze rzeczy.

– A więc lady Deverill też je widzi?

– Tak.

– Nie przerażają cię?

– Nie.

Uśmiechnął się do niej szeroko, a Kitty dziękowała w duchu za jego poczucie humoru.

– Jesteś niezwykłą osobą, Kitty Deverill.

Odwzajemniła uśmiech.

– Wiem. Ale nadal będziesz moim przyjacielem, prawda?

– Zawsze będę twoim przyjacielem. – Opuścił podkute kopyto i wyprostował się. – Na zawsze jesteśmy związani naszym sekretem. Taka jest prawda.

Zabierzemy go obydwójce do grobu.

– Do grobu.

– Twojej klaczy nic nie dolega. – Jack mocno poklepał zwierzę po szyi. – Świetny koń.

– Pojadę już. – Lekko wskoczyła na siodło. – A co z twoją nogą? Jeszcze boli?

– Przeszanie. Będiesz miała nową guwernantkę?

– Jeśliby to ode mnie zależało, wolałabym nie – odparła Kitty, odjeżdżając.

*

Tej nocy Kitty znalazła Bartona w jego zwykłym miejscu, w pokrytym jedwabiem fotelu, z nogami opartymi na podnóżku.

– A, witam panienkę – powiedział.

Zaskoczył ją jego dobry humor, ale być może ludzkie nieszczęście przemawiało do jego ciemnego charakteru.

– Przyszłam porozmawiać o pannie Grieve – powiedziała Kitty. – Żałuję, że cię poprosiłam o tę przysługę. Nigdy w życiu już tego nie zrobię. Popęłiłam potworny błąd i gorzko tego żałuję.

Barton zmarszczył czoło.

– Myślisz, że to ja miałem z tym coś wspólnego?

Kitty była zdeorientowana.

– A nie?

– Nie – przyznał. – Ale w sumie osiągnęłaś cel.

– Nie chciałam, żeby panna Grieve umarła! – natarła na niego z furją. Zagryzła wargę i zniżyła głos. – Nie chciałam, żebyś wystraszył ją na śmierć.

– Och, ona nie umarła z przerażenia. Wprost przeciwnie.

– O czym ty mówisz?

– Ten mężczyzna, który pojawił się w jej pokoju, miły człowiek, aczkolwiek trochę zbyt sentymentalny jak na mój gust...

– Jaki mężczyzna?

– Żołnierz, zabity na wojnie, biedaczek.

Kitty poczuła, jak zimne macki strachu oplatają jej ciało.

– Od jakiegoś czasu usiłował zwrócić jej uwagę – wyjaśnił Barton. – To potrafi być bardzo frustrujące dla nas, umarłych.

– Jak on się nazywał?

Barton podrapał się po brodzie.

– Nie wiem, czy sobie przypomnę...

– Postaraj się – nalegała Kitty.

– Jonnie Wilson. Tak, Jonnie Wilson.

Rozdział 11

Po tragicznej śmierci panny Grieve lady Deverill otrzymała wiadomość od Maud, że natychmiast należy zatrudnić dla Kitty następną guwernantkę. Jej córka nie może spędzać czasu na próżniactwie i psotach. Maud zwróciła się o poradę do Beatrice. Okazało się, że Celia nie ma już guwernantki, ale korepetytora, co wydawało się bardziej odpowiednie dla młodej czternastoletniej panny. Beatrice odpowiedziała natychmiast, polecając dwudziestoczteroletniego absolwenta Cambridge, Roberta Trencha, który był drugim w kolejności synem ich bliskich przyjaciół z Londynu. To inteligentny, rozsądny młody człowiek, który zapewni Kitty doskonałą edukację oraz utrzyma ją w ryzach. Nie wyjechał na wojnę, ponieważ wskutek przebytej w dzieciństwie infekcji ma sztywną nogę, a więc z miłą chęcią przyjmie posadę w Castle Deverill. Maud zgodziła się bez dalszych indagacji – w gruncie rzeczy wystarczyła jej rekomendacja, że jest odpowiednim kandydatem – i poinformowała listownie teściową, że nauczyciel pojawi się po świętach.

Kolejną zmianą w życiu Kitty był niespodziewany awans jej przyjaciółki Bridie, która zamieniła pracę przy kuchennym zlewie na zajęcie w prywatnej części zamku jako pokojówka Kitty. Oczywiście nie była to zasługa Maud, a wyłącznie Adeline, która współczuła Kitty po utracie panny Grieve i uznała, że z Bridie, swoją równolatką i przyjaciółką, jej wnuczka przynajmniej będzie mogła swobodnie porozmawiać, nie będąc zmuszona czaić się na korytarzach, by ukryć tę przyjaźń.

Nowe stanowisko oznaczało, że Bridie zamieszkała w zamku i dzieliła małą sypialnię na górze w części przeznaczonej dla służby z młodą pokojówką z Bandon, Molly Seymour. Bridie czuła ulgę, że nie jest sama. Po nocach wiatr jęczał wokół wież, a stara podłoga skrzypiała, jakby to duchy Kitty miotały się w tę i z powrotem. Na początku Bridie tęskniła za swoim łóżkiem w rodzinnym domu. Brakowało jej znajomych zapachów dochodzących z kuchni, tytoniu jej braci, woni krów i palącego się torfu. Brakowało jej głosów Michaela i Seana, gdy przy stole grali w karty z przyjaciółmi. W zamku cisza bywała upiorna. Poza tym martwiła się, jak jej matka da sobie bez niej radę. Ale Michael, który teraz był głową rodziny, powiedział, że Bridie nie może odrzucić posady, która przynosi trzydzieści funtów na rok. Dość szybko jednak przyzwyczała się do nowych warunków. Początkowo na pokojach czuła się trochę nieswojo; dotąd pracowała wyłącznie w kuchni, a poza tym była przyjaciółką Kitty, co wprawiało ją w pewne zakłopotanie.

Służba musiała rozmawiać tak cicho, żeby państwo ani goście jej nie słyszeli; spotykając zaś na schodach kogoś z rodziny lub służących wyżej usytuowanych w hierarchii, zawsze należało ustępować im miejsca. Trzeba było stać prosto, gdy panie lub panowie coś do niej mówili, nigdy nie rozpoczynać rozmowy i nie wygłaszać żadnych opinii ani nawet nie mówić „dobranoc”. Służący powinni być niczym duchy, wykonywać swoje obowiązki bezszelestnie i nie rzucając się w oczy jak nieme skrzaty z irlandzkich podań. To oczywiście przychodziło z łatwością reszcie służby, która nie miała żadnych prywatnych związków z rodziną, ale nie Bridie, która musiała wznosić się na wyżyny aktorstwa. Dopiero w sypialni Kitty mogła być sobą. Mogła leżeć na jej łóżku i opowiadać plotki z „dołu”. W sypialni Kitty były przyjaciółkami. Ale w pozostałej części zamku musiała stosować się do zasad obowiązujących służbę. O’Flynn, kamerdyner, stał na szczycie hierarchii, pełniąc rolę łącznika pomiędzy lordem i lady Deverillami a całym dołem. A zważywszy, że pracował jeszcze dla poprzedniego lorda Deverilla, miał wyższą pozycję niż większość kamerdynerów.

Bridie musiała się jeszcze wiele nauczyć. Panna Lindsay, pokojówka lady Deverill, z chęcią ją instruowała, ponieważ mocno wierzyła, że standardy należy utrzymywać, choć wiele osób ze starej gwardii było zbyt zgrzybiałych, żeby prawidłowo wykonywać swoje obowiązki. Bridie, jako osobista pokojówka, wstawiała wcześniej i serwowała swojej pani poranną herbatę. Przygotowywała kąpiel, do której wodę przynoszono w bańkach, i garderobę. Następnie sama jadła śniadanie w jadalni dla służby i czekała na wezwanie dzwonkiem, który jej przyjaciółka Kitty naciskała najszybciej, kiedy mogła. Bridie musiała opanować sztukę układania włosów, szycia, pakowania, troszczenia się o suknie, buty, pantofelki, rękawiczki, kapelusze, amazonki, suknie balowe oraz naprawianie odzieży. Nauczyła się prania koronek i delikatnych tkanin, naprawiania guzików przy bucikach i wymiany piór w kapeluszach do konnej jazdy. Panna Lindsay była dumna ze swoich wysokich standardów, ale Bridie wkrótce odkryła, że ona sama również potrafi być bardzo skrupulatna. Jej ściegi były tak drobne i staranne, że pannie Lindsay aż odbierało mowę ze zdumienia, jej troska o ubrania Kitty robiła wrażenie, zwłaszcza że zaledwie czternastoletnia Bridie nie miała doświadczenia z drogimi materiałami. Była posłuszna, obowiązkowa, staranna i pilna.

Podczas gdy Kitty, pomimo surowego wychowania przez świętej pamięci pannę Grieve, miała skłonność do bałaganu i brakowało jej dyscypliny, Bridie była z natury porządna i dobrze zorganizowana. Zaskakująco szybko się uczyła, żałowała błędów i szybko je korygowała. Panna Lindsay tłumaczyła sobie to tym, że dziewczyna, wyrwawszy się z kuchni, nie chciałaby już tam wrócić, ale tak naprawdę zapał Bridie podsycała ambicja. Obserwowała Kitty i cały uprzywilejowany świat na „górze” i wiedziała, że pragnie od życia czegoś więcej, niż marna edukacja w Ballinakelly mogła jej zagwarantować. Może Kitty zabierze

ją do Londynu, gdy tam wyjedzie w wieku osiemnastu lat? A gdy już tam trafi, na pewno otworzą się przed nią nowe możliwości. Jeśli jej przyjaciółka poślubi jakiegoś wielkiego człowieka, hrabiego, a może nawet księcia, wtedy Bridie poszybuję w górę w hierarchii domowej służby. Kitty była jej przyjaciółką, ale również przepustką do lepszego życia; obserwowała więc ją i naśladowała, ponieważ Kitty pod każdym względem była przykładem młodej damy.

*

Po świętach przyjechał nowy nauczyciel Kitty. Był wysoki, miał płowe włosy, długą, wyrazistą twarz i inteligentne brązowe oczy, spoglądające z powagą przez okrągłe okulary. Stateczny i może trochę nieśmiały, nie uśmiechnął się, gdy przedstawiano go Kitty, ale skinął głową i lekko się uklonił.

– Miło panią poznać, panno Deverill. Chętnie zajmę się pani edukacją wedle moich najlepszych możliwości.

Kitty miała ochotę zachichotać z powodu tego formalnego powitania, ale ponieważ działo się to w obecności jej dziadków, nie chciała wprawiać go w zażenowanie. Odpowiedziała więc, że jest równie zachwycona, i spytała, trochę nietaktownie, czy poluje, na co biedny człowiek odpowiedział, że nie. Starła się nie patrzeć na jego lewą nogę, która nie zginała się w kolanie, ale dała upust swojej ciekawości, gdy O’Flynn poprowadził go na górę.

– Moja droga, zobaczysz gorsze rzeczy, zanim wojna się skończy – skonstatowała ze smutkiem Adeline.

– Mówiono, że skończy się przed świętami – odparła Kitty, myśląc o ojcu i czując nagłe ukłucie niepokoju.

– Ale się pomylili.

– Ale wkrótce się skończy, prawda?

– Mam nadzieję – powiedziała Adeline, lecz przygnębiony wyraz jej twarzy uświadomił Kitty, że żywi zbyt optymistyczną nadzieję.

– Żałuję, że tata nie ma sztywnej nogi.

– Kitty!

– Wtedy nie musiałyby wyjechać na wojnę.

– Twój ojciec chce walczyć, moja droga. – Adeline popatrzyła na schody. – Jestem pewna, że pan Trench też by tego pragnął.

Pan Trench był rzeczywiście poważnym człowiekiem. Kitty uciekała się do rozmaitych trików, żeby go rozbawić, ale wydawało się, że nic nie działa. Próbowwała żartów, pochlebstwa, kpin z samej siebie, dowcipu – wszystko na próżno.

– On jest taki zasadniczy – poskarżyła się pewnego wieczoru, gdy wróciła przemarznięta i przemoczona po całodziennym polowaniu i leżała z Bridie na łóżku. – Nic go nie śmieszy. Jak myślisz, co on robi w wolnym czasie?

– Czyta – poinformowała ją Bridie.
– Jakie książki?
– Grube, oczywiście! – Dziewczyny wybuchnęły śmiechem.
– No tak, on jest bardzo mądry, prawda? – powiedziała Kitty. – Szkoda tylko, że taki nudny. Co przychodzi z mądrości, jeśli brakuje poczucia humoru?
– Przynajmniej jest uprzejmy – zauważyła Bridie.
– To fakt.
– Biedna panna Grieve...
Kitty zmieniła temat. Wspominanie guwernantki niezmiennie wprawiało ją w zakłopotanie.
– Ciocia Beatrice powinna przysłać kogoś, kto może jeździć konno, a nie kalekę. Co za sens przyjeżdżać do Irlandii, jeśli nie można polować?
– On tu nie przyjechał polować, Kitty, tylko uczyć.
– Tak, poprosiłam, żeby mnie uczył historii Irlandii. Chcę poznać historię kraju, w którym mieszkam i który kocham, a nie Anglii, która jest mi obca i obojętna.
– Powinnaś porozmawiać z moim bratem, Michaeliem. On jest przeciwny walce za Anglię. Mówi, że Irlandczycy powinni rządzić się sami. Bardzo się z tego powodu złości.
– Jack mówi mi wszystko, co powinnam na ten temat wiedzieć – odparowała Kitty. – Przypomina mi o moim poczuciu lojalności.
– No i pan Trench będzie cię uczył historii Irlandii? – dopytywała się Bridie.
– Nie ma wyboru. Gdy zaczął mi opowiadać o Oliverze Cromwellu z brytyjskiego punktu widzenia, skrzyżowałam ramiona i zaczęłam śpiewać. Nawet się nie uśmiechnął. W końcu ustąpił. Uczę się teraz o irlandzkich patriotach, takich jak Robert Emmet, który walczył, żeby położyć kres brytyjskiemu panowaniu. Przez siedemset lat Irlandczycy cierpieli z rąk Brytyjczyków. Moja rodzina wywodzi się od pierwszych zdobywców. Zapędzili miejscowych na bagna i w lasy od Shannon po Connaught i zabrali sobie najlepsze ziemie. Byłam nieświadoma mojej własnej historii, Bridie. Nie wiedziałam, co zdarzyło się tutaj, w zamku Deverillów. – Westchnęła głęboko, jakby ta świeża wiedza stała się ogromnym ciężarem spoczywającym na jej sumieniu. – Powiedział mi, że bym nic nie mówiła dziadkowi. – Roześmiała się. – Wszyscy się boją dziadka. Być może dlatego, że ma strzelbę i nie obawia się jej użyć!

*

Rok tysiąc dziewięćset piętnasty mijał, a wraz z nim malała nadzieja na zakończenie wojny. Ludzie nauczyli się bać chłopca w granatowym uniformie z czerwonymi wyłogami przy kołnierzu, dostarczającego telegramy. Pograżeni w żałobie po stracie bliskiej osoby, nosili czarne opaski na ramionach, a ból na

zawsze wyrzeźbił ich twarze. Pełne nadziei modlitwy wznoszono we wszystkich kościołach Irlandii, a zarówno katolicy, jak i protestanci opłakiwali poległych z taką samą rozpaczą w sercach.

Bertie, stryj Rupert i Harry przyjechali do domu na przepustkę i dali doskonały pokaz swojej odwagi, ale Kitty usłyszała w środku nocy, jak Harry płacze w pokoju, i zauważyła światło sączące się spod jego drzwi, ponieważ zaczął bać się ciemności. Maud wróciła z Victorią i Elspeth; również zamieszkały w zamku, ponieważ zbyt wielką fatygą było otwieranie Hunting Lodge tylko na kilka tygodni. Siostry Kitty ze swą nieustanną gadaniną o Londynie i narzekaniem na wilgoć w Irlandii mocno ją irytowały. Przypominały w tym swoje angielskie kuzynki, co zresztą było ich zamiarem. Ale Kitty była wystarczająco śmiałą dziewczyną, by częstować je złośliwymi ripostami.

„Czy to nie Victoria mówiła, że jeśli nie znajdzie się męża podczas jednego sezonu, oznacza to, że jest się głupią, nudną albo jedno i drugie? Och, przepraszam, Elspeth, to była mama”. I do Victorii: „Czy nie powinnaś już wydać na świat potomka i dziedzica? Słyszałam z dobrego źródła, że żony hrabiów skraca się o głowę, jeśli nie urodzą syna”.

Siostry więc unikały jej jak ognia, co bardzo jej odpowiadało. Obie były płytkimi ignorantkami, rozmawiały o głupotach i żadna nie miała na tyle bystrości umysłu, żeby się odgrzyźć. Kitty wolała rozmawiać z Jackiem i Bridie; przynajmniej byli zainteresowani irlandzką historią oraz postępem (albo obecnie jego brakiem) w procedowaniu ustawy o *Home Rule*.

Maud żywiła nadzieję, że zakosztowanie wojny pomoże Bertiemu docenić wartość rodzinnego ogniska; czyż o nieobecnych nie myślimy życzliwiej? Być może, ale serce jej męża było życzliwiej wyłącznie dla tamtej, dla Grace. Co dzień rano wyjeżdżał gdzieś na koniu i wracał po zmierzchu. Wiedziała, że spędza czas z Grace, ponieważ każdego poranka wyruszał z entuzjazmem i wigorem, a wracał niechętnie i z żalem. A jeśli by jej nie wystarczał zapach perfum Grace na kołnierzyku jego koszuli, widywała nieobecne spojrzenie męża, którego nawet nie próbował ukrywać. Maud domagała się jego uwagi, ale on pozostawał głuchy na jej biadolenia.

Kiedy Maud po raz pierwszy po przyjeździe ujrzała Kitty, zaskoczyło ją, że córka z wolna przeistacza się w prawdziwą piękność. Urosła podczas półrocznego pobytu Maud w Anglii, twarz jej wyszczuplała i zyskała swego rodzaju wdzięk, którego wcześniej nie miała. Zachowanie córki przy stole świadczyło o zadziwiającym postępie w edukacji. Rozprawiała z dziadkiem o „sprawie” Irlandii, a jej argumenty zdawały się logiczne. Nawet Bertie i Rupert byli zaskoczeni jej elokwencją oraz przekonaniem, z jakim wygłaszała swoje poglądy. W jej oczach błyszczała inteligencja, co budziło jeszcze większy szacunek. Wyglądało na to, że pod nieobecność matki i poza jej kontrolą Kitty wydorosła.

Dopiero gdy przedstawiono Maud pana Trencha, zdała sobie sprawę z przyczyny intelektualnego rozwoju córki oraz że mleko już się rozlało; nowy nauczyciel wyzwolił w Kitty moc, doprawdy zniewalającą, i niewiele mogła już w tej sprawie zrobić. Porównując ją z Victorią i Elspeth i ich kiepskim wykształceniem, miała pretensje do najmłodszej córki, że tak wiele i tak szybko skorzystała z nauk Trencha. Dziewczynkę, którą ze wszystkich sił usiłowała trzymać na uboczu, teraz dostrzegali wszyscy i na dodatek, żeby pogłębić frustrację Maud, wyrażali się o niej w samych superlatywach. Jeśli jeszcze choć jedna osoba powie jej, jak błyskotliwa jest Kitty, zaczną krzyczeć. Kitty oszałamiająco gra w karty, powiedziała Laurel. Kitty jest nieustraszoną amazonką, zachwycał się Hubert. Kitty cudownie tańczy, przyznawała Hazel, wyznając, że sama ją tego nauczyła. Maud starała się ignorować te komplementy i wychwalać swoje starsze córki. Każdemu, kto chciał słuchać, mówiła, że Elspeth zrobiła furorę w Londynie i ma tak wielu konkurentów, że trudno ich zliczyć. Nie wspominała, rzecz jasna, o fakcie, że jedynym młodym człowiekiem wykazującym zainteresowanie był trzeci syn ubogiego baroneta, który zresztą wyjechał na front, podobnie jak inni kawalerowie w Anglii.

Kitty martwiła się o Harry'ego. Był wycofany, blady jak papier i nerwowy. Nie mógł usiedzieć spokojnie na miejscu. Wyglądał na człowieka o zszarpanych nerwach; najmniejszy ruch sprawiał, że podskakiwał. Maud, która nigdy nie ukrywała, że najbardziej kocha syna, krzątała się wokół niego jak kura, co tylko wzmagало jego nerwowość. Uprzedzała jego życzenia, dwadzieścia razy dziennie pytała, jak się czuje, i naciskała, żeby opowiadał o wojnie. Nieświadomie wypychała go na polowania, czego nienawidził ze względu na swój brak odwagi, ale wszystko było lepsze od siedzenia z matką w domu. Maud nie wiedziała, czy zwierza się ojcu, gdy razem wychodzili z bronią i psami, żeby strzelać do ptaków i zajęcy, bo Bertie nigdy nie rozmawiał o tym z żoną. Maud doprowadzała do wściekłości myśl, że dzieli się tym z Grace. Bolało ją, że Grace może wiedzieć więcej o jej ukochanym synu niż ona sama.

W noc przed powrotem Harry'ego na front Kitty zdecydowała się z nim porozmawiać. Nie mogła znieść, że jej brat płacze w poduszkę i nie ma przy sobie żadnej przyjaznej duszy. Kto zajmuje się nim tam, we Francji? Czy może zginąć tak jak wielu innych? Może już nigdy go nie zobaczy? Włożyła szlafrok, wzięła świecę i na palcach przeszła przez korytarz. Było zimno, szła więc pospiesznie, zdeterminowana nieść pocieszenie tam, gdzie jest ono potrzebne.

Dotarła pod drzwi sypialni Harry'ego. Były zamknięte, ale dostrzegła pod nimi wąską smugę światła. Przycisnęła ucho do drewna. Początkowo nic nie słyszała, ale potem wyłowiła stłumione łkanie. To wystarczyło. Przekreśliła gałkę i delikatnie pchnęła drzwi. Zastony wokół łóżka były zaciągnięte. W kominku dogasał ogień, a na dworze wiatr wył jak stado wilków. Na palcach podeszła do

łóżka i odsunęła zasłonę. Nie jedna, ale dwie twarze wpatrzyły się w nią z przerażeniem i zaskoczeniem. Kitty opadła szczęką. Harry gwałtownie usiadł.

– Kitty – syknął. – Co tu, u diabła, robisz?

Kitty przenosiła wzrok ze swego brata na Josepha, pierwszego lokaja. Obydwaj byli młodzi, nadzy, przystojni... i mieli miny winowajców! Na łóżku leżały rozrzucone kartki z wierszami napisanymi ręką Harry'ego.

– Usłyszałam płacz... Myślałam, że potrzebujesz pocieszenia. – Uśmiechnęła się szeroko; pod wpływem szoku miała ochotę wybuchnąć histerycznym śmiechem. – Ale widzę, że Joseph mnie uprzedził...

Harry poczerwieniał, w jego oczach odmalował się strach.

– Nie powiesz nikomu, prawda? – wyszeptał.

– Oczywiście, że nie. Nawet sobie nie wyobrażasz, Harry, jak wiele chronię sekretów.

– Obiecay mi! Nawet jeśli zginę we Francji, przysięgnij, że nikomu nie powiesz!

– Przysięgam na wszystkie świętości.

– A teraz już wyjdź. Nie będziemy nigdy do tego wracać. Rozumiesz?

– Rozumiem. – Puściła kotarę i czmychnęła z pokoju.

W swojej sypialni, trzęsąc się, padła na łóżko. Wiedziała, co jej ojciec robił z lady Rowan-Hampton w noc Letniego Balu, ale czy możliwe, żeby Harry robił to z Josephem? Nie, niemożliwe... Po prostu się przytulali. Dlaczego Harry nie miałyby być pocieszany przez lojalnego sługę?

Ale gdy wsunęła się pod kołdrę i zgasila świecę, instynktownie wiedziała, że to, co robili Harry i Joseph, było złe; w końcu żaden z nich nie miał na sobie ubrania, a przerażenie w ich oczach mówiło samo za siebie. Ale Kitty była mistrzynią w dochowywaniu tajemnic. Tej będzie strzegła w taki sam sposób jak innych. Świadomość, że ma tak wielką wiedzę, dawała jej poczucie siły.

Następnego dnia Harry wyjechał na front. Uściskał ją, wbrew swoim zwyczajom, i pożegnał błagalnym spojrzeniem, by dotrzymała słowa. Bertie wyjechał parę dni później. Nie wiedział, że najmłodsza córka zna również jego sekret. Też ją uściskał. Stryj Rupert wyruszył na wojnę, jakby wybierał się na przyjęcie. Pomachał zawiadacko ręką, ze śmiechem odrzucając głowę do tyłu. Tylko on wiedział, ile go kosztuje robienie dobrej miny do złej gry, ponieważ ukrywał przygniatający go strach.

Zanim Maud wyjechała do Anglii, udało jej się wziąć Trencha na stronę pod pretekstem rozmowy o edukacji najmłodszej córki. Kiedy już byli sami, powiedziała wprost:

– Panie Trench, widzę, że doskonale pan uczy Kitty, i wspólnie z mężem jesteśmy panu bardzo wdzięczni. Jednak czuję, że byłby pan szczęśliwszy w Anglii. W Irlandii jest bardzo wilgotno i zimno, a w tym starym zamku wszystko

trzeszczy. – Spojrzała na jego nogę. – Nie mogę sobie wyobrazić, jakie walory kryje dla pana kraj, który ma obsesję na punkcie koni. Może zamiast tego wolałby pan, panie Trench, wrócić do Anglii i uczyć moją córkę Elspeth? To bystra dziewczyna i na pewno wkrótce wyjdzie za mąż, ale każda młoda kobieta powinna posiadać dobre wykształcenie, nie uważa pan?

Maud była święcie przekonana, że Trench podskoczy z radości na wieść o szansie opuszczenia Irlandii. Młody człowiek jednak odpowiedział bez ogródek, ponieważ należał do tej samej klasy społecznej co pani Deverill i nie czuł się przy niej skrępowany.

– Pani Deverill, jestem zaszczycony, że oferuje mi pani posadę w Anglii, ale obawiam się, że muszę panią rozczarować. Kitty jest bardzo pojętną uczennicą i nauczanie jej sprawia mi ogromną przyjemność. A poza tym bardzo polubiłem Irlandię i ten zamek. Pani oferta nie skusi mnie do powrotu do Anglii.

Maud była wściekła. Spróbowała innej taktyki.

– Życie jest okropnie niesprawiedliwe – poskarżyła się, przybierając żalną minę. – Kitty ma takie możliwości, a tymczasem moja biedna Elspeth...

– Nie jestem jedyny, pani Deverill – odpowiedział Trench. – Na pewno w Londynie z łatwością znajdzie pani kogoś, kto chętnie podejmie się tej pracy.

– Nie ma w Londynie wielu nauczycieli takich jak pan – odparła poirytowana Maud. – Wszyscy teraz walczą na wojnie. No cóż, jeśli w tej chwili nie mogę pana przekonać, niech moja propozycja pozostanie otwarta. Gdy Irlandia da się panu we znaki, a zapewniam, że do tego dojdzie, może zmieni pan zdanie.

*

Maud wyjechała do Anglii z Victorią i Elspeth, a więc Kitty znów miała zamek dla siebie. Wznowiła lekcje z Trenchem, a im głębiej poznawała historię Irlandii, tym większy budził się w niej patriotyczny zapał. Często widywała się z Jackiem; jego ojciec nadal walczył na zachodnim froncie, a Jack był jedynym człowiekiem w Ballinakelly, który znał się na weterynarii, co rusz więc przyjeżdżał do Castle Deverill, gdzie było wiele zwierząt. A gdy nie pojawiał się w zamku, ona jechała go poszukać; niekiedy umawiali się na wzgórzach, gdzie galopowali po wrzosowiskach, a ich śmiech niesiony wiatrem mieszał się z żalnymi krzykami mew. Leżeli na trawie i rozmawiali, gdy dni robiły się coraz dłuższe i małe fioletowe kwiatki górskiej macierzanki rozkwitały w słońcu. Często spotykali się przy Magicznym Kręgu, żeby obserwować zachód słońca, wydłużający cienie, aż zdawało się, jakby kamienie ożyły.

Wiosną tysiąc dziewięćset piętnastego roku Jack zaczął patrzeć na Kitty innymi oczami, a i Kitty, którą z Jackiem łączył wspólny sekret oraz miłość do Irlandii, też zaczynała odczuwać narastającą czułość. Z niecierpliwością oczekiwała spotkań, a intensywność jego spojrzenia, gdy na nią patrzył, zmieniała

jej żołądek w galarete. Gdy nie była z Jackiem, wyglądała przez okno, rozmyślając o nim, a łączące ich patriotyczne uczucia nabierały coraz bardziej romantycznego charakteru.

Rozdział 12

Na początku tysiąc dziewięćset szesnastego roku rozwiała się nadzieja na szybkie zakończenie wojny. Bitwy toczyły się w Europie oraz na Bliskim Wschodzie z przerażającymi stratami po obu stronach. Żołnierze tkwili w okopach jak szczury; wyglądało na to, że nigdy nie posuną się do przodu i czeka ich śmierć. W Ballinakelly pojawiało się coraz więcej czarnych opasek na ramionach pogrążonych w żałobie matek i żon, ale cień śmierci jeszcze nie dosięgnął Castle Deverill. Deverillowie nieustannie modlili się za swoich bliskich, starając się prowadzić normalne życie. Cóż innego im pozostało?

Poprzedniego roku angielscy kuzyni jak zwykle przyjechali na lato, ale teraz Digby i George byli nieobecni, tak samo jak Bertie, Harry i Rupert, tak więc starzy Hubert i Stoke musieli sami zabawiać damy. Victoria nadal nie zaszła w ciążę, mimo że Eric przyjechał na przepustkę, a Elspeth w dalszym ciągu szukała męża. Kitty nie omieszkła przygadać Elspeth, że powinna rozejrzeć się za jakimś miłym Irlandczykiem, ponieważ wielu nie poszło na wojnę, na co Elspeth odcięła się, że tylko Kitty może dopuścić taką myśl i przedwcześnie wpędzić ich drogą mamę do grobu.

Odbywały się pikniki na plaży, partie krokieta i tenisa, kolacje i wystawne lunche, ale pod pozorami wesołości pulsował desperacki niepokój, gdy w gazetach pojawiały się wiadomości o krwawych bitwach i tysiącach poległych. Pewnego wieczoru Beatrice, szczególnie podminowana, wybuchła płaczem, opisując szokujący widok rannych żołnierzy w Londynie, zbyt okaleczonych, żeby wrócić do swoich regimentów.

– Wyglądali jak żywe trupy – pociągała nosem. – Nieustannie myślę o George’u, Digbym i naszych chłopcach.

Augusta wystawiała cierpliwość wszystkich na próbę, oświadczając uroczyście, że wolałaby umrzeć, byle uniknąć straszliwego cierpienia z powodu lęku o los syna i wnuka.

Ale w kwietniu tysiąc dziewięćset szesnastego roku Irlandię dotknęła wewnętrzna tragedia podczas wielkanocnego tygodnia. Powstanie irlandzkich republikanów, którego celem było zakończenie brytyjskiego panowania na wyspie, doprowadziło do strzelaniny na ulicach Dublinia.

– Cholerne kanalie! – wybuchł z wściekłością Hubert, ciskając na stół „Irish Timesa”. – Nie dość rozlewu krwi na tym świecie?!

Kitty w głębi duszy była podekscytowana. Irlandzkie buntownicze oddziały zajęły strategiczne budynki w Dublinie i ogłosiły powstanie Republiki Irlandii,

niezależnej od Wielkiej Brytanii. Przez sześć cudownych dni wydawało się, że zwyciężą, ale gdy brytyjska armia wkroczyła do gry, używając artylerii, ścięła buntowników jak kłosa jęczmienia.

– „W imię Boga i minionych pokoleń, od których otrzymaliśmy naszą odwieczną tradycję narodową, Irlandia poprzez nas wzywa swoje dzieci pod swą flagę do walki o wolność” – przeczytała Kitty proklamację, którą dał jej Jack, podpisaną przez siedmiu przywódców powstania wielkanocnego na pocztę głównej w Dublinie, deklarujących się jako tymczasowy rząd Republiki Irlandii.

– Rozstrzelano trzech z nich – oznajmił Jack, zrywając gałązkę wrzосу i obracając ją pomiędzy palcami.

– Przykro mi – odpowiedziała szczerze Kitty. – Myślisz, że rozstrzelają ich wszystkich?

– Wszystkich przywódców, którzy podpisali ten kawałek papieru, i przypuszczam, że kogoś jeszcze. Mogą rozstrzelać wiele osób.

– To musi być straszna śmierć – rzekła Kitty ściszoneg głosem.

– Wolałbym zginąć w bitwie, niż zostać rozstrzelanym przez pluton egzekucyjny, z opaską na oczach i białą szmatką przypiętą do piersi, żeby widzieli, gdzie jest serce.

Kitty się skrzywiła.

– Tak robią?

– Irlandzka Armia Obywatelska nie miała żadnych szans przeciwko armii brytyjskiej. Było ich zaledwie dwa tysiące przeciwko dwudziestu tysiącom żołnierzy. Jezu, nie mieli żadnych szans!

– Ale jeśli Niemcy by pomogli, mogło im się udać?

– Jeśli dotarłby do nich transport broni, być może. Ale tak się nie stało.

– Co teraz będzie?

Jack popatrzył na nią poważnym wzrokiem.

– Otrząśniemy się po porażce, będziemy się szkolić, ciągle naciskać. Nie poddamy się.

– Jack...

– Myślisz, że rozstrzelanie setek rebeliantów przez pluton egzekucyjny albo powieszenie ich słamsi pragnienie niepodległości? Nie, Kitty, to tylko doda nam sił. W całej Irlandii nie ma ani jednego mężczyzny, kobiety czy dziecka, nikogo, kto nie chciałby wyzwolić się spod brytyjskiego panowania. Powstanie to udowodniło.

– Co masz zamiar zrobić?

– Wstąpiłem do Irlandzkich Ochotników, Kitty. Jest nas około pięćdziesięciu w Ballinakelly, ale Napoleon powiedział: „Ludzie na wojnie są niczym, jeden człowiek jest wszystkim”.

– Skąd wiesz, co powiedział Napoleon? – spytała z uśmiechem.

Jack wpatrywał się w nią ze zdumieniem.

– Słyszałem – odparł. – Nie wszyscy są tak źle wykształceni jak ja.

– Chciałabym też brać w tym udział.

– Jesteś Angielką, Kitty. Jesteś jedną z nich.

Kitty zareagowała z furją.

– Jestem Irlandką, Jack, dobrze o tym wiesz. Myślisz, że byłabym twoją przyjaciółką, gdybym była jedną z nich? Naprawdę tak myślisz?

– Jesteś za młoda.

– We wrześniu skończę szesnaście lat.

– Jesteś dzieckiem.

Kitty usiadła i wpatrywała się w morze.

– Jak na swój wiek jestem dojrzała i wiesz lepiej niż ktokolwiek, że potrafię dotrzymać tajemnicy.

– To nie jest zabawa, Kitty. Popatrz, co stało się z hrabiną Markiewicz. Ona jest jedną z was, a zostanie rozstrzelana jak cała reszta.

Kitty była przerażona.

– Nie rozstrzelają kobiety, to niemożliwe!

– Nie uważasz, że dołączając do rebeliantów, wyrzekła się swojego statusu kobiety? Postawią ją przed sądem wojskowym, tak jak całą resztę, przekonasz się.

– Jack uśmiechnął się z czułością. – Wiem, że chcesz niepodległości Irlandii. Tak samo jak my chcesz skończyć z biedą i wyzyskiem Irlandczyków. Ale nie pomyślałaś, co stanie się później, prawda? Co się stanie z zamkiem Deverillów i twoimi dziadkami? Będziecie musieli stąd wyjechać, wszyscy. Pozostanie w Irlandii będzie zbyt niebezpieczne dla Anglików. Pomyślałaś o tym? Jesteś przygotowana, żeby oddać to wszystko dla naszej sprawy?

– Nie muszę niczego oddawać. Deverillowie są Irlandczykami. Żyjemy tu od tysiąc sześćset sześćdziesiątego pierwszego roku...

– Na naszej ziemi – dodał z szerokim uśmiechem Jack.

Kitty spuściła wzrok.

– Nic nie mogę poradzić na to, co wydarzyło się ponad dwieście lat temu, Jack.

– O to właśnie chodzi, czyż nie? Wy Anglo-Irlandczycy nigdy nie pozbędziecie się piętna, że jesteście potomkami zdobywców, że żyjecie na cudzej ziemi.

– Co chcesz, żebym zrobiła? Oddała ją?

– Teraz nie ma na to szans.

– A więc widzisz, nic z tym nie da się zrobić.

– I tak zażądają, żebyście wszyscy stąd wyjechali, Kitty.

– Nie, jeśli stanę do walki po stronie rebeliantów.

Jacka rozśmieszyła jej naiwność.

– Nie będziesz walczyć dla nikogo – rzekł miękko.

Kitty wpatrywała się w niego wymownie swymi szarymi oczami.

– Pewnego dnia będziesz mnie potrzebował, Jacku O’Leary, a gdy do tego dojdzie, przypomnę ci, że się ze mnie wyśmiewałeś.

*

– Z setek aresztowanych rozstrzelali zaledwie czterestu – narzekał Hubert w trakcie śniadania, ciskając gazetę. – Nie do wiary! Cholerni awanturnicy! Powinni ich wszystkich wystrzelać. – Prychnął z wściekłością i opuścił jadalnię.

Gdy Hubert, przerzuciwszy strzelbę przez ramię, wyszedł z psami na wyżwirowany podjazd, zobaczył jadącego na rowerze chłopaka w granatowym uniformie. Hubert przystanął. Psy usiadły u jego stóp, gdy chłopiec się zbliżył.

Na bagażniku roweru leżała brązowa paczka przewiązana sznurkiem. Hubertowi zaschło w ustach. Brawura gdzieś wyparowała i zimna ręka strachu ścisnęła mu serce.

– Dzień dobry, lordzie Deverill – powiedział chłopak.

Hubert nie mógł wykrztusić słowa. Stał sztywno i czekał. Wydawało się, że minęło dużo czasu, zanim paczka i telegram z czarną obwódką trafiły do jego rąk. Chłopiec odjechał. Dostarczał złe wiadomości zbyt wiele razy, żeby się wzruszać. Hubert stał na podjeździe, nie będąc w stanie zrobić kroku. Jeden z psów zaskowyczał i popatrzył na swego pana w niemej prośbie. Na mokradłach roiło się od ptactwa, a na wrzosowiskach od zajęcy, ale Hubert czuł ciężar tej paczki i szlochał.

Adeline, tknięta złym przeczuciem, podeszła do męża, gdy z ciężkich chmur zaczęło mżyć. Spojrzała na paczkę, na popielatą twarz i zbiele usta Huberta, a potem zamglonymi od łez oczami przeczytała telegram. Rupert zginął pod Gallipoli.

Wsunęła rękę pod ramię męża i powoli odprowadziła go z powrotem do zamku. O’Flynn przesunął znużone oczy od ich twarzy na paczkę i jeszcze bardziej się przygarbił. Gdy weszli do biblioteki, nalał swemu panu szklanek mocnej whisky, a potem, zauważając cierpienie lady Deverill, nalał również dla niej. Wdzięczni staremu słudze, wypili whisky jednym haustem, ale nic nie mogło zdusić ich bólu z powodu utraty syna.

Z głębokim westchnieniem Adeline rozwiązała sznurek i otworzyła paczkę. W środku był mundur Ruperta, jego książeczka wojskowa, pakiet listów przepasanych wstążeczką oraz srebrna piersiówka, którą dostał od ojca na osiemnaste urodziny. Trzęsącymi się palcami wytarła mokre od łez policzki. Dziś nie różniła się od innych matek w Ballinakelly, które nosiły żałobę, ponieważ śmierć wszystkich dotyka jednakowo.

Wezwano Kitty, która miała lekcję z Trenchem, i przekazano jej tragiczną

wiadomość. Aż dotąd irracjonalnie wierzyła, że nikogo z jej rodziny nie dotknie śmierć na polu bitwy. Wmówiła sobie, że Deverillowie nie walczą na pierwszej linii. Zawsze byli uprzywilejowani. Ale nikt nie jest uprzywilejowany podczas wojny.

Pobiegła na górę do sypialni i zadzwoniła po Bridie.

– Stryj Rupert nie żyje – wyjąkała, płacząc, gdy Bridie weszła. – Zginął w bitwie. Czy tata będzie następny? – Bridie objęła przyjaciółkę; czuła łyżwiarskie w jej fartuch. – Wiem, że zrozumiesz, bo też straciłaś ojca.

– Rozumiem – powiedziała delikatnie Bridie.

– Kiedy to się skończy? Kiedy tata i Harry wrócą do domu? To okropne, po prostu okropne!

– Wojna się na pewno skończy. Panicz Harry i twój ojciec wrócą do domu. Wrócą! To nie może trwać wiecznie, prawda?

– Nie wiem. A jeśli...? – Kitty złapała Bridie za rękę. – Musi ci brakować taty.

– Nie ma dnia, żebym o nim nie myślała. Niech Bóg ma w opiece jego duszę.

– Wcale nie jest mi lżej ze świadomością, że stryj Rupert jest w raju, ponieważ nie ma go tu, gdzie powinien być. Babcia wypłakuje oczy, chociaż wie, że on nie leży martwy na polu bitwy, tylko już jest w niebie. Bo duch nie jest taki jak żyjąca osoba. Nie można dotknąć ducha, a duch nie może cię przytulić. – Kitty mocno zacisnęła oczy. – Och, Boże, nie zabieraj taty!

Najgorsze, że nie można było pochować ciała. Dom Ruperta, należący do posiadłości Deverillów, został zabity deskami jak grobowiec. Adeline nie mogła się przełamać, by usunąć rzeczy syna, nie chciała również się zgodzić, żeby ktoś inny tam zamieszkał. Zamówiła prywatne nabożeństwo w jego intencji w kościele Świętego Patryka w Ballinakelly. Pod kościołem zgromadziło się wielu mieszkańców miasteczka oraz dzierżawców, żeby wyrazić swój szacunek dla rodziny. To właśnie wtedy Adeline zauważyła, jak mizernie ludzie wyglądają. Patrzyła z przerażeniem na kościste ciała i wychudłe twarze dzieci i zachodziła w głowę, dlaczego wcześniej tego nie dostrzegła. Ten widok wyrwał ją z rozpacz i pobudził do działania. Nazajutrz rano razem z Kitty pojechały do miasteczka wozem wypełnionym koszami z jedzeniem dla dzierżawców. Przy pomocy ogrodników ogołociły szklarnię z warzyw, ponadto wydano dyspozycję pani Doyle, żeby zaczęła piec chleb sodowy.

Ich dobroczynność została przyjęta z wdzięcznością. Od tej pory misją życiową Adeline stała się pomoc ubogim. Był to jej sposób na tłumienie rozpacz; aktywność i celowe działania pomagały ją rozproszyć.

– Ogrody są wystarczająco duże, żeby produkować więcej żywności – powiedziała, wydając polecenie, żeby wysiano, wyhodowano i zebrano więcej

plonów. – Nie powinniśmy trzymać wszystkiego dla siebie.

Hubert parskał i prychał jak stary silnik, skarżąc się, że działalność charytatywna żony doprowadzi ich do bankructwa.

Latem, gdy rodzina znów się spotkała w większym gronie, Adeline skłoniła kobiety, żeby zabrały się do pracy. Skończyły się partie krokieta i tenisa, wystawne kolacje i lunche oraz leniwe słoneczne popołudnia spędzane na grze w karty pod parasolami. Ludzie ich potrzebowali; muszą sprostać wyzwaniu i ich dożywiać, tak jak kiedyś robiła to teściowa Adeline, która podczas klęski głodu uruchomiła garkuchnię.

Maud narzekała, że Adeline oszalała z rozpaczy. Beatrice zakasała rękawy i zabrała się do pracy z radością. Czyż nie było tak jak w Petit Trianon Marii Antoniny? Urocza zabawa, którą mogła się cieszyć przez całe lato, zanim wróci do cywilizacji w Deverill Rising, wiejskiej posiadłości w Wiltshire, gdzie nie będzie musiała kopać kartofli i rozwozić ich biednym. Victoria, Elspeth i bliźniaczki skarżyły się gorzko, gdy łuskały bób i w nieskończoność zbierały maliny, ale Kitty i Celia lubiły te zajęcia, być może na przekór siostrom.

Pod koniec lata nie zorganizowano zwyczajowego balu w zamku. Brakowało młodych mężczyzn do towarzystwa, a zresztą wydawanie przyjęcia, gdy połowa rodziny i znajomych ryzykowała życie na froncie, nie wydawało się stosowne. Gdy kuzynki wróciły do Wiltshire, a Maud do Kentu z Victorią i Elspeth, w zamku ponownie zapanowała cisza i całun żałoby, chwilowo uniesiony podczas letnich miesięcy, znów okrył rodzinę.

Adeline popadła w odrętwienie. Zdawało się, że prace ogrodnicze wyczerpały całą jej energię. We wrześniu jak zwykle przybyli robotnicy, żeby zebrać owoce: jabłka, figi, gruszki i śliwki, krzyżówki jeżyn i malin, truskawki i porzeczki. Adeline przymykała oczy, gdy pracownicy ukradkiem podjadali owoce i dodawali kamienie do koszy podczas ważenia i zapłaty.

Siedziała w swoim małym saloniku, słuchając muzyki z gramofonu i popijając ziołową herbatę z konopi indyjskich, które uprawiała na uspokojenie nerwów. Tu zastawała ją Kitty wieczorami, zwykle samą, ponieważ Hubert ciągle gdzieś bawił poza domem. Zwinięta w kłębek w dużym fotelu wyglądała teraz na kruchą staruszkę, gdy tak wpatrywała się w płomień jakby w nadziei, że znajdzie tam odpowiedzi. Słodki zapach torfowego dymu i ziołowej herbaty niósł ze sobą przyjemne, kojące ciepło. Kitty ubóstwiała siadywać obok babci i czytać. Lubiała słuchać spokojnej klasycznej muzyki i czuć bliskość Adeline. Przytulny salonik był niczym oaza oddalona od zamętu tego świata.

– Rupert miał problemy ze sobą – powiedziała cicho Adeline, wpatrując się w ogień. – Udawał szalonego, uroczonego lekkoducha, żeby ukryć niedowartościowanego chłopca, którym był w istocie. Taki był od zawsze, już jako dziecko popisывał się, żeby pokryć nieśmiałość. Co innego Bertie, on urodził się

pewny siebie. Przypuszczam, że tak często bywa w przypadku najstarszego syna. Wie, dokąd zmierza. Jeśli ocaleje w tej wojnie, odziedziczy zamek, gdy Hubert zamknie oczy, a po nim przejmie go Harry. Wszystko jest z góry ustalone, bardzo przewidywalne.

– A co się stanie, jeśli Irlandia uzyska niepodległość? – spytała Kitty. – Czy będziemy musieli się stąd wynieść i zamieszkać w Anglii?

– Oczywiście, że nie. Rewolucja nie oznacza jeszcze, że nie będziemy mogli nadal tu żyć. Nic nas nie zmusi do opuszczenia własnego domu. Przynależymy do tej ziemi i Bóg wie, że zasługujemy, żeby na niej pozostać. Opiekujemy się naszymi dzierżawcami i szanujemy tych, którzy chcą wybić się na niepodległość.

– Dziadek tak nie uważa.

Adeline prześlizgnęła się wzrokiem po sofie, na której siedziała Kitty, i z brzękiem odstawiła filiżankę na spodeczek.

– Dziadek! – Zaśmiała się ze znużeniem w głosie. – Hubert lubi zaklinać rzeczywistość, myśli, że jeśli czemuś zaprzeczy, to tak się nie stanie. Oczywiście tak nie jest. Wychował się w przekonaniu o potędze i sile Korony. W to samo wierzyli jego rodzice. – Wzruszyła ramionami. – Lojalność wobec króla i kraju nie pozwala mu na inny punkt widzenia. Zauważ jednak, że śmierć Ruperta zachwiała jego przeświadczeniem o niezawodności brytyjskiej armii. Deverillowie nie różnią się od innych ludzi. Mogą nas wyciąć w pień jak innych. Obawiam się, że Irlandczycy posuną się wobec nas do przemocy, Kitty. Nigdy nie wybaczą Anglikom egzekucji przywódców powstania wielkanocnego. W oczach Irlandczyków to męczennicy, a nie ma nic bardziej niebezpiecznego niż męczennik. Oni teraz przebywają w Tír na nÓg[6], krainie wiecznej młodości, odwiedzanej przez bohaterów. Jestem przekonana, że doświadczymy odwetu.

– Kiedy wojna się skończy? – westchnęła Kitty. – Już trwa dwa lata. Ktoś w końcu musi wygrać.

– Dopiero wtedy, gdy wybiją się wszyscy do nogi – odrzekła Adeline z nietypowym dla niej pesymizmem. – Podstawą wszelkiego zła na świecie jest wybujałe ego człowieka. Gdyby ludzie mogli się wznieść ponad to, świat byłby przyjaznym miejscem. Ale nie mogą. Jesteśmy gorsi od zwierząt.

Kitty zauważyła, że jej babci zamykają się powieki, a głowa opada na piersi. Wstała, podeszła do fotela i złapała filiżankę ze spodkiem, zanim zdążyła spaść na dywan. Zaciekawiona, jakie to zioła odurzyły babcię, naląła sobie ostatnią porcję z czajniczka i wypila łyk. Smakowały łagodnie, nawet słodkawo. Czy babcia dodała miodu dla poprawienia smaku? Wkrótce zaczęło jej się kręcić w głowie i ledwie doszła do sofy, zanim padła na poduszki. Po chwili świat wydał jej się lepszy. Nic nie miało znaczenia. Ani niepodległość, ani Jack, ani Irlandia. Pociągnęła kolejny duży łyk i się uśmiechnęła. Jej babcia naprawdę jest czarownicą, a to jest jej czarodziejska mikstura.

*

Wiosną tysiąc dziewięćset siedemnastego roku Harry wrócił z wojny, ranny w ramię podczas ostrzału artyleryjskiego. Ale nie przyjechał do Castle Deverill. Maud uważała, że brytyjskiemu żołnierzowi grozi niebezpieczeństwo w kraju, gdzie narasta niechęć do Brytyjczyków, i wezwała go do Kentu. Wobec Kitty nie miała takich obaw i nie zamierzała ściągać jej do siebie. Co by tu z nią poczęła? Wiedziała w głębi serca, że Kitty wyrosła na piękną i elokwentną pannę, która z łatwością przyćmiłaby Elspeth. Nie było teraz wielu młodych kawalerów jak kiedyś i zapraszając Kitty, zmniejszyłaby szanse Elspeth na znalezienie męża, a nie chciała do tego dopuścić.

Hubert poprawił sobie humor, kupując lśniący czerwony samochód marki Daimler. Dostarczono go prosto z Anglii; cały błyszczący i nowy, wywołał prawdziwą sensację, gdy Hubert przewiózł nim Adeline i Kitty do Ballinakelly i z powrotem. Biegły za nim hordy dzieciaków, kobiety wpatrywały się w auto, jakby zobaczyły dziwo nie z tego świata, a mężczyźni śmiali się, kręcąc głowami na ekstrawagancje lorda Deverilla, który miał w nosie opinię innych ludzi. W zamku służba wyległa na podjazd, żeby obejrzeć nowy wóz swego pana. Bridie nigdy w życiu nie widziała czegoś tak magicznego. Pani Doyle kręciła głową, uważając, że to dzieło szatana, a O'Flynn przesunął palcami po masce, przypominając sobie ze wzruszeniem blaszany pociąg, który dostał w prezencie, gdy był chłopcem, pomalowany na taki sam czerwony kolor. Gdy Hubert zaproponował mu przejażdżkę wokół posiadłości, O'Flynn, wskakując na przednie siedzenie, znów poczuł się chłopcem, jakby nie miał osiemdziesięciu lat i nie był niedołąźny.

Minęli Jacka O'Leary'ego, który jechał konno do zamku, żeby zbadać okulałą klacz. Jack zdjął czapkę i obserwował, jak samochód pędzi po błocie. Lord Deverill pomachał do niego. Jack zastanawiał się, jaki sens ma marnowanie pieniędzy na tak kosztowną zabawkę.

W stajni zbadał klacz – jak się okazało, nie miała poważnej kontuzji, a jedynie naciągnęła mięsień, który wymagał kilkudniowego odpoczynku. Gdy zamykał wrota do stajni, pojawiła się Kitty w ubraniu do konnej jazdy.

– Odprowadzę cię do domu – powiedziała, ale on wiedział, że to oznacza jazdę do Magicznego Kręgu, żeby tam porozmawiać o polityce, wojnie oraz prywatnych błahostkach.

Kitty jechała na damskim siodle. W czarnej amazonce prezentowała się wytwornie i stylowo. Gruby rudy warkocz, spływający spod czarnego kapelusza, sięgał jej do pasa. Na tle czarnej sukni i białego kołnierzyka jej skóra była nieskazitelnie gładka jak powierzchnia śmietany, a pełne usta uśmiechały się figlarnie, podczas gdy w szarych oczach błyszczała inteligencja i powaga. Jack

podziwiał ją w siodle. Jeździła z wielką pewnością, wynikającą z lat praktyki oraz odważnego serca. Wskoczył na konia i ruszyli pod drzewami, na których pączki zaczynały się już otwierać.

Gdy wyjechali na wzgórze, ruszyli galopem po wrzosowiskach, ramię w ramię, ciesząc się rozkosznymi podmuchami wiatru i wspaniałym widokiem morza. Dotarłszy do Magicznego Kręgu, zeskoczyli z koni, pozostawiając zwierzęta luzem.

– Pamiętam, jak powiedziałam ojcu, że te kamienie ożywają po zachodzie słońca – powiedziała Kitty, chodząc pomiędzy głazami. – Oczywiście pomyślał, że jestem szalona. Pamiętam ten wyraz w jego oczach. Nie miałam szansy mu wyjaśnić, że podczas zachodu słońca, gdy cienie się wydłużają, one tylko wyglądają, jakby się poruszały. Wychowywany przez moją babcię, nasłuchiwał się rozmaitych opowieści o nadprzyrodzonych zjawiskach i pewnie pomyślał, że to jedna z nich. Biedny tata! On jest taki wyrozumiały... – Popatrzyła na morze i fale przewalające się po szerokiej białej plaży. – Modłę się za niego, Jack. Modłę się, żeby nie został ranny jak Harry, żeby do nas wrócił cały i zdrowy, jak przed wyjazdem.

Jack stanął obok niej i zapatrzył się na horyzont.

– Widzisz duchy i wszystko to, co będzie, gdy umrzemy?

– Opuszczamy nasze ciała i odpływamy w miejsce, gdzie nie ma wojny, przemocy i biedy.

– Wierzysz w to, prawda?

– Ja to wiem, Jack. Ty też to wiesz, pamiętasz?

– Ta twarz, którą zobaczyłem w oknie, była duchem. Ale to co innego.

– Nie, to jest to samo. To był Jonnie Wilson, który poległ na wojnie, ale wrócił, żeby odnaleźć swoją ukochaną. Romantyczne, nie sądzisz?

– Owszem, romantyczne – przyznał. – I sądzisz, że panna Grieve zabiła się, żeby być z nim?

– Tak myślę.

Jack odwrócił się, żeby na nią spojrzeć. Słońce zaczęło zachodzić, oblewając rysy Kitty ciepłym bursztynowym złotem.

– Gdybym umarł, wróciłbym, żeby być z ukochaną kobietą. Gdybym mógł.

Kitty się uśmiechnęła.

– Do kogo byś wrócił, Jack? – Ale gdy wypowiedziała te słowa, ścisnęło ją w gardle, ponieważ dostrzegła, z jaką czułością na nią patrzy. Policzki jej się zarumieniły, a usta rozchyliły ze zdumienia.

Jack wyglądał na bardzo poważnego, a nawet zaniepokojonego. Nie spuszczał z niej wzroku, ale jej oczy były tak rozszerzone i pełne rezerwy, że nie mógł niczego z nich wyczytać ani też patrzeć w nie dłużej. Wziął głęboki oddech, jakby zamierzał podjąć wielkie ryzyko, po czym sięgnął po jej rękę w rękawiczce

i lekko ją uściskał.

– Wróciłbym do ciebie, gdybym mógł – rzekł cicho.

Oczy Kitty rozbliły.

– Kochasz mnie, Jack? – spytała.

– Tak, Kitty, całym sercem.

Kitty poczuła, jak coś ciepłego i słodkiego wypełnia pustkę w jej sercu, tę pustkę, którą tak boleśnie odczuwała za każdym razem, gdy wpatrywała się w rozgwieżdżone niebo i Księżyc w pełni. Teraz zrozumiała, że ból wynikał z poczucia samotności.

– Myślę, że ja też cię kocham, Jack – odparła ochryple, a figlarny uśmiech na jej pobladłych wargach przerodził się nagle w nieśmiały.

Jack wziął ją w ramiona i przycisnął usta do jej ust. Pozwoliła mu je rozchylić i dotrzeć głębiej. Jego skóra pachniała końskim kurzem, włosy zaś torfem, i Kitty chciała szlochać ze wzruszenia, chłonąc znajome zapachy kojarzące jej się z domem. Obejmując Jacka ramionami za szyję i przywierając do niego, zamknęła oczy i rozluźniła się, pozwalając sobie na czerpanie przyjemności z nieznanych doznań, które teraz nią zawładnęły. Gdy cienie wydłużyły się i kamienie zaczęły się poruszać, Kitty zrozumiała, że należy do Jacka O'Leary'ego tak pewnie, jak należała do Irlandii.

6 Według mitologii irlandzkiej jeden ze światów pozagrobowych.

Rozdział 13

Bridie zauważyła zmianę w Kitty. Była rozkojarzona, wiecznie zamyślona i niezwykle jak na siebie uległa. Jej ostre spojrzenie złagodniało, częściej odwracała się do okna i wpatrywała niewidzącym wzrokiem w żółknące liście na drzewach i wzburzone morze. Nie pokładała się już na łóżku z Bridie, wysmiewając z pana Trencha, ale leżała, wpatrując się w baldachim z pofałdowanego jedwabiu, od czasu do czasu głęboko wdychając z rozmarzeniem i ulgą zarazem, niczym romantyczna heroina w magazynach, które czytywała Bridie. Bridie mogła jedynie przypuszczać, że jej przyjaciółka zadurzyła się w swoim nauczycielu. Któż inny mógł zmienić tę zadziorną młodą damę w niepoprawną marzycielkę?

Trench był wszak przystojnym mężczyzną. Zza okularów patrzyły jasnobrazowe oczy; miał poważną twarz o regularnych, przyjemnych rysach, prosty nos, kanciasty podbródek, wyrazistą szczękę i kości policzkowe. Bridie uważała go za dżentelmena. Zawsze mówił jej „dzień dobry” i traktował uprzejmiej niż inni goście Deverillów. Większość z nich nie raczyła nawet zauważać służby, chyba że mieli jakąś potrzebę, a słowa „proszę” i „dziękuję” zdawały się nie istnieć w ich słowniku. Bridie nie była wtajemniczona w to, co dzieje się w pokoju lekcyjnym, a ponieważ w przeciwieństwie do Kitty nie miała wścibskiej natury, zagładanie przez dziurkę od klucza nie wchodziło w grę. Mogła tylko czekać, aż Kitty sama jej się zwierzy, czego zresztą była pewna; w końcu opowiadała jej o wszystkim.

Wojna rozszalała się jak niekontrolowany pożar lasu, pochłaniając bezlitośnie coraz to nowe ofiary. George Deverill, syn Digby’ego i Beatrice, który każdego lata bawił się z Harrym, zginął na morzu, Digby’ego zaś uznano za zmarłego, leżał bowiem na polu bitwy pod stosem trupów i dopiero następnego ranka odkryto, że jest tylko ranny w nogę. Wrócił do Anglii na rekonwalescencję, ale nic nie mogło zaleczyć rany w jego sercu po stracie jedyne syna. Kitty opłakiwała George’a i modliła się jeszcze żarliwiej za ojca. Bridie pocieszała ją najlepiej, jak potrafiła.

Zarobki Bridie przyjęto w domu z wdzięcznością. Michael i Sean harowali na roli, żeby opłacić rentę i się wyżywić, ich matka ciężko pracowała w zamkowej kuchni, stara pani Nagle gotowała dla całej rodziny i żadne z nich nigdy nie spóźniało się na mszę. Gdziekolwiek by byli, zdejmowali czapki, pochylali głowy i dwa razy dziennie modlili się na dźwięk dzwonów na Anioł Pański. Dwa razy dziennie Bridie wspominała ojca i choć nieustannie sobie powtarzała, że czas leczy rany, tak się nie działo. Tęskniła za nim równie silnie jak tego dnia, gdy go straciła.

Angelus Domini nuntiavit Mariae... Przetykała łyzy, wspominając Tomasa, który w jej wspomnieniach wydawał się dla niej nawet ważniejszy, niż był w rzeczywistości, i obiecywała mu w duchu, że dokona czegoś w życiu, by dać mu powód do dumy.

Bridie widywała Jacka w niedziele rano na mszy. Jego łobuzerski uśmiech i intensywne spojrzenie sprawiało, że jej żołądek robił salto; nagle strach i niepokój, który zaciemniał jej serce, wyparowywał jak mgła i cała promieniowała wewnętrznym światłem. Odprowadzał ją do domu, a ona zabawiała go plotkami z zamku. Najbardziej lubił opowieści o Kitty; śmiał się z jej wygłupów, odrzucając głowę do tyłu, a więc Bridie starała się zawsze mu ich dostarczać.

– Wiesz, że Kitty jest zakochana – powiedziała mu pewnej październikowej niedzieli, gdy szli spacerowym krokiem.

– Czemu tak sądzisz? – spytał.

– Jest taka rozmarzona.

– Ona zawsze jest rozmarzona. – Jack uśmiechnął się z czułością.

– To zupełnie inny rodzaj rozmarzenia. Ciągle wzdycha i ma takie zamglone spojrzenie.

– Jak myślisz, w kim jest zakochana?

– Uważam, że w panu Trenchu.

Twarz Jacka pociemniała.

– W Trenchu? – wykrzyknął.

– W swoim nauczycielu. – Wzruszyła ramionami. – Któż inny to mógłby być?

– Podśluchiwałaś, Bridie?

Bridie poczuła się urażona.

– Nie wściubiam nosa w uchylone drzwi, Jack, doskonale o tym wiesz. Ona spędza z nim całe przedpołudnia. To bardzo przystojny chłopak.

– Nie wątpię, Bridie – westchnął Jack. – Jestem po prostu zaskoczony.

– A ja nie. Dlaczego nie miałyby się w nim zakochać? Sztywna noga dodaje mu tylko romantyzmu.

– Wygląda mi na to, że i tobie się spodobał.

– Nieprawda! – Bridie zarumieniła się gwałtownie. Gdyby mogła zdobyć się na szczerść i powiedzieć, kto naprawdę jej się podoba...

– Oj, rumienisz się, Bridie Doyle! – wybuchnął śmiechem. A gdy nie odpowiadała, szturchnął ją lekko. – Tak tylko żartuję!

– To mało zabawne.

– Zaczynasz mówić jak snobka, Bridie. Za bardzo się upodabniasz do tych na górze, w zamku.

– Muszę się wyrażać właściwie – powiedziała Bridie, zadowolona, że zauważył w niej zmianę. – Jestem osobistą pokojówką damy.

– To wspaniale, Bridie.

Spojrzała na jego profil i pomyślała, że zniknął gdzieś chłopiec, Jack zdecydowanie stał się już mężczyzną.

– Michael nie chciałby, żebyśmy, ja i mama, pracowały u Deverillów, ale nie może pogardzić moimi zarobkami.

– Są szczerzy. Trzeba im to oddać.

– A co u ciebie, Jack? Rzadko cię ostatnio widuję.

Westchnął głęboko, jak mężczyzna obarczony ciężką pracą i poczuciem niepewności.

– Praca, praca i żadnej zabawy, Bridie. Gdy tata walczy...

– Modłę się za niego, Jack.

– Ja też – odpowiedział cicho.

Gdy rozstawali się na końcu ulicy, gdzie kończyło się miasto, a zaczynała wieś, Bridie się odwróciła.

– Ale nie powiesz Kitty, prawda, Jack?

– Niech mnie diabli, jeśli kiedykolwiek to zrobię – odparł, zdejmując czapkę i machając do niej. – Pozdrów ją ode mnie!

Bridie się roześmiała.

– To na nic się nie zda! Kitty jest zapatrzona w Trencha! – I w podskokach wróciła do zamku.

*

Kitty pędziła przez ogród, owijając się mocno szalem przed porywami wiatru. Raz po raz rozglądała się, sprawdzając, czy nikt jej nie śledzi. Liście rozrzucone przez wiatr zagrabiono w stosy i pozostawiono, by zgniły wraz z letnim poszyciem. Rabaty, kiedyś kipiące różnokolorowymi kwiatami, były teraz nagie i zbutwiałe, ponieważ starzy ogrodnicy nie mieli ani czasu, ani energii, żeby je przyciąć i wyczyścić. Kitty przyspieszyła, jej oddech opuszczał usta w kłębach pary, czerwone włosy luźno rozpuszczone z powodu wilgoci skrzyły się w grube loki.

Dotarła do muru i przystanąła. Rozejrzała się jak lisica czatująca na kury; musiała się upewnić, że jest całkiem sama. Stwierdziwszy z ulgą, że tylko gawrony szpiegują ją z czubków drzew, przyklękła i wyjęła luźny kamień, przykryty miękką kołderką zielonego mchu. Pod nim w suchej jamie znajdowała się kartka białego papieru, starannie złożona w kwadrat. Jack zawsze składał swoje listy w taki sam sposób, na pół, a potem jeszcze na zakładkę, tak że, raz otwarty, trudno go było powtórnie tak samo złożyć. Z kieszeni spódnicy wyjęła liścik, który sama napisała, i umieściła go w skrytce pod kamieniem.

Podniecona pobiegła do pobliskiej szklarni i przycupnęła na żelaznej ławeczce, gdzie latem siadywały z Celią i Bridie, żeby snuć swoje intrygi. Dziś

była sama. Wzięła głęboki oddech i otworzyła list.

Moja piękna Kitty, widziałem dzisiaj lisa, gdy jechałem do Morgan's Point. Miał takie bystre spojrzenie. Pomyślałem o Tobie i pomyślałem o nas, i moje serce wypełniła radość. Cokolwiek się stanie, zawsze będę dziękował Bogu za Ciebie, moja mała lisiczko. Jestem najszczęśliwszym mężczyzną w Irlandii. Teraz zdaję sobie sprawę, że niesłusznie oskarżałem Cię, że jesteś Angielką. Dla mnie, Kitty, pod każdym względem jesteś Irlandką.

Spotkajmy się o zachodzie słońca przy Magicznym Kręgu, jeśli uda Ci się wymknąć. Mam nadzieję, że tak. Tęsknię za Twoimi pocałunkami.

Twój kochający Cię Jack

Kitty przeczytała list jeszcze raz, po czym przycisnęła do serca z długim, pełnym satysfakcji westchnieniem. Nawet przez myśl jej nie przeszło, że jej przyszłość z Jackiem może być zagrożona. Pochodzili z odmiennych światów pod względem religijnym i społecznym i doskonale wiedziała, że oczekiwano po niej poślubienia Anglika. Ale kochała Jacka, a dla niej ich miłość była wystarczająco silna, żeby pokonać wszelkie przeszkody. W głębi serca wiedziała, że nic ich nie rozdzieli, ani matka, ani ojciec. Wiedziała jednak, że w tej walce może liczyć wyłącznie na babcię.

Nie tracąc czasu na przebranie się w strój do jazdy konnej, pospieszyła do stajni, osiodłała klacz i wskoczyła na nią w czarnych zapinanych na guziczki trzewiczkach, sukience i szalu. Millsa nigdzie nie było widać, ale jeden z chłopaków stajennych, wycierając brudne ręce w starą szmatę, przyglądał jej się z zaciekawieniem spod czarnej grzywki.

Kitty poczuła zew wolności. Nikt jej nie nakaze, co i kiedy ma robić. Miała siedemnaście lat, chłopcy stajenni jej sprzyjali, matka była w Anglii, ojciec na froncie, a dziadek w Dublinie, gdzie teraz spędzał wiele czasu. A gdyby babcia zobaczyła ją jadącą na koniu w zwykłej sukience, tylko z uśmiechem pokręciłaby głową, ponieważ Adeline podziwiała animusz wnuczki. Jeśli zaś chodzi o Trenchę, był jej nauczycielem, nie niańką, i nie miał prawa kwestionować jej poczynań. Gdy galopowała aleją, właśnie wracał z długiego spaceru wokół posiadłości. Nie zauważyła go przechodzącego przez trawnik, na którym podczas letnich miesięcy grali w krokieta, i zostawiającego odciski butów na mokrej trawie, nie mogła więc dostrzec melancholijnego wyrazu jego twarzy, gdy zdjął okulary i odprowadzał ją wzrokiem. Patrzyła przed siebie, w zachodzące słońce.

Przy Magicznym Kręgu zeskoczyła z siodła i rzuciła się w objęcia Jacka. Wiał słony, zimny wiatr. Jack mocno ją objął, żeby ją osłonić. Znalazł jej usta poprzez płataninę włosów wijących się wokół głowy w długich czerwonych splotach jak u syreny. Przywarła do niego tak mocno, że nawet wiatr nie mógł się między nich wcisnąć. Był ciepły, solidny, znajomy, upajała się jego zapachem jak

pijak whisky po dniu abstynencji. Jack pocałował jej lodowate policzki oraz miękką szyję, a potem ujął jej twarz w dłonie, żeby na nią popatrzeć.

– Jesteś piękną kobietą, Kitty Deverill.

– A ty przystojnym mężczyzną, Jacku O’Leary. – Roześmiała się, wpatrując się w jego oczy, w których kryła się mądrość i dojrzałość, choć był jeszcze tak młody.

– Tak bardzo cię kocham.

– Ja też cię kocham. Bardzo.

– Bardziej niż pana Trencha? – Mówił swobodnym tonem, ale w jego oczach czaił się niepokój.

Kitty zmarszczyła brwi.

– Co ci przyszło do głowy? Wcale nie kocham Trencha.

– To dobrze.

– Skąd ten pomysł, Jack?

– Jestem zazdrosny, Kitty.

– Nie masz powodu. Należę do ciebie, ciałem i duszą. Nigdy w to nie zwątp.

Pocałował ją znów, głęboko i zachłannie, jakby gdzieś w sercu przeczuwał, że pewnego dnia pocałuje ją po raz ostatni i że Kitty nigdy nie będzie należeć do niego. A Kitty, nie zdając sobie sprawy z jego lęków, zachwycona jego żarliwością, uniosła podbródek, żeby mógł zatopić twarz w jej szyi.

*

Maud przyjechała do Castle Deverill na święta z Victorią, Elspeth i Harrym. Harry nalegał na przyjazd. Na froncie został ranny w ramię i nadal dochodził do zdrowia. Kitty uderzył jego odmieniony wygląd. Zniknął gdzieś beztroski chłopiec, a jego miejsce zajął mężczyzna udręczony tym, przez co przeszedł. Maud nadszalała mu bardziej niż kiedykolwiek, ale Harry, nie będąc w stanie tego znieść, wybuchał raz po raz, co było całkiem do niego niepodobne, i zmuszał matkę do milczenia. Domagał się, żeby Joseph był jego osobistym lokajem. Tylko Kitty wiedziała dlaczego. Nie ośmieliła się wchodzić do jego pokoju z obawy, że zastanie ich w łóżku, aczkolwiek coś w głębi duszy podpowiadało jej, że Harry’ego w ogóle by to nie obeszło. Fakt, że znała jego tajemnicę, również wydawał mu się obojętny. Właściwie wspólny sekret zbliżył ich do siebie. Szukał jej towarzystwa podczas długich spacerów po plaży oraz wypraw w morze łódką ojca, i chociaż nigdy o tym nie wspomniał, w towarzystwie Kitty czuł się swobodniej niż w obecności kogokolwiek innego.

Bridie przysłuchiwała się paplaninie w kuchni. Molly, pokojówka, z którą dzieliła pokój, była namiętą plotkarą. Przydzielono ją do zajmowania się matką Kitty oraz jej siostrami, a więc donosiła, że Maud często krzyczy na córki, które wyraźnie się jej boją, nawet najstarsza, która jest już przecież hrabiną. Szczególnie

wyżywała się na Elspeth – przy lada okazji przypominała jej, że się starzeje i jeśli wkrótce nie znajdzie męża, skończy jak zakurzony bibelot na półce. Elspeth broniła się, że niewielu wartościowych mężczyzn pozostało przy życiu, na co Maud się odgryzała: „Jeśli nie potrafisz znaleźć sobie księcia, znajdź kalekiego księcia, ale, na litość boską, oszczędź mi upokorzenia. Nie chcę być matką starej panny”.

Bridie była zszokowana tymi rewelacjami. Nie mogła sobie wyobrazić, że matka może być tak pozbawiona serca. Ale cóż, Maud była kobietą prózną i samolubną. Tylko Harry’ego traktowała pobłaźliwie. „On znajdzie sobie odpowiednią narzeczoną – Molly powtarzała jej słowa Maud. – Jest przystojny, odważny i odziedziczył wielki majątek. Nie opędzi się od kobiet. Jaka szkoda, że nie urodziłyście się chłopcami!”.

Kitty odzywała się do matki tylko wtedy, gdy musiała. Zawsze była uprzejma, odpowiadała krótkimi zdaniami, upewniwszy się uprzednio, że matka na pewno zwraca się do niej.

– Tej wiosny nie będzie londyńskiego sezonu – powiedziała do niej matka podczas lunchu na dzień przed świętami. – Nic się więc nie stanie, jak zostaniesz tutaj.

– Ale jak Kitty znajdzie sobie męża? – spytała Victoria z wyższością. – Biednej Elspeth się nie poszczęściło.

– Czy to jedyna sprawa, która cię obchodzi, Victorio? Małżeństwo? – rzuciła zadziornie Kitty.

– A cóż jest ważniejsze? – odparła siostra.

– Jeśli to jedyny cel życia kobiety, to wołałabym się urodzić chłopcem – skwitowała Kitty.

Elspeth przewróciła oczami.

– Mówisz jak sufrażystka.

– Suфраżystki nie chcą być mężczyznami, Elspeth, one chcą równości – wyjaśniła Kitty znużona ignorancją siostry.

– Miejsce kobiety jest w domu – wtrącił Hubert. – Polityka to nie miejsce dla płci pięknej.

– Współczuję teraz młodym kobietom – powiedziała Adeline. – Wojna niszczy całe pokolenie.

– A więc będziemy musiały poślubić Irlandczyków – rzuciła Kitty prowokacyjnie, a słowa te wywołały taką reakcję, na jaką liczyła.

Maud zacisnęła usta. A potem z furią wykrzyknęła:

– Co za absurdalny pomysł, Kitty!

– Żebracy nie mogą wybrzydzać – poparła siostrę Elspeth, myśląc o Peterze MacCartainie, którego zawsze uważała za przystojnego.

– Dziewczęta Deverillów nie są żebraczkami – zareagował Hubert. – Moje wnuczki poślubią najwspanialszych synów Albionu.

– Najwspanialszy giną tysiącami – wtrącił się nagle Harry. – Mamo, to okropne, że potrafisz tylko myśleć o wydaniu córek za mąż. Mężczyźni tam umierają, a ci, którzy przeżyją, już nigdy nie będą tacy sami. Wybacz mi, ale nie potrafię zrozumieć twoich problemów.

Maud zbladła. Hubert wytarł usta serwetką. O’Flynn stał na baczność, jakby nic nie słyszał.

– Dość, Harry – powiedział surowo dziadek. – Wojna w istocie ograbia naród z młodych mężczyzn, ale życie toczy się dalej i twoje siostry muszą wyjść za mąż. To naturalne, że twoja matka się niepokoi.

– Nie myśl, że nie martwię się o twojego ojca, Harry – rzekła Maud sztywno, tak zaciskając szczękę, jakby więziło ją imadło. – Nie sądzę, że nie boleję nad śmiercią Ruperta i George’a oraz wszystkich naszych chłopców poległych na wojnie. Nie myśl, że nie boleję nad tobą i nie zadaję sobie pytania, gdzie podział się ten subtelny chłopiec, którego wychowałam.

Harry popatrzył jej prosto w oczy.

– Zginął na polu chwały, mamo. Tam nie ma miejsca dla chłopców.

Oczy Maud zabłyśły.

Adeline wskazała O’Flynnowi, żeby zebrał talerze.

– Wnieśmy toast za Bertiego – zaproponowała. – Módlmy się, żeby wrócił bezpiecznie do domu oraz za koniec tej okropnej wojny.

Wszyscy unieśli kieliszki z winem. Przynajmniej w tym byli zgodni.

*

Następnego dnia rodzina udała się do kościoła. Hubert zabrał Adeline, Harry’ego, Maud i Victorię swoim daimlerem, podczas gdy reszta pojechała bryczką z Millsem. Kitty i Elspeth siedziały obok siebie przykryte kocem; przez chwilę trwały w milczeniu. Zatopione we własnych myślach spoglądały spod kapeluszy na przygnębiający krajobraz i mewy szybujące po niebie.

– Nienawidzę mamy – powiedziała nieoczekiwanie Elspeth.

Kitty była zdumiona. Odwróciła twarz do siostry i zauważyła, że Elspeth jest bardzo blada i mizerna.

– Źle się czujesz?

– Mam jej serdecznie dość! Zazdroścę ci, Kitty. Mieszkając tu z babcią i dziadkiem, możesz robić, co ci się żywnie podoba. Dlaczego ja muszę mieszkać z nią w Kent? Czuję się tam jak w więzieniu.

– Nie przesadzaj, na pewno nie jest aż tak źle.

– Eric jest nudny. – Elspeth roześmiała się w poczuciu winy. – To najnudniejszy mężczyzna w Anglii.

Kitty przyłożyła rękawiczkę do jej ust.

– Victoria by cię zabiła, gdyby usłyszała, że krytykujesz jej męża.

– Ona go nie kocha. Nie jestem nawet pewna, czy go lubi. Ale on jest bogaty, a dla niej tylko to się liczy. – Popatrzyła na siostrę ze smutkiem. – Czy nie ma niczego więcej? Czy nie można darzyć męża uczuciem?

– Babcia kocha dziadka. Jestem tego pewna – powiedziała Kitty, jednocześnie myśląc o Jacku i czując znajome ciepło otaczające jej serce jak futrzana rękawiczka.

– Myślisz, że mama kocha tatę? – spytała Elspeth.

– Na swój sposób – odpowiedziała szczerze Kitty. – Nie sądzę, żeby mama tak naprawdę kogokolwiek kochała prócz samej siebie.

Elspeth odwróciła się z westchnieniem.

– Nigdy cię nie lubiła. Dlaczego?

Kitty wzruszyła ramionami. Chociaż nie lubiła swojej matki, odrzucenie przez nią nadal bolało.

– Nie wiem.

– Myślę, że ona się ciebie boi. Widzę to w jej oczach. Nie może cię kontrolować. To dlatego. Masz charakter! Żałuję, że ja go nie mam.

– Nie jestem do niej podobna – stwierdziła Kitty.

– Nie jesteś również podobna do ojca. Jesteś taka jak babcia. Naprawdę mogłabyś być jej córką.

– Babcia była zawsze dla mnie bardziej matką niż mama.

Elspeth ujęła siostrę za rękę i ją ścisnęła.

– Chcę, żebyśmy zostały przyjaciółkami, Kitty – powiedziała gorączkowo. – Przepraszam, że bywałam dla ciebie niedobra. Gorzko tego żałuję. Byłam potworem.

– Ja też chciałabym, żebyśmy były przyjaciółkami – przyznała Kitty. Uśmiechnęła się do siostry, zdając sobie sprawę, że nie ma ludzi całkiem złych ani całkiem dobrych; człowiek składa się z wad i zalet. – Ale obawiam się, że nie mogę ocalić cię przed mamą.

– Któż może? – jęknęła Elspeth z żalem.

– Mężczyzna – odparła Kitty bez namysłu. – Musisz się zakochać i wyjść za mąż, wtedy przynajmniej będziesz należeć do kogoś innego.

– Wymiana jednego władcy na drugiego – rzekła przygnębiona Elspeth.

– Nie, znalezienie równorzędnego partnera. Nie musisz wychodzić za kogoś takiego jak Eric. Możesz wyjść, za kogo chcesz. – Kitty skrzyżowała ręce na podołku i usiadła prosto. – Ja tak zamierzam zrobić.

Rozdział 14

Maud została do Nowego Roku, a potem, otulona w wytworne futro, z Victorią, Elspeth i Harrym odpłynęła statkiem do Anglii. Harry najbardziej żałował opuszczenia Castle Deverill. Kitty rozpoznawała, że w grę wchodzi miłość. Nie było to uczucie konwencjonalne, ale wiedziała, że Harry kocha Josepha tak jak ona Jacka i jego serce wyrywa się do kochanka. Mocno go wyściskała, widząc głęboki żal w jego oczach. W styczniu wracał na front i pewnie zastanawiał się, czy dożyje, żeby znów zobaczyć swoje dziedzictwo.

Kitty nieustannie martwiła się o ojca i brata, ale wielką pociechą był dla niej Jack. Wiedziała, że przynajmniej on nie pójdzie na wojnę. Tak było, dopóki David Loyd George, premier Wielkiej Brytanii, nie zdecydował o rozciągnięciu poboru na Irlandczyków.

– Świetny pomysł! – rzekł Hubert, paląc cygaro i odrywając oczy od kart. – Irlandia jest częścią Wielkiej Brytanii i musimy walczyć razem.

Serce Kitty zamarło.

– To oznacza, że wszyscy młodzi Irlandczycy będą musieli walczyć? – szepnęła.

– Oczywiście.

Krzaczki, zaproszone jak zwykle na kolację i partyjkę wista, nie podzielały radości swego szwagra.

– Nie chcę nawet o tym myśleć, że więcej młodych mężczyzn zginie na tej wojnie – powiedziała Hazel. – Zgadzasz się ze mną, Laurel?

– Uważam, że powinniśmy się natychmiast poddać i przerwać tę rzeź – oświadczyła Laurel dobitnie.

– Wielkie nieba, kobieto, co ty masz w głowie? Sieczkę? – parsknął ze złością Hubert.

– Gdybyśmy się poddali, to by oznaczało, że ci młodzi mężczyźni zginęli na próżno – odezwała się Adeline z fotela, gdzie popijała swoją herbatkę z marihuany.

– Ale przecież nie mogą zmusić Irlandczyków do walki – wtrąciła Kitty z udawanym spokojem.

– Oczywiście, że mogą, i zrobią to – odparł Hubert. – Do diabła, musimy wygrać tę wojnę! A teraz przegrywamy. Potrzebujemy więcej ludzi. A tu jest ich mnóstwo. Mogą skierować swoje krwiożercze instynkty we właściwą stronę. Dobrze im zrobi poznanie prawdziwego wroga. – Znów skupił uwagę na kartach. – Na czym to skończyliśmy?

Kitty poczuła, że robi jej się słabo.

– Potrzebuję świeżego powietrza – powiedziała, odsuwając krzesło.

– Och! – Hubert był zawiedziony. – A tak dobrze mi szło. Zaraz wracaj!

Kitty wyszła na dwór, usiadła na schodkach, prowadzących do frontowych drzwi, i rękami objęła kolana. Nie zniesie tego, jeśli Jack pójdzie na wojnę. Wpatrywała się w gwiazdy, jasne i migoczące, zastanawiając się, co Bóg sądzi o bałaganie, jaki ludzie zrobili ze światem. Całym sercem tęskniła za Jackiem. Pragnęła, by ją uściskał i zapewnił, że nigdy nie wyjedzie na front. Że przeciwstawi się wezwaniu do poboru. Nie mogą go przecież zmusić...

Oparła czoło na dłoniach i przeżyła łązy. Gdzieś z oddali dobiegło pohukiwanie sowy. Zastanawiała się, czy Jack też je słyszy w swoim domu w Ballinakelly i czy o niej myśli.

Po kilku minutach opanowała się i wróciła do biblioteki. W pierwszej chwili pomyślała, że wszyscy są pijani, ale potem zorientowała się, że to efekt babcinej herbatki, którą szczerze częstowała siostry. Krzaczki leżały na sofie, wsparte o poduszki, i chichotały jak nastolatki.

– Och, on był naprawdę przystojny! – bełkotała Laurel. – Hazel, powtórz Adeline to, co mi powiedziałaś.

– Nie mogę – odparła Hazel, zanim znów zachichotała. – Naprawdę nie mogę. Nasza droga mama przewróciłaby się w grobie.

– Musisz. Jesteśmy w gronie rodzinnym. – Laurel przyłożyła dłoń do czoła. – Kręci mi się w głowie.

– Dlaczego on już tu nie przychodzi postrzelać? – spytała Hazel. – Hubert często go zapraszał. Cóż to za dziarski mężczyzna i odważny jak prawdziwy rycerz!

– Któż taki? – spytała Kitty, zatrzymując się w drzwiach.

– Księżę Rothmeade – powiedziała Hazel. – Dawniej ciągle tu przesiadywał. Był tu stałym elementem, jak ta sofa.

– Co z niego był za przystojny młodzian! – westchnęła Laurel. – Ale nagle przestał przychodzić. Co się stało?

– Czy on przypadkiem nie podkochał się w Maud? – podpytywała Hazel, znów wybuchając śmiechem. – Pamiętam, on i Maud zawsze trzymali się blisko, i ten wyraz na twarzy Maud...

– Teraz już posuwasz się za daleko – wtrąciła Adeline, przerywając siostrze w pół zdania.

– Co ty właściwie popijasz, Adeline? To jakiś mocny napitek.

– Konopie indyjskie – odpowiedziała sennie Adeline. – Zioło, które uprawiam na moje nerwy.

– To czarownica – odezwał się Hubert znad karcianego stolika, przy którym raczył się już trzecią szklaneczkę whisky.

Kitty zaskoczona rozejrzała się wokół. Wszyscy jak jeden byli czymś

odurzeni.

– Och, wiemy, że ona jest czarownicą – powiedziała Laurel. – Wszystkie trzy jesteście czarownicami, prawda, dziewczęta?

– Dlaczego tobie nie nadano jakiegoś botanicznego imienia, Adeline? – spytał nieoczekiwanie Hubert.

– Nie wiem – odpowiedziała Adeline. – Nasza mama nie była zbyt dobrą ogrodniczką. Być może niczego więcej nie potrafiła wymyślić. – Trzy siostry znów zaśmiały się histerycznie.

Adeline napełniła swoją filiżankę, a następnie podała srebrny dzbanek Laurel, która obficie sobie naląła, zanim przekazała dzbanek siostrze.

– Kitty, może się poczęstujesz? To bardzo przyjemne... – zaproponowała Hazel.

Kitty westchnęła z rezygnacją. Jeśli Jack pójdzie na wojnę, życie straci sens, pomyślała.

– Owszem – poddała się, przypominając sobie rozkoszny błogostan, który już raz ją ogarnął po wypiciu osobliwej herbatki.

– Ale co z naszą partyjką? – upomniał się Hubert znad karcianego stolika.

Kitty wypila łyk i zerknęła na Krzaczkę. Odwzajemniły jej spojrzenie, a potem, gdy zioło podziałało na zmysły Kitty, wszystkie wybuchły niepohamowanym śmiechem.

*

Nazajutrz Kitty nie wstała z łóżka. Posłała Bridie z wiadomością do pana Trenchy, że źle się czuje. Bridie zastanawiała się, czy się pokłócili, ale nauczyciel nie wyglądał na odtrąconego, natomiast szczerze się zaniepokoił.

– Mam nadzieję, że niebawem poczuje się lepiej – powiedział do Bridie. – Jeśli po południu będzie miała ochotę na spacer po ogrodzie, jestem do dyspozycji.

Bridie uważała go za prawdziwego dżentelmena i zazdrościła Kitty, że wpadła w oko tak przystojnemu i dobrze ułożonemu młodemu człowiekowi.

– Mówi się, że Irlandczycy będą musieli pójść walczyć – powiedziała przygnębiona Kitty, gdy Bridie do niej wróciła. – To oznacza, że twoi bracia też pójdą na wojnę.

– Michael raczej umrze, niż będzie walczył za Brytyjczyków – odparła Bridie z werwą.

– Tak samo jak Jack, jestem tego pewna.

Na myśl o Jacku ruszającym na front Bridie się przestraszyła.

– Jack nie będzie walczył. Żaden z nich nie będzie. Brytyjczycy będą mieli na głowie następną wojnę tutaj, w Irlandii.

– Już ją mają – powiedziała Kitty, siadając na łóżku i popijając herbatę przyniesioną przez Bridie. Wyjrzała przez okno. Wiosenne słońce mocno lśniło,

a śpiew ptaków unosił się w pachnącym słodczą powietrzu. – Sądysz, że Jack o tym wie?

– Oczywiście, wszyscy wiedzą. O niczym innym nie gadają.

– Co mówią?

– Że nie pójdą walczyć. Będą musieli wtrącić do więzień tysiące mężczyzn w kraju. – Bridie przysiadła na łóżku. – Michael mówi, że Brytyjczycy tym posunięciem działają na naszą rzecz. To dobre dla sprawy, prawda?

– Och, tak. Nie pomyślałam o tym w ten sposób – ożywiła się Kitty. Wstała z łóżka i zaczęła się ubierać.

– Myślałam, że jesteś chora. – Bridie była zaskoczona.

– Czuję się już o niebo lepiej – odparła radośnie Kitty. – Chyba wsypałaś mi coś do herbaty?

– Niczego ci nie dosypałam – powiedziała niewinnie Bridie. – Czy mam powiedzieć panu Trenchowi, że lepiej się czujesz?

– Wielkie nieba, w żadnym razie! – Kitty się roześmiała.

– Powiedział, że jeśli lepiej się poczujesz, chętnie wyjdzie z tobą na spacer do ogrodu.

– Aż tak dobrze się nie czuję – rzuciła lekko Kitty. – W każdym razie lepiej, żebym go nie zaraziła. Nie, pójdę sama.

Bridie przyglądała jej się nieco zmieszana. Tak nie zachowywała się ani zakochana, ani chora kobieta.

Gdy Kitty zeszła na śniadanie, zdziwił ją widok babci oraz Krzaczków siedzących za stołem.

– Zostałyśmy na noc – rzekła z uśmiechem Hazel. – Nie byliśmy w stanie wrócić do domu, prawda, Laurel?

– Nie, w żadnym razie. Nie wiem, co nam się stało, ale czułyśmy się fantastycznie.

– Twój dziadek poszedł na ryby – powiedziała Adeline. – Chyba dłużej nie mógł nas znieść.

– Nie skończyłyśmy naszej gry – żaliła się Hazel.

– Przypominam sobie, że wygrywałyśmy. Kitty, powiedz mi, dlaczego przerwałyśmy?

Kitty usiadła i nalala sobie herbaty. O'Flynn dreptał wokół stołu.

– Czy podać jajka, panno Kitty? – spytał.

– Dlaczego nie, O'Flynn. Piękny dzień. Może wybiorę się na przejażdżkę.

– A co z panem Trenchem? – spytała Adeline.

Kitty westchnęła.

– Boli mnie głowa – skłamała. – Nie jestem dziś w stanie się skupić nad lekcjami.

Adeline uśmiechnęła się pod nosem.

– Trzeba przyznać, że twój nauczyciel jest święty. Na pewno w Anglii znalazłby więcej rozrywek.

– Ale nie sądzę, że znalazłby ładniejszą uczennicę – zauważyła Laurel.

– Z pewnością – zgodziła się Hazel. – Idę o zakład, że jest w tobie bardziej niż trochę zakochany.

– Bzdura – zaprotestowała Kitty. – Nie spotkałam większego ponuraka.

– Ale nie jest nudny – wtrąciła Adeline. – To bardzo inteligentny młody człowiek.

– Ciekawe, co on robi przez cały dzień, gdy nie ma z tobą lekcji? – zainteresowała się Laurel. – Nie może jeździć konno z powodu nogi...

– Czyta – odpowiedziała Kitty. – Czyta, czyta i czyta, a gdy skończy, znowu czyta. – Uśmiechnęła się od ucha do ucha nad filiżanką herbaty. – Próbowałam go rozśmieszyć. Och, bardzo się starałam. Ale on rzadko się uśmiecha.

– Jeśli tobie się nie udało, pewnie nikomu się nie uda – zauważyła Adeline.

– Daj mu skosztować swojej herbatki, a na pewno otworzy się jak gotowane małże – podsunęła Laurel.

Hazel roześmiała się, przytakując.

– Jak gotowane małże! – powtórzyła.

Kitty pobiegła do skrytki przy murze. Wyciągnęła list od Jacka i powędrowała do szklarni, żeby go przeczytać. Gdy usiadła na ławce, usłyszała jakieś głosy i szelesty – ciche i tajemnicze, przypominające chrobot myszy. Wstała, wsuwając liścik za stanik sukienki. Ukryła się za wielką paprocią i wyteżyła słuch, ale nic nie mogła dosłyszeć. Słowa nie docierały do niej, tylko cichy szmer. Uważając, by nie zdradzić swej obecności, wyjrzała przez liście. Zobaczyła dwoje zabiedzonych dzieci pogryzających rzodkiewki. Była kompletnie zaskoczona. Nie spodziewała się tu dzieci. Przyjrzała się bliżej i stwierdziła, że to nie Cyganie, tylko miejscowe urwisy. Włosy miały skołtunione i brudne, postrzępione, przetarte ubrania i bose stopy. Kitty stała w milczeniu, przyglądając się, jak pałaszują sałatę, marchewki i pasternak. Chciała ich przestrzec, że okropnie rozboli ich brzuch, jeśli nie ugotują pasternaku. Ale tego nie zrobiła. Poczekała, aż posilą się i uciekną, dopiero wówczas wróciła na żelazną ławkę i zabrała się do lektury listu.

Po przeczytaniu wiadomości od Jacka zdecydowała, że wystawi dzieciakom trochę jedzenia na wypadek, gdyby pojawiły się tu następnego dnia. Chleb z masłem i szynką będzie im smakować bardziej niż surowe jarzyny. Nie wypada, żeby dzieci głodowały, rozumowała, podczas gdy w zamku jest jedzenia pod dostatkiem.

Pani Doyle o nic nie pytała ani też nie wyglądała na zaskoczoną, gdy Kitty poprosiła o wałówkę i wyniosła ją do ogrodu. Była przyzwyczajona, że lady Deverill szykuje koszyki z jedzeniem dla biednych. Kitty zostawiła jedzenie na stole, obok miejsca, gdzie widziała dzieci, i przykryła je siatką na owady.

Dowodem ich niedawnej tu obecności były ogonki rzodkiewek rozrzucone na ziemi.

Wracając z ogrodu, wpadła na Trench.

– Och, Kitty, cieszę się, że już wydobrzałaś – powiedział.

Kitty zastanowiła się, dlaczego na jego twarzy nie pojawił się choćby nikły uśmiech świadczący o zadowoleniu.

– Czuję się lepiej, dziękuję – odparła, starając się nie mieć miny winowajcy.

– Wybieram się bryczką do Ballinakelly. Mamy bardzo pogodny dzień. Może ze mną pojedziesz? Świeże powietrze dobrze ci zrobi.

Nie przychodziła jej do głowy żadna wymówka, nie miała więc wyboru, musiała przyjąć zaproszenie.

– Bardzo chętnie – odpowiedziała uprzejmie, myśląc, że może dopisze jej szczęście i wpadnie na Jacka. – Włożę tylko kapelusz.

Idąc w kierunku stajni, podniosła wzrok i w którymś oknie zauważyła przyglądającą jej się Bridie. Przyjaciółka pomachała do niej i patrzyła, jak znikają z Trenchem z pola widzenia. Bridie uśmiechnęła się znacząco. Na pewno Kitty zaaranżowała całą sytuację, żeby spędzić czas w ogrodzie z panem Trenchem. Ale dlaczego jej się nie zwierzyła?

Był ciepły dzień. Wiosna wypełniała powietrze trelami ptaków i życiodajnym zapachem odnowy. Pączki robiły się zielone i zaczynały otwierać się w słońcu, a pejzaż już nie wyglądał tak smętnie. W tak uroczym dniu trudno było uwierzyć, że gdzieś na świecie panuje wojenna zawierucha.

Mills przygotował konia oraz bryczkę i czekał już na podwórku przed stajnią. Na widok Kitty zdjął czapkę.

– Dzień dobry, panno Kitty.

– Dzień dobry, panie Mills. Czyż nie piękny poranek? – zagadnęła.

– Rzeczywiście, panienko. – Popatrzył surowo na jej towarzysza. – Proszę uważać – ostrzegł. – Pełno tam ludzi, którzy nie są teraz zbyt szczęśliwi.

– Będę ostrożny, panie Mills – odpowiedział Trench, wdrapując się na kozioł i biorąc lejce. Mills pomógł Kitty zająć miejsce obok nauczyciela. Ten zaś potrzęsął lejcami i kucyk ruszył krótkim kłusem.

Przez dłuższą chwilę jechali w milczeniu. Kitty nie przywykła do przebywania ze swoim nauczycielem poza pokojem lekcyjnym i nie wiedziała, o czym rozmawiać. Trench skupił uwagę na drodze. Nagły podmuch wiatru o mało nie zerwał Kitty kapelusza, co dało jej pretekst do przerwania niezręcznej ciszy.

– Niewiele brakowało – powiedziała, przytrzymując kapelusz ręką.

– Wiatr jest nieprzewidywalny – skonstatował Trench.

– To prawda – przyznała. – Czy w Anglii też jest tak wietrznie?

– Zależy gdzie. Na wybrzeżu zimą bywają wiatry, które mogą powalić drzewa.

– Co miał na myśli Mills, mówiąc o nieszczęśliwych ludziach? Czy są głodni? – spytała, myśląc o dzieciach, które spotkała w szklarni.

– Nikt nie chce być zmuszany do walki, Kitty.

– Ach, pobór! – westchnęła. – Wiem. Nie powinni tego robić.

– Irlandia jest częścią Wielkiej Brytanii, tak jak Walia i Szkocja. To zrozumiałe, że powinna odegrać swoją rolę w tej wojnie.

– Wielu już odgrywa swoją rolę, niech Bóg im pomoże.

– Niewystarczająco wielu.

– Chciałby pan walczyć, panie Trench? – spytała Kitty.

Trench był przyzwyczajony do bezceremonialności Kitty.

– Tak, chciałbym – odparł z równą szczerością.

– A ja żałuję, że tata nie ma sztywnej nogi i musiał pójść na wojnę.

– To nie w porządku. Nikomu nie należy tego życzyć. Ma się poczucie porażki.

Zerknęła na niego i zmarszczyła brwi. Była to pierwsza osobista informacja, którą od niego usłyszała.

– To żadna porażka, panie Trench. Może się okazać, że jest pan ostatnim prawdziwym mężczyzną w Anglii. Wszystkie młode kobiety będą o pana zabiegać. Dzięki swojej nodze może pan się stać najbardziej pożądanym kawalerem w Anglii.

– Szczerze w to wątpię – odparł nieco zmieszany.

Kitty się uśmiechnęła.

– Gdy Bóg zabiera coś jedną ręką, drugą oddaje.

– Doprawdy?

– Tak mówi moja babcia, a wie pan, że ona zawsze ma rację.

W końcu dotarli do Ballinakelly. Ponieważ był dzień targowy, zamknięto szkoły. Niektóre dzieci za kilka pensów pilnowały zwierząt, podczas gdy mężczyźni wstąpili do O'Donovana, żeby się napić, inne zaś ganiały się po ulicy jak bezdomne psy. Kobiety, ubrane w tradycyjne peleryny z kapturem, z wiklinowymi koszykami w dłoniach, stały w niewielkich grupkach, paplając i plotkując. Zdarzało się spotkać krowę wędrującą samopas, ponieważ chłopcy, najęci do pilnowania, znudzili się i uciekli się bawić. Rynek falował od kurczaków, owiec, świń i koni, jak zresztą w każdy pierwszy piątek miesiąca. Mieszkańcy miasteczka mieszały się z tymi, którzy przybyli z sąsiednich miejscowości, a wśród nich Cyganki, które sprzedawały święte obrazki i żebrały. Wśród ogólnego gwaru i przekrzykujących się głosów Kitty słyszała grę trzech skrzypków występujących w odległym kącie placu.

Kitty lubiała targ. Uniosła głowę, szukając wzrokiem Jacka. Musiał być gdzieś blisko zwierząt. Trench przywiązał konika do słupa i przeszedł naokoło, żeby pomóc Kitty, ale ona już zeskoczyła w błoto i wmieszała się w tłum.

– Kitty! – zawołał, biegnąc za nią. Znalazł ją przy straganie z wiszącymi królikami, jeszcze nieobdartymi ze skóry.

– Biedne stworzenia – powiedziała, przyglądając im się ze współczuciem. – Przed chwilą beztrzesko hasały sobie po łące, a teraz wiszą tu za tylne nogi, gotowe do garnka. – Westchnęła. – Wiem, że ludzie muszą jeść, ale jednak...

– Kogo ja widzę? Kitty! – Kitty usłyszała znajomy głos. Podniosła wzrok i ujrzała lady Rowan-Hampton, uśmiechającą się do niej spod jasnoniebieskiego kapelusza.

– Dzień dobry, lady Rowan-Hampton – odrzekła chłodno. Przypominając sobie o dobrych manierach, dodała: – Chyba nie poznała pani jeszcze pana Trencha...

Grace wyciągnęła rękę w rękawicze. Trench ją uściśnął i uprzejmie skinął głową.

– Miło pana poznać – powiedziała Grace ze swą zwykłą wesołością.

– To mój nauczyciel – wyjaśniła Kitty.

– Tak, twój ojciec wspominał, jaką znakomitą edukację zapewnia ci ten młody człowiek.

Kitty zmarszczyła brwi.

– I o czym jeszcze wspominał? – spytała lodowato.

– Że jest dumny z córki, która ma zdecydowane poglądy i potrafi ich bronić.

– Nie sądzę, żeby to była tylko moja zasługa – zauważył Trench.

– Też tak przypuszczam. Kitty zawsze myślała samodzielnie. – Grace się roześmiała. – Zapewne wkrótce wyjedziesz do Londynu?

– Na pewno nie – odparowała Kitty. – Zostaję tu, gdzie przynależę.

– No właśnie! To jest to, co nas łączy – podkreśliła Grace. – Nasza niezachwiana miłość do Irlandii.

– Tak samo jak kilka innych rzeczy – powiedziała znacząco Kitty, a Grace zmarszczyła brwi. – Do widzenia, lady Rowan-Hampton.

Trench pospieszył za Kitty.

– Czy naprawdę musiałś być tak nieuprzejma? – spytał.

Kitty odwróciła się i zobaczyła, że twarz miał czerwoną z oburzenia.

– Ależ, panie Trench, w końcu okazał pan jakąś emocję!

Zignorował tę uwagę.

– Wygląda na niezwykle uroczą damę.

– Och, tak, ona jest niezwykle uroczą. Ale pan nie zna jej drugiego oblicza.

– Tak czy inaczej, zawsze należy zachować uprzejmość.

Kitty gwałtownie na niego natarła.

– A to dlaczego? Czy dlatego, że gdy nie jesteśmy uprzejmi, nasze prawdziwe uczucia mogą wyjść na jaw? I co wtedy? Boże broń nas przed okazaniem prawdziwych uczuć!

– Teraz mówisz nierozsądnie.

– Panie Trench, jest pan moim nauczycielem. Uczy mnie pan historii, matematyki, geografii i francuskiego. Nie jest pana zadaniem uczyć mnie manier. Panna Grieve ich mnie uczyła i, na Boga, wbiła mi je do głowy młotkiem! Byłam niegrzeczna dla lady Rowan-Hampton, ponieważ zrobiła coś niewybaczalnego, czego jej nie zapomnę do końca życia. Nie oczekuję, że pan to zrozumie, ale przynajmniej może się pan powstrzymać od wygłaszania opinii. A teraz zamierzam obejrzeć konie. Wrócę do bryczki za pół godziny. Czy to dość czasu, żeby pan załatwił swoje sprawy?

Trench westchnął.

– Tak.

– To świetnie. – Kitty odmaszerowała i po chwili rozplynęła się w morzu ludzi.

Szukała wzrokiem Jacka, ale ku swemu rozczarowaniu bez skutku. Zauważyła jego matkę rozmawiającą z Robinem Nashem, prowadzącym najlepszy koński targ w Irlandii, ale nie ośmieliła się pytać ją o Jacka. Wyczuwała, że pani O’Leary za nią nie przepada, chociaż nie rozumiała dlaczego. Wśród tłumu kręcili się uzbrojeni funkcjonariusze irlandzkiej policji w swoich czarnych mundurach i furażerkach, spostrzegła ojca Quinna w długiej czarnej sutannie i pastora Daunta w tweedowym garniturze i olśniewająco białej koloratce. Udało jej się uniknąć spotkania z pastorem, jak również z Trenchem, którego zauważyła, jak przechadzał się wśród owiec, wyglądając na nieco zagubionego.

Po półgodzinie, rozczarowana, wróciła do bryczki. Trench czekał na nią, obserwowany przez grupę zadziornych młodych mężczyzn w czapkach i marynarkach, którzy palili papierosy przed pubem O’Donovana. Podał jej rękę, którą przyjęła, unosząc spódnicę i wsiadając do bryczki. Trench przeszedł na drugą stronę i zajął miejsce na koźle. Już mieli odjeżdżać, gdy coś poszybowało w kierunku Kitty i trafiło ją w twarz. Jęknęła z bólu i pochyliła się do przodu, przyciskając rękę do oka. Trench zaczął krzyczeć na młodego napastnika; nagle z tłumu wyskoczył Jack i objął Kitty ramieniem. Gdy go zobaczyła, rozplakała się w głoś. Bała się oderwać rękę od twarzy. Dopiero Jack, przemawiając do niej delikatnie, uniósł jej drżące palce; ku swojej uldze zorientowała się, że nie oślepla, a tylko zapewne ma podbite oko.

Jack podskoczył z pięściami do mężczyzny, który rzucił kartoflem, ale posterunkowy przepchnął się przez grupę natrętnych gapiów, otaczających ich jak zaciekawione krowy, i rozdzielił mężczyzn. Po krótkiej wymianie zdań okazało się, że niejaki Murphy rzucił kartoflem, ponieważ Kitty była dla niego symbolem Anglii, a on był wściekły z powodu zbliżającej się groźby wysłania go na front wbrew jego woli.

– Czy wniesie pani skargę, panno Deverill? – spytał posterunkowy,

przytrzymując za ramię wyrwijącego się do bójki Murphy'ego.

Kitty z rozkoszą zobaczyłaby tego mężczyznę za kratkami, ale spoglądając na Jacka, zdała sobie nagle sprawę, że gdyby jej nie znał i nie kochał, równie dobrze to on mógłby być napastnikiem.

– Nie, nie wniosę – odpowiedziała. – Ale chcę, żeby pan o czymś wiedział, panie Murphy. Ja też jestem przeciwko poborowi, tak jak pan. A rzucanie kartoflami w bezbronne kobiety nie wpłynie na zmianę zdania pana Lloyda George'a.

Posterunkowy puścił mężczyznę, który wmieszał się w tłum, a potem zniknął za drzwiami baru O'Donovana wraz z grupą kumpli.

– Dobrze się czujesz? – wyszeptał Jack, wspinając się na stopień, żeby zamienić z nią słowo na osobności.

– Będę miała siniak. – Lekko się do niego uśmiechnęła.

– Dobrze, że nadal masz oko.

Roześmiała się.

– A gdybym je straciła, nadal byś mnie kochał?

– Wiesz, że tak.

– Kiedy się spotkamy?

– Jutro? W Smuggler's Bay o czwartej?

– Przyjadę.

Powiódł pieszczotliwym wzrokiem po jej obolałej twarzy.

– Uważaj na siebie. Może tu być gorąco.

– Powiedz temu Murphy'emu, że dobrze celuje – rzuciła głośno, przypominając sobie, że Trench siedzi obok niej. – Dlaczego nie zrobi z tego lepszego użytku?

Jack zeskoczył na ziemię.

– Na pewno zrobi. Jedźcie już.

Trench ściągnął lejce. Kitty oderwała wzrok od Jacka, który z rękami w kieszeniach obserwował, jak bryczka odjeżdża.

W drodze do zamku Trench był bardzo rozmowny. To wydarzenie niezmiernie go wzburzyło. Podał Kitty chusteczkę, żeby wytarła sobie zalaną łzami twarz i przyłożyła do oka, sam zaś rozprawiał o grupce mężczyzn, którzy, jego zdaniem, od początku mieli złe zamiary.

– Zauważyłem, że mnie obserwują – powiedział. – Byłem pewien, że coś się święci.

Kitty chciała wyjaśnić Trenchowi, że ona też jest po tamtej stronie. Że buntownicy mają jej sympatię i poparcie, ale zdobyła się tylko na stwierdzenie:

– Co za głupcy! Rzucaniem kartoflami niczego nie osiągną.

Następnego poranka jej lewe oko spuchło do rozmiaru piłeczki golfowej. Dziadek wygrażał, że porachuje się z tym draniem po swojemu, dopóki babcia nie

przekonała go, że taki rewanz tylko zaogni sprawę. Zaleciła Kitty odpoczynek i przyłożenie na siniak chłodnego kompresu z żywokostu. Kitty jednak wymknęła się z zamku, żeby wyciągnąć z kryjówki list od Jacka. Umieścił tam również, związany sznurkiem, mały bukiet wiciokrzewu. Podniosła go do nosa i wciągnęła w nozdrza słodki zapach; serce jej wypełniało szczęście, że Jack należy do niej. Gdy weszła do szklarni, żeby przeczytać liścik, od razu zauważyła puste talerze. Dzieci wróciły i wszystko zjadły. Uśmiechnęła się na myśl o ich pełnych brzuchach. Ale co będzie, jeśli komuś się pochwałą i jutro przyprowadzą tu swoich przyjaciół? Czy będzie musiała żywić wszystkie dzieciaki w Ballinakelly?

Rozdział 15

Latem tysiąc dziewięćset osiemnastego roku kryzys poborowy już minął, ale walki na kontynencie trwały i rosła liczba zabitych. Kuzynostwo zjechało raz jeszcze do Castle Deverill, ale smutek zawisł nad ich zazwyczaj radosnym pobytem. Beatrice, kiedyś tak energiczna, utyla podczas żałoby, jakby pokłady tłuszczu miały ochronić jej znękaną serce. Snuła się po zamku majestatycznie niczym galeon pod czarnymi żaglami samotnie dryfujący po morzu. Augusta zaś bez ustanku lamentowała, dlaczego miłosierny Bóg nie zabrał jej zamiast George'a.

– Miał przed sobą całe życie – biadoliła. – A ja jestem już stara i wyczerpana. W Bogu nadzieja, że ocali naszego drogiego Digby'ego, a w zamian zabierze mnie. Jestem gotowa na jego wezwanie, kiedykolwiek nadejdzie.

Stoke, ojciec Digby'ego, i Hubert jak zwykle chodzili na ryby, ale pozostawali tam o wiele dłużej niż zwykle, ponieważ towarzystwo osowiałych kobiet budziło w nich zbyt silne emocje. Zamiast rozpamiętywać swoje smutki publicznie, woleli przeżuwać je samotnie jak psy twarde kości.

Maud przyjechała z obiema starszymi córkami, ale często kłóciła się z Elspeth i dręczyła Vivien i Leonę, które były zaręczone i miały poślubić oficerów, gdy tylko wojna się skończy. Beatrice ignorowała te uszczypliwe uwagi, ponieważ jej emocje tłumiał ustawiczny ból serca i konopie indyjskie Adeline, raniły one jednak Elspeth, która wyznała Kitty, że myśli o wstąpieniu do klasztoru: „Jedynego miejsca na ziemi, gdzie mogę być wolna od matki i okropnego konwenansu małżeństwa”.

Kitty, Celia i Bridie spotkały się w wieży Bartona, bo tylko tu mogły czuć się swobodnie. Kitty i Celia ponarzekały na swoje siostry, a Bridie przekazała im plotki z kuchni. Podobno Victoria spytała jej matkę, czy przypadkiem nie zna jakiejś mądrej kobiety w Ballinakelly, która pomogłaby jej zająć w ciążę.

Bridie śmiała się, że za sześć pensów chętnie odegrałaby tę rolę. Barton Deverill siedział w swoim fotelu i słuchał; z jego twarzy znikł grymas ustawicznego niezadowolenia, a kąciki ust podnosiły się nawet w słabym uśmiechu, gdy wtrącał do rozmowy jakieś komentarze, które tylko Kitty mogła usłyszeć.

W listopadzie wojna wreszcie dobiegła końca. Walki ustały, działa umilkły. Ale wtórne wstrząsy ciągle wibrowały w ziemi poranionej przez artylerię oraz w sercach tych, którzy przeszli przez piekło, ale zdołali ocaleć. Euforię zwycięstwa wkrótce zastąpiło otrzeźwienie; na polach bitewnych poległo prawie całe pokolenie mężczyzn. Każda rodzina kogoś straciła. Los nie oszczędził nikomu cierpienia

i żałoby. Imperium Brytyjskie wygrało, ale coś ze starego świata przeminęło na zawsze.

Bertie, Digby i Harry wrócili na łono rodziny, która przyjęła ich, dziękując Bogu za tę łaskę. Pozornie wyglądali tak samo jak cztery lata temu, aczkolwiek byli trochę starsi i wymizerowani, ale w duchu zmienili się nie do poznania. Zgodnie z rodzinną tradycją Deverillów topili straszliwe wspomnienia w alkoholu i uśmiechali się, żeby ukryć prawdę, o której zresztą nigdy nie chcieli rozmawiać.

W grudniu Irlandczycy głosowali w wyborach parlamentarnych; przytłaczające zwycięstwo odniosła radykalna partia Sinn Féin, pokonując nacjonalistyczną Irlandzką Partię Parlamentarną, która dominowała w irlandzkiej polityce od tysiąc osiemset osiemdziesiątego roku. Ze stu pięciu wybranych posłów większość była uczestnikami powstania wielkanocnego.

– Wielki Boże! Któż mógł przewidzieć zwycięstwo tych cholernych shinersów? – zżymał się Hubert nad gazetą.

– Sądzę, mój drogi, że to było łatwe do przewidzenia – odparła z niezmaconym spokojem Adeline. – Gdyby Brytyjczycy nie postąpili tak nierozważnie z rebeliantami po powstaniu, partia Sinn Féin nigdy nie uzyskałaby poparcia całego kraju. Podejrzewam, że fala teraz się odwraca i Brytyjczycy zostaną zmyci z prądem.

*

Maud wróciła do Cork na Gwiazdkę i zamieszkała w Hunting Lodge. Zdjęto pokrowce, otwarto okna, a ponownie zatrudniona służba zajęła się sprzątnięciem – szorowaniem, polerowaniem i odkurzaniem. Maud zwolniła pana Trencha. Wyjaśniła, że Kitty ma teraz osiemnaście lat i potrzebuje męża, a nie nauczyciela; oczywiście nie omieszkała nadmienić, że o tego ostatniego nie będzie łatwo, zważywszy, że większość odpowiednich młodych mężczyzn poległa na wojnie. Twarz Trencha pociemniała z żalu, przez moment wyglądał tak, jakby miał się załamać. Maud była zbulwersowana. Czy to możliwe, żeby aż tak polubił taką samowolną i niegrzeczną pannicę jak Kitty? Ale zanim zdążył zaoferować własną kandydaturę, Maud dodała, że w Londynie potrzebni są arystokraci, którzy nie stracili życia na froncie.

– Wkrótce wracamy do Londynu i mimo wszystko ufam, że załatwimy tę sprawę szybko.

Trench, żegnając się z Kitty, miał przegraną minę.

Kitty uprzejmie mu podziękowała za naukę.

– Jesteś bardzo inteligentną młodą kobietą – odpowiedział. – Mam nadzieję, że nie zmarnujesz swoich zdolności, ale dobrze je wykorzystasz.

– Oczywiście, panie Trench. A ja mam nadzieję, że bezpiecznie pan dotrze do Anglii.

Trench na moment opuścił gardę. Usta mu zbladły, kolor odpłynął z policzków, a brązowe oczy pociemniały jak wilgotny zamsz.

– Uważaj na siebie – powiedział, a jego głos, zazwyczaj tak dźwięczny i stanowczy, załamał się. – Irlandia to niebezpieczne miejsce, Kitty. Aż boję się pomyśleć, że mogłaby ci się stać jakaś krzywda.

– Będę na siebie uważać – zapewniła go Kitty. – Jestem Irlandką. Nikt nie zamierza wyrządzić mi krzywdy.

– Ten Murphy był innego zdania, gdy rzucał w ciebie kartoflem.

Kitty westchnęła. Doprawdy nie zamierzała się trudzić, żeby wszystko mu wyjaśnić. Zresztą wolała, żeby już zakończył to przydługie pożegnanie.

– Może ten kartofel był przeznaczony dla pana? Pomyślał pan o tym? – Trench zapomniał języka w gębie. – Tak czy owak, to bez znaczenia, zwłaszcza że pan już odjeżdża. Mam nadzieję, że jeszcze się kiedyś spotkamy. Niech się pan pospieszy, bo spóźni się pan na pociąg. – Wyciągnęła do niego rękę, którą uściśnęła, i w końcu skapitulowała.

Wyraźnie niepokieszony wszedł do daimlera i pozwolił, by rozdzielono go z kobietą, którą pokochał.

*

Bertie i Harry wrócili do dawnego stylu życia – do ścigania zajęcy i strzelania do ptactwa, rybackich wypraw na morze i polowań z psami. Harry, który niezbyt lubił polowania, teraz uczestniczył w nich tak często, jak to możliwe, ponieważ dreszcz emocji podczas galopu odrywał go od okropnych wspomnień. A potem był Joseph, który wślizgiwał się do jego łóżka i tulił go, gdy w ciemnościach nocy koszmary chwytają go za gardło.

Bertie znikał na całe dni. Wracał późno, a jego skóra wydzielala delikatny zapach tuberozy, charakterystyczny dla perfum Grace. Nawet nie starał się z tym kryć. Rzadko odzywał się do żony, która stale robiła mu sceny, żeby zwrócić na siebie uwagę. Z tego powodu Bertie pił jeszcze więcej. Pogłębiające się uzależnienie kochanka od alkoholu zaczynało męczyć i denerwować Grace. Sir Ronald tolerował jej romanse, jeśli tylko dbała o dyskrecję – w końcu on też miał kochanki w Dublinie i Londynie – ale Bertie zachowywał się coraz bardziej ostentacyjnie, co groziło zniszczeniem ich reputacji.

– Jeśli on nie potrafi kontrolować swojego picia – powiedział pewnego dnia do żony – będziesz musiała znaleźć sobie innego amanta. Nie pozwolę, by naraził nasze dobre imię na szwank.

Grace postawiła Bertiemu ultimatum: albo ona, albo butelka. Cóż, Bertie uważał, że nie może żyć ani bez jednej, ani bez drugiej.

Po Bożym Narodzeniu odbyły się zwyczajowe polowania i bale, wyścigi z przeszkodami oraz spotkania towarzyskie, które stanowiły fundament

codziennego życia Anglo-Irlandczyków. W kraju panowała podniosła atmosfera; rodziny, do których powrócili synowie, bracia i ojcowie, naprawdę miały za co dziękować losowi.

Ale gdy w Castle Deverill rozbrzmiewały muzyka i śmiech, za jego murami toczyła się irlandzka walka o wolność.

*

Przy śniadaniu 22 stycznia 1919 roku, gdy Hubert czytał „Irish Timesa”, jego wąsy zaczęły drgać ze wzburzenia.

– Zgromadzenie wręczyło brytyjskiemu rządowi formalną notę z żądaniem wycofania się z Irlandii i ogłosiło niepodległość tego kraju – czytał z niedowierzaniem. – Co za hańba! – wydyszał. – Nie ujdzie im to na sucho!

– Boję się, że posuną się do strasznych rzeczy, żeby osiągnąć cel – prorokowała Adeline.

– Można by pomyśleć, że otrzymali lekcję po powstaniu – zżymał się Hubert. – Brytyjczycy tego nie zaakceptują.

– Liczba ochotników wzrosła, ponieważ nasz rząd nierozważnie ogłosił pobór – oświadczyła Adeline. – Teraz zyskują poparcie w całej Irlandii. Również tutaj, w Ballinakelly. Boję się wybuchu wojny domowej.

– Rozprawię się ze zdrajcami osobiście – przerwał jej Hubert. – Niech no tylko usłyszę, że wspiera ich ktoś z moich pracowników. Żądam lojalności wobec naszego króla i kraju! – Jego twarz przybrała kolor purpury.

– Mój drogi, możesz sobie wygrażać pięścią i tupać nogami, ale nie powstrzymasz Irlandczyków w ich dążeniu do samostanowienia.

– To bolszewicy – burknął. – Czy oni nie widzą, co ci cholerni idioci zrobili w Rosji? Ich rządy rychło zrujnują kraj.

– To są idealisci, Hubercie.

– Raczej niedojrzali marzyciele. Każdy głupiec widzi, co się stanie z Irlandią, jeśli postawią na swoim. Zniszczą rolnictwo, przemysł, porządek i prawo. Będziemy żyć w bagnie bezprawia i papizmu. Hańba! Cholerna hańba!

Adeline wyszła do ogrodu. Miała dość utyskiwań męża. Panowało lodowate zimno, ale niebo było czyste i jasnoniebieskie. Wciągnęła w płuca świeże powietrze i przyglądała się, jak rudzik, przycupnięty na karmniku, jadł ziarno, które tam wysypała. Schowała ręce w kieszeniach i powędrowała po oszronionej trawie, skrzypiącej wraz z każdym jej krokiem. Byстрыm spojrzeniem omiatała żywopłoty z cisów oraz inne krzewy, które wyglądały jak przysypane cukrem pudrem. Kochała Irlandię całym sercem i bolała ją myśl, że nacjonalizm doprowadzi tu do wybuchu przemocy. Rozumiała pragnienia Irlandczyków, ale czy musieli uciekać się do rozlewu krwi? Czasem przychodziło jej do głowy, że może powinni wyjechać. Ale czy nie byłaby to z ich strony kapitulacja? Należeli do Castle

Deverill. Pokochali to miejsce na zawsze.

Przy drzwiach jednej ze szklarni zauważyła grupę obszarpanych dzieci. W wielkim pośpiechu pakowały sobie coś do ust. W pierwszej chwili pomyślała, że jedzą jakieś rośliny. Cóż innego nadawało się do jedzenia o tej porze roku? Ale potem zauważyła w ich palcach kawałki chleba. Przyspieszyła kroku, obawiając się włóczęgów i przypominając sobie, co przydarzyło się biednemu Tomasowi Doyle'owi. Jeden z chłopców ją zauważył i ostrzegł pozostałych. Rozpierzchli się w mgnieniu oka jak przestraszone króliki i zniknęli za murem ogrodu warzywnego. Z bijącym sercem zajrzała do szklarni. Rząd pustych talerzy świadczył, że tu ucztowali. Zostały tylko okruszki.

Kto im wynosi jedzenie? Nad rozwiązaniem zagadki nie łamała sobie długo głowy. W rodzinie była tylko jedna osoba, która tak samo jak Adeline troszczyła się o biednych.

– Kitty, domyślam się, że karmisz dzieci w szklarni – powiedziała do wnuczki, która przysłała do zamku na herbatę.

Kitty zrobiła skruszoną minę.

– To prawda – wyznała. – Sądziłam, że nie będziesz miała nic przeciwko temu. Te bidulki są takie głodne. Nie mogą znieść widoku głodnego dziecka.

Adeline uśmiechnęła się wyrozumiale.

– Powinnaś była mi powiedzieć. Lepiej zorganizować jakąś jadłodajnię w stodole, zamiast zachęcać dzieci do wchodzenia na teren naszych ogrodów. Wiesz, jaki jest dziadek. Nie ma gwarancji, że nie zaczną do nich strzelać jak do szcurków. Wolałabym nie obciążać tym swego sumienia.

– Możemy porozmawiać o tym ze szkołą. Można by organizować gorące lunche raz czy dwa razy w tygodniu...

– Zaangażujemy Krzaczkę – zasugerowała Adeline. – Miałyby jakieś zajęcie.

– Kapitalny pomysł, babciu.

– I Grace Rowan-Hampton. Ona już udziela dzieciom lekcji angielskiego. Myślę, że powinniśmy zmobilizować inne damy w Ballinakelly. Jesteśmy odpowiedzialni za tych, którzy nie mogą się sami wyżywić. Grace jest bardzo energiczna. Potrzebujemy takich kobiet – zdecydowanych i praktycznie myślących.

Kitty zeszytniała. Nie widziała Grace od czasu targu zeszłej wiosny.

– Tak, babciu – powiedziała. – Ona bez wątplenia należy do kobiet, które osiagają swoje cele.

Adeline nie dostrzegła sarkazmu w głosie wnuczki, myślała już bowiem o innych paniach, do których się zwróci.

– Tak, musimy być użyteczne – stwierdziła z namaszczeniem. – Ludzie muszą to zauważyć – dodała chytrze.

*

Kitty z ciężkim sercem wracała do Hunting Lodge. Nie chciała współpracować z Grace. Babcia, taka spostrzegawcza, jeśli chodzi o kobiety, a nie poznała się na Grace. Nie dostrzegła, że pod maską słodczy kryje się przebiegła manipulantka i uwodzicielka.

W domu od razu poszła na górę i z jękiem rzuciła się na łóżko. Chwilę później rozległo się ciche pukanie do drzwi. Domyśliła się, że to Bridie.

– Proszę! – zawołała.

Bridie weszła do środka. Nie miała teraz wiele czasu na plotki z Kitty, ponieważ po przyjeździe Elspeth musiała im obu usługiwać.

– Mam wiadomość – powiedziała cichym głosem, pospiesznie podchodząc do łóżka.

– Jaką? – Kitty oparła się na łokciu.

– Chodzi o pannę Elspeth. Pan MacCartain się do niej zaleca.

– Peter MacCartain?

– Tak, on.

Kitty usiadła z wrażenia.

– Wielkie nieba! Skąd wiesz?

Bridie spłonęła rumieńcem.

– Przed chwilą pojawił się przy kuchennym wejściu i pytał o nią.

– Przy kuchennym wejściu?

– Panna Elspeth mrugnęła do mnie i przyłożyła palec do ust.

– Mama ją zabije, jeśli się dowie. – Kitty uśmiechnęła się szeroko. – Ogromnie się cieszę. Nie sądzę, żeby była stworzona do klasztoru.

– Myślę, że ona jest zakochana, Kitty. Twarz miała zaróżowioną i radosną. Nigdy nie widziałam jej tak szczęśliwej.

– Dziwne, że udało jej się to ukryć przed mamą. – Kitty z ciężkim westchnieniem opadła na poduszki.

– Co się stało, Kitty? – Bridie przysiadła na brzegu łóżka. – Nie tęsknisz chyba za panem Trenchem?

– Za Trenchem? Na Boga, Bridie, co ci przyszło do głowy?

– A więc go nie kochasz?

– Kocham Trencha? – Kitty znów usiadła. – Nawet mi się nie podoba. To najnudniejszy facet, jakiego kiedykolwiek spotkałam.

Bridie zmarszczyła brwi.

– A więc dlaczego wdychałaś?

Kitty się roześmiała.

– Myślałaś, że wdycham z powodu Trencha?

– Ostatnio często ci się to zdarza.

– Musiałabym być bardzo zdesperowana, żeby chcieć go poślubić.

Bridie popatrzyła na przyjaciółkę z powagą.

– Czy kiedykolwiek myślałaś o małżeństwie, Kitty?
– Czasami – powiedziała lekkim tonem Kitty, jakby to była sprawa bez znaczenia. – A ty?

Bridie uśmiechnęła się nieśmiało.

– Czasami.

– Kogo byś chciała poślubić, Bridie?

Bridie nerwowo spojrzała na swoje palce. Kitty zmrużyła oczy.

– Jest ktoś, prawda? – Była zbulwersowana, że tego nie zauważyła. – Powiedz mi, kim on jest? Czy on też cię kocha?

Bridie zmarszczyła czoło.

– Nie sądzę, żeby mnie kochał, Kitty. Ale wiem, że mnie lubi, co jest dobre na początek, prawda?

– Czy to ktoś ze służby? Może John McGivern? – Kitty pomyślała o drugim lokaju.

– Nie! – Bridie się skrzywiła. – To Jack...

Kitty wpatrywała się w przyjaciółkę. Miała taką wprawę w utrzymywaniu sekretów, że jej twarz nie zdradziła ani odrobiny przerażenia, jakie nią wstrząsnęło po wyznaniu Bridie.

– Jack O’Leary? – spytała.

– Tak.

– Od jak dawna jesteś w nim zakochana?

– Od lat – wyznała Bridie, a jej twarz rozkwitła w marzycielskim uśmiechu.

– Nie powiedziałam ci, bo obawiałam się, że mnie wyśmiejesz.

– Dlaczego miałabym to zrobić?

– Bo nie jestem dla niego odpowiednia. Jego matka życzyłaby sobie kogoś lepszego.

– Czy on ci dawał jakąś zachętę? – Kitty unikała jej spojrzenia, ponieważ czuła się niezręcznie, pytając o coś, na co znała odpowiedź.

– Nie. – Bridie spuściła wzrok. – Ale jesteśmy przyjaciółmi, a więc... – Bezradnie wzruszyła ramionami.

– Och, Bridie – westchnęła Kitty, znów siadając. – Sądzisz, że to mądre wzbudzać w sobie nadzieję w stosunku do mężczyzny, który być może jest nieosiągalny?

– Nie interesuje mnie nikt inny, Kitty. Nikt nie dorównuje Jackowi. – Oczy Bridie zalśniły łzami. – Poszłabym za nim na koniec świata, naprawdę.

– Czy on o tym wie?

– Nie.

– A ktoś inny?

– Nikt nie wie.

Kitty wzięła głęboki oddech, starając się wymyślić, jakiej rady by udzieliła,

gdyby sama nie była zakochana w Jacku.

– Na pewno są jacyś interesujący mężczyźni w Ballinakelly...

Bridie pokręciła głową.

– Jack jest inny niż wszyscy.

– Nie, nie sędzę – powiedziała Kitty.

Bridie położyła dłoń na kolanie Kitty.

– Pewnego dnia dowiesz się, co to znaczy kochać mężczyznę, tak jak ja kocham Jacka. Obyś miała więcej szczęścia niż ja, Kitty.

Po wyjściu Bridie Kitty w rozpaczy padła z powrotem na poduszki. Przyłożyła rękę do czoła i jęknęła. Co za bałagan! Jak na ironię żadna z nich nie mogła mieć Jacka. Bridie była zbyt nisko urodzona, Kitty zbyt wysoko. Matka zapewne udaremni ślub Elspeth z Peterem MacCartainem, a co dopiero pomysł Kitty poślubienia Jacka O’Leary’ego. Maud nie interesowały córki, interesowała ją wyłącznie własna reputacja. Victoria, hrabina Elmrod, pozwalała jej obnosić swój wielkopański majestat wśród londyńskiej socjety. Elspeth MacCartain przyniosłaby jej wstyd. Kitty O’Leary kompletnie by ją załamała. Na tę myśl Kitty parsknęła głośnym śmiechem. Ale był to głuchy, ponury śmiech. A ojciec? Jak on by zareagował? Przestała się śmiać. Bertie zapominał o całym świecie w ramionach lady Rowan-Hampton. Pewnie w ogóle by go nie obeszyły poczynania córek.

*

Minęło kilka dni, zanim Kitty znów mogła spotkać się z Jackiem. Schowali się w szklarni, uciekając przed deszczem. Ujął jej dłoń.

– Zaczyna się robić nieprzyjemnie – ostrzegł. – Mówi się o wojnie przeciw Brytyjczykom. Dojdzie do przemocy, bo Brytyjczycy tak łatwo władzy nie oddadzą. Uważam, że pozostawanie w Irlandii będzie dla ciebie niebezpieczne.

– Jestem Irlandką – zaprotestowała buńczucznie Kitty.

– To, że tak twierdzisz, nie zmienia rzeczywistości. Jesteś Anglo-Irlandką, a to co innego. W ich oczach jesteś wrogiem i grozi ci niebezpieczeństwo. Nie zgadzam się, żebyś tu została, skoro spokojnie możesz siedzieć w Londynie, aż to wszystko przycichnie.

– Nigdzie się nie wybieram! – odparowała. – Nie opuszczę ciebie ani zamku. To mój dom. Kocham go. I kocham ciebie, Jacku O’Leary, aż do szpiku kości. – Uśmiechnęła się ujmująco.

Jack ujął jej twarz w dłoń.

– Ja też cię kocham, Kitty, i dlatego martwię się o twoje bezpieczeństwo. – Pocałował ją.

Zamknęła oczy, napawając się tym pocałunkiem.

– Chcę wam pomóc.

– Kitty...

– Mogę pomóc – nalegała. – Musi być jakiś sposób, żebym okazała się użyteczna.

– Nie pozwolę ci się w to zaangażować.

Skrzyżowała ramiona.

– Nigdzie się nie wybieram. Koniec, kropka.

– Jesteś uparta jak muł.

– Ale chyba ładniejsza? – dodała przekornie z promiennym uśmiechem.

– Martwisz mnie, Kitty.

– To nie mój problem – odparła cierpko.

– Będzie, gdy odkryjesz, że nie możesz bezpiecznie wyjść za bramę.

Zatroskany wyraz jego twarzy wytrącił ją z równowagi.

– To ty możesz mieć kłopoty, Jack. – Wzięła jego dłoń i przyłożyła do swego policzka. – Proszę, uważaj na siebie.

– Rzucimy Brytyjczyków na kolana, przekonasz się – odpowiedział, ale to w żaden sposób nie złagodziło ucisku, który poczuła w żołądku.

*

Było ciemno, gdy Michael i Sean Doyle'owie, Jack O'Leary i sześciu innych mężczyzn z Trzeciej Brygady Irlandzkich Republikanów Zachodniego Cork wyruszyli w kierunku koszar Królewskiej Irlandzkiej Policji w Ballinakelly. Po niebie pędziły czarne chmury, a nadchodzące z nad morza gwałtowne lodowate podmuchy wiatru smagały bezlitośnie wybrzeże. Przytulając się do ścian, z maskami na twarzach i nisko opuszczonymi kapturami, przemykali bocznymi uliczkami jak zwinne psy. Ćwiczyli ten rodzaj ataku w jednej ze stodół Hanratty'ego, jak również czytanie map, wciąganie w zasadzkę, walkę uliczną, i teraz napędzani patriotycznym zapałem oraz poczuciem braterstwa zmierni do wspólnego celu, wiedząc, że większość hrabstwa Cork jest po ich stronie. Tylko Michael miał broń i trochę amunicji. Będzie musiał oszczędzać cenne pociski.

Przystanąli na widok surowego budynku policyjnych koszar. Kiedyś mieścił się tu pośledni hotel. Większe brytyjskie garnizony stacjonowały w Bandon, Clonakilty, Dunmanway, Skibbereen, Bantry i Castletownbere, ale według informacji wywiadu właśnie tu znajdował się ukryty w piwnicy pokaźny arsenał broni. Rebelianci zamierzali ją zdobyć.

Na znak dany przez Michaela dwóch mężczyzn oderwało się od grupy i chyłkiem przebiegło przez plac, na którym w każdy pierwszy piątek miesiąca odbywał się targ. W środku nocy było tu cicho i spokojnie, błoto na ziemi zamarzło, słychać było jedynie podmuchy wiatru. Chwilę później eksplozja granatu rozerwała ciszę. Jackowi krew pulsowała w skroniach. Zebrał się w sobie i w napięciu czekał na rozwój wypadków. Podniesiona adrenalina nie pozwalała, by lodowaty strach ścisnął mu serce. Zapadła złowieszczą cisza, jakby miasteczko

na chwilę wstrzymało oddech, po czym w oknach koszar rozbłysły światła; gromada policjantów wypadła na zewnątrz, w pośpiechu zapinając koszule i paski od spodni, a potem celując broń w stronę niewidocznego przeciwnika. Byli kompletnie zdezorientowani.

Michael podniósł dłoń, gdy policjanci wylegli na plac, pozostawiając koszary prawie niestrzeżone. Jego podwładni, drżąc jak konie w blokach przed startem, czekali, aż opuści rękę i rozpocznie się akcja. W końcu Michael dał komendę i ruszyli do budynku; zaskoczeni policjanci nie zdążyli sięgnąć po broń i po krótkiej walce na pięści i bagnety rebelianci powalili ich na ziemię.

Nagle korytarz stanął w płomieniach. Jack stał na straży przy schodach, podczas gdy jego towarzysze zbiegli na dół po broń. Chwilę później rozległ się tupot kroków na schodach, gdy triumfalnie wracali na górę z rewolwerami, strzelbami i amunicją. Ogień ogarnął już cały budynek, pożerał sterty dokumentów i meble niczym podpałkę. Rebelianci uciekli przez tylne okna i zgodnie z planem rozpiechli się w różnych kierunkach, by jeszcze bardziej zdezorientować nieprzyjaciela.

Jack uciekał boczną uliczką; zorientował się, że jest ścigany. Obejrzał się przez ramię i zauważył biegnących za nim dwóch policjantów. Przeskoczył przez furtkę do czyjś ogródka, potem przez trawnik skrzący się od mrozu w świetle księżycy, wreszcie przez siatkę na sąsiednie podwórko. Z sercem dudniącym jak wojskowy bęben pędził co sił w nogach.

Wreszcie znalazł się przy okazałym różowym domu, oddalonym nieco od ulicy, z żelazną bramą i starannie utrzymanym ogrodem. Zauważył, że okno na parterze jest uchylone i bez namysłu wskoczył do środka. Wylądował na podłodze z głuchym łoskotem, ale udało mu sięgnąć ręką i zamknąć okno, zanim policjanci wychynęli zza rogu.

– Gdzie on uciekł? – spytał jeden z nich.

– Nie wiem – odparł drugi.

Jack przywarł do podłogi.

*

Hazel obudził głuchy łomot, a potem głosy na zewnątrz. Przestraszona zapaliła świecę i na palcach podreptała do sąsiedniej sypialni.

– Laurel, obudź się! – syknęła, tarmosząc siostrę za ramię.

– Co się dzieje? – spytała przerażona Laurel.

– Słyszałaś ten odgłos? Jakiś łomot... Na dole.

– Nie, nic nie słyszałam.

– Z ulicy dochodzą jakieś głosy. – Hazel pospieszyła do okna i rozsunęła zasłony. Dwóch policjantów ze zdumieniem rozglądało się po ulicy.

– Co tam widzisz? – spytała Laurel.

- Policjantów.
- Co tu robią?
- Chyba kogoś szukają.
- O tej porze?
- Na to wygląda. Ale już odchodzą. Nie sędzę, żeby kogokolwiek znaleźli.
- To dobrze.
- Mają nietęgie miny...
- Jutro spytamy, co się stało, i zaoferujemy pomoc. Jesteśmy dobre w odnajdywaniu rzeczy.
- Pamiętasz okulary do czytania Huberta? – powiedziała Hazel, opuszczając zasłonę.
- Oczywiście. Były za oparciem sofy. A naszym Adeline?
- Naszyjnika nie znalazłyśmy – poprawiła ją Hazel.
- Nie, nie znalazłyśmy. Zupełnie zapomniałam. – Westchnęła. – Musimy jeszcze raz poszukać.
- Dobranoc, Laurel.
- Dobranoc, Hazel.

Jack poczekał, aż policjanci się oddalą, a potem bardzo cicho, żeby nikogo nie obudzić, podniósł okno i wyślizgnął się na zewnątrz jak rabuś. Upewniwszy się, że jest bezpieczny, wyszedł przez furtkę i udał się do domu.

Rozdział 16

Pod koniec tysiąc dziewięćset dziewiętnastego roku niechęć do Brytyjczyków zaczęła rozprzestrzeniać się po całym kraju jak mokra plama. Krzaczki, zajęte prowadzeniem darmowej jadłodajni, którą założyły wraz z Adeline w budynku szkoły, pierwsze odczuły jej objawy. Mieszkańcy miasteczka nie uchylali czapek, by je powitać, uczniowie rzucali im pogardliwe spojrzenia, farmerzy nie przepuszczali przodem w drzwiach, a ekspedientka w sklepie nie chciała ich obsłużyć. Każdy afront zapadał im głęboko w pamięć i był gorączkowo omawiany podczas herbatek w zamku.

– Przysięgam, że jakiś młody chłopak rzucił dziś rano we mnie kamykiem, gdy szłam do rzeźnika – powiedziała z oburzeniem Laurel, trzymając filiżankę w drżącej ręce. – Nie sędzę, żebym to sobie wyobraziła. Gdy zwróciłam mu uwagę, roześmiał się szyderczo. Tak, właśnie, wyśmiał mnie i wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie!

– Co za bezczelny chłopak! – Hazel podniosła głos. – Wie, że nie dostanie za to lania. Przyzwolenie idzie od rodziców. Uważają, że to w porządku napadać starą kobietę.

– Starą Angielkę – dodała Laurel, oddychając przez rozszerzone nozdrza.

– Dzisiaj kamyk, jutro skała – skonstatowała ponuro Hazel.

– Ale to jego spojrzenie zwróciło moją uwagę. Spojrzenie buntownika! Za kilka lat będzie do nas strzelał, zapamiętajcie moje słowa.

Adeline, która spokojnie malowała, siedząc przed oknem, podniosła wzrok.

– Zdziwiałam, zważywszy, że żywimy ich dzieci.

– Żywiąc ich dzieci czy nie, jesteśmy dla nich wrogami, Adeline – powiedziała Laurel. – Szybko się zapomina o zjedzonym chlebie.

– Ucieszą się, gdy zobaczą, jak stąd wyjeżdżamy – przyznała jej rację Hazel, zaciskając usta.

– Wiecie, jak teraz o tym myślę, pan O’Callaghan nie powiedział mi dziś rano „dzień dobry”, gdy weszłam do jego sklepu – dodała Laurel, stawiając filiżankę na spodku. – Zignorował mnie, aż sama mu się ukloniłam. Wtedy po prostu skinął głową.

– Skinął głową? – spytała Hazel.

– Skinął głową. – Laurel zmrużyła oczy, a usta jej się zacisnęły z powodu doznanej urazy. – Och, co za bezczelność, Hazel. Obawiam się, że sytuacja jest naprawdę zła.

Mijały miesiące i objawy niechęci stawały się coraz bardziej agresywne, aż

rzezuony kamień w okno Krzaczków wywołał u nich wielki stres. Adeline zaprosiła je natychmiast do zamku.

– Mamy tu mnóstwo wolnych pokoi – powiedziała uszczęśliwiona. – Jeśli ktokolwiek ośmieli się rzucić kamieniem w nasze okno, dostanie kulkę w plecy, zanim zdąży wezwać Boga na pomoc.

Gdy otrzymali wiadomość, że podpalono dom ich przyjaciół Goodesów w Bandon, niepokój przerodził się w prawdziwy strach.

– Będziemy następni – ostrzegła Laurel, sięgając po szklaneczkę sherry i głośno siorbiąc. – Shinnersi nie powstrzymają się przed niczym.

– Biedni Arthur i Lizzie, ledwie uszli z życiem. Z całego domu w ciągu jednej nocy została kupka popiołu. Spalił się jak słoma – zakomunikowała Adeline.

– Jak możemy się ochronić przed takimi ludźmi? – pytała zrozpaczona Hazel. – Nie jesteśmy już bezpieczni we własnych domach. Jak sądzicie, czy powinniśmy się spakować i wyjechać? Wielu już tak zrobiło.

Adeline rzuciła jej gwałtowne spojrzenie.

– Nie wyjedziemy! – oświadczyła. – Nie mamy powodu bać się shinnersów. Wszyscy wiedzą, że jesteśmy dobrzy dla dzierżawców; zawsze tacy byliśmy. Hubert cieszy się ogromną sympatią wśród ludzi w Ballinakelly. Nikt nie ośmielił się zrobić mu krzywdy ani naszemu domowi.

Wydawało się, że to usatysfakcjonowało Krzaczkę. Laurel podeszła do karcianego stolika i przesunęła palcami po aksamitnej powierzchni.

– Przynajmniej jesteśmy tu razem – powiedziała. – W ilości siła. Roberek na pewno odwróci nasze myśli od kłopotów.

*

We wrześniu, gdy Kitty skończyła dziewiętnaście lat, Maud zaczęła skupiać na najmłodszej córce swoją uwagę, której tak jej szczydziła w przeszłości. Czas, żeby wyszła za mąż, ale za kogo? W Irlandii brakowało odpowiednich kandydatów; byli zbyt biedni albo zbyt nisko urodzeni. Istniało tylko jedno miejsce, dokąd można pojechać: Londyn. Ale gdy pewnego wieczoru podczas kolacji poruszyła ten temat, Kitty nie zareagowała zgodnie z oczekiwaniem matki.

– Nie pojedę do Londynu – powiedziała chłodno, patrząc na matkę ze spokojem osoby wiedzącej, że wygra tę batalię.

Maud zwróciła się do Bertiego o wsparcie.

– Nie znajdziemy dla niej nikogo odpowiedniego w Cork – powiedziała. – Beatrice chętnie nas przyjmie, jeśli Victoria będzie w Broadmere. Z powodu wojny Kitty nigdy nie miała okazji uczestniczyć w londyńskim sezonie. Ale co się odwlecze, to nie uciecze.

Zmętniałe oczy Bertiego prześlizgnęły się z żony na córkę, a potem z powrotem.

– Czy Kitty chce znaleźć męża?

– Nie chodzi o to, czy chce. Musi! Jeśli będzie zwlekać, zostanie starą panną jak Elspeth.

Elspeth zacisnęła usta, skrywając swój sekret. Harry wbił wzrok w talerz. Nienawidził takich scysji.

– Ani mi się śni jechać do Londynu – odparła Kitty. – Zostaję tu, w Castle Deverill. Jeśli chcesz, żebym wyjechała, będziesz musiała mnie, mamó, zaciągnąć za włosy.

– Kitty, jak śmiesz tak się do mnie odzywać! – wykrzyknęła Maud z rumieńcem na twarzy.

– Jak, mamó? Jestem po prostu szczerą.

– Nie bądź bezczelna! Myślałam, że panna Grieve nauczyła cię manier.

Kitty uniosła dłoń i wpatrywała się w matkę z taką goryczą, że Maud zeszytywniała.

– Panna Grieve była tyranem i despotką. Nauczyłam się przy niej być silną.

Maud odwróciła wzrok. Wolą zignorować tę uwagę, niż zmierzyć się z odpowiedzialnością za ponure rzeczy z przeszłości. Zwróciła się do Bertiego:

– Na litość boską, powiedz coś! Jak możesz słuchać tych impertynencji i nie reagować?

Bertie pociągnął niemały łyk wina.

– Moja droga, jeśli ona nie chce jechać, nie będę jej zmuszał. To nie byłoby fair.

Maud zjeżyła się jak wystraszony kot.

– Zawsze jestem sama. Nikt mnie nie wspiera. Sama muszę myśleć o przyszłości naszych córek. Mogłabym nic nie robić i dać im spokój, ale wtedy miałbyś do mnie pretensje, że poślubiły nieodpowiednich mężczyzn i naraziły na szwank reputację naszej rodziny.

– Czy Victoria jest szczęśliwa? – spytał Bertie.

– Co ma z tym wspólnego szczęście? – obruszyła się Maud.

– Widzisz, moja droga, to jest szkopuł w twoim planie. Jeśli przedkładałabyś ich szczęście ponad własne ambicje, może nie byłyby tak niechętne twoim zamiarom.

– Małżeństwo nie ma nic wspólnego ze szczęściem. Powinieneś to wiedzieć lepiej niż ktokolwiek. – Zwróciła się do Kitty: – A więc nie pojedziesz ze mną i Elspeth?

Elspeth powoli odłożyła sztućce.

– Ja też nie pojedę – powiedziała, chociaż nie tak zuchwałym tonem jak Kitty.

Siostry skrzyżowały spojrzenia w milczącym poczuciu koleżeństwa. Harry'emu ze zdumienia opadła szczęka. Elspeth zawsze była taką potulną

dziewczyną.

Uszy Maud stanęły w ogniu.

– Elspeth?

Elspeth zerknęła na Kitty, jakby szukając u niej wsparcia.

– Przykro mi, mamó. Ale nie chcę jechać do Londynu.

Maud uśmiechnęła się pod nosem, jakby dopiero teraz zrozumiała, kto tak rozzuchwiał jej starszą córkę.

– Znakomicie – odparła cicho. – Nie zamierzam z wami walczyć. Bóg mi świadkiem, że zawsze stawiałam wasze szczęście ponad swoje własne! W każdym razie próżne moje wysiłki, jeśli nie mam oparcia w waszym ojcu. Ale wątpię, byście znalazły tu odpowiednich mężów.

– A ty zostajesz, moja droga? – spytał Bertie żonę.

– Zostanę ze względu na Harry’ego – odparła, hardo unosząc podbródek. Harry wyglądał na zażenowanego. – Gdy sytuacja się zaostrzy, będę cię namawiać, żebyś wyjechał do Londynu. Nie znajdziesz kandydatki z odpowiednim posagiem na panią na naszych włościach w Cork, a będziesz potrzebował żony, gdy odziedziczysz zamek. Bóg jeden wie, skąd inaczej wziąć pieniądze. – Zwróciła się do córek: – Jeśli wy, głupie gęsi, chcecie się tu zasiedzieć, proszę bardzo! Tylko żebyście później nie biadoliły ze skrucą i żalem, gdy wam powiem „a nie mówiłam”. – Po tych słowach odłożyła serwetkę na stół i wyszła z jadalni.

Kitty uśmiechnęła się szeroko do Elspeth, która z nerwów cała dygotała.

Ich ojciec poczekał, aż trzasną drzwi, a potem, jak gdyby nigdy nic, zwrócił się do syna:

– Powiedz mi, Harry, jak ci się podoba nasza nowa suka? Nieźle goni, prawda?

*

W następnym tygodniu Peter MacCartain umówił się na spotkanie z ojcem Kitty. Godzinę rozmawiali w bibliotece. Kitty i Elspeth podsłuchiwały pod drzwiami, ale głosy były tak ciche, że do ich uszu dobiegał jedynie szmer. Gdy w końcu drzwi się otworzyły i Peter wyszedł do holu, Elspeth już tam na niego czekała.

– Co powiedział? – szepnęła, odprowadzając go do wyjścia.

– Musi omówić sprawę z twoją matką.

Elspeth się zasępiła.

– Ona się nigdy nie zgodzi.

Peter ścisnął jej rękę.

– Być może, ale twój ojciec ma na względzie twoje szczęście.

– A więc jest jakaś nadzieja?

Peter uśmiechnął się szeroko.

– Mnóstwo nadziei, kochanie. – I pocałował ją przelotnie w policzek.

Wywiązała się potworna awantura pomiędzy Bertiem i Maud. Kitty i Elspeth podsłuchiwały w pokoju nad biblioteką przez szklankę przyciśniętą do podłogi. Maud krzyczała na Bertiego, jej głos podnosił się i opadał, mówiła wyłącznie w pierwszej osobie, ponieważ jak zwykle każdy argument odnosiła do siebie.

– Miałam okropny rok – zawodziła. – A teraz to! Ile jeszcze muszę znieść? – Po chwili dodała: – Po tym wszystkim, co zrobiłam dla tego dziecka! Życie matki to tylko poświęcenie. Powinny przynajmniej docenić, co dla nich robię!

Elspeth zaczynała wątpić, czy naprawdę jest jakaś nadzieja. Łzy wypełniły jej sarnie oczy, gdy oświadczyła z determinacją, że jeśli nie będzie mogła poślubić Petera, poślubi Chrystusa i zostanie zakonnicą.

Wreszcie na dole zapadła cisza. Po pewnym czasie Elspeth wezwano do biblioteki. Kitty została w pokoju na górze, z uchem przyklejonym do szklanki. Głosy były ciche, ale słyszała każde słowo ojca. Wyraził swoją zgodę, jeśli takie jest życzenie jego córki.

– Jeśli wojna czegoś mnie nauczyła, Elspeth – powiedział uroczyście – to znaczenia miłości w życiu człowieka. Miłości do towarzyszy broni, do dzieci, miłości do życia. Gdy byłem na froncie, tylko to się liczyło. A więc jeśli Peter może uczynić cię szczęśliwą, masz moje błogosławieństwo.

– Och, tato... – Elspeth się rozplakała.

Kitty wyobrażała sobie, że się ściskają. Matka milczała: już wystarczająco dobitnie wyraziła swoje obiekcje. Kitty wiedziała jednak, że ojciec nigdy nie zgodzi się na jej małżeństwo z Jackiem, nawet jeśli Jack miałby ją uszczęśliwić. Jego wspaniałomyślność miała swoje granice. Jack nie tylko pochodził z niższej warstwy społecznej i należał do innego Kościoła, ale na domiar złego był Irlandczykiem. Ojciec nie zgodzi się mieć członka Sinn Féin za zięcia.

Chwilę później Elspeth biegła po schodach, przeskakując po dwa stopnie, i wpadła do pokoju, gdzie czekała na nią Kitty.

– Zgodził się! – wykrzyknęła, rzucając się siostrze na szyję. – Tylko dzięki tobie znalazłam w sobie siły, żeby przeciwstawić się mamie. – Elspeth nadal się trzęsła z emocji. – Ale zrobiłam to! Tata powiedział, że mogę poślubić Petera, jeśli mnie to uszczęśliwi.

– A mama? – spytała Kitty.

– Wyszła z pokoju biała jak prześcieradło.

*

Maud zamknęła na klucz drzwi sypialni i opadła na krzesło przed toaletką. Oparła głowę na rękach i wpatrywała się w swoje odbicie w lustrze. Dlaczego wszystko potoczyło się tak źle? Czyż nie wychowała Elspeth z właściwym kompasem moralnym? Czyż nie pokazała jej, gdzie leży północ i że trzeba podążać

we właściwym kierunku? A teraz ta głupia dziewczyna nalega na małżeństwo z Anglo-Irlandczykiem gołym jak święty turecki! Co prawda, ma on opinię najlepszego myśliwego w okolicy, ale to przecież nie gwarantuje utrzymania żony na odpowiedniej stopie. Jaki los czeka Elspeth w kraju, który rozpada się na ich oczach? Czy nie zdaje sobie sprawy, że jej przyszłość jest w bezpiecznej Anglii? Victoria dobrze wybrała, jest hrabiną we wspaniałym kraju, a nie żoną byle kogo.

Maud potarła skronie. Pewnego dnia Hubert umrze i ona zostanie lady Deverill, panią na zamku. Ale ten zamek, kiedyś jeden z najwspanialszych w Irlandii, teraz jest stertą kamieni, otoczonych cenną ziemią, z której rebelianci zamierzają ich wyrzucić. Cóż jej po zamku w Irlandii? Przeklinała się w duchu za wybór męża. A szczęście... Cóż, ile czasu minęło, odkąd była szczęśliwa? Zagryzła wargę. Nawet nie potrafiła sobie przypomnieć. Jeśli ma się być nieszczęśliwą w małżeństwie, trzeba przynajmniej poślubić arystokratę z okazałym domem, mnóstwem pieniędzy i zaszczytnym tytułem największego imperium na ziemi. Czy Elspeth naprawdę nie rozumie, że tylko to daje pocieszenie?

*

Na początku następnego roku Brytyjczycy przysłali specjalne siły do Irlandii, żeby wzmocnić tutejszą policję. Ze względu na brak tradycyjnych ciemnozielonych mundurów ubrano ich w spodnie khaki i czarne berety; z powodu tej kombinacji kolorów nadano im później przezwisko „czarno-brunatni”. Wkrótce po ich przyjeździe Hubert zaprosił ich dowódcę do zamku. Pułkownik Manley – wysoki, tłusty mężczyzna z lśniącymi od brylantyny brązowymi włosami i bujną szczeciną wąsów, starannie przystrzyżonych nad różowymi mięsistymi wargami – wrócił z wojny w glorii bohatera, co przełożyło się na jego wysokie mniemanie o sobie. Hubert przywitał gościa ciepło, poklepał po plecach i zaproponował szklaneczkę whisky, prowadząc go do salonu.

– Dobrze, że pan przybył, pułkowniku. Mamy tu jednak stan wyjątkowy. Barbarzyńskie zachowania tutejszej ludności muszą się wreszcie skończyć.

– Może pan być spokojny, lordzie Deverill, położymy temu kres – zapewnił z przekonaniem pułkownik. – Pokażemy tym przeklętym Patrykom, gdzie raki zimują!

– Cieszę się, że to słyszę – rzekł Hubert. – Damy poczują się bezpieczniej w waszej obecności.

*

Gdy Krzaczkę wraz z Adeline zeszły na dół na kolację, pułkownik Manley skłonił się głęboko i pocałował jej w rękę, co przyprawiło ją o dreszczyk emocji. Usiadł u boku Adeline, mając Hazel po swej prawej stronie, a Laurel naprzeciwko, i wpatrywał się jasnoniebieskimi błyszczącymi oczami z równym zaangażowaniem

w trzy siostry.

– Uroczy mężczyzna – westchnęła Hazel, gdy po kolacji panie wycofały się do salonu, pozostawiając mężczyzn z cygarami i porto.

– Takemu mężczyźnie można zaufać, nie sądzicie? – powiedziała Laurel.

– Bo ja wiem – zastanawiała się Adeline. – Wydaje mi się, że ma okrutny błysk w oku.

– Myślisz, że z nas kpił? – spytała Hazel.

– Potrafi komplementować kobiety – orzekła Laurel. – To dżentelmen, prawdziwy dżentelmen, który umie flirtować, nie przekraczając granic dobrego smaku.

– Jeśli w jego oczach jest okrutny błysk, Adeline, to może tego właśnie trzeba, żeby utrzymać tych ludzi w ryzach. Muszę poinformować pułkownika, że zaledwie wczoraj ekspedientki w sklepie Flanagan wyśmiewały się ze mnie... – Hazel zapadła się w sofę, żeby opowiedzieć o tym siostrom.

*

Gdy zima z wolna ustępowała wiosnie, Bertie coraz rzadziej widywał Grace, mimo że starał się mniej pić i zachowywać się z taką samą dyskrecją jak przed wojną. Grace twierdziła, że ma jakieś sprawy w Dublinie i znikła na całe tygodnie, pozostawiając go ze złamanym sercem jak zakochanego uczniaka. Widywał sir Ronalda na polowaniach czy wyścigach, ale Grace, która tak lubiła jazdę konną, często była nieobecna. Okropnie za nią tęsknił. To jej listy i jej słowa otuchy podtrzymywały go na duchu w czasie wojny. Jak wiatr podtrzymuje skrzydła orła, pomyślał z przygnębieniem. Bez niej nie miał w sobie woli ani siły do latania i tkwił przykuty do ziemi, zrozpaczony i żaloszny jak pisklę.

Maud przestała z nim w ogóle rozmawiać. Bertie z ulgą powitał ciszę, ale nie podobała mu się niemiła atmosfera, która nastąpiła w domu. Maud była nieznośna dla służby i jeszcze gorsza dla córek; tylko Harry'ego oszczędzała. Podczas gdy córki zachowywały bezpieczny dystans, Harry'go przy matce trzymało poczucie winy i lojalność. Maud potrafiła manipulować synem za pomocą emocjonalnego szantażu i faworyzowania, a poza tym była zdeterminowana, żeby go nie stracić, tak jak straciła już Elspeth. Jeśli to Kitty stała za tym zaskakującym buntem Elspeth, niech ją diabli, jeśli pozwoli, żeby Harry też dostał się pod jej wpływ!

Pewnego poranka, gdy Bridie wyszła z sypialni Kitty z naręczem brudnej bielizny, zobaczyła na końcu korytarza siedzącego bezwładnie ze spuszczoną głową Bertiego Deverilla. W pierwszej chwili pomyślała, że powinna udawać, że go nie widzi i zniknąć za obitymi sukniem drzwiami. Ale współczucie przeważyło nad ostrożnością, odłożyła bieliznę i podeszła do niego.

– Panie Deverill, dobrze się pan czuje? – spytała. Bertie podniósł głowę, oczy miał zamglone i obce. – Może sprowadzę kogoś, żeby panu pomógł? Pana

O'Lyncha albo panią Deverill?

Na wspomnienie o żonie ożywił się.

– Nie, nie... – Zachwiał się, usiłując wstać.

Widząc jego niezborne ruchy, Bridie wyciągnęła ramię i pozwoliła mu się na nim wesprzeć. Gdy znów się zatoczył, przytrzymała go mocniej.

– Dobrze się pan czuje? – powtórzyła nieprzekonująco, ponieważ było jasne, że nie jest z nim dobrze.

– Odprowadź mnie do mojego pokoju – poprosił, ciężko się na niej opierając. Powoli ruszyli korytarzem.

Gdy dotarli do sypialni, chciała od razu wyjść, ale on usiadł na brzegu łóżka i pokręcił głową.

– Wstyd mi, że widzisz mnie w takim stanie, Bridget.

– Mam na imię Bridie, proszę pana – poprawiła go. – Jestem pokojówką panny Kitty.

– Bridie – powtórzył.

Zauważyła strużkę krwi, spływającą mu z głowy na policzek.

– Pan krwawi...

– Naprawdę? – Przyłożył drżące palce do rany.

Pospieszyła do łazienki i wróciła z ręcznikiem.

– Pan pozwoli... – Skinął głową i zmarszczył brwi, jakby nie był pewien, skąd wzięła się rana. Gdy delikatnie ją wycierała, czuła alkohol ulatniający się wszystkimi porami jego ciała. – Lepiej będzie, jeśli zawołam O'Lyncha, proszę pana – powiedziała, myśląc o jego lokaju.

– Musiałem upaść i uderzyć się w głowę – wymamrotał. – Tak chyba było... Tak, uderzyłem się w głowę. Jakiż ze mnie niezdara...

– Myślę, że powinnam zadzwonić po O'Lyncha – powtórzyła.

– Jeśli tak uważasz.

Nacisnęła dzwonek obok łóżka.

– Czy mogę przynieść panu szklanek wody? – Podeszła do toaletki, gdzie stał dzbanek z wodą i szklanka.

– Dziękuję, Bridget. – Wziął od niej szklankę.

– Mam na imię Bridie, proszę pana.

– Dla mnie Bridget. Bridget. – Oderwał ręcznik od czoła i ze zdumieniem wpatrywał się w plamy krwi. Potem znów przyłożył ręcznik do głowy. Bridie zauważyła, że ręka mu drży. – Dobra z ciebie dziewczyna, Bridget. I ładna. Zachowajmy to dla siebie, zgoda? Niech to będzie naszą tajemnicą.

Bridie się uśmiechnęła.

– Oczywiście, proszę pana. Dziękuję. – Dygnęła i wyszła z pokoju. Podniosła bieliznę, którą zostawiała na podłodze, i ruszyła korytarzem, mijając po drodze O'Lyncha.

- Co tu robisz, Bridie? – spytał.
- Wynoszę bieliznę panny Kitty, panie O’Lynch.
- No to się pospiesz – powiedział, idąc dalej.

Piorąc bieliznę, nuciła pod nosem. Po raz pierwszy w życiu ktoś powiedział jej, że jest ładna.

*

Krzaczki codziennie opowiadały o jakichś zniewagach, które im poczyniono, i codziennie robiły wycieczki do Ballinakelly tylko po to, żeby wracać z kolejną porcją amunicji dla pułkownika Manleya. Każdego poranka przy śniadaniu Hubert składał sprawozdanie o „ohydnych aktach przemocy” dokonanych przez „cholernych shinnersów”. Wściubiał nos w „Irish Timesa”, prychając i parszcząc jak stary sumiasty mors, gdy czytał o aktach przemocy – morderstwach i podpaleniach – przeciwko brytyjskiej armii i brytyjskiej własności.

– Czas, żeby pułkownik Manley i jego ludzie wykazali siłę charakteru – mawiał, zanim kobietom, które piły herbatę i smarowały masłem chleb sodowy, zrelacjonował kolejne krwawe incydenty na wyspie.

Czarno-brunatni w odwecie reagowali szybko i zdecydowanie. W całej Irlandii plotkowano o morderstwach i napadach na niewinnych ludzi. Niszczono sklepy i stodoły z sianem, domy i budynki gospodarcze. Zatrzymywano i rewidowano przypadkowych mężczyzn, strzelano, aresztowano, torturowano, zastraszano i deportowano. Wydawało się, że czarno-brunatni są bezkarni, że mogą robić, co chcą.

– Stoją ponad prawem – powiedział Jack do Kitty, gdy udało im się spotkać przy Magicznym Kręgu. – Pułkownik Manley to najbardziej znienawidzony Brytyjczyk w Ballinakelly. Nie waha się przed zabiciem niewinnego człowieka, jeśli sądzi, że tym nas zastraszy.

– Uważaj na siebie, Jack – przestrzegła go zaniepokojona Kitty. – Staraj się nie rzucać w oczy. Musisz być poza wszelkim podejrzeniem.

– Wolałbym tego nie mówić, ale to twój dziadek powinien uważać. Na jego miejscu nie utrzymywałbym stosunków towarzyskich z takimi ludźmi jak Manley.

– On tylko przyszedł na kolację.

– Wiem, ale plotki szybko się rozchodzą i wkrótce będzie miał kłopoty.

– Dziadek jest stary.

– I nie chcemy, żeby przedwcześnie trafił do grobu.

Kitty zbladła.

– Ludzie w Ballinakelly są lojalni...

– Nie, nie są, Kitty – burknął Jack. Wziął ją za ramiona, jakby chciał nią potrząsnąć. – To jest wojna. Na nic zda się darmowa kuchnia i dożywianie biedaków. Oni nadal was nienawidzą. Egzekucja tych mężczyzn po powstaniu

wielkanocnym nie przysłużyła się Brytyjczykom. Brutalny odwet tylko pogłębił naszą nienawiść i determinację do dalszej walki o niepodległość. – Puścił ją, a zamiast tego objął ramionami i tak mocno do siebie przyciągnął, że aż ją to zszokowało. – Proszę Boga, żebyś wyjechała.

– Nie rób tego, Jack.

– Boję się o twoje bezpieczeństwo.

– Ty mi je zapewnisz.

Ścisnął jej rękę.

– Nie mogę. Tylko w Londynie możesz być bezpieczna.

– Kocham cię, Jack.

– Akurat teraz wolałbym, żebyś mnie nie kochała. – Zatopił twarz w jej szyi.

– I proszę Boga, żebyśmy i ja cię nie kochał. Nasza miłość to błogosławieństwo, a zarazem przekleństwo.

Rozdział 17

Ze względu na sytuację w Irlandii Digby i Beatrice zdecydowali się zerwać z wieloletnią tradycją i spędzić letnie miesiące w Deverill Rising, swojej wiejskiej posiadłości w Wiltshire. Niepokoili się również o bezpieczeństwo anglo-irlandzkich kuzynów, brytyjska prasa bowiem pełna była relacji o potwornościach popełnianych w Irlandii w imię nacjonalizmu. Ale Hubert i Adeline wierzyli w brytyjski rząd i byli przekonani, że dzięki szybkiej i zdecydowanej reakcji pułkownika Manleya i podobnych do niego ludzi spokój na wyspie zostanie przywrócony.

– On potrzebuje naszego wsparcia, Kitty – oświadczył Hubert, gdy wnuczka usiłowała go zniechęcić do przyjmowania pułkownika Manleya na zamku.

– Powinieneś być postrzegany, że stoisz ponad konfliktem, dziadku – argumentowała.

– Gdybym był młodszy, wziąłbym strzelbę i sam patrolowałbym ulice – odparł Hubert. – Manley jest naszą przepustką do pokoju w tym kraju i musimy go wspierać. To siła charakteru i lojalność wobec króla sprawiła, że Barton Deverill, pierwszy lord Deverill, zyskał tytuł i tę ziemię. Musimy wykazać hart ducha i stać na straży rodzinnego nazwiska.

Kitty westchnęła z rezygnacją. Nie było sensu spierać się z dziadkiem. Urodził się w innej epoce, gdy Imperium Brytyjskie znajdowało się u szczytu potęgi. A więc, ku rozpaczy Kitty, pułkownik Manley stał się częstym gościem przy stole w Castle Deverill, a ona musiała znosić jego wątpliwy urok i protekcjonalność, ponieważ w jego oczach kobiety były jak motyle, które zależnie od zachcianki można było podziwiać, bawić się nimi albo je unicestwić. Jedną z faworytek pułkownika była lady Rowan-Hampton, która jeśli akurat nie przebywała w Dublinie, często wraz z mężem gościła w zamku. Kitty musiała to ścierpieć i jeszcze znosić widok ojca, który siedział naprzeciwko swojej kochanki i wpatrywał się w nią smutnymi jak u psiaka oczami, podczas gdy usta Maud robiły się coraz cieńsze z goryczy, aż całkiem zanikały.

*

Podczas gdy zamek w obawie przed zmianami okopał się na swoich pozycjach, Ballinakelly podążało ku nowej przyszłości. Miasteczko kipiało nienawiścią do Brytyjczyków, a spiskowcy pojawiali się w ciemnych zaułkach jak grzyby po deszczu. Nie ustawała walka o wolność. Bridie miała wolne wieczory, gdy Kitty jadła kolację na dole w jadalni albo w zamku z dziadkami. Składające się

z pięciu dań przyjęcia ciągnęły się w nieskończoność, Bridie więc mogła pobiec do domu skrótem przez las. Zwykle zastawała braci i ich przyjaciół siedzących wokół stołu i rozmawiających przyciszonymi głosami nad kuflami piwa. Gdy słyszeli szcęk zamka, w izbie zapadała cisza, a mężczyźni wpatrywali się w drzwi ze strachem, że to czarno-brunatni. Na widok Bridie z ulgą pochylali głowy i wracali do spiskowania; rozłożone na stole karty służyły za przykrywkę na wypadek nalotu.

Jack często uczestniczył w tych naradach. Uśmiechał się do niej, gdy wchodziła, a ona odwzajemniała uśmiech, zachęcona jego przyjaznym spojrzeniem. Nalewała gorące mleko do miseczki, dodawała cukier i krusząc do tego chleb, robiła papkę, a potem zasiadała w bujanym fotelu matki i słuchała, jak mężczyźni rozprawiali o kradzieży broni, napadach na Oddziały Pomocnicze i planach zamordowania pułkownika Manleya. Podczas tych godzin o zmierzchu Bridie nasłuchiwała się wielu historii o brutalności pułkownika. Jeździł po hrabstwie w poszukiwaniu informacji niczym smok ziejący ogniem. W wyniku tych eskapad niewinnych mężczyzn aresztowano, torturowano, a nawet zabijano. Nie było bardziej znenawidzonego człowieka niż pułkownik Manley.

W odpowiedzi na narastający rozlew krwi brytyjski rząd wprowadził stan wojenny na znacznej części terytorium południowej Irlandii. Irlandzka Armia Republikańska, dotąd traktowana jak banda buntowników, została w końcu uznana za regularną armię. W sobotę dwudziestego pierwszego listopada czternastu brytyjskich żołnierzy zginęło w zamachu w Dublinie i Królewska Irlandzka Policja w odwecie otworzyła ogień do niewinnych ludzi oglądających mecz piłkarski na stadionie, zabijając czternastu i raniąc wielu innych. W te grudniowe dni, podczas których siły brytyjskie spaliły centrum miasta, przemoc zawitała do Cork.

Hubert czytał „Irish Timesa”, ale tego nie skomentował. Prychnął tylko jak stary silnik parowy dokonujący swego żywota. To było zbyt straszne, żeby się nad tym rozwodzić, i zdarzyło się zbyt blisko, żeby się pocieszać, ponieważ miasto Cork znajdowało się zaledwie osiemdziesiąt kilometrów od Ballinakelly. Potem wycofał się do własnego świata, zamieszkiwanego przez ptactwo, zające i lisy, które można było ścigać. A pogoda sprzyjała polowaniom. Dyskutował o koniach, wyścigach i starych dobrych czasach swego dzieciństwa, gdy miejscowa ludność szanowała rodzinę i była lojalna wobec Korony. Ale wojna Irlandczyków o niepodległość w końcu i jego przytłoczyła.

Adeline go rozumiała, ale Krzaczki jeszcze bardziej się zaniepokoiły. Jeśli Hubert się bał, jaką one mogły mieć nadzieję? Popijały herbatkę z marihuany, grały w wista i modliły się, ponieważ jedynie Bóg mógł położyć tej wojnie kres.

W styczniu tysiąc dziewięćset dwudziestego pierwszego roku do zamku dotarła wiadomość, że pułkownik Manley został zabity nieopodal Ballinakelly.

– Wielkie nieba! – wykrzyknął Hubert, odkładając słuchawkę telefonu

w holu i wchodząc do jadalni, gdzie Adeline i Krzaczki jadły śniadanie. – Dzwonił porucznik Driscoll. Pułkownik Manley został zamordowany.

Kobietom zaparło dech. Laurel odstawiła filiżankę, wychlapując herbatę.

– Wczoraj wieczorem na starej farmie przy drodze do Dunashee – wyjaśnił gorączkowo. – Cholerny idiota pojechał tam bez eskorty! Dlaczego, jak myślicie? Och! – Ciężko opadł na krzesło, nagle wyglądając na swoje siedemdziesiąt cztery lata. – Zaledwie dwa dni temu siedział przy tym stole...

Adeline pokręciła głową.

– Obawiam się okropnych konsekwencji dla Ballinakelly – powiedziała z niepokojem, myśląc o niewinnych cywilach, którzy padną ofiarą represji.

– Co za nieszczęsne wydarzenie! – Hubert pokiwał głową. – Manley był porządnym człowiekiem.

– Jak to się stało? – spytała Laurel, blada jak białko jajka.

– Podaj nam szczegóły, Hubercie – dopraszała się Hazel.

– Driscoll nie przekazał wiele informacji. Powiedział, że Manley wczoraj wieczorem wyruszył w drogę do Dunashee tylko z jednym ze swoich ludzi... – Hubert spojrzał na Adeline i zmarszczył brwi. – Musiał przecież wiedzieć, jak niebezpieczne są te boczne drogi!

– A co z tym człowiekiem, który mu towarzyszył?

– Został zastrzelony.

– Okropne! – jęknęła Hazel.

– Jak zginął pułkownik? – dopytywała się Laurel.

– Dźgnięto go nożem w żebra.

– Okropne! – wydyszała znów Hazel.

– Z kim miał się spotkać na tej farmie? – zastanawiała się Adeline.

– Dzień jest dla żywych, noc dla umarłych – rzekła sentencjonalnie Laurel.

– Jak myślicie, co on zamierzał? – Adeline zmrużyła oczy. – Założę się, że w grę wchodzi kobieta...

– Kobieta, którą chciał ukryć – dodała podniecona Hazel. – Katoliczka!

– Na drodze do Dunashee? Bardzo wątpię – rzekł Hubert. – Driscoll mówi, że pułkownik chciał do nas przyjechać dziś rano, żeby ze mną porozmawiać.

– Powiedział w jakiej sprawie? – spytała Adeline.

– Nie.

– Nie rozumiem, w czym mogłeś mu pomóc.

– Ja też nie – zastanawiał się Hubert.

– Och, Boże! – westchnęła znów Hazel. – To był taki uroczy mężczyzna.

– I przystojny – dodała Laurel.

– Był dżentelmenem. Wielka szkoda! Będzie nam brakowało jego towarzystwa. – Hazel uśmiechnęła się szeroko znad filiżanki. – Może się mylę, ale mogłabym przysiąc, że nas polubił.

*

Kitty leżała na łóżku Elspeth i rozmawiały na temat zbliżającego się wesela, gdy Bridie zapukała do drzwi.

– Mam dla pani list, panno Kitty – powiedziała, przypominając sobie, że musi traktować Kitty z należnym respektem, gdy nie są same. – I wiadomość: pułkownik Manley został zabity – dodała.

Dwie dziewczyny usiadły na łóżku zaskoczone.

– Zabity? Kiedy? – spytała Kitty.

– Wczoraj wieczorem. Wciągnięto go w zasadzkę.

– Mój Boże, to okropne! – wysapała Elspeth. – Czy tata wie?

– Myślę, że wie już całe Ballinakelly, panno Elspeth – powiedziała Bridie.

– Pomyśleć, że to mogło mu się przytrafić w drodze na kolację u dziadków – zaniepokoiła się Elspeth.

– Nie sądzę, by droga do Ballinakelly nadawała się na zasadzkę – powiedziała Kitty trzeźwo. Popatrzyła na pismo na kopercie, którą wręczyła jej Bridie, i natychmiast je rozpoznała. List był od Jacka.

– Od kogo dostałaś list? – spytała Elspeth.

– Nie wiem. Przeczytam go później – rzekła lekceważąco Kitty, wsuwając kopertę do kieszeni. Szybko zmieniła temat: – Myślę, że najlepsza będzie koronka, Elspeth. Wiosna i koronki do siebie pasują...

Bridie wyszła z pokoju. Zastanawiała się, od kogo Kitty dostała list. Posłaniec, który go przyniósł, chciał rozmawiać wyłącznie z nią i dał jej instrukcje, żeby bez zwłoki dostarczyła list Kitty. Bridie miała okropne przeczucie, że Michael i Sean byli zamieszani w to morderstwo. Często przecież słyszała, jak o tym dyskutowali. Jeśli ich złapią, na pewno zostaną rozstrzelani. Nawet jeśli tylko padnie na nich podejrzenie, zostaną aresztowani i torturowani. Jedyne nadzieje w tym, że wszyscy w hrabstwie Cork pragnęli śmierci Manleya. Nie mogą przecież aresztować wszystkich.

Dopiero później, gdy została sama, Kitty otworzyła list od Jacka.

Wczoraj wieczorem byłaś w domu lady Rowan-Hampton. Jadłyście razem kolację. Wołowina z kartoflami. Przyjechałaś o ósmej i wyjechałaś o jedenastej. J.

Kitty była w szoku. Czyżby Jack miał coś wspólnego z morderstwem pułkownika Manleya? Powtórnie przebiegła wzrokiem liścik. Dlaczego musiała udawać, że jadła kolację w domu Grace? Czyżby ją podejrzewano? Przecież mogła powiedzieć prawdę, że jadła kolację z Elspeth i Harrym, podczas gdy jej rodzice byli w zamku z pastorem i panią Daunt. Dlaczego mieliby podejrzewać właśnie ją? Ale jeśli chodzi o Jacka... Serce zaczęło jej walić na myśl, że znalazł się w niebezpieczeństwie. Zabójstwo pułkownika Manleya będzie uznane za zdradę stanu. Winni, jeśli ich wykryją, zostaną bez wątpienia rozstrzelani. Kitty doskonale

jednak wiedziała, jak trudno jest znaleźć rebeliantów, gdy popiera ich ludność całej Irlandii. Do czego posuną się czarno-brunatni, żeby pomścić śmierć swojego pułkownika?

Nieco później tego poranka samochód porucznika Driscolla oraz dwa pojazdy pełne funkcjonariuszy z Oddziałów Pomocniczych Królewskiej Irlandzkiej Policji i czarno-brunatnych pojawiły się przed zamkiem. Tym razem nie ryzykowali. Podczas gdy jego ludzie stali na straży i patrolowali ogrody, Driscoll został zaprowadzony do biblioteki, gdzie czekał na niego Hubert.

– Dzień dobry, lordzie Deverill – powiedział Driscoll.

– Dzień dobry, poruczniku Driscoll. Co za historia! Proszę usiąść.

O’Flynn zamknął drzwi i zostali sami. Driscoll usiadł naprzeciwko Huberta, który włożył cygaro pomiędzy zęby i je zapalał.

– Rzeczywiście, to szokujący przykład, do czego są zdolni ci ludzie. Pułkownik Manley był uczciwym człowiekiem, oddanym swojej pracy. Straciliśmy wspaniałego żołnierza, lordzie Deverill.

– Z pewnością. Jak pan wie, był u nas częstym gościem. A zatem, w czym mogę pomóc?

– Wierzę, że jesteśmy całkiem sami – powiedział Driscoll, rozglądając się nieufnie.

– Tak.

– A więc będę mówił otwarcie. – Pochylił się do przodu i oparł łokcie na kolanach, splatając palce. – Mamy powody przypuszczać, że wczorajszego wieczoru pułkownik Manley miał się spotkać z kobietą.

Hubert uniósł brwi. A więc Adeline miała rację.

– Proszę kontynuować.

– Ta kobieta od jakiegoś czasu jest podejrzewana. Bacznie ją obserwujemy. Ma przyjaciół wśród członków Sinn Féin w Dublinie. Pułkownik Manley chciał ją poznać bliżej... Uważamy, że jechał na spotkanie z nią, we dwoje, na... – Zawahał się, szukając właściwego słowa. – Na randkę. Dlatego wybrał się bez pełnej eskorty. Mamy powód wierzyć, że posłużyła jako przynęta, ale ona twierdzi, że wczorajszy wieczór spędziła w domu.

– A więc w czym mogę panu pomóc? – powtórzy Hubert.

– Jest pan jej przyjacielem, lordzie Deverill, jej mąż przebywa w Londynie, a ona twierdzi, że wczorajszy wieczór spędziła w towarzystwie pańskiej wnuczki, panny Kitty.

– Kimże jest ta nierządnicą? – Hubert stłumił śmiech, zaciągając się cygarem.

– Lady Rowan-Hampton.

Hubert, zakrzusiwszy się dymem, zakaszłał.

– Wielki Boże, człowieku, ona nie jest fenią. Co za pomysł! Kokietką, to

owszem. Ale jeśli chce pan rozmawiać z moją wnuczką, zaraz po nią poślę.

– Jeśli pan łaskaw. Chciałbym jak najszybciej wyjaśnić tę sprawę.

Kitty została wezwana. Szła przez ogrody zamkowe z walącym sercem. Spaliła liścik od Jacka, ale przeczytała go tak wiele razy, że każde słowo wryło jej się w pamięć. Po co jej alibi, skoro jedno już ma? Nie była niczemu winna. Dlaczego musiała kłamać, że była z Grace? Na samo wspomnienie tej kobiety przewracało jej się w żołądku.

Zdumiała ją liczba funkcjonariuszy otaczających zamek. Czujni i niespokojni, z bronią wymierzoną do strzału, wyglądali, jakby prowadzili oblężenie. Przepuścili ją i przeszła przez hol do biblioteki, gdzie czekali na nią dziadek i porucznik Driscoll.

Uściskała pulchną rękę Driscolla i usiadła na sofie.

– Porucznik Driscoll chce ci zadać kilka pytań – wyjaśnił Hubert. – Wiesz, że pułkownik Manley został zabity wczorajszej nocy, nieprawdaż?

– Tak, dziadku – odparła, zachowując spokój w głosie.

– Przepraszam za te indagacje, panno Deverill. Ale wypełniam rozkazy. Musimy wiedzieć, gdzie spędziła pani wczorajszy wieczór.

– Nie sądzi pan chyba, że mam coś wspólnego ze śmiercią pułkownika Manleya? – spytała zszokowana.

Popatrzyła na Driscolla. Jego okrągła twarz była gładka i różowa jak u uczniaka, jasne włosy zaczesane do góry świeciły się od brylantyny. Gdy tak się w niego wpatrywała, nagle doznała olśnienia. To nie ją podejrzewają, lecz Grace! To Grace potrzebuje alibi. Na chwilę zamarła w bezruchu. Zobaczyła swego ojca przez szparę w drzwiach, jego biodra poruszające się w przód i w tył, gdy brał kobietę, którą zawsze podziwiała. Najpierw poczuła nienawiść narastającą w żołądku i palącą gardło, a potem przyplływ siły. Zrozumiała, że stoi przed szansą pozbycia się Grace Rowan-Hampton raz na zawsze. Jeśli Grace jest zamieszana w morderstwo pułkownika Manleya, w najlepszym razie skończy w więzieniu.

Ale Kitty spojrzała na porucznika Driscolla i odpowiedziała:

– Byłam z lady Rowan-Hampton. – Czowała się jak we śnie, jakby oderwała się od swego ciała i unosiła ponad nim, obojętna i niewzruszona.

– U niej w domu?

– Tak, w jej domu. Czy... czy mam jakieś kłopoty? – Popatrzyła na dziadka szeroko otwartymi, niewinnymi oczami.

– Ależ skądże, moja droga. – Hubert zwrócił się do porucznika Driscolla. – Czy to już wszystko?

Porucznik Driscoll skinął głową. Westchnął, najwyraźniej rozczarowany, że ten trop w śledztwie prowadzi donikąd.

– Tak, to byłoby wszystko. Dziękuję za poświęcony mi czas, panno Deverill.

– Nałożył beret na głowę.

– Bardzo mi przykro z powodu pułkownika Manleya. Był uroczym człowiekiem – powiedziała Kitty.

– Tak, to prawda – zgodził się porucznik Driscoll, wstając. Podeszedł do drzwi, ale z ręką na klamce odwrócił się, jakby coś sobie przypominał. – Panno Deverill, jeszcze jedno. Co jadłyście na kolację?

Kitty popatrzyła mu spokojnie w oczy.

– Wołowinę. Nienawidzę wołowiny. Była rozgotowana i żylasta. – To usatysfakcjonowało, a zarazem zniechęciło porucznika Driscolla do dalszych indagacji.

Gdy wyszedł, Kitty zwróciła się do dziadka:

– O co tu chodzi?

– Wiem, to absurdalne. Powiedziałem mu, że Grace nie ma z tym nic wspólnego.

– O co jest oskarżona?

– Że posłużyła za przynętę. Widziano ją w towarzystwie naszych wrogów w Dublinie, tak przynajmniej mówią. Z tego powodu od jakiegoś czasu ją obserwują. Uważają, że to ona umówiła się z Manleyem na romantyczne tęte-ń-tęte na starej farmie przy drodze do Dunashee, a potem, gdy przyjechał, albo ona, albo jej współnicy zadźgali go nożem. Nigdy w życiu nie słyszałem czegoś bardziej nieprawdopodobnego. Grace jest damą, angielską damą, a nie jedną z shinersów. No, no, niech tylko sir Ronald się o tym dowie!

Oczami wyobraźni Kitty zobaczyła pułkownika Manleya wbijającego się w Grace tak, jak wtedy robił to jej ojciec, i czując nagły zawrót głowy, pospiesznie usiadła. Potem przed jej oczami pojawił się inny obraz: Grace na farmie przy drodze do Dunashee z nożem ukrytym pod spódnicą...

Kitty wróciła do Hunting Lodge i szybko przebrała się w strój do konnej jazdy.

– Dokąd się wybierasz? – spytała Elspeth, wchodząc do jej sypialni.

– Potrzebuję świeżego powietrza.

Elspeth wyglądała na rozczarowaną. Chciała kontynuować rozmowę o swoim ślubie.

– Po co dziadek cię zawołał?

– Martwił się o Krzaczkę – wymyśliła na poczekaniu Kitty.

– Dlaczego?

– Nie wychodzą na dwór, ponieważ boją się shinersów. Myślą, że podziela los pułkownika Manleya.

– Nie sądzę, żeby ktoś chciał zamordować dwie bezbronne, stare kobiety. Może któregoś popołudnia mogłybyśmy je zabrać do Ballinakelly. Z nami byłoby im raźniej.

– Pewnie tak – przyznała Kitty z ożywieniem. Nie chciała dłużej kłamać. –

Zobaczymy się później.

– Chyba nie wybierasz się sama do Ballinakelly, prawda? – Elspeth miała zatroskaną minę.

– Nie, przejadę się na wzgórze.

– Jesteś pewna, że nic ci nie grozi? Może powinnaś wziąć ze sobą Harry’ego?

– Nic mi nie będzie. Niech Bóg ma w opiece shinnersa, który spróbuje mnie zaatakować! – Roześmiała się i wyszła z pokoju.

*

Kitty pogalopowała przez wzgórze do domu Grace. Krowy i owce pasły się spokojnie w gęstej, bujnej trawie, nie zważając na chłód. Jadąc, czuła, jak gniew z niej uchodzi; jakby wiatr miał palce, chwycił jej niechęć i wyrzucał precz. Gdy tak galopowała, miłość do Irlandii rozrastała się w jej sercu jak balon. Im dłużej rozglądała się po dzikiej i skalistej okolicy, tym bardziej ten balon pęczniał, aż roześmiała się w głos z niepohamowanej radości. Spinając konia, przeskoczyła przez kamienny mur, podniecona ryzykiem i przekonana, że jest zbyt dobrym jeźdźcem, żeby kiedykolwiek spaść.

Gdy dotarła do okazałego, zbudowanego z szarego kamienia domu Grace, zeskoczyła z konia tuż przy stajni i oddała wodze w ręce stajennego. Ściągając po drodze rękawiczki, wmaszerowała do domu frontowymi drzwiami.

– Przyjechałam zobaczyć się z lady Rowan-Hampton – oznajmiła kamerdynerowi, który wyglądał na zaskoczzonego i trochę zakłopotanego, gdy Kitty wyminęła go, nie czekając w holu, jak to było w zwyczaju.

– Zawiadomię panią – powiedział kamerdyner, spiesząc jej śladem.

– Grace! – zawołała Kitty. Zanim kamerdyner dotarł do salonu, Grace pojawiła się w drzwiach. Była blada, z jej oczu wyzierało zmęczenie, ale pąsowa suknia i zielony kardigan świadczyły, że nie zrezygnowała ze swoich ulubionych odważnych kolorów.

Kitty nie mieściło się w głowie, że Grace miałaby tyle odwagi, by wbić w kogoś nóż.

– W porządku, Brennan. Przynieś nam herbatę.

– Oczywiście, proszę pani. – Kamerdyner, zaciskając usta, obrzucił Kitty pełnym dezaprobaty spojrzeniem.

– Wejdz, proszę. – Z uśmiechem zaprosiła Kitty do pokoju. – A więc w końcu nazwałaś mnie Grace – powiedziała, nie kryjąc zadowolenia.

– Byłoby dziwne, gdybym zwracała się do ciebie lady Rowan-Hampton, skoro jesteśmy takimi bliskimi przyjaciółkami, że wczoraj wieczorem jadłyśmy razem kolację.

Grace odwróciła się i popatrzyła na Kitty z powagą.

– Bardzo ci za to dziękuję, Kitty – powiedziała cicho.

Kitty minęła ją i przysiadła na ławeczce przy kominku.

– Może powiesz mi, o co w tym wszystkim chodzi?

Grace podeszła i usiadła obok niej. Zniżyła głos, ale w jej oczach błyszczała ekscytacja.

– Byłam tam wczoraj – powiedziała. – Z Michaelem i chłopcami...

Kitty opadła szczęka.

– Ty go zabiłaś?

– Nie. – Grace popatrzyła na Kitty uważnie. – Jack to zrobił.

– Jack?

– Twój Jack.

Kitty była zaskoczona. Nie przyszło jej na myśl, że ktoś może wiedzieć o niej i Jacku, a już zwłaszcza Grace.

– Nie rozumiem... Skąd wiesz?

– Wiem wiele, Kitty. Wiem, że jesteś jedną z nas i dlatego ciebie wybrałam, żebyś dała mi alibi.

– Nie miałaś wyboru. Mama by dla ciebie nie skłamała. Wątpię też, czy ktokolwiek z twoich angielskich przyjaciół by to zrobił.

– Wierzyłam, że ty to zrobisz.

– Chociaż wiedziałaś, że ciebie nie lubię?

– Wiedziałaś, że zrobisz to dla Jacka. – Grace spuściła oczy. – Wiem, dlaczego mnie nie lubisz, ale nie zamierzam się usprawiedliwiać.

– Masz tupet, Grace.

– Ufam swojemu instynktowi.

– Chciałaś mnie sprawdzić?

– W pewnym sensie.

– Czy nie było to z twojej strony trochę nierozważne? Jedno moje słowo i czekałby cię stryczek.

Grace wykrzywiła usta w nieznacznym uśmiechu.

– Ale nie zrobiłaś tego, prawda? Moje ryzyko się opłaciło.

– Dałam ci alibi i ocaliłam ci życie, a to oznacza, że jesteś mi coś winna.

– Nie, to oznacza, że teraz jesteś jedną z nas.

Kitty uniosła brwi. To jej nawet odpowiadało.

– Teraz jestem w to zamieszana, czy Jack tego chce czy nie...

– To prawda. Zawsze tego chciałaś. Mam rację?

– Co teraz mam robić? – spytała Kitty.

Grace skierowała wzrok na drzwi, w których pojawił się Brennan z tacą, a za nim młoda pokojówka z porterowym ciastem na talerzu.

– Wypijemy herbatę. Myślę, że to początek interesującej przyjaźni.

*

Kitty wróciła do Hunting Lodge i od razu zawołała Harry'ego i Elspeth do swojej sypialni. Zamknęła za nimi drzwi i oparła się o nie, jakby bała się, że ktoś może ich podsłuchać. Nieraz sama zaglądała przez dziurki od klucza, co nauczyło ją podejrzliwości.

– Potrzebuję waszej pomocy – powiedziała poważnym tonem.

Elspeth zerknęła na Harry'ego.

– Co się dzieje? – spytała.

– Masz jakieś kłopoty? – drążył Harry.

– Nie, ale mogę je mieć, jeśli mi nie pomożecie.

– Pomożemy, prawda, Harry?

– Oczywiście – zgodził się Harry. – Jaki masz problem?

Kitty głęboko zaczerpnęła powietrza.

– Nie mogę teraz wyjaśnić, ale musicie udawać, że wczoraj wieczorem nie było mnie z wami. Że nie jedliśmy razem kolacji. Pojechałam na kolację do lady Rowan-Hampton.

Harry zmarszczył brwi.

– Dlaczego?

– Powiedziałam już. Nie mogę tego wyjaśnić. Musicie to dla mnie zrobić. Sprawa jest skomplikowana...

– Czy to w związku z tą sprawą dziadek wezwał cię do siebie dziś rano? – spytała Elspeth.

– Tak – przyznała Kitty.

Elspeth się uśmiechnęła.

– Wyglądasz na zdenerwowaną.

– Zrobicie to dla mnie? Jeśli ktoś spyta, ktokolwiek, nie było mnie z wami, jasne?

Harry skinął głową. Zważywszy, że utrzymywała w tajemnicy jego sekret, przynajmniej w ten sposób mógł jej się odwdzięczyć. Elspeth również skinęła głową, chociaż paliła ją ciekawość, o co w tym wszystkim chodzi.

– Masz moje słowo – przyrzekła.

– Dziękuję. – Kitty się rozpromieniła. – Kiedyś myślałam, że nigdy się nie zaprzyjaźnimy – powiedziała.

Harry uśmiechnął się szeroko.

– Nic bardziej nie łączy ludzi niż wspólne tajemnice.

Elspeth przyznała mu rację, chociaż nie mogła sobie wyobrazić, jaki sekret brata może ukrywać Kitty.

– I nic tak nie łączy rodzeństwa jak samolubna matka – dodała.

Rozdział 18

Bridie myliła się, że czarno-brunatni nie są w stanie aresztować wszystkich. Przyjechali wojskowymi pojazdami, z bronią, i pałając chęcią zemsty, otoczyli domy wszystkich młodych mężczyzn w Ballinakelly; kobiety zawodziły, ściskając swoich synów, mężów i braci w obawie, że już nigdy ich nie zobaczą. Byli wśród nich Michael i Sean, jak również Jack. Zabrano wszystkich. Bóg jeden wie dokąd. Bridie pochlipywała na łóżku Kitty, ta zaś mocno ją ścisnęła, usiłując nie zdradzić się ze swoimi uczuciami i powstrzymując łzy cisnące się do oczu. Pani Doyle nie udał się lunch i zwarzyła śmietankę, co było złym znakiem. Poprosiła o wolny dzień, na co Adeline chętnie przystała, i Bridie spędziła całe popołudnie w kościele z matką i innymi kobietami z Ballinakelly, zapalając świece, odmawiając różaniec i nowenny oraz układając się z Panem Bogiem.

Bertie, gdy usłyszał od ojca, że Grace jest podejrzewana, natychmiast do niej pojechał. Zaparkował daimlera przed jej domem i zapukał do drzwi. Kamerdyner zaprowadził go do salonu, gdzie jego kochanka siedziała przy biurku i pisała listy.

– Bertie! – powitała go z radością, choć zauważyła, że jest bardzo poważny i zaniepokojony. Odłożyła pióro i wstała. – Co się stało?

Kamerdyner dyskretnie zamknął drzwi, pozostawiając ich samych.

– Słyszałem, że próbują cię wpłatać w zabójstwo Manleya. Ze wszystkich...

– Och, to! – Grace machnęła lekceważąco ręką, przerywając mu w pół zdania. – Cóż, wykonują tylko swoją pracę. Nie wiem, dlaczego wypłynęło moje nazwisko. Ale tak się stało.

Bertie próbował ją objąć, ale wyslizgnęła się zgrabnie i usiadła w fotelu przy kominku.

– Dlaczego? Dlaczego ty? – spytał, maszerując podniecony po pokoju.

Grace westchnęła.

– Przypuszczam, że to ma coś wspólnego z lekcjami angielskiego, których udzielam dzieciom. Ich starsi bracia i ojcowie również przychodzą i często rozmawiamy. A gromadzenie się ludzi jest zawsze podejrzane, prawda? To naturalne. Zapewne uważają, że spotykam się z członkami Sinn Féin w Dublinie. – Roześmiała się beztrudnie, jakby sam ten pomysł był absurdalny. – Nie jestem hrabiną Markiewicz! – dodała, odnosząc się do osławionej rebeliantki, uwięzionej po powstaniu wielkanocnym.

– Ale dlaczego ty i Manley? – naciskał Bertie, a ogień na jego policzkach świadczył o zazdrości.

– Wpadłam Manleyowi w oko.

– Manleyowi?

Znów się roześmiała.

– Był strasznym kobieciarzem. Na pewno wiesz. Zachowywał się wobec mnie dość namolnie. Doprawdy, to było bardzo męczące.

– Ależ ty jesteś mężatką!

Wygięła brwi.

– Ciebie to jakoś nie powstrzymało.

– Ja to co innego. My jesteśmy tutejszą arystokracją. A on tylko zawodowym żołnierzem.

– Kimkolwiek był, już nim nie jest – poprawiła go.

– Skąd im przyszedł, na Boga, do głowy pomysł, że planowałaś z nim romans?

– Chwytają się każdego źdźbła, kochany Bertie. – Zmrużyła oczy i uśmiechnęła się wyrozumiale jak do nadąsanego chłopca. – Nie sądzisz chyba, że tam byłam, prawda?

– Oczywiście, że nie! To niedorzeczne, że twoja osoba wypłynęła w sprawie Manleya. Niedorzeczne, i tak im powiedziałem.

– Byłam z Kitty – powiedziała, uważnie obserwując jego reakcję.

– Tak powiedział mi ojciec. – Bertie miał zakłopotaną minę.

– Zaprzyjaźniłyśmy się – wyjaśniła cicho.

Oczy mu pociemniały ze strachu, gdy zrozumiał sens jej wypowiedzi.

– Co niesie dla nas pewne implikacje – domyślił się.

– Tak. Obawiam się, że musimy zakończyć nasz romans.

Bertie zbladł.

– Zakończyć? Dlaczego? Dla ciebie przestałem pić, czyż nie?

Grace wstała i ujęła jego dłoń.

– Ona o nas wie. Nie wiem skąd, ale tak jest. Przez wszystkie te lata to wbijało pomiędzy nas klin. Byłam głupia, że wcześniej tego nie zauważyłam. – Wpatrywała się w jego przerażoną twarz. – Przykro mi, Bertie, ale to koniec.

– Grace, proszę! Nasz romans nie ma nic wspólnego z Kitty. Kocham cię!

– Ja też cię kocham, Bertie.

– Nigdy nie przejmowałaś się Maud.

– Bo to z jej powodu wpadłeś w moje ramiona. Ona jest twórcą własnego losu. A Kitty jest tylko niewinnym dzieckiem.

– Nie jest już dzieckiem. Na litość boską, to młoda, dwudziestoletnia kobieta.

– Jest moją przyjaciółką. Zachowuje się wobec mnie lojalnie i chcę być lojalna wobec niej – powiedziała Grace spokojnie.

Bertie zmarszczył brwi.

– Lojalność? Co ma z tym wspólnego lojalność?

Grace westchnęła.

– Nie mogę ci tego wyjaśnić. Kobięce sprawy. Zrobiła coś dla mnie i nie mogę jej odpłacać, kontynuując romans z jej ojcem. To byłoby niehonorowe.

– Od kiedy to martwisz się swoim honorem? Przedtem cię nie obchodził.

– Nigdy nie był podawany w wątpliwość.

Twarz Bertiego zaczerwieniła się ze złości.

– Nie rozumiem cię, Grace. Myślałem, że mnie kochałaś.

– Kochałam i nadal Kocham, ale w życiu nie można mieć wszystkiego. Czasem trzeba postąpić właściwie, nawet jeśli to łamie nam serce.

Bertie podszedł do okna i w milczeniu wpatrywał się w ogród. Pozostał tam przez chwilę, zatopiony w myślach. W końcu odwrócił się na pięcie.

– Nie zrezygnuję z ciebie, Grace. Dam ci czas, żebyś mogła wszystko jeszcze raz przemyśleć. – Skierował się w stronę drzwi. – Nie wierzę, że możesz po tym wszystkim, co znaczyliśmy dla siebie, tak mnie zostawić. Nie pogodzę się z tym. – Z tymi słowami na ustach wyszedł, tak głośno zatraskując za sobą drzwi, że zatrzęsło pokojem.

Grace oparła się o fotel, żeby utrzymać równowagę; westchnęła z żalem. Poświęciłaby wszystko i każdego, kogo kochała, dla niepodległości Irlandii.

*

– Powinni ich wszystkich powiesić – oświadczył tego wieczoru Hubert, dolewając sobie whisky z tacy z drinkami.

Adeline i Krzaczkę siedziały na sofie, Maud przysiadła sztywno na ławeczce przed kominkiem, a jej mąż nadal jak błędny chodził po pokoju.

– Zabrali synów pani Doyle, Hubercie – powiedziała Adeline. – Nie wierzę, że brali udział w spisku.

– Jestem pewna, że są wobec was lojalni – powiedziała Laurel.

– Och, tak, bardzo lojalni – przyznała jej rację Hazel.

– Nie są lojalni wobec nikogo prócz samych siebie – wtrąciła się Maud. – Zgadzam się z Hubertem. Powinno się ich powiesić, wszystkich jak jeden mąż.

– Problem polega na tym, że są nieuchwytni. Trudno ich złapać – stwierdził Hubert.

– Aresztowali wszystkich mężczyzn z Ballinakelly, czyż nie? – spytała Maud.

– I w całej okolicy – dodała Adeline. – Wszyscy nie mogą być winni.

– Ale potraktują ich jednakowo – zawyrokowała Maud. – To oczywiście wylanie dziecka z kąpielą, ale jeśli przy okazji pozbędą się kilku winnych, można powiedzieć, że zrobili dobrą robotę. Oni są strasznie gburowaci. Patrzą na mnie tymi swoimi pełnymi nienawiści oczami za każdym razem, gdy przyjeżdżam do Ballinakelly, czego zresztą staram się unikać, chyba że jadę do kościoła. Nie ufam

żadnemu z nich. Nawet tym, co dla nas pracują.

– Och, doprawdy, Maud, przesadzasz – powiedziała z uśmiechem Adeline.

Maud nastroszyła się; Adeline traktowała ją protekcyjnie, jakby uznawała, że jej opiniom brakuje umiaru i w gruncie rzeczy są banalne.

– Hazel i Laurel też tak uważają, nieprawdaż? – Maud zwróciła się do Krzaczków.

– Cóż, ja też ich się trochę boję – zgodziła się z nią Laurel.

– Od czasu tego incydentu z kamieniem – dopowiedziała Hazel. – Ale tu, w zamku, czuję się bezpiecznie. Służba jest bardzo lojalna, nie mam co do tego wątpliwości.

– Są lojalni – przyznał Hubert. – Bez wątpienia.

– Aż zostaną przyciśnięci przez swoich ziomków, żeby nas zdradzić – wtrąciła ponuro Maud, obserwując męża, który maszerował po pokoju w tę i z powrotem z rękami w kieszeniach i posepnym wyrazem twarzy. – Masz zamiar dołączyć do rozmowy, Bertie, czy zamierzasz przyprawić nas o mdłości tym chodzeniem? Naprawdę, zaczyna mnie od tego boleć głowa.

Bertie spojrział na nią zaskoczony.

– Rozmyślałam nad tym, że jeśli wtrąca do więzienia wszystkich chłopaków z Ballinakelly, zabraknie nam rąk do pracy – skłamał, odrywając myśli od Grace.

– Tak samo jak w Anglii podczas wojny – powiedziała Maud. – Kobiety będą musiały zakasać rękawy.

– Już to robią – stwierdziła Adeline. – Gdzie jest Harry i dziewczęta? Nie zamierzają jeść kolacji?

Kiedy przybyli Elspeth, Kitty i Harry, zarumienieni po polowaniu, pospiesznie zmieniono temat rozmowy. Omawiano zbliżający się ślub Elspeth. Maud jak zawsze grała pierwsze skrzypce, wygłaszając swoje opinie na temat listy gości, stroju drухen i chłopców pomagających w ceremonii ślubnej oraz jej przebiegu.

– Ślub ma być wystawny i radosny, taki, jakiego ludzie oczekują po rodzinie Deverillów – zapowiedziała. – Chociaż pan młody może być dla niektórych nieco rozczarowujący. Potrzebujemy się trochę rozweselić. Przeżyć coś pozytywnego, o czym dla odmiany będzie można porozmawiać.

– Och, tak! – wykrzyknęła podniecona Hazel. – Miło będzie przeczytać w angielskich gazetach coś pozytywnego o Irlandii.

– O ślubie Victorii napisano w „Tatlerze” – dodała z dumą Laurel.

– Ponieważ odbył się w Anglii – wtrąciła Elspeth. – Nie sędzę, żeby ktoś szczególnie zainteresował się moim ślubem. – Uśmiechnęła się szeroko. – Mnie jest zresztą wszystko jedno, mogłabym wziąć ślub w oborze.

– W końcu obórka wystarczyła dla Józefa i Marii – celnie zauważył Harry.

Adeline wybuchnęła śmiechem.

- Doprawdy, Harry, potrafisz nas rozbawić!
- A ty kiedy się ożenisz? – spytała Hazel.
- Och, to dopiero będzie wydarzenie! – zawołała Laurel, jak zwykle pełna entuzjazmu.
- Harry musi jeszcze znaleźć sobie narzeczoną – powiedziała z naciskiem Maud.
- Nie ma co się z tym spieszyć – wtrącił Hubert. – Masz czas, Harry. Poflirtuj sobie. Tyle jest wokół miłych dziewcząt.
- Nie w Irlandii – dodała pospiesznie Maud. – Powinieneś pojechać do Londynu. Będziesz mógł wybierać wśród najlepszych. – Zerknęła na Bertiego, który w ogóle jej nie słuchał.
- Tu jestem szczęśliwy – powiedział Harry; sposób, w jaki rozparł się w fotelu, sugerował, że nie zamierza nigdzie się stąd ruszyć.
- Racja, Harry – przyznał Hubert. – Nie ma to jak w domu, co?
- To prawda. – Harry wymienił spojrzenie z Kitty. Uśmiechnęła się do niego porozumiewawczo. – Jeśli chcesz, żebym wyjechał, mam, będziesz musiała oderwać mnie od irlandzkiej ziemi jak ślimaka od skały.

*

Po dwóch dniach, pełnych niepewności i udręki, mężczyźni zostali uwolnieni. Kitty znalazła w skrytce pod murem wyczekiwany liścik od Jacka z godziną i miejscem spotkania. Wsunęła go do kieszeni spódnicy i uszczęśliwiona pospieszyła do Hunting Lodge, żeby przebrać się w strój do konnej jazdy. Zadzwoiła na Bridie.

- Wypuścili ich! – wykrzyknęła, gdy przyjaciółka pojawiła się w drzwiach.
- Wiem, mama mi powiedziała. Ale w jakim są stanie! Michael ma pod okiem guza większego od piłki do hurlingu. Pobito ich na kwaśne jabłko!
- Ale nikomu nie postawiono zarzutów?
- Nie. – Kitty wyslizgnęła się ze spódnicy, zostawiając ją na podłodze u swoich stóp.
- Wszystkich wypuścili?
- Co do jednego. – Bridie uśmiechnęła się szeroko. – Ojciec Quinn przyszedł im na ratunek. Powiedział, że byli na mszy.
- Przez całą noc?
- Ojciec Quinn powiedział, że ich zatrzymał, żeby im przemówić do rozumu.
- Ale to przecież bzdura!
- Nikt nie spiera się z ojcem Quinnem.
- Podaj mi amazonkę. Przejadę się.
- Sama?
- Przecież zawsze jeżdżę sama i zawsze wracam w jednym kawałku, czyż

nie?

– Nie kuś losu, Kitty – powiedziała gorączkowo Bridie. – Dla angielskiej dziewczyny nie jest tu bezpiecznie.

Kitty napadła na nią ze złością.

– Jestem taką samą Irlandką jak ty, Bridie, i niedobrze mi się robi, gdy ciągle muszę to powtarzać! Liczy się to, co jest w sercu.

– Spróbuj przekonać Michaela...

– Zrób to za mnie – warknęła Kitty. Wiedziała, że wkrótce Michael i inni dowiedzą się, że jest prawdziwą Irlandką.

Ubrała się i wyszła, nie oglądając się za siebie. Myślała tylko o spotkaniu z Jackiem i zaleceniu jego ran czułymi pocałunkami. Bridie podniosła jej ubranie i położyła je na łóżku. Powiesiła bluzkę na wieszaku i umieściła w szafie; gdy strzepywała spódnicę, usłyszała w kieszeni szelest papieru. Wsunęła rękę i wyciągnęła liścik. Zwykle nie przychodziło jej do głowy, żeby czytać prywatne listy, ale ten w szczególny sposób przykuł jej uwagę. Był mały i pognieciony, jakby złożono go w możliwie najmniejszy kwadracik. Domyśliła się, że ma on coś wspólnego z pospiesznym wyjściem Kitty. Nie mogąc oprzeć się pokusie, rozłożyła kartkę.

Gdy przeczytała liścik, jej twarz zalała purpura aż po koniuszki uszu. Nie musiała nawet patrzeć na podpis „J” na końcu, by wiedzieć, że list jest od Jacka. Słyszała jego głos, jakby stał obok i wypowiadał te słowa. Padła na łóżko i rozplakała się jak dziecko. Po chwili, przyciskając list do serca, stłumiła łkanie. Zakończył list wyznaniem: „Moja miłości na zawsze, nadal żywy, J.”

Przez cały ten czas Kitty w tajemnicy wykradała się na randki z Jackiem! Pełne zadumy spojrzenia rzucane przez okno, tęskne uśmiechy, które ocieplały jej twarz, pospieszne siodłanie konia i jazda na wzgórze – to wszystko było dla Jacka! A Bridie wierzyła, że to z powodu miłości do pana Trencha! Ależ była głupia! Kitty kochała Jacka – a co gorsza – z wzajemnością!

Trzęsącymi się rękami Bridie włożyła z powrotem list do kieszeni spódnicy. Kitty nie może się dowiedzieć, że go przeczytała. Nie może się dowiedzieć, że właśnie złamała swojej przyjaciółce serce. Że roztrzaskała je na tysiąc kawałków, pomyślała zboląla Bridie. I nigdy nie uda się go skleić.

*

Gdy Kitty dojechała do Magicznego Kręgu, Jack już tam na nią czekał; upewniwszy się, że jest sama, wyłonił się zza wysokiego głazu.

Ucieszyła się na jego widok, ale zaraz spochmurniała. Twarz miał posiniaczoną, lewą rękę zabandażowaną i na temblaku.

– Co oni ci zrobili? – jęknęła; zeskoczywszy z konia, podbiegła do niego.

– Uspokój się, już wszystko w porządku.

– Zrobili ci krzywdę! – Oczy Kitty zabłysły, łzy popłynęły po policzkach. Delikatnie powiodła palcami po jego posiniaczonej twarzy. Jedno oko miał całkiem zapuchnięte.

– Zabiję tego drania, który cię tak urządził – wyszeptała.

– Chyba że ja pierwszy go dopadnę. – Uśmiechnął się krzywo. – W dodatku naruszyli mi jedno czy dwa żebra.

– Och, Jack! – Pocałowała go czule w usta. – Ty wariacie!

– Ale kochasz swojego wariata, prawda?

Roześmiała się.

– Kocham mojego wariata. Nigdy nie sądziłam, że ojciec Quinn stanie w waszej obronie.

– Ojciec Quinn jest jednym z nas, Kitty.

Zmarszczyła brwi.

– Jednym z was?

– Ukrywa dla nas broń w zakrystii.

– Boże, miej nas w swojej opiece!

– I ma. Bóg jest po naszej stronie, jestem tego pewny. – Jack zdrową ręką objął ją za szyję. – Dziękuję, że dałaś Grace alibi.

– Zrobiłam to dla ciebie, nie dla niej.

– Wiem.

Nagle zalała ją fala emocji.

– Ona uwiodła mojego ojca, Jack. Całe lata była jego kochanką. – Oddychała nierówno. – Znienawidziłam ją od chwili, gdy przyłapałam ich... w łóżku podczas Letniego Balu... – Oparła czoło na jego ramieniu.

– W porządku, Kitty. Bez względu na to, co robi, on nadal jest twoim ojcem. Szkoda, że musiałaś to zobaczyć, to wszystko.

– Dręcę się tym od lat.

– Już dość. Dostyc nienawiści. To dobra kobieta.

Kitty uniosła głowę i wpatrywała się w niego spokojnym wzrokiem.

– Dałam jej alibi. Jestem już zaangażowana w waszą walkę.

Jack pokręcił głową.

– Nie, nie jesteś.

– Jestem! – powiedziała z mocą. – Sam mnie w to wciągnąłeś. Nie ma odwrotu. Włączę się do walki, Jack. Jesteśmy w tym razem.

– Nie chcę, żeby ci się stała krzywda.

– Powinieneś o tym pomyśleć, zanim mnie wykorzystasz. Będę pożyteczna, Jack, zobaczysz. Nie pożałujesz. Pewnego dnia będziemy wspólnie świętować wolność i niepodległość Irlandii.

– Wypiję za to toast – powiedział Jack, przesuwając kciukiem po jej podbródku.

– Lepiej mnie za to pocałuj. – Uniosła twarz i zamknęła oczy, czepiając się tej myśli każdym włóknem swej duszy.

*

Bridie brakowało powietrza. Otarła oczy rękawem i skierowała się do drzwi. Ale gdy szła korytarzem, łzy znów napływały jej do oczu i ciekły po policzkach, zdawało się w nieskończoność. Szła dalej, z pochyloną głową i zamglonym wzrokiem, czując w piersiach ogromny ciężar. Nagle usłyszała dudnienie czyichś kroków; rozpoznała buty pana Deverilla i przystanęła przerażona swoim brakiem opanowania. Cofnęła się na bok, skłoniła głowę i wymamrotała jakieś przeprosiny.

– Płaczesz, Bridget?

– Nie, panie Deverill. – Ostatkiem sił zdobyła się na zaprzeczenie. – Coś wpadło mi do oka. Przepraszam, że przeszkodziłam...

– W niczym mi nie przeszkadzasz.

Mówił niewyraźnie, czuła w jego oddechu zapach whisky. Ale to jej nie odstraszyło.

– Tak, płaczesz – powtórzył. – Widzę łzy, tyle łez. To na nic, Bridget. Taka ładna dziewczyna i płacze... Mam nadzieję, że nie z powodu mężczyzny. Nie są tego wari, zapamiętaj. Banda łajdaków, większość z nich.

Bridie na dobre się rozplakała.

– Przepraszam... – bąknęła, zasłaniając twarz.

– Chodź, nie stójmy w korytarzu. – Poprowadził ją do swojego apartamentu.

– Usiądź na łóżku, osuszemy twoje łzy.

Zrobiła, co jej kazał.

– Jest pan bardzo miły, sir.

– Każdy dżentelmen tak by postąpił. – Otworzył prawą szufladkę swojej toaletki i wyjął czystą chusteczkę. Klęknął przed Bridie i delikatnie ocierał jej łzy.

– Już lepiej. Nie mogę znieść widoku zapłakanej ładnej dziewczyny. – Sposób, w jaki wypowiedział słowo „ładna”, sprawił, że w jej zbolale serce wniknęła dziwna tęsknota.

– Nie uważam się za ładną – powiedziała ze smutkiem, ulegając atakowi czkawki.

– Ależ jesteś ładna. Bardzo ładna. – Zachwiał się lekko. – I jesteś młoda. Zbyt młoda, żebyś zdążyła złamać serce jakiemuś mężczyźnie. Ale zrobisz to, dobrze to wiesz. Wszystkie tak robią.

Podniosła na niego wzrok nieco zdezorientowana. Wpatrywał się w nią z jakimś osobliwym wyrazem na twarzy, którego dotąd nie widziała u mężczyzny, ale który instynktownie rozpoznała. To było pożądanie. Poczwała nagłe pragnienie, żeby go zadowolić; wyciągnęła rękę i dotknęła jego twarzy. Palce jej drżały i przez jeden straszliwy moment pomyślała, że złapie jej rękę i na nią nakrzyczy. Ale tego

nie zrobił. Objął ją za szyję, przyciągnął jej twarz i pocałował. Bridie nigdy przedtem nie była całowana, ale dotyk mokrego języka, wchodzącego w jej usta i poruszającego się w nich w połączeniu z zapachem whisky był wielce podniecający; zacisnęła powieki i poddała się nowym wrażeniom.

Chwilę później leżała na łóżku, a pan Deverill całował jej szyję. Oddech jej rwał się, przy nozdrzach pojawiły się kropelki potu. Rozpiął guziki jej bluzki i wsunął rękę do środka, wyczuwając miękki wzgórek piersi i wyraźnie sterczący sutek. Bridie przestała myśleć. Chłonąc dziwne, nowe doznania, poddała się potężnemu pobudzeniu każdego nerwu. Usta mężczyzny były na jej piersiach, drażniły je językiem, czym wprawiały ją w podniecenie, którego jeszcze nigdy nie doświadczyła. Potem uniósł jej spódnicę i gładził jej uda, aż ledwie mogła leżeć spokojnie z powodu niesamowitej przyjemności. Słyszała jego oddech, płytki, pospieszny, gdy jego palce torowały sobie drogę do miejsca na skrzyżowaniu jej ud, a intensywność tej pieszczoty doprowadzała ją do zawrotu głowy i wymazywała z pamięci niedawny ból serca.

Uczucie, że wślizguje się w nią coś twardego, wyrwało ją z chwilowego otępienia. Poczula ostry ból, który po chwili minął. Objęła Bertiego ramionami, znów zamknęła oczy i pozwoliła mu robić ze sobą, co tylko chciał.

Pan Deverill uważał, że jest ładna. Całował ją i kochał, jakby była jedyną kobietą na świecie, o którą się troszczy. Na sekundę mignęła jej przed oczami postać Kitty, ale z ust nie schodził jej mściwy uśmiešek, gdy zapadała się w mocne objęcia mężczyzny, który uważał ją za ładną.

Rozdział 19

Kitty naprawdę była pożyteczna dla Jacka. Przynależność do rodziny Deverillów oznaczała, że nikt jej nie zatrzyma ani tym bardziej nie zrewiduje, gdy udawała się do miasta. Nie pytano, dokąd idzie ani w jakiej sprawie. Mogła chodzić po Ballinakelly z bronią w koszyku i nikt nawet nie mrugnął powieką. Przyjemność była podwójna: rozkoszowała się dreszczykiem emocji, że robi coś nielegalnego, a jednocześnie pęczniała z dumy, że przyczynia się, choćby w niewielkim stopniu, do wyzwolenia Irlandii spod brytyjskiej władzy.

Po wypuszczeniu z więzienia dzięki interwencji ojca Quinna spiskowcy musieli być ostrożniejsi; po raz drugi ksiądz nie zdoła ich ocalić. Ponieważ ich podejrzewano, ciągle byli zatrzymywani i przeszukiwani – gdy szli na mszę, gdy spotykali się wieczorem na piwie u O'Donovana, gdy kupowali lub sprzedawali zwierzęta na comiesięcznym jarmarku. Nękano ich nieustannie. Dlatego Kitty i Grace stały się dla nich cenniejsze niż kiedykolwiek. Nawet Michael musiał przyznać, że są niezwykle przydatne, chociaż nadal uważał je za Angielki.

Kitty traktowała Michaela Doyle'a z rezerwą. Znała go dość powierzchownie jako brata Bridie, ale był od niej starszy, zawsze tak ponury i poważny, że się go trochę bała. Był silny i krzepki jak wszyscy mężczyźni w rodzinie Doyle'ów, ale brakowało mu oglądy zmarłego ojca oraz wrażliwości brata Seana. Był od nich wyższy i przystojniejszy i roztaczał wokół siebie groźną aurę, która zdawała się przyciągać kobiety. Bridie powiedziała kiedyś Kitty, że dziewczęta z Ballinakelly, zachwycone jego siłą i urodą, zrobiłyby dla niego wszystko. Ale w Kitty budził strach. Czupryna czarnych loków opadała mu na czoło jak u przebiegłego kłusownika, oczy były czarne i nieprzeniknione jak węgiel, szczeka sztywna niczym drewno, a spojrzenie twarde jak lufa pistoletu. Nikt nie zadzierał z Michaeliem Doyle'em. Tylko Grace okazywał szacunek, a nawet podziw, pomimo że symbolizowała wszystko, z czym walczył.

Fakt, że Kitty stała się niezastąpiona dla sprawy, budził w Michaelu złość. Wydawało się, że zazdrości jej wszystkiego: eleganckich ubrań, stylu życia, jak również inteligencji. Przy każdej okazji nie szczędził jej uszczypliwych uwag, nieudatnie skrywając swoją niechęć pod cienką powłoką kąśliwego dowcipu. Z jego punktu widzenia była częścią władzy, z którą walczył.

– Może sobie mieć romantyczną wizję wolnej Irlandii, ale nie widzi, że dla niej nie ma w niej miejsca – mawiał nad kuflem piwa. – Czy walczy po naszej stronie, czy nie, nadal jest jedną z nich.

Jack żarliwie stawał w obronie Kitty, a przez to i nim Michael pogardzał,

zresztą głównie dlatego, że wygrał serce i szacunek Kitty. Przyglądał się im obojgu jak szakal niewinnym owieczkom, a w jego oczach czaił się diabeł. Ale Kitty potrafiła bronić się sama i czerpała przyjemność z zażartych z nim utarczek.

– Może nie wycierpiałam tyle co ty, Michaelu, a korzenie mojej rodziny są w Anglii, ale moje serce jest tak samo irlandzkie jak twoje. Ryzykuję życie, biegając w tę i z powrotem z listami i amunicją, a nawet przebywając w twoim domu. Nie robię tego dla zabawy czy fantazji, ale dla Irlandii, doskonale o tym wiesz. Porzuć uprzedzenia, ponieważ nam nie służą. Walczymy razem dla sprawy i musimy wzajemnie się wspierać, bo inaczej niczego nie osiągniemy.

W czarnych oczach Michaela tliła się złość, gdy się w nią wpatrywał, a ona czuła jego niechęć, jakby przenikała przez jej skórę. Michael szukał argumentów i słów, żeby ją pokonać, ale Kitty dzięki doskonałej edukacji była bardziej elokwentna, a to wydawało się doprowadzać go do jeszcze większej wściekłości. Przy Kitty Deverill czuł się odarty z męskości.

*

Wiosną tysiąc dziewięćset dwudziestego pierwszego roku Elspeth poślubiła Petera MacCartaina w kościele Świętego Patryka w Ballinakelly. Rodzina i kilkoro co odważniejszych przyjaciół przybyło z Londynu na czterodniowe uroczystości, pomimo przestróg rozpowszechnianych w angielskiej prasie. Obecność policji na terenie posiadłości oraz solidne zamkowe mury dodawały gościom poczucia bezpieczeństwa. Maud była zdeterminowana, żeby pokazać swoim londyńskim przyjaciołom efektowną, błyszczącą stronę Irlandii. Nie szczędzono kosztów. Była również zdeterminowana, żeby huczna impreza ukryła niedostatki pana młodego; miała nadzieję, że nikt nie zauważy, że nie ma on ani tytułu, ani majątku wartego odnotowania.

W zamku zaroilo się od angielskich gości. Kuzyn Stoke i Augusta tradycyjnie zajęli pokoje nad holem, ale po pierwszej nocy skarżyli się na hałas dochodzący z salonu, na drugą noc przeniesiono ich więc do odległej części zamku. Augusta jednak narzekała na wilgotną pościel i dziwne odgłosy kroków w środku nocy, a zatem bezzwłocznie wrócili do pokoiów położonych w centralnej części. Augusta zawracała głowę służbie, poszukując skutecznych zatyczek do uszu i marudząc, że jeśli rebelianci jej nie zabiją, to wesele na pewno. Cierpliwość Adeline była wystawiona na ciężką próbę.

Maud zamówiła dla Huberta nowe ubrania na tę okazję; nie mogła pozwolić, by zaprezentował się w wytartej garderobie. Wysłała jego wymiary do krawca Bertiego przy Savile Row w Londynie i przysłano mu pięknie skrojony frak na bal, zielony aksamitny smoking na kolację oraz tradycyjny żakiet na nabożeństwo w kościele. Hubert kręcił nosem z niezadowoleniem i skarżył się żonie: „Ona próbuje mnie zmienić, ta głupia kobieta. Nie wie, że starzy ludzie nie zmieniają

swoich przyzwyczajień”. Zignorował wspaniały nowy strój i z buntowniczym burknięciem włożył stare, wyświechtane ubranie. Maud kipiała z wściekłości. Nie chodziło jej tylko o to, że nowe ubrania kosztowały fortunę, ale że w ten sposób teść obniża rangę ślubnych uroczystości. Nie wypadało, by pan na Deverill Castle pokazywał się w dziurawych swetrach i z łatami na marynarkach, w których harcowały mole. W przeciwieństwie do Huberta sir Digby Deverill, pan na Deverill Rising w Wiltshire, był gładki i błyszczący jak jego brylantowe spinki do koszuli.

Victoria wraz ze swoim gapowatym mężem, hrabią Elmrod, zamieszkała w Hunting Lodge. Do obowiązków Bridie należało zajmowanie się nią, jak również Kitty i przyszłą panną młodą, tak że ledwie mogła nadażyć z powodu wymagań hrabiny. Victoria z powodu byle zachcianki dzwoniła na Bridie, nie zwracając uwagi na jej przeciążenie pracą. Żądała, żeby za dnia wietrzyła jej pościel, a wieczorem ją ogrzewała. Wysyłała ledwie noszone rzeczy do prania, a przy najmniejszym zagnieceniu do prasowania. Kręciła nosem na niedostatki hydrauliki, narzekając, że Irlandia tkwi ciągle w średniowieczu w porównaniu z Anglią, gdzie elektryczność oraz ciepła i zimna woda są na porządku dziennym.

Bridie nigdy nie żywiła ciepłych uczuć do Victorii, ale teraz lubiła ją jeszcze mniej. Z drugiej strony Elspeth wraz z wiekiem robiła się coraz słodsza jak dojrzały owoc. Była uprzejma, wdzięczna i w przeciwieństwie do starszej siostry niewymagająca. Maud ledwie zwracała na nią uwagę, chociaż to ona była panną młodą, dogadzała natomiast Victorii, jakby ta była królową Marią. Ogromnie jej schlebiało, że starsza córka poślubiła hrabiego i tytułowała Victorię przy lada okazji. „Lady Elmrod lubi podgrzane mleko do herbaty” albo: „Hrabina Elmrod wybiera się na spacer o jedenastej, jeśli ktoś z gości lorda Deverilla ma ochotę jej towarzyszyć”.

*

Kitty cieszyła się ze ślubu siostry, jak również ze swoich działań w konspiracji. Rola rebeliantki napawała ją dumą; często wymieniała znaczące spojrzenia z Grace, gdy nikt nie patrzył. Niechęć do lady Rowan-Hampton zastąpił głęboki szacunek do tej kobiety, odważnej i pełnej tajemnic. Pracowały teraz razem. Miały wspólny cel i takie same zainteresowania; wiedziały o sobie zbyt wiele, żeby wykazać się nielojalnością. Kitty, która przez ostatnie dwanaście lat pogardzała Grace, dziś odkryła, że granice pomiędzy miłością i nienawiścią bywają kruche i tak łatwe do stłuczenia jak skorupka jajka. Uczucie do kobiety, którą w dzieciństwie podziwiała, rozkwitło teraz w blasku ich wspólnej tajemnicy.

Beatrice otrząsnęła się z rozpacz po utracie ukochanego George’a i mozolnie, krok po kroku, stąpając po swoich brylantowych schodach, wychodziła z mroków żałoby ku światłu. Aby nie rozpamiętywać żalu, rzuciła się w wir towarzyskiego życia Londynu pełnego przyjęć, lunchów i balów, gdzie mogła

stroić się w diamenty Digby'ego i pławić w blasku, który oferowało jej bogactwo; im bardziej powierzchowne to były rozrywki, tym lepiej, ponieważ jakiegokolwiek głębsze przeżycie prowadziło niebezpiecznie blisko do tego ciemnego i bolesnego miejsca, które za wszelką cenę starała się omijać. Z zapalem uczestniczyła w uroczystościach ślubnych. Tańczyła, aż bolały ją nogi, piła, aż kręciło jej się w głowie, flirtowała, aż jej mąż dyskretnie wyprowadzał ją na świeże powietrze, i śmiała się tak głośno, że sama była zaskoczona. W krótkich chwilach zadumy odkryła, że pociąga ją osoba Harry'ego. Przemawiał do jej matczynego serca, tak rozpaczliwie teraz pustego. Było w nim coś z zagubionej duszy, krył w oczach jakąś tajemnicę. Pragnęła go zabrać do Londynu i wprowadzić na światowe salony. Obserwowała, jak rozmawia z innymi młodymi mężczyznami, śmiejąc się i w zawadiacki sposób paląc papierosy, i podziwiała jego towarzyską werwę. Na pewno byłby ozdobą jej wtorkowych wieczorów.

Vivien i Leona, córki Beatrice, doskonale wyszły za mąż, co tylko wzmagało wściekłość Maud z powodu rozczarowującego wyboru Elspeth. Przyglądając się Kitty, tańczącej z Harrym, rozważała, czy przy odrobienie silniejszej perswazji nie uda jej się jednak przekonać tej krnąbrnej dziewczyny do poszukania sobie odpowiedniego męża w Londynie. Z niechęcią przyznawała, że Kitty jest najładniejszą i najinteligentniejszą z jej córek. Jeśli zaś chodzi o Harry'ego, cóż, taki przystojny i bystry młodzieniec też powinien jak najszybciej zaprezentować się na londyńskiej scenie. Mężczyzna, który ma odziedziczyć tytuł i wspaniałą zamek w Irlandii, na pewno przyciągnie kobietę z fortuną. Może być Amerykanką, rozmyślała; tylko Amerykanie są tak głupi, żeby uważać Irlandię za romantyczną.

Krzaczki były zachwycone ślubną ceremonią jak dzieci świąteczną choinką. Zamek nigdy nie wyglądał tak wspaniale. Pochodnie paliły się przez całą noc, a kwiaty ozdabiały go w dzień, jakby sama budowla była panną młodą. Tyle kwiatów widziały tylko raz w życiu, gdy były małymi dziewczynkami i ojciec zabrał je do londyńskiego Covent Garden. Podekscytowane przefruwały jak para kanarków od jednego do drugiego wyszukanego bukietu, ćwierkając z zachwytem nad doskonałym gustem i polotem Maud.

– Widać, że nie oszczędzono kosztów! – wykrzykiwały, żeby wszyscy słyszeli.

Maud wolałaby, żeby nie zachowywały się jak para prowincjuszek. Chciała, żeby jej angielscy przyjaciele myśleli, że zamek przez cały czas prezentuje się tak wytwornie.

Anglo-Irlandki pokazały się w całej swojej krasie jak krokusy po zimie. By nie dać się pokonać Angielkom, pod przewodem dwóch najpiękniejszych kobiet w hrabstwie Cork, Maud Deverill i Grace Rowan-Hampton, zadawały szyku wyszukaną biżuterią i jedwabiami. Niełatwe do pobicia w kategorii urody, jeśli chodzi o modę, mierzyły się z większą konkurencją, ponieważ Angielkom

łatwiejszy dostęp do paryskich krawców dawał lekką przewagę. Jednak Anglo-Irlandki górowały nad angielskimi konkurentkami piękną cerą, którą zawdzięczały mżawce i wilgotnemu powietrzu Irlandii. Ani Maud, ani Grace nie miały na twarzy ani jednej zmarszczki; nawet Adeline i Krzaczkę nie wyglądały na swój wiek. Angielki mogły tylko spoglądać na nie z zazdrością, ponieważ najdroższy krem czy puder nie mogły ukryć destrukcyjnych skutków zadymionego londyńskiego powietrza.

Dla Bertiego uroczystości ślubne i weselne córki były prawdziwą torturą, ponieważ Grace wyglądała przepięknie. W kolejnych kreacjach wchodziła na scenę coraz bardziej promienna. Iskrzyła się szafirami, lśniła w bogatych jedwabiach i jarzyła się w świetle świec jak chiński lampion płonący wewnętrznym światłem. Pragnął jej całym sercem i dystans, który rozdzielał ich niczym kanion, pogłębiał jego ból i konfuzję. Grace trzymała się boku męża przez całe cztery dni, unikając jakiegokolwiek niezręcznej rozmowy ze swoim ekskochankiem.

Ostatniego wieczoru doszczętnie sfrustrowany i upojony alkoholem Bertie opuścił bal i wrócił do Hunting Lodge w poszukiwaniu Bridie. Zastał ją na porządkowaniu sypialni Victorii. Bez słowa zabrał ją do swoich apartamentów, położył na łóżku i rozpiął jej bluzkę. Potem zadarł jej spódnicę i ściągnął bieliznę. Zatapiając twarz w jej piersiach, zamknął oczy i wyobrażał sobie, że to Grace. Bridie natomiast aż zarumieniła się z radości, że pan Deverill opuścił uroczystości, żeby być z nią. Zachwycona jego względami pozwoliła mu na pieszczoty, które koły jej ból.

*

Elsbeth i Peter po czterodniowym weselu wyjechali na miesiąc miodowy do Rzymu. Udali się na stację daimlerem, którego Kitty udekorowała wstążkami i kwiatami, a Harry przyczepił do niego puszki na sznurku, żeby grzechotały podczas drogi. Goście wyjechali z wrażeniem, że choć wokół się wali i pali, zamek pozostaje ostatnim bastionem cywilizacji, splendoru i dostatku, a tego właśnie Maud sobie życzyła.

Niedługo po weselu Harry zaskoczył matkę informacją, że postanowił wyjechać do Londynu.

– Ciotka Beatrice zaprosiła mnie, żebym spędził u nich sezon. Myślę, że powinienem pojechać.

Maud ze zdumienia otworzyła swoje piękne usta.

– Harry, cóż za wspaniała wiadomość! Oczywiście pojedę z tobą. Skoro ty będziesz w Londynie, nie mam powodu tu tkwić. Zresztą tu robi się niebezpiecznie. Stajemy się więźniami we własnych domach.

Maud ożywiła się na myśl o przyjęciach, lunchach w Ritzu i rozlicznych imprezach, takich jak wystawa kwiatów w Chelsea, regaty w Henley czy wyścigi

w Ascot. Przewietrzy swoje kosztowne suknie, będzie admirowana przez wytwornych mężczyzn i kobiety z klasą. Tutaj, w Ballinakelly, nikt jej nie podziwia, a Bertie snuje się jak lunatyk, usychając z miłości do Grace, która wyraźnie go odtrącała. Maud uniosła podbródek. Niech ją diabli, jeśli okaże mu choć odrobinę współczucia!

– Wyjedziemy natychmiast – ożywiła się, podnosząc się z krzesła i wygładzając suknię. – Gdy Elspeth jest we Włoszech, a Victoria wróciła do Kentu, muszę poprawić sobie nastrój. Piękny dom Beatrice w Kensington jest dokładnie tym, czego potrzebuję.

Kitty z przykrością przyjęła decyzję brata. Cieszyła się jego obecnością w domu. Nie tylko był znakomitym towarzyszem, ale skutecznym buforem pomiędzy nią a matką. Gdy Harry był w pobliżu, Maud nie dostrzegała innych ludzi. Kitty mocno go objęła i w tym intymnym momencie, gdy tak serdecznie się ściskali, poczuła, że wspólne tajemnice jeszcze bardziej ich ze sobą związały. Niechętnie wypuściła go z objęć.

– Napiszesz do mnie, prawda, Harry? – spytała, a on, kiwając głową, na moment powędrował wzrokiem gdzieś poza nią, jakby jednak z żalem opuszczał dom.

Kitty machała im na pożegnanie, gdy samochód przyspieszał na podjeździe. Spieszyli się, żeby zdążyć na statek, którym mieli popłynąć do Walii. Mignął jej ostry profil matki, która wpatrywała się przed siebie z beznamiętnym wyrazem twarzy; nie było już nic, co mogłoby ją zatrzymać w Irlandii. Po chwili samochód zniknął w oddali.

Kitty odwróciła się w kierunku domu. W jednym z okien na górze zobaczyła twarz Josepha. Stał bez ruchu, jego twarz za szybą wydawała się półprzezroczysta, jak u duchów – dziedziców Deverill zapatrzonych w swój fatalny los. Zastanawiała się, czy w zatłoczonym Londynie Harry'emu będzie łatwiej ukrywać swój sekret. A może znajdzie tam innych podobnych do siebie? Być może w tej wielkiej metropolii jest wielu zagubionych mężczyzn szukających pociechy i akceptacji. Żałowała kobiety, która odda mu kiedyś swoją rękę, ponieważ Harry nigdy nie odda jej swego serca.

*

Bertie wiedział, że Grace go unika. Odrzucała zaproszenia na kolacje w Hunting Lodge i spędzała coraz więcej czasu w Dublinie. Ronald regularnie wyjeżdżał do Londynu, co frustrowało Bertiego; jeśli on i Grace nadal byliby kochankami, całe tygodnie mieliby dla siebie. Okropnie za nią tęsknił. Tęsknił za jej zapachem, za miękkim tembrem głosu, za perlistym ciepłym śmiechem. Wraz z wyjazdem żony przynajmniej ciężka atmosfera wyparowała z Hunting Lodge. Zdawało się, jakby dom długo wstrzymywał oddech i nareszcie mógł swobodnie

zaczepnąć powietrza. Lato zakwitło długimi, słonecznymi dniami i balsamicznymi nocami. Bertie spał przy szeroko otwartych oknach i napływające z ogrodu słodkie róże zapachy dręczyły go jeszcze bardziej; wszystko, co piękne, przypominało mu o Grace.

Kitty była dla niego wielkim pocieszeniem. Towarzyszyła mu podczas konnych przejażdżek, gry w tenisa i dołączała do niego i jego rodziców podczas gry w wista czy brydża w zamku. Córka robiła, co mogła, by odwrócić jego uwagę od zbolełego serca, a od czasu do czasu, gdy ogarniało go pożądanie, Bridie przynosiła ulgę jego zbolełym łądzwiom.

Aż nagle w samym środku lata Bridie z pobladłą twarzą i ustami stanęła w drzwiach biblioteki. Zapukała tak cicho, że początkowo jej nie usłyszał. Przy drugiej próbie podniósł głowę i zobaczył jej drobną, drżącą postać, z oczami wbitymi w podłogę, jakby nie śmiała na niego spojrzeć.

– O co chodzi, Bridget? – spytał zniecierpliwiony. Nie podobało mu się, że tak otwarcie do niego przychodzi.

– Mogę z panem porozmawiać, sir?

Westchnął. Nie powinna przeszkadzać mu w pracy.

– Wejdz – powiedział. Nie zauważył, że wzdrygnęła się na obojętny ton jego głosu.

– To prywatna sprawa, sir.

– A więc zamknij drzwi. – Był poirytowany. Dobrze było się z nią kochać od czasu do czasu, ale nie powinna mu przeszkadzać i żądać jego uwagi, gdy pracował. Nie taki był układ pomiędzy nimi. – O co chodzi? – Spostrzegł, że jej policzki lekko zapłonęły, jak dogasający żar w kominku.

Zagryzła kciuk.

– Jestem...

– Co jesteś?

– Jestem... – Zawahała się.

Nagle go oświeciło. No, oczywiście! Powinien był wiedzieć już w chwili, gdy pojawiła się w drzwiach. Wstał i podszedł do wystygłego kominka. Położył ręce na gzymsie i wpatrywał się w ciemną czeluść.

– Jesteś w ciąży – wypowiedział szeptem, ale ona usłyszała jego słowa tak wyraźnie jak dźwięk kościelnych dzwonów.

Przełknęła strach.

– Tak, proszę pana – odparła.

Pokój zawirował mu przed oczami; chwycił się gzymsu kominka, aby utrzymać równowagę. Zacisnął zęby i zamknął oczy. Dlaczego nie zachował ostrożności? Odwrócił się do dziewczyny i spojrzał na jej brzuch ukryty pod białym fartuszkim.

– Widać już?

Pokręciła głową.

– Nie.

– Jesteś pewna, że jesteś w ciąży?

– Tak.

– Skąd wiesz, że to moje...?

Bridie rozchyliła usta, policzki zapłonęły jej żywym ogniem.

– Pan był jedyny, proszę pana – odpowiedziała, zaskoczona, że mógł pomyśleć coś takiego.

Bertie pokręcił nosem, nieprzekonany.

– Nigdy nic nie wiadomo...

Oczy Bridie wypełniły się łzami.

– Nie było nikogo innego prócz pana, panie Deverill.

– Tak, tak, już dobrze. – Bertie nie wiedział, co powiedzieć.

– Co ja teraz zrobię? – Zaczęła płakać.

Bertie czuł się coraz niezręczniejszy. Nie potrafił radzić sobie ze łzami kobiet, a już szczególnie takich kobiet jak Bridie. Służba to nie jego domena.

– Czy ktoś o tym wie? – spytał.

Energicznie pokręciła głową, przerażona tą sugestią.

– Nie!

Bertiemu ulżyło.

– To dobrze. To musi być nasz sekret, Bridget. Rozumiesz?

– Tak, proszę pana.

Wiele by dał, żeby ten problem ot, tak zniknął. Nagle wpadł mu do głowy pewien pomysł.

– Wyślę cię do Dublina – powiedział, nieco podniesiony na duchu. – Znajdę ci jakieś miejsce, gdzie będziesz mogła zamieszkać. Tam urodzisz dziecko. Nikt się o tym nie dowie. Możesz powiedzieć swojej rodzinie, że znalazłaś dobrą posadę w mieście, na przykład u naszej kuzynki, która potrzebuje pokojówki. Powiedz, że to awans. Potem załatwię, żeby dziecko oddano do klasztoru. Czy nie tak się robi z nieślubnymi dziećmi? A potem wrócisz jak gdyby nigdy nic.

Bridie zaczęła się trząść. Nie wiedziała, czy zdoła dłużej ustać na nogach. Wpatrywała się w Bertiego Deverilla z przerażeniem i niedowierzaniem. Zamierza oddać jej dziecko... ich dziecko? Te słowa odbijały się echem w jej głowie, ale brzmiały tak głucho i twardo jak odgłos kamienia wrzuconego do głębokiej studni.

Bertie zauważył, że dziewczyna wpatruje się w niego szeroko otwartymi oczami, wielkimi jak czarne przepaście, i zachodził w głowę, cóż takiego powiedział, że ją uraził.

– Czy to wszystko? – spytał, wracając do biurka.

Zdrzutana jego chłodem Bridie usiłowała coś powiedzieć, ale żadne słowo nie wychodziło jej z ust oprócz rozgorączkowanego, płytkiego oddechu.

Bertie usiadł przy biurku i ujął pióro.

Bała się zostać choć chwilę dłużej w jego obecności, więc uciekła.

Gdy Bertie podniósł wzrok, zorientował się, że wyszła. Wziął czystą kartkę papieru. Tylko do jednej osoby mógł się zwrócić w tak delikatnej sprawie. Jej mógł zaufać. Zaczął pisać swym starannym pętelkowym pismem:

Moja najdroższa Grace...

Rozdział 20

Kitty szła główną ulicą Ballinakelly – z uniesionym podbródkiem i obojętnym spojrzeniem. Niosła pudełko zawierające parę butów, pistolet oraz niewielką ilość amunicji. Od czasu do czasu skinieniem głowy witała kogoś znajomego, ale głównie wędrowała wzrokiem po wystawach, żeby sprawiać wrażenie, że nigdzie konkretnie nie zmierza – ot, tak idzie sobie niespiesznie i bez celu – a co najważniejsze, żeby nie budzić jakichkolwiek podejrzeń.

Był wietrzny letni dzień. Na szczęście starannie przypięła kapelusz, który teraz dzielnie stawiał opór podmuchom wiatru. Kitty mocno przyciskała dłonią pokrywkę pudełka, zdając sobie sprawę z konsekwencji, gdyby odkryto jego zawartość. Przyjechała do Ballinakelly bryczką, po drodze podziwiając żywopłoty z kwitnącej na ciemnoczerwono dzikiej fuksji, za którymi suszyła się biała bielizna i szkarłatne halki. Nuciła pod nosem, czując coraz większe podniecenie. Każda tajna misja rozpaliała jej wyobraźnię i niczym pędzący pociąg popychała ją naprzód – w przygodę, intrygę i bliżej Jacka – zawsze bliżej Jacka. Kitty wierzyła, że jest stworzona do konspiracji.

Idąc w kierunku kościoła Wszystkich Świętych, poczuła lekkie zdenerwowanie. Mogła sobie chodzić po mieście, gdzie chciała, i wyglądało to całkiem naturalnie, ale po co protestantka miałaby odwiedzać katolicki kościół? Zaczęła nucić pod nosem, żeby zagłuszyć bicie serca, walącego jej o żebra jak wojskowe werble. Myśl o słodkiej, szczerzej twarzy Jacka oraz o strachu widocznym w jego oczach na myśl, że może ją stracić, dodawała jej odwagi; sprężystym krokiem szła dalej, a nieznacznym uśmiechem błąkał się w kącikach jej ust. Czowała smak morskiej soli. A może to strach wysuszał jej język? Robiła to wiele razy przedtem, ale jeszcze nigdy nie szła do katolickiego kościoła. To był pomysł Michaela. Nagle przemknęło jej przez myśl, że może celowo powierzył jej tę fatalną misję? Może chciał, by ją złapano? Czyżby z powodu wrodzonej arogancji lekceważyła niebezpieczeństwo?

Dwóch czarno-brunatnych stało przed kościołem; ręce trzymali na broni i zmrużonymi jak u łasicy oczami podejrzliwie obserwowali przechodniów. Nikt na nich nie patrzył; wszyscy spieszyli się ze spuszczonej głowami, by nie zostać zauważeni, zatrzymani i przeszukani. Brunatni wydawali się wszechmocni i nie obawiali się używać swej siły. Kitty poczuła na szyi ich przenikliwy wzrok jak topór kata. Wstrzymała oddech; usiłowała nie przerywać nucenia, które z wolna zamierało jej w gardle. Kątem oka zauważyła, że coś do siebie mówią. Potem grubszy z nich zawołał:

– A pani dokąd, panno Deverill?

Zatrzymała się i uśmiechnęła.

– Idę zobaczyć się z ojcem Quinnem – odpowiedziała słodkim głosem. – Jakiś problem?

– Ojca Quinna tu nie ma – powiedział drugi.

– Co tam pani niesie? – spytał gruby.

– Pantofle – odparła. – Prezent od mojej babci, lady Deverill.

– Po co pani idzie do ojca Quinna?

– To delikatna sprawa – odparła, podchodząc bliżej do mężczyzn i zniżając głos. – Chodzi o jedną z moich pokojówek. – Przybrała współczującą minę. – Ona... no cóż, myślę, że to byłoby niedelikatne z mojej strony, gdybym opowiadała szczegóły... Potrzebuję rady ojca Quinna.

Gruby mężczyzna skupił wzrok na pudełku, a Kitty wydało się ono cięższe niż ołów.

– Moja żona uwielbia pantofelki – powiedział. – Zobaczmy, co tam pani ma.

Kitty krew uderzyła do głowy i objęła się o jej skronie jak fale o skałę.

– Nie sądzę, żeby były interesujące – powiedziała, udając, że usiłuje podnieść pokrywkę.

Raptem dał się słyszeć głośny krzyk. Wszyscy troje odwrócili się i zobaczyli ojca Quinna, który energicznym krokiem zmierzał w ich stronę; siwe włosy targał mu wiatr, a czarna sutanna kłębiła się wokół niego jak u anioła zemsty. W ręce trzymał białą halkę. Podnosił ją do góry jak sztandar ucieleśniający zmysłowy grzech.

– Znalazłem to na plaży – pinił się. – Boże, miej nas w swojej opiece! – Brunatni patrzyli na niego w osłupieniu. – Niech no tylko znajdę tych grzeszników! Potępię ich w imieniu Boga za taką nieobyczajność. Leżała na plaży, na oczach bawiących się dzieci! Ku czemu zmierza ten świat, jeśli ludzie otwarcie folgują swoim pożądaniam? – Wlepił ognisty wzrok w Kitty.

– Mogę spytać, co pani robi pod moimi drzwiami, panno Kitty? Chyba pomyliła pani kościoły...

Kitty zbladła.

– Ojciec Quinn, muszę o czymś z ojcem porozmawiać. To delikatna sprawa, dotycząca pańskiej parafianki. Możemy pomówić na osobności? Albo przyjdę kiedy indziej, gdy już ojciec znajdzie... – Zawahała się, patrząc na halkę. – Gdy już ojciec znajdzie właścicielkę...

Zwinął halkę w kulkę i wsunął pod ramię.

– Teraz mam czas. Chodź ze mną. Do widzenia panom! – Skinął głową do czarno-brunatnych, którzy patrzyli zdumieni na Kitty i księdza znikających w kościele. Jak mieli rozumieć tę awanturę?

– Oto i cała Irlandia – powiedział grubas, kręcąc głową.

– Oni wszyscy są nieźle stuknięci – skwitował ten drugi, wsadzając do ust papierosa.

Kitty poszła za ojcem Quinnem wzdłuż nawy do zakrystii. Zamknął za nimi drzwi i wyjął jej z rąk pudełko.

– Odważna z ciebie dziewczyna, panienko.

– Myślałam, że już po mnie. – Nagle poczuła, że uginają się pod nią kolana. Ciężko opadła na krzesło.

– Ja też. Myślałem, że to koniec. – Popatrzył na halkę. – Muszę ją zwrócić pannie O’Dwyer, bo inaczej pomyśli, że porwała ją mewa. Tak czy owak, potrzebuję jakiejś wymówki, jak wszedłem w jej posiadanie. – Odłożył halkę na stół.

Kitty popatrzyła na niego zaskoczona.

– Ojciec odegrał tę scenę, żeby odwrócić ich uwagę?

– Oczywiście, moja droga. Zauważyłem, że masz kłopoty, i to była pierwsza rzecz, która wpadła mi do głowy. Boska inspiracja – dodał, zegnając się. – Dzięki ci, Boże. – Wyjął broń i amunicję, po czym oddał jej pudełko. – Lepiej zabierz je do domu, na wszelki wypadek.

– Dziękuję, ojczu.

– Nie dziękuj, Kitty. Walczymy razem na tej wojnie i wygląda na to, że Bóg jest po naszej stronie, nieprawdaż?

– Rzeczywiście – zgodziła się z nim Kitty.

– Jesteś odważną młodą kobietą. Ale powiedziałbym, że to prawie samobójstwo, żebyś akurat ty przynosiła broń do mojego kościoła. Ten Michael jest bardzo nieostrożny. Porozmawiam z nim na osobności. – Uśmiechnął się ciepło do Kitty. – Już więcej tego nie rób, rozumiesz? Jesteś dla nas zbyt cenna, nie powinnaś się tak nierozważnie narażać.

– Nie będę – odparła.

– Wspaniale. A teraz wyjdź bocznymi drzwiami. Jeśli cię zatrzymają, pokaż im tę nieszczęsną parę butów.

– Dziękuję, ojczu Quinn.

– Niech Bóg ma cię w opiece.

Kitty wróciła do cierpliwie czekającego na nią konia. Czule pogłaskała go po pysku, po czym wsiadła do bryczki. Gdy wyjeżdżała z Ballinakelly, spotkała Michaela, idącego do miasta ze swoim bratem Seanem; ręce trzymał w kieszeniach, czapka na głowie przykrywała jego niesforne loki. Kitty patrzyła prosto przed siebie, ignorując ich obu, co dużo ją kosztowało, ponieważ lubiła Seana. Potrząsnęła lejcami i koń zerwał się do kłusa. Minęła Michaela z narastającym poczuciem triumfu. Dokonała czegoś niemożliwego. Kątem oka zauważyła, jak unosi głowę i wstrząśnięty obrzuca ją miażdżącym spojrzeniem. Nawet nie drgnęła, bez najmniejszego zawahania jechała przed siebie. Tylko nikły uśmieszek

w kącikach ust zdradzał jej satysfakcję.

Gdy już dotarła do sypialni, zadzwoniła po Bridie. Z powodu sekretnych misji oraz spotkań z Jackiem była bardzo zajęta i nawet nie spostrzegła, że jej przyjaciółka staje się coraz bledsza i coraz bardziej milcząca. Ale teraz, gdy Bridie stanęła w drzwiach, podkrążone oczy i opuchnięte policzki zbyt rzuciły się w oczy, by tego nie zauważyć.

– Bridie, co się dzieje? – Kitty podbiegła do przyjaciółki i poprowadziła ją do łóżka.

Bridie padła na łóżko jak szmaciana lalka.

– Wyjeżdżam, Kitty – powiedziała, kuląc się pod ciężarem swojej rozpacz.

– Co to znaczy? Dlaczego chcesz wyjechać?

– Pan Deverill mówi, że to prawdziwa okazja. Awans. Wyruszam w świat, Kitty. – Zaczęła łkać.

– Tata cię odsyła? – Kitty była przerażona. Bridie skinęła głową, wyjęła z rękawa chusteczkę i wytarła oczy. Kitty zauważyła na chusteczce inicjały ojca; cmoknęła ze zdziwienia. – Odsyła cię, mimo że tego nie chcesz? – Wyjęła chusteczkę z ręki Bridie i podniosła ją do góry, żeby lepiej się przyjrzeć. – To okrutne z jego strony! Kiedy ci o tym powiedział?

– Dziś rano. – Bridie wyrwała jej chusteczkę i przycisnęła ją do serca. Kitty nie powinna się dowiedzieć, ile ten skrawek materiału dla niej znaczy.

– Przynajmniej dał ci coś do wytarcia łez! – Kitty podniosła się z łóżka. – Pójdę z nim się rozmówić. Nie może cię odesłać, ponieważ ja cię potrzebuję.

– Chcę wyjechać – powiedziała cicho Bridie. – To dobra posada dla dziewczyny takiej jak ja. Nigdy nie byłam w Dublinie.

Kitty odwróciła się gwałtownie.

– Dublin? Tata wysyła cię do Dublina?

– Tak, do Dublina. – Bridie skubała rąbek chusteczki. – Nie powiedziałam?

– Nie zostawisz mnie, Bridie! Jesteśmy jak siostry, ty i ja. Potrzebuję cię!

Bridie pomyślała o Jacku i jego miłości do Kitty i umocniła się w swoim postanowieniu. Spojrzała na chusteczkę, którą pan Deverill otarł jej łzy za pierwszym razem, gdy ją pocałował, po czym schowała ją w dłoniach.

– Muszę jechać, Kitty. Tutaj nie ma dla mnie przyszłości. Jeśli zostanę, skończę jak moja matka.

– To przecież nie jest takie straszne – argumentowała Kitty.

– Chcę czegoś więcej od życia.

– Co tata ci załatwił w Dublinie?

Bridie nie mogła patrzeć Kitty w oczy i tak bezwstydnie kłamać. Spuściła wzrok.

– Będę pracować jako pokojówka u wielkiej damy w pięknym domu. To wszystko, co wiem.

– Czym to się różni od pracy tutaj? Czy ja nie jestem dla ciebie wystarczająco wielką damą? – Choć Kitty uśmiechała się, Bridie widziała, że jest zła. – Zawsze dobrze cię traktowałam, Bridie. Wiesz o tym. Jeśli chodzi o pieniądze, jestem pewna, że tata może ci zapłacić więcej.

– Nie chodzi o pieniądze. – Bridie popatrzyła na nią twardo. – Miałam chłopaka, ale teraz...

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

– To już koniec. On mnie nie chce... – Ramiona Bridie zaczęły drżeć. – Muszę wyjechać. Daleko.

Kitty usiadła obok przyjaciółki i ją objęła.

– Och, Bridie, powinnaś mi powiedzieć. Czy on złamał ci serce? – Bridie skinęła głową.

– Co za drań!

– To nie ma znaczenia. I tak był dla mnie za dobry...

Kitty zastanawiała się, czy mówi o Jacku, ale nie śmiała spytać; temat był zbyt drażliwy.

– Nonsens! – uspokajała ją. – To ty byłaś za dobra dla niego, Bridie. Masz złote serce. Każdy mężczyzna miałby szczęście, gdyby je zdobył.

Bridie oparła głowę na ramieniu przyjaciółki; emanujące od niej ciepło otulało ją jak koc.

– Cokolwiek się stanie, zawsze będziemy przyjaciółkami. Prawda?

Kitty gwałtownie ją uścisnęła.

– Jesteś dla mnie najlepszą przyjaciółką na całym świecie, Bridie. Kocham cię jak siostrę. Obiecujesz, że będziesz pisać do mnie co tydzień?

– Obiecuję.

– A jeśli ta dama będzie dla ciebie niedobra albo będziesz nieszczęśliwa, albo po prostu zatęsknisz za domem, zawsze możesz tu wrócić. – Kitty poczuła, że oczy szczypią ją od łez. Mocniej ścisnęła Bridie. – A jeśli za mną zatęsknisz, przyjadę do Dublina. Tak, to właśnie zrobię. Przyjadę do ciebie z wizytą. Wystarczy, że powiesz słowo.

*

Bridie przybyła do Dublina zestresowana z powodu opuszczenia domu i przestraszona swą niepewną przyszłością. Jedynym pocieszeniem było rosnące w niej dziecko; kochała je z pasją kogoś, kto wszystko stracił. Gdy przyciskała rękę do brzucha, wzbierała w niej fala czułości, w której tonęły wszystkie strachy i która wlewała w nią optymizm. Na pewno zdoła przekonać zakonnice, żeby pozwoliły jej zatrzymać dziecko.

Ale Bridie była naiwna, wierząc, że jej życzenia zostaną wzięte pod uwagę.

Grace nie odmówiła pomocy Bertiemu. Gdy dowiedziała się o losie

dziewczyny, od razu zrozumiała sytuację i załatwiła sprawę ze skutecznością pułkownika brytyjskiej armii. Postanowiła na okres ciąży zatrudnić Bridie jako pokojówkę w swoim domu w Dublinie. Potem dziewczyny należało się dyskretnie pozbyć, a dziecko natychmiast oddać do adopcji. Grace stanęła na wysokości zadania; w końcu szczyciła się umiejętnością załatwienia każdej sprawy.

– Po porodzie zorganizuję ci wyjazd do Ameryki – zakomunikowała Bridie.
– Mój mąż i ja mamy wielu przyjaciół w Nowym Jorku. Już szukam dla ciebie posady. Rozpoczniesz nowe życie w nowym mieście. Zobaczysz, że to będzie ekscytujące doświadczenie. Jestem pewna, że twoja rodzina będzie z ciebie dumna.
– Grace zająknęła się, widząc przerażoną twarz dziewczyny. Światło gasnące z wolna w jej oczach świadczyło, że pragnęła zatrzymać dziecko. Ale to nie było zwykłe dziecko: to było dziecko Bertiego, i nic na świecie nie zdoła przekonać Grace, żeby jej na to pozwoliła. – Obawiam się, że w twojej sytuacji nie jesteś w stanie sama wychowywać dziecka – tłumaczyła. – Tak będzie lepiej dla was obojga. – Grace unikała jej wzroku. Nie mogła znieść widoku rozpaczony na twarzy Bridie. Ta dziewczyna, rówieśnica Kitty, sama była jeszcze dzieckiem. – Pewnego dnia mi podziękujesz – dodała, zanim pozostawiła Bridie pod opieką swojej gospodyni.

Bridie czuła się tak, jakby właśnie usłyszała wyrok śmierci.

*

Po wyjeździe Bridie lato zaczęło chylić się ku końcowi, nastąpiły deszczowe dni, liście z wolna opadały, zaścieniając grząską ziemię posępnym dywanem. Jesień wdzierała się w głąb łądy z podmuchami wiatru wzniesającego fale, które rozbijały się o klify i łomoczącego w zamkowe mury. Kitty spotykała się z Jackiem przy każdej sposobności, uważając jednak, by nie widziano ich razem. Ze względu na obawę dekonspiracji nie mogła dać się przyłapać na kontaktach z Irlandczykami podejrzewanymi o związki z IRA. Widywali się więc w tajemnicy przy Magicznym Kręgu, w jaskiniach przy Smuggler's Bay, w szklarniach Adeline, a ich ukradkowe pocałunki były cenniejsze niż kiedykolwiek. Byli jak mała wyspa otoczona przez wrogi ocean i nieprzyjacielskie okręty. Przywierali do siebie intensywnie, żyjąc chwilą, ponieważ żadne z nich nie śmiało wybiegać w przyszłość, która była ciemna jak noc.

W czerwcu obie strony zgodziły się na rozejm, jednak przemoc nie ustała, szczególnie na północy. Gdy Hubert przeczytał przy śniadaniu, że trzydziestu ludzi zostało zabitych w Belfaście, z niesmakiem rzucił gazetę na stół i wyszedł ze strzelbą, krzycząc w holu, że zabiera psy na spacer i biada każdemu shinersowi, który stanie mu na drodze.

W grudniu Kitty i Jack świętowali traktat angielsko-irlandzki. Podpisany w Londynie przez brytyjski rząd i irlandzką delegację uznawał Irlandię za

niezależne państwo, ale umożliwiał jej północnej części pozostanie przy Brytyjczykach, jeśli tego zechce tamtejsza ludność. I tak się stało. To oznaczało podział Irlandii na dwie części: niepodległe Południe i brytyjską Północ. Był to kompromis, a kompromisy nigdy nie zadowolają wszystkich. Wielu irlandzkich nacjonalistów uznało go za zdradę. Jednym z nich był Michael Doyle. Naciskał na Jacka, by przyznał mu rację, ale Jack był coraz bardziej zmęczony przemocą. Pogłębiająca się miłość do Kitty temperowała jego ochotę do dalszej walki. Wizja ustatkowania się i założenia rodziny była jak światełko w tunelu, maleńkie, ale kusząco połyskujące. Im bardziej na tej wizji się koncentrował, tym bardziej zdawała mu się realna. Zaczął marzyć o pokoju, żeby móc spacerować z Kitty po wzgórzach, trzymając ją za rękę na oczach wszystkich. Ale Michael nie zamierzał pozwolić mu tak łatwo się poddać.

*

W nocy, w Wigilię Bożego Narodzenia, Adeline usiadła na łóżku. Było ciemno jak w grobie, wiatr jęczał wokół zamkowych murów jak potępione dusze, choć zamkowe duchy były ciche. Serce biło jej szaleńczo; wyczuwała niebezpieczeństwo, którego jednak nie potrafiła zidentyfikować. Wstała i przez zimny pokój podeszła do okna. Odślonięcie zasłon niczego nie dało; na szkle zobaczyła jedynie odbicie własnej postaci w koszuli nocnej i swojej pobludłej twarzy, która wpatrywała się w nią z niepokojem. Westchnęła ciężko, zastanawiając się, czy obudzić Huberta. Słyszała głośnie chrapanie dochodzące z sąsiedniej sypialni. Jego płuca były jak miech głęboko zasysający powietrze. Nagle ogarnęło ją pragnienie, żeby zwinąć się obok niego w kłębek, tak jak dawniej, gdy byli młodzi i zakochani. Chciała znaleźć pocieszenie w ciepłe jego dużego ciała pachnącego cygarami, whisky i psami. Cóż, nie była pewna, czy uda jej się zasnąć w takim hałasie. W końcu wślizgnęła się z powrotem do własnego łóżka i skuliła pod kocami. Zamknęła oczy, ale serce nie chciało się uspokoić, pomimo pozytywnych myśli, które w siebie wlewała.

Kitty leżała w łóżku z otwartymi oczami. Sowa pohukiwała wśród wichru, który brzmiał jak pisk bażanta gdzieś głęboko w lesie. Kitty zadrżała. Poczula skurcz w żołądku z powodu jakiegoś osobliwego niepokoju. Leżała wpatrzona w sufit, bezskutecznie starając się znaleźć jego przyczynę. A potem powoli zdała sobie sprawę z czyjejś obecności w pokoju. Wytężyła wzrok; gdy oczy przyzwyczyły się do ciemności, zorientowała się, że to nie żywy człowiek, ale duch, który zdecydował się ją odwiedzić. Usiadła i wpatrywała się w stojącą przed nią mglistą postać. Gdy stawała się coraz wyraźniejsza, rozpoznała Tomasa Doyle'a, ojca Bridie. Emanował nikłym przyćmionym światłem, jakby usilnie się starał tu pozostać, a na jego twarzy malował się wielki niepokój. W rękach trzymał czapkę, jego dobrotliwe oczy patrzyły na nią niezwykle intensywnie. Nie

pojmowała, co ze wszystkich sił chciał jej przekazać. W końcu zaczął blednąć, ale zanim całkiem zniknął, z frustracją wskazał palcem na okno.

Kitty włożyła szlafrok i podeszła do okna. Rozsunęła ciężkie zasłony i wpatrywała się w ciemność. Ku swemu zaskoczeniu dojrzała blask, jakby świt zaczynał wstawać po złej stronie nieba. Patrzyła na dziwne zjawisko zdezorientowana. Był przecież środek nocy. Potem poczuła dym. Pojawił się nagle, bardzo wyraźnie, niesiony wiatrem jak mgła od morza, na tyle gęsta, żeby połknąć całe statki. W panice wybiegła z pokoju i popędziła korytarzem; z każdym krokiem czuła coraz mocniejszy zapach dymu. Wbiegła na strych Hunting Lodge i wyjrzała przez okno. Ponad linią drzew widniała jasnożółta poświata, tak sugestywna, jakby niebo stało w ogniu. Nieprzytomna ze strachu zdała sobie sprawę, że pali się zamek.

Adeline poczuła swąd, zanim wyczuła duchy tłoczące się w jej sypialni. Gdy otworzyła oczy, okazało się, że w pokoju jest ich pełno; wszystkie naraz przybyły, żeby ją obudzić.

– Zamek płonie! – krzychały.

Adeline wyskoczyła z łóżka. Pospieszyła do pokoju Huberta. Serce biło jej tak głośno, że ledwie słyszała chrapanie męża.

– Hubercie, obudź się! W zamku wybuchł pożar. Musimy uciekać!

Hubert stęknął głośno i otworzył oczy. Spojrzał na żonę z przerażeniem.

– Co się dzieje, kobieto?

– Zamek! Zamek płonie! – krzychała.

Hubert skoczył na równe nogi i zarzucił na siebie szlafrok. Dym już wślizgiwał się pod drzwi jak złowieszczy wąż. Chwycił ręcznik i zamoczył go wodą z dzbanka, stojącego na toalecie.

– Przytknij do nosa, moja droga – powiedział, wciskając go żonie do rąk. Znalazł drugi dla siebie, otworzył drzwi i rozplłynęli się w kłębach dymu.

Zbiegali po schodach w ogłuszającym hałasie płomieni i trzaskach palącego się i pękającego drewna. Sprowadziwszy Adeline na dół, Hubert powiedział, że musi wracać, żeby ratować Krzaczkę. Adeline patrzyła, jak wbiega na schody, a gdy zniknął w kłębach dymu, jego duże ciało nagle wydało się małe i zatrważająco kruche. Teraz już wszyscy mieszkańcy zamku oraz psy Huberta, które niespokojnie rozglądały się za swoim panem, wylegli na wyżwirowany dziedziniec przed zamkiem. O'Flynn, Skiddy i pokojówki wpatrywali się w płonącą budowlę, ich twarze były złotawe w blasku ognia, usta rozdziawione, a w oczach błyszczały łzy na widok płomieni buchających za szklanymi oknami, jakby Adeline wydawała najświetniejsze ze swoich przyjęć.

Adeline zastygła, drżąca i bezradna. Nic nie można było zrobić. Nawet hektolitry wody nie stłumiłyby takiego pożaru. Stary zamek płonął jak pudełko zapalek, i mogła się tylko modlić za Huberta i swoje siostry.

Wpatrzona we frontowe drzwi, nie zauważyła Bertiego, Kitty i służby z Hunting Lodge, biegnących ku nim z pomocą. Bertie, niepomny na krzyki Kitty, popędził do środka. Nagle pojawiły się wiadra z wodą i wszyscy razem – domownicy i lojalna służba – zaczęli oblewać nią mury. Utworzyli łańcuch, podając sobie wiadra z rąk do rąk – ale ich starania zdawały się na nic. Nie udało się zdusić nawet najmniejszych płomieni. Wiedzieli, że to beznadziejne, a jednak kontynuowali gaszenie. Nie mogli beczynn timer stać i patrzeć, prócz Adeline, która wiedziała, że tylko Bóg może im pomóc.

Przez niepokojąco długi czas drzwi wejściowe spowijał gęsty dym. Płomienie sięgały coraz to wyżej i wyżej, swąd był niemiłosierny, aż w końcu niepodobna było go znieść; zgromadzeni wokół ludzie przestali lać wodę i wycofywali się, kaszląc w mokre ręce. Żar był tak upiorny, że spocili się, choć grudniowa noc była wyjątkowo mroźna.

Wreszcie Bertie wyłonił się z kłębow dymu, z Krzaczkami po bokach – przyduszony, trzęsący się, przerażony, ale żywy. Adeline ogarnęła fala ulgi. Ale gdy dostrzegła, że to Bertie, a nie Hubert, nogi ugięły się pod nią i padła na ziemię. Nawet nie zauważyła, że jej syn wszedł do środka.

Kitty natychmiast do niej podbiegła.

– Babciu! – Objęła ją ramionami, ale nie potrafiła znaleźć słów pocieszenia.

– Gdzie jest Hubert? – wyszeptała Adeline. – Mój Hubert! Gdzie on jest?

Ale przecież już wiedziała. Wyczuła, że Hubert odszedł.

Rozdział 21

Świt krwawił na wschodzie, ale czerwień i złoto niebios były niczym w porównaniu do złowieszczej łuny unoszącej się nad Castle Deverill. Teraz już większość mieszkańców Ballinakelly przybyła z pomocą. Protestanci i katolicy, policja i członkowie brytyjskich sił wojskowych, wszyscy razem, znaleźli się na miejscu zdarzenia. Po terenie kręciło się mnóstwo ludzi, ale nikt nie zdołał wejść do ruin, żeby odnaleźć Huberta. Adeline zabrano do Hunting Lodge. Bertie pozostał w zamku. Kitty rozglądała się za Jackiem. Sean przybył wraz z matką, ale nigdzie nie widziała ani Jacka, ani Michaela.

Kitty została z babcią, aż ta zasnęła w jej łóżku. Lekarz podał jej laudanum, po którym zamknęła oczy jak dziecko i zapadła w dobroczynny sen. Kitty przebrała się i pospieszyła do stajni; osiodłała konia i nie mówiąc nikomu ani słowa, pogalopowała przez wzgórze do Ballinakelly. Zanosiło się na burzę. Widziała purpurowe chmury zbierające się nad horyzontem jak flota czarnych statków gnanych złowieszczym wiatrem. Instynkt nakazywał zawrócić, ale rozpierał ją tak wielki gniew, że zignorowała wewnętrzne ostrzeżenia i galopowała dalej.

Dotarła do farmy Doyle'ów, przywiązała konia do słupa i jak burza wpadła do domu.

– Michaelu Doyle! – krzyknęła. – Michaelu Doyle! Nie bądź tchórzem i wyjdź!

Ogień z poprzedniej nocy dogorywał w palenisku. Fotel starej pani Nagle był pusty. Raptem drzwi się otworzyły i stanął w nich Michael, jego potężna postać przytłaczała niewysoki otwór. Twarz miał pociemniałą, mokrą od potu. Unosiła się wokół niego woń ropy i aura niebezpieczeństwa. Rękami brudnymi od sadzy potarł zarośniętą szczękę.

– Witaj, Kitty. Co za miła niespodzianka. – Ale w jego głosie nie słyhać było radości.

– Ty morderco! – wysyczała histerycznie. – Podпалиłeś mój dom! Zabiłeś dziadka... mojego ukochanego, słodkiego dzie... – Przełknęła ból, starając się opanować. – Zapłacisz za to!

Michael zdjął czapkę i cisnął ją na stół. Czarne loki opadły mu na twarz, odgarnął je brudną dłonią.

– Nie zamierzałem nikogo zabijać, ale nie można upiec ciasta, nie rozbijając jajek.

Kitty wpatrywała się w niego z obrzydzeniem.

– Czy ty nie masz sumienia? Zamordowałeś niewinnego człowieka.

– Zamierzałem spalić dziedzictwo twojego ojca – powiedział, a jego twarz pociemniała z nienawiści. – Jeśli zadałem mu cios w serce, tym lepiej. Twój dziadek? To tylko cena za naszą walkę.

– Ryzykowałam życie dla tej walki i tak mi odpłacasz? Co masz przeciwko mojemu ojcu? Zawsze był dobry dla ciebie i waszych ludzi!

Michael podszedł do niej i pochylił nad nią twarz tak blisko, że czuła bijący od niego odór alkoholu i wojowniczą wściekłość wysysającą powietrze z całej izby i kradnącą jej oddech.

– Pytasz, co mam przeciwko twojemu ojcu?

– Tak – odparowała, prostując się na całą wysokość.

– Udajesz czy naprawdę nie wiesz? – Patrzył na nią ze złością, ale wytrzymała jego spojrzenie i odpłaciła mu takim samym.

– Nie, nie wiem. Lepiej mi powiedz.

– Zgwałcił moją siostrę.

Te słowa uderzyły Kitty tak mocno, że aż się zachwiała.

– Zgwałcił Bridie? – Zachłysnęła się własnym oddechem.

– Tak.

– Kłamiesz! Mój ojciec nie jest gwałcicielem.

– Doprawdy? – Michael roześmiał się szyderczo. – A więc dlaczego Bridie jest w Dublinie, ciężarna jak maciora?

– Bridie jest w ciąży? – Kitty złapała się wpół, jakby Michael wymierzył jej cios pomiędzy żebra.

– Jak myślisz, dlaczego ją wysłał do Dublina?

– Powiedziała, że znalazł jej pracę... – Ale Bridie złamała obietnicę i nigdy do niej nie napisała. Kitty była tak zajęta Jackiem i szmuglowaniem broni, że nie zadała sobie trudu, by się nad tym zastanawiać.

– Wysłał ją do Dublina, żeby się jej pozbyć, ponieważ ją pohańbił, a gdy położył na niej ręce, obraził naszą rodzinę i naszych ludzi. Dlatego spaliłem zamek. Zemściłem się za moją rodzinę, z pomocą boską!

– Nie wierzę ci! – Ale Kitty straciła pewność siebie.

– To go spytaj! – Cofnął się i mimochodem zdjął marynarkę. Potem zaczął rozpinąć koszulę. – Nie sądzę, żebyśmy mieli sobie jeszcze coś do powiedzenia, nieprawdaż? Lepiej już idź i polej trochę wody na tę waszą fortecę, co zresztą na niewiele się zda.

– Ty sukinsynu! – krzyknęła. – Nie ujdzie ci to na sucho! Doniosę policji i cię powieszają!

– A więc powieszają też Jacka.

Kitty pobladła.

– Jacka? Co on ma z tym wspólnego?

– On też bierze udział w spisku. Gdy cała policja gasi w zamku ogień, on

kradnie broń i przewozi ją do kryjówki. Oczywiście, jeśli nie złapią go po drodze. A mam dziwne przeczucie, że zostanie złapany. – Uśmiechnął się do niej pełną gębą.

– Jak mogłeś! – Kitty poczuła się, jakby otrzymała cios w splot słoneczny. – To nie ma nic wspólnego z moim ojcem czy Bridie, prawda? Tu chodzi o mnie!

– Nie schlebiaj sobie, Kitty Deverill. Nie jesteś w moim typie. – Zdjął koszulę, odsłaniając doskonale ciało człowieka nawykłego do pracy fizycznej. – A teraz, jeśli łaska, muszę się umyć, zanim babcia wróci z mszy.

– Zastawiłeś pułapkę na Jacka, bo nie możesz znieść, że kocham jego, a nie ciebie! – Zaczęła się histerycznie śmiać, poddając się gorączce emocji, które się w niej kotłowały z powodu wojny, pożaru i szaleńczej miłości. – Jesteś żalonym śmieciem, a nie mężczyzną, Michaelu Doyle. Jack wart jest dziesięciu takich jak ty!

Twarz Michaela stwardniała. Nagle dotarło do niej, że jej pożąda. Na swój własny pokręcony sposób prawdopodobnie nawet ją kocha!

– Zabijanie i podpalanie domów nie uczyni z ciebie mężczyzny – perorowała. – Nigdy! Nigdy nie będziesz takim mężczyzną, jakim był twój ojciec, i ani nawet w połowie takim, jaki jest Jack!

Za późno zrozumiała, że posunęła się za daleko. Atmosfera zgęstniała. Ściemniło się, gdy fioletowe chmury zamknęły się nad domem. Lodowaty wiatr wdzierał się spod drzwi. Michael złapał ją ręką za gardło.

– Pokażę ci, jakim jestem mężczyzną – wychrypiął z diabolicznym wyrazem w oczach.

Rzucił ją na stół, przyciskając jej nos do drewna i raniąc policzek. Walczyła, żeby się uwolnić, ale tak ją przygwoździł, że nie mogła poruszyć głową. Drugą ręką zadarł jej spódnice. Ogarnęła ją panika. Wierciła się, zwijała i waliła pięściami w stół, ale była bezsilna. Brutalnie rozpostarł jej nogi kolaniem i zdarł z niej bieliznę, jakby była z papieru. Próbowwała krzyknąć, ale żaden dźwięk nie wydobywał się z jej ust. Jej umysł sparaliżował strach. Potworny, duszący strach, który zacieśniał się wokół niej, odbierając jej siły. Z trwogą zdała sobie sprawę, że zamierza zrobić jej to, co jej ojciec zrobił Bridie, i że nie zdoła go powstrzymać. Zastygła z przerażenia, gdy coś twardego wciskało się pomiędzy jej nogi, a potem weszło w nią z niesłychaną brutalnością. Dźgało ją głęboko, rozrywając ją i sprawiając ból. Nagle zapiszczała, ale on wydawał się tego nie słyszeć. Dyszał gwałtownie, wybałuszone czarne oczy utkwilił gdzieś w przestrzeni, gdy wbijał się w nią znów i znów, szybciej i szybciej, głębiej i głębiej, torując sobie drogę z całą siłą swojego potężnego ciała, jakby w jakiś perwersyjny sposób uznał, że poprzez ten akt przemocy będzie należeć do niego. Zamknęła oczy, starając się myśleć o szklarni na wiosnę, ale widziała tylko, jak jej ojciec wciska się w Grace. A potem Grace przybrała postać Bridie. Kitty otworzyła oczy i zaczęła płakać.

Gdy skończył, wycofał się i zaczął zapinać spodnie. Kitty odepchnęła się od stołu. Gdy wstała, poczuła, że ciepła strużka krwi spływa jej po nogach; kolana się pod nią ugięły w nagłym przypływie bólu i wyczerpania. Ale lata tłumienia uczuć nauczyły ją samokontroli. Starannie wygładziła spódnicę i pomimo ponizenia starała się zachować godność. Gdy podniosła oczy, zobaczyła, że Michael jest równie przerażony jak ona. Wpatrywał się w nią w milczeniu, nieruchomo, jakby wrósł w ziemię, oszołomiony własnym postępkiem.

– Mam nadzieję, że jesteś usatysfakcjonowany, Michaelu Doyle – powiedziała zaskakująco spokojnym głosem. Patrzył na nią ze strachem, jakby w jej oczach dostrzegł coś naprawdę zatrważającego. – Biorę Boga na świadka, będziesz tego żałował przez resztę życia. Powinieneś mnie zabić. Zamiast tego stworzyłeś furie, która będzie cię ścigać aż po wrota piekieł i jeszcze dalej. Nie masz pojęcia, do czego zdolna jest zraniona kobieta. Tak, pożałujesz, że mnie nie zabiłeś! – Podniosła porwaną bieliznę, wyprostowała ramiona i z uniesionym podbródkiem opuściła dom.

Ledwie zatrzasnęła drzwi, a ogarnęła ją fala mdłości. Zaczęła się w żołądku, a potem podeszła do gardła. Kitty złapała się za brzuch, zgięła w pół i zwymiotowała na trawę. W obawie, by Michael nie napawał się jej słabością, mocno zacisnęła usta, naprężyła każdy mięsień szyi, aby zdławić cierpienie, i zataczając się, podeszła do konia. Dopiero po trzech próbach udało jej się znaleźć w sobie tyle siły, żeby wskoczyć na siodło. Potrząsając wodzami, galopowała przez pola najszybciej, jak zdołała ją unieść klacz, przy każdym podskoku krzywiąc się z bólu.

Dopiero daleko od farmy Doyle'ów dała upust swemu cierpieniu. Zawyla głośno z taką furią, jakby rzucała wyzwanie samej Banshee. Po policzkach wartkim strumieniem spływały jej łzy. Żałowała, że nie wbiła mu sztyletu w serce.

Pojechała do Magicznego Kręgu i tam zsiadła z konia. Stała pośrodku koła z kamieni, gdzie tak często spotykała się z Jackiem, i pozwoliła, żeby deszcz koił jej udręczoną duszę. Oprócz ponizenia, którego przed chwilą doznała, utraty rodzinnego domu, śmierci ukochanego dziadka oraz wstrząsu na wieść, że jej ojciec zgwałcił Bridie, która nosi teraz jego dziecko, drżała o swój związek z Jackiem. Czy to, co się stało, zrujnuje jedyną rzecz, która jest dla niej cenna? Czy teraz jest dla niego zepsuta? Czy będzie dla niego dość dobra?

Przez godzinę chodziła po przemoczonej ziemi, aż trawa pod jej stopami zmieniła się w błoto, a ona sama, przemoczona do suchej nitki, zaczęła trząść się z zimna. Kiedy już wypłakała wszystkie łzy, odzyskała oddech i tę część siebie, która zawsze w niej tkwiła jak cicha spokojna głębia pod spienionymi falami oceanu. W końcu uleczył ją urok otoczenia – fascynującej, dzikiej, nieustająco pięknej Irlandii. Delikatna mżawka, krzyk mew niesiony z oddali, bezlitosny wiatr smagający wybrzeże i tajemnicze megality stojące tu od setek lat; te wartości

cenila, ponieważ były niezmiennie i nikt jej ich nie mógł odebrać.

Nad morzem zawisła gęsta mgła, a odgłos fal rozbijających się o skały przynosił ukojenie. Kitty zamarła, wpatrzona w tę mgłę i wsłuchana w odgłosy, które знаła i kochała przez całe życie. Poczowała zadziwiający spokój, jakby delikatne muśnięcie anielskich skrzydeł. Poddała się urokowi chwili, a wtedy jej umysł doświadczył cudownego katharsis, serce się otworzyło i gdzieś jakby spoza niej nadeszło źródło siły.

Dosiadła konia i skierowała się do domu, a raczej do tego, co z niego pozostało. Ale już wiedziała, że da sobie radę. Michael zbeczczył jej ciało, ale nie tknął jej ducha, nadal rządziła swoim umysłem; zatrzaśnie złe wspomnienie i wyrzuci klucz.

Jeśli jej ojciec zgwałcił Bridie, dlaczego ścisła jego chusteczkę jak najdroższy talizman? – rozmyślała. Nie, Bridie na pewno z własnej woli mu uległa. Ale mimo wszystko nie wybaczy ojcu, że wykorzystał sytuację. A dziadek, cóż, nie żył, uwięziony teraz wraz z innymi niespokojnymi duchami dziedziców Castle Deverill. Michael podpalił zamek i zabił jego pana. A co z dewizą: „Zamek Deverilla jest jego królestwem”? Rodzina powtarzała to motto jak mantrę, ale Kitty teraz w nie zwątpiła. Cóż znaczy w tych okolicznościach? Wszystko obróciło się w popiół. Deverillowie stracili swą moc.

Po chwili zrozumiała, że Michael Doyle odkrył źródło jej siły i w ten ohydny sposób usiłował je zniszczyć. Ale nie osiągnął celu. Paradoksalnie tylko ją wzmocnił.

Teraz była warta swojego nazwiska.

*

Zamek nadal się dopalał. A kiedy w końcu deszcz ugasił tłące się ruiny, pozostała nienaruszona jedynie zachodnia wieża i zewnętrzne kamienne ściany. Zdawało się, że tę część budowli ochroniła jakaś nadnaturalna siła, ponieważ pokój, w którym rezydował Barton Deverill, pozostał nietknięty, a nawet nie czuło się tu dymu. Adeline uparła się, żeby tam pozostać, twierdząc, że nawet „cholerni shinnersi” nie oddzielą jej od ducha Huberta, który teraz nawiedzał wieżę wraz ze wszystkimi swoimi nieszczęsnymi przodkami. Krzaczki obawiały się, że zwariowała. Bertie z kolei bał się, że wieża się zawali, i błagał matkę, żeby przeprowadziła się do Hunting Lodge. Tylko Kitty jak zwykle rozumiała swoją babcię lepiej niż reszta rodziny. Czerpała więc jak zawsze pocieszenie z jej obecności, teraz w wieży, gdzie płonął ogień w kominku, a Adeline, siedząc wygodnie w fotelu Bartona, popijała herbatkę z marihuany i rozmawiała z mężem, jakby nadal był z krwi i kości. Hubert przestał narzekać na sytuację w kraju, skarżył się natomiast na inne duchy, że były tak bezczelne i wchodziły do wieży, którą on uznał za swoją.

Kitty dowiedziała się wkrótce od Grace, że Michael i Jack się ukrywają. Jack został przyłapany na przewożeniu kradzionej broni do bezpiecznej kryjówki w Ballinakelly, ale wyrwał się dwóm policjantom z Oddziałów Pomocniczych i uciekł na wzgórza. A za Michaeliem wystawiono nakaz aresztowania za podpalenie. Grace zakładała, że ukrywają się razem i że na pewno się odezwą, gdy będą w stanie się z nimi skontaktować.

– Mamy przyjaciół w całym kraju, Kitty. Jack i Michael wyjdą z tego cało, obiecuję ci.

– Michael Doyle może zgnić w piekle, jeśli o mnie chodzi – odparła Kitty, a jad w jej głosie sprawił, że Grace aż się zdrygnęła.

– Moja droga, chyba nie myślisz, że to on jest odpowiedzialny za podpalenie zamku?

– On jest potworem, Grace – odparła Kitty z pasją. – Zdradził Jacka i spalił mój dom.

Grace zeszywniała. Położyła rękę na ramieniu Kitty i zacisnęła ją mocniej, niż zamierzała.

– Michael jest winien wielu okropnych rzeczy – powiedziała czułym głosem. Kitty była zaskoczona, że Grace nie dostrzega brutalności Michaela. – Ale mylisz się, jeśli uważasz, że miał z tym coś wspólnego.

– On to zrobił, Grace. Wiem, że to zrobił! – upierała się Kitty. – Zdradził Jacka...

Oczy Grace wypełnił strach.

– Mylisz się – przerwała stanowczo. – Przypuszczam, że emocje przyćmiły twój osąd sytuacji. Michael jest... dziki, silny, czasem trochę jak słoń w składzie porcelany, ale niezachwianie lojalny, Kitty. Zapewniam cię, że gdy dowie się, kto zniszczył Castle Deverill, winowajca zostanie srogo ukarany. Nikomu nie zależy na tym bardziej niż Michaelowi. A co do Jacka, to był, ot, niefortunny zbieg okoliczności. Na szczęście uciekł i teraz już przebywa w bezpiecznym miejscu. Musisz mi wierzyć.

Intuicja mówiła Kitty co innego. Ale zbyt wstydziła się za własnego ojca i tego, co wydarzyło się na farmie Doyle'ów, żeby powiedzieć Grace prawdę. Wątpliwe zresztą, by Grace jej uwierzyła. Ona po prostu nie chciała jej uwierzyć. Cóż, upór, z jakim broniła Michaela, świadczył, że obchodził ją bardziej, niż powinien.

*

Pogrzeb Huberta stał się prawdziwym requiem dla anglo-irlandzkiej społeczności. „Jesteśmy głęboko poruszeni z powodu przedwczesnej śmierci naszego drogiego starego przyjaciela lorda Deverilla z Ballinakelly, znanego wszystkim jako Hubert” – pisał Viscount Castlerosse na łamach „Expressu”.

„Nawet w Londynie nikt nie mówi o niczym innym, od restauracji w hotelu Ritz po salony w Mayfair. Wzięłem udział w ceremonii pogrzebowej”...

Maud płakała nie tylko z żalu za Hubertem, lecz także nad utraconym dziedzictwem. Jak teraz z godnością będzie nosić głowę w londyńskim towarzystwie, gdy z jej zamku pozostały zgliszcza? Wszyscy spodziewali się, że Bertie, nowy lord Deverill, porzuci swoje irlandzkie dobra i osiadzie w Anglii, tak jak wielu przed nim. Maud, obecnie lady Deverill, przybyła do Ballinakelly na pogrzeb Huberta, ale Harry pozostał w Londynie. Nie był pewien, czy znieśie widok rumowiska i... Josepha, swej pierwszej nieprzemijającej miłości. Victoria, która zaszła w końcu w ciążę, wysłała do babci list z kondolencjami na papierze z wytłoczonymi na złoto inicjałami V.E., ale nie chciała narażać się na trudy żeglugi przez Morze Irlandzkie. Natomiast Elspeth, będąca w zaawansowanej ciąży, przyjechała ze swoim mężem Peterem. Może nie mieli zbyt wiele pieniędzy, ale przynajmniej ich zamek nadal stał na swoim miejscu.

Stoke i Augusta odważyli się na podróż wraz z Digbym, Beatrice i Celią. Mimo okropności spadających na rodzinę trzymali wysoko uniesione głowy.

– Jesteśmy Deverillami, kochana Celio – powiedział Digby do córki, gdy irlandzkie wybrzeże wyłoniło się z mgły. – Musimy wspierać naszą rodzinę i pokazać shinnersom, że nas, Deverillów, nie złamie ani nie zastraszy ich przemoc. Zamek Deverillów jest naszym królestwem – zakończył.

Beatrice wpatrywała się w zielone wzgórza, przypominając sobie uroczne wakacje w Castle Deverill, które nieubłaganie odeszły w przeszłość, i serce krajało jej się z nostalgii i nagłego bólu z powodu utraty ukochanego George’a, który uwielbiał to miejsce tak samo jak ona.

Pogrzeb, dostojna, pełna smutku i powagi ceremonia, stał się tym bardziej przygnębiający, że dzień był zimny i mżyło. Przed kościołem Świętego Patryka zgromadzili się mieszkańcy Ballinakelly, żeby oddać hołd zmarłemu. Nawet najbardziej zagorzali zwolennicy Sinn Féin nie mogli pogodzić się z zabójstwem lorda Deverilla, choć niektórzy uważali, że zamek jako bastion brytyjskiego panowania powinien być zmieciony z powierzchni ziemi. Pani Doyle, pani Nagle i Sean trzymali się z tyłu, ponieważ domyślali się, że Michael maczał palce w tej zbrodni. Ten niegodziwy czyn kładł się na nich ogromnym ciężarem – tak samo jak niepewność własnego losu, podstawy życia pani Doyle legły bowiem w gruzach wraz z zamkiem.

Celia stwierdziła, że jej kuzynka Kitty bardzo się zmieniła. Szelmstwo zniknęło z jej oczu, a jego miejsce zajęła chłodna rezerwa. Celia zatęskniła za czasami, gdy były sobie bliskie jak siostry. Wyglądało na to, że obie dorosły, ich drogi się rozeszły, a wspólnie spędzane dzieciństwo należało do innego życia i zupełnie innych ludzi. Celia nie mogła zrozumieć, dlaczego Kitty nie chce wrócić z nią do Londynu.

– Dobrze byśmy się bawiły – przekonywała z entuzjazmem. – Odbywa się dużo przyjęć i wielu przystojnych mężczyzn wpada do nas z wizytami. Prawdziwa karuzela rozrywek! A ja przedstawię cię wszystkim. Będziesz ozdobą Londynu, Kitty. Proszę, obiecaj, że przyjedziesz.

Na samą myśl o porzuceniu Irlandii Kitty czuła taki ból, jakby wrywano jej serce.

– Tu jest moje miejsce – odparła, a poważny wyraz jej twarzy uświadomił Celi, że żadne perswazje nie wpłyną na zmianę jej postanowienia.

– Przynajmniej się nad tym zastanów, dobrze? Co cię tu trzyma, Kitty? Zamek leży w gruzach. – Wzięła Kitty za rękę, a widząc jej nagle pobladłą twarz, zaciśnięte szczęki i gniewny błysk w oku, jakże przypominający dawną Kitty, dodała: – Twój przyjazd do Londynu nie oznacza, że przestaniesz być Irlandką. Ale musisz zastanowić się nad swoją przyszłością. Znajdziesz bogatego męża, a wtedy będziesz mogła odbudować zamek. – Uśmiechnęła się pocieszająco.

– Nie obchodzi mnie, czy kiedykolwiek wyjdę za mąż, Celio. Będę szczęśliwa, jeśli pozostanę tu do końca moich dni. A teraz jestem potrzebna babci. Siedzi sama w tej wieży i nikt jej nie odwiedza. Wszyscy się boją, że wieża się zawali, ale babcia nie chce o tym słyszeć. Tylko ja jej zostałam... – Kitty westchnęła, a Celia poczuła ciężar tego oddechu, jakby wydechane powietrze było ciałem stałym. – Krzaczki wróciły do siebie, ale prawie nie wychodzą z domu ze strachu, że ktoś zrobi im krzywdę. Jeśli ktoś z nas powinien wyjechać do Anglii, to na pewno one. Ale one też nie chcą. Widzisz, Celio, jesteśmy Irlandkami. Wszyscy tutaj jesteśmy Irlandczykami. Anglia nie jest naszym domem i nigdy nie będzie. Wolę raczej umrzeć tu, na irlandzkiej ziemi, niż żyć w Londynie, tęskniąc za swoim domem.

– Twoja matka...

– Moja matka nigdy nie lubiła Irlandii – przerwała jej ostro Kitty. – Mnie też nie lubiła. Zawsze lubiła tylko siebie, co się dobrze składa, bo przynajmniej jedna osoba ją lubi. Nie sprawi mi żalu, jeśli już nigdy jej nie zobaczę.

Celia straciła dech z wrażenia.

– Kitty, na pewno nie masz na myśli...

– Wiesz, że mówię prawdę, Celio. Mam nadzieję, że wyjedzie do Anglii i nigdy nie wróci.

Serce Celi wezbrało współczuciem, ponieważ Kitty, pomimo wysiłku, żeby wyglądać na silną, nagle sprawiła wrażenie samotnej i opuszczonej.

– Och, Kitty, masz teraz w sobie tyle złości – westchnęła Celia. – I jesteś taka samotna...

– Nie jestem samotna. W żadnym wypadku. Mam Irlandię, a Irlandia jest bardziej stała niż przyjaźń większości ludzi.

Celia zrozumiała, że z powodu rozpacz i gorczy Kitty bardzo się od niej

oddaliła. Nie mogła zrobić nic, żeby jej pomóc.

*

Po wyjeździe gości w Castle Deverill pozostali tylko Bertie, Adeline i Kitty oraz kilkoro służby. Bertie zamierzał również wyjechać do Londynu. Na razie jednak martwił się o matkę. Staruszka, jego zdaniem, oszalała, przesiadując w zamkowej wieży, mówiąc do siebie i pijąc to odurzające zioło, które nazywała lekarstwem. Zajęty sprawą testamentu ojca oraz ratowaniem cennych przedmiotów z ruin zamku, nie zauważył chłodnego nastawienia do siebie własnej córki. Gdy mógł na chwilę oderwać się od bieżących spraw, rozmyślał o Grace. Była dla niego ogromnym wsparciem, dyskretnie i skutecznie zajęła się pokojówką podczas jej ciąży i narodzin syna. Po pożarze często się widywali. Sir Ronald stale wyjeżdżał, a więc gdy tylko nadarzyła się okazja, jadali wspólnie kolacje. Chociaż nie byli już kochankami, pozostali przyjaciółmi. Był jej za to ogromnie wdzięczny.

Kitty z niepokojem czekała na wieści od Jacka. Pięć razy dziennie podchodziła pod mur i sprawdzała, czy nie zostawił wiadomości, ale znajdowała jedynie własny zawilgotniały list. Nie płakała jednak i nie porzucała nadziei. Wyobrażała sobie, że Jack ukrywa się wśród wzgórz i modliła się, żeby jacyś dobrzy ludzie dawali mu strawę i ciepłe łóżko. Gdy w końcu dostała miesięczki, odetchnęła z niewyobrażalną ulgą. Wreszcie mogła odsunąć od siebie tamto przerażające wspomnienie. Ale w głębi duszy bała się, że Jack wyczuje w niej jakąś różnicę i że to go od niej odrzuci.

Nieoczekiwanie, pewnego styczniowego poranka, zamiast liściku, zastała Jacka we własnej osobie, ukrywającego się za murem. Wpatrywała się w niego z niedowierzaniem. Potem jej oczy wypełniły łzy i wreszcie pozwoliła sobie na długo tłumiony płacz. Bez słowa przeskoczył przez mur, wziął ją w ramiona, mocno uściśnął i przyłożył usta do jej skroni. Płakała z powodu utraconej cnoty i z żalu, że Jack nie będzie jej pierwszym mężczyzną. Płakała również dlatego, że nigdy nie odważy się mu o tym powiedzieć.

Jack był przekonany, że płacze z powodu spalonego domu oraz śmierci dziadka. Przytulił ją mocniej, czekając, aż się trochę uspokoi. Po dłuższej chwili odsunął się od niej i zajrzał jej głęboko w oczy.

– Przyjechałem po ciebie, Kitty. Chcę, żebyś ze mną uciekła. Możemy zacząć nowe życie razem, gdzieś daleko, daleko stąd, gdzie nikt nas nie znajdzie. Chcę się z tobą ożenić, mieć z tobą dzieci. Chcę się z tobą zestarzeć. – Kitty nie mogła wykrztusić słowa. – Kocham cię, Kitty Deverill. Kocham cię całym sercem. Ale tu nie będziemy szczęśliwi. Musimy wyjechać. Tam, gdzie nie dosięgnie mnie prawo i gdzie twoja rodzina ciebie nie odnajdzie. Tam, gdzie możemy być wolni.

– Dokąd? – spytała Kitty. Serce waliło jej tak mocno w piersi, że ledwie słyszała własne słowa.

– Do Ameryki.

Była oszołomiona.

– Chcesz porzucić Irlandię?

– Aż sytuacja się uspokoi. Chcę, żebyśmy żyli normalnie. Tutaj to niemożliwe.

– A co z Irlandią? Co z naszą walką?

– To już koniec, Kitty. Akceptuję traktat. Nie chcę więcej przemocy. Pragnę żyć w pokoju, z tobą.

– Nie mogę zostawić babci... Nie mogę zostawić domu. – Powiodła rozpaczliwie smutnym wzrokiem po ogrodach.

– Popatrz na mnie, Kitty. – Zrobiła, co jej kazał. – Nic tu nie zostało. Zamku już nie ma. Musimy wyjechać. Muszę uciec, zanim mnie złapią i rozstrzelają.

Wizja Jacka stojącego przed plutonem egzekucyjnym zawładnęła jej wyobraźnią z groźną wyrazistością.

– Zgoda, wyjadę z tobą, ale tylko na jakiś czas. Muszę mieć pewność, że tu wrócę. – Znow się rozplakała. – Proszę, zapewnij mnie, że wrócimy.

– Obiecuję, że wrócimy.

– Wyjadę z tobą – zgodziła się cicho.

– Dobrze. Pojutrze z Queenstown wypływa statek. Wyjedziemy o świcie rannym pociągiem. Wszystko jest zorganizowane.

– Jak?

– Przez wysoko usytuowanych przyjaciół. Zaufaj mi. Mam dwa bilety i osobę, która za nas poręczy, gdy dotrzemy na miejsce.

– Ja nie mam nic, Jack. Żadnych pieniędzy...

– Masz mnie. – Znow ją przytulił. – Masz mnie, Kitty, i tylko to ci jest potrzebne. – Uśmiechnął się do niej zawadiacko, a jego pewność siebie dodała jej otuchy. – Spotkamy się tu jutro o szóstej rano. Nie spóźnij się.

Wracając w pośpiechu do Hunting Lodge, odkryła, że cała drży. Jack wrócił, ale jej serce waliło z przerażenia, nie z radości. Nie przewidywała opuszczenia Irlandii. Spojrzała na ruiny zamku. Tak, Celia miała rację. Nic już tu dla niej nie zostało. Ale nadal nie wiedziała, czy starczy jej sił na ucieczkę. Jej serce się wykrwawi... Bez Irlandii nie będzie sobą.

Zwolniła kroku. Jej pierś przygniatał taki ciężar, że zabrakło jej tchu. Przyłożyła do niej dłoń i nagle koszmarnie przeżycia ostatniego miesiąca całkiem ją przytłoczyły.

– Nie wiem, czy jestem w stanie to zrobić – szepnęła do siebie, kreśląc stopami małe kółka na trawie. – Nie wiem, czy potrafię wyjechać, czy mam w sobie tyle odwagi. Kocham cię, Jack, ale kocham też Irlandię. – Na jej twarzy pojawił się grymas rozpacz i niezdecydowania. Włożyła dłoń zaciśniętą w pięść do ust i ją zagryzła, by powstrzymać kolejny szloch. – Boże, pomóż mi. Czyżbym

traciła rozum? – Ale potem zdołała się opanować. – Nie, zrobię to! – otrząsnęła się. – Kocham Jacka. Tutaj nie ma dla mnie przyszłości. Kocham Jacka, kocham go całym sercem. – Rażno pomaszerowała w kierunku Hunting Lodge.

Na frontowym ganku stał koszyk. Pomyślała, że to kosz z jedzeniem, ale gdy podeszła bliżej, zobaczyła, że w środku leży niemowlę. Pochyliła się i wnikliwie przyjrzała małej, różowej buzi dziecka. Rude włoski opadały mu na blade czoło. Wzdrygnęła się, gdy dziecko otworzyło oczy i odwzajemniło jej spojrzenie. Jego odwaga odebrała jej oddech. Pod kocyk wsunięto list. Otworzyła go trzęsącymi się rękami. „Proszę, zajmij się mną, Kitty. Jestem Deverillem i należę do ciebie”.

Odwróciła kartkę, mając nadzieję, że napisano coś więcej, ale to było wszystko. Onieśmielona pozwoliła, by dziecko złapało ją za palec. Było takie urocze, że nie mogła oderwać od niego oczu. Natychmiast się domyśliła. To musi być dziecko Bridie i jej ojca. Jej przyrodni brat!

– Cześć, mały przyjacielu – powiedziała czule, a jej oczy się zamglily. – Zajmę się tobą. Dla Bridie. I dla siebie, ponieważ potrzebuję kogoś do kochania.

Rozdział 22

– To zniewaga! – zagrzemiał Bertie, odwracając oczy od dziecka, które Kitty przyniosła w koszyku do biblioteki.

– To jest twój syn, tato. Zamierzam go zatrzymać. – Kitty wpatrywała się z powagą w ojca.

Nalał sobie szklaneczkę whisky i zapatrzył się w ogień.

– A więc wiesz... – rzekł cicho.

– Wiem. – Nastąpiła długa cisza. Kitty nie chciała poznawać szczegółów. Nagle przestraszyła się, że może naprawdę zgwałcił Bridie. Może była naiwna, wierząc, że jej ojciec jest niezdolny do brutalności? Odegnęła sprzed oczu widok jego i Grace w łóżku. Nawet nie śmiała sobie wyobrazić, jak to wyglądało z Bridie. Chciała swego ojca podziwiać. Chciała wierzyć, że pod każdym względem jest szlachetny. Opuściła wzrok na śpiące niemowlę.

– Gdzie jest teraz Bridie? – spytała.

– W Ameryce.

– Wysłałeś ją do Ameryki? – Była wstrząśnięta.

– Zaczyna nowe życie. Tego właśnie chciała.

Oczy Kitty zaszczyły łzami.

– Odesłałeś ją bez dziecka? Jak mogłeś?!

– Sama tego chciała – powtórzył.

– Nie wierzę. Bridie ma serce. Wiem, że je ma. – Spojrzała na koszyk. – To jest mój przyrodni brat – dodała.

– To jest bękart – odparował Bertie.

– A więc to mój bękart – stwierdziła w przyływie czułości dla bezbronnej istotki oraz lojalności wobec przyjaciółki.

– Nie zgodzę się na jego obecność w tym domu! – Twarz ojca poczerwieniała. Gdy odwrócił się, by spojrzeć na córkę, zaskoczyło ją, że na jego obliczu nie maluje się nawet cień współczucia. – Wróci pod opiekę siostr, tak jak było ustalone. Nie dasz rady sama wychować dziecka. Jak sobie wyobrażasz znalezienie męża, jeśli będziesz obciążona dzieciakiem, który popsuje ci reputację?

– Mówisz jak mama – oświadczyła ostro.

– Niewykluczone, że czasami ma rację.

– Poradzę sobie.

– A co z moją reputacją? Jak wyjaśnisz ludziom, że nagle masz dziecko?

– On jest podrzutkiem, którego przygarnełam. Zostawiono go na moim progu. Taka jest zresztą prawda. Jestem tylko ciekawa, jak Bridie mimo wszystko

udało się nam go dostarczyć. Podziwiam jej odwagę. Nie zamierzam jej zawieść. To dziecko przynależy tu, do Castle Deverill.

Bertie dopił whisky i podszedł do barku, żeby nalać sobie następnego drinka. Drżącą ręką podniósł kryształową karafkę.

– Przyszła do mnie z własnej woli – rzekł cicho, nalewając złotawą ciecz do szklanki.

Kitty się nie odezwała. Wyobrażenie ponurej i groźnej twarzy Michaela majaczyło w jej umyśle; w uszach dźwięczały jej słowa: „On zgwałcił moją siostrę”.

– Zachowałem się nierozważnie – wyznał Bertie. Podniósł szklankę do ust i pokręcił głową. – To efekt mojej lekkomyślności.

– Będę go kochać i wychowam jak na Deverilla przystało – obiecała Kitty. – To krew z naszej krwi. Nie dbam o twoją, tato, ani o niczyją opinię. Jestem to winna Bridie.

– Nie dostaniesz ode mnie ani pensa – rzekł jej ojciec, a Kitty poczuła, jakby na zimno wymierzył jej policzek.

Znalazła w sobie odwagę, by mu hardo odpowiedzieć.

– Nigdy o nic nie poproszę. – Wyszła z pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Wiedziała, że istnieje tylko jedna osoba, do której może się zwrócić o pomoc. Czyż Grace Rowan-Hampton nie zawdzięczała jej życia?

*

Bertie jednym haustem wypił drugą whisky i zamknął oczy, żeby się odciąć od pokoju, który nagle zaczął wirować mu przed oczami. Poczł mdłości. Myślał, że zatuszuje swój błąd, wysyłając Bridie do Ameryki, a dziecko oddając zakonnikom. Grace zapewniła go, że w ten sposób ta pechowa sprawa raz na zawsze się skończy. Ale stało się inaczej. Chłopiec dziwnym zrzędzeniem losu zawędrował na jego próg.

Potał oczy. Nie mógł znieść tej myśli. Poczucie winy ścięgało go jak myśliwy i w końcu dopadło. Musiał przyjąć ten wyrok losu, jak zwierzę zapędzone w pułapkę, z której nie ma ucieczki.

Wieść, że to jego bękart, szybko się rozniesie. Wstyd będzie ogromny. Nagle zaniepokoił się, co powie Maud – żona, którą pogardzał za jej burżuazyjną hipokryzję i ambicje. Gdyby była prawdziwą arystokratką, jak Grace, prawdopodobnie zaakceptowałyby dziecko i wychowała jak własne. Ale Maud nie miała zrozumienia ani skłonności do ekscentrycznych zachowań. Oczarowała go swoją urodą i chłodem, który zawsze stanowi wyzwanie dla mężczyzny mogącego mieć każdą kobietę. Ba, która by go teraz chciała? Nawet Grace się od niego odwróciła.

Usiadł przy biurku. Na czoło wystąpiły mu kropelki potu. Otworzył dolną

szufladę i ostrożnie wyjął pistolet ukryty pod stosem papierów. Ostatni raz trzymał go w dłoni w dniu, gdy Grace go odrzuciła. W dniu, gdy przyłożył go do skroni, ale stchórzył i zamiast zakończyć swój marny żywot, padł na biurko jak pijany, rozbijając o nie głowę. To wtedy Bridie go znalazła, zakrwawionego i załamane go w korytarzu. Wtedy to się zaczęło. Przedtem nawet jej nie zauważał. Ale każdy uczynek ma swoje konsekwencje. Ta chwila odmieniła jego los. Grace już go nie chciała, ale Bridie tak.

Przycisnął lufę do skroni. Zamknął oczy. Palce zadrżały na cynglu. Ale znów zabrakło mu odwagi, żeby targnąć się na swoje życie.

*

Kitty wraz z dzieckiem przyjechała do posiadłości Grace daimlerem. Pożar nie dotknął stajni ani garaży i szofer był szczęśliwy, że nadal ma pracę. Brennan, kamerdyner, zerknąwszy z zaciekawieniem na dziecko, wprowadził Kitty do holu i stanowczym głosem zakomunikował, żeby poczekała, aż zaanonsuje ją swojej pani.

Kitty niecierpliwie przestępowała z nogi na nogę. Wydawało jej się, że minęły wieki, zanim usłyszała lekki stukot obcasów na marmurowej podłodze i pojawiła się Grace.

Grace spojrzała na koszyk i wyraz niepokoju przysłonił jej twarz.

– Co to ma znaczyć? – spytała.

Kitty przemknęła przez głowę myśl, czy nie żąda od Grace zbyt wiele, prosząc ją o pomoc przy nieślubnym dziecku jej ekskochanka.

– To długa historia – zaczęła, nagle czując się słabo pod ciężarem odpowiedzialności. – Przepraszam, że go tu przywiozłam. Nie miałam dokąd pójść.

– To dziecko Bridie – domyśliła się Grace.

– A więc wiesz?

– Nie bądź taka zaskoczona, moja droga. Twój ojciec też nie miał do kogo się zwrócić. Wygląda na to, że podczas sztormów jestem jedynym dostępnym portem.

– W taki razie może wiesz, kto podrzucił go na mój próg? – spytała Kitty.

– Zostawiono go na progu?

– Z listem.

– Mogę zobaczyć?

Kitty wyjęła list z kieszeni. Gdy Grace go przeczytała, jej irytacja wzrosła.

– Nie wiem, kto to napisał – powiedziała, szybko zwracając liścik. – Ale to oczywiste, że albo Bridie w jakiś sposób udało się wykraść dziecko z klasztoru i do ciebie wysłać, albo ktoś inny bardzo chciał, żebyś to ty je wychowywała. Wyobrażam sobie, że twój ojciec nie wpadł w zachwyty na jego widok.

– Chciał, żebym go odesłała. Był wściekły. Chyba nigdy nie widziałam go

tak rozjuszzonego.

– Daj mu trochę czasu. Będzie żałował swojego wybuchu, nie mam co do tego wątpliwości. A tymczasem możesz zostać tu tak długo, jak zechcesz.

– Och, dziękuję, Grace. – Kitty usiadła na sofie i oparła głowę na rękach. W jej oczach zakręciły się łzy i cała zaczęła się trząść.

Irytacja Grace gdzieś wyparowała, usiadła obok Kitty i z matczyną czułością przytuliła ją do piersi.

– Wszystko się ułoży, Kitty – pocieszała. – To ogromna odpowiedzialność dla takiej młodej dziewczyny jak ty, szczególnie po tym wszystkim, co ostatnio przeszłaś.

Ale Kitty myślała teraz o Jacku. Zamknęła oczy i wylała swój ból na piersi Grace.

– Jack chce, żebym wyjechała z nim do Ameryki – wyznała. – Będzie czekał na mnie o świcie przy murze w ogrodzie warzywnym. Ale ja nie mogę... – Głos jej się załamał. – Nie mogę...

– Teraz nie możesz jechać – dokończyła za nią Grace. – Oczywiście, że nie możesz. Masz obowiązek wobec Bridie, a zabranie maleńkiego dziecka do Ameryki jest zbyt skomplikowaną sprawą. Ledwie utrzymasz siebie, nie mówiąc już o dziecku. Jack zrozumie. Jeśli się kochacie, poczekacie na siebie.

Kitty się uspokoiła.

– Ale on wróci, gdy tu nastanie pokój, prawda?

Grace wytarła kciukiem zabłąkaną łzę na jej policzku.

– Oczywiście, moja droga.

– Jesteś bardzo dobra, Grace. – Kitty popatrzyła głęboko w łagodne brązowe oczy przyjaciółki, czując przyływ wdzięczności. – Żałuję, że kiedykolwiek w ciebie wątpiłam.

*

Nazajutrz rano Kitty podeszła pod mur i czekała na Jacka. Świt wstawał na nocnym niebie, rozświetlając ciemność jasnymi pasmami indygo i złota. Była zbyt zdenerwowana, żeby zasnąć. Wiedziała, że prosząc Jacka, by na nią poczekał, liczy na bardzo wiele. Ale cóż mogła zrobić? Musiała zaopiekować się synem Bridie. Była jej to winna. I była to winna Deverillom.

Jack pojawił się w ciepłej kurtce i czapce, z wyświechtaną torbą przerzuconą przez ramię. Uśmiechnął się do Kitty, ale uśmiech zamarł mu na ustach, gdy zobaczył jej nieodpowiedni ubiór i brak bagażu. Zbladł.

– Nie jedziesz, prawda?

Na widok rozczarowania na jego twarzy Kitty ścisnęło się serce.

– Nie mogę. – Kitty wsunęła ręce do kieszeni płaszcza. Nie mogła powiedzieć mu o ojcu, Bridie i dziecku; było to zbyt skomplikowane, zbyt bolesne.

Poprosi ją, żeby zostawiła dziecko. Będzie ją namawiał, żeby z nim uciekła. Może się złamie? I co wtedy?

– Nie mogę zostawić babci... Ojciec też mnie potrzebuje – powiedziała.

– Och, Kitty... – jęknął. Oparł rękę na biodrze i się odwrócił. Jego profil był tak wyrazisty, jakby został wyrzeźbiony z granitu. Wpatrywał się w przestrzeń, zagubiony we własnych myślach. Usta zaciśnięte w wąską, gorzką linię przypominały jej chłopca, którym kiedyś był, gdy Cygan uderzył go w szczękę. Przez chwilę myślała, że powie jej, że wszystko skończone. Że to pożegnanie na zawsze. Ale on zdjął czapkę, raz jeszcze utkwiał w niej intensywne spojrzenie niebieskich oczu, i objął ją ramionami tak mocno, że ledwie mogła oddychać. – A więc biorę Boga na świadka, że po ciebie wrócę – powiedział, a napiętność w jego głosie nie pozostawiała wątpliwości, że dotrzyma słowa. – Gdy w Irlandii zapanuje pokój, wrócę i się z tobą ożenię.

– I zostaniemy w Ballinakelly – szepnęła przez łzy. – Wszyscy będą musieli się z tym pogodzić. – Wyjęła z kieszeni kopertę i mu ją podała. – Zabierz to do Ameryki, żebyś o mnie nie zapomniał.

– Nigdy o tobie nie zapomnę, Kitty. Twoja twarz na zawsze wryła mi się w serce. – Pocałował ją po raz ostatni, a Kitty zamknęła oczy, żeby utrwalić ten pocałunek w pamięci.

Jack wsunął kopertę do wewnętrznej kieszeni kurtki i zniknął wśród drzew, pozostawiając Kitty samą w upiornej ciszy przerywanej jedynie krakaniem wron, buszujących w ruinach zamku jak cmentarni złodzieje.

Powiodła wzrokiem po znajomych ścieżkach dzieciństwa – szklarniach o kopulastych dachach, grządkach warzyw, murach tonących latem w jaśminach i powojnikach, idealnie utrzymanych trawnikach, gdzie grała w krokieta i tenisa, teraz zaniebanych i porośniętych chwastami. Jej serce zatęskniło za straconą młodością, za dziewczyną, którą kiedyś była – buntowniczą, lekkomyślną, nieokiełznaną. Nie zdawała sobie wówczas sprawy, jak bardzo była szczęśliwa. Pomimo bezwzględnej panny Grieve i odrzucenia przez matkę nie miała wielu żartów. Przypominała sobie, jak obserwowała świetlne duszki tańczące wokół klombów i duchy, które ją często odwiedzały, i fascynujące rozmowy z babcią w jej małym saloniku pachnącym torfem i bzem. To wszystko przeminęło jak sen. Kim jest teraz? Gdzie przynależy? Sama była niczym duch nawiedzający zamek, który przestał istnieć.

Nagle ogarnęło ją głębokie poczucie żalu, zdała sobie bowiem sprawę, że właśnie popełniła kardynalny błąd. Chwyła się za głowę i zaczęła głośno zawodzić.

– Co ja zrobiłam! – krzyknęła do pustego ogrodu. Z walącym sercem i krwią pulsującą w skroniach pobiegła w kierunku muru, gdzie zostawiła Jacka. Jak mogła z niego zrezygnować, wiedząc, że nie da rady żyć bez niego? Jak mogła poświęcić

swoją miłość dla dziecka, które nawet nie było jej własne? Co sobie myślała? Dlaczego chciała położyć na szali własne szczęście, kierując się iluzorycznym poczuciem obowiązku, gdy nikt od niej tego nie wymagał?

Serce jej ścisnęła panika, gdy skrótem biegła przez las do Ballinakelly, gdzie Jack czekał na pociąg, prawdopodobnie rozpamiętując swoją stratę. Ledwie widziała drogę, ponieważ łzy zamglily jej oczy. Nie miała ze sobą żadnych rzeczy ani ubrań na zmianę, ale mniejsza z tym. Gdy będą razem z Jackiem, wystarczy im powietrze do oddychania: miłość załatwi resztę. Zbiegała po zboczach, potknęła się o pień drzewa i upadła. Szybko się podniosła i jeszcze przyspieszyła kroku, nie zwracając uwagi na jeżyny szarpiące jej sukienkę i kolce raniące skórę. Musiała zdążyć. Bała się, że gdy Jack wyjedzie, być może zniknie z jej życia na zawsze.

Dotarła do miasta, zataczając się ze zmęczenia. Łzy rozmazały brud na jej policzkach, potargane włosy sterczały na wszystkie strony. Tylko wizja, jak wpada w ramiona Jacka, przynosiła ulgę. Wszystko będzie dobrze. Wkrótce się połączą. Nic nigdy ich nie rozdzieli.

Przedarła się przez zagajnik, zachodząc na stację od tyłu. W matowym świetle widziała peron, budynek z czerwonej cegły z dużym białym przejściem pośrodku i rozklekotany mostek nad torami. Potem zobaczyła Jacka. Wyglądał bardzo samotnie; stał nieruchomo, ciężki wzrok wlepił w ziemię, jakby przebywał gdzieś pomiędzy rzeczywistością i jaśniejszym, lepszym światem. Zalała ją tak potężna fala ulgi, że ugięły się pod nią kolana i prawie osunęła się na ziemię. Podniosła rękę, żeby do niego pomachać, ale gdy krzyknęła, jej piskliwy głos został stłumiony przez stukot wojskowych butów, odbijający się echem od ścian. Czarno-brunatni otoczyli Jacka, mierząc do niego z broni. Serce jej zamarło. Padła na kolana. Tak liczny oddział, żeby aresztować jednego rebelianta, wydawał się przesadną ostrożnością. Widać woleli nie ryzykować: już raz ich przechytrzył.

Patrzyła bezradna, jak Jack opuszcza torbę i z rezygnacją na twarzy podnosi rękę do góry. Potraktowali go brutalnie; uderzyli w głowę, potem w brzuch kolbami karabinów, aż biedak zgiał się wpół i padł na ziemię. Kitty opasała się ramionami, wydając nieludzki, przeraźliwy krzyk, który utonął w gwizdzie pociągu wtaczającego się na stację w kłębach pary jak dyszący smok. Usiłowała dostrzec przez okna wagonów, co dzieje się po drugiej stronie, ale jej oczy oślepiały łzy. Gdy pociąg odjechał, peron był pusty. Jack zniknął, nie zostawiając po sobie śladu. Z wyjątkiem rany w jej sercu, która nigdy się nie zablizni.

Przerażona, że wszystko straciła, wróciła pędem do zamku, a potem osmoloną klatką schodową wspięła się na zachodnią wieżę, gdzie przesiadywała babcia, czytając albo rozmawiając ze swoim mężem, jakby pożar w ogóle się nie wydarzył.

Kitty z impetem wparowała do środka, co wystraszyło Adeline, ponieważ odwykła tu od żywych ludzi.

Bertie upierał się, by spotykali się na dole w szczątkach dawnej sieni, gdzie postawił stół, aby mogli przynajmniej razem spożywać posiłki; jedzenie przynoszono z Hunting Lodge, ponieważ Adeline kategorycznie odmówiła opuszczenia Huberta. Bertiemu pozostała nadzieja, że w końcu chłód wygoni ją z wieży.

– Babciu! – krzyknęła Kitty, padając u jej stóp. – Jakże jestem nieszczęśliwa! – Położyła głowę na kolanach starej kobiety i załkała.

Adeline odłożyła książkę i głaskała wnuczkę po włosach, dając jej czas na uspokojenie się.

– Moje kochane dziecko, musisz być silna – odezwała się po pewnym czasie. – Wszyscy musimy. Życie stale niesie ze sobą zmiany, ale nie należy się ich bać. Trzeba się przystosować.

– Wszystko się zmieniło. Wszystko. Już nawet nie wiem, kim jestem.

– Uspokój się, Kitty. To, że zaszły wokół ciebie zmiany, nie oznacza, że ty sama się zmieniłaś.

– Nie rozumiesz, babciu. Muszę ci o wszystkim powiedzieć. Jesteś jedyną osobą, której mogę zaufać.

Kitty opowiedziała jej o Jacku, o swoim zaangażowaniu w walkę o niepodległość Irlandii, o nieostrożności jej ojca z Bridie i dziecku pozostawionym na ich progu. Gdy skończyła, usiadła i popatrzyła na babcię dużymi, szklanymi oczami. Adeline miała pogodną twarz, jakby z tego, co powiedziała Kitty, nic jej nie zaskoczyło.

– Aresztowano go – wyjąkała Kitty. – A jeśli zostanie stracony? A jeśli już nigdy go nie zobaczę? Nie mogę bez niego żyć, babciu. Nie dam rady...

– Możesz i musisz – rzekła stanowczo Adeline. – Myślisz, że Jack chciałby, żebyś się załamała i zrezygnowała z życia? Na pewno nie!

– Ale on nie wie, że tam byłam. Myślał, że nie przyszedłem. Krzyczałem, ale mnie nie słyszał.

Adeline poklepała ją po głowie.

– Musisz mu o tym napisać, Kitty. Gdy go wypuszczą, znów będziecie razem.

– Ale czy go wypuszczą? Widzisz to, babciu? Widzisz nas razem? Powiedz mi, co widzisz, ponieważ ja mam przed oczami pustkę.

Adeline twardo popatrzyła na wnuczkę.

– Czy nie mówiłam ci, że jesteś odważnym dzieckiem Marsa? Życie nie jest łatwą drogą, ale ścieżką pełną wybojów. Wszystko zależy, którą podążysz. W twojej naturze leży wybór najbardziej karkołomnej drogi. – Westchnęła i pogłaskała rude włosy Kitty. – Jesteś moją ulubioną wnuczką. Zawsze nią byłaś. Jesteśmy do siebie podobne. Ale ty masz w sobie o wiele więcej brawury. Nie wiem, po kim to odziedziczyłaś... – Roześmiała się. – Hubert mówi, że po nim, ale

ja się z tym nie zgadzam.

Kitty podniosła wzrok i zobaczyła, że jej dziadek siedzi w fotelu naprzeciwko. Wyglądał tak realnie! Na moment uwierzyła, że nie zginął w płomieniach, i aż serce jej podskoczyło z radości.

– Nie, moja droga – pospieszyła z wyjaśnieniem Adeline. – Niestety, podobnie jak inni jest duchem. Gdybyś poślubiła tego swojego Jacka, moglibyście tu zamieszkać i ich wszystkich wyzwolić.

– Och, marzenia... – rzekła Kitty ze smutkiem.

– To dziecko jest twoim przeznaczeniem, Kitty. Ojciec nie chce mieć z nim nic wspólnego, co zresztą było do przewidzenia. Okropny z niego tchórz. A więc ty musisz się nim zająć.

– Jak? Tata nie da mi ani pensa. Mimo że chłopiec jest moim przyrodnim bratem. I synem Bridie...

– I Deverillem. Jest jednym z nas. – Adeline uniosła podbródek. – Będę cię wspierać. Hubert zadbał o mnie w testamencie i mam więcej, niż mi potrzeba. Ten chłopczyk jest moim wnukiem. Możesz na mnie liczyć, dam ci wszystko, czego będziesz potrzebowała. – Kitty wstała i wytarła oczy. – Przygotuj się, córko Marsa, na drogę długą i pełną niebezpieczeństw. Radzę ci, żebyś teraz stąd wyjechała. Mam nieodparte przeczucie, że musisz natychmiast opuścić Irlandię. Niech Bóg ma cię w swojej opiece.

*

Kitty wróciła do Hunting Lodge, gdzie czekał na nią szofer, aby odwieźć ją do posiadłości Grace. Z ciężkim sercem wsiadła do samochodu.

Grace czekała na nią na schodach wejściowych, załamując ręce. Z wyrazu jej twarzy Kitty poznała, że stało się coś strasznego.

– Dzięki Bogu, że jesteś – zawołała Grace, wybiegając Kitty na spotkanie. – Wejdź szybko do środka. Jack został aresztowany na stacji.

– Skąd wiesz? – spytała zaskoczona Kitty.

– Niewiele tu się dzieje, o czym bym nie wiedziała – odpowiedziała Grace wymijająco, prowadząc Kitty w głąb domu.

Kitty chwyciła ją za ramię.

– Byłam tam, Grace – szepnęła. – Zmieniłam zdanie. Byłam tam i wszystko widziałam!

– Czy oni ciebie widzieli? – zaniepokoiła się Grace.

– Nie, nie widzieli. Co z nim zrobią? – Kitty oddychała nierówno. – Nie zrobią mu krzywdy, prawda? – Nagle przeraziła się, przypominając sobie o kopercie, którą mu dała. – Wielki Boże! – wykrzyknęła, mocniej ściskając ramię Grace. – Dałam mu swoją fotografię... i list.

Grace zareagowała błyskawicznie.

– A więc musisz natychmiast wyjechać. Nie ma czasu do stracenia.

– Dokąd?

– Do Londynu, oczywiście. Dokąd by indziej? – Grace wzięła ją za rękę i pospiesznie zaprowadziła na górę. – Musisz zabrać ze sobą dziecko. Możesz zatrzymać się w moim domu w Mayfair tak długo, jak zechcesz. Irlandia już nie jest dla ciebie bezpiecznym miejscem, moja droga. Spakuj torbę i pospiesz się.

Zanim zniknęły na półpiętrze, Grace obejrzała się przez ramię. W holu na dole z cienia wyłonił się jakiś mężczyzna. Przesunął spracowaną dłoń po gęstych, kędzierzawych włosach i zaczął zapinać koszulę. Ich oczy spotkały się na moment w milczącym porozumieniu.

Po chwili Michael Doyle wsunął na głowę czapkę, włożył marynarkę i zniknął.

*

Bridie spała na swojej koi w najtańszej kabinie na statku, którą dzieliła z trzema innymi Irlandkami, gdy obudził ją jakiś hałas dochodzący z pokładu. Zamrugła i z mdlącym uczuciem w żołądku przypomniała sobie, gdzie jest. Szmaragdowe wzgórza Irlandii były już tylko snem. Usiadła, zdrętwiała z powodu twardego materaca i osłabiona po dwóch tygodniach małych porcji paskudnego jedzenia. Wytężyła słuch. Hałas przerodził się w tumult. Serce jej ścisnęło się z przerażenia. Czyżby statek tonął? Zawołała Eileen, dziewczynę z hrabstwa Wicklow, z którą zaprzyjaźniła się podczas podróży, ale gdy wstała i spojrzała na górną koję, okazało się, że łóżko Eileen jest puste. Pospiesznie ubrała się i zebrawszy do małej walizki cały swój niewielki dobytek, tak szybko, jak pozwoliły jej trzęsące się nogi, pospieszyła korytarzem, a potem w górę na pokład.

Na pokładzie zgromadzili się chyba już wszyscy pasażerowie. Świt wstawał mglisty i zimny, ale w ciemnościach widziała wspaniałą, monumentalną statwę wyłaniającą się z morza. Nagle tłum ucichł i zastygł w nabożnej ciszy. Wszyscy wpatrywali się w symbol wolności, jakby to była jakaś hojna bogini, która obdarzy ich nową i pozytywną przyszłością. Chrześcijanie padli na kolana i żegnali się, Żydzi ubrani w swoje tałesy modlili się po swojemu. Starzy mężczyźni i kobiety płakali ze szczęścia, dzieci pochlipywały wzorem rodziców. Bridie też zaczęła płakać, ale nie na widok owej ziemi obiecanej, lecz z powodu tamtej ziemi i dziecka, które zostawiła za sobą. Stała w tłumie obcych ludzi, którzy podobnie jak ona szukali nowego, lepszego życia, i płakała nad wszystkim, co utraciła.

Część trzecia

Rozdział 23

Londyn, Anglia, 1922

Celia siedziała przed toaletką, podczas gdy Marcie, jej pokojówka, układała jej włosy. Dziś wieczorem, jak co wtorek, jej matka wydawała przyjęcie. Celia rzuciła okiem na poranny „Express”, w którym Viscount Castlerosse, dziennikarz kolumny towarzyskiej, napisał w „Londyńskim Notatniku”:

Nigdy nie darowałbym sobie nieobecności na cotygodniowym przyjęciu u mojej drogiej przyjaciółki lady Deverill odbywającym się w jej wspaniałej rezydencji w Kensington Palace Gardens. Amerykańscy aktorzy spotykają się tu z politykami, popijając nowoczesne amerykańskie koktajle przy jazzowej muzyce. W tym tygodniu widziałem Douglasa Fairbanka i jego nową żonę, Mary Pickford, opowiadających o jego nowym filmie Robin Hood, a tymczasem Ivor Novello, pochodzący z Walli dobrze zapowiadający się kompozytor, śpiewał jeden ze swoich przebojów przy akompaniamencie The Sax, czarnego muzyka z Nowego Orleanu, który zyskał wielu zagorzałych fanów wśród gości naszej gospodyni. W innym kącie rosyjski emigrant, księżę Yusopov, opowiadał ministrowi spraw zagranicznych, lordowi Curzonowi, jak zabił Rasputina (po raz dziesiąty). Obecni również byli...

Harry w jedwabnym szlafroku wylegiwał się na szezlongu, paląc tureckiego papierosa, wykradzionego Beatrice z wyłożonej masą perłową papierošnicy leżącej w salonie. Od czasu przeprowadzki do Londynu bardzo zaprzyjaźnił się z Celią i często dotrzymywał jej towarzystwa. Ze swoimi jasnoblond włosami, alabastrową skórą i niebieskimi oczami z łatwością mogli uchodzić za rodzeństwo, gdyby nie wspomnienie George’a, które pozostawało wciąż żywe w pamięci tych, którzy go znali. Podczas gdy Maud nie ustawała w poszukiwaniu odpowiedniej żony dla syna – co było wielkim wyzwaniem, zważywszy brak przynęty w postaci zamku – Harry nieustająco balował ze swym niezmordowanym kuzynem, przyjacielem George’a z chłopięcych lat, pięknym i dowcipnym Boysiem Bancroftem.

– Co sądzisz o Charlotte Stalbridge? – spytała Celia. – Twoja mama na każdym przyjęciu usiłuje cię nią zainteresować.

Harry głęboko zaciągnął się papierosem i wypuścił kółko dymu.

– Straszliwie nudna – rzekł.

– Ale dość ładna, czyż nie?

– Cóż po atrakcyjnej wystawie, jeśli w sklepie nie ma nic wartego kupna?

Celia zachichotała.

– Ma mnóstwo pieniędzy, ale zupełnie nie potrafi się ubrać.
– W tym jasnym różu rzeczywiście jej nie do twarzy – przyznał Harry. – Dziewczyna o takiej karnacji powinna unikać jasnych kolorów. Chociaż ty, ze swej strony, wyglądasz znakomicie w każdym odcieniu.

– Pewnego dnia napiszesz o mnie poemat? Chciałabym zostać uwieczniona w wierszu. Jakimś długim, melodyjnym poemacie, jak na przykład *Pani z Shalott*.

– Źle się to dla niej skończyło.

Zna wieść, że klątwa nad nią wisi,

Gdy się ośmieli oczy sycić

Widokiem Camelot

Lecz jaka klątwa? Kto ją rzucił?

Nie wie i wcale się nie smuci,

Tylko tka pilnie na swych krosnach

Pani z wyspy Shalott[7].

– Och, jakież to romantyczne! I jaki jesteś zdolny, że znasz to na pamięć. – Fryzura była gotowa. Gestem odesłała pokojówkę, która wyszła, zamykając za sobą drzwi. – Widziałam, że napisałeś wiersz dla Boysiego.

Harry usiadł i postawił popielniczkę na parapecie. Przez okno patrzył na ogród, gdzie para tłustych gołębi dziobała coś w trawie.

– Nie chciałam się wtrącać – zmieszała się Celia. – Widziałam wiersz na stoliku przy twoim łóżku. Oczywiście nie przeczytałam – dodała pospiesznie. – Ale chciałam, żebyś napisał coś o mnie. Masz wielki talent, Harry. Pewnego dnia będziesz tak sławny jak Oscar Wilde.

Akurat to porównanie miało dla Harry'ego szczególną wagę. Dokończył papierosa i zgasił niedopałek.

– Oscar Wilde został zapamiętany nie tylko z powodu swego pisarstwa. Tragiczna postać – dodał cicho.

– Był cudownie skandalizujący. W miłości do innego mężczyzny nie ma nic złego, prawda? W jakimś sensie jest to miłość braterska, nie uważasz?

– Nie kocham Boysiego, jeśli ci o to chodzi. Podziwiam go. To bardzo inteligentny człowiek. Piszę poezję o wszystkich.

– Wiem. Ale jeśli go kochasz, nie ma w tym nic wstydliviego. Tylko to mam na myśli.

– Czasem pleciesz głupstwa, moja droga. – Zostawił popielniczkę na parapecie. – Lepiej pójde się przebrać. Wkrótce pojawią się goście.

Już miał wyjść, gdy drzwi otworzyły się gwałtownie i wpadła Beatrice, trzymając telegram w swej pulchnej, ozdobionej biżuterią dłoni.

– Celia, Harry, usiądźcie! Mam dla was nadzwyczajną wiadomość. – Harry, zerknąwszy na Celię, wrócił na szezlong. – Twoja siostra Kitty przyjeżdża do

Londynu.

– Ależ to cudowna wiadomość, mamó! – wykrzyknęła Celia.

Oczy Beatrice się rozszerzyły.

– Przywozi ze sobą dziecko!

– Dziecko? – powtórzył Harry. – Czyje dziecko?

– Podrzutka.

– Doprawdy, jej społeczna wrażliwość graniczy z szaleństwem! – Celia wybuchnęła śmiechem. – Pamiętacie tamto lato, gdy musieliśmy zbierać warzywa dla biednych?

– Od kogo jest ta wiadomość? – spytał Harry. Beatrice podała mu telegram.

– Ach, od lady Rowan-Hampton – powiedział. – Przypuszczam, że to nie z taty inicjatywy. Nie sądzę, by ktokolwiek skłonił ją do opuszczenia Castle Deverill. Widocznie sama podjęła taką decyzję.

– Upierała się, że za nic w świecie nie wyjedzie, gdy jej to sugerowałam na pogrzebie Huberta. Próbowałam wszelkich argumentów, ale się nie zgadzała. – Celia zmrużyła oczy. – Zastanawiam się, czyje to dziecko.

– Na pewno nie jej – stwierdziła Beatrice.

– Zatrzyma się u nas? – spytała z nadzieją Celia.

– Nie, zamieszka u Grace, w Mayfair.

– Czy mama już wie? – zainteresował się Harry.

– Jeszcze nie. Ten obowiązek spadł na mnie – zauważyła posępnie Beatrice.

– Życzę powodzenia. – Harry westchnął.

– Czy ją to w ogóle obejdzie? – spytała Celia. – Twoja matka nigdy nie dbała o Kitty.

– Pojawienie się w Londynie jej niezamężnej córki z dzieckiem wywoła skandal. Wszyscy będą podejrzewać, że to nieślubne dziecko Kitty – wyjaśnił.

– I co z tego? – Celia lubiła być nowoczesna. – Mamy tysiąc dziewięćset dwudziesty drugi rok, a nie tysiąc osiemset dwudziesty drugi!

– Tak czy inaczej, mamie zależy na reputacji – powiedział Harry.

– Bo tylko to jej pozostało – dodała Celia kąśliwie.

*

Maud, usłyszawszy tę hiobową wieść, przysiadła, przykładając swą delikatną, białą dłoń do ust.

– Dlaczego, na Boga, Kitty sprowadza to dziecko do Londynu? Chce mnie zniszczyć?

Beatrice przewidziała reakcję Maud i była gotowa ją pocieszyć.

– Zaopiekowała się podrzutkiem. Uważam, że to godne podziwu.

– Nie widzę w tym niczego godnego podziwu, Beatrice. To czysta głupota! Jak znajdzie męża, ciągnąc za sobą dziecko? Jak Bertie mógł pozwolić jej na

wyjazd? Nie mogła pozostać w Irlandii?

– Telegram przysłała Grace. Nie wyobrażam sobie, żeby Bertie miał z tym coś wspólnego.

– Oczywiście, że nie. A właściwie, czyje to dziecko?

– Nie wiem. W telegramie jest tylko napisane...

Maud wstała.

– Jak ona mogła! Ostatnio wszystko się tak dobrze układało. Victoria oczekuje dziecka. Jestem na dobrej drodze do wyswatania Harry'ego. Co sobie pomyśli lady Stalbridge, gdy jego siostra pojawi się z nieślubnym dzieckiem? Czy zechce wydać za niego swoją jedyną córkę? Obawiam się, że nie! Po tym wszystkim, co wycierpiałam, jak ona śmie przyjeżdżać, żeby splamić nasze nazwisko?

– Na pewno jest jakieś wyjaśnienie. Poczekajmy z wydaniem osądu.

– Zawsze była mi cierniem w oku – skarżyła się Maud z goryczą. – Nie wiem, czym sobie na to zasłużyłam. Ale ona mnie nienawidzi. Rodzona córka mnie nienawidzi! Nie ma innego wyjaśnienia. Już byłoby lepiej, gdyby to było jej dziecko. Przynajmniej moglibyśmy udawać, że jej mąż nie żyje! To byłoby honorowe wyjście.

– To musi być dziecko kogoś jej bardzo bliskiego – zastanawiała się Beatrice.

– Gdy przyjedzie, zażądam wyjaśnień.

– Ona tu nie zamieszka, Maud. Zatrzyma się u Grace.

– W Mayfair? Dlaczego, na Boga, nie tutaj? – Maud z ubolewaniem pokręciła głową. – Oczywiście, jaka ja jestem głupia. To kolejna zniewaga. Nie sądzę, żebym zdołała dzisiaj z kimkolwiek rozmawiać. Idę do swojego pokoju. Powiedzcie, proszę, lady Stalbridge, że źle się czuję. – I zniknęła w sypialni, w chwili gdy pierwsi goście pojawili się w salonie Beatrice.

Harry lubił wtorkowy salon Beatrice. Ludzie przychodzili i wychodzili, nigdy nie było wiadomo, kto się pojawi i jak liczne będzie towarzystwo. Jedli, pili, grali w karty, rozwiązywali szarady, debatowali, dyskutowali – jednym słowem, doskonale się bawili. To tu poznał Boysiego i beznadziejnie się w nim zakochał, chociaż Boysie nie zdawał sobie sprawy, że Harry wodzi za nim oczami.

Boysie Bancroft był najpiękniejszym mężczyzną, jakiego Harry kiedykolwiek widział. Wysoki i smukły jak trzcina, miał długie, szczupłe palce, które zdawały się pieścić klawisze, gdy grał na pianinie, i tańczyć w powietrzu, gdy recytował poezje. Był esteta o anielskim głosie, którego barwa robiła się matowa późnym wieczorem, po koniaku i wypalonych papierosach, i wówczas bardziej pasowała do upadłego anioła. Oczy w kolorze zielonego turmalinu, upstrzone drobinkami złota, posyłały głębokie, melancholijne spojrzenia, chociaż usta, pełne i różowe jak u cherubina, potrafiły rzucać cięte uwagi, jak na demona przystało.

Miał dwadzieścia cztery lata, ale skórę tak gładką, jakby jeszcze nie zaczął się golić, a lśniąca czupryna w kolorze melasy opadała mu na czoło jak grzywa niesforne go zrebaka. Wszyscy go podziwiali za jego urok, cierpki dowcip i autoironiczny humor. Beatrice szczególnie go lubiła, ponieważ był najlepszym przyjacielem George'a, i czuła, że jego obecność w jakiś sposób łączy ją z synem.

Boysie i Harry przypadli sobie do gustu od pierwszego wejrzenia. Obydwaj przystojni i inteligentni, byli wielbicielami sztuki, muzeów, teatru oraz baletu, i w równym stopniu darzyli sympatią Celię. Doskonale się rozumieli, śmiali się z takich samych dowcipów (zazwyczaj własnych) i nie znosili nudziarzy. Jednak gdy chodziło o miłość, Harry nie był pewien, czy Boysie odwzajemnia jego uczucia. Gdy już zaczynał wierzyć, że to możliwe, Boysie przyszedł na przyjęcie z dziewczyną i oświadczył, że owa myszowata Deirdre Mortimer jest wybranką jego serca i zamierza ją poślubić.

Harry snuł się po holu, czekając na Boysiego; witając gości, starał się nie okazywać podniecenia. Był tak zaabsorbowany myślami o mężczyźnie, którego kochał, że całkiem zapomniał o siostrze i dziecku. Kiedy w końcu pojawił się Boysie z mizdrzącą się, ubraną w nietwarzową zieloną sukienkę Deirdre, zrobił zaskoczoną minę, udając, że przypadkiem tędy przechodził.

– Co za zbieg okoliczności! – Poklepał przyjaciela po plecach. – Panno Mortimer, miło panią znów widzieć.

– Sprawileś sobie nową marynarkę – zauważył Boysie, przyglądając się nienagannemu strojowi Harry'ego. – Znów odwiedziłaś Savile Row?

– Owszem – odparł Harry, przepełniony szczęściem, że widzi przyjaciela.

– Przy tobie kiepsko się prezentuję. Muszę to naprawić koncertową grą na pianinie. Jesteś gotów zaśpiewać?

Harry już ruszał z Boysiem do salonu, gdy w drzwiach pojawiła się lady Stalbridge oraz jej córka Charlotte.

– Popatrz, kochanie, jest nasz drogi Harry! Jakże miło, że czekałeś na Charlotte. Wiesz, jak ją peszy, gdy ma wejść do salonu pełnego ludzi.

Harry był skonsternowany, a zarazem wściekły w duchu.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odpowiedział jednak szarmancko, gdy Charlotte podawała płaszcz kamerdynerowi. – Może razem wejdziemy na górę? Boysie zamierza zagrać na pianinie. Umiesz śpiewać, Charlotte?

Charlotte się zarumieniła.

– W ogóle nie potrafię śpiewać – odpowiedziała.

– Ja też – zawtórowała jej Deirdre.

– W takim razie my dla was zaśpiewamy, a wy będziecie nas oklaskiwać. Dzięki temu uwierzmy, że jesteśmy naprawdę olśniewający i utalentowani! – rzekł Boysie, ruszając przodem. Harry zawsze podziwiał jego umiejętność takiego poprowadzenia rozmowy, by wszyscy czuli się komfortowo.

Nie minęło wiele czasu, nim konwencjonalne spotkanie towarzyskie przerodziło się w huczną zabawę. Śpiew stawał się coraz głośniejszy, śmiech bardziej tubalny, zachowanie swobodne, a Harry bardziej skonfundowany niż kiedykolwiek, ponieważ Boysie, wpatrując się w niego z uwielbieniem ze swego miejsca przy pianinie, jednocześnie nie szczędził uwagi Deirdre. O północy Celia rozpoczęła tańce. Starsi goście zaszyli się w odleglejszych zakątkach, a niektórzy w ogóle wyszli, na parkiet zaś wylegli młodzi. Pianino zastąpiono gramofonem i jazzowe rytmy wprowadziły tancerzy w gorączkę energetyzującego fokstrota. Boysie nie był najlepszym tancerzem. Z koktajlem w jednej ręce i papierosem w drugiej, wolał bacznie obserwować tańczących, zbierając materiał do plotek. Harry kochał tańczyć; ujął Celię w talię, ku wielkiemu rozczarowaniu Charlotte, która o niczym innym nie marzyła, jak wirować na parkiecie w ramionach Harry'ego.

W gabinecie na dole Beatrice grała w brydża z najbliższymi przyjaciółmi, śmiało paląc tureckie papierosy i lamentując nad tragiczną sytuacją Irlandii.

– Dlaczego wy nie kupicie zamku? – zasugerowała jedna z jej przyjaciółek. – Digby ma taki majątek, że mógłby go kupić dziesięć razy.

Beatrice ciężko westchnęła; zawahała się nad kartami.

– Digby kocha Irlandię, ale Castle Deverill nie należy do niego. To dziedzictwo Bertiego, a on jest bardzo dumny. Gdyby Digby kupił zamek – zakładając oczywiście, że Bertie wystawi go na sprzedaż – albo nawet zapłacił za jego renowację, to zniszczyłoby stosunki pomiędzy nimi. Przykro mi to mówić, ale Bertie będzie musiał albo sam go odbudować, albo spisać na straty. Obawiam się, że to koniec Anglo-Irlandczyków w Irlandii. – Uśmiechnęła się smętnie. – Och, ale przeżyliśmy tam cudowne chwile.

– Lepiej przenieść się do Anglii, niż zostać zabitą we własnym łóżku – dodała jej przyjaciółka. – Z tego, co słyszałam, Irlandczycy to niecywilizowani ludzie.

– Rzeczywiście – potwierdziła Beatrice. – Ale nie ma piękniejszego kraju. Jeśli Bertie straci Castle Deverill, naprawdę będzie to wielka tragedia.

Harry wirował po parkiecie, czując na sobie ciężki wzrok Boysiego, śledzący go jak cień. Gdy ukradkiem zerknął na przyjaciela, zauważył na jego twarzy wręcz rozpaczliwy smutek. Przerwał taniec, ale Celia, przytrzymując go za ramię, nalegała, by tańczył dalej.

– Nie jesteś chyba zmęczony, Harry?

– Oczywiście, że nie – potwierdził, kątem oka widząc, jak Boysie wychodzi z pokoju. – Za chwilę, moja droga. Zaraz wracam. – I ruszył za swoim przyjacielem.

Był już na podeście, gdy zauważył błysk czarnego buta znikającego na górze. Harry zawołał za przyjacielem, ale nie dostał odpowiedzi. Przeskakując co

drugi stopień, popędził na górę.

Nigdzie nie było Boysiego. Znów zawołał. Żadnej odpowiedzi. Włożył ręce do kieszeni i powoli szedł korytarzem, a z każdym krokiem serce biło mu coraz szybciej. W końcu dotarł do swojej sypialni. Zawahał się, zanim przekręcił gałkę. Raptem czyjaś ręka złapała go i wciągnęła do środka.

– Boysie? – Zanim zdążył powiedzieć coś więcej, usta Boysiego znalazły jego usta i został namiętnie pocałowany. Serce Harry’ego zalała radość. Ujął w dłoń piękną twarz przyjaciela i odwzajemnił pocałunek. Smak mydła na jego skórze i ostry korzenny zapach, charakterystyczny dla Boysiego, wydały mu się tak bliskie, jakby znał je przez całe życie.

– Ale co z Deirdre? – spytał, z trudem łapiąc oddech.

– Nie mogę dłużej się oszukiwać, Harry. To mnie zabija. Kocham cię, stary. To wszystko. Wiem, że ty też mnie kochasz.

– Kocham cię, Boysie – odpowiedział Harry; żadne słowa nie brzmiały mu w uszach tak słodko.

Boysie przycisnął usta do czoła Harry’ego.

– Nic więcej nie mów.

*

Kitty dotarła do rezydencji z czerwonej cegły przy Mount Street. Podróż pociągiem z Fishguard do Paddington była długa i wyczerpująca, chociaż Grace wysłała z nią pokojówkę do pomocy przy dziecku. Kitty nigdy nie była w Anglii i wyobrażała sobie, że jest brzydka, a tymczasem zaskoczyło ją piękno pejzażu. Porośnięte bujną zieloną trawą wzgórza i pastwiska, pełne owiec nawet w lutym, miały mnóstwo czaru. Walia przypominała jej Irlandię i koła jej udręczoną duszę, już tęskniącą za domem. Wpatrywała się przez okna pociągu i zastanawiała, gdzie jest Jack. Przypomniała sobie jego rozgorączkowany głos, gdy powiedział: „Muszę wyjechać, zanim mnie zastrzelą”. Znów zalała się łzami z powodu mężczyzny, którego kochała ponad wszystko, i własnych zniweczonych marzeń. Dokąd zaprowadziła ją odwaga? Myślała, że jest nieustraszona. Wierzyła, że może zrobić wszystko. Ale okazało się, że jest tylko słabą i bezużyteczną kobietą, taką samą jak jej siostry. Jacka aresztowano. Ona musiała porzucić dom. Ojciec jej się wyrzekł. Tylko Grace i jej babcia stanęły przy niej murem. Ale nie mogła stale żyć na ich koszt. Kiedy, och, kiedy będzie mogła powrócić do Irlandii? I czy Jack tam już będzie?

Kiedy dojechała na dworzec Paddington, zapadał zmierzch. Szofer odebrał ich ze stacji; podróż do Mayfair była krótka. Kitty z zachwytem rozglądała się po nieznanym jej mieście. Na ulicach wokół dworca roило się od ludzi, samochodów i omnibusów; tu i ówdzie pojawiał się wóz zaprzęgnięty w konia ciężko człapiącego do domu, ale gdy wjechali do Mayfair, harmider został za nimi, ulice

nagle opustoszały, tylko od czasu do czasu w świetle ulicznych lamp pojawiał się jakiś daimler czy bentley, wiozący eleganckie pary na kolację.

Dom Grace był okazały, czteropiętrowy, z wysokim szarym portykiem i imponującymi czarnymi drzwiami. Rzędy dużych okien z eleganckimi kamiennymi frontonami błyszczały złotym światłem w ciemności. Kitty od razu ulżyło, wiedziała bowiem, że wewnątrz poczuje się bezpiecznie.

Pani Blythe, pulchna kobieta o miłej twarzy, przywitała ją i zaprowadziła do pokoju.

– Gdy pani się odświeży, podam kolację na dole w małym saloniku. Lady Rowan-Hampton często tam jada, gdy jest sama. Jest tam mniej oficjalnie, miło i ciepło. Zajmiemy się dzieckiem, żeby pani mogła odpocząć. Lady Rowan-Hampton udzieliła nam szczegółowych zaleceń, żeby czuła się tu pani komfortowo. – Otworzyła drzwi do okazałej sypialni z dużym mosiężnym łóżkiem i ogniem płonącym w kominku. Na stoliku nocnym stał bukiet wrzosów. – Lady Rowan-Hampton szczególnie o to prosiła – wyjaśniła z namaszczeniem pani Blythe. – Powiedziała, że te kwiaty przypomną pani dom.

Kitty powąchała bukiet.

– Przypominają mi dom – przyznała, ale teraz była tak znużona, że nawet nie czuła tęsknoty.

– Czy przygotować kąpiel?

– Byłoby świetnie, dziękuję. – Kitty spodziewała się, że pani Blythe zadzwoni po człowieka, który przyniesie wodę. Ku jej zaskoczeniu po prostu zniknęła w łazience, a Kitty za chwilę usłyszała szum wody. Przypomniała sobie, jak Victoria mówiła o braku skutecznego systemu hydraulicznego i elektrycznego w Irlandii. Teraz zrozumiała, co jej siostra miała na myśli. Weszła do łazienki, aby popatrzeć na napełniającą się wannę. Gdy pani Blythe wlała do wody zielony, pachnący sosną płyn do kąpieli, udręczona dusza Kitty natychmiast zaznała ukojenia. Zdała sobie sprawę, jaka musi być brudna po podróży, i nagle poczuła, że jej nogi i ręce ciężą ze zmęczenia.

– Gdy pani się będzie kąpać, ja i Becky rozpakujemy bagaże – dodała gospodyni. – Przywiozła pani tylko tę jedną torbę? – Pani Blythe była zdziwiona. – A więc szybko się z tym uporamy.

Kitty tak długo rozkoszowała się kąpielą, że zaniepokojona pani Blythe zapukała, żeby sprawdzić, czy nie utonęła. Po kąpeli przebrała się i zeszła na kolację. Dom był duży, ale dzięki oryginalnemu gustowi i fantazji Grace przytulny pomimo swej okazałości. Kitty jadła sama w saloniku umeblowanym biblioteczkami oraz miękką sofą, przy której stały fotele. Na okrągłym stoliku, na którym postawiono wesoły bukiet czerwonych kwiatów, leżało jej nakrycie, a w kominku palił się ogień. Jedzenie smakowało wyśmienicie. Ledwie skosztowała kurczaka z kartoflami purée, zdała sobie sprawę, jak bardzo jest

głodna. Mięso było miękkie, polane wybornym sosem, zupełnie inne niż to, jakie musiała jadać w Irlandii. Z apetytem wyskrobała resztki z talerza. W końcu zakończyła ucztę i poszła do łóżka. Przykładając głowę do poduszki, była tak zmęczona, że nawet nie zatęskniła za domem. Zbyt wyczerpana emocjonalnie, żeby nawet pomyśleć o Jacku. Zamknęła oczy, pozwalając, by słodki sen wyzwolił ją od kłopotów i niepewności o jutro.

Rano obudziło ją pukanie do drzwi.

– Dzień dobry, panno Deverill – powitała ją pani Blythe. – Przepraszam, że panią budzę, ale lady Deverill czeka w holu. Powiedziała, żebym natychmiast panią zawiadomiła.

– Która godzina? – spytała sennie Kitty.

– Jedenasta, panno Deverill.

– Wielki Boże, przespałam cały poranek!

– Rzeczywiście. A jest piękny słoneczny dzień. – Pani Blythe rozsunęła zasłony. – Może później uda się pani na spacer do parku?

– Chętnie – powiedziała Kitty. – Ale najpierw porozmawiam z matką.

– Nakryłam do śniadania w pokoju śniadaniowym. To uroczy pokój z widokiem na ogród. Lady Rowan-Hampton lubi obserwować ptaki. Poproszę lady Deverill, aby tam na panią zaczekała.

– Dziękuję, pani Blythe. – Kitty ścisnęło w żołądku z nerwów na myśl o czekającej ją rozmowie.

Ubrała się w rzeczy, które przygotowała jej pani Blythe. Zauważyła, że strój podróżny został zabrany do prania. Będzie musiała poprosić o szybkie przysłanie jej garderoby z Irlandii. Gdy dokończyła toaletę, zeszła na dół, zastanawiając się, co powie matce na temat dziecka. Nie może przecież powiedzieć jej prawdy.

Maud stała w pokoju śniadaniowym ubrana w modną sukienkę z obniżoną talią w kolorze kości słoniowej oraz maleńki czarny kapelusik. Blond włosy miała obcięte do linii podbródka, co sprawiało, że jej twarz wyglądała bardziej surowo, ale w oczy rzucały się przede wszystkim szkarłatne usta, mocno zacisnięte w cienką linię.

– Dzień dobry, mamó – powitała ją Kitty, zasiadając przy stole nakrytym ładnym niebieskim obrusem i pasującą do niego porcelaną. Nalała sobie herbaty. – Napijesz się?

– Nie zabawię długo – odparła Maud.

– Wybacz mi, ale umieram z głodu. – Kitty wzięła grzanekę i zaczęła smarować ją masłem.

– A więc uciekłaś z Irlandii z dzieckiem. – Maud była zbyt wzburzona, by silić się na uprzejmości. – Czyje to dziecko i dlaczego musiałaś je przywieźć? Nie mogłaś zostawić w Irlandii? Wyobrażasz sobie, co ludzie powiedzą? Pomyślą, że to twoje! Wybuchnie potworny skandal. Jak, na Boga, chcesz wyjść za mąż

z dzieckiem? Żaden mężczyzna nie zechce wychowywać cudzego dziecka. Na litość boską, Kitty, czy ty nie myślisz o nikim prócz siebie? – Kitty spokojnie ugryzła kawałek grzanki. – No i? Co masz do powiedzenia na swoją obronę?

– Skończyłaś, mamó?

Maud z przestraszoną miną usiadła przy stole.

– Potrzebuję odpowiedzi, Kitty. Musisz mi ich udzielić.

Do pokoju wszedł kamerdyner.

– Dzień dobry, panno Deverill. Ma pani ochotę na jajka?

– Poproszę o dwa na miękko – odparła Kitty z rosnącą pewnością siebie.

– Czy mogę coś pani podać, lady Deverill? – spytał Maud.

– Nie, nic, nie zabawię długo – odpowiedziała. Gdy wyszedł popatrzyła wyczekująco na Kitty. – No i?

Kitty westchnęła.

– Wyjechałam z Irlandii, ponieważ tata nie chciał dziecka w domu. – Nie była to cała prawda, ale Kitty nie mogła powiedzieć matce o prawdziwej przyczynie opuszczenia Ballinakelly.

– Miał rację. Powinnaś je odesłać do sierocińca lub gdzie bądź. Ale ty przywozisz je tutaj, żeby doszczętnie zniszczyć swoją reputację. Wiesz, twój brat właśnie znalazł odpowiednią partię, ale to... – Starła się opanować nerwy. – To może wszystko zniszczyć. Brałaś pod uwagę dobro swojej rodziny?

– Brałam pod uwagę dobro tego dziecka – odrzekła spokojnie Kitty.

– Czyje to dziecko? Nie może przecież być twoje...

– Nie, biologicznie nie jest moje, ale należy do mnie.

– Co za bzdura! Nie należy do ciebie. Nie możesz tak po prostu wziąć nieznanego dziecka i traktować je jak swoje.

– To nie jest jakieś nieznane dziecko, mamó.

Maud nie słuchała, była zbyt zajęta kalkulacjami, jak najszybciej i najdyskretniej pozbyć się problemu.

– Załatwię, żeby szybko je gdzieś oddać. W Anglii jest wiele instytucji, które dobrze się nim zajmą.

– Nigdzie go nie oddam.

Maud spojrzała na nią gwałtownie.

– Dlaczego? Co to dziecko dla ciebie znaczy?

Pojawił się kamerdyner, przynosząc jajka, i pokojówka, która przyjechała z Kitty z Irlandii, z dzieckiem otulonym w kocyk. Maud wstała i uważnie wpatrywała się w buzię niemowlęcia. Na widok rudych włosów i szarych oczu wzdrygnęła się z przerażenia. Odwróciła się do Kitty.

– Czyżby to jednak było twoje dziecko?!

– Nie, nie moje.

– Ale ma twoje włosy i oczy...

– Ma włosy babci i jej oczy. Tak samo jak ja.

Maud z powrotem odwróciła się do dziecka, zaciskając białą dłoń na piersi, jakby trudno jej było oddychać.

– A więc... a więc... to jest...

– Tak, to syn taty – potwierdziła chłodno Kitty, czując coś w rodzaju triumfalnej satysfakcji na widok szoku na twarzy matki.

Maud z trudem przełknęła ślinę.

– Zabierzcie je! – wysyczała.

– Dziękuję, Hetty. Przyjdę do niego po wyjściu lady Deverill.

– Przepraszam, panno Deverill, ale jak mu na imię? – spytała Hetty.

Kitty przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią. Maud opadła ciężko na krzesło.

– Jack – rzekła Kitty z przekonaniem. – Nazywa się Jack. Panicz Jack Deverill.

7 Alfred Tennyson, *Pani z Shalott*, w tłumaczeniu Anny Bańkowskiej.

Rozdział 24

Nowy Jork, Ameryka, 1922

Bridie dwa dni czekała na statku, zanim podpłynął mały prom i zabrał ją wraz z pozostałymi pasażerami trzeciej klasy na Ellis Island, gdzie musieli przejść procedurę emigracyjną. Pasażerowie pierwszej i drugiej klasy dawno już wysiedli. Bridie musiała znieść długie kolejki i trwające godzinami medyczne i prawne kontrole, zanim w końcu odebrała ją pani Bessie McGuire, gospodyni przyjaciółki lady Rowan-Hampton, udając, że wita swoją siostrzenicę. Na liście pasażerów podanej przez załogę oficerom emigracyjnym pomyłkowo zamiast „Bridie” napisano „Bridget”. Tak zwracał się do niej pan Deverill. Bridie uznała to za zrządzenie losu i nie protestowała. Zacznie nowe życie z nową tożsamością. I coś osiągnie.

– Zobaczmy się jeszcze kiedyś? – spytała Eileen z hrabstwa Wicklow.

Bridie zaprzeczyła ruchem głowy.

– To pożegnanie, Eileen – powiedziała, pozostawiając za sobą Ellis Island i swoją przeszłość.

Bessie McGuire wyemigrowała wraz z mężem przed dwudziestu laty i osiadła w Nowym Jorku tak jak wielu innych, którzy uciekli z Irlandii w poszukiwaniu lepszego życia. Jej świętej pamięci mąż Paddy był robotnikiem, budował drogi, linie kolejowe i wieżowce w mieście, aż pewnego dnia zarwało się pod nim rusztowanie i zginął. Dzieci Bessie były już dorosłe i samodzielne; najstarszy syn wyjechał aż do Teksasu i pracował na ranczo. Bridie natychmiast polubiła panią McGuire. Była ciepłą, tryskającą optymizmem i rzeczową kobietą, i nie zadawała niepotrzebnych pytań. Chciała jedynie wiedzieć, czy Irlandia ciągle wygląda tak samo.

Bridie nigdy nie widziała czegoś takiego jak Nowy Jork. W najśmielszych snach nie wyobrażała sobie takich nadzwyczajnych budynków jak drapacze chmur, które wznosiły się aż do nieba, a ich wierzchołki niknęły w chmurach niczym górskie szczyty. Poza Dublinem, gdzie zresztą wiele pięknych budynków uległo zniszczeniu przez lata walk, Bridie nie знаła żadnego dużego miasta; w jej naiwnych oczach Nowy Jork wyglądał obco, ale i wspaniale. Nigdy nie jechała samochodem, siedziała więc sztywno na tylnym siedzeniu obok pani McGuire i z obawy, że wypadnie, mocno trzymała się skózanego obicia, a tymczasem szofer, wysłany przez pracodawczynię pani McGuire, wjeżdżał do serca

Manhattanu. Patrzyła przez okno i czuła, że z popiołów rozpaczy odradza się w niej nadzieja.

– Masz szczęście, Bridget. Pani Hamer, u której pracuję, znalazła ci posadę – powiedziała pani McGuire, gdy drzwiami dla służby znajdującymi się w suterenie weszły do wysokiej kamienicy z brązowego piaskowca.

– Już?

– Tak. Zaczynasz od jutra.

Bridie powinna być szczęśliwa z powodu tej wiadomości, ale na razie ze zmęczenia bolało ją całe ciało. Marzyła, żeby przyłożyć głowę do poduszki i spać przez tydzień.

– U kogo będę pracować?

Pani McGuire przystanęła w korytarzu i zwróciła się do niej z wyrazem współczucia na twarzy.

– U pewnej starszej wdowy, pani Grimsby, pani Eliotowej Grimsby. To bardzo bogata kobieta, ale nie będę udawać, że jest miła. – Bridie musiała wyglądać na przestraszoną, ponieważ pani McGuire szybko starała się ją pokrzepić. – Zmienia pokojówki tak często, jak Paddy dziurawił skarpetki, ale ty jesteś silną dziewczyną. My, Irlandczycy, mamy twardą skórę. Trochę się podkarmisz i będziesz jak nowo narodzona. Teraz chodź, zjesz coś, wykąpiesz się i nabierzesz animuszu.

Później Bridie leżała w łóżku zbyt wyczerpana, żeby zasnąć. Z sąsiedniej sypialni dochodziło do niej głośne chrapanie. Jeden ze służących, którego jeszcze nie poznała, chrząkał jak świnia. Obudził w niej wspomnienia domu i poczuła ostre ukłucie tęsknoty. Nie widziała matki od ubiegłego lata, gdy pożegnała się z nią przed wyjazdem do Dublina. Skłamała na temat swojej nowej pracy, choć bardzo pragnęła wyznać jej prawdę o ciąży. Pragnęła współczucia i matczynej miłości zamiast chłodnych, aczkolwiek skutecznych działań lady Rowan-Hampton; czuła się zawadą, której pan Deverill pragnął się jak najszybciej pozbyć. Widziała się tylko z Michaeliem. Czekał na nią za rogiem domu lady Rowan-Hampton w Dublinie; gdy zobaczył jej powiększony brzuch, od razu zorientował się w sytuacji.

– Ty mała dziwko! – wrzasnął jej w twarz. – Wiedziałem, że jest w tym coś więcej! – Pociągnął ją za włosy, a potem przycisnął do muru z taką gwałtownością, że spanikowała i skłamała, że pan Deverill ją zgwałcił. Nie zastanawiała się nad konsekwencjami. Wiedziała, do czego zdolny jest Michael, i modliła się, żeby dał sobie z tym spokój. W końcu miał na głowie tyle ważniejszych spraw, a przede wszystkim wyzwolenie Irlandii spod władzy Anglików. Michael zapewnił, że poinformuje rodzinę o jej wyjeździe do Ameryki.

– Możesz stamtąd napisać do mamy – powiedział. – Ale jedno słówko na temat ciąży i pożałujesz, rozumiesz? Nie pozwolę ci jej zranić opowieściami

o gwałcie.

Gdy wyrwała mu się i uciekała do domu, zawołał za nią:

– I nie mów nikomu, że mnie widziałas. Nigdy mnie tu nie było.

Zastanawiała się, gdzie on się teraz podziewa. Czy wszyscy na farmie wierzą, że ona jest bezpieczna w Ameryce i buduje tam sobie nowe życie? Być może matka siedzi w bujanym fotelu, jak zwykle zajęta cerowaniem, a babcia dorzuca gałązki do paleniska i wędzi śledzia w kominie na kolację. Być może Michael i Sean siedzą przy stole w kręgu przyjaciół, popijają mocne piwo i spiskują. Może Jack z nimi jest... Przymknęła oczy i zobaczyła jego delikatną twarz, która uśmiecha się do niej pokrzepiająco. Z głębi pamięci wydobyła wspomnienie, gdy wraz z Kitty i Celią szukali żaby w strumieniu. I tamte chwile, gdy bawili się na murze. Czułe spojrzenia, jakie rzucał jej Jack podczas mszy, gdy ojciec Quinn wskazywał palcem swoje grzeszne owieczki i groził im piekłem. To były piękne dni. Teraz to zrozumiała, ponieważ nieszczęście dało jej inną perspektywę. Tamte dni były naprawdę szczęśliwe.

Pomyślała o Kitty, swej najdroższej przyjaciółce i prawdziwej miłości Jacka, i miłe wspomnienia zmętniały jak spokojna woda, do której wrzucono kamień. Czy Kitty za nią tęskni? Czy kiedykolwiek o niej myśli? A może zapomniała o swej tajemnej przyjaciółce z kryjówki pod schodami?

Bridie przewróciła się na łóżku. Wyparła wspomnienia z Irlandii. Nie myślała o swoim dziecku ani też nie śmiała się zastanawiać, co się z nim dzieje w klasztorze Matki Bożej Królowej Nieba. Szok z powodu urodzenia dwojga dzieci, z których jedno przeżyło, a drugie zmarło, to za wiele do zniesienia. Zakonnice zabrały nieżywe dziecko, zanim zdążyła na nie spojrzeć. Powiedziały tylko, że to dziewczynka – biedna, mała dziewczynka, która teraz jest w niebie. Gdy rozpacz z powodu straconych dzieci stała się nie do zniesienia, Bridie zatrzęsnęła za sobą te drzwi. Zamknęła je na cztery spusty i przysięgła sobie, że nigdy nie obejrzy się za siebie. Wsłuchiwała się w swój oddech tak długo, aż w końcu zmorzył ją sen, przynosząc błogą ulgę zapomnienia.

Nazajutrz pani McGuire wcześniej ją obudziła. Bridie ubrała się w mundurek, który nosiła w Castle Deverill, a potem w Dublinie, zanim uniemożliwił jej to wydatny brzuch. Choć pognieciony, ponieważ leżał na spodzie walizki, którą ofiarowała jej lady Rowan-Hampton, przynajmniej był czysty. Po pospiesznym śniadaniu złożonym z owsianki i herbaty, poszły do domu pani Eliotowej Grimsby przy Piątej Alei. Odbyły przyjemną przechadzkę przez duży i piękny park, gdzie umundurowane nianie pchały wózki z dziećmi, a wytwornie ubrane kobiety spacerowały z psami.

Na widok domu Bridie ogarnęła panika. Była to wymyślna gotycka rezydencja z ciemnobrązowego kamienia ze złowieszczo wyglądającą wieżyczką wyrastającą z dachu i przykrytą czymś, co wyglądało jak kapelusze czarownicy.

– Nie zrażaj się – powiedziała pani McGuire, podchodząc po schodkach do dużych podwójnych drzwi. – W środku jest całkiem przyjemnie, zapewniam cię.

Bridie stała obok niej i cała się trzęsła. To było jej przeznaczenie. Tu będzie teraz jej dom. Nazywa się Bridget Doyle, a Bridget Doyle niczego się nie boi.

Otworzył im kamerdyner w podeszłym wieku; powiedział, żeby poczekały w holu.

– Muszę wrócić już do pracy – powiedziała pani McGuire. – Głowa do góry, Bridget. Wpadnij do mnie kiedyś. Opowiesz, jak sobie radzisz. Niech Bóg ma cię w swojej opiece.

– Dziękuję, że się pani mną zajęła, pani McGuire – powiedziała Bridie, nagle przestraszona, że zostaje sama w tym niesamowitym domu.

– Masz we mnie przyjaciółkę, nic się nie bój. Po prostu ciężko pracuj. Nie zapominaj, że bieda czeka u drzwi nieróbstwa. – Po tych słowach wycofała się i zeszła po schodkach, nim Bridie zdążyła złapać ją za rękaw i błagać, by jednak z nią została.

Bridie siedziała w obszernym holu na twardej sofie, wpatrując się w lśniącą, czarno-białą szachownicę podłogi i znajdujący się naprzeciwko ozdobny kominek, nad którym wisiał portret spoglądającego władczo z wysokości, spasionego jak świnia mężczyzny w cylindrze i smokingu. W domu panował zaduch, czuć było zapach zgniłych kwiatów. Na ścianie przeciwległej do paradnych drewnianych schodów znajdowały się okna, lecz wszystkie były zamknięte. Słyszała tykanie starego zegara i stłumione odgłosy miasta, ale sam dom był pogrążony w ciężkiej ciszy, jak w kościele, gdzie człowiek boi się otworzyć usta z obawy, że zbudzi umarłych.

Po pewnym czasie wrócił kamerdyner.

– Pani Grimsby teraz cię przyjmie – powiedział i zaczął powoli iść na górę, a jego sztywne kolana trzeszczały na każdym stopniu.

Bridie szła za nim, ciekawa swojej nowej chlebodawczyni, zmieniającej ponoć pokojówki tak często, jak zmarły mąż pani McGuire niszczył skarpetki. Podejrzewała, że było ich mnóstwo.

Przeszła długim korytarzem aż na tył budynku, gdzie wprowadzono ją na oszkloną werandę z kopulastym szklanym dachem i ogromną ilością roślin w kolorowych donicach. Pośrodku tej dżungli na szerokim fotelu siedziała kobieta o bujnych kształtach, głaszcząc kota palcami, które przypominały różowe parówki przyozdobione drogimi kamieniami. Miała na sobie czarną suknię sięgającą do ziemi, a na głowie biały czepeczek z falbankami. Jej biust był tak obfity, że podbródki zdawały się wyrastać wprost z niego, a wielki złoty medalion na łańcuchu dyndał na nim jak bezradny wspinacz nad przepaścią.

– Niech no ci się przypatrzę – powiedziała, gdy kamerdyner dyskretnie się wycofał.

Bridie podeszła bliżej i dygnęła. Pani Grimsby wciągnęła powietrze przez nos i z wolna przesunęła zmrużonymi oczami po Bridie, zupełnie jakby oceniała konia.

– Odwróć się. – Machnęła upierścienioną dłonią, a Bridie zrobiła, co jej kazano. – Cóż, będziemy musiały zmienić ten uniform i obciąć ci włosy, ponieważ nie będziesz miała czasu ich upinać. Poza tym jesteś o wiele za chuda. Mogłabym cię schrupać na śniadanie i nikt by tego nawet nie zauważył.

– Tak, milady.

– Nie jestem żadną „lady”, zwracaj się do mnie „proszę pani”. A ponieważ ty nie jesteś żadną panią, więc będę ci mówić Bridget. – Nacisnęła srebrny przycisk w oparciu fotela. – Panna Ferrel zaprowadzi cię do twojego pokoju i przedstawi ci zakres obowiązków. Mam nadzieję, że jesteś silniejsza niż twoja poprzedniczka, a przede wszystkim mniej histeryczna. Nie znoszę łez. Mam nadzieję, że nie jesteś beksą.

– Nie, proszę pani.

– Dobrze. Sądzę, że umiesz czytać i pisać?

– Tak, proszę pani.

– To nieodzowna umiejętność. Jak widzisz, mój dom jest pełen książek. Kocham książki ponad wszystko na świecie. To moje skarby i nie możesz ich dotykać, jeśli cię o to nie poproszę. Zrozumiałaś?

– Tak, proszę pani.

– Umiesz naprawiać odzież, szyc, prać i tak dalej?

– Tak, proszę pani.

– Pani Hamer powiedziała mi, że byłaś osobistą pokojówką lady Deverill z Castle Deverill w hrabstwie Cork. Czy to prawda?

Bridie nie zamierzała jej poprawiać.

– Tak, proszę pani.

– Dlaczego opuściłaś Irlandię? – Pani Grimsby zmrużyła oczy i zerknęła na moment na jej brzuch, jakby wiedziała o jej hańbie.

– Chciałam coś zrobić ze swoim życiem, proszę pani – odparła bez wahania Bridie.

Stara dama parsknęła, ale przyjęła odpowiedź Bridie.

– Cieszę się, że masz szersze słownictwo niż „Tak, proszę pani”!

– Mam, proszę pani.

– Tak, proszę pani, mam, proszę pani... – Pani Grimsby westchnęła tak głęboko, że fałda podbródka zatoneła w jej biuście. – Mam nadzieję, że nie jesteś słabeuszem. Nie znoszę przerażonych wróbelków. Tak samo zresztą jak Skarbenka. To moja kotka. Zjada przerażone małe ptaszki. Ach, jest panna Ferrel!

Bridie odwróciła się i zobaczyła stojącą w drzwiach surowo wyglądającą kobietę o brązowych włosach, spiętych w koczek na chudym karku, ubraną

w nieatrakcyjny wykrochmalony brązowy uniform.

– Czy ona pani odpowiada? – spytała panna Ferrel.

– Zobaczmy. Jest dość przeciętna. Ale nie potrzebujemy tu ślicznotki, która rozpraszałaby moich gości, nieprawdaż? Obetnij jej włosy, daj uniform Alice i wyjaśnij, jakie mam wymagania. Mój bratanek przychodzi o jedenastej. Niech ona poda nam herbatę. Wysłałaś zaproszenia?

Panna Ferrel skinęła głową.

– Wysłałam, proszę pani. Zostały dostarczone o świcie do rąk własnych.

– Dobrze. A teraz mnie zostawcie.

Panna Ferrel zaprowadziła Bridie na dół do pokoi przeznaczonych dla służby. Gdy już pani Grimsby nie mogła ich usłyszeć, panna Ferrel ciężko westchnęła.

– Obawiam się, że nie zabawisz tu długo – powiedziała życzliwym tonem. – Ona jest okropną despotką i dręczy nowe pokojówki. Nikt nie chce u niej pracować. Po prostu cierpi na samotność. – Uśmiechnęła się współczująco. – Słyszałam, że dopiero przyплыnęłaś z Irlandii?

– Tak – odparła Bridie.

– No cóż, może zostaniesz trochę dłużej, skoro nie masz dokąd pójść.

– Będę ciężko pracować.

– Oczywiście. Wszystkie pracowały ciężko, ale koniec końców nie wytrzymały.

– Od jak dawna pani tu pracuje? – spytała Bridie.

– Dwanaście lat.

– A więc nie może tu być aż tak źle.

– Zapracowałam na jej zaufanie, panno Doyle. Nikomu nie ufa tak jak mnie. I nie muszę jej rozbierać. – Bridie pobladła. – Och, nie powiedziano ci o tym? Będziesz musiała ją niańczyć. To stara kobieta, która wymaga pieczołowitej opieki. Mam nadzieję, że zdołasz to znieść.

Panna Ferrel dała jej brzydki brązowy uniform z białym fartuszkim i kazała usiąść, żeby obciąć jej włosy.

– Szkoda, że musimy się ich pozbyć. Masz piękne włosy – powiedziała, unosząc je do góry i przesypując pomiędzy palcami.

Bridie zachciało się płakać. Zagryzła wargę, aby powstrzymać jej drżenie.

– To tylko włosy – odpowiedziała dzielnie.

– Zostawiłaś w Irlandii jakiegoś chłopaka?

– Nie – odpowiedziała Bridie, gdy jej włosy zaczęły spadać jak gawronie pióra.

– To dobrze. Nie potrzeba, żebyś na domiar złego wiedła tu z tęsknoty. A teraz zapoznam cię z twoimi obowiązkami. Twoja sypialnia sąsiaduje z sypialnią pani Grimsby, a więc może cię zawołać w nocy, jeśli będzie cię potrzebować.

A zapamiętaj moje słowa: ona będzie cię potrzebować. Będziesz wstawać o szóstej i rozpalać u niej w kominku, nie budząc jej. Potem przygotujesz kąpiel i ubranie na dzień...

Gdy panna Ferrel wyliczała jej obowiązki, Bridie upewniała się w duchu, że nic z tego nie przekracza jej możliwości. Czy jej umiejętności szycia i cerowania nie zrobiły wrażenia na pannie Lindsay? Zamierzała być lepsza od innych pokojówek. Nie odstraszy jej ciężka praca ani wymagania pani Grimsby. Gorzej się wycierpiała u zakonnic.

– Masz jeden wolny dzień w miesiącu i pozwolenie na wyjście do kościoła w niedzielę – ciągnęła panna Ferrel. – Jesteś katoliczką?

– Tak, jestem – potwierdziła Bridie.

– Za rogiem jest kościół katolicki. Pracując tu, będziesz potrzebowała boskiej pomocy, a więc radzę ci chodzić tak często, jak to możliwe, ale spiesz się z powrotem. Stara wrona będzie ci liczyć czas, a więc nie pozwalaj sobie na pogaduszki, bo srogo cię ukarze! – Podała Bridie lusterko.

Jeśli przedtem byłam przeciętna, teraz wyglądam wręcz brzydko, pomyślała ponuro Bridie. Włosy sięgały jej do podbródka. Oddała lusterko, gdy zabrzmiał dzwonek do drzwi.

– To jej bratanek, pan Heskin. Jest bardzo obowiązkowy. Odwiedza ją trzy razy w tygodniu. Chodź, poznasz panią Gottersman, kucharkę, i zanieśiesz herbatę. Ona oczekuje po tobie, że od razu będziesz biegła we wszystkim, a więc postaraj się nie upuścić tacy!

Bridie przykryła swoją nową szokującą fryzurę białym czepeczkiem pokojówki i zgodnie z poleceniem wzięła tacę. Była ciężka, stał na niej srebrny dzbanek, filiżanki i wilgotne ciasto z bakaliami, na widok którego ślinka napłynęła jej do ust. Uważała, żeby nie potknąć się na schodach. Pani Grimsby nie zwróciła na nią uwagi, gdy postawiła tacę i nalewała herbatę. Bridie wystarczająco często widziała, jak podawano herbatę w zamku, aby wiedzieć, jak to należy robić, obsłużyła więc najpierw panią Grimsby, podsuwając jej kawałek ciasta, który ta chciwie przyjęła, podnosząc go swymi grubymi palcami i wpychając do ust, a potem obsłużyła jej bratanka. Żadne z nich jej nie podziękowało, ale ponieważ przyzwyczała się do bycia ignorowaną przez Deverillów i ich gości, w ogóle jej to nie obeszło.

Paul Heskin był chudy, ale umięśniony, miał cofnięty podbródek i chytre oczka w kolorze wypolerowanego orzecha. Siedział blisko ciotki i wydawało się, że bardzo stara się ją rozbawić. Bridie była pewna, że nawet flirtuje ze starszą panią, pochlebając jej i mając, jakby była piękną, dwudziestoletnią dziewczyną. Pani Grimsby słuchała jego komplementów z beznamiętnym wyrazem twarzy. Bridie nie potrafiła ocenić, czy bawi ją jego towarzystwo czy wręcz budzi w niej odrazę. Przez cały czas Skarbenka leżała na jej kolanach, podejrzliwie obserwując

Bridie i mrużąc głośno, gdy jej pani głaskała ją za uszami.

Bridie wróciła później, by posprzątać po herbacie. Pani Grimsby była już sama, ponieważ bratanek wyszedł. Siedziała z zamkniętymi oczami, z dłonią spoczywającą na kocim karku. Bridie cicho zebrała filiżanki i zaniósła je na dół. Następnie poprosiła pannę Ferrel, żeby zaprowadziła ją do sypialni pani Grimsby; zamierzała zabrać pościel do prania i pościła łóżko. Kiedy weszła do pokoju, zaszokował ją panujący tu bałagan. Duże łóżko było nieposłane, ciężkie zasłony nadal zaciągnięte; ubrania wisiały na oparciach krzeseł i poniewierały się po podłodze, na toaletce stały otwarte buteleczki perfum i olejków.

– Alice odeszła dziś rano – wyjaśniła panna Ferrel. – Nawet nie posprzątała przed odejściem. Miała serdecznie dość.

Bridie rozsunęła zasłony i otworzyła szeroko okna, następnie pościła łóżko i posprzątała w pokoju. Zebrała brudną pościel i zaniósła do pralni. Dobrze wykonana praca przyniosła jej satysfakcję. Uznała, że to teraz najlepszy sposób na życie; dzięki ciężkiej pracy nie pozwoli, by wspomnienia przeszłości znów sprowadziły na nią cierpienia.

Na lunch przyszli goście. Bridie pomagała kamerdynerowi podać do stołu i sprzątnąć. O piątej podała herbatę i posprzątała po niej o wpół do siódmej. Gdy wszyscy wyszli, rozpałała ogień w salonie i poprawiła poduszki na kanapach. O siódmej wezwała ją pani Grimsby, aby pomogła jej się rozebrać i wykapać. Poprzedniego wieczoru Bridie została pouczona przez panią McGuire, jak odkręcić kurki, żeby napełnić wannę. Teraz dołała jeszcze trochę olejku z kryształowej buteleczki stojącej na marmurowym obramowaniu, nasycając łazienkę zapachem róż.

Pani Grimsby gromkim głosem wydawała rozkazy, a Bridie usługiwała jej bez najmniejszych oznak zniecierpliwienia. Praca przynosiła jej ulgę. Znalazła również zaskakujące pocieszenie w obcesowym traktowaniu jej przez panią Grimsby; gdyby była dawną miłą Bridie, mogłaby się załamać i rozplakać. Ale teraz chroniła ją stalowa zbroja jej nowej osobowości. To Bridget przyjmowała na siebie wszelkie zniewagi, podczas gdy Bridie pozostawała gdzieś w głębi, odizolowana od świata, który tak ją zranił.

Nie przeszkadzała jej ani groteskowa otyłość jej nowej chlebodawczyni, ani to, że musi w kąpieli szorować fałdy tłuszczu na jej plecach. W nocy pani Grimsby budziła ją co dwie godziny i kazała się przewracać, co nie było łatwym zadaniem, zważywszy, jak bardzo była ciężka; czasami wołała na Bridie, żeby przykryła jej stopy kocem, ponieważ się odkryła i było jej zimno, albo wzywała ją, żeby podała jej nocnik. Ale nocne wezwania okazały się dla niej niespodziewanym błogosławieństwem, gdyż chroniły ją przed sennymi koszmarami, w których zakonnice podobne do czarownic na sabacie dręczyły ją i zabierały jej dzieci. W miarę upływu czasu, gdy musiała obcinać paznokcie u rąk i nóg pani Grimsby,

myć jej włosy, wcierać balsam w otarcia na pofałdowanej skórze, przyzwyczaiła się do cierpkiego zapachu starej kobiety oraz jej bezustannych żądań. Wyglądało to tak, jakby pani Grimsby testowała, jak daleko może się posunąć, a Skarbenka przez cały czas bacznie obserwowała nową pokojówkę w nieustającym oczekiwaniu, choć Bridie nie wiedziała na co.

W pierwszą niedzielę Bridie wyszła z domu, żeby wziąć udział w mszy. Kościół znajdował się dwie przecznice dalej. Po raz pierwszy od przyjazdu Bridie wychynęła na dwór i teraz napawała się wiosennym słońcem, które opromieniało jej twarz wspaniałym blaskiem, i ciepłym wiatrem muskającym jej skórę. Pragnęła przejść się po parku i posłuchać śpiewu ptaków. Przyrodę w Irlandii uznawała za oczywistość. Teraz przypominała sobie terkot derkaczy, krakanie gawronów i ćwierkanie wróbli w żywopłotach. Wdychając w nozdrza zapachy miasta, tęskniła za wonią wilgotnej ziemi i morza.

W dużym kościele było zimno, a zapach kadzidła przypomniawszy jej dom. Przy ołtarzu stał wielki wazon ze wspaniałym bukietem białych lilii. Ich widok dodał Bridie otuchy. Znalazła wolne krzesło blisko ołtarza i czekała na rozpoczęcie mszy. Kościół bardzo się różnił od tego w Ballinakelly. Kapłan wyglądał na dobrodusznego człowieka i miał łagodny głos; chór śpiewał jak anioły, a wierni uśmiechali się do niej, dzięki czemu poczuła się tu mile widziana. Atmosfera zupełnie nie przypominała tej pełnej strachu w kościele ojca Quinna. Po zakończeniu mszy Bridie zapaliła świece i pomodliła się za pozostawioną w domu rodzinę. Raz jeszcze ścisnęło ją w sercu na myśl o matce i babci siedzących przy palenisku, braciach spiskujących przy stole, a postać ojca wynurzyła się jasno i wyraźnie z mroków jej tęsknoty. Potem ukłucie tęsknoty przerodziło się w ból, gdy zadrżał knot w świecy, którą zapaliła za dwoje swoich utraconych dzieci, i przycisnęła rękę do klatki piersiowej w beznadziejnej próbie ukojenia zękanego serca. Pamiętając ostrzeżenia panny Ferrel, nie czekała, żeby z kimś porozmawiać, ale pospieszyła do domu. Poczuła ulgę, że dotarła do kuchni akurat w chwili, gdy zadzwonił dzwonek i została wezwana na werandę.

Pani Grimsby miewała wielu gości. Czasem Bridie widywała jej prawnika, pana Williamsa, pulchnego mężczyznę w okularach, z ulizanymi czarnymi włosami zaczesanymi do tyłu, co nadawało mu aurę autorytetu i inteligencji. Pojawiał się ubrany w trzyczęściowy garnitur, ze złotym kieszonkowym zegarkiem na łańcuszku, podkreślającym jego okazały brzuch, i w czarnym kapeluszu, który zdejmował w obecności pani Grimsby. Długo przesiadywał z panią Grimsby, popijając herbatę i wyciągając z teczki jakieś dokumenty. Czasem po jego wyjściu pani Grimsby wzywała swego zaufanego kamerdynera, pana Gordona, który pracował u niej od ponad czterdziestu lat. Był wysoki jak tyczka, miał lśniącą, łysą głowę i długą, kwadratową szczękę. Delikatnie poklepywała go wtedy po rękę, szepcząc coś konfidencko, jakby powierzała mu jakiś sekret. Innym razem

wzywała pannę Ferrel i poklepywała jej dłoń.

– Co ja bym bez ciebie poczęła, Ferrel? Boże, świat to okrutne miejsce, ale dzięki tobie, Ferrel, upewniam się, że jest też na nim dobro.

Częstym gościem był jej bratanek; przymilał się do swej ciotki jak do królowej. A gdy wychodził, w jego próżnym, zadowolonym z siebie wyrazie twarzy kryło się coś obrzydliwego. Bridie nie była jeszcze pewna, co to jest.

*

Mijały miesiące. Dni robiły się coraz dłuższe i wreszcie nadeszło lato, duszne i gorące w mieście. Bridie pracowała bez słowa skargi. Jej szycie było staranne, cery prawie niewidoczne, pranie i prasowanie nieskazitelne, jak u doświadczonej pokojówki. Wmówiła sobie, że Bóg wybaczy jej grzechy, jeśli będzie ciężko pracować. Czyż ojciec Quinn nie głosił, że cierpienie oczyszcza duszę? Praca, prócz tego, że traktowała ją jak pokutę za grzechy, odrywała ją również od myśli o domu, które paliły jej serce tęsknotą i dręczyły żalem. Przeto szukała ukojenia w swoich obowiązkach. Nauczyła się uprzedzać życzenia pani Grimsby. Gdy chlebobawczyni wydawała jej jakieś polecenie, zwykle okazywało się, że Bridie już to zrobiła. Była cierpliwa, niestrudzona i obowiązkowa. Panna Ferrel nie posiadała się ze zdziwienia, ponieważ pokojówki pani Grimsby nigdy nie wytrzymały dłużej niż miesiąc.

W czerwcu upał zrobił się nie do zniesienia. Pani Grimsby oznajmiła, że przenosi się z całym personelem do swojego letniego domu w Hamptons i że zabawi tam do września. Pomimo wzmagającego się upału Bridie nie chciała opuszczać Nowego Jorku; zadomowiła się tu, pomiędzy gotycką rezydencją przy Piątej Alei a kościołem. Codzienna rutyna przynosiła jej spokój ducha. Teraz musi zapoznać się z kolejnym domem i raz jeszcze polegać na surowej pannie Ferrel, która przedstawi jej zakres obowiązków w nowym miejscu.

W przeciwieństwie do rezydencji na Manhattanie letni dom pani Grimsby przypominał wspaniały różowy pałacyk z zielonymi okiennicami i szeroką werandą z widokiem na ocean. Pokoje były duże, przewiewne, okna wysokie, podłogi drewniane, a sofy i fotele obite jasnymi materiałami. Panowała tu całkiem inna atmosfera niż w przytłaczającym i posępnym domu w mieście. Ale tak samo jak w Nowym Jorku i tutaj otaczał panią Grimsby tłum wielbicieli. Przychodziło do niej mnóstwo ludzi i codziennie chłopcy w uniformach dostarczali dla niej zaproszenia. Często opuszczała rezydencję, żeby odwiedzić sąsiadów i przyjaciół, wracała późno, czasem nawet na rauszu, ale wydawało się, że nie czerpie przyjemności z tych wyjść. Na jej twarzy malował się niezmiennie grymas niezadowolenia i była równie wymagająca i nieprzyjemna jak na Manhattanie. Bridie była zachwycona spokojem długich, białych plaży oraz jasnym, lazurowym oceanem, ale na pani Grimsby urok pejzażu zdawał się nie robić żadnego wrażenia.

Bridie zastanawiała się, czy cokolwiek uszczęśliwiłoby jej panią. Na pewno ta stara kobieta też ma serce. Cóż takiego mogłoby je poruszyć?

Rozdział 25

– Bridget, moja sukienka skurczyła się w praniu – padło oskarżenie, gdy Bridie usiłowała dopiąć haftki na plecach swojej pani. – Co ty sobie wyobrażasz? Jak ja tak wyjdę?

Bridie chciała jej powiedzieć, że to nie suknia się skurczyła, tylko jej ogromne ciało jeszcze się powiększyło, ale przezornie milczała.

– Doprawdy, nie wyobrażam sobie, jak lady Deverill z tobą wytrzymała. Nie warto zatrudniać niedbałej pokojówki. Nie masz przed sobą przyszłości, skoro nie potrafisz uprać sukienki, żeby nie skurczyła się do dziecięcego rozmiaru. Pewnie myślisz, że utylam, co? Tak, tak, wiem, co się dzieje w twoim pokrętnym małym mózdzku!

Bridie pozwoliła jej dalej perorować. Doświadczenie nauczyło ją, że najlepiej milczeć, ponieważ pani Grimsby nakręcała się, gdy jej odpowiadano. W końcu udało się Bridie zaczepić haftki o pętelki i dopiąć suknię, aczkolwiek została mocno naciągnięta na szwach.

– Ledwie mogę oddychać, Bridget. Chcesz mnie udusić? Chciałabyś widzieć mnie już w trumnie tak jak cała reszta, co? – Pani Grimsby odwróciła się, twarz miała różową i spoconą. – Oni wszyscy myślą, że nie potrafię ich przejrzeć, ale bardzo się mylą. Uważają mnie za idiotkę, ale to oni są głupi. Dokładnie ich przejrzałam! To chciwi, zachłanni, dwulicowi padlinożercy! Pieniądze to wielkie przekleństwo, Bridget. Pewnie uważasz, że nie mam racji? Ale uwierz mi, gdy się jest bogatym, nigdy nie wiadomo, czy ludzie naprawdę cię lubią, czy tylko chcą od ciebie coś wyciągnąć. Czasami wolałabym być biedna jak ty, ale mieć choć jednego przyjaciela, który kocha mnie za to, kim jestem. Masz jakąś przyjaciółkę, Bridget?

– Nie – odpowiedziała cicho Bridie.

– Bo nie starasz się być miłą. Powinnaś częściej się uśmiechać. – Stara dama zachichotała z trudnością, ponieważ suknia opinała ją jak kaftan bezpieczeństwa. – Przypuszczam, że zaczniesz biadolić, że utrudniam ci życie. Cóż, moje życie też jest trudne, Bridget. Po śmierci Eliota wszystko się zmieniło. Zostałam sama, tak jak ty teraz. Musiałam walczyć o siebie. Podobnie jak ja nabierzesz siły i odporności. Może nawet nauczysz się uśmiechać. A dzięki temu, kto wie, może złapiesz męża. A wtedy będziesz mogła bezkarnie kurczyć jego rzeczy w praniu. W żadnym razie nie mogę wyjść w tej sukni. Zniszczyłaś ją bezpowrotnie. Znajdź mi inną, może tę niebieską, chyba że też się skurczyła?

Pani Grimsby ostatecznie wyszła z domu w niebieskiej sukni; jej wielki biust

niemal rozdzierał szwy przy dekolcie, gdy wachlowała się energicznie, z trudem oddychając. Bridie obserwując, jak odjeżdża, odetchnęła z ulgą. Przyzwyczaiła się już do zniewag, ale nie była na nie obojętna. Powędrowała myślami do tej pierwszej, gdy pan Deverill ją przytulał, a jej serce paliła tęsknota za czyimś uczuciem. Oparła się o ścianę w holu, czując zawrót głowy, ponieważ wspomnienia sforsowały jej system obronny i przypomniały czasy, gdy była nie tylko przyjaciółką Kitty, ale również kochanką jej ojca. Mężczyzny o silnych ramionach, ujmującym uśmiechu i oczach, które zaglądały głęboko w jej duszę, sprawiając, że czuła się kochana. Nagle pojawiła się przed nią twarz matki i babki, starej pani Nagle, palącej fajkę w fotelu przy palenisku. Ale zanim dała się ponieść wizjom, w holu pojawił się Gordon i wymownym kasznięciem przerwał jej mrzonki.

– Co ty tu robisz, dziewczyno? – spytał władczo, ponieważ nie miała nic do roboty przy frontowych drzwiach.

– Odprowadzałam panią Grimsby do samochodu – odparła Bridie, otrząsając się ze wspomnień i melancholii.

– Powinnaś mnie zawołać. Pracuję u pani Grimsby od czterdziestu lat. To moja rola odprowadzać ją do samochodu i pomagać przy wejściu do środka. Czy zaopatrzyłaś ją w butelkę wody?

– Nie...

– O, Boże! – Wyraźnie czerpał przyjemność z jej niedopatrzenia. – Jest bardzo gorąco i na pewno wkrótce zechce jej się pić. Zawsze lubi mieć butelkę wody w samochodzie.

– Przypuszczałam, że szofer...

– Nigdy niczego nie przypuszczaj, panno Doyle. To dzięki właściwemu przewidywaniu jestem jej najbardziej oddanym i zaufanym służącym. Musisz używać głowy, tak żeby ona nie musiała się o nic martwić. Jest stara i krucha, chociaż na taką nie wygląda. Ja widzę jej delikatniejszą stronę, co jest przywilejem nielicznych. Gdy wróci do domu, będzie bardzo spocona i zdenerwowana. Lepiej zawniczej przygotuj chłodną kąpiel i zimną wodę. Czy powiedziała ci, dokąd się wybiera?

– Nie – odrzekła Bridie.

Gordon spojrzał na nią z pobłażliwym uśmiechem.

– Cóż, może jestem niedyskretny, ale myślę, że wyszła na lunch ze swoimi krewnymi, którymi pogardza. Po powrocie będzie w bardzo złym humorze. Lepiej się na to przygotuj. To i tak cud, że wytrzymałaś tak długo. Panna Ferrel mówi, że to dlatego, że nie masz dokąd pójść. – Pokręcił głową. – Prawdziwy test na wytrzymałość. A może myślisz, że znajdziesz jej słaby punkt?

– Nic podobnego, panie Gordon.

– Co do tego jednego możesz mieć pewność, panno Doyle. Zdobyć jej

zaufania zajęło mi trzydzieści lat. Wątpię, żeby została z nami jeszcze tak długo. A jeśli chodzi o ciebie, zdziwię się, jeśli wytrwasz tu kolejne trzydzieści dni.

Bridie wycofała się na górę. Wytarła łzy i zajęła się sypialnią pani Grimsby, robiła porządki i odwieszała na wieszaki rozrzucone na łóżku suknie, za ciasne na powiększające się ciało starej kobiety. Zastanawiała się, czemu pani Gottersman ciągle piecze ciasta; na pewno kucharka widzi, że jej pani wciąż tyje. Bridie przysiadła na moment i oparła głowę na dłoniach. Była zmęczona. Od miesięcy nie przespaa spokojnie ani jednej nocy. Pani Grimsby miała w zwyczaju budzić ją z najbliższych powodów, na przykład sprawdzenia, czy za zasłoną nie ma ducha, a być może po prostu po to, by upewnić się, że nie jest sama – lub żeby podać jej nocnik. Jak to możliwe, żeby człowiek wypełniał go tak często i z takim upodobaniem?

Bridie czasami miała ochotę poprosić panią McGuire, która odebrała ją z Ellis Island, żeby znalazła jej inną posadę. Ale przecież wyświadczyła jej już tyle uprzejmości... Zresztą Bridie nawet nie miała czasu, żeby odwiedzić tę życzliwą kobietę; rzadko wychodziła z domu i miała niewiele wolnych dni. Poza tym nie chciała przyznać się do porażki, nie tylko przed panią McGuire, ale również przed sobą. Przekroczyła boskie przykazania, nosząc nieślubne dzieci; musiała naprawić ten grzech ciężką pracą i poświęceniem. Musi błagać Boga o wybaczenie. Musi być dobra.

Gdy pani Grimsby wróciła po południu, Gordon przywitał ją przy drzwiach. Bridie obserwowała ich zza ściany na podeście schodów. Rozmawiali ściszymi głosami, kamerdyner pochylał się nad swą chlebobawczynią jak trzcina, ich głowy nieomal się stykały. Pani Grimsby klepała go po dłoni i kręciła swymi obwisłymi podbródkami, okazując wdzięczność za to, co powiedział. Gordon przechylił głowę na bok, wsłuchując się uważnie i ze współczuciem w jej słowa. Starsza kobieta uśmiechnęła się słabo, wachlując spoconą twarz, rozgrzaną upałem i zapewne winem, co sugerował jej lekko chwiejny krok. Pani Grimsby jeszcze raz poklepała Gordona po ręce, spojrzała na niego spod wytuszowanych rzęs i zrobiła minę, którą Bridie uznała za zalotną – minę dziewczyny dającą cię nadziei chłopakowi, któremu się podoba.

Po chwili pani Grimsby zaczęła się wspinać po schodach. Bridie wyszła jej na spotkanie.

– Dzień dobry pani – powiedziała.

Twarcz kobiety nagle spochmurniała. Zniknęła gdzieś uśmiechnięta dziewczyna, a wróciła gderliwa stara baba, z trudem poruszająca się w o wiele za ciasnej sukni.

– Natychmiast mnie z tego uwolnij! – warknęła, zmierzając do sypialni. – Nie powinnaś mi pozwolić włożyć tej sukni! Myślałam, że zemdleję! – Niepewnym krokiem weszła do pokoju i oparła się brzuchem o komodę, żeby

Bridie mogła jej rozpiąć suknię. Wreszcie zrzuciła ją z siebie, podeszła do łóżka i padła na nie w halce. Wielkie cielsko leżało bezwładnie rozciągnięte na kapie jak woskowa figura; oczy miała zamknięte, otwarte usta, oddech rzęził jej w piersiach.

– Wachluj mnie! – zażądała.

Bridie znalazła na półce wachlarz i zaczęła nim poruszać przed twarzą pani Grimsby, aż kosmyki jej siwych włosów falowały jak trawy na wietrze. Powoli pot błyszczący pod nosem i nad górną wargę wysechł. Bridie milczała. Słuchała oddechu swej pani. Zdawało jej się, że kobieta zasnęła. Od czasu do czasu pochrapywała, a jej ciało przeszywał nerwowy dreszcz. Raz otworzyła oczy i ku swemu zaskoczeniu zobaczyła, że pokojówka nadal stoi nad nią i ją wachluje. Bridie bała się odejść. Wiedziała, że jeśli pani Grimsby się obudzi i zauważy, że Bridie sobie poszła, będzie miała do niej pretensje. Trwała na posterunku, poruszając wachlarzem, aż rozbolały ją ramiona.

*

Letnie dni robiły się coraz krótsze. Pani Grimsby piła herbatę na werandzie i zarzucała na ramiona szal, gdy słońce chowało się za domem, a w powietrzu narastał chłód. Wydawała się coraz bardziej zmęczona ludźmi; wychodziła rzadziej i przyjmowała mniej gości. Wołała siedzieć sama, wpatrując się w ocean albo w okularach zsuniętych na czubek nosa czytać książki.

Pewnej niedzieli pod koniec sierpnia Bridie została wezwana do ogrodu. Pani Grimsby, ubrana w długą suknię w kolorze gołębiej szarości, siedziała w bujanym fotelu, wsłuchana w śpiew ptaków. Była zamyślona, na jej twarzy malowała się zaskakująca łagodność.

– Poczytaj mi – poprosiła, podając Bridie książkę. – Czytaj z uczuciem. Alice miała taki martwy głos. Zresztą wyglądała jak martwa ryba wisząca w ramce na ścianie. No już, zaczynaj. Nie róbmy ceremonii. – Pogłaskała kota i wyczekująco przymknęła oczy.

– William Butler Yeats, *Wiersze wybrane* – przeczytała Bridie.

– Moja ulubiona książka. To irlandzki poeta. Pomyślałam, że spodoba ci się te wiersze. Chcę posłuchać, jak ktoś je czyta z irlandzkim akcentem, nabiorą wtedy autentyzmu.

Pani Grimsby nie otwierała oczu. Bridie zaskoczyła życzliwość w jej głosie. A może wybrała irlandzkiego poetę, żeby ją dręczyć?

– Znasz Yeatsa? – spytała po chwili.

– Tak – odpowiedziała Bridie.

– To dobrze. Nie ma nic bardziej męczącego niż głupia kobieta, zwykł mawiać mój ojciec. Nauczył matkę wszystkiego, co sam wiedział. Nie urodziła się w uprzywilejowanej klasie, ale miała chłonny umysł. Nie jesteś piękną, Bridget, ale jeśli do tego będziesz głupia, żaden mężczyzna się z tobą nie ożeni. –

Otworzyła oczy i popatrzyła na Bridie jak jastrząb na swoją ofiarę. – A chcesz wyjść za mąż, nieprawdaż?

– Nigdy nie wyjdę za mąż – odpowiedziała stanowczo Bridie, odwzajemniając spojrzenie pani Grimsby z taką śmiałością, że aż ją samą to zaskoczyło.

– Nadzwyczajne! – Bridie spuściła wzrok, ponieważ nie mogła znieść badawczego spojrzenia tej kobiety. – Oczywiście, że wyjdiesz za mąż – ciągnęła natarczywym tonem pani Grimsby. – Wszystkie dziewczęta w końcu wychodzą za mąż, ponieważ żyjemy w świecie mężczyzn, Bridget, i kobieta pozostawiona sama jest bezradną istotą, jeśli nie ma pieniędzy, rzecz jasna. Pieniądze nie gwarantują szczęścia, jestem na to doskonałym przykładem. Ale dają poczucie siły, Bridget. – Pogłaskała kota. – Cała sztuka polega na znalezieniu odpowiedniego mężczyzny. A to prawdziwy hazard.

– Jestem teraz u pani na służbie, proszę pani. Nie wybiegam myślami w przyszłość.

Pani Grimsby zmarszczyła brwi.

– A dzieci?

Bridie odpowiedziała bez najmniejszego zawahania:

– Nie marzę o dzieciach. – Jej serce mocno się ścisnęło, ale cierpiała w milczeniu.

– Nie zostałam pobłogosławiona dziećmi, natomiast mam wielki majątek. Eliot był utalentowanym przemysłowcem. Jak widzisz, nie mam nikogo, tylko te pasożyty, które lgną do mnie ze względu na moje pieniądze. Popatrz na Paula, mojego bratanka. Prawdziwa z niego hiena. Myślisz, że on lubi do mnie przychodzić?

– A tak nie jest?

– Oczywiście, że nie! Tylko czeka, aż umrę. Wszyscy oni pragną choć kawałka mojego majątku. – Parsknęła pogardliwie. – No, możesz już zaczynać. Przeczytaj *Skradzione dziecko*[8].

Bridie znalazła właściwą stronę. Wzięła głęboki oddech.

Tam gdzie skalista wyżyna

Lasem Sleuth gęstym pokryta

W jezioro z wyspą się wcina...

Zerknęła na panią Grimsby, która siedziała z zamkniętymi oczami i podbródkami przyciśniętymi do biustu. Nie poruszała nawet palcami, zatopionymi w futrze kota śpiącego spokojnie na jej kolanach.

Uchodź uchodź ludzkie dziecię

Puszcza dzika niech skryje cię

Z wrózką leśną za pan brat

*Bo nie pojmiesz nigdy tego
Jaki smutny jest ten świat.*

Nie otwierając oczu, pani Grimsby zaczęła recytować wraz z nią:
*Gdzie księżyc blask oblewa
Szare piaski światłem swym
Popod nocnym dachem nieba
W Rosses tańczmy ile sił
Niech się taniec w taniec zmienia
Łącząc ręce i spojrzenia...*

Głos starszej kobiety zamarł i westchnęła z wyraźną przyjemnością.
– Pięknie, Bridget. Pięknie. – Znów westchnęła.

Bridie czytała dalej, twarz miała zarumienioną z powodu nadzwyczajnego komplementu oraz tonu głosu swej chlebodawczyni, który sugerował, że mówi szczerze. Kiedy dotarła do końcowego wersu, jej oczy wypełniły łzy. Starła się powstrzymać drżenie w głosie, ponieważ każda linijka zbliżała ją coraz bardziej do domu.

*Odchodzi z nami dziecię
Co ma poważne oczy
Nie usłyszysz już cielaków
Głosu znad łagodnych zboczy
Czas pożegnać szept czajnika
Co niepokój w piersi koi
Albo myszy co umyka
Za gar z owsem gdy się boi.*

W tym momencie zobaczyła swoją matkę i ojca tańczących wokół kuchennego stołu, ich oczy błyszczące radością, ich bez troskie uśmiechy tylko dla siebie, i była pewna, że słyszy dźwięk skrzypiec niesiony z wiatrem przez ocean czasu i przestrzeni.

– Znakomicie to przeczytałaś – pochwaliła cicho pani Grimsby, gdy Bridie skończyła. Bridie podniosła wzrok znad książki i zauważyła, że policzki jej pani są różowe i lśniące jak u dziecka. – Opowiedz mi o Irlandii – poprosiła delikatnym tonem, który całkowicie zaskoczył Bridie. – Naprawdę jest tak piękna, jak opisuje ją Yeats?

– Jeszcze piękniejsza – odparła Bridie, a w sercu coś szarpnęło ją boleśnie na myśl o głosach cielaków na łagodnych łąkach.

– Czy naprawdę są tam wróżki?

– Moja przyjaciółka, Kitty, przez cały czas widzi wróżki – odrzekła cicho

Bridie, nagle bojąc się, że powiedziała za wiele i za chwilę pani Grimsby mocno ją zgani za tę śmiałość.

Ale pani Grimsby tego nie zrobiła. Wyraźnie zastanawiała się nad słowami Bridie, a potem spytała:

– Panna Kitty Deverill?

– Tak.

– Ona była twoją przyjaciółką?

– Była... – Głos Bridie zamarł. Kitty już nie była jej przyjaciółką.

– Niezwykłe! – Pani Grimsby otworzyła oczy. – Domyślam się, że matka Kitty nie była zachwycona waszą przyjaźnią.

– Nigdy się nie dowiedziała.

Pani Grimsby uniosła brwi.

– No tak, oczywiście. Chytrze z twojej strony.

Bridie się zawstydzila, ale pani Grimsby tylko się roześmiała.

– Opowiedz mi o Kitty.

– Jest bardzo odważna.

Pani Grimsby chciała dowiedzieć się więcej.

– Jak wygląda? Jaki ma charakter?

Bridie położyła książkę na kolanach.

– Ma włosy w kolorze tycjanowskiej czerwieni i bardzo niezależne usposobienie. Widzi też duchy. Ten dar odziedziczyła po swojej babci.

– Duchy? Jakie duchy? – Pani Grimsby pochyliła się do przodu w fotelu.

Bridie zamknęła książkę.

– W Castle Deverill jest wiele duchów.

– Jak to możliwe?

– To długa historia.

– Przed nami całe popołudnie. – Starsza pani wyprostowała się i rozsiadła w fotelu jak kwoka na jajkach. – Zaczynaj od początku.

Bridie odetchnęła głęboko, nadal powątpiewając w szczerą entuzjazmu pani Grimsby.

– A więc zacznę od klątwy ciążyącej nad Bartonem Deverillem...

8 Fragmenty wiersza *The stolen child* w tłumaczeniu Barbary Dziedzic.

Rozdział 26

Londyn, Anglia, 1922

Kitty czekała na wieści od Jacka. Brak jakiejkolwiek informacji stanowił dla niej prawdziwą udrękę. Pociechę znajdowała w dziecku, nazwanym jego imieniem, oraz w rozrywkach towarzyskich, w które wciągała ją Celia. Ale nie przestawała myśleć o Jacku. Dopiero w marcu otrzymała list za pośrednictwem Grace.

15 marca 1922

Moja ukochana Kitty

Piszę do Ciebie z Cork, gdzie marnieję w więzieniu za swoje grzechy. Prawdopodobnie słyszałaś, że nie udało mi się dotrzeć do Ameryki. Dzięki temu przynajmniej jestem bliżej Ciebie. Patrzę na niebo i wiem, że widzisz taki sam błękit. To jedyne pocieszenie. Nie sądzę, żebym stanął przed plutonem egzekucyjnym. Być może Brytole nauczyli się czegoś na swoich błędach z szesnastego roku! Ale nie wierzę, żeby mnie wypuścili. A więc, moja kochana, posłuchaj uważnie: gnicie tutaj będzie dla mnie lżejszą katorgą, jeśli będę wiedział, że idziesz do przodu i nie rozpaczasz nade mną. Nie trać czasu i na mnie nie czekaj, ponieważ zestarzejesz się i zgorzkniejesz, zanim wyjdę! Piękna Kitty, znajdź sobie mężczyznę, który Cię pokocha i którego Ty pokochasz. Zwalniam Cię z danej mi obietnicy, tak samo jak Ty musisz zwolnić mnie z mojej. Widać nie było nam przeznaczone być razem. Teraz to wiem. Ale moje życie jest słodsze ze świadomością, że mnie kochałaś.

Prawdziwe jest twierdzenie, że jeśli kogoś kochasz, pozwól mu odejść. Kocham Cię bardziej niż siebie, Kitty.

Jack

Łzy Kitty spadały na papier, rozmazując atrament. Pospiesznie odłożyła list i schowała twarz w dłonie. Poczekaj na Jacka. Tak długo, jak będzie trzeba. Pomysł zakochania się w kimś innym zabrzmiał jak klątwa. Jej serce należało do niego. Zawsze będzie należeć.

Odkąd przybyła do Londynu z małym Jackiem, przyjemnie zaskoczyły ją reakcje ludzi. Celia uważała, że posiadanie dziecka przez niezamężną kobietę to prawdziwa ekstrawagancja. Beatrice podziwiała jej wspaniałomyślność. Digby uważał, że dziecko jest bardzo podobne do niej, na co Maud odpowiedziała

szorstko, że połowa Irlandczyków ma rude włosy. Victoria w ogóle nie wykazała zainteresowania. Harry, wprost przeciwnie, stanął po stronie Kitty, ale ze względu na wiążący ich sekret, zażądał, żeby powiedziała mu prawdę. Gdy mu ją wyjawiała, skrytykował ojca, że był takim głupcem, ale popierał Kitty w jej decyzji wychowania dziecka.

– Pewnego dnia mogę mu być wdzięczny, zważywszy na moje szanse na ojcostwo – szepnął z ironicznym uśmieszkiem.

– Mama będzie bardzo rozczarowana, jeśli nie przedłużysz naszego rodu – powiedziała Kitty.

– Biedna mama, tak wiele musi znieść rozczarowań. Zaczynam naprawdę jej współczuć.

– Nie daj się zwieść, Harry. Mama jest odporna jak chwast, który pleni się wszędzie.

Kitty napisała do swojej siostry Elspeth, wyjaśniając jej, że w akcie miłosierdzia wzięła dziecko porzucone na progu Hunting Lodge. Wyjaśniła, że wyjechała do Londynu, ponieważ ojciec nie zgodził się, aby z cudzym dzieckiem przebywała pod jego dachem. Nie było to całkiem dalekie od prawdy, a nie chciała, żeby Elspeth nasłuchiwała się plotek z innych źródeł. Wiedziała, że Elspeth będzie ją wspierać. Jeśli kiedykolwiek potrzebowalaby schronienia w Irlandii, może liczyć na siostrę.

Jeśli nawet w londyńskim towarzystwie o niej plotkowano, Kitty nigdy się o tym nie dowiedziała. Prawdę mówiąc, wcale jej to nie obchodziło. Z dala od Irlandii rzuciła się w wir życia towarzyskiego z takim zapamiętaniem, jakby próbowała się w nim zatracić. Brała udział we wtorkowym salonie Beatrice, w równym stopniu zachwycając i zdumiewając gości, ponieważ była do bólu szczerą, inteligentną i rozprawiała na bieżące tematy ze śmiałością mężczyzny. A jeśli znalazł się śmiałek i się z nią spierał na temat irlandzkiej polityki, wkrótce tego żałował, ponieważ nie obawiała się przyznawać do swego poparcia dla IRA i była lepiej poinformowana niż większość towarzystwa. Beatrice mile widziała swoją ekstrawagancką kuzynkę, ponieważ dodawała pieprzu jej przyjęciom. Kitty chodziła na lunche z Celią i licznym gronem jej przyjaciół do najmodniejszych restauracji Londynu i tańczyła przez całe noce w klubach, gdzie grano jazzową muzykę, świeżo importowaną z Ameryki. Nauczyła się tańczyć charlestona, ubierała się w modne krótkie sukienki z opuszczoną talią i zaczęła palić. Odwiedzała muzea i teatry z Harrym i Boysiem, udając, że nie dostrzega ich ukradkowych spojrzeń i przelotnych pieszczot. Była duszą towarzystwa, wszyscy chcieli ją mieć na swoich przyjęciach, mimo że stare szacowne matrony uważały, że jest kobietą frywolną, a w dodatku Irlandką, co ich zdaniem stanowiło niebezpieczną kombinację.

Kitty przystosowała się do nowego życia, ale nie zapomniała o Jacku.

Codziennie pisała do niego list i wysyłała do więzienia w Cork. Z niecierpliwością czekała na odpowiedzi, ale one nie nadchodziły.

Jeśli Maud obawiała się, że Kitty nigdy nie znajdzie męża, jej obawy okazały się całkiem nieuzasadnione. Wojna, co prawda, uszczupliła zasoby młodych kawalerów, ale pozostali przy życiu szybko potracili głowy dla Kitty. Fakt, że wychowywała dziecko, wydawał się nie mieć znaczenia; to nie było jej dziecko, a poza tym jej miłość do maleńkiego podrzutka budziła podziw. A Kitty kokietowała ich i zachęcała, to znów stawała się chłodna i niedostępna, niczym wiatr w jednej chwili ciepły i delikatny, a w następnej zimny i porywisty. Ale stale przykuwała ich uwagę i intrygowała, ponieważ nigdy nie mogli być pewni skuteczności swoich zalotów.

*

Nadeszło lato, a wraz z nim pojawiła się na świecie córeczka Victorii, której nadano pompatyczne imiona Alexandra Mary Victoria, w pełnym brzmieniu: lady Alexandra Mary Victoria Casselwright.

– Czy nie mogła wymyślić jakiegoś imienia, które nie należałoby do królowej? – zakpiła Kitty do Celi.

– Następny będzie chłopiec: George William Edward Eric – podśmiewała się Celia. – Eric, po tatusiu, też będzie musiał gdzieś tam się zmieścić. Biedne dziecko!

– Przynajmniej mama nie spędzi z nami lata. Victoria ma teraz dziecko, nad którym będzie mogła gruchać – zauważyła Kitty. – Synek Elspeth się nie liczy, ponieważ jest zwykłym Johnem MacCartainem, a mama nie lubi ani Elspeth, ani Irlandii. Musi być zachwycona, że doczekała się prawowitej arystokratycznej wnuczki, którą może się chełpić.

Lato spędzali w Deverill Rising, dużej posiadłości Digby’ego, położonej wśród wzgórz Wiltshire. Kitty, jadąc tam samochodem wśród falistych łąk, porośniętych polnymi kwiatami i wysoką trawą, a potem przejeżdżając przez kamienny mostek, spinający brzegi strumienia Deverillów, zdała sobie sprawę, jak bardzo tęskniła za wsią. Owce pokrywały wzgórza jak puszyste dmuchawce, ptaki fruwały nad żywopłotami z tarniny i buku, wysokie kasztanowce zapewniały schronienie koniom, gdy letnie słońce doskwierało, a tłuste muchy atakowały bezlitośnie ich pyski. Serce Kitty wezbrało nadzieją na jazdę konną. Z tęsknotą wpatrywała się w kredowe wzgórza.

Dom był imponującą rezydencją z naturalnego kamienia, z okazałym frontonem, wieńczącym fasadę, oraz balustradową attyką osłaniającą dach, poprzedzielaną tu i ówdzie gigantycznymi wazami. Wysokie okna spoglądały na ogrody, kosztownie zaprojektowane i z pietyzmem utrzymywane. Gdy samochód zatrzymał się na żwirowym podejździe, Celia wyskoczyła i pociągnęła Kitty za rękę, żeby osobiście oprowadzić ją po posiadłości. Pozostawiwszy dziecko i bagaże

pod opieką Hetty, pobiegły przez hol na tyły domu, gdzie francuskie okna otwierały się na częściowo wybrukowany ogród. Porastał go dziki tymianek w towarzystwie przywrotnika i niezapominajek, a z potężnych donic wyrastały wielkie kępy rozmarynu. W oddali za ogrodem, przed ścianą gęstego lasu, widniał okrągły gołębnik z dachem pokrytym strzechą.

Przebiegły przez rozległe ogrody, pod różanymi pergolami, po wijących się ścieżkach pomiędzy szerokimi rabatami z dzwonkami i peoniami do warzywnika, gdzie groszek piał się wśród rzędów marchewek i szpinaku. Celia pociągnęła Kitty dalej, by pokazać jej kort tenisowy i trawnik do krokieta oraz duży domek na drzewie, który ojciec zamówił na jej dziesiąte urodziny. W końcu usiadły na drewnianej ławce okalającej gruszę. Obydwie ciężko oddychały i śmiały się z podniecenia.

– Czyż nie jest uroczo? – wykrzyknęła Celia.

– Nie sądziłam, że gdzieś może być tak pięknie jak w domu, ale widok Deverill Rising zapiera dech – odparła szczerze Kitty, ciężko dysząc.

– Będziemy się świetnie bawić. Tak samo jak w Irlandii. Vivien i Leona przyjeżdżają ze swoimi nudnymi mężami i piskliwymi dziećmi. Harry i Boysie przyjadą dziś wieczorem wraz z Archiem Mayberrym, który jak sądzę, lada moment mi się oświadczy.

– Co mu odpowiesz? – spytała Kitty.

Celia wzruszyła ramionami.

– Chyba się zgodzę. W końcu muszę za kogoś wyjść, a Archie nie jest gorszy niż inni. Ma pieniędzy jak lodu. Po prostu góry pieniędzy!

– I jest przystojny – podpowiedziała Kitty.

– Owszem, jest na czym oko zatrzymać. Nie kocham go, ale chyba on mnie kocha. Wybierając męża, trzeba być praktyczną. Jest bogaty, pochodzi z dobrej rodziny, jest inteligentny, a to ważne, bo nie znoszę nudy. Nie daj Bóg, żebym się nudziła. Potrafię być nieznośna, gdy się dobrze nie bawię. A więc urodzę mu dwójkę dzieci, a potem zakocham się w kimś innym... – Celia westchnęła z zadowoleniem. – Czy nie tak się robi?

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Wiem, że tata po jakimś czasie opuścił małżeńskie łóżko.

– No właśnie! Tak samo jak mój. Jeśli mama miała kochanków, była bardziej dyskretna. Gdy przyjadą chłopcy, wybierzemy się na konną przejażdżkę?

– zmieniła temat. – Założę się, że tęsknisz za końmi!

– Owszem – powiedziała Kitty. – Strasznie tęsknię.

– O tej porze roku nie ma polowań, ale możemy pogalopować na wzgórze i pokażę ci Giganta, ogromną rzeźbę wyrastającą ze zbocza. Tu wszędzie pod trawą jest kreda. Co prawda, nie robi takiego wrażenia jak twój Magiczny Krąg, ponieważ Gigant nie ożywa o zachodzie słońca. – Celia ścisnęła rękę Kitty. – Tak

bardzo bym chciała móc cofnąć zegar i spędzić choć jeszcze jedno lato w Castle Deverill, a ty nie? – Oczy Kitty zamgłyły się od łez, więc Celia miłosiernie zmieniła temat: – Chodź, pokażę ci dom.

Niebawem dom wypełnili goście. Niby wpadli niespodziewanie, a w rezultacie zostali na kilka dni. Beatrice nie miała nic przeciwko temu. Siedziała na tarasie w dużym kapeluszu przeciwsłonecznym, przyjmując hołdy, podczas gdy Digby, ubrany w nową żółtą marynarkę w kratkę oraz pumpki, zabierał panów na obchód posiadłości. Sir Digby Deverill, mimo że pochodził ze znamienitej rodziny, żył jak rasowy nuworysz, pławiąc się w splendorze południowoafrykańskiego króla brylantów. Beatrice najbardziej cieszyło towarzystwo młodych ludzi. Przyjeżdżali w lśniących nowych samochodach, dziewczęta z modnie podstrzyżonymi włosami, w sukienkach z obniżoną talią, z długimi czerwonymi paznokciami i odpowiednio dobraną czerwoną szminką na ustach, mężczyźni w jasnych garniturach lub marynarkach w paski, sportowych swetrach i kapeluszach panama – wszyscy rozbawieni, radośni, pozornie beztroscy. Przyglądała się, jak grają w krokieta i tenisa, rozwiązują szarady, bawią się w chowanego, urządzają pikniki na wzgórzu, żartują z siebie, flirtują, palą, tańczą i się przekomarzają. Och, znów być młodą, myślała tęsknie. Młodzi ludzie mają wszystko.

Pewnej rozgwieżdżonej sierpniowej nocy Archie ujął Celię za rękę i poprosił, żeby została jego żoną. Celia przyjęła oświadczyzny, a potem razem pobiegli do domu, przerwali zabawę w chowanego, w wersji wymyślonej przez Deverillów, która z czasem stała się popularna, i wszem wobec zakomunikowali nowinę. Strzeliły korki od szampana, posypały się gratulacje. Celia szybko wycofała się na bok, by wraz z przyjaciółkami omówić krój sukni i wybór drухen.

– Kitty, złap mój bukiet, ponieważ musisz być następna.

Ale Kitty wiedziała, że jedynym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek poślubi, będzie Jack. Kiedy, och, kiedy go wypuszczą?

*

Dwudziestego drugiego sierpnia Michael Collins, irlandzki przywódca, który negocjował podział Irlandii, zginął w zamachu w hrabstwie Cork, przygotowanym przez radykalnych irlandzkich nacjonalistów przeciwnych podziałowi. Kitty, przeczytawszy o tym w gazecie, była zdruzgotana.

– Jak mogli zamordować Michaela Collinsa! – jęknęła żałośnie, rzucając „Timesa” na stolik śniadaniowy, i myśląc o Jacku gnijącym w więzieniu. – Kiedy wreszcie ta przemoc się skończy?

– Czy to nie był irlandzki terrorysta? – spytała Celia, zastanawiając się, o co to całe zamieszanie.

Kitty zmieszana pokręciła głową.

– Och, Celio, ależ z ciebie ignorantka! – oburzyła się. – Michael Collins był

bohaterem. To buntownik, bojownik o wolność, odważny i bezinteresowny człowiek. Mam nadzieję, że znajdą winnych i ich powieszają!

Goście z konsternacją zerkali po sobie. Nikogo z nich, oprócz Harry'ego, nie obchodziło, co się dzieje w Irlandii. Harry wziął gazetę i w milczeniu zaczął ją czytać. Twarz Boysiego spochmurniała. W pokoju zapadła niezręczna cisza.

– Och, na Boga, to rzeczywiście bardzo smutne – skwitowała Celia. – Ale coś wam powiem, wybierzmy się dzisiaj na piknik. To ci poprawi humor, Kitty. Możemy pograć w palanta na wzgórzu – zasugerowała.

– Wspaniały pomysł, kochanie – zgodził się z nią Archie, patrząc na swoją narzeczoną rozanielonym wzrokiem. – To odwróci twoje myśli od Michaela Collinsa.

*

Datę ślubu wyznaczono na przyszłą wiosnę. Jesień wypełniały niekończące się przyjęcia zaręczynowe i zwyczajowe huczne zabawy.

Kitty utrzymywała bliski kontakt ze swoją babką, której listy były długie, poetyckie i coraz bardziej szalone. Pisała o skrzatach w żywopłotach, wrózkach na klombach kwiatów i o tym, że Bertie zmusił ją do przeprowadzki do Hunting Lodge ze względu na zimno. Pisała, że chodzi tam tylko jeść i się przespać, ponieważ Hubert jest bardzo wymagający i nalega na jej towarzystwo przez cały dzień. Krzaczki bały się ją odwiedzać i żyły jak odludki w swoim domu w Ballinakelly. Wysyłała im marihuanę na ukojenie nerwów, ale kto się dowie, jeśli umrą w swoich łóżkach? Pytała, czy pieniądze, które jej przekazuje, są wystarczające.

Nie chcę, żebyś żyła jak nędzarz, moja droga Kitty, zasługujesz bowiem na godne życie. Jeśli zaś chodzi o mnie, potrzebuję teraz bardzo niewiele, skoro moje życie ogranicza się do siedzenia w wieży. Czuję się jak Roszpunka, tylko nie ma czarownicy, a Hubert, mój książę, nie jest w stanie mnie ocalić. Uważaj na siebie i módl się o koniec tej przemocy, żebyś mogła wrócić z dzieckiem i wychować je tutaj w Castle Deverill, gdzie jest jego miejsce.

Kitty nieprzerwanie pisała do Jacka. Pomimo że kazał jej na siebie nie czekać, zdumiewało ją i raniło, że nie odpowiada na jej listy. Czyż nie wiedział, że kocha go tak bardzo, że może czekać na niego przez całe życie?

Wreszcie 17 grudnia 1922 roku w następstwie powstania Wolnego Państwa Irlandzkiego[9] ostatnie brytyjskie oddziały przekazały Irlandczykom Królewskie Koszary w Dublinie i opuściły kraj. Południe było wolne. Na pewno Jack został wypuszczony.

*

Wyzwolenie było niesamowitym przeżyciem. O tej chwili Kitty od dawna

marzyła. Była dumna, że w zdobyciu wolności odegrała swoją małą rolę. Razem z Grace wznosiły toasty szampanem, świętując zwycięstwo podczas wyśmienitej kolacji w Ritzu. Wspominały czas walki, zabójstwo pułkownika Manleya, tamten moment, gdy Kitty przekonała się, że Grace jest sojusznikiem, a nie wrogiem, oraz niebezpieczny epizod, gdy Kitty niemal została przyłapana przez Oddziały Pomocnicze na przemyśle broni w pudełku z butami.

– Gdyby nie ten bystry ksiądz, wtrąciliby cię do więzienia jak hrabinę Markiewicz – powiedziała Grace, która najwyraźniej tęskniła za ekscytującymi czasami.

Kitty oczekiwała natychmiastowego uwolnienia Jacka, ale gdy mijały tygodnie, a on się nie odzywał, poczucie triumfu roztopiło się w goryczy i rozczarowaniu.

Mały Jack Deverill rósł na dużego i silnego chłopca. Nie przypominał już kruchego niemowlęcia pozostawionego na jej progu, teraz był tłuściutki i śliczny. Nie znając dokładnej daty jego narodzin, Kitty zdecydowała, że będzie to pierwszy styczeń. Upiekła mu mały tort i zaprosiła Celię i Harry'ego, żeby świętowali wraz z nią. Zdmuchując świeczkę, zastanawiała się, gdzie jest Bridie. Czy wróciła do Ballinakelly? Chciała do niej napisać, zapewnić, że dziecko jest bezpieczne oraz że kocha je całym sercem. Czasami, gdy spał, siadała i wpatrywała się w chłopczyka, nie zauważając upływu czasu. Kto by pomyślał, że taka mała istotka może sprawić tyle radości? Bolało ją, gdy pomyślała, że Bridie omijają macierzyńskie radości.

Grace od czasu do czasu przyjeżdżała do Londynu, ale nie przywoziła żadnych wiadomości o Jacku. A jeśli chodzi o ojca Kitty, nadal stanowczo odmawiał jej prawa powrotu do Castle Deverill.

– On nie uznaje swojego dziecka – powiedziała delikatnie Grace. – W jego oczach Jack nie jest Deverillem.

– A więc nie mogę wrócić – oświadczyła Kitty, unosząc podbródek, żeby pokryć smutek i żal. – Ale pewnego dnia Jack Deverill pozna swój dom. On jest bardziej Irlandczykiem niż ja, i zrobię wszystko, żeby wrócił do swoich korzeni.

– Zawsze możesz zatrzymać się u mnie – zaproponowała Grace.

– I z daleka patrzeć na swój dom? To by mnie wykończyło. Nie, tata będzie musiał ustąpić ze względu na babcię. Musisz przemówić mu do rozumu, Grace. – Położyła dłoń na ramieniu przyjaciółki. – Jesteś jedyną osobą, która potrafi to zrobić.

Grace nie powiedziała jej, że Bertie topi smutki w alkoholu i że ostatnio rzadko go widuje. Polował tylko okazjonalnie, nie pokazywał się na wyścigach i czasem przyjmował gości. Był cieniem charyzmatycznego mężczyzny z dawnych lat. Kiedyś rzutki, pełen werwy, stał się wiecznie podenerwowanym paranoikiem. Teraz whisky koła jego znękaną duszę, ale Grace obawiała się, że wkrótce, tak jak Adeline, zacznie widzieć skrzaty i wróżki.

- Są jakieś wiadomości o Bridie? – spytała Kitty.
- Gdy ostatnio o niej słyszałam, zaczynała pracę pokojówki u jakiejś bogatej kobiety na Manhattanie. Wszystko u niej w porządku, jest szczęśliwa – dodała Grace, odwracając oczy do okna. – Chciała rozpocząć nowe życie. Twój ojciec był wobec niej bardziej niż hojny. Nie znam innego mężczyzny, który tak przyzwoicie by się nią zaopiekował.
- Czy ona kiedykolwiek wróci?
- Grace popatrzyła na Kitty poważnym wzrokiem.
- Chcesz, żeby wróciła i zażądała swego dziecka?
- O tym Kitty nie pomyślała.
- Nie. Nie chcę. Jeśli mam być szczerą, pragnę zatrzymać Jacka dla siebie. Czy jestem okrutna?
- Byłabyś całkowicie pozbawiona serca, gdybyś go nie chciała.
- Kocham go jak własne dziecko, Grace. – Kitty rozpromieniła się w uśmiechu. – Gdy patrzę na jego buzię, wszystko na świecie wydaje mi się takie proste, a moje troski znikają.
- Nie myśl o Bridie. Porzucenie dziecka to jej wybór. Ktokolwiek zostawił je na twoim progu, wiedział, że zaopiekujesz się nim i wychowasz na Deverilla, którym w istocie jest. Podejrzewam, że Bridie sama to zaaranżowała. Wiedziała, że może zaufać swojej przyjaciółce i że się nim dobrze zaopiekujesz.
- Masz rację – powiedziała Kitty, czując się nieco podniesiona na duchu. – Jeśli role by się odwróciły, jestem pewna, że zrobiłaby dla mnie to samo.

*

W miarę jak zbliżał się termin ślubu, Celia coraz bardziej denerwowała się perspektywą nocy poślubnej.

- Jak to jest... – zastanawiała się. – Myślisz, Kitty, że to boli?
- Przed oczami Kitty natychmiast pojawił się obraz Michaela Doyle'a. Skrzywiła się.
- Sądzę, że nie boli, jeśli mężczyzna jest delikatny – odparła.
- Wolałabym się kochać z Lachlanem – powiedziała Celia, mając na myśli drużbę Archiego.
- Celio! – Wyznanie kuzynki na chwilę oderwało Kitty od dramatycznych wspomnień.
- Och, wiem, nie powinnam tak myśleć. Ale gdy Lachlan na mnie patrzy, wszystkie włoski na ciele stają mi na baczność, jak żołnierze w oczekiwaniu na rozkaz. A tak się nie dzieje, gdy Archie patrzy na mnie, chociaż jest przystojny...
- Co też ty mówisz, Celio?
- Nic nie mówię. Za dwa tygodnie wychodzę za mąż, to wszystko. Być może, gdy dam Archiemu dziedzicę, a potem następne dziecko, zakocham się

w Lachlanie Kirkpatricku.

Ślub Celi byłby najważniejszym wydarzeniem sezonu, gdyby nie zawarte w kwietniu małżeństwo George'a, księcia Yorku, z lady Elizabeth Bowes-Lyon. Ceremonia ślubna miała miejsce w katedrze westminsterskiej, a nie tradycyjnie w kaplicy królewskiej, co czyniło z niej wielkie publiczne wydarzenie, zapewne po to, aby podnieść ducha narodu po okropnościach wojny. Beatrice martwiła się, że ślub jej córki w maju zostanie przyćmiony przez uroczystość, z którą z oczywistych powodów nie był w stanie konkurować, nawet przy milionach Digby'ego i wyjątkowym doborze gości.

Ślub Celi odbył się w kościele Świętego Piotra w Belgravii, a przyjęcie weselne w Ritzu. Panna młoda wyglądała olśniewająco w jedwabnej sukni w kolorze kości słoniowej i wspaniałej diamentowej tiarze, którą Digby kupił na ślub Leony i w której również wystąpiła jej siostra Vivien. Obie uroczystości zostały zrelacjonowane w gazetach, a fotografie zamieszczono w „Tatlerze”; przynajmniej na tyle Beatrice mogła liczyć.

Kitty jako drużna miała na sobie również długą białą suknię i kwiaty jaśminu wplecione we włosy. Pachnący bukiet z lilii i gałązek wiśni nieustannie przyciskała do nosa, z rozrzwinięciem przypominając sobie wiosnę w Castle Deverill. Celia przysięgła miłość i posłuszeństwo Archiemu Mayberry'emu, a śpiew chóru mógł wzruszyć najbardziej lodowate serca.

Jak widać, nie wszystkie, pomyślała Kitty, zerkając na surowy profil matki. Jedyne, co poruszyłoby jej serce, byłby ślub najmłodszej córki z arystokratą, który spełniałby jej wygórowane oczekiwania. Co za szkoda, że księżę George jest już zajęty, pomyślała złośliwie Kitty, tłumiąc uśmiech.

Po zakończeniu ceremonii ślubnej goście udali się do hotelu Ritz na herbatę. Kitty uznała przyjęcie za nudne, ponieważ lista gości składała się głównie z przyjaciół Digby'ego i Beatrice, a nie Celi i Archiego, jak było w zwyczaju. Ze swoją filiżanką herbaty wmieszała się w tłum i zabawiała starą Augustę, która jak zawsze egzaltowała się tematem śmierci i wymieniała z upodobaniem nazwiska przyjaciół, którzy ostatnio przenieśli się na tamten świat.

– Bunny Spencer zmarł w zeszłym tygodniu w ogrodzie – mówiła podekscytowana. – W jednej chwili wachał róże, by w następnej stać się kompostem! A Arthur Sillars jest ciężko chory. Mówią, że to tylko kwestia czasu. Spójrz na Stoke'a – wskazała na swojego męża, który z sumiastym wąsem i rumianą twarzą wyglądał na jak najbardziej żywego. – Trudno sobie wyobrazić, że umrze, nieprawdaż? A to się może stać w każdej chwili. W każdej!

Kitty pod pretekstem, że musi zająć się panną młodą, w końcu uwolniła się od jej towarzystwa i czmychnęła na taras. Wciągnęła głęboki haust powietrza, oparła się o balustradę i popatrywała na Green Park oraz ludzi wędrujących bez celu pod platanami.

– Och, czyżby panna Deverill? – usłyszała z tyłu czyjś głos.
Odwróciła się i zobaczyła, że stoi obok niej Trench. O dziwo, jego widok sprawił jej przyjemność.

– Pan Trench, co za niespodzianka!

Trench ujął jej dłoń i się skłonił.

– To ogromna przyjemność widzieć panią po tak długim czasie. Muszę dodać, że uroczo pani wygląda.

– Dziękuję. – Uśmiechnęła się, zauważając, że coś się w nim zmieniło. Miał w sobie więcej luzu, pewności siebie, i chyba mniej powagi. – Nie spodziewałabym się właśnie tu pana spotkać – dodała.

– Dlaczego? Przecież to z polecenia Beatrice pani matka mnie zatrudniła. Digby i Beatrice są bliskimi przyjaciółmi mojej rodziny.

– A więc czemu nie spotkaliśmy się wcześniej? Jestem w Londynie od ponad roku.

– Niedawno wróciłem z Włoch.

– Włochy, to wspaniale! Co pan robił we Włoszech?

– Pisałem książkę.

– Naukową?

Pokręcił głową, uśmiechając się z zawstydzeniem.

– Powieść.

– Ekscytujące! O czym?

– O miłości.

– O miłości?

– Proszę nie robić tak zaskoczonej miny. Cóż jest ważniejszego na świecie od miłości?

Kitty całkiem zamurowało.

– Wielkie nieba, panie Trench, nie wiem... Sądzę, że na świecie nie ma nic ważniejszego.

– Proszę nie tytułować mnie panem Trenchem. Nie jestem już pani nauczycielem. Mam na imię Robert.

– A więc, Robertcie... proszę nazywać mnie Kitty, tak jak dawniej.

Nagle na jego twarzy pojawił się wyraz powagi.

– Słyszałem o zamku i o twoim dziadku. Ogromnie mi przykro.

Spuściła wzrok.

– To było okropne...

– Czy dlatego wyjechałaś?

– Nie... – Kitty zawahała się, czując, że ogarnia ją ogromne znużenie. – To długa historia. I smutna. Nie sądzę, żebym była gotowa teraz ją opowiedzieć.

– Rozumiem. Wybacz. Czy mogę...

W tym momencie ktoś pojawił się na tarasie i gorączkowo zawołał:

- Czy ktoś widział pannę młodą? Szukamy jej wszędzie!
- Wielki Boże! – krzyknęła Kitty.
- Panno Deverill, jest pani druhną. Kiedy ostatnio ją pani widziała? Powinna właśnie kroić tort...
- Może poszła przypudrować nos? – podsunęła Kitty.
- Mężczyzna wyglądał na zdesperowanego.
- Szukaliśmy wszędzie.
- Nie sądzisz chyba, że uciekła, prawda? – mruknął Robert, zauważając, że fala paniki przetacza się przez salę, a ludzie zaczynają coś szeptać gorączkowo.
- Nie wiem, co o tym myśleć – odparła zatroskana Kitty. – Ale sugeruję, byśmy zaczęli szukać Lachlana Kirkpatricka, družbę pana młodego.

9 Irish Free State – w latach 1922–1937 uwolnione spod kontroli Wielkiej Brytanii, ale pozostające z nią w unii personalnej jako dominium, utworzone na obszarze Irlandii ze stolicą w Dublinie (z wyłączeniem sześciu hrabstw północnych, tworzących tzw. Irlandię Północną).

Rozdział 27

Nowy Jork, Ameryka, 1922

Bridie odkryła, że pod twardą zewnętrzną powłoką pani Grimsby jest ciepłą i sentymentalną kobietą. Nie знаła przeszłości starszej pani, która pozwoliłaby jej zrozumieć, dlaczego stała się taka zgorzkniała i nieszczęśliwa. Odkryła jednak, że literatura, a zwłaszcza poezja działają jak dziadek do orzechów, który rozłupuje skorupę i obnaża jej wrażliwą duszę. Pani Grimsby kochała piękne słowa. Powtarzała je, obracała na języku jak landrynki, napawając się ich smakiem. Każdego popołudnia, siedząc na werandzie z widokiem na ocean, kazała sobie czytać i prosiła Bridie o więcej opowieści o Irlandii. Najbardziej lubiła historie o Castle Deverill. Była zafascynowana duchami uwięzionymi w zamkowych murach z powodu ciężącej nad nimi klątwy i urzeczona nadzwyczajnym darem obcowania z nimi, jaki posiadały lady Deverill i Kitty. W ten sposób Bridie została zmuszona do powrotu do przeszłości. Drzwi, które z taką determinacją zatrzasnęła, uchylły się i jej wspomnienia niczym ciemne kąty w pokoju nagle zalało światło. Po nocach śnił jej się ojciec, zapach wędzonych śledzi, dźwięk skrzypiec i starych irlandzkich pieśni, które towarzyszyły jej dorastaniu. Czasem śniła jej się Banshee, Cyganie i budząca grozę czarna postać ojca Quinna, którego spojrzenie paliło na wskroś jej duszę w poszukiwaniu grzechu. Wtedy budziła się z twarzą zalaną łzami i mokrą od nich poduszką.

*

Zapach oceanu w Ameryce jest całkiem inny niż morza w Irlandii; Bridie dziękowała Bogu za tę różnicę. Nie mogła sobie pozwolić na usychanie z tęsknoty. Ameryka jest teraz jej domem, a przeszłość istnieje tylko w jej głowie. Irlandia jest bardzo daleko – po drugiej stronie świata, zbyt ogromnego, by mogła go ogarnąć swoim umysłem. Nie czytała gazet, nie słuchała plotek w kościele, a gdy w salonie dolatywały ją strzępy konwersacji na temat wojny domowej, tłumiła w sobie ciekawość i niepokój. Owszem, regularnie wysyłała do matki listy i pieniądze, ale to był jedyny jej kontakt z rodzinnym krajem, a jedyną oznaką jej rezygnacji – poduszka mokra od łez.

*

Panie Ferrel, Gottersman oraz Gordon byli jej jedynymi znajomymi, chociaż

z żadną się nie zaprzyjaźniła. Bridie pamiętała, jak w dzieciństwie pomagała matce w zamkowej kuchni. Wśród służby lorda Deverilla istniało silne poczucie wspólnoty oraz prawdziwe przywiązanie do rodziny Deverillów. Pamiętała matkę, jak śmiała się w kuchni z pokojówkami, besztając je za plotkowanie, ale w duchu ciesząc się ich wesołym przekomarzaniem. Wspominała Skiddy'ego, starego lokaja lorda Deverilla, i O'Flynna, kamerdynera, który był starszy niż pan Gordon. Skiddy pozwalał jej polerować złote guziki przy kurtce myśliwskiej lorda Deverilla, O'Flynn zaś gonił ją kiedyś po kuchni ze ścierką do naczyń, aż upadła na kamienną podłogę, zanosząc się chichotem. Ci dwaj mężczyźni, mimo zaawansowanego wieku, byli pełni wigoru i wesołości. W domach pani Grimsby panowała natomiast cisza i chłód jak w grobowcu, nigdy nie słychać było śmiechu, tylko od czasu do czasu cyniczny chichot pani Grimsby, gdy wspominała swoją chciwą rodzinę. Bridie uważała, że pani Gottersman jest kwaśna jak cytryna, pan Gordon sztywny jakby kij połknął, a panna Ferrel, choć dość przyjacielska, tak formalna jak zastawa stołowa. Spełniali każdą zachciankę pani Grimsby i kolejno byli wzywani przez swoją chlebobawczynię na „poufną pogawędkę”. Spoglądali na siebie podejrzliwie. Nikomu nie ufali. Żyli w oczekiwaniu na poklepanie po dłoni i właśnie tę konfidencką rozmowę. A pani Grimsby siedziała na swym wielkim fotelu jak gruby pajak kontemplujący muchy złapane w sieć. Bridie natomiast obserwowała ich wszystkich i w milczeniu wykonywała swoją pracę.

*

Jesienią, gdy wrócili do Nowego Jorku, Bridie znalazła przyjaciółkę w osobie młodej rezolutnej Włoszki. Spotykały się na mszy i po kilku tygodniach niezobowiązujących uśmiechów w końcu do siebie zagadnęły. Rosetta przypląnęła z Włoch parowcem. Jej rodzice osiedli na Brooklynie, gdzie ojciec wraz z innymi Włochami zaczął robić interesy, a matka wychowywała młodsze rodzeństwo Rosetty i pracowała w domu jako krawcowa. Rosetta była pokojówką w dużym domu niedaleko kościoła, u pewnej aktorki zamężnej z producentem teatralnym. Uwielbiała podsłuchiwać pod drzwiami i zaglądać przez dziurkę od klucza, plotkowała więc, że jej pani jest wybuchowa, nerwowa i ciągle zmienia kochanków. Rosetta trochę przypominała Kitty. Gdy poznały się z Bridie bliżej, zaczęły razem spędzać wolne dni, przesiadując na ławkach w Central Parku albo popijając herbatę w kafejkach. Aż w końcu pewnego dnia w środku zimy wsiadły w pociąg i pojechały na cały dzień do Brooklynu, do domu Rosetty, gdzie Bridie zjadła najlepszy w życiu posiłek. Dzięki Rosecie uświadomiła sobie, jak bardzo była tu samotna i spragniona przyjaźni.

*

Niedługo po świętach Bożego Narodzenia w rezydencji pani Grimsby

zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Pewnego dnia Bridie znalazła pod łóżkiem swej chlebodawczyni gruby zwitek banknotów obwiązanych sznurkiem. Tyle pieniędzy nie widziała nigdy w życiu i nie sądziła, że byłaby w stanie je wydać, nawet gdyby do niej należały. Trzymała je w drżących dłoniach i wpatrywała się w nie ze zdumieniem. Nagle przypomniała sobie, jak przeczytała miłosny liścik Jacka do Kitty, i zaczęło narastać w niej poczucie winy, jakby obserwowano ją oko Boga, czekając na jej następny ruch. Bez namysłu położyła pieniądze na nocnym stoliku pani Grimsby, gdzie przypuszczalnie leżały, zanim spadły pod łóżko, i kontynuowała sprzątanie. Następnym incydentem było odkrycie w kieszeni jednej z sukni pani Grimsby pary brylantowych kolczyków. Bridie podziwiała lśniące piękno cennych klejnotów i znów postąpiła jak należy, odkładając je na toaletkę. Trzeci incydent dotyczył porcelanowej figurki stojącej na kominku. Gdy brała ją do ręki, żeby ją odkurzyć, rozpadła się w jej dłoni na dwie części. Przerazona, że otrzyma reprimendę za nieostrożność, w pierwszej chwili zamierzała z powrotem ją odstawić, ponieważ pęknięcie było mało widoczne, a górna część dokładnie przylegała do dolnej i nikt by tego nie zauważył, ale uczciwość przeważała i poszła poinformować o tym właścicielkę.

– Proszę pani... – powiedziała, dygając.

Pani Grimsby siedziała w swym ulubionym fotelu na werandzie, z pewną trudnością czytając list, ponieważ wzrok jej szwankował.

– O co chodzi, Bridget? – Gdy Bridie pokazała jej dwie części figurki, twarz pani Grimsby spochmurniała. – Przychodzisz wyznać, że ją stłukłaś?

– Była już stłuczona, gdy ją podnosiłam, proszę pani – odparła Bridie.

– Dobrze sobie! – Stara dama wyglądała na nieprzekonaną. – Wiesz, jaka jest cenna?

Bridie poczuła, że policzki jej płoną ze wstydu.

– Nie, proszę pani, nie wiem.

– Jest warta setki dolarów. Setki! Nie dałabyś rady jej spłacić, nawet gdybyś oszczędzała przez całe życie. Co masz na swoją obronę?

Bridie wiedziała, że nie ma sensu przekonywać pani Grimsby o swojej niewinności. I tak by jej nie uwierzyła.

– Bardzo mi przykro. – Zwiesiła głowę.

Starsza pani wydawała się usatysfakcjonowana. Wskazała list, który właśnie czytała.

– Wiesz, co tu jest napisane?

– Nie, proszę pani.

– Moje dwie siostrzenice przyjeżdżają z Bostonu. Chcą się u mnie zatrzymać. Dasz radę obsłużyć nas wszystkie?

Bridie przypomniała sobie, jak musiała zajmować się trzema siostrami naraz, kiedy lady Elmrod przyjechała do Hunting Lodge na ślub panny Elspeth.

– Myślę, że dam sobie radę, proszę pani. – Oczywiście nie mogła odmówić, zwłaszcza po incydencie z figurką.

– Okropnie męczące kobiety. Uważają, że niedługo umrę i chcą dopilnować, żebym uwzględniła je w testamencie. – Pani Grimsby uśmiechnęła się w sposób wyrażający zadowolenie ze swojej przenikliwości i westchnęła. – Zobaczymy, jak bardzo będą się starać. – Zaśmiała się, a jej podbródki zatrzęsły się jak galareta.

Bridie, wycofując się z werandy, zauważyła czającego się w ciemności pana Gordona. Najwyraźniej podsłuchiwał. Obrzucił ją nagannym spojrzeniem i pokręcił ze zniecierpliwieniem głową, gdy go mijała. Bridie zatrzęsała się z oburzenia. Nikt nie przykładał się staranniej do swoich obowiązków niż ona. Patrzyła, jak kamerdyner wchodzi na werandę i zamyka za sobą drzwi.

Bridie opowiedziała Rosetcie o dziwnych zdarzeniach. Przyjaciółka szybko zwietrzyła w tym podstęp.

– Czy w tym domu jest ktoś o ciebie zazdrosny? – spytała.

Bridie na myśl przyszła panna Ferrel.

– No... jest kobieta, która pracuje u pani Grimsby od ponad dwunastu lat. Nie jesteśmy przyjaciółkami, chociaż jest dla mnie dość miła.

– Żmija! – orzekła natychmiast Rosetta. – Na twoim miejscu miałabym się na baczności. Wygląda na to, że chce zastawić na ciebie pułapkę. Miała nadzieję, że ukradniesz pieniądze i kolczyki. I zapewne sama zniszczyła tę figurkę.

Bridie była w szoku.

– Naprawdę tak myślisz?

– Uważaj na siebie, Bridget. Niełatwo znaleźć pracę w tym mieście.

– Teraz, gdy o tym myślę, przypominam sobie, że spodziewała się mojego odejścia po miesiącu. Powiedziała, że żadna pokojówka nie przetrwała dłużej. Ale pani Grimsby jest dla mnie dobra. Lubi, jak jej czytam książki i opowiadam o Irlandii.

– A lubi, jak tamta kobieta jej czyta?

– Nie.

– *Ecco!* – wykrzyknęła uszczęśliwiona Rosetta. – Chytra z niej lisica i zazdrośnica! Uważaj, Bridget.

Bridie nigdy nie przyszło do głowy, że panna Ferrel może być o nią zazdrosna. Tak czy owak, zachodziła w głowę, dlaczego znajduje pieniądze i biżuterię. Wyglądało na to, że ktoś chce wystawić jej uczciwość na próbę. Na pewno nie był to kamerdyner Gordon, który chociaż wyraźnie nie lubił Bridie, gdyż nie miał wstępu do sypialni pani Grimsby. Panna Ferrel natomiast miała swobodny dostęp do każdego pokoju w rezydencji, nawet do najbardziej prywatnych szufladek pani Grimsby, ponieważ to ona wyjmowała dokumenty z jej biurka, a nazajutrz po wielkim balu lub przedstawieniu w operze wkładała biżuterię do czerwonych aksamitnych pudełeczek i chowała je do sejf. Była najbardziej

zaufaną towarzyszką pani Grimsby. Niewykluczone, że nie podobały jej się owe popołudnia, które Bridie spędzała ze swoją chlebodawczynią na werandzie, czytając jej książki. Oczywiście Bridie mogła ją zapewnić, że pani Grimsby nie żywi do niej żadnych cieplejszych uczuć. Po prostu znudzona i samotna kobieta potrzebowała lektorki.

Od tej pory Bridie zrobiła się podejrzliwa wobec panny Ferrel. W każdy wieczór przed pójściem do łóżka sprawdzała, czy nie zastawiono na nią kolejnej pułapki, podrzucając coś wartościowego do szuflady w jej sypialni albo wsuwając coś pod poduszkę. Ścierała kurze z nadzwyczajną ostrożnością, na wypadek gdyby coś stało niebezpiecznie blisko krawędzi stołu lub gzymsu nad kominkiem, i była bardzo wyczulona na jakiegokolwiek porzucone cenne przedmioty, które natychmiast z poczuciem satysfakcji, że przechytrzyła pannę Ferrel, odkładała na miejsce. Wydawało się, że panna Ferrel zauważyła nagły chłód bijący od Bridie; próbowała być niezwykle przyjacielska, ale Bridie nie dała się na to nabrać. Trzymała dystans i z nieufnością obserwowała tę kobietę, biorąc jej życzliwość za przykrywkę dla w rzeczywistości wrogich uczuć.

*

Wiosną przyjechały z Bostonu siostrzenice pani Grimsby – rodzone siostry: panie Hallowsy i Kesler. Miały około trzydziestki, mężów i dzieci, których pozostawiły w domu i ledwie o nich wspominały. Rzuciły się ciotce na szyję, wykrzykując z emfazą:

– Och, ile to już czasu minęło! Zbyt dużo! – Słowa i komplementy płynęły z ich ust nieprzerwaną strugą, chwaliły biżuterię ciotki oraz wspaniałość domu, wreszcie wręczyły jej prezenty opakowane w wytworny papier i obwiązane kolorowymi jedwabnymi kokardami. Pani Grimsby przyjęła gości z wyraźną przyjemnością, a paczuszki odłożyła na bok, żeby otworzyć je później; nie obchodziły jej zbytnio prezenty.

Wydawała kolacje na ich cześć i towarzyszyła im na przedstawienia baletu czy opery. Obie siostrzenice, ładne, modnie ubrane i wydawało się beztroskie, przypominały parę kolorowych kolibrów, ożywiających dom trzepotaniem swych kolorowych piórek.

– Och, w Bostonie wszystko układa się znakomicie – mówiły ciotce; opowiadały o sukcesach mężów w biznesie i swoim niezwykle bujnym życiu towarzyskim w kręgu znamienitych przyjaciół; raz po raz wtrącały jakieś sławne nazwisko do rozmowy, opisując ekstrawaganckie przyjęcia, w których uczestniczyły.

Bridie uznała, że są bogate, uprzywilejowane i obdarowane przez Boga urodą. A jednak, przemykając się cicho po domu, słyszała ich szepty o gigantycznych długach zaciągniętych, żeby dotrzymać kroku przyjaciołom,

i wiecznym stresie, jakie przysparzała im niekończąca się walka o fundusze.

– Ta stara ropucha siedzi na milionach – mówiła pani Halloway, gdy Bridie niezauważona krzątała się po pokoju.

– Jest przewrotna jak lis, Evie – dodała jej siostra. – Mama twierdzi, że zapisze majątek Paulowi. On odwiedza ją co najmniej trzy razy w tygodniu, a ona najwyraźniej go uwielbia.

– Bzdura! – burknęła pani Halloway. – Nie zapominaj, że Paul jest synem wuja Joego, a ciotka nie znosi swojego brata ze względu na jego pasję do hazardu. Zobaczysz, że nie zapisze Paulowi złamanego dolara ani komukolwiek z jego rodzeństwa.

– Dlaczego uważasz, że nam cokolwiek zapisze?

– Ponieważ nie ma dzieci, a mama jest jej siostrą. Musi komuś to wszystko zostawić. Jesteśmy jej jedyną rodziną, a ona ma dwa domy pełne skarbów, nie wspominając o pieniądzach. Mama mówi, że jest bogata jak Krezus, kimkolwiek on jest.

– Wygląda o wiele za dobrze, nie uważasz?

– Grubi ludzie nie żyją długo – rzekła z niebywałą perfidią pani Halloway.

– Obyś miała rację, ponieważ nie mogę wiecznie prosić ojca o pieniądze.

– Nie ty jedna. – Pani Halloway ciężko westchnęła. – Musimy jeszcze przez kilka dni ją zabawiać, a potem wracamy do domu i czekamy. To może potrwać jeszcze kilka miesięcy.

– Jakie to szczęście, że nie ma dzieci!

– Wielkie – zgodziła się z nią siostra. – Przeszła długą drogę, zważywszy, że jej matka dorastała na bagnach Irlandii.

– Ani słowa o tym! Ona nigdy głośno nie mówi, że nasza babka była prostą Irlandką. – Obydwie zachichotały.

– Ja głoszę wszem wobec, że nasi przodkowie przybyli na Mayflower! – powiedziała pani Halloway. – Ty też tak mów, Tally. Irlandzcy imigranci mają tu kiepskie notowania.

Bridie pospieszyła do sypialni pani Grimsby, żeby zaciągnąć zasłony i posłać łóżko. Czy dobrze usłyszała? Matka pani Grimsby była Irlandką? Zaskoczyła ją ta wiadomość. Pani Grimsby nigdy o tym nie wspomniała. Ale bardzo interesowała ją przeszłość Bridie. Czyżby chciała dowiedzieć się czegoś więcej o rodzinnym kraju swej matki?

Bridie naprawdę współczuła starej kobiecie; wszyscy ci krewni przypochlebiali jej się na wyrwyki, a naprawdę lubili wyłącznie jej pieniądze.

Bridie przynajmniej miała pewność, że Rosetta lubi ją dla niej samej.

Wkrótce siostrzenice powróciły do Bostonu. Pani Grimsby została tylko z bratankiem, Paulem Heskinem, który nadal regularnie ją odwiedzał, popijał z nią herbatę na werandzie i zbyt natarczywie, zdaniem Bridie, wypytywał o zdrowie.

Odkąd Bridie zaczęła podejrzewać pannę Ferrel o chęć skompromitowania jej w oczach ich chlebodawczyni, nie wydarzyły się już następne podejrzone incydenty. Bridie jednak nie dała się zwieść fałszywemu poczuciu bezpieczeństwa. Choć niewiele tu zarabiała, potrzebowała tej pracy. Nie pozwoli, by panna Ferrel ją jej pozbawiła.

*

Latem w Nowym Jorku panował ogromny upał. Pani Grimsby wcześniej niż zwykle zamknęła rezydencję i przeniosła się do Hamptons. Podróż bardzo ją zmęczyła; z trudnością wsiadła i wysiadła z samochodu i ledwie szła. Bridie i panna Ferrel wzięły ją pod ramiona, ale mimo wysiłków nie dały rady i musiały prosić szofera o pomoc. Gdy przyjechali do Hamptons, pani Grimsby położyła się do łóżka ze Skarbenką i pozostała w nim przez cały lipiec. Pan Gordon i panna Ferrel usiłowali się do niej dostać, ale pani Grimsby nie miała nastroju na intymne pogawędki; prosiła tylko Bridie, żeby ją przewracała, nakrywała jej stopy, gdy wystawały spod prześcieradła, i wycierała jej zroszone potem czoło, gdy było jej za gorąco. Dopiero w sierpniu odważyła się wyjść na werandę; siadywała tam i wpatrywała się w ocean, jedynie w tych chwilach odnajdując wytchnienie.

– Poczytaj mi – poprosiła Bridie pewnego wieczora, gdy słońce zaszło za domem.

– Co mam pani poczytać? – spytała Bridie.

– Yeatsa. Chcę, żebyś poczytała mi Yeatsa.

Bridie poszła do jej sypialni i znalazła ulubiony tomik poezji na nocnym stoliku, gdzie pani Grimsby zwykła go trzymać. Potem zasiadła w wiklinowym fotelu i otworzyła książkę.

– Który wiersz, proszę pani?

– *Innisfree, wyspa na jeziorze* – powiedziała pani Grimsby. – Wiesz, że moja matka pochodziła z Irlandii?

Bridie udawała zaskoczenie.

– Nie, proszę pani, nie wiedziałam.

– Mówiła tak jak ty. Miała irlandzki akcent, z południa. Miękki, liryczny, śpiewny. Jej ojciec nauczył ją recytować poezje. „O wschodzie księżycy, o wschodzie księżycy, drzewce pik muszą równo stać...” – zacytowała fragment starej irlandzkiej ballady. Niezdarną dłonią ujęła medalion, który zawsze wisiał jej na biuście. – Dostałam go od niej. Nic nie jest wart, ale dla mnie bezcenny. – Westchnęła z wysiłkiem. – Poczytaj mi, Bridget. – Przymknęła oczy w wyczekiwaniu.

Skarbenka jak zwykle ułożyła się na jej kolanach. Bridie zaczęła czytać.

W połowie wiersza zerknęła na panią Grimsby. Ciężkie powieki opadły jej na oczy, oddychała spokojnie. Łza jak szkiełko lśniła w kącie jednego oka. Bridie

czytała. Gdy skończyła, nie prosiła panią Grimsby o wybór kolejnego wiersza, tylko gładko przeszła do następnego.

*Kiedy już siwa twa głowa, osnuta snem, zamyśleniem,
Pochyli się nad kominkiem, weź w ręce tę książkę i czytaj,
Czytaj powoli i wspomnij, jak uśmiech twój niegdyś rozkwitał,
I wspomnij, jakim głębokim oczy mroczyły się cieniem*[10].

Coś tknęło Bridie. Szybko podniosła wzrok. Może to był krzyk mewy, a może zwiotczenie twarzy pani Grimsby i bezwładne opadnięcie jej ręki, a może po prostu intuicyjne poczucie, że coś się zmieniło, jak niewidziane ruchy płyt tektonicznych pod powierzchnią ziemi. Spojrzawszy na panią Grimsby, natychmiast wiedziała. Dusza opuściła ciało i wznosiła się ku lepszemu światu. Pani Grimsby odeszła.

Bridie wstała i zrobiła znak krzyża. Jej serce zalał smutek. Niespodziewany i głęboki. Poczowała się bardzo samotnie, jak tratwa dryfująca na morzu, pozostawiona sama sobie, narażona na sztormy i wysokie fale. Pani Grimsby była wszystkim, teraz nie miała nikogo.

Zawołała pannę Ferrel, a ta natychmiast przybiegła. Sprawdziła puls pani Grimsby i pokiwała głową.

– Nie żyje – powiedziała cicho. – Odeszła. Niech odpoczywa w pokoju. Niech Bóg wybaczy jej grzechy.

Kotka nadal leżała na kolanach swojej pani. W drzwiach jak zjawa stanął pan Gordon. Skłonił głowę, ale Bridie nie dostrzegła cienia żalu na jego twarzy.

Bridie ich zostawiła i poszła na spacer po plaży. Po raz pierwszy od miesiąca mogła się rozkoszować miękkim, ciepłym piaskiem pod stopami, ale nie sprawiało jej to przyjemności. Co się z nią stanie? Czy spadkobierca pani Grimsby nadal będzie ją zatrudniał? Czy będzie musiała szukać innej posady?

Kiedy wróciła do domu, ciało pani Grimsby już zabrano. Jej fotel stał pusty. Dom wydawał się duży, zimny i opustoszały. Panna Ferrel powiedziała Bridie, że zawiadomiła rodzinę.

– Zlecą się tu jak sępy, żeby zabrać wszystko, co miała – skonstatowała z goryczą. Usiadła na werandzie i objęła dłońmi kolana.

– Co się z nami stanie? – spytała Bridie.

– Nie wiem. Zapewne zechcą cię zatrzymać. Jeśli chodzi o mnie, nie jestem pewna. Trudniej znaleźć dla mnie miejsce. – Panna Ferrel uśmiechnęła się do Bridie. – Ona bardzo cię polubiła, wiesz o tym. Dlatego prosiła, żebyś jej czytała.

– Myślę, że lubiła mój akcent.

– Wzruszał ją, to pewne. Jej matka była Irlandką.

– Wiem. Dzisiaj mi o tym powiedziała.

– Wstydziała się swego irlandzkiego pochodzenia. Nigdy o nim nie

wspominała. Nie sędę, żeby przed twoim przybyciem kiedykolwiek otwierała ten tomik wierszy. Alice czytała jej innych pisarzy, ale nigdy Yeatsa. Poruszyłaś w niej jakąś strunę, Bridget, jeśli mogę tak się do ciebie zwracać. – Uśmiechnęła się. – Chciałabym wierzyć, że jesteśmy przyjaciółkami.

Bridie była zmieszana.

– Myślałam, że mnie nie lubisz.

Panna Ferrel zmarszczyła brwi.

– Skąd taki pomysł?

Bridie zeszywniała.

– Myślałam, że czujesz do mnie urazę. Pracowałam u niej dwanaście lat, a gdy ja się pojawiłam, poprosiła, żebym to ja jej czytała.

– Myślisz, że byłam o ciebie zazdrosna?

Bridie wzruszyła ramionami.

– Zastawiłaś na mnie pułapkę, podrzucając pieniądze pod łóżko, czyż nie?

Teraz panna Ferrel była skonsternowana.

– Jakie pieniądze?

– I kolczyki...

– Kolczyki? O czym ty mówisz, Bridget?

– Próbowalaś udowodnić, że jestem nieuczciwa.

– Naprawdę, nie wiem, o czym mówisz.

Bridie poczuła się niezręcznie.

– O tysiącach dolarów ukrytych pod jej łóżkiem i brylantowych kolczykach, które znalazłam w kieszeni jej sukni. Kto inny prócz ciebie mógł je tam podrzucić?

– Przysięgam, że to nie ja, Bridget!

– A więc kto?

– Gordon? – podsunęła z wahaniem panna Ferrel. – Czy to mógł być Gordon?

– Dlaczego miałby to zrobić?

– On był zazdrosny. Był jej bliższy niż ktokolwiek, nawet ja.

– Zresztą to już bez znaczenia – powiedziała Bridie. – Ona nie żyje.

– Tak, nie ma znaczenia – zgodziła się z nią panna Ferrel w zadumie. Nie wspomniała o pieniądzach, które sama znalazła na podłodze w pokoju pani Grimsby... i które zatrzymała.

*

Kiedy przeniesiono się do Nowego Jorku, wkrótce przyjechały tam również siostrzenice pani Grimsby wraz z matką. Jak słusznie przepowiedziała panna Ferrel, chodziły po domu, kłócąc się o obrazy, meble i cenne bibeloty.

– Ten stół będzie wyglądał uroczco w mojej jadalni – powiedziała pani Halloway. – Muszę mieć również te krzesła.

– Mnie też się one podobają – pani Kesler, wysuwając dolną wargę, zwróciła się do matki, u niej szukając wsparcia.

– Krzesła są w komplecie ze stołem, Tally. Możesz wybrać coś innego. Może weźmiesz łóżko? To piękny mebel.

Pani Kesler pokręciła nosem.

– Nie chcę jej łóżka. Materac pewnie zapada się w środku, skoro spał na nim taki wieloryb.

– Możesz kupić nowy – zasugerowała jej siostra ze złośliwym uśmiechem.

– Za pieniądze, które zapewne odziedziczę, Evie, mogę kupić sobie dwadzieścia nowych materaców! – oświadczyła pani Kesler, rozchmurzając się. – Zgoda, weź sobie te krzesła, Evie, a ja wezmę łóżko bez materaca. Ale chcę mieć perskie dywany. Wszystkie!

– Czy to nie nazbyt zachłanne z twojej strony? – spytała ich matka.

– Evie ich nie potrzebuje. Już ma piękne dywany. Ona bierze krzesła. Ja wybieram dywany. Będą moje, jasne?

Bridie wyszła z pokoju. Nie mogła dłużej znieść kłótni o rzeczy po osobie, której jeszcze nie pochowano. Podczas poprzedniej wizyty w Nowym Jorku jednoczył je wspólny cel – przypochlebianie się ciotce, a dziś kłóciły się jak stare wrony o padlinę. Gdyby pani Grimsby wiedziała, jak pozbawione szacunku i chciwe okazały się jej siostrzenice, być może kazałaby spalić swoje domy, żeby nie dostały.

– Nie mogą nic zabrać do czasu otwarcia testamentu – skomentowała do Bridie panna Ferrel nieco później, gdy skłócone kobiety już opuściły dom. – Nie byłabym zaskoczona, gdyby przepisała wszystko na cele dobroczynne.

– Dostałyby nauczkę – zgodziła się z nią Bridie. – Nie zasługują na ani jednego dolara z jej pieniędzy.

– Nawet nie zasługują na Skarbeńkę – dodała panna Ferrel. – Zobaczysz, że wyrzucą ją na ulicę.

– Martwię się o swoją posadę, ale dla nich chyba nie chciałabym pracować – powiedziała Bridie. – Nigdy bym nie pomyślała, że będzie mi brakować pani Grimsby.

Panna Ferrel uniosła brwi i pokręciła głową.

– Dziwna z ciebie dziewczyna, Bridget.

Bridie i panna Ferrel pozostały w rezydencji przez tydzień. Nie otrzymały żadnych poleceń od rodziny, a więc normalnie wykonywały swoją pracę, mimo że pani Grimsby już nie było na tym świecie. Bridie sprzątała, a panna Ferrel porządkowała papiery zmarłej chlebodawczyni. Gdy skończyła, zdjęła z półek wszystkie książki i ustawiła je w porządku alfabetycznym tylko po to, żeby się czymś zająć.

Pod koniec tygodnia pan Williams podjechał pod dom swoim lśniącym

samochodem. Wsiadł, ubrany w nieskazitelny garnitur oraz kapelusz, i zadzwonił do drzwi. Otworzyła panna Ferrel i zaprosiła go do holu. Chciał widzieć się z Bridie. Miał jej coś ważnego do zakomunikowania.

Położył teczkę na biurku pani Grimsby i uśmiechnął się do dziewczyny.

– Dzień dobry, panno Doyle. Jak pani zapewne wie, nazywam się Beaumont Williams i byłem prawnikiem pani Grimsby. Przykro mi z powodu pani straty. – Skończywszy z uprzejmościami, usiadł i włożył okulary. – Wczoraj w obecności rodziny pani Grimsby odbyło się odczytanie jej testamentu. – Spuścił wzrok na kolana i nerwowo przebierał palcami. – Ogromną niespodzianką dla rodziny było to, że pani Grimsby pozostawiła cały majątek pani, panno Doyle.

– Słucham...? – Bridie pobladła z powodu szoku.

Oczy pana Williama zabłyśły; wyraźnie bawiła go ta sytuacja.

– Powiem bez ogródek, panno Doyle. Pani Grimsby zmieniła testament przed kilkoma miesiącami. Powiedziała, że robi piekielną niespodziankę swojej rodzinie, która do samego końca nie okazała jej ani odrobiny uczucia. Jeśli dobrze pamiętam, powiedziała: „Panna Doyle była wobec mnie bardziej lojalna niż ktokolwiek, kogo znałam, jest jedyną osobą ze służby, która udowodniła swoją uczciwość, i za to z wielką przyjemnością wynagrodzę ją wszystkim, co posiadam. Ale z jeszcze większą radością pozbawię moich krewnych spadku, na który nie zasługują”. – Zwinnymi krótkimi palcami otworzył teczkę. – Przedstawię pani dokumenty. To znacząca fortuna, wedle wszelkich standardów. – Z satysfakcją uśmiechnął się od ucha do ucha. – Pani Grimsby miała do pani dwa konkretne życzenia. Prosiła, żeby pani pielęgnowała jej książkę, tomik poezji Yeatsa, oraz to... – Wyciągnął złoty medalion na łańcuszku, który starsza pani zawsze nosiła na piersi. Przez chwilę trzymał go w drżącej dłoni, po czym wręczył Bridie.

– Proszę się nie bać i go otworzyć, panno Doyle – zachęcił.

Z oczami zamglonymi od łez Bridie nacisnęła zameczek. Wewnątrz za szkłem widniała zielona koniczyna.

10 Fragment wiersza *Kiedy już siwa twa głowa (When you are old)*, w tłumaczeniu Zygmunta Kubiaka.

Rozdział 28

Londyn, Anglia, wiosna 1923

Skandaliczna ucieczka Celi Deverill i Lachlana Kirkpatricka do posiadłości jego ojca w Szkocji wywołała falę zaskoczenia i niedowierzania na salonach londyńskiej socjety. Digby i Beatrice byli zdruzgotani niezrozumiałą decyzją córki porzucenia świeżo poślubionego męża, Vivien i Leona były wściekłe na siostrę, że splamiła rodzinne nazwisko, Kitty zaś zdumiona, że jej kuzynka zdecydowała się uciec po złożeniu małżeńskiej przysięgi, a nie przed, co byłoby rozsądniejsze. Ważne persony, które paliły cygara i piły porto w ekskluzywnych klubach Londynu, gromadziły się wokół Digby'ego, klepiąc go po plecach i zapewniając, że jak tylko córka zorientuje się, że jej kochanek nie jest tak wyjątkowy, jak jej się zdawało, pójdzie po rozum do głowy i wróci do Londynu jak zbiegły koń. Jeśli Lachlan choć odrobinę przypomina swego nieuczciwego i nadętego ojca Porky'ego Kirkpatricka, Celia rychło pożałuje swego wyboru i będzie błagać Archiego Mayberry'ego, żeby zechciał przyjąć ją z powrotem. Kobiety, które zazdrościły Beatrice niebotycznego bogactwa oraz kolekcji przyjaciół, napawając się nagłym upadkiem jej córki, plotkowały złośliwie w herbaciarniach Fortnum & Mason i hotelu Ritz, gdzie odbyło się nieszczęsne przyjęcie. Jednak nikt nie cieszył się bardziej z tego skandalu od Maud Deverill.

– Biedna Beatrice – wzdychała nieszczercze, podnosząc do ust filiżankę z delikatnej porcelany. – Ludzie są jak chorągiewki. Pewnie nie będą teraz tak chętnie zaglądali do jej salonu.

– Nie mogę powiedzieć, żebym była zaskoczona – stwierdziła Victoria, siedząc w ładnym zielonym salonie swego londyńskiego domu, za którego oknami w bujnym ogrodzie kwitły obficie różowe kamelie i białe kaliny. – Celia zawsze zachowywała się trochę nieodpowiednio. Pamiętasz, mammo, te lata, gdy razem z Kitty włóczyły się jak zdziczałe psy i robiły różne psikusy?

– Jedna warta drugiej. Tak czy owak, Beatrice była zbyt pobłażliwa. W jej oczach wszystko, co robiła Celia, było zabawne. Szczerze mówiąc, zawsze uważałam, że należy jej spuścić solidne lanie.

– Nie byłabym taka pewna, że ten skandal wpłynie na frekwencję na salonach Beatrice. Ludzie uwielbiają sensacje i zawsze chcą być najlepiej poinformowani. Przewiduję, że będą zbiegać się stadami tylko po to, żeby być w centrum tego wszystkiego.

– Naprawdę tak uważasz? – Maud nie kryła rozczarowania.

– Przynajmniej odwróciło to uwagę od dziecka Kitty. Powinnaś, mamó, być za to Celi wdzięczna.

Maud westchnęła.

– Dziecko Kitty... Nie chcę o tym rozmawiać. Ona jest nieodpowiedzialna i samolubna. Ani przez chwilę nie wzięła mnie pod uwagę. Ani ciebie, jeśli o to chodzi. Co Eric o tym sądzi?

– Erica to w ogóle nie obchodzi. Nie lubi plotek i podobnie jak większość mężczyzn uważa Kitty za fascynującą kobietę.

– Ona musi wyjść za mąż – rzekła stanowczo Maud. – Silny mężczyzna by ją okiełznał.

Victoria nie była przekonana.

– W takim razie musi znaleźć bardzo silnego mężczyznę.

Kiedy Harry dowiedział się, gdzie jest Celia, razem z Boysiem wsiedli do pociągu Flying Scotsman i udali się do Edynburga.

– Nie rozumiem, jak można chcieć mieszkać w Edynburgu – rzekł Boysie, zasiadając w wagonie restauracyjnym pierwszej klasy. – Przecież pełno tam Szkotów.

Harry roześmiał się z ironicznej uwagi przyjaciela.

– Wątpię, żeby Celia o tym pomyślała, zanim zdecydowała się tam uciec.

– Można pojechać na północ na ryby albo na polowanie. Ale całymi tygodniami moknąć i marznąć? Brr! Każdy człowiek o zdrowych zmysłach szybko wzięłby nogi za pas i zwiął z powrotem na południe. Poza tym nie znoszę tych okropnych kiltów. Mężczyźni, którzy w nich paradują, najczęściej mają zbyt masywne łydki i guzowate kolana. Uważam, że kolano to najmniej atrakcyjna część ludzkiego ciała. Nie powinno się ich pokazywać.

– Boję się nawet pomyśleć, jaką część ciała chciałbyś, żeby pokazywano. Przypuszczam, że Lachlan nosi kilt, nieprawdaż?

– Oczywiście. Bez wątpienia nosi kilt i z upodobaniem się w nim pokazuje. Nikt prócz króla nie powinien nosić kiltu. Królowie są stworzeni do strojenia się, a poza tym turyści lubią widowiska. Ale arystokraci bredzący stale o swoich klanach, tartanach i tych idiotycznych szkockich tańcach są naprawdę bardzo nużący, śmiertelnie nużący. – Skrzywił się do Harry'ego. – Przypomnij mi, stary, po co właściwie jedziemy do tej Szkocji?

Naczelnik stacji zagwizdał, kłęby pary uniosły się w powietrze w szybko znikającej chmurze. Koła zazgrzytały, pociąg ruszył.

– Musimy uświadomić Celi, że popełniła błąd – tłumaczył Harry. – Może będzie musiała błagać, ale jestem pewien, że Archie przyjmie ją z powrotem. W końcu są małżeństwem. Na dobre i na złe, i tak dalej.

– Lachlan może być diabelsko przystojny i niekonwencjonalny, ale nie to

jest najważniejsze w życiu. To potworny egoista. Biedna Celia!

– Jeśliby mu na niej naprawdę zależało, nie zachęcałby jej do ucieczki. Jej reputacja jest w strzępach.

– Wprost przeciwnie, stary, przez to stała się bardziej interesująca. Jeśli wróci do Archiego, będą podziwiani w całym mieście. Zobaczysz, nie będzie takiej pani domu w Londynie, która nie zechce ich mieć przy stole, wyłączając naturalnie kilka nudnych starych kwok. Takie zawsze się znajdują. – Boysie wyjął srebrną papierośnicę z kieszeni marynarki i ją otworzył. – Zapalisz? – Harry poczęstował się papierosem. Boysie podał mu ogień i Harry się zaciągnął. – Mam nadzieję, że wróci jej rozsądek – dodał Boysie, podpalając sobie papierosa. – Nie zamierzam telepać się do tej całej Szkocji na próżno.

– Poćwicz więc swoją siłę perswazji – poradził Harry.

– Mam nadzieję, że jej kurzy mózdzek już to przepracował. Kochana Celia, kocham ją gorąco, ale wydaje mi się, że cała inteligencja rodu Deverillów skupiła się w Kitty. Bez obrazy, stary, ale kocham cię nie z powodu zalet twojego umysłu.

– Nie obrażam się, Boysie. – Harry roześmiał się gromko. – Ale żeby naprawić swój afront, musisz wymienić wszystkie powody, dla których tak bardzo mnie kochasz.

*

Celia oczekiwała ich w wychłodzonym salonie, kuląc się przy kominku i popijając gorące kakao. Zjawili się u niej następnego dnia przed południem, po nocy spędzonej w jakimś hoteliku w Edynburgu. Kamerdyner wprowadził ich do surowej sieni, gdzie antenaci rodu Kirckpatricków we wszystkich rozmiarach wisieli na ścianach, a na kamiennej podłodze leżała skóra gigantycznego niedźwiedzia z wyszczerzonymi zębami. Zapowiedział ich w salonie, a dwóch młodych lokajów zajęło się ich bagażem.

– Kochani chłopcy, jesteście wspaniali, że przybyliście mi na ratunek! – wykrzyknęła Celia, biegnąc, żeby ich uściskać i ucałować.

– Naprawdę potrzebujesz ratunku, kochanie? – spytał Boysie.

– Ależ oczywiście! – Rozpromieniła się w uśmiechu. – Jesteście moimi rycerzami w lśniących zbrojach.

– Piękny dom, gdyby go trochę ogrzać i zmienić wystrój – rzekł Boysie, pocierając dłonie dla rozgrzewki. – A gdzie nasz złodziej żon?

– Cicho, Boysie! Tu wszędzie są szpiedzy! – syknęła Celia z emfazą, ponieważ uwielbiała dramaty. – Musicie być zmęczeni. Koszmarna podróż, nie sądzicie?

– Jeśli chcesz znać moje zdanie, cała Szkocja jest koszmarna – stwierdził Boysie, przesuając wzrokiem po wysłużonych meblach i spłowiałych obiciach.

– Co ty sobie wyobrażałaś? – spytał Harry.

Celia wyglądała na zawstydzoną.

– Cokolwiek to było, już się rozmyśliłam – powiedziała. – Uważacie, że Archie przyjmie mnie z powrotem, pomimo że nie jestem już dziewicą? – wyszeptwała.

– Może przyjdzie ci się przed nim czołgać – rzekł Harry.

– Och, nie ma sprawy. A nie możemy po prostu udawać, że Lachlan uprowadził mnie w niecznych zamiarach? – zasugerowała.

– Czy to byłoby fair? – powiedział Harry.

– W miłości jak na wojnie, nic nie jest fair – skostatował Boysie, padając na sofę.

– Napijmy się herbaty – zaproponowała Celia. – Patterson, herbata dla moich przyjaciół! Teraz usiądźmy i ogrzejmy się. Tu jest strasznie zimno. W porównaniu z tą chłodnią Castle Deverill wydaje się szklarnią.

Przycupnęła na poręczy osłony kominka, żeby ogień mógł grzać jej plecy.

– Co teraz zrobimy? Lachlan uważa, że jest cudownie. Upaja się faktem, że wszyscy w Londynie o nas mówią. Chce mnie poślubić.

– A więc powinien być z tobą uciec, zanim złożyłaś przysięgę – zauważył Harry.

– Nie sądzę, żeby grzeszył szczególną inteligencją. – Celia zmarszczyła zgrabny nosek. – Myślę, że popełniłam okropny błąd.

Boysie zapalił papierosa.

– Masz dwie opcje. Pierwsza: unieważniasz małżeństwo i wychodzisz za Lachlana. Ale szczerze mówiąc, mieszkając tu, szybko zwariujesz, to pewne.

– A druga? – spytała z gorączkową nadzieją Celia.

– Wracasz z nami do Londynu. Wyjaśnisz Archieму, że miałaś załamanie nerwowe, i będziesz błagać o wybaczenie.

– Oczywiście wcześniej trzeba by rozmówić się z Lachlanem – przypomniał Harry.

Celia wpadła w popłoch.

– O Boże, nie! Raczej ucieknę w nocy i zostawię mu liścik. Nie zdołam powiedzieć mu tego w oczy.

Patterson wkrótce przyniósł herbatę. Postawił tacę na stoliku do kawy, po czym dyskretnie się wycofał, zamykając za sobą drzwi.

– Dlaczego uciekłaś prosto z wesela, Celio? Dlaczego nie zrobiłaś tego później? – spytał Boysie. – Naprawdę musiałaś tak upokorzyć nieszczęsnego Archiego, nie wspominając już o twojej biednej matce?

– Bałam się nocy poślubnej. Sądziłam, że przez to nie przejdę. Archie mnie nie pociąga. Lachlan to co innego... Jest cholernie atrakcyjny.

– A ja sądziłem, że dziewczyny po prostu leżą i myślą o Anglii. Dopiero po wydaniu na świat dziedzica, a jeszcze lepiej kolejnego dziecka, znajdują

mężczyznę, który naprawdę satysfakcjonuje je w sypialni. Dla mnie to brzmi rozsądnie. W małżeństwie nie chodzi o miłość, ale o układ. – Boysie zerknął na Harry’ego. – Ja ożenię się z moim „pasztetem”, ponieważ jestem jedynym męskim potomkiem w rodzinie. Ale nie będę jej kochał. A jeśli ona mnie pokocha, cóż, będzie okropnie nieszczęśliwa.

– Biedna Deirdre – stwierdziła Celia, tak naprawdę wcale jej nie współczując. – A raczej durna Deirdre. To samo się nasuwa, czyż nie? – Głęboko westchnęła, jakby ciężkie brzemie całego kobiecego rodu spoczywało tylko na jej barkach. – Chyba muszę wrócić do Archiego – dodała.

– Gdzie Lachlan? – spytał Boysie.

– Na rybach. Nie będzie go przez cały dzień. – Nagle wyglądała na bardzo osamotnioną. – Spędza w ten sposób mnóstwo czasu.

– A co ty niby masz robić, gdy on się oddaje swoim rozrywkom? – spytał Harry.

Celia uśmiechnęła się smętnie.

– Nie wiem. A co robią Szkotki? – spytała.

– Czyszczą torby na kilty swoich mężów. – Boysie zachichotał.

– Doprawdy, Boysie, jesteś niemożliwy! – Celia wybuchnęła śmiechem. – Jak ty z nim wytrzymujesz, Harry?

Trójka przyjaciół zjadła razem lunch w jadalni, podczas gdy Lachlan w błogiej nieświadomości planów swej kochanki siedział nad rzeką ze swoim pomocnikiem, obserwując wędkę i spożywając kanapki przygotowane mu przez kucharza. Gdy wieczorem wrócił do domu, znalazł liścik na stoliku w holu, ale nie znalazł Celi.

*

Beatrice była dozgonnie wdzięczna Harry’emu i Boysiemu za sprowadzenie Celi do domu. Mocno ją obejmując, zanosila się płaczem, jakby to Celia miała wyzwolić ją od nieszczęścia, a nie stała się jego przyczyną. Digby okazał znacznie mniej pobłażliwości.

– Wystawiłaś nas na pośmiewisko! – oświadczył z wściekłością. – Po tym wszystkim, cośmy dla ciebie zrobili! Nie masz pojęcia, ile pieniędzy i zachodu kosztowało nas to wesele! Mam nadzieję, że Archie przyjmie cię z powrotem, ale nie miałbym mu za złe, gdyby się ciebie pozbył i znalazł sobie kogoś innego. Lepiej go błagaj na kolanach, moja droga. Nie sądzę, żeby bez niego rysowała się przed tobą jakaś przyszłość.

Celia była wstrząśnięta. Ojciec, zwykle łagodny, potrafiący wszystko obrócić w żart, nie miał w zwyczaju robić jej wyrzutów. Liczyła, że dostrzeże zabawną stronę całego zamieszania, że rozbawi go jej brawura. No, być może pokręci głową nad jej głupotą, mówiąc: „Jakie to typowe dla ciebie, Celio, moja droga!”, ale na

pewno nie będzie na nią wściekły. Zaczęła rozpaczliwie łkać.

– Naprawdę moje położenie jest tak beznadziejne, tato?

Digby uniósł ręce i wzruszył ramionami; na jego palcu zabłyśnął duży złoty sygnet.

– Może się znajdzie jakieś wyjście – powiedział po namyśle.

Digby spotkał się z Archie w bibliotece Deverill House przy Kensington Palace Gardens. Zaoferował młodemu człowiekowi drinka i złożył mu propozycję nie do odrzucenia.

– Pozostaje mi tylko cię przeprosić za pożałowania godne zachowanie mojej córki. Nerwy z powodu ślubu mogą wyjaśnić jej szaleństwo, ale nie mogą go usprawiedliwić. Jednak jest twoją żoną, a w oczach Boga małżeństwo jest węzłem, którego człowiek nie może rozwiązać. W związku z tym postanowiłem powiększyć jej posag do stu tysięcy funtów jako niewielką rekompensatę za to ciężkie przejście, na jakie cię naraziła. Mam nadzieję, że znajdziesz dla niej w sercu wybaczenie, a przynajmniej przyjmiesz ją z powrotem, żeby oszczędzić nam dalszego skandalu. Ona wie, że źle postąpiła i bardzo chciałaby ci to wynagrodzić.

– Digby zdawał sobie sprawę, że w gruncie rzeczy ta oferta była poniżająca i żaden mężczyzna by jej nie zaakceptował, chyba że przypadkiem jego rodzina znajdowałaby się na skraju bankructwa. Przez swoje kontakty w City dowiedział się, że Mayberry'owie toną w długach. Ich domek z kart lada chwila mógł się rozpaść. Ze spokojem więc splótł palce i obserwował, jak rumieniec wpełza na policzki zięcia.

Archie wciągnął powietrze przez nozdrza, jakby rozważał propozycję.

– Prosi pan o wiele, sir Digby – powiedział w końcu, ale Digby wiedział, że jego oferta jest zbyt hojna, żeby ją odrzucić. – Jeśliby uciekła z przyjaciółką, może bym uwierzył, że chodziło o zdenerwowanie z powodu ślubu. Ale ona uciekła do Szkocji z Lachlanem Kirkpatrickiem! I żyła z nim, co jest dowodem jawnej zdrady. Jednak, tak jak pan to ujął, jesteśmy małżeństwem i w oczach Boga musimy nim pozostać. Przyjmę ją z powrotem, ale to, co się wydarzyło, pozostanie skazą na naszym szczęściu. Nie jestem pewien, czy kiedykolwiek będę w stanie jej zaufać, a tym bardziej ją pokochać. Ale postaram się jej wybaczyć.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie. Pieniądze, jak to często bywa, złagodziły ból świeżo upieczonemu małżonkowi i postawiły córkę Digby'ego w o wiele korzystniejszym położeniu. A na pewno poprawiły atmosferę w bibliotece, ponieważ gdy drzwi otworzyły się i wezwano Celię, panowie wydawali się w znakomitej komitywie, dyskutując o ekscytującym początku londyńskiego sezonu.

Celia pojawiła się dostatecznie skruszona, Archie jednak tylko na nią zerknął, nie mogąc spojrzeć jej w oczy. Jeszcze raz uścisnął dłoń Digby'ego i wyszedł na plac przed domem; tuż za rogiem czekał na niego szofer w lśniącym

fordzie T, prezencie ślubnym od ojca, kupionym za pożyczone pieniądze. Celia podreptała za nim, niepewna, co robić; z jednej strony chciałaby się cofnąć do czasów bezpiecznego dzieciństwa w rodzinnych pieleszach, z drugiej zaś zdawała sobie sprawę, że z własnej woli straciła dziewczęcą niewinność w łóżku Lachlana Kirkpatricka, i nie ma już odwrotu. Ojciec nie chciał jej z powrotem w domu. Archie prawdopodobnie też jej nie chciał, a i Lachlan, który bardzo jej chciał, wydawał się pragnąć jej mniej, odkąd podniecenie związane z ich wielką ucieczką nieco opadło. Skandal, owszem, był podniecający, ale wstrząsami wtórnymi nie była już ubawiona. Umościła się na tylnym siedzeniu obok męża.

– Wybaczysz mi? – spytała, usiłując pod twardą i bezlitosną maską odnaleźć dawnego Archiego.

– Myślałem, że cię rozumiem, Celio. – Pokręcił głową, wyglądając przez okno, gdy samochód okrążył plac i skierował się w stronę Mayfair. – Ale okazało się, że cię nie znam.

– Przepraszam – powiedziała cichym głosem. – Nie chciałam cię zranić. Byłam samolubna i głupia. Będę z tym musiała żyć do końca swych dni.

– To prawda. – Miał niewzruszony wyraz twarzy. – I zgodzisz się na wszystko, czego zażądam.

*

Zamieszkali w nowym domu w Mayfair. Celia bardzo starała się być dobrą żoną. Prowadziła dom, urządzała przyjęcia i przyjmowała niekończący się zalew zaproszeń z najświetniejszych domów Londynu. Boysie słusznie przewidział, że po tym skandalu stali się jako para bardziej interesujący towarzysko, zwłaszcza że publicznie potrafili wykazać się przekonującą jednością. W nocy jednak łóżko Celi pozostawało puste, a ich małżeństwo nieskonsumowane. Archie odzywał się do niej tylko w towarzystwie, Celia starała się więc, by dom zawsze był pełen gości. Drzwi były otwarte, odwiedzający mile widziani. Przychodzili stadami, by zobaczyć „uciekającą pannę młodą” i tego biednego rogacza, jej męża, a obydwójce, Celia i Archie robili wszystko, żeby zachować pozory.

– To tylko mistyfikacja – wyznała pewnego popołudnia, gdy siedziały z Kitty w ogrodzie na żeliwnej ławeczce, którą otrzymali od kogoś w prezencie ślubnym. – Wyglądamy jak gruchające gołąbki, a jesteśmy bardzo nieszczęśliwi. Wszystko to moja wina.

– Zobaczysz, że się ułoży – zapewniła Kitty, ujmując ją za rękę.

– On mi nie wybaczy. Skrzywdziłam go, on nigdy mi tego nie daruje.

– Wkrótce będziesz miała dzieci i to was do siebie zbliży.

Celia roześmiała się szorstko, odrzucając głowę do tyłu, tak że jej delikatna szyja błysnęła bielą w słońcu.

– On nie przychodzi do mojego łóżka – wyznała. – Ani razu mnie nie

odwiedził. Ani razu! W jego oczach jestem pariasem.

– Przyjdzie.

Celia wpatrywała się w Kitty szeroko otwartymi zdesperowanymi oczami.

– Jak na ironię teraz ja go bardzo pragnę.

– Och, Celio!

– Pragnę go, Kitty. Tęsknię, żeby mnie przytulił. Tęsknię za tym, co było, zanim wzięliśmy ślub. Wtedy bałam się jego dotyku. A teraz go pragnę. – Zniżyła głos, walcząc z emocjami. – Ale teraz jestem zepsutą kobietą. Byłam z innym mężczyzną. Jestem uszkodzonym towarem. Nikt mnie już nie chce. Słyszałam, że Lachlan adoruje tę okropną Annabel Whitely. Niedługo za mną rozpaczal, nieprawdaż?

– Zapomnij o Lachlanie. Skoncentruj się na swoim małżeństwie. Musisz być cierpliwa. Nie możesz oczekiwać, że rany zagoją się przez jedną noc. Archie zmięknie, jestem pewna.

– Oby, bo inaczej zupełnie uschnę. Dziewicza panna młoda! Tak mnie będą nazywać. – Uśmiechnęła się smutno. – A co z tobą, Kitty?

– Ze mną?

– Jack musi mieć ojca, wiesz o tym. Nie możesz go wychować bez mężczyzny, na którym mógłby się wzorować.

Kitty zmarszczyła brwi. Nie pomyślała o tym. Celia ma rację. Powinna zadbać o to, by Jack zaznał również ojcowskiej miłości.

– Zawsze wierzyłam, że poślubię mężczyznę, którego kocham – powiedziała. – Chodziłam z głową w chmurach, rozmarzona. Ale tak w życiu się nie dzieje, prawda? – Zagubiła się gdzieś w przestrzeni, wracając myślami do Irlandii i wspomnień, które tam zostawiła.

– Trzeba mieć szczęście – westchnęła Celia. – Nie zdawałam sobie sprawy, że mnie ono spotkało.

– Kochałam pewnego mężczyznę – wyznała nagle Kitty, a jej oczy wypełniły się łzami. – Kochałam tego mężczyznę całym sercem, Celio. Kochałam go tak, że gotowa byłam za niego umrzeć. Ale nie mogłam go mieć.

Celia z zaskoczeniem wpatrywała się w kuzynkę.

– Był Irlandczykiem? – Gdy Kitty skinęła głową, spytała: – Co się z nim stało?

– Został wtrącony do więzienia. – Kitty odwróciła wzrok. Nie chciała, żeby ktokolwiek, nawet Celia, zobaczył w jej oczach ból.

– Za co?

– Za udział w walce o niepodległość.

– Och! – Celii zaparło dech. Nie do końca pojmowała, co to znaczy, wiedziała jedynie, że to ma coś wspólnego z powodem, dla którego przestali spędzać wakacje w Castle Deverill.

– Powiedziałam mu, że na niego poczekam – ciągnęła Kitty. – Czekałabym bez końca. Ale on mnie zostawił. Pisałam listy. Wiele listów. Nigdy mi nie odpisał. – Zgarbiła się. – On to wie, rozumiesz. Na naszej drodze jest zbyt wiele przeszkód. Zawsze tak było. Ale ja wierzyłam, że uda nam się je pokonać. – Roześmiała się ponuro. – Na koniu potrafię wszystko przeskoczyć, nieprawdaż?

Celia otoczyła kuzynkę ramionami.

– Czyż obie nie jesteśmy żałosne? – powiedziała, ściskając Kitty. – Dziewczęta z rodu Deverillów i ich skomplikowane życie miłosne. Sądzisz, że mamy to we krwi?

– Nie wiem. Wszystkie nasze siostry są mężatkami, czyż nie?

– Poślubiły największych ponuraków w Anglii! Za nic nie chciałabym ich nudnych mężów. Mimo wszystko wolę być żoną Archiego, chociaż ze mną nie rozmawia.

– A ja będę musiała wyjść za mężczyznę, którego nie kocham, ponieważ nigdy nie pokocham nikogo tak jak Jacka.

Celia odsunęła się nagle.

– Jacka? Chodzi o Jacka O’Leary’ego, miłośnika żab?

Kitty skinęła głową.

– On jest odważny, przystojny, zabawny, inteligentny i miły. Jack Deverill nosi po nim imię. Nie znam lepszego mężczyzny, po którym mogłabym nadać mu imię.

– Nie oczekuj, że znów kogoś tak pokochasz, bo nigdy nie będziesz szczęśliwa – powiedziała Celia z rzadką u niej mądrością. – Musisz znaleźć kogoś, kogo szanujesz i kto szanuje ciebie. Partnera na życie. On gdzieś jest, Kitty. Nie możesz ciągle być na utrzymaniu babci. Musisz zapewnić Jackowi Deverillowi bezpieczeństwo.

To już naprawdę koniec, pomyślała Kitty. Ostatnia isierka nadziei zgasła w jej sercu.

*

Pewnej nocy pod koniec lata Archie przyszedł do sypialni Celi. Bez słowa zdjął szlafrok i powiesił go na oparciu krzesła. Zsunął kapcie, rozpiął górę od piżamy, rozwiązał tasiemkę przy spodniach i je ściągnął. Celia obserwowała go z łóżka, zbyt zdenerwowana, żeby się odezwać. W świetle lampy ulicznej, które przedzierało się przez szparę w zasłonach, nagie ciało Archiego lśniło złotem, ale twarz niknęła w cieniu. A Celia pragnęła wiedzieć, czy przychodzi do niej z miłością, czy chce wziąć ją w ramiona, o czym od tak dawna marzyła, czy raczej ze wstrętem, wyłącznie po to, żeby spełnić małżeński obowiązek.

Delikatnie odsunął kołdrę i położył się. Celia zagryzła wargę, dreszcz oczekiwania przeszył jej skórę. Poczwała na brzuchu jego dłoń. Ostrożnie położyła

na niej swoją, przytrzymując ją na koszuli. Nagle wymacała w jego dłoni coś jedwabistego. W półmroku poszukała jego oczu. Wreszcie na nią patrzył.

– Chcę, żebyś je włożyła – powiedział.

Zmarszczyła brwi.

– Co to jest?

– Białe rękawiczki – odpowiedział. A gdy zrobiła gest, jakby się wzbraniała, dodał: – Celio, kochanie, zawarliśmy umowę, że zrobisz wszystko, czego zażądam.

Poczuła, że policzki jej płoną.

– Jeśli to tylko para rękawiczek...

– To wszystko. Niczego więcej nie chcę.

Przez moment wyglądała na przerażoną, ale szybko jej twarz się rozpromieniła. Wybuchła śmiechem.

– Jeśli to twoja jedyna słabość, będziemy bardzo szczęśliwi.

Archie pochylił głowę i ją pocałował.

Rozdział 29

Londyn, Anglia, jesień 1923

Kitty otworzyła oczy. Ponura twarz Michaela Doyle'a patrzyła na nią z góry; uśmiechał się z triumfującą wyższością, zapinając spodnie. Jej cnota była dla niego jak trofeum po morderstwie na pułkowniku Manleyu i wielu członkach Oddziałów Pomocniczych, których bez wątpienia zabił w imię niepodległej Irlandii.

– Teraz jesteś moją własnością – mówił. – Wypełniłem cię swoim nasieniem. Choć się nie zakorzeniło, wniknęło głęboko w ciebie, jak cierń, którego nigdy nie wyjmiesz. Nie uda ci się zapomnieć...

Zamrugła w ciemności, puls jej przyspieszył, oddech drapał gardło. Czyżby nie żył i nawiedzał ją po śmierci? Znów zamrugła, a potem niezdarnie poszukała wyłącznika lampki. W pokoju nie było nikogo. Zdała sobie sprawę, że to tylko sen, ale czuła zapach alkoholu i dymu, jakby naprawdę ktoś tu był. Zadrzała. Wypiła łyk wody. Przysięgła, że nigdy mu nie daruje, ale tak naprawdę to on jej nie odpuścił. Cieleśna rana zagoiła się, ale wspomnienie gwałtu zostało wyryte w jej duszy jak znamię diabła. Gdyby nie pojechała się z nim skonfrontować, gdyby nie była tak arogancka... Gdyby...

Mały Jack Deverill miał teraz półtora roku i był najbardziej uroczym dzieckiem, jakie Kitty kiedykolwiek widziała. Całą miłość, którą chowała dla Jacka O'Leary'ego, przelała na swego przyrodniego brata, który nosił jego imię. Harry i Boysie często ją odwiedzali, rozkliwiając się nad ślicznym chłopczykiem, ale ich regularne wizyty tylko przypominały o braku zainteresowania reszty rodziny. Maud z powodu bólu i goryczy, Victoria z dezaprobaty, a w wypadku jej ojca chodziło o wstyd. Kitty przyjęła do wiadomości, że Jack nigdy nie doczeka się uznania tych członków rodziny Deverillów. Tylko gałąź z Wiltshire przyjęła go ze zwykłą dla siebie klasą.

Harry zaręczył się z Charlotte Stalbridge w tym samym czasie, gdy Boysie poprosił „durną” Deirdre, żeby za niego wyszła. Maud nie posiadała się ze szczęścia. Stalbridge'owie byli zamożni, posiadali ogromny majątek w Norfolk, nieopodal królewskiej posiadłości Sandringham, i cieszyli się powszechnym szacunkiem. Rzeczywiście sir Charles Stalbridge był przyjacielem króla. Choć Harry nie odziedziczył już pięknego zamku, Stalbridge'owie byli zachwyceni urokiem i czarem osobistym przyszłego zięcia. W poczerniałych ruinach fortecy, spalonej przez rebeliantów podczas konfliktu, tkwiła również pewna doza

romantyzmu. Z zamkiem czy bez, Harry był Deverillem, przyszłym lordem Deverillem, co całkowicie ich satysfakcjonowało. Ponadto Charlotte bezgranicznie go kochała, a to dla lady Stalbridge było ważniejsze niż zabytkowe mury i bezużyteczna ziemia.

Beatrice zaproponowała, by w sylwestra Nowego Roku urządzić wspólne przyjęcie zaręczynowe dla obu par w Deverill Rising. Maud spędziła Boże Narodzenie z Victorią. Elspeth, w ciąży z drugim dzieckiem, zaprosiła na święta ojca i babcię. Wyglądało na to, że drogi ich rodziców całkowicie się rozeszły. Bertie mieszkał w Hunting Lodge ze swoją coraz bardziej zdziwaczałą matką, podczas gdy Maud stale przebywała w Anglii z Victorią, a w czasie londyńskiego sezonu z Beatrice. Błagała Bertiego, żeby kupił w Londynie dom, tłumacząc, że nie może stale wykorzystywać gościnności Digby'ego i Beatrice i występować w charakterze ubogiej krewnej, ale Bertie argumentował, że nie ma pieniędzy na tego rodzaju ekstrawagancje. A jeśli jej nie odpowiada ta sytuacja, zawsze może wrócić do hrabstwa Cork. Ale myśl o powrocie przerażała Maud. Nie będąc panią na zamku, jak ma z dumą nosić głowę w Irlandii? Dziś była panią na stercie kamieni i popiołów. Co więcej, zerwała wszystkie więzi z krajem, do którego zresztą nigdy nie żywiła ciepłych uczuć. Zdradzona przez najlepszą przyjaciółkę, odrzucona przez męża i skompromitowana przez jego nieślubne dziecko, które – o zgrozo! – jej córka postanowiła wychowywać, miała wystarczające powody, żeby już nigdy nie postawić stopy w tym zapomnianym przez Boga kraju.

Kitty natomiast każdą komórką swego ciała tęskniła za Irlandią. Pozostawanie w Anglii wymagało od niej wielkiej siły woli. Święta Bożego Narodzenia spędziła z Digbym i Beatrice w Deverill Rising. Otoczona rodziną i przyjaciółmi, w atmosferze niekończących się przyjęć, na krótki czas zapomniała o tęsknocie za domem. Tak długo jak była zajęta, mogła zakopać swoją nostalgię pod nawałą gorączkowej aktywności. Potrafiła spacerować po wspaniałych ogrodach w Wiltshire i nie tęsknić za warzywnikiem ogrodzonym murem, przy którym szukała listów od Jacka, albo za szklarniami, gdzie latem spotykały się potajemnie z Celią i Bridie, albo za labiryntem inspektów, w którym często w dzieciństwie się gubiła, ponieważ odgłos kroków na mrozie odbijał się mylącym echem. Tłumiła swój smutek, czerpiąc przyjemność z uroków Deverill Rising, a te były po prostu zachwycające.

W sylwestra, na przyjęciu z okazji zaręczyn obu par, rozmawiała z Trenchem. Posadzona obok niego przy stole, spytała go o jego książkę.

– Skończyłem ją – odpowiedział uszczęśliwiony. – Ukaże się na wiosnę.

– To wspaniale – wyraziła swój entuzjizm Kitty. – Nie mogę się doczekać, żeby ją przeczytać.

– Przyślę ci egzemplarz – zaproponował. – Będiesz moją pierwszą czytelniczką.

– Naprawdę czuję się zaszczycona. Na pewno mi się spodoba.

Uśmiechnął się, a Kitty pomyślała, że ze szczęściem mu do twarzy. W Irlandii był taki straszliwie poważny. Teraz spoglądał na nią z uczuciem. Widać, że człowiek może się bardzo zmienić. Było w tej znajomości coś krzepiącego, co przypominało jej dom.

– W Irlandii nigdy się nie uśmiechałeś. Dlaczego? – zaryzykowała pytanie.

– Bo byłem nieszczęśliwy – wyznał.

– Dlatego że musiałeś tkwić w Irlandii?

– W tamtym czasie byłem niewyobrażalnie nieszczęśliwy. Powiniennem walczyć na wojnie. Nie czułem się jak mężczyzna. Miałem świadomość porażki.

Zmarszczyła brwi.

– Przykro mi, Robercie. Nie wiedziałam.

– Byłaś bardzo młoda. Skąd mogłaś wiedzieć?

– Powinnam wykazać więcej empatii. Myślę, że byłam niezdolną smarkulą.

– Wcale nie. Po prostu byłaś skoncentrowana na czym innym.

Kitty pomyślała o Jacku, ale szybko zdusiła tę myśl.

– Byłam bardzo zatroskana Irlandią – powiedziała.

– Zdecydowanie byłaś idealistką.

– Jednak mamy wolny kraj, czyż nie?

– Ale Irlandia jest nadal podzielona.

– Tak, lecz wywalczyliśmy niepodległość dla Południa.

– Jakim kosztem!

Popatrzyła na niego poważnie. Ogarnął ją nastrój do zwierzeń. Wiedziała, że ze wszystkich ludzi w jej nowym życiu Robert jest jedynym człowiekiem, który w pełni ją rozumie.

– Wojna o niepodległość pozbawiła mnie wszystkiego, co kochałam – powiedziała cicho. – Była to wojna, w którą wierzyłam i odegrałam w niej swoją niewielką rolę. Ale nigdy nie pomyślałam, że osobiście mnie dotknie.

– Delikatnie rzecz ujmując.

Ze smutkiem spuściła oczy, przytłoczona współczuciem w jego głosie i emocjami, które ono spowodowało.

– Och, Robercie, nie masz pojęcia, ile w tym prawdy. – Westchnęła ciężko. – Ale Irlandia jest wreszcie niezależna.

– A ty?

– Ja ją utraciłam. – Kitty podniosła kieliszek wina. Zdusiła w sobie nagły żal, czerpiąc siłę z głębokich rezerw przyrodzonej odporności. – Jednak pewnego dnia wrócę. Irlandia nie zniknie. Mogłam stracić swój dom i... – zawahała się. – Ale Irlandia ciągle tam jest, dzika, zielona i piękna. – Wstała od stołu i czym prędzej opuściła jadalnię. Pospieszyła przez dom do zimowego ogrodu, otworzyła francuskie okno i wyszła na dwór.

Fontanna była zamarznięta, żywopłoty lśniły od świeżego śniegu, księżyc błyszczał w mglistym zimowym powietrzu. Gwiazdy migotały jaśniej niż kiedykolwiek, a gdzieś w lesie, w ciemnościach za gołębnikiem pohukiwała sowa.

– Zamarznieś – powiedział Robert, stając za nią. Zdjął marynarkę i zarzucił jej na ramiona. – Przepraszam, być może nie powinienem cię pytać o Irlandię.

Kitty zadrżała i włożyła marynarkę. Emanowała ciepłem jego ciała.

– Staram się stłumić swoje uczucia, Robercie. Próbuję codziennie, każdego dnia toczę ciężką batalię. Moje serce krwawi z tęsknoty za domem. Kocham go, rozumiesz? Kocham ten dom ponad wszystko.

– Rozumiem cię, Kitty. Castle Deverill to jedno z najpiękniejszych miejsc, jakie w życiu widziałem. Podróżowałem do Włoch i Hiszpanii, do Francji i Maroka, ale postrzępione zielone wzgórza Cork szczególnie zapadły mi w serce. Miałem szczęście, że spędziłem tam te lata... Z tobą.

– Ale byłeś taki nieszczęśliwy...

– Nieszczęśliwy, tak, ale żyłem w pięknym otoczeniu. – Gdy patrzył w jej oczy lśniące w blasku księżyca, serce pęczyło mu z miłości. – Oddałbym ci Irlandię, gdybym mógł – powiedział czule, wpatrując się w nią intensywnie przez okragłe okulary. – Zabrałbym cię tam z powrotem i patrzył, jak rozkwitasz niczym fioletowe wrzosa na wzgórzach. – Przesunął palcami po jej wilgotnym policzku. – Nic nie uczyniłoby mnie szczęśliwszym niż powrót do Castle Deverill i odbudowa twojego domu kamień po kamieniu. Zaprzedałbym duszę, żeby móc to zrobić.

– Och, Robercie – westchnęła, nagle wszystko pojmując. – Byłeś nieszczęśliwy, ponieważ...

– Tak, zakochałem się w tobie. – Skinął głową. – Każdy dzień był walką, Kitty, taką, jaką ty toczysz teraz ze swoją nostalgią. Ale przeżyłem, a dziś jestem tu i patrzę na ukochaną kobietę, która ma gwiazdy w oczach. – Roześmiał się z własnej głupoty. – Pewnego dnia wrócisz do Irlandii i okaże się, że te zmagania były tego warte. Rozłąka tylko pogłębi twoją miłość i podziw. Gdy znów spojrzysz na ukochaną ziemię, uznasz, że jej blask jest intensywniejszy niż kiedyś, bardziej ekscytujący i pokrzepiający. Tak samo jak ja teraz uważam, że jesteś jeszcze piękniejsza niż przedtem.

– Rozczulasz mnie – powiedziała. – Jeśli potrafisz równie poruszająco pisać, chyba nie dam rady przeczytać twojej książki.

Otarł kciukiem łzę z jej policzka.

– Ty byłaś moją muzą, Kitty.

– Czy ta historia kończy się szczęśliwie?

– Nie – odparł.

Położyła dłoń na jego dłoni i przyłożyła do swojego policzka.

– A nasza? – spytała.

– To zależy od ciebie.

Uniosła podbródek, a on pochylił głowę i złożył na jej ustach długi i czuły pocałunek. Mocno zacisnęła powieki i ostatnia, samotna łza z powodu Jacka potoczyła się po jej policzku. Ten rozdział w jej życiu musi zostać zamknięty. Księgę zawierającą jej osobiste cierpienia oraz całą tragedię i ból irlandzkiego konfliktu trzeba odłożyć na półkę. Pora rozpocząć nową – pozytywną książkę wypełnioną radością i światłem.

Nie kochała Roberta, ale wiedziała, że go potrzebuje. Nie da rady znieść sama tego wygnania. Robert rozumiał jej miłość do Irlandii, a jego osoba łączyła ją z tamtymi czasami, gdy była naprawdę szczęśliwa. Robert znał ogrody Castle Deverill, podziwiał skaliste wzgórza oraz ich głęboki i nieprzemijający majestat. Znał ją lepiej niż ktokolwiek inny, ponieważ sam ją wszystkiego nauczył. Szanowała jego ponadprzeciętny umysł, a jednocześnie wiedziała, że on podziwiał ją za jej dociekliwość. Miał wszelkie prawa do zdobycia jej serca.

Objęła go ramionami i pozwoliła ochronić się przed zimnem, przed lękami wyłaniającymi się z przeszłości jak potwory, przed ciągle niepewną przyszłością. Pocałowała go z wdzięcznością. Obawiała się, czy spotka kogoś, kto ją pokocha, a tymczasem znalazła mężczyznę, który kochał ją od dawna. W ramionach Roberta poczuła krzepiące znajome ciepło. Podziękowała w duchu Bogu, że dał jej drugą szansę.

*

Kamerdyner znalazł Grace w ogrodzie. Wiosna owiewała słodkim jak miód oddechem trawę, barwiąc ją na żywy, jaskrawozielony kolor, otwierała na gałęziach prastarych dębów delikatne pączki, budziła do życia kwiaty kasztanowców i czarnego bzu, a ich płatki wirowały na wietrze jak konfetti. Grace najbardziej kochała tę porę roku i myśl o wyjeździe do Londynu, gdy Irlandia rozkwitała w całej swojej krasie, sprawiała jej ból.

– Przepraszam, że przeszkadzam, proszę pani – odezwał się kamerdyner. – Ale w holu czeka młody człowiek. Mówi, że musi z panią porozmawiać.

Grace westchnęła poirytowana. Napawała się spokojem ogrodu, widokiem ptaków dokazujących wśród młodych liści, budujących gniazda i ćwierkających radośnie. Nic tak nie podnosiło na duchu jak świergot ptaków.

– Przedstawił się? – spytała. Może zdoła go namówić, by przyszedł później.

– Tak, proszę pani. Jack O’Leary.

Wzdrygnęła się.

– Dziękuję, Brennan. Zaraz go przyjmę.

Podążyła za kamerdynerem i weszła do domu bocznymi drzwiami. Gdy pojawiła się w salonie, Jack stał przy oknie i patrzył na ogród. Usłyszał, że wchodzi.

– Gdy siedziałem w więzieniu, tęskniłem za widokiem ptaków, zapachem

ziemi, pączkami na drzewach. – Odwrócił się i zdjął czapkę. – Dobrze być wolnym. Jak się pani ma, lady Rowan-Hampton?

Stała przy drzwiach i przyglądała się zniszczonemu i znużonemu mężczyźnie, który jeszcze tak niedawno, zanim wojna nie odcisnęła na nim swego piętna, był wesołym, pełnym zapału młodzieńcem. Teraz wyglądał starzej, niż wskazywała jego metryka. Zaciekłość w jego oczach, którą widziała w noc, gdy zatopił nóż w ciele pułkownika Manleya, ustąpiła, a jej miejsce zajęła rezygnacja i smutek. To ją głęboko dotknęło.

– Dlaczego trzymali cię tak długo? – spytała.

– Myśleli, że wyciągną ze mnie więcej informacji – odpowiedział.

Grace była zaskoczona.

– Wiedzieli o Kitty?

– W kieszeni znaleźli list, który mi dała. – Uśmiechnął się szeroko i Grace zauważyła, że stracił jeden ząb. – Całe szczęście, że wtedy nie zdecydowała się na ucieczkę.

– Jestem zdziwiona, że cię nie zabili.

– Dzięki ojcu Quinnowi. Zawdzięczam mu życie.

– Po raz drugi – skonstatowała Grace, przypominając sobie wypadki po śmierci pułkownika Manleya.

– Bóg był zawsze po naszej stronie.

Grace domyślała się, po co przyszedł.

– Przejdźmy się po ogrodzie – zaproponowała.

Wyszli na słońce. Charakterystyczny terkot derkaczy rozbrzmiewał na trawniku wraz z buczeniem pierwszych wiosennych pszczoł, które kręciły się wokół mleczków, jaśniejących zachęcająco w wysokiej trawie.

– Jak mogli spalić zamek? – obruszył się Jack. – To prawdziwa tragedia. Zważywszy, co Kitty uczyniła dla naszej sprawy. – Jej imię zawisło pomiędzy nimi ciężarem. – Powinna wyjechać, gdy ją do tego namawiałem.

– Powinniście oboje wyjechać. Do Ameryki.

– Było już za późno.

– Dlaczego nie poprosiłeś mnie o pomoc? Pożytkiem z posiadania bogatego męża jest możliwość pomocy tym, którzy nie mogą poradzić sobie sami.

– Gdzie ona jest? – spytał bez ogródek.

Grace ciężko westchnęła.

– W Londynie.

– Dałem jej wolną rękę, ale ona ciągle do mnie pisała. Teraz, gdy jestem wreszcie na wolności, czy mogę być tak szalony, żeby mieć nadzieję?

– Nie.

Skinął głową i twardo wbił wzrok w ziemię. Można by pomyśleć, że chce przebić nim trawę.

– Powiniennem jej powiedzieć, żeby na mnie czekała.

– Postąpiłeś słusznie, Jack. Ona ma małego chłopca. – Grace położyła mu dłoń na ramieniu, gdy rzucił jej przerażone spojrzenie. – Och, nie, nie, to nie jej dziecko. Zostawiono je na progu Hunting Lodge. Postanowiła chłopca zatrzymać. Dlatego nie może wrócić. Jej ojciec nie zgadza się mieszkać pod jednym dachem z bękartem. Rozpoczęła z nim nowe życie w Londynie. – Oczy Jacka przygasły. Grace nie miała serca na niego patrzeć, wymierzając ostateczny cios. – Jest zaręczona i wychodzi za mąż.

– Jezu! – Pokręcił gwałtownie głową, jakby chciał pozbyć się sprzed oczu widoku Kitty z innym mężczyzną.

– Chłopiec potrzebuje ojca, a ona zabezpieczenia.

– Walczyłbym o nią, gdybym wierzył, że wygram.

– Sfinansowałabym twoją walkę, gdybym uważała ją za słuszną. Ale tak nie jest. Zostaw ją, Jack. Odnalazła szczęście. Czy po tym, co wycierpiała, nie zasługuje na nie?

Wyszli przez drewnianą furtkę na pole mieniące się od żółtych pierwiosnków. Po drodze wystraszyli stadko gołębi, które z trwogą wzbiły się w powietrze.

– Wygraliśmy niepodległość. – Jack uśmiechnął się krzywo. – Wolne Państwo Irlandzkie! Te słowa słodko smakują. Ale teraz brat występuje przeciwko bratu. Jesteśmy jak jakieś paskudne stworzenia uprawiające kanibalizm.

– IRA nie spocznie, dopóki Irlandia nie będzie zjednoczona i całkowicie niepodległa – rzekła uroczyście Grace. – Ale jestem zadowolona z tego, co osiągnęliśmy. Moje dni jako rebeliantki się skończyły. – Spojrzała na Jacka i uśmiechnęła się z czułością. – Tak samo jak twoje.

– Dobrze jest chodzić po Ballinakelly jako wolny człowiek. Nasze dzieci będą nam wdzięczne za poświęcenie, ucząc się historii Irlandii w szkole i przy rodzinnym stole.

– Historia nie zawsze oddaje hołd swoim bohaterom. Co teraz zamierzasz robić? – spytała Grace.

Wzruszył ramionami.

– To co zawsze. Wrócę do domu.

– Zajmiesz się zwierzętami?

– Ballinakelly potrzebuje dobrego weterynarza. Mój ojciec się starzeje, wojna ciężko go doświadczyła, nie jest już w takiej formie jak kiedyś. Pozbieram się i będę praktykował. Co innego mógłbym tu robić?

– Pracy ci nie zabraknie. To się nie zmieniło.

Popatrzył na nią ze smutkiem.

– Jednak wszystko inne tak, nieprawdaż? Wojna o niepodległość pozbawiła nas tego, co kochaliśmy.

– Ale dała nam to, co najbardziej kochamy: Irlandię. Nie zapominaj o tym. Twoje poświęcenie, Kitty poświęcenie, Bóg wie, że moje też, nie poszły na marne.
– Rozejrzała się po miękkich jak aksamit wzgórzach z lubością, gorzką i słodką zarazem. – Mamy naszą Irlandię, Jack. Należy do nas, bo wszyscy odegraliśmy rolę w jej wyzwoleniu.

Grace wróciła do Londynu na ślub Kitty, który był kameralną i skromną uroczystością. Kitty nie chciała wesela z pompą, jakie szykowano dla Harry’ego. Nie miała ojca, który by ją odprowadził do ołtarza, ani matki, która pomogłaby jej w wyborze sukni i bukietu. Pobrali się z Robertem w Old Church w Chelsea. Elspeth i Peter przybyli na ślub z hrabstwa Cork. Beatrice nalegała, że pokryje koszty przyjęcia w salach recepcyjnych przy Pavilion Road i z własnej inicjatywy udekorowała je rozrzutnie ogromną ilością białych róż w nadziei, że zawstydzi i wzbudzi poczucie winy w Maud za wypchnięcie poza nawias swego życia najmłodszej córki i małego dziecka, które ta kochała jak własne. Gdyby Kitty poślubiła księcia, Maud być może przestałaby się dąsać, ale ponieważ Kitty wybrała zwykłego pana Trencha, mężczyznę, który w dodatku kiedyś był jej nauczycielem, Maud nawet nie starała się ukryć rozczarowania. Nie była przecież zachwycona Peterem MacCartainem, ale on przynajmniej miał zamek.

Elspeth na widok małego Jacka zapało dech.

– Ależ to twoje dziecko! – wykrzyknęła tak jak kiedyś jej matka.

Kitty uśmiechnęła się szeroko.

– Podobny do mnie, prawda?

– Kiedy go urodziłaś?

– On nie jest mój, Elspeth. – Kitty roześmiała się głośno na widok zaskoczenia na twarzy siostry.

Elspeth przysiadła z wrażenia.

– A więc czyje to dziecko?

Kitty zmęczyło już utrzymywanie sekretu.

– Syn naszego taty – oświadczyła chłodno, a potem obserwowała, jak Elspeth opada szczęką i jej siostra z przerażeniem wciąga powietrze. – Tata był trochę nieroztropny z jedną z pokojówek – dodała wyjaśniająco. – Jack jest naszym przyrodnim bratem.

– Och, Kitty! Nic dziwnego, że nie chciał cię wpuścić do domu!

– To jego syn. W końcu będzie musiał pozwolić nam wrócić do domu.

– O Boże, Kitty. Dlaczego wcześniej mi nie powiedziałaś?

– Nie chciałam cię denerwować.

– Przez cały czas utrzymywałaś to w tajemnicy?

– Harry wie. I oczywiście Robert. Jak również mama.

– Nie dziwię się teraz, dlaczego miała tak zbolaną minę na twoim ślubie.

– Nie może patrzeć na Jacka. Uosabia zdradę jej męża. Nie mogę jej za to

obwiniąć.

– Jest głęboko nieszczęśliwą kobietą, ale nie żywię dla niej współczucia. Zasługuje na swoje nieszczęście. Cieszę się, że znalazłaś przyzwoitego, miłego męża. – Ujęła siostrę za rękę. – Proszę, wróć do Irlandii. Tęsknię za tobą, Kitty. Możesz zostać u nas tak długo, jak chcesz. – Zniżyła głos. – Zawsze jest jeszcze dawny dom stryja Ruperta. Co prawda, od jego śmierci stoi zabity deskami, ale jestem pewna, że tata pozwoli wam tam zamieszkać. Niech Robert z nim porozmawia. Proszę, spróbuj to załatwić! – błagała. – Wiem, że tęsknisz za Irlandią. Nikt inny nie kochał Castle Deverill bardziej niż ty.

Kitty bała się nocy poślubnej. Robert wybrał mały hotel w Chelsea; Jackiem miała opiekować się niania. Gdy w końcu zostali sami, Robert wziął ją za rękę i zaprowadził do sypialni. Ale po paru pocałunkach Kitty odsunęła się, usprawiedliwiając zmęczeniem; przebrała się w koszulę nocną za parawanem, a potem chyłkiem wślizgnęła do łóżka i podciągnęła kołdrę pod brodę. Robert położył się obok niej, wziął ją w ramiona i delikatnie przycisnął usta do jej czoła, szanując jej potrzebę snu. Jeśli był rozczarowany, nie dał tego po sobie poznać. Nazajutrz wyruszyli w podróż do Włoch, statkiem i pociągiem, a gdy dwa dni później przybyli do hotelu we Florencji bryczką, Kitty znów mogła się wymigać od nocy poślubnej, ponieważ podróż rzeczywiście była długa i męcząca.

Nieznane zapachy przesuszanej ziemi, drzew eukaliptusa, dzikiego rozmarynu oraz tymianku wypełniły nozdrza Kitty i pozwoliły jej zapomnieć o tęsknocie za domem. Przestała myśleć o postrzępionych zielonych wzgórzach i szemrzących strumykach Ballinakelly, o miękkiej mżawce i burzliwym niebie Irlandii. Pozwoliła sobie, bodaj na chwilę, uwolnić się od przeszłości i z poczuciem ulgi zatopiła w teraźniejszości. Z podnieceniem osoby wygłodniałej wyższej kultury i piękna wchłaniała splendor starego miasta, jasnych budynków, terakotowych dachów, wąskich brukowanych uliczek i okolonych kolumnami placów. Ze swego balkonu widziała cudowną bazylikę unoszącą się nad miastem, niczym przepyszny statek na oceanie czerwonych dachówek. Gigantyczna kopuła wydawała się rzucać wyzwanie prawom grawitacji i ograniczeniom ludzkiej wyobraźni. Kitty wpatrywała się w nią z podziwem, gdy zachodzące słońce spowijało miasto miękkim welonem pudrowego rózu.

Robert objął ją od tyłu i zatopił usta w jej szyi.

– Czyż nie jest piękna? – zadumała się Kitty, starając się opóźnić to, co nieuchronne.

– Pragnę cię, Kitty – wymamrotał. – Chcę się kochać z moją żoną.

Ale Kitty sparaliżował strach. Robert musiał wyczuć, że zeszywniała, ponieważ oderwał głowę od jej szyi.

– O co chodzi, kochanie? – Objął ją mocno za ramiona. – Boisz się. Nie sprawię ci bólu, obiecuję. – A gdy nie odpowiadała, obrócił ją do siebie, by móc

wyczytać coś z jej twarzy. Zaskoczyło go, że widnieje na niej prawdziwe przerażenie. – Kitty, co się dzieje?

Jej naturalnie blada twarz aż poszarzała, a usta drżały z powodu niemożliwego do wyjawienia sekretu. Jak zdoła opowiedzieć o tym, co Michael Doyle zrobił jej tamtego dnia? A jeśli to zrobi, czy słowa uwolnią wspomnienie, które zaciąży na jej szczęściu? Czy obrabuje ją ono ze wszystkiego, co jest dobre w jej życiu?

Robert był wyraźnie przestraszony. Trzymał ją za ramiona i z troską patrzył jej w oczy.

– Kitty, musisz mi powiedzieć. Jestem twoim mężem i cię kocham. Cokolwiek mi powiesz, nie będę przez to mniej cię kochał.

Kitty przełknęła ślinę. Nagle zstąpił na nią spokój – surrealistyczna cisza, która unosiła się gdzieś ponad niebiańską kopułą Brunelleschiego.

– Zostałam zgwałcona – wyszeptała. Te słowa były zaledwie cieniem dźwięku, ale Robert je usłyszał.

Poblądł.

– Kto? Kiedy...?

Gorąca łza powoli spłynęła jej po policzku.

– W Irlandii. W dniu, kiedy spalono zamek. Domyśliłam się, kto to zrobił. A więc pojechałam się z nim rozmówić...

– Och, Kitty. – Wziął ją w ramiona i uścisnął mocniej niż kiedykolwiek. – Moja kochana, kochana, najśłodsza Kitty. Nikt nigdy już cię nie skrzywdzi. Biorę Boga na świadka, że już nigdy nikt cię nie skrzywdzi.

Zamknęła oczy i poddała się cierpieniu, które zadał jej Michael Doyle. Z głębokim, drżącym oddechem dała mu upust na piersiach Roberta.

Rozdział 30

Nowy Jork, Ameryka, 1923

Bridie siedziała w ogrodzie rezydencji pani Grimsby przy Piątej Alei, przyciskając do piersi pudełko z butami, które przywiozła tu aż z Ballinakelly – jedyną rzecz, która łączyła ją z przeszłością i z tamtą Bridie. Ogromny spadek powinien uczynić ją najszcześniejszą dziewczyną na świecie, ale bała się; czuła się jak małe, zagubione dziecko bardzo daleko od domu.

Bridie nigdy nie była panią swojego losu. Robiła, co jej kazano. Słuchała poleceń. Pozwoliła się nieść prądowi życia i zawsze wiedziała, dokąd dopłynie. Ale pan Deverill zmienił jego kierunek; znalazła się oto w obcym kraju, po drugiej stronie świata. Wobec niepewności jutra, niejasnej przyszłości odpowiadało jej życie w granicach narzuconych przez autokratyczną panią Grimsby. Wraz ze śmiercią starej damy nagle uzyskała niezależność, z którą nie wiedziała, co począć, i nie było nikogo, kto by jej udzielił rady.

Otworzyła pudełko. W środku była para pantofelków do tańca z delikatnej, doskonale wyprawionej, czarnej, lśniącej skóry, ozdobionych błyszczącymi kłamrami, którą podarowała jej przed laty lady Deverill. Łkanie wyrwało jej się z gardła, a okrągła łąza spadła na dłoń, gdy wyjęła jeden bucik i podnosiła go do światła. Patrząc na srebrną kłamrę, która załśniła w słońcu, przypomniała sobie ojca. Oddałaby wszystkie odziedziczone pieniądze, żeby mieć go z powrotem choć na jeden dzień. On by wiedział, co jego córka ma zrobić. Starła się podnieść na duchu, ale serce miała jak ołów, pełne tęsknoty za domem oraz poczucia samotności, która ciążyła najbardziej.

Nagle w metalowych kłamrach zobaczyła odbicie twarzy koleżanek ze szkoły szydzących z niej, że nosi piękne buty, podarowane jej z łaski jak jakiejś nędzarce, i cierpienie szybko przerodziło się w złość. Wyzywająco uniosła podbródek i wierzchem dłoni otarła łzy. Nie była nędzarką! Teraz jest zamożną kobietą; w wieku dwudziestu trzech lat posiada pieniądze i nieruchomości. Może kupić sobie sto par takich butów, jeśli tylko zechce. W tym momencie jej z natury miękkie serce stwardniało jak wysuszona glina. Ona im jeszcze pokaże! Nawet Kitty, która ukradła jej Jacka, a tym samym złamała serce. Gdyby nie Kitty, nie byłaby tak nieodporna na awanse pana Deverilla. Nic złego by się nie wydarzyło. Siedziałyby przy palenisku z mamą i babcią, i kto wie, może Jack też by tam był, odwzajemniając jej miłość.

Wstała i weszła do domu. Panna Ferrel, pan Gordon i pani Gottersman odeszli z ustami zaciśniętymi z goryczy i palącym poczuciem niesprawiedliwości w niewypowiedzianych słowach. Każde z nich miało nadzieję na bodaj skrawek fortuny pani Grimsby, a nawet głęboko wierzyło, że przypadnie on mu w udziale. Te poklepywania po ręce i poufne pogawędki wzbudziły w nich przeświadczenie, że są wyjątkowi w oczach swej chlebobawczyni. Stara dama lubiła nimi manipulować, pomyślała Bridie, i ostatecznie wystawiła ich do wiatru. Bridie teraz już wiedziała, że to nie panna Ferrel ani nie pan Gordon pozostawili pieniądze pod łóżkiem, ale pani Grimsby we własnej osobie; zapewne był to test, czy zasługuje na jej fortunę. Cóż, zasługiwała w o wiele mniejszym stopniu niż tamci, tego była pewna. Podzieli się z nimi pieniędzmi. Pokrzyżowanie planu starszej pani sprawi jej przyjemność. Pani Grimsby za życia zadreczęła swoich służących; wydawało się sprawiedliwe wynagrodzić im te cierpienia.

Bridie przypomniała sobie czasy, gdy Kitty i Celia stroiły się na Letni Bal w Castle Deverill, podczas gdy ona musiała pomagać pod schodami i popatrywać na wspaniałości wieczoru przez niedomknięte drzwi oraz szpary w zasłonach. Pamiętała piękne suknie, staranne uczesania, zgrabne skórzane buciki, jedwabne pończochy, eleganckie płaszcze oraz rękawiczki, i nienawiść, której nigdy dotąd nie czuła, zakiełkowała w niej i rozrastała się jak powój, oplatając serce i dławiąc łagodność, która niczego dobrego w jej życiu nie przyniosła. Kupi sobie ładne suknie i buty, pomyślała gorzko. Takie, jakie ma Kitty i Celia, i poślubi najbogatszego mężczyznę, jakiego znajdzie. W taki przecież sposób zyskuje się status i szacunek. Dzięki swemu majątkowi jest teraz pożądaną partią.

Z mocnym postanowieniem, że stanie się kimś ważnym, zamieszkała na stałe przy Piątej Alei w starym domu z wieżą czarownicy, która już nie przyprawiała jej o dreszcze. Wiedziała, jak być damą, spędziła wiele czasu, obserwując Kitty. Wiedziała, jak się ubrać i jak zachować w towarzystwie. Potrafiła mówić bez irlandzkiego akcentu i chodzić z wysoko uniesioną głową; wiedziała, jak się maskować. Czyż zawsze tego nie pragnęła? Aby być kimś innym, kimkolwiek, byle nie sobą?

Najpierw poprosiła Rosettę, żeby została jej pokojówką. Kiedyś sama służyła u swojej przyjaciółki. Teraz była panią domu. Odwrócenie ról sprawiłoby jej przyjemność. Początkowo Rosetta odrzuciła propozycję, tłumacząc, że ta sytuacja byłaby dla niej niezręczna. Bridie jej to wyperswadowała, jednocześnie oferując więcej pieniędzy, niż gdziekolwiek mogłaby zarobić.

– Będiesz moją towarzyszką – przekonywała. – Nie obchodzi mnie, jak to nazwiesz. Chcę cię mieć przy sobie. Tak po prostu. Jesteś moją jedyną przyjaciółką i potrzebuję cię.

Rosetta uległa. Bridie poprosiła panią McGuire, żeby znalazła jej odpowiednią kucharkę i kamerdynera, sownie jej płacąc za podjęcie się tego trudu.

Otworzyła okna na oścież, by świeże powietrze wywiało stęchły zaduch starzejącego się ciała pani Grimsby, i pozwoliła światłu słonecznemu wypełnić ponure pokoje. Dom promieniował teraz szczęściem, zupełnie jak Castle Deverill latem, gdy irlandzkie słońce wpadało przez wysokie szklane okna, barwiąc hol na złoto.

Wiadomość, że bogata wdowa zostawiła swoją całą fortunę pokojówce, trafiła szturmem do gazet, i wkrótce stała się *cause célèbre*. Dyskusjom nie było końca. Jedni ubolewali nad tym, że wdowa nie zostawiła majątku rodzinie, i uważali Bridie za „poszukiwaczkę złota”, która zmanipulowała starszą panią, inni natomiast uważali, że taka pracowita i lojalna służąca zasługuje na każdego centa, jaki dostała. Był to dowód, że w Ameryce ciężką pracą można dojść do majątku i panna Doyle sobie na niego zapracowała, podczas gdy krewni pani Grimsby, prócz taktycznych pochlebstw, jakich nie szczędzili starej kobiecie w ostatnich miesiącach jej życia, nie robili nic, żeby zasłużyć na jej fortunę. Ten argument przewijał się w prasie i w prywatnych rozmowach; nowojorska socjeta dyskutowała o tym *ad infinitum* podczas wystawnych lunchów oraz kolacji. Wielkie rodziny z Piątej Alei kręciły nosem na nowicjuszkę z Irlandii, która została ich sąsiadką, i zatrzasnęły przed nią drzwi, aroganckich zaś młodych ludzi, którzy nosili pióra we włosach i tańczyli jazz w tajnych barach, gdzie nielegalny alkohol lał się strumieniami, ciekawiło poznanie osławionej panny Doyle.

Niebawem zaczęły odwiedzać ją kobiety – z ciekawości lub chęci zebrania funduszy dla swoich organizacji dobroczynnych – i pozbawieni skrupułów dżentelmeni szukający bogatej żony. Pierwszym młodym mężczyzną, który złożył wizytę Bridie, był nie kto inny, jak pazerny bratanek pani Grimsby Paul Heskin. Bridie nigdy nie lubiła tego bufona o cofniętym podbródku i wyrachowanych oczkach. Gdy pracowała jako pokojówka jego ciotki, nawet nie rzucił jej zdawkowego „dziękuję”, a teraz raczył ją fałszywymi pochlebstwami. Bridie przyjęła go na werandzie; siedziała w fotelu pani Grimsby i patrzyła na Paula Heskina z należną mu pogardą, widziała go bowiem takim, jakim naprawdę jest – oportunistą, liczącym, że wykorzysta jej naiwność i brak doświadczenia. Przypadek pani Grimsby nauczył ją cynicznie podchodzić do ludzkich motywacji. Brutalnie więc odrzuciła jego konkury, jak przystało na damę z jej pozycją. Jasno wyznaczyła sobie cel: musi znaleźć mężczyznę, który dorównuje jej bogactwem. Nie straci majątku przez nierozsądne małżeństwo.

Zdawała sobie jednak sprawę, że jako samotna młoda kobieta jest narażona na działania różnego rodzaju hochsztaplerów. Nie uda jej się gładko wejść do odpowiedniego towarzystwa, nie mając nikogo u boku. Nie miała ani ojca, ani brata, ani przyjaciółki, która wzięłaby ją pod swoje skrzydła. Był tylko jeden mężczyzna, do którego w tak nadzwyczajnej i delikatnej kwestii mogła się zwrócić po radę.

– Dziękuję, że pan przyszedł, panie Williams – odezwała się z fotela pani Grimsby na werandzie; promienie wczesnojesiennego słońca, wpadające przez wielkie okna, otaczały Bridie miękkim złotym światłem.

Prawnik spoglądał na nią rozbawionym, a zarazem pełnym podziwu wzrokiem. Doprawdy, brzydkie kaczątko na jego oczach zamieniło się w łabędzia.

– Pozwolę sobie powiedzieć, że doskonale pani wygląda, panno Doyle.

– Pieniądze przydają kobiecie blasku, panie Williams.

– Pieniądze niczego nie rozwiązują, ale wszystko ułatwiają. Pani Grimsby byłaby dumna, gdyby mogła teraz panią zobaczyć.

– Jestem bardzo wdzięczna za jej szczodrość. Nie lubiła swojej rodziny. Krewnych przyjmowała dokładnie w tym pomieszczeniu i znosiła ich fałszywe pochlebstwa. Zdawała sobie sprawę, dlaczego ją odwiedzają.

– Ona zaczynała podobnie jak pani, panno Doyle. Jej matka przybyła z Irlandii jako mała dziewczynka z rodzicami i rodzeństwem. Mieli tylko to, co na sobie. Pani Grimsby wyróżniała się na tle swojej rodziny miłością do literatury. Uwielbiała czytać. W dzieciństwie czytała wszystko, co wpadło jej w ręce. Pan Grimsby był starannie wykształconym, mądrym człowiekiem. Był od niej o wiele starszy, ale zafascynowała go jej inteligencja, tak mówią. Poznali się w bibliotece. Kto by pomyślał!

– Jak doszedł do pieniędzy?

– Wydając prasę. – Prawnik uśmiechnął się szeroko. – Był jednym z tych błyskotliwych biznesmenów, którzy wszystko, czego dotkną, zamieniają w złoto. Zanim umarł, pani Grimsby była królową nowojorskiej socjety. Niestety, po jego śmierci odłożyła eleganckie stroje, wycofała się z życia, stając się coraz bardziej zgorzkniała i cyniczna w stosunku do ludzi. Wyobraża pani sobie, jak wielu mężczyzn chciało ją poślubić dla jej fortuny? Polegała na mnie jako doradcy i powierniku. Poznała ją pani, gdy była już stara, ale w młodości wyróżniała się urodą.

– Czytałam jej tutaj książki – rzekła w zadumie Bridie. – Słuchając, łagodniała. Tak jakby słowa w jakiś sposób przenikały przez twardą skorupę, za którą się skryła, i docierały do prawdziwej osoby pod spodem. Lubiałam jej czytać.

– Teraz posiada pani wszystkie jej książki. Może pani czytać, które chce.

– Tak, panie Williams. – Przesunęła wzrokiem po półkach. – Chyba były dla niej cenniejsze niż wszystko inne. – Westchnęła i powróciła myślami do terażniejszości. – Panie Williams, potrzebuję pańskiej pomocy.

– Oczywiście, panno Doyle. Czym mogę pani służyć?

– Jestem w trudnej sytuacji... – Zawahała się, szukając odpowiednich słów. – Jestem tu w Nowym Jorku sama jak palec, nie mam przyjaciółki w odpowiednim towarzystwie...

Prawnik uśmiechnął się życzliwie.

– Może poznam panią z moją żoną? To pełna życia, towarzyska młoda osoba, chętnie przedstawi panią barwnym postaciom nowojorskich salonów, gdzie z pewnością wzbudzi pani zainteresowanie. Potrzebuje pani rozrywek, panno Doyle.

– Owszem, tak.

– Dobrze jest posiadać wytworny dom i ubrania, ale kobieta z pani pozycją potrzebuje przyjaciół.

– Kobieta z moją pozycją potrzebuje męża, panie Williams, jeśli mam być szczerą. Kobieta niezamężna nie ma ani pozycji, ani ochrony. Potrzebuję mężczyzny z równorzędnym majątkiem. Nie pozwolę się wykorzystywać.

Pan Williams wyglądał na zaskoczonego jej otwartością.

– Rozumiem.

Bridie podniosła się z fotela.

– Znam pana, panie Williams. Sądzę, że pan mnie rozumie, dlatego liczę na pańską pomoc.

Poprowadziła gościa do holu.

– Nie wątpię, że będzie się pani dobrze bawiła w Nowym Jorku, panno Doyle. – Uścisnął jej dłoń.

– Czekam z niecierpliwością na poznanie pańskiej żony.

– Kolacja jutro wieczorem? – zaproponował z entuzjazmem.

Bridie się uśmiechnęła.

– Z największą przyjemnością.

*

Bridie natychmiast polubiła panią Williams. Była otwartą, energiczną kobietą koło trzydziestki, żwawą jak mały ptaszek. Stale w ruchu, szczebiotała bez ustanku, jej małe białe dłonie trzepotały w powietrzu, a śmiech przypominał ptasi świergot. Miała krótko obcięte, podkrecone blond włosy, szeroko osadzone wesołe niebieskie oczy i ciepły, figlarny uśmiech.

– Beaumont twierdzi, że najlepszym sposobem na wejście w odpowiednie towarzystwo – powiedziała Elaine Williams – jest przekazywanie pieniędzy na instytucje dobroczynne. Właśnie przy takich okazjach bogaci ludzie się poznają. Tym miastem rządzi pieniądź, Bridget. Stare pieniądze przemawiają do starych pieniędzy, choć bardzo cicho, za to nowe są niebywale hałaśliwe. Nie ma powodu, żeby twoje pieniądze nie przemawiały jeszcze donośniej od innych.

Nie tracąc czasu, Elaine zaprowadziła swą podopieczną do salonu fryzjerskiego, gdzie krótkie włosy Bridie podstrzyżono na modnego boba z lekkimi falami na skroniach. Pomogła jej wybrać najmodniejsze, sięgające do kolan, luźne sukienki, pończochy ze sztucznego jedwabiu, małe kapelusiki, boa z piór, opaski z cekinów i buty na obcasach, a gdy siedziały w jej zabałaganionej sypialni,

sluchajac jazzu z radia, nauczyla ja, jak malowac twarz. Bridie uczyla sie szybko. Wcielala sie w swoja nowa role z takim zaangazowaniem jak przed laty, gdy awansowala na pokojowke w Castle Deverill. Podczas gdy pan Williams doradzal jej w sprawach finansowych, jego zona pilnowala jej osobistego zycia. Obydwoje cieszyli sie ze znajomosci z dziewczyna, o ktorej rozprawial caly Nowy Jork.

W towarzystwie Elaine Bridie rozkwitla. Zainteresowanie, jakim obdarzano ja w instytucjach dobroczynnych, sprawialo jej radosc. Gdy nadjezdzała, fotografowie robili jej zdjecia, a w srodku jej nadskakiwano. Traktowano ja z szacunkiem, jakby byla naprawde wazna osobista. Oprócz starych nowojorskich rodzin nikogo nie wydawalo sie obchodzic, ze jeszcze niedawno byla pokojowka. Nikt nawet sobie nie wyobrazil, jakie zycie wiodla w Ballinakelly i jak daleko zaszla. Odgrywala swoja role jak doswiadczona aktorka i wszyscy ja zaakceptowali. Bridie rowniez w naturalny sposob zaakceptowala swoje nowe wcielenie. Tak bardzo oddala sie tej roli, ze wkrótce zaczela zapominac, kim naprawde byla Bridie Doyle i jak sie tu znalazla. Bridget Doyle byla piekna, fantastyczna i, co bylo niezwykle ekscytujace, rozchwytywana. Nie miala przeszlosci, nie znala cierpienia i trosk, poniewaz miala dosc pieniedzy, zeby kupic szczescie. Uwierzyła, ze dzieki swej fortunie nigdy juz nie bedzie nieszczesliwa.

W nowym roku Bridie zostala wessana w wir ekscytujacego zycia, obfitujacego we wszelki nadmiar. Nagle miala wiecej przyjaciol, niz mogla sie doliczyc, i zalotnikow starajacych sie o jej reke. Uczestniczyła w niekonczacych sie przyjeciach, gdzie pomimo prohibicji pito nielegalnie kupiony alkohol. Ku swemu zadowoleniu odkryla, ze alkohol wzmacnia jej pewnośc siebie. Ze szklanka dzinu w reke potrafila doskonale naśladowac Kitty Deverill. Podobała jej sie ta rola, alkohol rozluznial jej jezyk i wyzwalał wybuchy smiechu. Szklaneczka mocnego trunku likwidowala zahamowania. Przepadala za tańcem. Uwielbiala dotyk rak męczyzny na swojej talii, kochala byc podziwiana; myslala o wrednych kolezankach z Ballinakelly i zalowala, ze nie moga jej teraz widziec. Moze to, co osiagnela, bylo nieuchronne od samego poczatku? Czy naprawde zostalo zapisane w gwiazdach? Czy to wszystko po prostu bylo jej przeznaczone?

*

Adorujacy ja mlodzi męczyźni różnili sie jak czekoladki w bombonierce. Ci w zwyklych sreberkach zazwyczaj byli bardzo romantyczni, ale w oczach Bridie brakowalo im waznego atutu: pieniedzy. Drudzy, ekskluzywnie opakowani, mieli pieniadze, ale zachowywali sie wulgarnie, arogancko i grzeszyli nadmierna pewnościa siebie. Zdarzali sie rowniez niezwykli – w jaskrawych kolorach i o dziwnym smaku – ale ci przyprawiali Bridie o lek, poniewaz nie przywykla do ekscentrycznych Europejczykow, chociaz ich arystokratyczne tytuly mialy pewna silę przyciagnania. Dbala o to, by zawsze dzielic sie swymi wrazeniami z Rosetta,

która cierpliwie czekała na nią do późna w nocy, a następnie pomagała jej się rozebrać, gdy Bridie nadużyła alkoholu. Rosettę bawiły opowieści o nieodpowiednich absztyfikantach. Gdy obydwie zaśmiewały się, leżąc w sypialni w poprzek łóżka, zapominały o swych nowych pozycjach i tak jak kiedyś były po prostu przyjaciółkami.

Raz czy dwa Bridie dała się uwieść czarowi jakiegoś poety czy innego literata, którego wrażliwa twarz i subtelne zachowanie przypominały jej Jacka, ale szybko przypominała sobie o swojej misji i chłodno ich odprawiała. Przysięgła sobie, że już nigdy się nie zakocha. W nikim. Miłość zraniła ją dotkliwie i wywiodła na manowce. Wyjdzie za mąż dla bezpieczeństwa, przyjaźni oraz dlatego że społeczeństwo wymagało tego od kobiet. Ale już nigdy się nie zakocha.

*

W Boże Narodzenie poszła do kościoła sama. Rosetta pojechała spędzić ten dzień z rodziną. Myśli Bridie zwróciły się ku matce i babci, Seanowi i Michaelowi; musiała stłumić ukłucie ostrej tęsknoty za domem. W kościele było cicho. Tak cicho, że słyszała tylko odległy szept własnego sumienia. W tej ciszy – bez dźwięków muzyki, tańca, rozmów i śmiechu, które by ją rozpraszały – wspominała Ballinakelly. Wspominała dom, ciepłe palenisko, oborę, chłód, błoto, wilgoć i biedę. Tak, wspominała wszechobecną biedę. Nie tak dawno nie miała pary butów prócz tych, które podarowała jej lady Deverill. Wpatrywała się w marmurową rzeźbę Chrystusa na krzyżu nad ołtarzem, pamiętając, jak dwa razy dziennie modliła się na *Anioł Pański*, jak wszyscy klękali do modlitwy po podwieczorku, którą jej matka zaczynała słowami: „O, Panie, otwórz wargi moje...”. Czy tęskniła za córką? Czy się za nią modliła? Bridie ze wstydem pochyliła głowę. Musi częściej uczestniczyć we mszy. Może zapomnieć, kim była, ale nie może zapomnieć o Bogu.

Myśl o wyjeździe do domu wypłynęła na powierzchnię jej umysłu jak korek. Jej sercem szarpnęła tęsknota za gulaszem matki, zapachem mokrej ziemi i krów, głosami braci dyskutującymi nad kuflami z ciemnym piwem o pożałowania godnej sytuacji Irlandii. Zateęskniła za smakiem maślanki i chleba sodowego, za tupotem tańczących nóg, za nastrojowym crescendo śpiewających głosów, za chwytającymi za serce dźwiękami samotnych skrzypiec. Ale korek zatonął równie szybko, jak się pojawił. Wyjazd do domu nie wchodził w grę. Już nie była tamtą dziewczyną. Spaliła za sobą mosty. Pozostał tylko ból i poczucie straty, wspomnienia Jacka, pana Deverilla, dziecka, które zmuszona była oddać, i drugiego, które zmarło. Tutaj odżyła. Podobało jej się, kim dziś jest. Jak może wrócić w wytwornych strojach i spać w swoim dawnym łóżku na sienniku? Teraz wiodła zupełnie inne życie, przyzwyczaiła się do luksusów. I choć bardzo się starała do tego nie dopuścić, jej bogactwo nieuchronnie oddali ją od Rosetty. A jak wpłynie na jej

stosunki rodzinne? Awansowała w hierarchii i drzwi tym razem zamknęły się za nią na dobre.

Po zakończeniu mszy podeszła do ołtarza i zapaliła cztery świece za swoją rodzinę, dwie za dzieci, które urodziła, i siódmą za duszę ojca, niech spoczywa w pokoju. Przygnębiona ruszyła do wyjścia. W kruchcie skrzyżowała spojrzenie z siwym dżentelmenem ze starannie przystrzyżoną brodą, który uprzejmie się do niej uśmiechnął.

– Nie powinna pani tak się smuć w Boże Narodzenie, młoda damo – powiedział.

– Nie jestem smutna – odparła, ze spuszczoną głową wychodząc na grudniowe słońce.

– Akurat, przecież widzę – upierał się, idąc obok niej. – Obserwowałem panią. Jeśli to jest pani wesoły wyraz twarzy, to jak wygląda smutny? – Wyciągnął do niej rękę. – Nazywam się Lockwood.

Bridie omiotła wzrokiem jego wytworny płaszcz, drogi garnitur oraz kapelusz, parasol ze srebrną rączką z wygrawerowanymi inicjałami i uścisnęła jego rękę.

– Bridget Doyle – powiedziała.

– Wiem, kim pani jest. – Uśmiechnął się szeroko. – Jest pani całkiem sławną damą, nieprawdaż? – Bridie się zarumieniła. – Przepraszam, nie chciałem wprawiać pani w zażenowanie. Po prostu wygląda pani bardzo samotnie. Nie lubię widoku samotnych, smutnych kobiet. Zwłaszcza tak urodziwych.

Uśmiechnęła się pokonana przez jego urok oraz lśniący zielony samochód, oczekujący na niego za rogiem; stał przy nim na baczność szofer w nieskazitelnym uniformie i czapce.

– O, proszę, tak już lepiej. Mieszka pani zaledwie przecznicę ode mnie, a więc pozwoli pani, że ją odprowadzę. – Pan Lockwood skinął do szofera. – Przejdę się, Maxwell, możesz jechać – zawołał. Szofer usiadł za kierownicą i ruszył przez bieżące błota.

Bridie rozejrzała się po ulicy. Była już pusta. Wszyscy udali się na świąteczny lunch. Włożyła ręce do kieszeni i szła przed siebie.

– Pan też chyba jest sam – zauważyła z uśmiechem.

– Mój syn wyszedł wcześniej. Trochę zgłodniał. Mam czworo dzieci, ale trójka mieszka daleko stąd. Syn w Kanadzie, jedna córka na Zachodnim Wybrzeżu, a druga na Południu. Ashley jest najmłodszy. – Skupił błyszczące szare oczy na domu Bridie. – Jesteśmy prawie sąsiadami, pani i ja. Znałem panią Grimsby. Silna z niej była kobieta. Nie dała sobą manipulować. Jednak ten dom zawsze wydawał mi się trochę groźny. Coś chyba jest w tej wieży. Wygląda jak kapelusz czarownicy.

Bridie wybuchnęła śmiechem.

– To samo pomyślałam, gdy zobaczyłam ją po raz pierwszy. Ale teraz nie budzi już we mnie lęku.

– Wyobrażam sobie, że niewiele rzeczy wzbudza w pani lęk, panno Doyle. – Popatrzył z góry na Bridie i uśmiechnął się współczująco. – Jest pani pewna, że nie czuje się tu samotnie?

– Och, nie jestem sama, panie Lockwood. Mam wielu przyjaciół i...

– Oczywiście, że tak – przerwał jej. – Taka ładna, młoda i bogata kobieta jak pani musi mieć setki przyjaciół. – Zaśmiał się cicho. – Ale z kim pani spędza Boże Narodzenie? Z tego, co rozumiem, pani rodzina jest w Irlandii.

– Tak, oni...

– Jestem chrześcijaninem, panno Doyle. Chciałbym zaprosić panią na świąteczny lunch. To nie w porządku, żeby młoda kobieta, taka jak pani, była sama w Boże Narodzenie. Mój syn Ashley będzie zachwycony obecnością ładnej dziewczyny przy stole, a ja będę wdzięczny za towarzystwo. Ashley i ja trochę się nudzimy, ciągle tylko w dwójkę.

– A pani Lockwood...? – zagadnęła Bridie.

– Niestety, nie ma pani Lockwood. Jestem wdowcem.

– Przykro mi – przeprosiła Bridie.

– Nie ma potrzeby. Życie przychodzi i odchodzi. Wszyscy rodzimy się i umieramy. Uszczęśliwi pani starego człowieka. Co pani na to, panno Doyle? Przyjdzie pani i zasiądzie z nami przy świątecznym stole?

Było w tonie jego głosu coś zawadiackiego. Rozbawiony błysk w oku, łobuzerski, trochę krzywy uśmiech, absolutna pewność siebie; wiedział, kim ona jest, i prawdopodobnie chciał ją poznać z synem. Bridie była ciekawa. Podobał jej się pan Lockwood. Podobało jej się jego zachowanie. Być może jego syn też jej się spodoba. Może będzie wystarczająco bogaty...

Z uśmiechem wzięła mężczyznę pod ramię.

– Jakże to wielkodusznie z pańskiej strony, panie Lockwood. Bardzo chętnie przyjdę na świąteczny lunch i poznam pańskiego syna. Ale pan zna irlandzkie powiedzenie: im starsze skrzypce, tym słodsza melodia.

Pan Lockwood zaśmiał się i poprowadził ją mokrą ulicą.

– Doprawdy jest pani uosobieniem irlandzkiego uroku, panno Doyle. – Poklepał ją po dłoni. – Może nas pani wszystkich oczarować.

Rozdział 31

Londyn, Anglia, 1925

Londyn wyglądał jak bajkowe królestwo z cukru. Ulice pokrywała gruba warstwa śniegu, płatki oświetlone blaskiem ulicznych lamp nadal spadały, kręcąc się na wietrze jak złote pióra. Osiadały na nagich gałęziach platanów i kasztanowców, na placach i skwerach, otulały wiosenne cebulki, które zimowały pod powierzchnią wraz z myszami i jeżami, przesypiającymi zimę w ciepłych norkach.

Kitty wyglądała przez okno swego domu w Notting Hill na Ladbroke Square. Nie był to stylowy adres, ale jej to nie przeszkadzało. Pochodzące z połowy dziewiętnastego wieku domy, zbudowane na ziemiach rodziny Ladbroke'ów z intencją stworzenia tu modnego przedmieścia Londynu, jeszcze nie zwabiły bogatych londyńczyków, którzy woleli mieszkać bliżej centrum, w Mayfair czy Belgravii. Okolica ta przemawiała jednak do wyższej klasy średniej, której przedstawiciele mogli tu mieszkać w dużych domach w stylu Belgravii za ułamek tamtej ceny. Kitty była szczęśliwa, że mieszka daleko od matki, która w sezonie rezydowała w domu Victorii w Belgravii, a resztę roku spędzała w jej wiejskiej posiadłości w Kent. Ojciec pojawiał się w Londynie tylko przy nadzwyczajnych okazjach, takich jak ślub Harry'ego czy wyścigi w Ascot. Przez cały rok przebywał w Castle Deverill w Hunting Lodge, w którym jego żona nie postawiła nogi od czasu pożaru. Kitty nie dostawała od niego żadnych listów. Nie przyjechał nawet na jej ślub. To odrzucenie bardzo ją bolało, ale przyzwyczała się do ukrywania bólu, a na pocieszenie miała małego Jacka i Roberta. Adeline była zbyt słaba, żeby podróżować, ale Kitty regularnie z nią korespondowała; każdy list babci ogromnie sobie ceniła.

Pięć miesięcy minęło od podróży do Florencji. Pięć miesięcy, odkąd powiedziała Robertowi o Michaelu Doyle'u. Pięć miesięcy cierpliwości, współczucia i powściągliwości, które musiały być ciężką próbą dla świeżo upieczonego męża. Ale Kitty nie mogła się przełamać i nadal nie pozwalała się dotknąć. Owszem, zapewniła go, że to zrobi, ale nie wiedziała, kiedy ten moment nadejdzie. Czasem, gdy leżała w łóżku, wpatrując się w sufit, zastanawiała się, że może nie nadejdzie nigdy. Tamtego ranka Michael Doyle ukradł jej coś więcej niż dziewictwo – ukradł samą istotę jej duszy.

Kitty nie kochała Roberta tak, jak kochała Jacka, ale tego nawet nie

oczekiwała. Miłość jej i Jacka wyrastała z niewinności lat dziecinnych i kształtowała się w ogniu prób, którym Bóg uznał za stosowne ich poddać. Robert nie mógł z tym konkurować. Ale był oddanym ojcem dla małego Jacka i chłopiec kochał go bezgranicznie. Miała nadzieję, że z czasem ona też tak pokocha swego męża.

Gdy niebo pojaśniało, wyszła na dwór, prosto w śnieżycę, szczelnie opatulona grubym płaszczem. Ogrody były pogrążone w niezmałconej ciszy. Rudzik z rdzawą plamką na piersi skakał w poszukiwaniu pożywienia, zostawiając ślady na śniegu, a kos obserwował ją z wierzchołka jodły. Kitty wciągnęła w nozdrza zimne powietrze i chłonąc piękno tego tajemniczego białego zakątka w środku ruchliwego miasta, poczuła, że jej nastrój się poprawia. Odetchnęła głęboko, wypuszczając w wilgotną atmosferę gęsty obłoczek pary, a wraz z nim cały swój niepokój, obawy i troski. Napięcie na jej ramionach zelżało, gdy tak stała pośrodku ogrodu, pozwalając wiecznemu spokojowi natury zagościć w swoim sercu. Jakże tęskniła za nieskażoną przyrodą wiejskiego pejzażu...

Nagle coś błyszczącego przykuło jej wzrok. Odwróciła się i zobaczyła małe wibrujące światełko nad krzakami. Wpatrywała się w nie w zachwycie, natychmiast rozpoznając świetlnego duszka. Nie widziała żadnego od czasów dzieciństwa. Wtedy było ich mnóstwo, tańczyły wśród kwiatów w zamkowych ogrodach. Z narastającym podnieceniem przeszła cicho po śniegu i przykucnęła, uśmiechając się z niewinnością małej dziewczynki.

W momencie gdy na nowo odkryła swój dar, zdała sobie sprawę z całkowitą jasnością umysłu i pewnością w sercu, że jej przyszłość nie leży tu, w tej murowanej metropolii, ale w Castle Deverill. Poczuła, jak w jej żyłach krew szybciej krąży z radości niczym szemrzący strumyk spływający przez Ballinakelly do morza, i wybuchnęła śmiechem. Kos na jodle zaczął śpiewać, a rudzik pofrunął w ośnieżone krzaki. Zrozumiała, że nie ma znaczenia, co sobie myśli jej ojciec, ani to, że zamek nie nadaje się już do zamieszkania. Ona przynależy do tamtego miejsca. Kocha je bezwarunkowo. Nigdzie indziej nie będzie szczęśliwa.

Z optymizmem w sercu pobiegła z powrotem do domu. Robert siedział przy stole, czytając prasę. Ze zdziwieniem podniósł wzrok znad „Timesa”. Od dnia ślubu nie widział Kitty tak ożywionej.

– Robercie! – wykrzyknęła, zarzucając mu ramiona na szyję i zmuszając do odłożenia gazety. – Pamiętasz, jak powiedziałeś, że oddałbyś mi Irlandię, gdybyś mógł?

– Owszem – odparł, zdejmując okulary.

– A więc możesz!

– Mogę?

Wyciągnęła krzesło i usiadła obok męża.

– Chcę wrócić do domu – oświadczyła. – Wiem, że tam będziemy

szczęśliwi. Będziesz mógł pisać. W Irlandii znajdziesz więcej natchnienia niż w tym ponurym mieście.

Robert uśmiechnął się i dotknął jej twarzy.

– Jeśli tego chcesz, Kitty, wyjedziemy – powiedział.

– Chcę, żeby Jack wiedział, skąd pochodzi. Castle Deverill ma we krwi. Ale musisz pojechać i porozmawiać z tatą. Wiem, że potrafisz go przekonać. Dom stryja Ruperta stoi pusty. Od dziesięciu lat nikt w nim nie mieszka. Elspeth powiedziała mi, że jest zabity deskami. Babcia nie była w stanie tam pójść po tym, jak stryj Rupert zginął, a więc pozostawiono go w nienaruszonym stanie. Ale należy do posiadłości. Ojciec może mi go podarować. Wiem, że to zrobi, jeśli go o to poprosisz.

Robert tak bardzo chciał zadowolić żonę, że natychmiast rozpoczął przygotowania do podróży. Zdecydowali, że na razie nikomu nie powiedzą o swoich planach. Wyjadą po cichu, a potem, gdy wszystko zostanie już załatwione, poinformują Harry'ego, Beatrice i Celię. Kitty spakowała się przy pomocy swojej pokojówki. Wyjechali z Londynu z małym Jackiem, Hetty, pokojówką Kitty, i lokajem Roberta, Bridgemanem; zatrudnianie tej niewielkiej świty było możliwe dzięki corocznej skromnej rencie, którą Robert otrzymywał od swego ojca. Robert zdecydował, że po resztę rzeczy pośle później. Na razie planowali zatrzymać się u Elspeth i Petera.

Kiedy Kitty zeszła ze statku na irlandzką ziemię, dała upust tęsknocie, tak długo powstrzymywanej pod tamą powściągliwości. Rozpłakała się z radości i ulgi. Wystawiła twarz na lekką mżawkę, czując, że jej serce otwiera się, jak delikatny kwiat maku w słońcu. Wreszcie była w domu.

Elspeth wysłała po nich szofera. Bridgeman z bagażami jechał za nimi taksówką. Kitty wsunęła się na tylne siedzenie obok Roberta i trzymając go za rękę, patrzyła przez okno na aksamitne zielone wzgórza, których porośnięte wrzosami wierzchołki spowijał welon mgły. Gałęzie nagich drzew były gruzłowate i lśniące od deszczu. Wielkie czarne gawrony skakały po dachu opuszczonej farmy. Krowy pasły się na łąkach porośniętych gęstą trawą, a wełniste owce wyglądały jak białe kropki na zboczach. Kitty przeżywała zbyt silne emocje, żeby mówić. Od czasu do czasu przykładła rękę do piersi i wzdychała, jakby widok każdego miejsca budził wspomnienia, które chciała zatrzymać i się nimi rozkoszować. Pomimo całego zła, które tu się wydarzyło, Irlandia nadal miała w sobie siłę, by swoim niewzruszonym pięknem zawładnąć jej sercem.

Zamek Petera i Elspeth MacCartainów w stylu neopalladiańskim był podniszczoną, starą budowlą o niewielkim uroku. Szare ściany były surowe i ponure, a wysokie okna zamglone jak zapadnięte oczy starego człowieka. Posadowiony na szczycie wzgórza nie miał wokół siebie drzew, które chroniłyby go przed gwałtownymi zimowymi wiatrami i dodawały mu urody. Mijające lata

stopniowo pozbawiły go blasku, wyglądał teraz samotnie i przygnębiająco jak pułkownik porzucony przez swoich żołnierzy. Kiedyś konkurował splendorem z Castle Deverill, ale nie było tu już ogrodów, pieczołowicie pielęgnowanych trawników, żadnych śladów dawnego prestiżu; niezmienione pozostały tylko otaczające go pola z pasącymi się owcami. Kitty ogarnął smutek, jakby ten zamek był symbolem wszystkiego, co Anglo-Irlandczycy stracili w wyniku wojny o niepodległość.

Kiedy samochód zatrzymał się przed frontowymi drzwiami, Elspeth wybiegła im na powitanie. Podniecona, ledwie łapiąc oddech, ścisnęła siostrę.

– Jestem szczęśliwa, że przyjechaliście, Kitty. Wspaniale cię widzieć, i małego Jacka! Będziemy się znakomicie bawić. Peter ma dla ciebie cudowną klacz. Jestem pewna, że ci się spodoba, jest szybka jak wiatr. A może wybieriecie się na polowanie? Tu jest mnóstwo ptactwa, Robercie. Czy ty strzelasz? Nie mogę sobie przypomnieć. Wejdźcie do środka! W salonie pali się ogień. – Roześmiała się nerwowo. – Używamy niewielu pokoi, ponieważ jest tak zimno. Biegamy od jednego do drugiego jak myszy. Ale tobie nie przeszkadza wilgoć, prawda, Kitty?

Weszli do holu. Pomimo wytartych dywanów przykrywających kamienną podłogę nie było tu cieplej niż na dworze. Ogromny kominek ział pustką. Wiszące na ścianach zakurzone portrety przodków w przepysznych jedwabiach i zbrojach przypominały o świetlanej przeszłości rodziny. Ale teraźniejszość prezentowała się równie obskurnie jak nadgryziony przez mole gobelin przedstawiający historię MacCartainów, dekorujący przeciwległą ścianę. Panowała tu atmosfera ubóstwa, która z pewnością przeraziłaby Maud. Kitty zauważyła brak kamerdynera, który by ich powitał. Ale i tak nie miała ochoty zdejmować płaszcza. Z cienia wyłoniła się nierozgarnięta pokojówka, żeby zabrać Hetty i Jacka na górę. Robert poinformował ją, że bagaż zaraz nadjedzie, a dziewczyna potaknęła w milczeniu, patrząc nań cielecym wzrokiem.

Salon wyglądał zaskakująco uroczo. Kitty pomyślała, że Elspeth i Peter musieli przesiadywać tylko w tym pokoju, ponieważ dzięki rozpalonemu kominkowi było tu ciepło, a przytulności dodawały rodzinne fotografie, książki, bibeloty i akcesoria należące do małżonków, którzy jak widać, nigdy niczego nie wyrzucali. Na oparciu sofy widniała dziura, którą Elspeth usiłowała zasłonić poduszką, a aksamitne obicia na krzesłach miały przetarcia i plamy. Najwyraźniej brakowało pieniędzy na naprawy.

Peter pojawił się z dwoma psami. Twarz miał zaczerwienioną z zimna, a błoto z butów zostawiało ślady na dywanach. Ubrany był w tweedowy płaszcz, nieco wyświechtany, jak kiedyś stroje Huberta. Serdecznie uściskał Kitty i podał dłoń Robertowi.

– Witam w Dunderry Castle – powiedział jowialnie. – Nie dostaliście jeszcze drinka? – Z konsternacją spojrzął na puste ręce Roberta. – Gdzie jest O'Malley?

– Parkuje samochód, kochanie – odparła Elspeth. Z zakłopotaniem zwróciła się do Kitty: – O’Malley jest naszym kamerdynerem, szoferem i człowiekiem do wszystkiego w jednej osobie. Jest wspaniały. Potrafi wszystko zrobić.

– Oprócz przebywania w dwóch miejscach naraz – powiedział sucho Peter. – Czego się napijecie? Sherry? Whisky z wodą?

– Kitty pewnie napije się sherry – odpowiedział Robert.

– A my uruczmy się whisky – rzekł uszczęśliwiony Peter. Zostawiając ślady błota na dywanie, podszedł do barku znajdującego się po drugiej stronie salonu obok podniszczonego fortepianu. – A jak przeprawa? Jak zwykle burzliwa?

– O, tak – potwierdziła Kitty. – Ale cudownie znów być tutaj.

– Irlandia się nie zmieniła, prawda? – powiedziała Elspeth. – Ludzie przychodzą i odchodzą i tak okropnie postępują wobec siebie, ale Irlandia zawsze jest taka sama. Od tysięcy lat.

Kitty usiadła blisko ognia. Torfowy klocek wypadł z kominka na metalową osłonę i dymiło na cały pokój, ale ani Elspeth, ani Peter zdawali się tego nie zauważać.

– Widziałas się z tatą? – spytała Kitty, rozganiając ręką dym.

– Tak. Niestety, bardzo się zmienił – powiedziała Elspeth z zafrasowaną miną. – Pije za dużo. Ma zmienne nastroje i bywa bardzo przykry. A babcia przez całe dni mówi do siebie. To wszystko jest bardzo smutne. Nie jest już tak jak kiedyś... Codziennie odwiedzam Krzaczki. Musisz do nich ze mną pojechać. Ucieszą się, gdy cię zobaczą. Rzadko wychodzą z domu, a więc robię im zakupy i pilnuję, żeby miały wszystko, co potrzeba. Uważają, że całe Ballinakelly jest do nich wrogo usposobione, chociaż nieustannie im powtarzam, że wojny się skończyły i wrogość panuje tylko pomiędzy Irlandczykami. My, Anglo-Irlandczycy, nigdy nie byliśmy tu bardziej bezpieczni. Ale im brakuje poczucia bezpieczeństwa, jakie dawała obecność brytyjskiej armii. Żyją w atmosferze strachu i podejrzeń.

– Chciałabym jeszcze dziś odwiedzić babcię – powiedziała Kitty. – A Robert być może mógłby zobaczyć się z ojcem i porozmawiać z nim o domu stryja Ruperta. Nie chcemy być ciężarem dla ciebie i Petera.

– Ależ nie jesteście żadnym ciężarem – obruszyła się Elspeth. – Nie mogliśmy się was doczekać.

Peter podał im po szklaneczce sherry.

– Mogę osobiście zawieźć Kitty – zasugerował.

– Wolałabym spotkać się z wami na miejscu – odparła Kitty. Chciała być sama podczas wizyty w Castle Deverill. – Elspeth mówi, że masz klacz, która mi się spodoba – dodała z nadzieją w głosie.

– Tak. Nazywa się Tempest i pędzi jak wiatr.

– Brzmi obiecująco. Nie wyobrażam sobie niczego wspanialszego od jazdy

konnej. Poczuję się jak za dawnych czasów.

Elsbeth uśmiechnęła się nieśmiało.

– Pojechałabym z tobą, Kitty – powiedziała, kładąc rękę na brzuchu. – Ale spodziewam się następnego dziecka.

– Och, Elspeth! – ucieszyła się Kitty. – Trzecie dziecko!

– To dopiero pierwsze tygodnie, ale chciałam, żebyś pierwsza się dowiedziała.

Peter wznosił toast.

– Za moją mądrą żonę! – powiedział, promieniejąc z zachwytu. Robert i Kitty unieśli kieliszki. – I za to, żebyś ty była następna! – zwrócił się do Kitty.

Kitty uśmiechnęła się z przymusem.

– Kiedy pojedziemy do zamku? – zgrabnie zmieniła temat. W obecnych okolicznościach jedyną jej szansą na posiadanie dziecka było niepokalane poczęcie.

– Po lunchu. Zabiorę Roberta samochodem. Na miejscu spotkamy się z Kitty, a ty tymczasem, moja kochana, odpoczniesz.

– W takim razie przed lunchem pokażę Kitty dom i przedstawię jej siostrzeńców. – Zwróciła się do siostry: – Zamek jest trochę zapuszczony, ale ja go uwielbiam. Jesteśmy tu bardzo szczęśliwi. – Znów pogłaskała się po brzuchu. – Naprawdę mam nadzieję, że tym razem to dziewczynka. Będę się o nią troszczyć, tak jak matka powinna się troszczyć o córkę.

– Rozumiem, że mama jeszcze nie wie?

– Powiem jej dopiero po porodzie. Po urodzeniu chłopców jedyną reakcją były suche telegramy z gratulacjami. Dotąd nie wykazała zainteresowania, żeby ich poznać.

– Chodź, ja chcę poznać Johna i Jaspiera. – Kitty podniosła się z fotela. – Nie psujmy sobie humoru rozmowami o mamie. Oprowadź mnie po zamku!

Trochę później, ubrana w spodnie, tweedowy żakiet i buty do konnej jazdy, po męsku dosiadając konia, popędziła przez wzgórze do Castle Deverill. Ostatni raz miała na sobie długą spódnicę do jazdy w dniu, gdy pojechała skonfrontować się z Michaeliem Doyle'em. Potem zrzuciła ją z siebie jak wąż, który pozbywa się skóry; cisnęła ją w ogień zapomnienia wraz ze wszystkim, co wydarzyło się tamtego poranka. Nigdy już nie będzie tamtą kobietą. Jazda po męsku dodawała jej pewności siebie i dystansowała od dziewczyny, którą była kiedyś.

Na widok nadpalonych ruin Kitty ścisnęło w gardle. Zatrzymała konia i przez dłuższą chwilę wpatrywała się szklistymi oczami w resztki tego, co kiedyś było jej domem, wylaniające się z mgły nadciągającej znad wody. Widoczne pomiędzy gałęziami drzew puste otwory okienne przypominały pozbawione światła oczy starca wytrzeszczone na ogrody, gdzie wspomnienia poniewierały się pośród gawronów i wron skaczących po chwastach. Żadnego śladu życia w tych

martwych czarnych oknach, jedynie wąska strużka dymu z komina w zachodnim skrzydle, szarpana przez bezlitosny wiatr, świadczyła o ludzkiej obecności.

Kitty pogalopowała w dół wzgórza, a potem przez pola. Z gracją przesadziła mur i zatrzymała się w miejscu, gdzie kiedyś był trawnik do krokieta. Zeskoczyła z konia, podprowadziła klacz pod drzewo i tam ją przywiązała. Głęboko wciągając powietrze, żeby się uspokoić, potoczyła wzrokiem po ruinach, walcząc ze wspomnieniami, które jak duchy wypełzały z każdego kąta murów. Z sercem przepelnionym smutkiem podeszła do kuchennego wejścia. Ta część zamku nie została strawiona przez ogień. Pokryty kamiennymi płytami korytarz wyglądał tak jak wtedy, gdy biegały po nim z Bridie. Mały schowek pod schodami pozostał również nietknięty. Kuchnia, gdzie królowała pani Doyle i skąd pokojówki i lokaje wynosili ciężkie tace, pokrywała tylko gruba warstwa kurzu. Długi dębowy stół nadal tam stał, rondle i patelnie jak zawsze zwisały z półki przy suficie, zimne palenisko było przysypane popiołem, wysokie szafki i kredensy trwały nienaruszone. Mała oaza normalności. Przez głowę Kitty nawet przemknęła myśl, że zaraz ze spiżarni wychynie pani Doyle i obrzuci ją zdziwionym spojrzeniem. „Co się tak panienka gapi oczami jak spodki, panno Kitty? Nie widzi panienka, że jestem zajęta?!”.

Ale gdy wchodziła po schodach, dobiegł ją duszący zapach spalonego drewna. Otworzyła stare, pokryte zielonym sukniem drzwi prowadzące do części zamku zajmowanej przez dziadków; w środku było prawdziwe rumowisko, pokoje pokrywała czarna sadza, a przez puste otwory okienne, otwarte na działania sił przyrody, wlatywały wrony, by buszować wśród śmieci. Pośrodku tego zniszczenia widniały fragmenty ścian, gdzie nie dotarł ogień; były jak mgnienie dawnego życia, a Kitty z nostalgią chwytiała się tych przeblysków wspomnień. Z żalu i smutku aż zakręciło jej się w głowie. Wróciła na schody i wdrapała się na zachodnią wieżę, do małego pokoju, gdzie tak często chowała się z Celią i Bridie, żeby zobaczyć Bartona Deverilla, który zwykł tu przesiadywać w obitym jedwabiem fotelu, opierając nogi na podnóżku.

Jeszcze zanim weszła do pokoju, usłyszała głos babci. Wznosił się i opadał jak pieśń, jakby siedziała z Hubertem w bibliotece przed kominkiem i beztrąsko z nim gawędziła. Kitty zdusiła łkanie i otworzyła drzwi. Adeline się odwróciła. Na widok gościa oczy jej się rozszerzyły, a na twarzy zakwitł uśmiech.

– Właśnie mówiłam Hubertowi, że dawno nie widzieliśmy Kitty. Byłaś na polowaniu, kochanie? Mówią, że idealna pogoda na tę okazję. Hubert ustrzelił trochę ptactwa dziś rano. Mówi, że na bagnach aż się od niego roi. A nasze psy doskonale aportują.

Kitty zamrugała, żeby ukryć łzy, przykucnęła obok babci i pozwoliła się głaskać po włosach.

– Tęskniłam za tobą – powiedziała, wpatrując się w jej twarz, o której czas

nagle sobie przypomniał i postarzył ją w takim tempie, jakby chciał nadrobić stracone lata.

– Gdy byłam młoda, miałam takie piękne włosy jak ty. Oczywiście w tamtych czasach zmuszali mnie, żebym je upinała, ale gdy nikt nie widział, rozpuszczałam je na ramiona. – Mierzwiła włosy Kitty palcami. – Twojej matce nigdy nie podobały się twoje włosy. Uważała, że są brzydkie. Nie dostrzegą, że są utkane ze złotych nici i promieni słońca. Nigdy nie lubiłam Maud. Gdy twój ojciec się z nią ożenił, byłam bardzo zatroskana. Widziałam, kim naprawdę jest, ale mężczyźni zaślepią urodą, nieprawdaż? Była pełna ambicji i okropnie konwencjonalna. Potem zawrócił jej w głowie księżę Rothmeade. Nie jestem pewna, czy kochała jego, czy raczej to, co sobą reprezentował. Uciekłyby z nim, zostawiając Bertiego, gdybyś ty nie pojawiła się na świecie...

Kitty wyprostowała się jak struna. Przypomniała sobie niejasno, jak Krzaczkę rozprawiały w bibliotece o Eddiem Rothmeadzie.

– O kim ty mówisz, babciu?

– O księciu Rothmeadzie. Och, przystojny był z niego kawaler. Przyjaźnił się z Bertiem i stale przyjeżdżał tu na polowania. Świetnie jeździł konno. Maud uczestniczyła w tych polowaniach czasem kilka razy w tygodniu, dlatego miała te poronienia po Harrym. Tak bardzo chciała być blisko księcia, że przeskakiwała przez żywopłoty, w ogóle nie dbając o swoje cięższe. Jemu ona też się podobała. Potem zaszła w ciążę z tobą i choć nie zmieniła trybu życia, nie poroniła. Widzisz, tylko zgniłe jabłka spadają z drzewa. A ty byłaś najwspanialszym owocem w sadzie! To z twojego powodu księżę Rothmeade z nią zerwał. Słyszałam całą awanturę, schowana w szklarni. Był wściekły. Przypuszczam, że wmawiała mu, że jej małżeństwo z Bertiem istnieje tylko na papierze, a on jej wierzył. Och, przebiegła z niej manipulanka! – Adeline zmrużyła oczy. – Myślę nawet, że była w nim tak zadurzona, że zostawiłaby Harry'ego, gdyby księżę ją o to poprosił. Ale on ją bez wahania porzucił. Między nami mówiąc, myślę, że szukał wymówki. Stałaś się doskonałą wymówką, Kitty.

Kitty była kompletnie zaskoczona. Nie wiedziała, co powiedzieć.

– Zjesz kawałek ciasta? Jest bardzo dobre – ciągnęła Adeline. – Pani Doyle piecze doskonałe porterowe ciasta. – Kitty rozejrzała się po pokoju. Nigdzie nie widziała ciasta. – Hubert bardzo chętnie zagrałby roberka. Krzaczkę przyjadą, gdy się wyszykują. Laurel zawsze tak marudzi przy kąpielach. Aha, pułkownik Manley przyjeżdża na kolację. Myślisz, że zagra w brydża? Jak sądzisz, Hubercie? – Adeline patrzyła na stojący naprzeciwko fotel, słuchając odpowiedzi swego męża.

Minęło tyle czasu, odkąd Kitty po raz ostatni widziała ducha, że zdumiał ją widok świetlistej sylwetki niewyraźnie rysującej się na tle fotela. Ale bez wątpienia był to jej dziadek!

– To już nie potrwa długo – rzekł, a Kitty ze strachem popatrzyła na babcię.

– Bardzo chętnie zagrałabym w brydża – powiedziała, kładąc głowę na kolanach Adeline i zaciskając powieki, żeby powstrzymać łzy. – Masz trochę swojej herbatki, babciu? Napiłabym się, pośmiała i poplotkowała w bibliotece jak kiedyś. To były szczęśliwe dni.

– Jest mnóstwo konopi w szklarni. Możesz pójść i trochę zerwać. Krzaczki wkrótce przyjadą i też chętnie się napiją. Taka herbatka cudownie koi im nerwy. A, wiesz, pułkownik Manley ma słabość do Hazel. Mogłabym przysiąc!

Ocierając łzy i dusząc w sobie łkania, Kitty pospieszyła do ogrodu. Babcia traci rozum. Spędzając całe dni w wieży, powoli zbliża się do śmierci. Czyż dziadek nie powiedział, że to już nie potrwa długo? Nie tylko traci rozum, ale również staje się niedyskretna. O co chodzi z tym księciem Rothmeade'em? Czy to prawda, że to ciąża matki zniszczyła ich romans? Czy dlatego Maud darzyła ją taką niechęcią?

Przedzierając się przez gęste, przerośnięte chwasty, dotarła do szklarni, której szyby pokrywały teraz lizaje i mchy. Popchnęła drzwi, wypaczone z powodu wilgoci, i weszła do środka. Pomimo zapuszczenia było tu przyjemnie ciepło i pachniało jak dawniej. Kitty zaczęła szukać konopi indyjskich wśród wybujających roślin. Pamiętała, jak wyglądają. Ich liście miały wyraźnie gwiazdzisty kształt.

Wreszcie znalazła wielkie kępy jaskrawozielonych liści, które wydawały się wysiewać same i rozrastać ponad wszelką miarę. Pomyślała z rozbawieniem, że Adeline nie byłaby w stanie wypić takiej ilości herbaty z konopi, nawet gdyby żyła tysiąc lat. No cóż, teraz kolej na nią. Jeśli ten specyfik tak skutecznie koi nerwy babci, może i jej pomoże.

Kitty zerwała spory pęk konopi i wyszła z powrotem na mżawkę. Gdy wracała do zamku, kątem oka zerknęła na mur, przy którym chowali z Jackiem listy. W sercu ją ścisnęło. Przystanęła, wpatrzona w to miejsce. Przypomniała sobie ten ostatni raz, gdy na peronie stacji widziała Jacka, padającego z rękoma przyciśniętymi do brzucha. Gdyby ich plan się powiódł, byłiby teraz w Ameryce. Kto wie, jak potoczyłoby się ich życie.

Powoli zbliżała się do muru. Twarz Jacka zmaterializowała się jej przed oczami i kolana się pod nią ugięły. Wyraźnie wyczuwała tu jego obecność – zapach skóry, smak jego pocałunków. Oszołomiona nagłym atakiem wspomnień pochyliła się i przesunęła palcami po kamieniu przykrywającym dołek, w który wkładali swoje liściki. Powoli odsunęła kamień. Gdy wewnątrz zobaczyła złożoną kartkę papieru, jeszcze mocniej szarpnęło ją w sercu. Zdezorientowana wyciągnęła liścik i go rozłożyła.

Moja ukochana Kitty

Jestem wolny, ale Ty już nie jesteś. Słyszałem, że wychodzisz za mąż. Mogę obwiniać jedynie siebie samego, że pozwoliłem ci odejść. Dostałem wszystkie

Twoje listy, ale na żaden nie odpisałem, ponieważ wtedy, gdy powiedziałem, żebyś żyła własnym życiem, naprawdę tak uważałem. Myślałem, że będę gnął w więzieniu przez resztę życia. Ale teraz jestem wolny i miałem nadzieję, właściwie modliłem się, że nadal będziesz na mnie czekać. Ale tak nie jest.

Moja ukochana Kitty, kocham Cię bardziej, niż możesz sobie wyobrazić. Zostawiam tutaj ten list z myślą – choć to mało prawdopodobne – że kiedyś go znajdziesz. Grace powiedziała mi, żebym nie niszczył Twojego szczęścia, a więc tego nie zrobię. Ale nie mogę nie wypowiedzieć tych słów: Kocham Cię, moja droga przyjaciółko i rodaczko. Kocham Cię całym sercem i zawsze będę.

Jack

Kitty osunęła się na mokrą trawę, rękami objęła głowę i głośno załkała.

Rozdział 32

Kitty, napędzana wściekłością, energicznie przedarła się przez wysokie trawy do drzewa, gdzie uwiązała konia. Konopie oraz list od Jacka wepchnęła do kieszeni żakietu i dosiadła konia. Niebo już pociemniało; ciemne chmury zapowiadały deszcz. Wiatr narastał, smagał jej skórę, gdy galopowała przez wzgórza do Ballinakelly.

Była wściekła na Grace, że powiedziała Jackowi, żeby się z nią nie kontaktował, i wściekła na Jacka, że jej posłuchał. Pochyliła się, spinając konia. Jeśli Jack jest w Ballinakelly, znajdzie go. Ale gdy go znajdzie, co zrobi?

Miasteczko się nie zmieniło od czasu, gdy była tu po raz ostatni. Domy wyglądały szaro w przyćmionym świetle późnego popołudnia, drogi lśniły od deszczu, a morze odzwierciedlało posępny kolor ołowianego nieba. Skulona, z pochyloną głową, żeby nikt jej nie poznał, kłusowała po błocie. Serce jej waliło z emocji, że wpadnie na Michaela Doyle'a, chociaż rozum podpowiadał, że nie musi się go już obawiać.

Pod domem O'Learych zeskoczyła z konia i mocno zapukała do drzwi. Chwilę później uchylily się ze skrzypnięciem i ukazała się w nich drobna, podejrzliwa twarz matki Jacka.

- Czego pani chce? – spytała opryskliwie na widok Kitty.
- Szukam Jacka. Jest w domu?
- Znow problem z koniem?

Kitty zignorowała sarkazm w jej głosie.

- Muszę pilnie się z nim zobaczyć. Gdzie mogę go znaleźć?
- Wezwano go na farmę Johna Whitinga niedaleko Bandon.

Jazda do Bandon nie miała sensu, pomyślała Kitty z rezygnacją.

- Proszę mu powiedzieć, że tu byłam – powiedziała.
- On już tu nie mieszka. Jack ma własny dom, tak jak powinien.
- Nie wiedziałam...
- Do widzenia, panno Deverill.

– Teraz jestem panią Trench – rzekła Kitty wyniośle. Wsiadła na konia i odjechała, pozostawiając panią O'Leary z mnóstwem pytań, których duma nie pozwoliła jej zadać.

Kitty powoli doczłapała do Magicznego Kręgu. Tam zsiadła z konia i oparła się o jeden z głazów. Przymknęła powieki. Wiele by dała, by cofnąć zegar. Gdyby tak mogła, otworzywszy oczy, mieć znowu szesnaście lat, zanim zaangażowała się w walkę, zanim zetknęła się z Michaelem Doyle'em, zanim wszystko potoczyło się

tak potwornie źle... Wróciła myślami do czasów, gdy spotykała się z Jackiem tu, w tym mistycznym miejscu, gdzie kamienie ozywają o zachodzie słońca, a latem tańczą świetlne duszki. Jakże pragnęła odzyskać ten czas niewinności i optymizmu, gdy wierzyła, że miłość jest nieskomplikowana. Gdy wierzyła, że ona i Jack mają przed sobą przyszłość.

Zapatrzona w morze, nagle wyczuła, że nie jest już sama. Odwróciła głowę i zobaczyła Jacka. Przywiązał swego konia obok jej klaczy i stał poza kamiennym kręgiem, uważnie ją obserwując. Zabrakło jej w płucach powietrza; gniew, jaki do niego czuła, znów wezbrał. Jack zrobił kilka kroków w jej kierunku. Kitty nie zauważyła, jakie piętno odcisnęło więzienie na jego młodości, nie widziała opadających kącików jego ust, świadczących o żalu i goryczy. Widziała tylko ukochanego mężczyznę, który ją porzucił.

– Dlaczego czekałeś, aż wyszłam za mąż, żeby mi powiedzieć, że jesteś wolny? – krzyknęła, podchodząc do niego zamaszystym krokiem. – Dlaczego mi nie odpisywałeś? Dlaczego po mnie nie przyjechałeś? Czekałam na ciebie, Jack. Tęskniłam. Nie zrezygnowałam z ciebie, nawet gdy dałeś mi wolną rękę, ponieważ nie pragnęłam nikogo oprócz ciebie. Czekałabym na ciebie do starości!

– Ale tego nie zrobiłeś – skwitował.

Zagotowała się z wściekłości.

– Ty mnie oskarżasz, że na ciebie nie poczekałam? Chryste, Jack, czego ty ode mnie chcesz! – Opuściła ręce w poczuciu porażki. – Mam dziecko...

– Wiem – szepnął. – Grace mi powiedziała.

– A więc powinna była ci powiedzieć, że musiałam dać mu ojca. To z jego powodu odsunęłam na bok swoje pragnienia. Pozbawiłeś mnie nadziei, a więc poślubiłam Roberta Trenchę, który zawsze był dla mnie miły i jest wspaniałym ojcem dla Jacka... – Gdy wymówiła imię dziecka, obydwójce zmierz yli się wzrokiem. Kitty gwałtownie westchnęła, jakby oblana wrzątkiem.

– Dla Jacka? – powtórzył.

Skinęła głową.

– Nadałam mu twoje imię.

– Och, Kitty! – Podszedł do niej, a Kitty aż się wzdrygnęła pod jego zranionym spojrzeniem. – Kochasz Roberta Trenchę? – spytał, patrząc na nią z góry z wyrazem nadziei na twarzy.

– Nie, nie kocham. – Chciała mu wyjaśnić, że bardzo lubi Roberta. Że go szanuje i jest mu wdzięczna, ale coś ją powstrzymało.

– Nie bądź zła, Kitty. Myślałem, że robię to, co jest dla ciebie najlepsze, ale popełniłem błąd. Będę tego żałował do końca swoich dni.

– Ale zostawiłeś mi list! – Grzebała w kieszeni; musiała odwrócić wzrok, ponieważ stał zbyt blisko. Jack ujął jej rękę i wyciągnął ją z kieszeni żakietu. Dotyk jego ciepłej skóry osłabił jej opór. Spojrzała na niego ponownie i cała jej

wściekłość wyparowała.

– Zostawiłem ci ten list, bo musiałem ci powiedzieć, że cię Kocham.

– Wiedziałaś, że tu wrócę, mimo że jestem zamężna.

– Szczerze mówiąc, myślałem, że nigdy go nie przeczytasz. Myślałem, że dni sekretnych liścików i spotkań bezpowrotnie minęły. Myślałem, że pozostawiłaś za sobą Irlandię i wszystko, co się z nią wiązało. – Głos mu się załamał, wargi zdrząły, a Kitty ścisnęło w sercu, gdy zdała sobie sprawę, że wszystko, co kochała w Irlandii, ucieleśniał ten mężczyzna. Mężczyzna, którego zawsze kochała.

– Och, Jack! – jęknęła. – Co myśmy zrobili?

Gdy wziął ją w objęcia, instynktownie się w niego wtuliła. Rozpadało się, znad morza dał wiatr, ale Kitty i Jack trwali w mocnym uścisku. Zdawało się, że tym pocałunkiem cofnęli się w przeszłość, że byli znów młodzi, niedotknięci wojną ani przemocą, nienaruszeni przez czas.

*

Kitty wróciła do Dunberry Castle, gdzie Robert i Peter świętowali zakończone sukcesem spotkanie z lordem Deverillem w Hunting Lodge.

– Zgodził się wydzierżawić nam dom – zakomunikował radośnie Robert, nie zauważając bladości na policzkach żony.

– Ten człowiek jest jak lew bez zębów – orzekł Peter. – Sprawa okazała się łatwiejsza, niż przypuszczałem.

– Kitty jest jego córką, niezależnie od wszystkiego, a Castle Deverill to jej dom. Ma prawo tam mieszkać – zauważył Robert.

– Wielkie nieba, całkiem przemokłaś – powiedziała Elspeth, wchodząc do pokoju. – Musisz natychmiast wziąć gorącą kąpiel, inaczej złapiesz ciężkie przeziębienie. Zaraz powiem O'Malleyowi, żeby przyniósł na górę gorącą wodę. – Wzięła Kitty za rękę i poprowadziła ją do lodowato zimnego holu. – Dobrze się czujesz? – spytała, gdy wchodziły po schodach.

– Byłam u babci – odparła beznamiętnie Kitty. – Straciła rozum.

– Tego się obawiałam. Spotkanie z nią musiało być dla ciebie bardzo stresujące. Wiem, jak jesteście sobie bliskie. Co masz w kieszeni? – spytała, spoglądając na wystające zielone liście.

Kitty uśmiechnęła się ze znużeniem.

– Konopie.

– Och, Kitty, nie żartuj!

– Babcia poprosiła, żebym trochę zerwała, ale jej nie zaniósłam, bo zrobiło się późno. Pomyślałam, że być może ukoją moje nerwy.

– Potrzebujesz tylko gorącej kąpeli i dobrego snu, a zobaczysz, że poczujesz się jak nowo narodzona.

Kitty szła za nią na górę, wiedząc, że siostra nigdy nie zrozumie jej

dylematu. Jak zresztą by mogła?

*

Tej nocy Kitty wkradła się do sypialni Roberta. Światło było zgaszone i wydawało jej się, że mąż śpi. Zsunęła z siebie szlafrok i opuściła go na podłogę. Usłyszała skrzypienie parkietu, gdy podchodziła do łóżka, i przewrócił się na drugi bok.

– Kitty? To ty? – spytał.

– Tak – wyszeptała. – Jest zimno.

– A więc wskakuj i przytul się do mnie – zachęcił, odsuwając kołdrę.

Wślizgnęła się pod nią i od razu znalazła w jego objęciach.

– Chcę być twoją żoną ciałem i duszą – szepnęła, przesuwając palcami po jego klatce piersiowej.

Robert przyciągnął ją do siebie.

– Moja kochana Kitty! – Znalazł jej usta i czule je pocałował.

Kitty zamknęła oczy i oplótła ramionami jego ciało. Potrzebowała go teraz bardziej niż kiedykolwiek. Jack był wolny i nadal ją kocha. Z tą świadomością, z tą iskierką w najgłębszym kąciku serca, która nadal się dla niego tliła, nie mogła sobie ufać. Musiała oddać się Robertowi. Musiała poczuć, że do niego należy. Musiała z całą siłą woli poświęcić się swemu małżeństwu, żeby nie stracić głowy, a co za tym idzie bezpieczeństwa, które odnalazła dla siebie i małego Jacka.

Oddała się swemu mężowi, mając nadzieję, że przez ten akt, w obecnej chwili jakże niestosowny, pocznie dziecko, które nierozzerwalnie połączy ją z Robertem.

Następnego dnia Peter zawiózł ich do ładnego białego domu Ruperta, zbudowanego na nadmorskich klifach. Robert wezwał z Londynu pozostałą służbę, która miała sprowadzić jego samochód wraz z resztą ich rzeczy. Z pomocą O'Malleya, pokojówki Elspeth i lokaja Roberta, Bridgema, zajęli się zdejmowaniem pokrowców z mebli i otwieraniem okien, żeby wpuścić świeże powietrze. Od śmierci Ruperta na wojnie nikt tu nie zaglądał, dom wyglądał tak samo jak w dniu jego wyjazdu na front. Kitty była szczęśliwa, mając pełne ręce roboty. Ochocho rzuciła się w wir porządków, byle tylko odepchnąć pokusę pojechania do Ballinakelly albo do Magicznego Kręgu, gdzie mogłaby spotkać Jacka. Robert, zarumieniony ze szczęścia po ostatecznym skonsumowaniu małżeństwa, czule spoglądał na żonę, nieświadom szalejącej w niej burzy pod maską uśmiechu.

W czasie gdy robotnicy z Ballinakelly naprawiali przeciekający dach i malowali pokoje, Robert i Kitty mieszkali w Dunderry Castle. Przyjechała reszta służby. Kucharka zadomowiła się w kuchni, czyściła naczynia i garnki oraz zapełniała spiżarnię. Bridgeman rozpakowywał kufry. Pokojówka Kitty odkurzała

i polerowała szafy, a później rozwieszała ubrania. Wytrzepano materace i na nowo posłano łożka. Kupiono torf i rozpalono w kominkach, żeby wypędzić wilgoć. Papiery Ruperta spakowano i schowano na strychu. Pozostałe po nim rzeczy podzielili pomiędzy siebie Peter i Robert, ponieważ nikt inny ich nie chciał.

Kitty wiedziała, że ponowne spotkanie z Jackiem byłoby niemądre. Zaakceptowała fakt, że jako zamężna kobieta nie może widywać się z nim na gruncie prywatnym. Tęskniła jednak za spotkaniem z Grace. Brakowało jej jedynej przyjaciółki, której mogła się zwierzyć, choć to właśnie Grace namówiła Jacka, żeby pozwolił jej odejść. Z upływem dni złość na sojuszniczkę i towarzyszkę z konspiracji stopniowo ustąpiła. Mimo wszystko Grace miała na względzie jej dobro. Bez wątpienia Robert Trench był dla niej odpowiednim mężem, mimo że nie kochała go tak jak Jacka.

*

Dowiedziawszy się, że Grace wróciła do hrabstwa Cork, Kitty pojechała się z nią zobaczyć. Samochód Roberta był, co prawda, trudny do prowadzenia, ale skupiona na celu odnalazła drogę i udało jej się uniknąć zderzenia z pasterzem przepędzającym stado owiec z jednego pola na drugie. Grace była zachwycona, że Kitty wróciła do Ballinakelly.

– Cieszę się, że twój ojciec zgodził się udostępnić wam White House. Twój stryj był człowiekiem dużej klasy, o wysmakowanych gustach. Jestem pewna, że dom jest pełen skarbów – powiedziała.

– Babcia siedzi w wieży i coraz bardziej traci rozum. Nie mogę tego znieść. Jej widok w takim stanie złamał mi serce.

– Ona przebywa w szczęśliwym świecie – zapewniła ją Grace. – To może nie jest nasz świat, ale ona czuje się w nim naprawdę dobrze.

– Nie sądzę, żeby długo pożyła – powiedziała Kitty, myśląc o dziadku i o tym, co od niego usłyszała.

– Myślę, że przyniesie to ulgę twemu ojcu. Babcia stała się dla niego ogromnym ciężarem. On prawie nie rusza się z domu, ponieważ musi się nią opiekować.

– On się nią nie opiekuje, Grace. Adeline siedzi w wieży całkiem sama.

– Ale jest na miejscu, gdyby go potrzebowała. Rzadko teraz poluje i nie ma zbyt wielu przyjaciół. A kiedyś był najpopularniejszym dżentelmenem w zachodnim Cork! Dziś jest cieniem tamtego mężczyzny.

– Słyszałam, że pije.

Grace z frustracją pokręciła głową.

– Tyle razy usiłowałam odciągnąć go od kieliszka. Ale ten nałóg opętał go jak demon i nie chce ze swoich szponów wypuścić. Utrata zamku to jedna przyczyna, odkrycie, że ma nieślubnego syna – druga. Obawiam się, że twój upór,

żeby zatrzymać dziecko, jeszcze bardziej uzależnił go od kieliszka.

– Nadal go widzisz?

– Tak często jak mogę. Potrzebuje towarzystwa. W przeciwnym razie oszaleje i zacznie mówić do siebie tak jak jego matka.

Kitty opróżniła swoją szklaneczkę sherry.

– Widziałam się z Jackiem – powiedziała. Napotkała oczy Grace i nie spuściła wzroku. – Rozumiem, dlaczego powiedziałaś mu, żeby mnie nie zawiadamiał, że go wypuścili, ale na przyszłość wolałabym, żebyś się nie wtrącała. Nadal go kocham.

– Oczywiście, że rozumiesz – powiedziała Grace, z równą śmiałością wytrzymując spojrzenie Kitty. – Jesteś zbyt inteligentna, żeby nie wiedzieć, co jest dla ciebie dobre. W życiu nie zawsze dostajemy to, co chcemy. Często musimy przedłożyć dobro innych ponad własne. I ty, i ja dużo wiemy o wyrzeczeniach, Kitty.

– On nadal mnie kocha.

– Będzie musiał to przeboleć, a ty, moja droga, będziesz musiała się nauczyć z tym żyć. Teraz powinnaś myśleć o tym małym chłopcu. Jesteś matką. Wychowujesz Deverilla!

– Ale ty zdradzałaś sir Ronalda.

– Dopiero gdy dałam mu synów, żeby przedłużyć ród. – Grace odstawiała szklankę, podeszła do sofy i usiadła obok Kitty. – Bardzo kochałam twojego ojca. Spędziliśmy razem wiele pięknych chwil. Ronald to rozumiał i nie miał nic przeciwko temu, a przynajmniej dopóki była to nasza prywatna tajemnica. Wielkie nieba, on miał dość kochanek, żeby nie czuć się osamotnionym. Ale to nie jest idealny sposób na życie, Kitty.

– Przestałaś kochać mojego ojca?

– Nie, zakończyłam nasz romans ze względu na ciebie.

– Na mnie?

– Oczywiście. Ocaliłaś mi życie. Nie chciałam ci się odplacać, romansując z nim za twoimi plecami. A poza tym to z powodu tego romansu byłaś do mnie tak źle usposobiona. Nie mylę się, prawda?

– Owszem – przyznała Kitty.

– Jak się dowiedziałaś?

– Zobaczyłam was in flagranti podczas Letniego Balu.

Grace zarumieniła się z zażenowania.

– Widziałaś nas?

– Tak. Bawiłam się z Celią. Zauważyłyśmy światło pod drzwiami pokoju i je uchyliłam. Zobaczyłam ciebie i ojca...

– Och, Kitty! – Grace przyłożyła dłoń do ust. – To okropne. Tak mi przykro.

– To było dawno temu.

– Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr. Mam nadzieję, że mi wybaczyłaś.

– Nie ma nic do wybaczenia. To nie była moja sprawa. – Kitty uśmiechnęła się wspaniałomyślnie. – Po tym, co dla mnie zrobiłaś, Grace, nawet nie musisz o to pytać.

– Zawsze będę kochała twojego ojca, chociaż mężczyzna, w którym się zakochałam, już nie istnieje, a jego miejsce zajął ktoś, kogo czasami nawet nie rozpoznaję. Ty zawsze będziesz kochać Jacka i jestem pewna, że on zawsze będzie ciebie darzył uczuciem. Ale wychodząc za Roberta, postąpiłaś słusznie. To porządny, miły człowiek, który zaopiekuje się tobą i Jackiem. Zapewni ci bezpieczeństwo i miejmy nadzieję, że da ci też własne dzieci, które będziesz kochała. Nie działaj pochopnie i nie trać głowy, ponieważ twoje serce jest bardzo silne i trudno ci nad nim panować.

Kitty wiedziała, że Grace ma rację. Rozum nakazywał jej postępować, jak należy, ale obawiała się o swoje serce.

*

W pierwszy piątek marca Kitty i Robert pojechali do Ballinakelly, żeby kupić konia. Ze stajni w Castle Deverill Kitty wzięła uprząż, ale brak konia ojciec z pewnością by zauważył.

Był rześki, jasny dzień. Słońce lśniło jaskrawo na modrym niebie. Ludzie przybyli z całej okolicy na targ, żeby kupić lub sprzedać zwierzęta; pomiędzy nimi kręcili się Cyganie, sprzedając wrzos i przeklinając tych, którzy odmawiali zakupu. Tak jak w dzieciństwie Kitty, przekupywano dzieci, żeby pilnowały krów, a gdy niektóre z nich znudzone swoim zajęciem uciekały, żeby pobawić się z przyjaciółmi, zwierzęta wędrowały swobodnie, czasem wchodząc do sąsiednich domów, jeśli zostawiono otwarte drzwi. Puby roily się od gości. Kitty czuła w powietrzu zapach ciemnego piwa oraz końskiego potu i nawozu. Hałasowi ludzkich głosów towarzyszyło głośnie skrzeczenie mew, przycupniętych na dachach, a paciorki ich czarnych oczu przeczesywały rynek w poszukiwaniu okruchów jedzenia.

– Pamiętasz tamten dzień, kiedy ostatni raz byliśmy tu razem? – spytał Robert, ujmując Kitty za rękę.

– Gdy ten mężczyzna rzucił we mnie kartoflem – odpowiedziała Kitty.

– Albo we mnie, jak rozsądnie zasugerowałaś – dodał z uśmiechem.

– Przepraszam. To było naprawdę złośliwe z mojej strony.

– Miałaś rację.

– Nie, on rzucił kartoflem we mnie. To ja reprezentowałam Brytyjczyków, mimo że w głębi duszy zawsze uważałam się za Irlandkę.

– Ważne jest to, co w sercu.

Kitty poczuła nagły przypływ uczucia do mężczyzny, który porzucił Londyn, żeby ona mogła być szczęśliwa w Irlandii.

– Robercie, jestem ci głęboko wdzięczna, że mnie tu przywiozłeś. Jeśli dotychczas ci za to nie podziękowałam, to dlatego że byłam tak zajęta innymi sprawami. Naprawdę ci dziękuję.

Ujął jej dłonie.

– Wiem, kochanie. Nie musisz mi dziękować. Widzieć cię szczęśliwą to dla mnie wystarczające podziękowanie.

– A ty jesteś szczęśliwy?

– Uczyniłaś mnie najszczęśliwszym mężczyzną na świecie – odparł bez wahania. – Jak mógłbym choć przez moment być nieszczęśliwym, będąc twoim mężem? Wszyscy mężczyźni w Londynie mi zazdroszczą, i jestem pewien, że również w Ballinakelly. – Poprowadził ją przez tłum. – Chodźmy, znajdziemy najlepszego konia, jakiego może zaoferować to miasto.

Kitty przesuwiała wzrokiem po twarzach mężczyzn w czapkach. Nagle zatrzymała się na znajomej twarzy Michaela Doyle'a. Z wrażenia zabrakło jej powietrza. Spuściła oczy na ziemię, ale on już zdążył ją zauważyć. Chwyliła Roberta za rękę i pospieszyła za nim w środek tłumy; pot oblał jej ciało i nagle wilgotna ręka wyslizgnęła się z dłoni Roberta. Znalazła się sama w morzu ludzi. Gorączkowo usiłowała zachować spokój, by nie wzbudzić zainteresowania mężczyzny, który od pamiętnego poranka po pożarze dręczył ją w sennych koszmarach.

Podskoczyła, gdy poczuła, że ktoś chwyta ją za ramię. Odwróciła się przestraszona. Michael Doyle zbliżał się do niej, jak wtedy na farmie, zanim rzucił ją na stół i zgwałcił. Jego złowieszcza twarz była tuż-tuż; czuła zapach alkoholu w jego oddechu. Przerazona cofnęła się i zaczęła krzyczeć. Tłum rozstąpił się, a ona potknęła się i upadła w błoto. Gdy otworzyła oczy, Michaela już nie było. Jack wpatrywał się w nią zmieszany. Ale to Robert był przy niej, pomógł jej wstać, objął ramieniem i odprowadził.

Rozdział 33

Nowy Jork, Ameryka, 1924

Dom pana Lockwooda zrobił na Bridie duże wrażenie. Był to czteropiętrowy pałac z białego kamienia z ozdobnymi zwieńczeniami okien i częściowo rzeźbioną fasadą, co dodawało mu ciepła; wyglądał, jakby się uśmiechał.

– To tylko dom – zażartował pan Lockwood, podchodząc po schodkach do frontowego wejścia.

Drzwi natychmiast się otworzyły; kamerdyner w białej, wykrochmalonej koszuli i czarnym fraku z uprzejmym ukłonem odsunął się na bok, by ich wpuścić. Pan Lockwood pomógł Bridie zdjąć płaszcz i podał go kamerdynerowi, ten zaś wziął również palto z wielbłądziej wełny, filcowy kapelusz i parasol swego pana, który powiesił sobie na przedramieniu za ozdobną drewnianą rączkę. Pod spodem pan Lockwood był ubrany w kosztowny trzyczęściowy garnitur, a złoty kieszonkowy zegarek zwiisał na łańcuszku na jego ciut zaokrąglonym brzuchu. Bridie zauważyła też duży złoty sygnet na jego lewej ręce oraz brylantowe spinki do mankietów. Nawet elegancki pan Deverill nigdy nie wyglądał tak wytwornie jak pan Lockwood. Serce Bridie przyspieszyło.

– Pozwolę sobie przedstawić panią mojemu synowi – powiedział, gdy młody mężczyzna pojawił się w holu.

O ile pan Lockwood sprawił na Bridie imponujące wrażenie, jego syn okazał się kompletnym rozczarowaniem. Nie chodziło nawet o to, że wyglądał dość pospolicie i miał cofnięty podbródek, jak chciwy Paul Heskin, ale po prostu brakowało mu klasy ojca. Gdy wymieniał z nią uścisk dłoni, jego ręka była miękka jak ciasto i trochę wilgotna. Oczy miał wodniste i melancholijne, pełne różowe usta i na okrasę miły uśmiech, ale Bridie uznała go za nazbyt chłopięcego, jak na jej gust. Wyglądał jak człowiek bez żadnego życiowego doświadczenia, jakby wszystko przychodziło mu zbyt łatwo. Krótko mówiąc – sprawiał wrażenie słabeusza.

– Poznałem pannę Doyle w kościele – wyjaśnił pan Lockwood. – Pomyślałem, że ożywi nasze święta. Czy potrzeba choinki, gdy ma się przy stole taką ładną dziewczynę jak panna Doyle?

Paradnymi schodami weszli dalej do rozległego holu z wysokim sufitem i ciężkimi drewnianymi drzwiami, których ozdobę stanowiły masywne mosiężne gałki. Jedne z tych drzwi prowadziły do salonu, w którym dominował błyszczący

kryształowy żyrandol i radośnie pałący się kominek. Rzędy książek oprawionych w brązową skórę, na której złociły się tytuły, stały na półkach, a podłogę przykrywały perskie dywany. Meble były podobne do tych, które Bridie pamiętała z Castle Deverill, ale wszystkie lśniły jak nowe. Purpurowe jedwabne fotele były nieskazitelnie czyste, złożone ramy lustra nad kominkiem świeciły jak słońce, ściany połyskiwały, udzielając swego blasku obrazom. Najbardziej uderzyło ją światło, które wlewało się przez wysokie okna, napełniając pokój szczęściem i aurą miękkiej kobiecości. Zapewne ten pokój udekorowała zmarła pani Lockwood. Widać, że była osobą o wyrafinowanym guście.

Bridie zaproponowano kieliszek szampana, który chętnie wypiała. Bąbelki dodały jej animuszu.

– Ma pan tyle książek, panie Lockwood – powiedziała, przesuwając dłońmi po okładkach. – Kocham książki. Uwielbiam czytać – dodała rozmyślnie.

Pan Lockwood wyglądał na zaskoczonego.

– Doprawdy?

– Och, tak! – podkreśliła dobitnie.

– Jakie książki lubi pani czytać? – Staął obok niej.

Przeleciała w myślach tytuły książek, które czytała pani Grimsby.

– Yeats jest moim ulubionym poetą. Oczywiście on jest Irlandczykiem i prawdopodobnie dlatego tak go kocham. Przypomina mi dom. – Popatrzyła na pana Lockwooda i ze słodkim uśmiechem wyrecytowała:

Odchodzi z nami dziecię

Co ma poważne oczy

Nie usłyszysz już cielaków

Głosu znad łagodnych zboczy

Czas pożegnać szept czajnika

Co niepokój w piersi koi

Albo myszy co umyka

Za gar z owsem gdy się boi...[11]

– Panno Doyle, zadziwia mnie pani. Wiem, że pani Grimsby kolekcjonowała książki, ale jeśli zechce pani pożyczyć coś ode mnie, służę z przyjemnością – zaproponował z błyskiem uznania w oczach.

– Och, bardzo chętnie, dziękuję. Czy pan też lubi czytać? – zwróciła się do syna gospodarza.

Ashley wyglądał na onieśmiałego.

– Obawiam się, że nie za bardzo interesuję się książkami. Ojciec zachęcał mnie do czytania, gdy byłem chłopcem, ale ja wolę fizyczne rozrywki.

– Ashley gra w tenisa i golfa – wyjaśnił pan Lockwood. – Pięć lat temu odłożył ostatnią książkę i odtąd żadnej nie wziął do ręki.

Bridie znów zwróciła się do starszego mężczyzny.

– Może mi pan coś polecić? – Przypomniała sobie, że pani Grimsby dzięki książkom zawojowała swego przyszłego męża. – Jaka jest pańska ulubiona powieść?

Pan Lockwood zaczął przeglądać bibliotekę.

– Zobaczmy, co tu mamy. Nie jestem pewien, czy pani kobiecej wrażliwości będzie odpowiadał mój gust. Ale moja żona uwielbiała czytać, a więc zaproponuję pani jedną z jej ukochanych powieści. – Przeglądał badawczo okładki, po czym wyjął jedną książkę i podał ją Bridie. – *Szkarłatna litera*[12]. Myślę, że się pani spodoba. To popularny amerykański klasyk.

– Bardzo dziękuję – powiedziała z entuzjazmem, przyciskając książkę do piersi jak najdroższy skarb. – Nie wyobrażam sobie niczego przyjemniejszego, niż usiąść z dobrą książką przy kominku, gdy na dworze hula zimny wiatr.

Pan Lockwood wyglądał na zachwyconego.

– Zapraszam do stołu – powiedział. – Nie wiem jak pani, ale ja umieram z głodu.

Od samego początku było jasne, że Bridie nie jest zainteresowana Ashleyem Lockwoodem. Wyglądało na to, że z wzajemnością, ale młody mężczyzna sumiennie ją adorował, jak nakazał mu ojciec. Bridie przeczytała *Szkarłatną literę*, w której na marginesach znajdowało się wiele uwag skreślonych ołówkiem przez panią Lockwood. To pomogło jej w sformułowaniu inteligentnych komentarzy, gdy dyskutowała o tej powieści ze starszym panem Lockwoodem. Pilnowała, żeby Ashley zapraszał ją do domu tak często jak to możliwe, co pozwalało jej pożyczać więcej książek od jego ojca i dyskutować o nich przed kominkiem w pięknym salonie. Gdy rozmawiała z panem Lockwoodem, Ashley wycofywał się z ulgą i wracał do własnych zajęć, a pan Lockwood nie protestował.

Bridie szybko wyczuła, że ten srebrny lis jest nią całkiem zauroczony. Niekiedy widziała w jego oczach taki sam wyraz, jaki pan Deverill miał tamtego dnia, gdy zwabił ją do swojej sypialni. Pan Lockwood przyglądał jej się z podziwem, niewyraźny uśmiech unosił kąciki jego ust, a ona odwzajemniała jego spojrzenie z niewysłowioną słodyczą, po czym skromnie spuszczała oczy, nieco rozchylając usta, aby pokazać mu, że walczy z narastającym uczuciem, które ledwie utrzymuje pod kontrolą.

Przy jednej z takich okazji pan Lockwood stracił panowanie nad sobą. Przeglądali książki, gdy nagle chwycił ją w ramiona i przycisnął usta do jej ust. Bridie nie spodziewała się tak szybkiego obrotu sprawy, ale też nie była całkiem zaskoczona; przygotowała się na tę chwilę. Przymknęła oczy, ugięła lekko kolana i rozchyliła wargi, jakby ogarnęło ją przemożne pożądanie. Pocałował ją głęboko, a Bridie po chwili odkryła, że nie musi udawać. Podobało jej się, jak owija swój język wokół jej języka i jak jego miękka broda muska jej twarz. Ileż to czasu

minęło, odkąd przytulał ją mężczyzna...

– Och, panie Lockwood – wysapała, otwierając oczy. – Nie powinniśmy!

– Dlaczego? Z powodu Ashleya? – Zaśmiał się cicho i znów ją pocałował. Bridie nie spodziewała się, że będzie aż tak podniecona. Pomyślała o panu Deverillu i zapragnęła, żeby pan Lockwood włożył rękę pod jej spódnicę i pieścił ją tak jak pan Deverill.

– Och, panie Lockwood – odezwała się znów. – Prawdziwy z pana diabeł, nigdy się tak nie czułam... Kręci mi się w głowie.

Pan Lockwood uśmiechnął się tylko i zatopił brodę w jej szyi. Czując twardość jego erekcji na swoim brzuchu, poruszyła biodrami, delikatnie się o niego ocierając. To sprawiło go w jeszcze wyraźniejsze podniecenie.

– Zabójczo pan pachnie... – wyszeptwała; rzeczywiście pieprzny cytrynowy zapach działał jej na zmysły. Odnalazł dłonią jej biust, podczas gdy językiem eksplorował jej usta z coraz większym zapałem. Nozdrza miał rozszerzone, oddech mu przyspieszył, gdy objął dłońmi jej piersi. Przycisnął ją do półek z książkami i zaczął podnosić spódnicę. – Och, panie Lockwood... – zaprotestowała słabo, odpychając go od siebie. – Nie możemy...

– Niepokoi się pani z powodu mojego syna? – spytał znów. – Proszę o nim zapomnieć, panno Doyle. Pragnę pani dla siebie. – Jego ręka powędrowała powyżej jej pończoch, gdzie na chwilę zatrzymała się, pieszcząc nagą skórę. Pozwoliła mu na to przez chwilę, ponieważ dotyk jego palców dostarczał oszałamiających wrażeń. Ale pamiętała o swoim celu. Nie chciała, żeby potraktował ją tak jak pan Deverill, powinna być traktowana jak dama.

– A więc proszę się ze mną ożenić – wykrztusiła, z trudem łapiąc oddech. – Zamierzam wejść do małżeńskiego łóżka nietknięta.

Tylko przez ułamek chwili zastanawiał się nad tą propozycją.

– Ożenię się z panią, panno Doyle. Moje ostatnie lata życia będą pełne przyjemności.

– Proszę zwracać się do mnie Bridget – powiedziała z uśmiechem.

– Ja mam na imię Walter. – Znów ją pocałował, ale jego dłoń wróciła na jej talię i tam pozostała. – Niezwłocznie weźmiemy ślub, zanim oszaleję z pożądania. I zanim moja rodzina będzie miała czas się sprzeciwić.

*

Rodzina Waltera Lockwooda rzeczywiście się sprzeciwiała, ale Bridie to nie obchodziło. Wzięli ślub po miesiącu, akurat gdy pierwsze wiosenne pączki zaczęły wyłaniać się spod topniejącej zmrożonej ziemi. Zniesmaczony Ashley wyprowadził się z domu, a Bridie, nie oglądając się za siebie, sprzedała posiadłość pani Grimsby. Sprowadziła Rosettę do swojego nowego domu, zwolniwszy kucharkę i kamerdynera, którzy pracowali u niej zaledwie pół roku. Gazety rozpisywały się

o niezwyklej parze, u której różnica wieku wynosiła czterdzieści lat, podkreślając, że ich połączone majątki tworzą gigantyczną fortunę. Nowojorskie towarzystwo z mieszaniną pogardy i podziwu plotkowało o nowej pani Lockwood.

- Ona nawet nie jest piękna – utyskiwała jedna z kobiet.
- On przecież nie potrzebuje pieniędzy – mówiły inne.
- Ale jest młoda, a starsi mężczyźni nie potrafią się oprzeć pokusie młodego ciała – zauważali bardziej wulgarni obserwatorzy.

Stare damy cmokały i kręciły głowami.

- Biedna Heather przewraca się w grobie – mówiły o jego pierwszej żonie.

Ale nowożeńcy, których szczęście stanowiło pancerz przeciwko wszelkiej krytyce i potępieniu, niczym się nie przejmowali.

Pan Williams nadal zajmował się finansami Bridie, a mąż nadzorował jej inwestycje z takim samym wyczuciem i wiedzą jak własne. Srebrny lis z upodobaniem grał na giełdzie i z dumą przechwalał się, że inwestując w złoto, podwoi jej pieniądze.

Podczas gdy ich mężowie zajmowali się biznesowymi sprawami, Bridie i Elaine stały się sobie bliższe niż kiedykolwiek. Były wprost nierozłączne. Bridie, kupując cokolwiek dla siebie, kupowała to samo dla Elaine. Gdy zapraszała gości na lunch, Elaine również przychodziła. A gdy jej mąż był zbyt zmęczony, żeby wyjść wieczorem, rozrywała się w towarzystwie Elaine; chodziły do klubów w piwnicach, piły szampana w tajnych barach i tańczyły, aż wschód słońca zabarwiał rzekę Hudson na złoto.

Bridie nigdy w życiu nie czuła się bardziej bezpieczna. Walter Lockwood był wrażliwym i delikatnym kochankiem, a Bridie bez trudu udało się zagrać niewinną. Dogadzał jej, rozpieszczał ją i czcił, a Bridie rozkoszowała się posiadaniem dystyngowanego, nieustraszonego męża, wprowadzającego ją przez wszystkie drzwi przy Piątej Alei, które uprzednio były przed nią zamknięte. Była teraz sławną panią Lockwood, która z uporem wspinała się na szczyt towarzyskiej drabiny Nowego Jorku.

Walter, zyskawszy żonę, stracił swoje dzieci. Rozsierdzone, że ojciec poślubił dziewczynę, która mogłaby być jego córką, nie chciały z nim nawet rozmawiać. Córki dawały upust wściekłości przed każdym, kto chciał je słuchać, synowie zaś nalegali, by ojciec zapisał im w testamencie cały majątek z pominięciem dzieci, których ewentualnie doczeka się z nową żoną. Gdy Bridie przyciskała ucho do drzwi gabinetu, słyszała oskarżenia, jakie rzucali mu w twarz. Mówili ojcu, że poślubił irlandzką dziwkę, poszukiwaczkę złota, wywłokę, ladacznicę, bezlitosną naciągaczkę, polującą na naiwnych starców. Powtarzali mu, że wykończy go swym nienasyconym pożądaniem i że on umrze przed upływem roku. Błagali, żeby się rozwiódł. Przez wzgląd na pamięć matki, którą bardzo kochał. Albo ona, albo my, szantażowali. Ale Walter zajadłe bronił młodej żony,

oskarżając ich o egoizm i odmawianie mu prawa do szczęścia w jesieni życia. Synowie opuścili dom, a Walter przyglądał się temu ze stwardniałym sercem. Ból, jaki odczuł, zakopał tak głęboko, że sam nie mógł go w sobie odnaleźć. Bridie wyłoniła się z ciemności i objęła go ramionami.

– Kiedyś mnie zaakceptują – zapewniła pocieszająco, całując go w brodę. Ale doskonale wiedziała, że tak się nigdy nie stanie.

Bridie starała się tak zajmować swoim mężem, żeby nigdy nie miał czasu martwić się z powodu swoich dzieci. Wieczorami często wychodzili z wizytami, a zaproszenia ciągle napływały. Gdy narzekał na zmęczenie, śmiała się i całując jego białą brodę, ciągnęła go z powrotem na parkiet, twierdząc, że roznosi ją szczęście i nie usiedzi na miejscu. Gdy zostawali w domu, wślizgiwała się w jego objęcia jak spragniony pieszczoł kotek.

Bridie nigdy nie była tak szczęśliwa. Miała wszystko, czego chciała. Nie kochała swego męża, ale niezmiernie go lubiła. Zapewnił jej życie, którego zawsze pragnęła. To gwiazdy, których często wypatrywała z okien swojego pokoiku w Ballinakelly, sprawiły, że spełniły się jej życzenia. Teraz była kimś, nikt nie mógł patrzeć na nią z góry. Ani Kitty, ani Celia, ani Elspeth, ani Victoria – hrabina Elmrod. Nikt by się nie ośmielił.

Wtem pewnej nocy pod koniec lata, gdy Bridie przytulała swoje nagie ciało do Waltera, jego znużone stare serce poddało się i przestało bić. Bridie utraciła swoje szczęście równie szybko, jak je znalazła. Ostatnie siedem miesięcy życia Walter spędził naprawdę przyjemnie. Ale radość Bridie nieodwołalnie się skończyła.

Patrzyła z przerażeniem, jak twarz jej męża robi się biała, jak jego wargi sinieją. Ręka spoczywająca na jej talii zwiotczała i opadła na materac. Ostatni oddech Waltera był spokojny; nie stawiał oporu, jakby z ulgą wyzionął ducha. Bridie potrząsnęła nim, krzyczała, próbowała wszystkiego, żeby wyrwać go z objęć śmierci. Na próżno. Odszedł, pozostawiając dwudziestopięcioletnią wdowę.

Łkając histerycznie, zadzwoniła po kamerdynera. Dzwoniła, dzwoniła natarczywie, aż przerażony wpadł do ich sypialni. Zastał Bridie w szlafroku, przytuloną do martwego ciała pana Lockwooda. Bridie była zbyt zrozpaczona, żeby dostrzec oskarżycielski wzrok kamerdynera, gdy podnosił rękę jej męża, żeby sprawdzić puls. Ze smutkiem pokręcił głową i poszedł wezwać ambulans. Bridie obserwowała, jak przykrywają ciało męża prześcieradłem, kładą na nosze i wyprowadzają z domu na zawsze. Wraz z nim odeszło jej poczucie bezpieczeństwa, pozycja towarzyska oraz szczęście, którego, jak sądziła, nigdy nie straci ze względu na swoją ogromną fortunę.

Pozostała w sypialni, wyglądając przez okno na pustą ulicę i zastanawiając się, dokąd teraz ma pójść. Bez Waltera nie było tu dla niej miejsca. Jego dzieci na pewno zażądadają zwrotu domu i będzie musiała się wyprowadzić. Ale dokąd? Serce

jej się skurczyło na myśl o ponownym wezwaniu pana Williamsa i poszukiwaniu nowego miejsca do życia. Dzieci Waltera już się o to postarają, by wszystkie drzwi, które otworzyły się przed nią na Piątej Alei, znów się przed nią zatrzasnęły, a ona sama została wyrzucona poza nawias towarzystwa. Ludzie będą patrzeć na nią podejrzliwie. Krótco po jej pojawieniu się u pani Grimsby, starsza pani zmarła. Ledwie poślubiła pana Lockwooda, a jej mąż przeniósł się na tamten świat. Rosetta przyszła, żeby ją pocieszyć, ale ją odesłała. Nie chciała z nikim rozmawiać. Gdy wreszcie poczuła grunt pod nogami, Bóg zdecydował znów pokrzyżować jej życie.

Następnego dnia zadzwoniła do Elaine, żeby przekazać jej tragiczną wiadomość. Elaine była przerażona.

– Już do ciebie jadę – powiedziała, odkładając słuchawkę. Wkrótce przybyła wraz z mężem, żeby pocieszyć przyjaciółkę, jej mąż zaś, żeby porozmawiać z młodą wdową o jej przyszłości.

Pan Williams wypowiedział się jasno, tak jak wtedy, gdy Bridie szczerze oświadczyła mu, że postanowiła znaleźć sobie męża.

– Radzę pani opuścić Nowy Jork – powiedział. – Bliscy pana Lockwooda na pewno postarają się utrudnić pani życie. Znają wszystkich w tym mieście.

– To prawda. I pałają żądzą zemsty.

– Obawiam się, że tak – przyznał prawnik.

– Dokąd mam wyjechać? – spytała Bridie, załamując ręce i spoglądając pustym wzrokiem przez okno. – Nie mam dokąd pójść!

– To wielki kraj, pani Lockwood. Z pani fortuną może pani osiąść, gdziekolwiek zechce.

– Ale ja nikogo nie znam. Pan i Elaine jesteście moimi jedynymi przyjaciółmi na świecie.

– Beaumont ma rację, Bridget – poparła męża Elaine, kiwając głową. – Zrobiłaś to już raz, możesz zrobić znowu. A może Teksas? Tam jest dużo słońca.

– Teksas? Nawet nie wiem, gdzie leży! – Bridie przełknęła łzy.

– Powie mi pani, dokąd chce wyjechać, a ja zajmę się resztą.

– Pomogę ci podjąć decyzję. To będzie nawet zabawne – dodała z zapalem Elaine, rzucając mężowi zatroskane spojrzenie. – Możesz kupić sobie duży dom i zacząć wszystko od początku tam, gdzie nikt cię nie zna.

– Problem polega na tym, że nie chcę wyjechać tam, gdzie nikt mnie nie zna. Nie chcę zaczynać od nowa. Pragnę tego, co znajome, Elaine.

Po wyjściu Williamsów w progu stanęła Rosetta, trzymając w ręku książkę.

– O co chodzi, Rosetto? – spytała Bridie.

– Pomyślałam, że może ci się przyda. – Podała Bridie stary tomik wierszy Yeatsa.

Bridie wzięła książkę i spojrzała na nią ze smutkiem.

– Dziękuję, Rosetto – powiedziała cicho. – Masz całkowitą rację.

Rzeczywiście jej potrzebuję. – Zwinęła się na sofie obok kominka w najpiękniejszym pokoju w domu i otworzyła książkę na pierwszej stronie. Powoli zaczęła czytać:

*Jestem z irlandzkiej ziemi,
Ze świętej irlandzkiej ziemi,
A czas biegnie, zawołała.
Bądź tak łaskaw,
I zatańcz ze mną w Irlandii.*

Bridie wpatrywała się w te słowa, aż zlały się w jedną ciemną plamę. Zrozumiała, dokąd musi pojechać. Wiedziała, co ma zrobić. Wyjazd do innej części tego kraju nie miał sensu, ponieważ przeszłość, zamknięta w sekretnych komnatach jej serca, zawsze będzie jej towarzyszyć. Gdziekolwiek się uda, pojedzie za nią, a w momentach zadumy, gdy ośmieli się zajrzeć w głąb swej duszy, zobaczy dziecko, które oddała, a które było i zawsze będzie jej częścią. Była teraz bogata i mogła dać mu lepszy dom, niż ona kiedykolwiek miała. Zapewni mu doskonałą edukację i przyszłość w swoim rodzinnym kraju; głośno mogła się wypierać Irlandii, ale tę piękną ziemię miała we krwi i ta ziemia wraz z każdym uderzeniem jej serca wzywała ją do powrotu.

Bridie uczestniczyła w pogrzebie męża ukryta pod czarnym welonem. Nie patrzyła w oczy jego dzieciom, ale czuła na sobie ich niechętne spojrzenia, jak małe noże brutalnie wbijające się w jej skórę. Przyjaciele Waltera, którzy nadskakiwali jej, gdy była jego żoną, teraz odwrócili się do niej plecami, ignorując ją. Bridie czuła się izolowana i samotna bardziej niż kiedykolwiek.

Po zakończeniu ceremonii na zawsze opuściła dom przy Piątej Alei. Jej bagaże były już w drodze do hotelu Shelbourne w Dublinie. Mocno uściskała Elaine, podziękowała panu Williamsowi za rady i przyjaźń, a potem wraz z towarzyszącą jej Rosettą zaokrętowała się na statek płynący do Irlandii.

Bridie przybyła do Ameryki jako naiwna i biedna dziewczyna. Wyjeżdżała stąd jako doświadczona i zamożna kobieta. Na myśl o ponownym zobaczeniu ojczyzny odczuwała dreszczyk emocji. Wracała po dziecko, które do niej należało. Na pewno Bóg jej pomoże je odzyskać.

11 W.B. Yeats, *Skradzione dziecko*, w tłumaczeniu Barbary Dziedzic.

12 Powieść Nathaniela Hawthorne'a z 1850 r.

Rozdział 34

Londyn, Anglia, 1925

Kiedy Celia dowiedziała się, że Kitty i Robert przeprowadzili się do Irlandii, była zdruzgotana. Wściekła, że kuzynka nic jej o tym nie powiedziała, poskarżyła się Harry'emu i Boysiemu, którzy nadal dużo czasu spędzali razem, mimo że obaj byli już żonaci.

– Czy ona w ogóle nie szanuje naszej przyjaźni, że podejmuje taką decyzję beze mnie? – narzekała nad kieliszkiem wina. – Bez niej nasze lunche nie są już takie same. – Rzeczywiście, ich czteroosobowy stół w hotelu Claridge był boleśnie niekompletny.

– Wyobrażam sobie, że nikomu nie powiedziała, bo nie chciała zwiększać szansy, by dowiedziała się o tym najmniej pożądana osoba – rzekł Boysie.

– Mama. – Harry zaciągnął się papierosem. – Mama gardzi teraz Irlandią, ponieważ moje dziedzictwo zniknęło.

– Wcale nie zniknęło – zaprotestowała Celia. – Teraz to rzeczywiście rumowisko, ale każde rumowisko można odbudować.

– Któż ma na to pieniądze? – spytał Harry.

– Twoja nudna żona. – Zaśmiał się Boysie, puszczając oko do Celi.

– Twoja jest jeszcze nudniejsza – odciął się Harry ze śmiechem. – Trzeba przyznać, że obaj ożeniliśmy się z najbardziej mdłymi dziewczynami w Londynie.

– Twoja przynajmniej ma pieniądze. Myślę, że jej ojciec bez problemów mógłby odbudować zamek – powiedział Boysie.

Harry się skrzywił.

– Wiesz, że ja nie chcę mieszkać w Irlandii. Moje dziedzictwo było dla mnie kulą u nogi. Nigdy nie byłem tam szczęśliwy – powiedział, zapominając o Josephie. – Moje życie jest teraz w Anglii.

– Co się stanie z zamkiem? Przeżyłam tam najszcześniejsze chwile – wtrąciła Celia. Drobnymi łykami popijała wino, ale nagle poczuła zapach pomidorów ze szklarni Castle Deverill.

– Mama chce nakłonić ojca, żeby go sprzedał.

Celia była wstrząśnięta.

– Nie sprzedaje się rodzinnego domu, nawet jeśli nie chce się w nim mieszkać! To twoje dziedzictwo. Spuścizna Deverillów. Od dzieciństwa chwaliłam się naszym irlandzkim zamkiem! Czy będę się mogła nim chwalić, gdy przejdzie

w obce ręce?

– Kochanie, to już przeszłość. Irlandia jest dla nas przeszłością. Należy teraz do Irlandczyków i Anglo-Irlandczycy nie mają interesu, żeby tam przebywać. W końcu kupi go jakiś Irlandczyk, mający więcej pieniędzy niż rozumu.

– Niewielu z nich ma pieniądze, nieprawdaż? – zauważyła Celia.

– Na pewno niewielu ma rozum – dodał złośliwie Boysie. – Z tego, co wiem, nadal wzajemnie się zabijają.

Celia z rozpaczą wyrzuciła ręce do góry.

– Nie mogą go sprzedać. Twoja babcia tego nie przeżyje!

– I tak umrze. Mama twierdzi, że z rozpaczy postradała rozum. A gdy tylko zamknie oczy, mama pojedzie do Irlandii, żeby przekonać ojca, że potrzebują odpowiedniego domu w Anglii. Nie może stale mieszkać u Victorii.

Boysie uniósł brwi.

– Rzeczywiście bardzo niebezpieczna sytuacja. Nie wiem, kto pierwszy oszaleje: Victoria czy twoja matka. Obydwie są siebie warte. – Boysie pstryknął palcami na kelnera i zamówił kolejną butelkę wina.

– Zanim go sprzedadzą, pojedźmy do Irlandii i spędźmy tam ostatnie lato! – zasugerowała podekscytowana Celia. – Och, tak, pojedźmy! Będziemy się świetnie bawić. Poszperamy trochę w rumowisku. Bóg jeden wie, co tam można znaleźć. Zatrzymamy się u Kitty. Musicie zabierać żony? Możecie je przekonać, że to rodzinny zjazd. Niech lepiej zostaną w domu. Albo się postarajcie, żeby szybciej zaszły w ciążę. Nie wytrzymam z nimi przez całe lato!

Harry spojrział na Boysie’go przez welon dymu.

– Co na to powiesz, stary?

Boysie wzruszył ramionami.

– To wcale nie wykluczone. – Podeszedł kelner i napełnił ich kieliszki. – A ty możesz zostawić Archiego?

– Oczywiście! – Celia się nawet nie zawahała. – Od dwunastego sierpnia znika w Szkocji, żeby tam strzelać, polować, łowić ryby i Bóg raczy wiedzieć, co jeszcze. Doskonale wiecie, co ja myślę o Szkocji. Skoro on może mieć swoje przyjemności, mnie wolno mieć swoje. Och, zróbmy to. Harry, powiesz Charlotte, że musisz jechać do domu, żeby omówić sprawy rodzinne, które jej nie dotyczą. A ty, Boysie, powiedz Deirdre, co chcesz, byleś tylko przyjechał sam. Jesteś genialny, na pewno coś wymyślisz.

We trójkę unieśli kieliszki.

– Za nasze ostatnie lato!

*

Celia musiała wysłać list do Kitty, ponieważ w Dunderry Castle nie zainstalowano jeszcze linii telefonicznej. Po tamtym incydencie na targu Kitty nie

opuszczała domu z obawy przed ponownym spotkaniem z Michaeliem Doyle'em. Okłamała Roberta, przekonując, że nagle odwróciła się i potknęła, ponieważ doznała niespodziewanego ataku klaustrofobii. Odwiózł ją do domu, a potem wrócił na targ z Peterem, który znał się na koniach lepiej od niego, i wybrali wspaniałą siwą klacz. Kitty była nią zachwycona, poza tym cieszyła się, że nie musi wracać do Ballinakelly.

Gdy otrzymała list od Celi, humor jej się zdecydowanie poprawił. Pospieszyła do pokoju dziecięcego, gdzie Elspeth bawiła się z dziećmi, i oznajmiła, że w sierpniu przyjeżdżają Celia, Harry i Boysie.

– Nie mogę się wprost doczekać! – wykrzyknęła uszczęśliwiona. – Pomyśleć, że znów wszyscy będziemy razem. Jak za dawnych lat.

– Tylko nie ma już zamku – skwitowała smutno Elspeth.

– To bez znaczenia. Ważne, że wszyscy się spotkamy. – Nagle pomyślała o Bridie i poczuła lekkie drgnienie w sercu. – No cóż, prawie wszyscy. Ale mniejsza z tym, przyjedzie Celia, Harry i Boysie. Możemy urządzać pikniki na plaży, brodzić w morzu, jeździć po wzgórzach i robić wszystko to, co kiedyś. – Usiadła na podłodze i objęła małego Jacka. Chłopczyk bawił się kolejką. – Muszę pokazać Jackowi, jak znaleźć świetlne duszki. – Pocałowała go w pulchne policzki. – Ciekawe, czy on ma ten dar.

Elspeth przewróciła oczami.

– Ty i ta twoja wybujała wyobraźnia – powiedziała. Ale Kitty przesuwiała palcami po rudych włosach chłopca i poważnie się nad tym zastanawiała.

W połowie marca White House był gotów. Kitty, przeprowadziwszy się tam z Robertem i małym Jackiem, zabrała się do tworzenia domowego ogniska. Odwiesiła suknie do szafy i ubrana w spodnie, z zakasanyimi rękawami, kopała w ogrodzie i obsiewała grządki warzywne i rabaty kwiatowe. Stryj Rupert zatrudniał pracowników, którzy utrzymywali piękny ogród z widokiem na morze, ale Roberta nie stać było na wydatki i usługi ekstra, Kitty więc zajmowała się ogrodem sama, zresztą z wielką przyjemnością. Lubiła brudzić sobie ręce i patrzeć na Jacka przetrząsającego świeżo skopaną ziemię w poszukiwaniu dżdżownic i ślimaków. Spędzali we dwójkę wiele godzin, obserwując ptaki, które wily sobie gniazda w krzakach głogu, oraz króliki skubiące świeże zielone pędy. Jack szczególnie kochał kwiaty; Kitty zastanawiała się, czy dostrzega nad nimi małe tańczące światełka. Nie potrafiła powiedzieć, czy wyczuwa obecność tych szczęśliwych duszków czy to pszczoły i motyle przykuwają jego uwagę.

Chociaż Kitty była pochłonięta urządzeniem domu, myślami stale była blisko Jacka O'Leary'ego. Jego twarz jawiła jej się przed oczami zarówno we wspomnieniach, jak i fantazjach, ale zamiast je zwalczać, wcale ich nie powstrzymywała. Mieszkać w Irlandii i nie myśleć o Jacku, który był dla niej częścią tego świata? Nie, to nie było możliwe. Jack to Irlandia, Irlandia to Jack,

jedno bez drugiego wydawało się niekompletne. Tłumienie uczuć na nic się zdawało, ponieważ kochała go tak samo, jak kochała miękką mżawkę, urwiste wzgórze, białe plaże i burzliwe morze: całą sobą.

Widok Michaela Doyle'a otworzył ciemną skrytkę w jej pamięci, którą dawno zapieczętowała, i teraz, gdy wyłonił się na powierzchnię z tą swoją groźną twarzą i całą złowieszczą obecnością, straciła kontrolę nad własnymi myślami. Uderzyła ją mroczna aura otaczająca go na targu, jakby był złym duchem, który znalazł się w pułapce na granicy zaświatów, jak nieszczęsny Egerton Deverill. Ale wiedziała przecież, że był jak najbardziej żywy, i myśl, że znów może go spotkać, napełniała ją grozą. Pragnęła się uporać z tym przerażeniem. Już tyle przeszkód w życiu pokonała. Ale okrucieństwo i złośliwości panny Grieve były niczym w porównaniu do przemocy, jakiej zaznała tamtego dnia na farmie. Michael Doyle nadal mieszkał w Ballinakelly i świadomość tego psuła jej radość z powrotu do domu.

Nie minęło wiele czasu, a jej obawy zaczęły się materializować. Najpierw myślała, że ma jakieś zwidy, widząc cienie i grę światła w odległych krzakach; zdawało jej się, że Michael tam się kryje i ją obserwuje. Uciekła do domu, a potem badawczo się przyglądała, schowana za zasłoną okna w sypialni. W nocy, gdy leżała w łóżku, wsłuchana w wiatr uderzający o szyby, miała wrażenie, że Michael Doyle wspina się po ścianie, żeby wkraść się przez okno i znowu ją zgwałcić. Nabrała zwyczaju codziennego sypiania z Robertem, ponieważ tylko wtulona w niego, odzyskiwała poczucie bezpieczeństwa. Gdy pracowała w ogrodzie, prosiła Hetty, żeby z nią zostawała, a gdy dziewczyna wchodziła do domu, żeby dać małemu Jackowi lunch, kopała zapamiętałe, ze wzrokiem wbitym w ziemię, aż pot występował jej na czoło, przekonując sama siebie, że jest niemądra – Michael Doyle nigdy nie ośmielił się tu przyjść.

Ale Michael Doyle śmiał. Pewnego poranka podszedł do drzwi i zadzwonił. Kitty schowała się, powiedziawszy Bridgemanowi, żeby go odesłał. Jeśli miał w sobie tyle tupetu, żeby stanąć na jej progu, do czego jeszcze może się posunąć? W panice posłała do Ballinakelly stajennego z wiadomością dla Jacka. Musi natychmiast do niej przyjechać pod pretekstem wizyty u chorego konia. Potrzebowała jego pomocy, potrzebowała jej teraz.

W niecierpliwym oczekiwaniu chodziła po ogrodzie, załamując ręce. W końcu na podjazd wtoczył się mały samochód Jacka. Wybiegła mu na spotkanie przez trawnik. Wsiadł z wozu i zdjął czapkę.

– Dzień dobry, pani Trench – powiedział, przesuwał wzrokiem po domu, żeby sprawdzić, czy są obserwowani.

– Dziękuję, że pan przyjechał, panie O'Leary. Klacz jest w stajni. Pójdę z panem. – Kitty wsunęła ręce do kieszeni, żeby nie zauważył, jak bardzo jej się trzęsą. – Ładna dzisiaj pogoda, prawda? – powiedziała słabym głosem.

– Rzeczywiście wspaniała – odparł.

Podeszli do stajni, gdzie chłopak, który pojechał na rowerze z listem do Ballinakelly, teraz zajęty był zmiotaniem.

– Seamus, byłbyś tak miły i wywiózł taczkę? Stoi w ogrodzie, pełna chwastów. Wszystko można spalić w ognisku na polu. A ja tymczasem pokażę panu O’Leary’emu klacz. – Chłopiec skinął głową, odstawił szczotkę i pospiesznie odszedł.

Kitty otworzyła szerokie drzwi do stajni; weszli do środka, gdzie na słomie stała klacz, ciesząca się znakomitym zdrowiem. Jack poklepał ją po szyi i spojrzał na Kitty.

– Co to za niecierpiąca zwłoki sprawa?

– Chodzi o Michaela. On mnie prześladowuje – szepnęła, przykładając rękę do serca, aby uspokoić jego bicie. – Boję się, Jack.

– Dlaczego masz się bać Michaela? – spytał, marszcząc brwi.

– To on spalił zamek.

Jack, niezaskoczony tym wcale, skinął głową.

– Tak podejrzewałem.

– Spalił zamek i zastawił na ciebie pułapkę, żeby Brytyjczycy złapali cię na gorącym uczynku.

Jack przestał poklepywać konia.

– Co ty mówisz, Kitty?

– Mówię prawdę.

– Skąd to wiesz?

– Sam mi powiedział.

– Kiedy?

– Tamtego ranka po pożarze pojechałam do niego na farmę. Wiedziałam, że to był on. Pojechałam stawić mu czoła...

– I powiedział ci, że mnie zdradził?

– Tak. Powiedział, że podpalił zamek i zdradził ciebie.

– Ale dlaczego? Walczyliśmy po tej samej stronie.

– Z mojego powodu. – Jej oczy załśniły w ciemnej stajni. – Nie chciał, żebyś ty mnie miał... – Koń parsknął ze zniecierpliwieniem i szturchnął Jacka nosem, żeby przyciągnąć jego uwagę. Jack bezwiednie położył dłoń na pysku klaczy. – Powiedziałabym ci, ale zostałeś aresztowany, a gdy w końcu się spotkaliśmy, nie wiedziałam, od czego zacząć.

– Teraz możesz zacząć. – Głos miał twardy, patrzył na nią uważnie. – Od początku.

Kitty wzięła głęboki oddech.

– Bridie jest matką małego Jacka.

Jack zachwiał się na nogach.

– Jezu!

– Mój ojciec z nią sypiał. – Przełknęła ślinę. – Michael twierdzi, że ją zgwałcił. – Energicznie pokręciła głową. – Ale ja nie mogę w to uwierzyć. Nie uwierzę. Nie wierzę, że mój ojciec byłby zdolny do takiego rodzaju... przemocy. – Twardo i zdecydowanie wypowiedziała ostatnie słowo i potarła ręką po karku. – A więc Michael z zemsty spalił zamek.

– Jezu! – Jack znowu jęknął. – A skąd dziecko wzięło się u ciebie?

– Bridie w jakiś sposób musiała mi je podrzucić, zanim wyjechała do Ameryki. Dlatego ojciec nie chce mnie wpuścić do domu. Wie, że Jack jest jego synem, i ze wstydu nie może na niego patrzeć. – Znowu zaczerpnęła oddechu, przypominając sobie tamten poranek na farmie Doyle'ów. – Michael powiedział mi, że gdy wszyscy policjanci byli zajęci pożarem na zamku, ty kradłeś broń i zawoziłeś ją do kryjówki. Ale wyraził się jasno, że w jego zamiarach nie leżało, żebyś tam dotarł.

Jack gwałtownie objął Kitty i mocno ją przytulił.

– Michael nie zdradził mnie dlatego, że byłem zakochany w protestantce, ale dlatego, że chciał cię dla siebie. Cholerny sukinsyn!

– On mnie obserwuje, Jack. Boję się, że zrobi mi krzywdę.

– Nie pozwolę mu cię skrzywdzić, Kitty.

Zamknęła oczy, wyciskając łzę na policzek. Jakże pragnęła mu powiedzieć, że już to zrobił.

*

Jack zaczął się w rowie na Michaela Doyle'a. Niebo było usiane gwiazdami, ale złowieszczy wiatr szybko przesunął w głąb łądu ciężkie chmury znad oceanu. Jack wzmocnił się whisky, która trochę stępiła ostrze jego gniewu. Może dzięki niej nie zachowa się jak szaleniec. Ale serce miał ciężkie jak kamień. Przez Michaela Doyle'a zamknęli go do więzienia. Przez Michaela Doyle'a zostało zniweczone jego marzenie o rozpoczęciu z Kitty nowego życia w Ameryce. Przez Michaela Doyle'a dziewczyna, którą kochał, została zmuszona do opuszczenia domu i przeprowadzki do Londynu. Wściekłość cicho buzowała mu w brzuchu, gdy czekał na dawnego towarzysza walki.

Upiorne pohukiwanie sowy przyniósł wiatr z odległego lasu, gdzie ostatnimi czasy często rozlegał się głośny lament Banshee. Olbrzymie morskie fale rozbijały się z trzaskiem o skały. Krowy pomimo porywistego wiatru drzemały na pastwiskach, tylko raz po raz któraś zamuczała. Jack usłyszał szelesty małych zwierząt we wrzosach, a potem kroki na drodze, gdy Michael włókł się do domu z pubu.

Droga prowadząca z Ballinakelly na farmę Doyle'ów była odludna. Wiła się wśród skalistych wzgórz, łagodnymi meandrami jak strumień oświetlony miękkim

światłem księżyca. Kroki robiły się coraz głośniejsze, chrzęściły na żwirze i kamieniach. W końcu na tle antracytowego nieba pokazała się czarna, potężna sylwetka mężczyzny. Jack wstał i wyszedł na środek drogi. Michael się wzdrygnął. Zbyt dobrze znał historię tutejszych napadów, żeby się nie wystraszyć.

– Jack O’Leary! – powiedział głosem, który zdradzał ulgę oraz nadużycie alkoholu. – A myślałem, że to jakaś dziwka! Co ty tu robisz?

– Przyjechałem się z tobą zobaczyć.

Michael zachwiał się jak maszt na statku.

– Czemu zawdzięczam tę przyjemność? – bełkotał, jakby wypowiedane słowa nie mieściły mu się w ustach.

Dwaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem – dwaj mężczyźni, którzy kiedyś walczyli po jednej stronie barykady jak bracia.

– Czy to ty podpaliłeś Castle Deverill? – Wiatr na moment rozdarł chmury i oświetlone światłem księżyca oczy Jacka zalśniły jak stal.

– A nawet jeśli, to co z tego? Zamek był symbolem brytyjskiego panowania. Wiesz o tym. Musiał zniknąć. – Roześmiał się dziko. – Czy dlatego przesiedziałeś całą noc w rowie, żeby zadać mi to pytanie, Jacku O’Leary?

– Nie zrobiłeś tego dlatego, że należał do Anglików. Zrobiłeś to, żeby pomścić swoją siostrę. Nie okłamuj mnie! – Michael skrzywił się, ale nic nie powiedział. – Zastawiłeś na mnie pułapkę, czy tak? Chciałeś się mnie pozbyć!

– Kto ci to, u diabła, nakładł w głowę? Zastanów się chwilę, O’Leary! Dlaczego miałbym chcieć stracić dobrego żołnierza? – Mocno zamrugał, starając się oprzytomnieć i skupić.

– Ponieważ miałem kobietę, której ty nie mogłeś mieć!

– Myślisz, że wysłałbym cię na śmierć z powodu kobiety? Jezu, miałeś za dużo czasu na rozmyślanie!

– Widać nie dość rozmyślałem. Nigdy bym nie pomyślał, że jesteś takim łajdakiem!

– Nasłuchałeś się babskich plotek – burknął.

Gdy Michael wykrzywił usta, Jack zdał sobie sprawę, jaki był naiwny.

– Doniosłeś brunatnym, że będę na stacji, prawda? – powiedział i nagle prawda eksplodowała w jego umyśle z zadziwiającą wyrazistością. – Dlatego ciebie zwolniono, podczas gdy mnie wtrącono do więzienia. Nakaz aresztowania wydano dla nas obu, ale tobie udało się wyjść z tego cało. Ty draniu! Powinienem był się tego domyślić, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że tak nisko upadniesz.

– Oszalałeś, Jack. Wracaj do domu i odpocznij! – Michael ruszył do przodu, ale Jack zagroził mu drogę.

– Czemu węszysz wokół domu Kitty Deverill? – rzucił ostro. – Jaki masz tam interes?

– A ty czemu pytasz?

- Bo pytam.
- Ona wychowuje mojego siostrzeńca. Może o tym nie wiedziałeś?
- Zostaw dzieciaka w spokoju.

Michael uśmiechnął się szeroko, jego zęby zajaśniały bielą na tle atramentowej twarzy.

- Wysłała cię jak psa, żebyś mnie odpędził?
- Nie waż się jej dotknąć! Ani chłopca! Słyszysz? – Jack podniósł głos, przekrzykując wiatr. – Zostaw ich w spokoju.

– Kiedy zrobiłeś się taki miękki? Walka się nie skończyła. Ale ty się sprzedałeś, prawda, Jacku O’Leary?! Był taki czas, gdy dałbyś się pokroić za wolną i niepodległą Irlandię, ale teraz marzy ci się osiąść w domowym ciepłku z tą dziwką...

Pięść Jacka wylądowała na podbródku Michaela, zanim ten zdążył skończyć zdanie. Michael odskoczył, przykładając rękę do twarzy i smakując krew na języku.

- Jezu! Co w ciebie wstąpiło?
- Jack cały się trząsał. Podniósł znów pięść do góry.
- Jeszcze raz nazwiesz ją dziwką, a cię zabiję.

Ale wyglądało na to, że Michael Doyle świetnie się bawi, a alkohol jeszcze bardziej go nakręcał.

– Sama się o to prosiła. Przyjechała do mnie. Z własnej woli. Nie pytałem jej po co, ale dałem to, czego chciała. – Zmrużył oczy, uśmiechnął się szyderczo. – Rzuciłem ją na stół i przeleciałem jak dziwkę. Powiedziała ci o tym?

Jack był oszołomiony. Zawahał się z ręką uniesioną w powietrzu, próbując zrozumieć słowa Michaela, a przez to zareagował z opóźnieniem. Pięść Michaela wymierzyła mu cios w żołądek, zanim sam zdążył zaatakować. Zgiął się wpół i dyszał, z trudem łapiąc oddech.

– Nie stanąłeś na wysokości zadania jako mężczyzna, Jack. Zostawiłeś to mnie, żebym jej pokazał, do czego jest zdolny prawdziwy facet. – Michael dołożył mu kolanem w żebra i Jack z jękiem padł na ziemię. – Nie próbuj mnie straszyć! – wrzasnął. – Już nie jesteśmy po tej samej stronie. Jesteś za wielkim tchórzem, żeby kontynuować walkę. Michael Collins zdradził nas dla własnej korzyści, a ty go w tym poparłeś, zadowolony, że to już koniec! Ale popatrz, co mu się przytrafiło. Zginął na drodze do Béal na Bláth. Wojna jeszcze się nie skończyła. A ty jesteś w obozie przegrywających.

Michael zamachnął się nogą i kopał swą ofiarę w nerki. Ale palce Jacka natrafiły na kamień i kurczowo się wokół niego zacisnęły. Wściekłość stępiła ból w jego żebrach. Mógł tylko myśleć o ukochanej Kitty, rzuconej na stół i gwałconej przez tego drania. Podniósł kamień i cisnął w Michaela w nadziei, że gdzieś go trafi, a sam zyska na czasie. Stało się coś więcej. Kamień trafił Michaela w skroń.

Michael padł do tyłu na trawę jak pokonany olbrzym z bajki.

Jack z trudem wstał, obejmując obolały brzuch. Chmury znów się rozdarły i srebrne oko księżycy spojrzało na Michaela Doyle'a trzymającego się za zranioną głowę.

– Jezu, Jezu! – krzyczał, wijąc się z bólu.

Rozwścieczony Jack miał ochotę go zabić. Skopać na śmierć. Ale Michael był pijany i tak bezradny, gdy trzęsącą się ręką dotykał rany, że Jackowi zmiękło serce.

– Nawet nie próbuj zbliżyć się do Kitty, rozumiesz? – warknął. – Bo dokończę to, co zacząłem, i diabeł zabierze twoją duszę.

*

Następnego poranka, gdy Kitty jadła śniadanie, rozległo się pukanie do drzwi. Chwilę później pojawił się Bridgeman.

– Przyszedł pan O'Leary i chce się zobaczyć z panią Trench – zakomunikował.

Robert zmarszczył brwi, patrząc na Kitty.

– Czy to ten weterynarz?

– Tak – odparła spokojnie Kitty.

– Wzywałaś go?

– Nie.

– Aha. – Robert uniósł brwi. – Dziwni ludzie, ci Irlandczycy.

Kitty się uśmiechnęła.

– Kochanie, to nie było miłe z twojej strony. Pójdę i dowiem się, czego chce.

Kitty pospiesznie wyszła do holu. Gdy zobaczyła Jacka z podbitym okiem oraz rozciętymi i spuchniętymi wargami, zrobiło jej się zimno na sercu.

– Dzień dobry, pani Trench. – Zdjął czapkę.

Kitty wpatrywała się w niego z przerażeniem. Oczami wyobraźni widziała pannę Grieve leżącą martwą na żwirze. Czy już tego nie przerabiali?

– Co się stało? – wyszeptwała.

– Michael Doyle już nie będzie ci się naprzykrzał – rzekł stanowczo. – Zabiłbym go, gdyby nie był tak pijany.

Kitty raptownie wciągnęła powietrze i przytrzymała się ręką futryny.

– Sądzę, że powinien pan na nią zerknąć, panie O'Leary – powiedziała głośno, po czym minęła Jacka i skierowała się w stronę stajni. Nie odzywała się, dopóki nie byli sami. Po raz kolejny tylko klacz została wtajemniczona w ich rozmowę.

– Och, Jack, co się stało? – spytała, patrząc na jego zmasakrowaną twarz.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, Kitty? – wydusił. Okropny ból malujący się w jego oczach świadczył, że już wie, co jej zrobił Michael Doyle. – Dlaczego

nie...?

– Nie mogłam – wyszeptała.

– To nie jest coś, co można samemu udźwignąć, Kitty. Zbyt wielki ciężar dla jednej osoby. – Położył dłoń na jej ramieniu. – Pomógłbym ci to udźwignąć.

– Wstydziałam się.

– Czego? Nie masz czego się wstydzić. To nie twoja wina.

Policzki Kitty zapłonęły.

– Pojechałam tam, Jack! Pojechałam z własnej woli. Chciałam zwymyślać go za podpalenie zamku. Och, co ja sobie wyobrażałam?

Ujął jej przerażoną twarz w dłonie i spojrzał w oczy.

– Jesteś odważną dziewczyną, Kitty Deverill. Ale odwaga nie jest zbrodnią.

On nie miał prawa cię tknąć. Najmniejszego prawa! Niech smaży się w piekle! – Delikatnie kciukami wytarł jej łzy i przycisnął usta do jej czoła. – Pozwól mi nieść to za ciebie, moja kochana. Zrzuć to z siebie.

Kitty rozplakała się głośno, wtulając twarz w jego marynarkę.

– Nie mogę bez ciebie żyć, Jack – powiedziała, dziwiąc się, że kiedykolwiek mogła pomyśleć, że to możliwe. – I nie chcę.

Rozdział 35

Kitty galopowała przez wzgórza. Niebo mieniło się wszystkimi odcieniami indygo i złota, ponieważ słońce wolno zmierzało w stronę horyzontu, aby zaświecić po drugiej stronie świata. Morze przypominało posłanie z fioletowej satyny, piana wyglądała jak koronki, a szmerzące fale delikatnie opadały i wznosiły się, muskane czułą pieśczołą wiatru. Dom Jacka stał na odludziu, na końcu gruntowej drogi, w otoczeniu pastwisk i piaszczystej zatoczki wychodzącej na morze. Jack na nią czekał, gotowy zabrać konia do stajni, by go napić. Chwycił Kitty w ramiona i pocałował. Jego twarz promieniowała radością. Głębokie zmarszczki wygładziły się, oczy nie były już wrotami bólu, a usta układały się w miękka zachwycającą linię, tak jak kiedyś, zanim Michael Doyle odebrał mu wszystko, co kochał.

Trzymając Kitty za rękę, zaprowadził ją do domu. W saloniku palił się ogień, pachniało dymem torfowym, zakurzonymi książkami i upieczonym chlebem. Gdy odwrócił się z szerokim uśmiechem, wyglądał jak ten sam chłopak, którego znała przed laty – z sokołem, psem i miłością do wszystkich żyjących stworzeń, nawet pajaków i szcurów, których tak się bała Bridie. Po przetartym ze starości chodniku podszedł do schodów i zaczął się na nie wspinać. Żadne z nich nie powiedziało ani słowa, gdy szli na górę. W tej ciszy było coś magicznego, nikt nie chciał jej zakłócić.

Zaprowadził ją do sypialni. Nie było tu wiele sprzętów: duże łóżko, prosta komoda, szafa, stojące lustro i półka na książki. Okno było otwarte, firanki powiewały na wietrze, niosącym świeży wczesnowiosenny zapach ziemi. Jego oczy powiedziały jej, że czekał na to od lat, że jego miłość jest bezgraniczna i bezwarunkowa. Upewniły ją, że w ten sposób zaleczy rany przeszłości i wspomnienie Michaela Doyle'a zamieni w popiół.

Wsunął dłonie pod jej włosy, objął dłońmi szyję i kciukami pieścił policzki, nadal rozgrzane po jeździe. Wpatrywał się w jej twarz, delektując się każdym najdrobniejszym szczegółem. Nie musieli się spieszyć. Mieli czas. W tym odludnym domu byli sami na świecie. Jack pochylił głowę i w tym pocałunku zawarł całą swoją tęsknotę, wszystkie marzenia i młodzieńcze fantazje. Kitty przesunęła dłońmi po jego koszuli i czując przyjemne ciepło, zamknęła oczy. Nie bała się. W ramionach Jacka była bezpieczna. W znajomych objęciach mogła wymazać całe zło, które wydarzyło się w przeszłości.

Wyciągnęła mu koszulę ze spodni i ją rozpięła. Czubkami palców przesuwiała po jego żebrach, po siniakach, które przebarwiły się już na

żółtobrązowo, a potem po całej klatce piersiowej. W przeciwieństwie do Roberta Jack był owłosiony i muskularny, miał ciało mężczyzny, którego nie stać na opłacanie innych, żeby za niego fizycznie pracowali. Dla Kitty było to ogromnie podniecające; przytknęła ucho do jego piersi, żeby posłuchać bicia serca i wdychać zapach, który tak dobrze знаła.

Jack zdjął jej bluzkę przez głowę. Stała w koszulce i bryczesach; blady kolor jej skóry ostro kontrastował z ogniste rudymi włosami, które opadały jej na ramiona obfitą miękką falą. Nie mógł się oprzeć, zatopił twarz w jej szyi i tam ją pocałował. Wrażenie, jakiego doznała pod dotykiem jego ostrego zarostu i warg, było tak oszalamiające, że Kitty oderwała się od niego i przysiadła na łóżku, żeby szybciej uwolnić się od długich butów i bryczesów. Obydwoje czuli przemożny impuls, by jak najszybciej mocno się spleść ramionami, tak żeby nic nie mogło ich rozdzielić. Kitty nie miała żadnych zahamowań, znała Jacka i kochała od tak dawna, jak obydwójce sięgali pamięcią.

Stanął w nogach łóżka i rozpiął spodnie. Gdy pochylał się nad nią, brązowe włosy opadły mu na czoło, a Kitty przemknęło wspomnienie, jak pomagała mu łapać żaby w strumieniu. Nadal był to ten sam Jack, choć czas i doświadczenia pogłębiły zmarszczki wokół jego ust i oczu oraz pozbawiły cerę młodzieńczego blasku. Serce pęczyło jej z wdzięczności, że Bóg postanowił zachować go przy życiu, chociaż wystawił go na tak ciężkie próby.

Gdy w końcu Jack położył się obok niej, doznała wrażenia, jakby czas się cofnął i nie przeżyli tak długiej rozłąki. Przesuwał dłońmi po miękkich krągłościach jej ciała, jakby był pierwszym mężczyzną w jej życiu, a ona rozkoszowała się tą pieśczęcią, jakby jej zaufanie do dotyku mężczyzny nigdy nie zostało zachwiane. Gdy Jack kochał się z nią, odkryła, że akt, który stał się u niej powodem tak wielkiej traumy, mógł być manifestacją głębokiego i trwałego oddania się sobie dwojga ludzi.

*

Powieść Roberta została opublikowana na początku maja. Kitty przeczytała ją pierwsza. Leżąc na kocu w ogrodzie, w otoczeniu kwiatów i krzewów, które sama zasadziła, wdychała słodkie wiosenne powietrze i pochłaniała powieść o miłości, którą Robert najwyraźniej jej dedykował. Była to piękna opowieść i Kitty nie mogła się od niej oderwać. Robert pisał płynnym, lirycznym stylem, a fabuła była bardzo wciągająca. Od czasu do czasu Kitty głośno się śmiała, co było o tyle niezwykle, że Robert w osobistym kontakcie nie przejawiał wybujałego poczucia humoru. Była dumna ze swojego męża. Chociaż niewiele mu zapłacono, miała nadzieję, że książka dobrze się sprzeda, co będzie dla Roberta zachętą do napisania następnej. Sprzedali dom w Londynie, na zawsze porzucając Anglię. Swoją przyszłość Kitty widziała tylko w Irlandii. Tu było jej miejsce. Tu była

szczęśliwa i tu mogła być blisko Jacka.

Wiosna przeszła w lato. Mały Jack rósł jak na drożdżach. Uwielbiał zwiedzać plaże, bawić się z psami, które Robert kupił, gdy oszczeniła się suka Petera, i bawić się z kuzynami. Kitty nie nalegała na spotkanie z ojcem. Odwiedzała babcię oraz Krzaczkę, spędzała czas z siostrą i Grace, a gdy tylko mogła się wymknąć bez wzbudzania podejrzeń, spotykała się z Jackiem. Tak długo, jak ojciec nie życzył sobie jej widzieć, nie zamierzała mu się narzucać. Była zbyt zajęta rozmyślaniami o Jacku, żeby się tym przejmować.

W sierpniu przyjechali Celia, Harry i Boysie, szczęśliwi, podnieceni, roześmiani i żądni rozrywek. Kitty organizowała pikniki, przejażdżki po wzgórzach, wycieczki do Cork, lunche i kolacje z sąsiadami, podczas których Boysie bawił gości grą na pianinie, a Celia wyciągała wszystkich na parkiet, by potańczyć. Nikt nie cieszył się bardziej z pobytu w Ballinakelly niż Celia.

– Och, jakże kocham to miejsce – powiedziała, siedząc w wieży Adeline, ściśnięta z Harrym i Boysiem na sofie nadgryzionej przez myszy, podczas gdy Kitty zajmowała fotel Huberta.

– Teraz jest tu bardzo tłoczno – powiedziała Adeline, popijając herbatkę z marihuany, którą zaparzyła dla niej Kitty. – Hubert się buntuje, ale nie może nie wpuścić Bartona, który twierdzi, że był tu pierwszy, a więc to jego miejsce. Trudno temu zaprzeczyć.

Celia zachichotała.

– Myślę, że pijesz za dużo tego naparu, Adeline!

Ale Kitty wiedziała, że babcia nie zmyśla, ponieważ obydwaj, Hubert i Barton, stali przy oknie, wyglądając na mocno urażonych z powodu takiej inwazji na swój pokój.

Adeline podała czajniczek Boysiemu.

– Przynajmniej nigdy nie jestem sama – powiedziała. – I zawsze pali się tu w kominku, nawet latem. Bo inaczej czuje się wilgoć. Ale, prawdę mówiąc, nie chcę być nigdzie indziej. Nie mogę zostawić Huberta na pastwę jego krewniaków, nieprawdaż?

Boysie nalał sobie herbaty, a potem podał czajniczek Harry'emu.

– Powinniśmy wypić tego więcej, żeby zadomowić się w świecie lady Deverill.

– To nie tylko działanie zioła – wtrącił Harry. – Zarówno babcia, jak i Kitty widzą zmarłych ludzi. Twierdzą, że to dar. Ja natomiast uważam, że to wada genetyczna.

Kitty skrzyżowała spojrzenie z Adeline i uśmiechnęła się szeroko.

– W dawnych czasach spalono by nas na stosie – powiedziała.

– Zawsze uważałam, że sobie to wymyślacie – wtrąciła Celia. – Tę historię o klątwie ciążyącej na Bartonie Deverillu i jego potomkach uwięzionych w wieży,

dopóki nie zamieszka tu ktoś z rodu O'Learych. – Wyjęła czajniczek z rąk Harry'ego i napełniła swoją filiżankę. Potem spojrzała bacznie na Kitty, przypominając sobie jej wyznanie w ogrodzie o miłości do mężczyzny, po którym nazwała małego Jacka. – A co się stało z Jackiem O'Learym? – spytała.

– Jest miejscowym weterynarzem – odparła gładko Kitty, unikając jej wzroku. – Jego ojciec został ranny na wojnie, a więc Jack przejął praktykę.

– To dobrze – skomentowała Celia, mrużąc oczy. – Zawsze miał rękę do zwierząt. Wcale się go nie bały. Nawet dzikie króliki i zwierzyna płowa. Pamiętasz, jak wymieniał nazwy wszystkich ptaków? Znał każdy gatunek!

– Prawdziwy z niego Święty Franciszek – rzekł nieco kąśliwie Boysie.

– Nie sądzę, żeby było w nim coś świętego. Jeśli dobrze sobie przypominam, zawsze był diabelnie przystojny – powiedziała Celia. – Powiedz mi, Kitty, czy on jest żonaty?

– Nie – ucięła Kitty krótko.

Celia pokazała zęby w uśmiechu.

– O rany! To okropnie niebezpieczne. – Podała czajniczek Kitty.

Kitty, nalewając sobie ostatnie kilka kropli, myślała o samotnym Jacku w domu nad morzem. Czy pewnego dnia zapragnie mieć rodzinę? Wypiła łyk, starając się pozbyć poczucia winy, która zasnuła jej serce jak czarna chmura jasne niebo.

– Pewnego dnia O'Leary powróci i zażąda zwrotu ziemi – zawyrokowała złowróźnie Adeline.

– Tak myślisz? – spytała Celia. – Być może potomek Harry'ego i Charlotte ożeni się z ewentualną córką Jacka. To wystarczy, żeby zdjąć klątwę, czy tak?

– Sądzę, że tak – rzekła stanowczo Adeline. – Wtedy wszystkie te nieszczęśliwe dusze będą mogły odfrunąć tam, gdzie ich miejsce.

Harry, trącając łokciem Boysiego, uśmiechnął się ironicznie, ponieważ nie wierzył w coś, czego nie można zobaczyć gołym okiem.

– Jeśli do tego nie dojdzie – kontynuowała Adeline, patrząc surowo na wnuka – ty również tak skończysz, Harry. Jako błądząca dusza, która nie może powędrować ku światłu. Granica zaświatów to ciemna otchłań.

Harry spoważniał.

– Nie wierzę w duchy, babciu.

– Nie widzisz fal radiowych, które poruszają się w eterze, ale przecież słuchasz radia, czyż nie? Obawiam się, mój drogi, że sceptycyzm nie zmieni twojego przeznaczenia ani cię przed nim nie uchroni. Klątwa Maggie O'Leary trzyma się mocno i nic, oprócz powrotu O'Learych na tę ziemię, jej nie zdejmie.

Celia poruszyła się niespokojnie na sofie.

– Och, uwielbiam opowieści o duchach. Opowiedz nam jeszcze jedną, Adeline.

– Widzisz, stary, jesteś z góry skazany – skonstatował z półuśmiechem Boysie. – Zobaczysz, jeszcze tu wrócisz!

Harry przewrócił oczami.

– Przynajmniej nie będę sam.

*

Kilka dni później dusza Adeline opuściła jej znużone, stare ciało i uniosła się ku światłu, tak jak Adeline się spodziewała. Bertie, wróciwszy po zmroku do Hunting Lodge, nie zastał tam matki. Niechętnie wspiął się po schodach na wieżę w zachodnim skrzydle i znalazł jej zimne ciało, upiornie oświetlone dogasającymi żagwiami w kominku. Zniósł je na dół, podczas gdy jego ojciec przyglądał się temu ze swego posepnego miejsca pomiędzy światłami. Hubert był świadkiem jej odejścia; pozostawiła go z obietnicą, że powróci tak szybko, jak będzie mogła. „Miłość połączy nas na wieczność” – powiedziała. A więc poczeka, zresztą nie miał nic innego do roboty.

Ciało Adeline złożono na jej łóżku w Hunting Lodge. Bertie zapalił świece i włożył jej do rąk Biblię. Wygląda pogodnie, pomyślał. Jakby właśnie uraczyła się łykiem swojej ulubionej herbatki. Oczy miała zamknięte, skórę przezroczystą, a na jej ustach błąkał się nieznaczny uśmiech – uśmiech osoby, która wierzy w raj i swoje w nim miejsce. Bertie usiadł na łóżku i zatopił twarz w dłoniach. Obydwoje rodzice odeszli, również jego brat Rupert. Pozostała mu tylko siostra, która dawno temu w niesławie wyjechała do Ameryki, córka, z którą zerwał kontakty, żona, z którą był w separacji, Harry, Victoria, Elspeth... i jego syn Jack. Chłopiec, którego nie chciał uznać; ucieleśnienie jego największego wstydu. Co się stało z jego rodziną, kiedyś tak zjednoczoną, a teraz tak rozbitą?

Adeline spoczęła na cmentarzu przy kościele Świętego Patryka, obok Huberta i innych członków rodziny, począwszy od samego Bartona, którego nagrobek porośnięty mchem był ledwie widoczny. Stoke i Augusta, Digby i Beatrice, Victoria i Eric, Maud i bliźniaczki – Vivien i Leona – przybyli do hrabstwa Cork na pogrzeb. Rodzinę, ponownie zgromadzoną z powodu tak smutnego wydarzenia, ogarnęło bolesne poczucie ostateczności. Poczucie, że nadszedł kres pewnej epoki. Obecność Adeline, aczkolwiek w ostatnim czasie dość pozorna, w jakiś sposób trzymała ich razem. Teraz mieli wrażenie, jakby pękł jakiś sznurek i Deverillowie, na podobieństwo ptaków, wzbili się w powietrze, każdy w swoją stronę.

Krzaczki chlifały w chusteczki, Maud siedziała z kamiennym obliczem. Bertie wypił tyle herbatki z konopi, że nawet uśmiechał się do żony pobłaźliwie, jak kiedyś, nim jej wieczne poczucie nieszczęścia nie zabiło w nim, zdawało się, niezniszczalnej *joie de vivre*. Kitty płakała, przypominając sobie, jakim schronieniem był dla niej w dzieciństwie mały salonik Adeline, gdzie poszukiwała

ciepła i uczucia, uciekając przed nieprzyjemnym towarzystwem panny Grieve. Robert ujął jej rękę i uściśnął, co przyjęła z wdzięcznością. Victoria, nie roniąc ani jednej łzy, siedziała obok matki, myśląc o imprezach towarzyskich, które traciła w Londynie, podczas gdy Elspeth wypłakiwała oczy za babcią, której w gruncie rzeczy naprawdę nie знаła. Harry i Boysie siedzieli obok siebie; Boysie niecierpliwił się, kiedy to wszystko się skończy, Harry zaś rozważał, czy babcia miała rację, mówiąc o klątwie Maggie O’Leary i czy w związku z tym jego wysiłki, by opuścić Irlandię na zawsze, nie zostaną pokrzyżowane po śmierci. Tkwić w tym zamku przez wieczność – nie, to stanowczo za długa pokuta! Celia raz po raz osuszała oczy i wspominała stare dobre czasy, które w tej smutnej chwili idealizowała. Czy będzie kiedykolwiek tak szczęśliwa jak kiedyś w Castle Deverill? – rozmyślała.

Rodzina zebrała się w Hunting Lodge na lunch. Przybył też pastor, którego obecność nadała spotkaniu uroczysty charakter, jak w dawnych dniach, gdy Hubert i Adeline z monotonną regularnością zapraszali wielebnego Daunta na kolację. Bertie zasiadł u szczytu stołu. Jego kiedyś piękna twarz błyszczała od potu, była nienaturalnie czerwona i podpuchnięta; usta miał obwisłe, oczy zamglone, jakby przebywał myślami gdzieś daleko i tylko fizycznie uczestniczył w uroczystości. Gorąco przywitał Kitty, dopytując się, jak jej się mieszka w White House. Spytał również o małego Jacka. Gdy Kitty odparła, że wyrasta na przystojnego Deverilla, kąciki jego ust przeszył nerwowy skurcz.

– To dobrze... – Pokiwał głową, ale zaraz znów poszybował myślami gdzie indziej.

Po lunchu Bertie wstał, żeby przemówić do rodziny. Chwiał się na nogach. Zatoczył się lekko, jak na statku kołysanym przez fale.

– Droga rodzinno i przyjaciele... – zaczął.

Kitty wymieniła spojrzenia z Harrym i z nerwowym grymasem na twarzy czekała na dalszy ciąg. Obawiała się, czy ojciec dotrwa do końca swojej przemowy. Harry z poczuciem winy spuścił głowę. Kitty posłała mu naganne spojrzenie, ale utkwiał wzrok w blacie stołu i nie chciał podnieść oczu.

– Zebraliśmy się tutaj przy najsmutniejszej z okazji, jaką jest pożegnanie mojej drogiej matki, Adeline – kontynuował Bertie. – Rzeczywiście, to kres pewnej epoki. Ale każdy koniec zapowiada nowy początek. Tak będzie i w naszym przypadku. Dziękuję tym wszystkim, którzy przybyli z Anglii. Mój dziadek zawsze mawiał, że angielscy Deverillowie są szczęściarzami, a raczej „szczęśliwymi diabłami”, jak was nazywał. – Tu Bertie zaśmiał się cicho. – Pod wieloma względami miał rację. Ale wszyscy walczyliśmy na wojnie, zjednoczeni przeciwko wspólnemu wrogowi i razem cierpieliśmy za Anglię. Wy straciliście ukochanego George’a, my Ruperta. Obie gałęzie Deverillów poniosły ogromne straty. Jednoczyliśmy się w naszym bólu. Gdy wojna w Europie dobiegła końca, przyszło

nam tu przetrwać walkę o wolność Irlandii. W trakcie tej walki straciliśmy nasz dom, wspaniały zamek, jeden z najwspanialszych w Irlandii. Pod tym względem nie jesteśmy szczęściarzami. Ale trudno, trzeba się z tym pogodzić. Nigdy nie chciałem mieszkać gdzie indziej. Na całym świecie nie ma dla mnie piękniejszego miejsca niż zachodnie wybrzeże hrabstwa Cork.

Przerwał i głośno wciągnął powietrze przez nozdrza. W pokoju panowała cisza. Kolejne osoby, orientując się, co za chwilę usłyszą, zaczęły wymieniać między sobą zaniepokojone spojrzenia.

– Z wielkim żalem muszę wam oznajmić, że zamierzam zrobić to, czego żaden właściciel ziemski o zdrowych zmysłach nie zrobiłby, gdyby nie zmusiły go do tego dramatyczne okoliczności. Otóż musimy sprzedać zamek. – Rozległo się ogólne głębokie westchnienie. Kitty miała wrażenie, że brakuje jej powietrza. Zerknęła na matkę. Wąskie usta Maud były zaciśnięte w ponurą linię. Kitty wiedziała, że to matka namówiła ojca na sprzedaż posiadłości. Dążyła do tego od momentu, gdy zamek spłonął. Przed pożarem warto było go zachować, ale bez zamku przypisanego do jej nazwiska nie było sensu tu zostawać. Maud zresztą już dawno porzuciła Irlandię.

– Wiem, że dla większości z was to szok – ciągnął Bertie. – Dyskutowałem o moich planach z Harrym i on mnie wspiera. Maud i ja przeniesiemy się do Londynu, gdy tylko znajdziemy kupca na Castle Deverill. Jestem pewien, że Barton Deverill, pierwszy lord Deverill, przewróci się w grobie, ale nic nie możemy na to poradzić. – Omiótł wzrokiem pokój, spoglądając na zaskoczone twarze krewnych. Maud poklepała go po dłoni, ale Bertie skrzywił się, jakby była jakimś obrzydliwym, oślizgłym zwierzątkiem. Wpatrywał się w jej białe, zimne palce i wydał wargę. – A teraz, gdy myślicie, że najgorsze już mamy za sobą, chcę jeszcze coś oznajmić. – Maud gwałtownie chwyciła się za gardło. – Chciałbym formalnie i publicznie uznać mojego młodszego syna, Jacka Deverilla. Kitty wychowuje go tu, w rodzinnej Irlandii. Nie jestem dumny z tamtej chwili słabości, ale jestem dumny z mojego syna. – Uśmiechnął się do Kitty, jego twarz drżała w wyrazie skruchy. – Zamki, posiadłości, ziemia i błyskotki pojawiają się i znikają, ale rodzina jest na zawsze.

Maud z głośnym zgrzytem odsunęła krzesło, rzuciła serwetkę na stół i wymaszerowała z pokoju. Nikt się nie poruszył. Wszyscy patrzyli na Bertiego, starając się pojąć to, co się stało. W pokoju panowała cisza jak makiem zasiał. Po dłuższej chwili z drugiego końca stołu odezwał się drżący głos. Należał do Augusty, jak zwykle nieco zdezorientowanej.

– Czy ktoś może mi wyjaśnić, co on, u diabła, powiedział?

*

Po pogrzebie Adeline rozwścieczona Maud wyjechała do Londynu. Teraz

wszyscy dowiedzą się o bękarcie Bertiego, a ten wstyd zaciąży na rodowym nazwisku. Będzie musiała ukryć się na wsi u Victorii, aż skandal przycichnie. Przeklinała męża i siebie, że za niego w ogóle wyszła. Powinna była uciec z księciem Rothmeade'em, gdy miała na to szansę! Dobrze przynajmniej, że udało jej się namówić Bertiego, żeby sprzedał zamek. Wreszcie może zacząć się rozglądać za domem w Londynie.

Kitty była zdruzgotana. Radość z decyzji ojca o uznaniu syna całkowicie zniweczyło jego zadziwiające oświadczenie, że sprzedaje zamek. Oczywiście wiedziała, kto za tym stoi. Gdyby nie upodobanie ojca do whisky, Maud nie udałoby się tak łatwo nim manipulować. Bertie podupał na duchu, był rozczarowany życiem, a alkohol stępił jego uczucia. Harry'ego natomiast los Castle Deverill właściwie nie obchodził. Dopóki miał przy sobie Boysiego, był szczęśliwy. Kitty czuła, że jest jedyną osobą, którą ta złowieszcza zapowiedź naprawdę dotknęła.

– Gdybym miała pieniądze, kupiłabym zamek – powiedziała do Jacka, gdy leżeli w łóżku, teraz już dobrze jej znanym. – Ale nie mam. Robert też nie.

Jack uśmiechnął się szeroko.

– Może ma jakąś bogatą ciotkę, która niespodziewanie umrze?

Kitty się roześmiała.

– Doprawdy, Jack, jesteś okropny!

– Kupiłbym ci ten zamek, gdybym mógł. – Pocałował ją w czoło. – I odbudowałbym kamień po kamieniu.

– Wiem. – Poglądziła paznokciami jego klatkę piersiową. – Chciałabym mieszkać z tobą w zamku, Jack. Prowadzić normalne życie. Bez ukrywania się. Ty, ja i mały Jack.

– Wyzwolilibyśmy te wszystkie twoje duchy.

– Tak. Wszystkie odzyskałyby wolność. Zrobiłoby się tam luźniej.

– Odnowilibyśmy ogrody. Kupili wiele koni. Zrobili wiele dzieci.

Kitty westchnęła.

– Och, Jack...

Delikatnie pchnął ją z powrotem na poduszkę i głęboko zajrzał jej w oczy.

– Mielibyśmy mnóstwo dzieci, które zapełniłyby zamek.

– Gdyby tylko...

Jack przesunął ręką po jej brzuchu.

– Pragnę czegoś więcej niż to, co mamy teraz, Kitty. Nie wystarczają mi kradzione chwile z tobą. – Przycisnął usta do jej lekko uniesionego brzucha. – Chcę twego ciała i duszy.

– Już masz moje ciało i duszę.

Podniósł głowę i bacznie jej się przyglądał.

– A więc pragnę twojej ręki – powiedział. – Chcę być twoim mężem, chcę

przechadzać się po ulicach Ballinakelly z tobą u boku, żeby cały świat nas widział.
To, co mamy, już mi nie wystarcza.

Rozdział 36

Kiedy Bridie z pokładu pierwszej klasy na parowcu zobaczyła wybrzeże Irlandii, przyływ emocji zalał wezbraną falą jej piersi i objawił się na policzkach strugami łez. Płakała z radości w oczekiwaniu na to, co nastąpi, oraz z żalości za tym, co minęło. Uprzejmy mężczyzna w filcowym kapeluszu sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza i podał jej chusteczkę. Przyjęła ją z wdzięcznością i wydmuchała nos.

– Wspaniały widok, nieprawdaż? – zagadnął, przywierając spojrzeniem do znajomych klifów, jak mewa siadająca na swoim gnieździe.

– Wróciłam do domu – powiedziała Bridie. – Nie mogę uwierzyć, że w końcu wróciłam.

– Rzeczywiście, nie ma drugiego takiego miejsca na świecie.

– Długo pana tu nie było?

– Bardzo długo. – Westchnął z ulgą. – Bez mała pięćdziesiąt lat.

Bridie przestała płakać.

– To szmat czasu – rzekła z uczuciem.

– Najdłuższa droga bywa czasami najlepszą – skonstatował sentencjonalnie, po czym z uśmiechem pozostawił Bridie samą, żeby mogła rozmyślać nad swoją przyszłością.

Bridie przybyła do hotelu Shelbourne w Dublinie. Był to wspaniały budynek z czerwonej cegły w stylu regencji, z widokiem na przepiękne ogrody St. Stephen Green, gdzie Bridie czasami spacerowała podczas miesięcy pracy u lady Rowan-Hampton. Nie wiedziała wówczas, że wyjeżdżając stąd jako zhańbiona pokojówka, wróci tu po trzech latach jako bajecznie bogata dama z kuframi wspaniałych ubrań oraz własną służącą.

Portier wprowadził ją do foyer z purpurowymi dywanami, bogatymi sztukateriami oraz szerokimi schodami, które dodawały temu sławnemu miejscu luksusu i klasy. Personel hotelowy przywitał ją serdecznymi i ciepłymi uśmiechami, jakby była księżniczką, a tymczasem portier strzelił palcami, wzywając boya do pomocy przy wniesieniu drogiego bagażu, który ze sobą przywozła. Bridie, ubrana w wytworny płaszcz i mały kapelusik oraz sznur pereł sięgający jej do pasa, odpowiedziała na ich gościnne powitanie łaskawym skinieniem głowy i nieznacznym uśmiechem, jaki często widywała u matki Kitty, a zdaniem Bridie Maud Deverill była najbardziej wyniosłą damą, jaką знаła. Podpisała się, ostentacyjnie kładąc lewą dłoń na kontuarze recepcji, by zaręczynowy pierścionek z brylantami oraz złota obrączka mogły wyraźnie

zabłysnąć na dowód, że jest damą nie tylko bogatą, ale również godną szacunku. Uprzejmie odpowiadała na pytania recepcjonisty.

– Tak, z Nowego Jorku... Długa podróż, ale bardzo wygodna... Tak, jestem pewna, że będzie mi tu doskonale... Dziękuję... nie, nie wiem, jak długo zostaną. Ponad tydzień, na pewno.

Ledwie dotarła do apartamentu, padła na łóżko. Rosetta przygotowywała jej kąpiel i czekała na bagaże. Patrząc na wykwintne meble, na wazon z pięknymi kwiatami na biurku, na jedwabne zasłony oraz ozdobny dywan, westchnęła z satysfakcją. Kiedyś, leżąc na swoim wąskim łóżku w Ballinakelly, wyobrażała sobie takie miejsca jak to i bardzo pragnęła nowego życia, być może w Londynie jako pokojówka Kitty, jeśli dopisałoby jej szczęście. Czyż mogła przypuszczać, że kiedykolwiek znajdzie się tu, w takim ekskluzywnym miejscu jako pani Lockwood – dziedziczka i wdowa, niezależna i światowa kobieta w wieku zaledwie dwudziestu pięciu lat? Przymknęła oczy, uśmiechając się do siebie. Odnajdzie swoje dziecko, a wówczas jej świat stanie się kompletny.

Bridie spała lepiej niż kiedykolwiek. Była w domu, w Irlandii, na tej samej ziemi co jej matka, babcia i bracia. Oddychała z ulgą, pozwalając, by błogie sny otoczyły ją swymi pierzastymi skrzydłami.

Rano poczuła się jak nowo narodzona. Rosetta wstała wcześniej i przygotowała już dla niej ubranie. Bridie zamówiła śniadanie dla Rosetty do apartamentu, sama zaś zeszła do jadalni. Chciała przebywać wśród ludzi, być częścią dublińskiego życia. W hotelu panował duży ruch. Eleganckie damy i kosztownie ubrani panowie siedzieli przy okrągłych stolikach i rozmawiali przyciszonymi głosami. Dyskretne pobrzękiwanie porcelanowych czajniczków na spodkach i srebrnych sztućców na talerzach nadawało pomieszczeniu dystyngowaną atmosferę, gdy kelnerki i kelnerzy roznosili smakowite dania i zmieniali zastawę.

Gdy Bridie pojawiła się w drzwiach, powitał ją kierownik sali i zaprowadził do stolika przy oknie, tonącego w świetle słonecznym wlewającym się przez szybę. Na zewnątrz panował wzmożony ruch, widać było samochody, konie i bryczki oraz ludzi krzątających się wokół swoich sklepów, idących po chodnikach lub zmierzających do ogrodów. Nikt nie przerwał konwersacji, żeby się na nią gapić; dostrzegła tylko ukradkowe, pełne podziwu spojrzenia zarówno mężczyzn, jak i kobiet na widok jej modnego stroju i szykownej fryzury. Zainteresowanie zapewne budził fakt, że jest sama. Bo przecież nie wyglądała tu niestosownie. Pasowała do tego miejsca. Była jedną z nich.

Uśmiechnęła się do kelnera i zamówiła herbatę oraz solidne śniadanie. Podał jej „Irish Timesa” i odszedł do kuchni. Bridie zerknęła na gazetę. Nie mając z kim rozmawiać, zaczęła przeglądać nagłówki. Na dalszych stronach jej uwagę przykuła wiadomość: „Lord Deverill z Ballinakelly sprzedaje nieszczęsny Castle Deverill”.

Bridie czytała z przerażeniem, tak głęboko zatapiając twarz w gazecie, że nawet nie zauważyła, gdy wrócił kelner i nalał jej herbaty.

Przeczytała, że zamek został spalony przez rebeliantów podczas domowego konfliktu. Dowiedziała się, że lord Deverill zginął w pożarze, a lady Deverill zmarła dwa tygodnie temu. Obecny lord Deverill uznał, że koszty odbudowy zamku są zbyt wysokie i zdecydował się na sprzedaż posiadłości i przeprowadzkę do Londynu. W gazecie zamieszczono też czarno-białą fotografię ruin zamku oraz starą fotografię obecnego lordostwa Deverill z Dublin Horse Show. Bridie wpatrywała się w twarz mężczyzny, którego kiedyś pokochała, i czuła pod powiekami piekące łzy. Odebrał jej niewinność, ale przecież mu na to pozwoliła. Cieszyła się każdą chwilą ich spotkań. Nagle przypomniała sobie, z jaką brutalnością ją potraktował, jakby była tylko kłopotem w jego życiu, i serce jej stwardniało. Urodziła jego dzieci. Dziewczynkę, która zmarła, i chłopca, który przeżył, a on bez jednego słowa pożegnania wysłał ją do Ameryki, pozostawiając swego syna, żeby marniał w klasztornym przytułku. Myślał jedynie o tym, by skutecznie – za dyskretnymi murami Kościoła – ukryć swój sekret. Ale Bridie powróciła, by naprawić zło. Nie była już tamtą młodą i naiwną dziewczyną. Przyjechała, żeby odzyskać syna, który przecież do niej należy. Tylko Bóg ma prawo jej go odebrać.

Złożyła gazetę i popijała herbatę. Jeśli zamek został zniszczony, jej matka straciła pracę. Czy musiała szukać jej gdzie indziej? A może wystarczały pieniądze, które dostawała od Bridie? Co się stało z Kitty? Czy nadal mieszka w Hunting Lodge?

Bridie jadła śniadanie w gorączkowym podnieceniu. Co się dzieje z nimi wszystkimi?

Po śniadaniu pojechały z Rosettą taksówką do położonego w odległym zakątku Dublina klasztoru Matki Bożej Królowej Nieba. Na widok znajomych murów Bridie poczuła, że poca jej się dłonie. Przybyła tu, żeby urodzić dzieci, i wyszła bez nich. Nie mogła spokojnie myśleć o tym, co jej się przydarzyło za tymi brunatnymi murami. Poprosiła Rosettę, żeby poczekała w taksówce, a sama poszła spytać, co stało się z jej dzieckiem. Rosetta przyglądała się, jak Bridie pociąga za sznur przy ogromnej furcie, zastanawiając się, po co tu przyjechały i dlaczego Bridget jest tak bardzo zdenerwowana.

Drzwi otworzyła zakonnica w granatowym habicie. Bridie przedstawiła jej cel swojej wizyty i poprosiła o rozmowę z matką przełożoną. Zakonnica wyglądała na nieco zmieszana, niemniej zaprosiła gościa do środka. Bridie poszła za nią korytarzem. Od znajomego zapachu – wilgoci pomieszanej z detergentami i woskiem świec – zakręciło jej się w głowie. Przypomniała sobie, jak ją tu przywieziono, gdy odeszły jej wody. Przez moment doznała takiego samego poczucia zagubienia, wyobcowania, takiego samego strachu, i musiała

skoncentrować się na regularnym oddechu, żeby powstrzymać narastające mdłości. Zakonnica zaprosiła ją do poczekalni. Znajdował się tu mały kominek, zięjący pustką, a na stoliku stał wazon z mizernym bukietem żółtych kwiatów. Bridie usiadła na twardej sofie, splatając dłonie. Powtarzała sobie w myślach, że teraz jest bogata. Jeśli nie zechcą oddać jej dziecka, to je wykupi.

Po chwili pojawiła się starsza zakonnica. Uśmiechała się uprzejmie. Przyjazny wyraz jej twarzy sprawił, że Bridie zrobiło się lżej na duszy. Odniosła wrażenie, że zakonnica z wielką chęcią odda jej dziecko.

– Pani Lockwood – przywitała ją, przysiadając na brzegu krzesła. – Jestem siostra Agatha. Jak rozumiem, przyjechała pani po swojego syna.

– Tak, rzeczywiście – odpowiedziała Bridie, starając się dosłyszeć słowa kobiety poprzez walenie swego serca.

– Pani nazywała się Bridie Doyle, nieprawdaż?

– Tak.

– Pamiętam pani syna. Śliczny chłopczyk.

– Tak.

– Pamiętam też małą dziewczynkę, niech Bóg ma w opiece jej duszę. – Siostra Agatha westchnęła. – Chciałabym pani pomóc, ale niestety nie mogę. Pani synka tu nie ma.

Ziemia zawirowała pod stopami Bridie. Tego się nie spodziewała.

– Gdzie on jest?

– Został oddany do dobrego domu. Zawsze troszczymy się o to, by umieścić nasze dzieci w jak najlepszych rodzinach.

Bridie przyłożyła dłoń do ust, żeby stłumić jęk. Wpatrywała się w zakonnice, nie wiedząc, co powiedzieć. Pokręciła głową.

– Nie... nie... On nie mógł zostać oddany!

– Nawet gdybym wiedziała, gdzie jest – ciągnęła zakonnica – nie mogłabym pani tego zdradzić. Ta rodzina adoptowała pani syna w dobrej wierze. Nie byłoby właściwe podawanie pani ich personaliów. Proszę się z tym pogodzić, pani Lockwood.

– Ale ja nie mogę – wychrypiała Bridie. – To mój syn! – W okamgnieniu zobaczyła małą twarzyczkę w powijakach, jakby był na wyciągnięcie ręki. Czowała waniliowy zapach jego skóry. Prawie mogła jej dotknąć. – Och, słodki Jezu, co wyście zrobiły?

Siostra Agatha wstała.

– Proszę się uspokoić, pani Lockwood. Przykro mi z powodu pani cierpienia.

– Wiele już razy musiała być świadkiem podobnych scen i zdążyła się na nie uodpornić.

Bridie schowała twarz w dłoniach i się rozplakała. Trzęsła się na całym ciele na myśl, że nigdy nie zobaczy swojego dziecka.

Po chwili siostra Agatha wróciła ze szklanką wody.

– Nie musi się pani spieszyć z odejściem. Może zechce pani odwiedzić naszą kaplicę? Zapraszamy. Siostra Margaret pokaże pani drogę, a potem odprowadzi panią do wyjścia.

– Czy choć mogłabym zobaczyć grób córki? – spytała Bridie.

Siostra Agatha zacisnęła usta w twardą linię.

– Nie ma grobu, pani Lockwood. Ale może pani pomodlić się za jej duszę w kaplicy.

Bridie siedziała na sofie, aż jej oddech zrobił się ciężki, a ból został zredukowany do osobliwej czkawki. Zauważyła, że siostra Margaret stoi w drzwiach.

– Chciałabym odwiedzić kaplicę – powiedziała, wstając. Przynajmniej pomodli się za duszę swojej córeczki.

– Proszę za mną – odezwała się siostra Margaret.

Bridie podążyła za nią przez korytarz, a potem przez ogrodowy dziedziniec, gdzie siostry uprawiały własne warzywa. Wszędzie czuło się wilgoć i panowała ponura atmosfera. Bridie szła pospiesznie, nie chcąc spędzić w tym bezlitosnym miejscu więcej czasu niż to konieczne.

Kaplica wyglądała przyjemnie, miała sklepiony sufit i dwa rzędy zgrabnych kolumn po przeciwległych stronach. Płonęły świece, wypełniając pomieszczenie przytulnym blaskiem, a w powietrzu unosił się zapach kadzidła. Bridie przeszła nawą do ołtarza, przeżegnała się i podeszła do stolika, by zapalić świeczkę. Przełykając smutek, zapaliła dwie. Zamknęła oczy i zwróciła się do Boga z cichą modlitwą.

– Proszę, pomóż mi, Boże. Zaopiekuj się moją zmarłą córeczką i pomóż mi odnaleźć syna, który żyje. Biorę Cię na świadka, że nie spocznę, dopóki go nie odnajdę. Nie poddam się. Z pomocą Twoich aniołów sprowadzę swoje dziecko do domu.

Stała przez chwilę, przyglądając się bogatym kolorystycznie obrazom, przedstawiającym Maryję i rozmaitych świętych. Potem utkwiała wzrok w wiszącym nad ołtarzem zaskakująco wystawnym złotym krzyżu, ozdobionym drogocennymi kamieniami, migoczącymi w świetle świec. Krzyż był wspaniały, pełen przepychu, nie pasował do skromnej kaplicy. Wytarła dłonią twarz mokrą od łez, zachodząc w głowę, skąd taki krzyż się tu znalazł. Następnie wsunęła się do pierwszej ławki, uklękła na poduszce i odmówiła *Ojcze nasz*. Gdy skończyła, poprosiła zakonnicę, żeby ją odprowadziła do wyjścia. Nie miała tu już czego szukać, prócz bolesnych wspomnień i rozczarowania.

Przy drzwiach siostra Margaret rzuciła ukradkowe spojrzenie za siebie, a potem położyła dłoń na ramieniu Bridie.

– Wiem, co się stało z pani synem – szepnęła gorączkowo.

Bridie chwyciła ją za rękę.

– Co... Co się z nim stało?

– Jakiś mężczyzna go zabrał.

– Kto? Jaki mężczyzna?

– Nazywał się Michael, tyle usłyszałam.

Bridie poczuła, że jej serca ogarnia fala wdzięczności i nadziei.

– Michael? Michael Doyle?

– Nie wiem. Duży mężczyzna, krzepki, czarne loki...

– Tak, to mój brat. – Bridie uśmiechnęła się przez łzy. – Och, dziękuję, siostrzo Margaret. Nie zapomnę waszej dobroci. Niech Bóg obsypie siostrę tysiącem łask.

– Nie ma potrzeby, pani Lockwood. Jestem szczęśliwa, że mogłam pani pomóc.

Bridie pospieszyła do taksówki, gdzie czekająca na nią Rosetta zaczynała się już niepokoić.

– W porządku? – spytała, gdy Bridie usiadła obok niej.

– Wspaniale – odparła Bridie. – Wracamy do hotelu. Muszę dopilnować jeszcze kilku spraw i wyjeżdżamy do Ballinakelly.

– Do Ballinakelly?

– Tak, Rosetto. Wracam do domu.

W hotelu Bridie wyrwała z „Irish Timesa” artykuł o wystawieniu na sprzedaż zamku przez lorda Deverilla. Miała dość pieniędzy, żeby kupić dziesięć takich zamków! Może go odbudować, przywrócić do dawnej świetności. Ona im wszystkim pokaże! Już nigdy nie pozwoli się potraktować tak, jak potraktował ją lord Deverill. Nikt już nie nazwie jej nędzarką. Będzie panią wspaniałego, zabytkowego zamku, to jej potomkowie będą tam mieszkać i opowiadać historie o niezwykłej przeszłości znamienitego rodu Deverillów. Pewnego dnia, w odległej przyszłości, to jej nazwisko będzie na ustach wszystkich.

– Chciałabym wysłać telegram do Nowego Jorku, do pana Beaumonta Williamsa – zwróciła się do recepcjonisty.

Pozostawiła bagaż w apartamencie i wsiadła wraz z Rosettą do pociągu do Cork, przypominając sobie po drodze podróż do Dublina, gdy siedziała w przedziale trzeciej klasy z małą torbą, rosnącym brzuchem i sercem przepełnionym niepokojem. Teraz jechała wygodnie w pierwszej klasie. Wszyscy byli dla niej uprzejmi. Każdy jej nadskakiwał. Oto czarodziejska moc pieniądza w życiu człowieka!

Z Cork wzięła taksówkę, która zawiozła je do Ballinakelly znajdującego się w odległości zaledwie godziny jazdy. Gdy zbliżała się do domu, jej serce zaczęło galopować. Okolica robiła się coraz bardziej znajoma. Wyboiste drogi, skaliste wzgórza, wrzosy i jałowce, szare kamienne murki, bujne żywopłoty oraz pola pełne

welnistych owiec – wszystko to szeptało do niej, wzywając ją do domu.

Wreszcie jej oczom ukazał się biały domek przytulony do wzgórze, a obok zabudowania gospodarcze, gdzie Michael i Sean trzymali konie i sprzęt rolniczy. Na polu w wysokiej trawie pasły się krowy. Niebo ponad wzgórzami miało rozmyty jasnoniebieski kolor, tu i ówdzie zdobiły je pierzaste chmury. Wszystko wyglądało tak samo. Serce Bridie na moment zamarło.

– Tutaj dorastałam – powiedziała do Rosetty.

– Ładna okolica – stwierdziła pokojówka. – Tyle zieleni!

Bridie się roześmiała.

– Bo przez cały czas pada.

Samochód przejechał wyboistą drogą i zatrzymał się przed domem. Bridie zapłaciła kierowcy i zniosła swoją torbę do drzwi. Nawet nie zapukała, tylko otworzyła je pchnięciem. W środku, na tym co zawsze fotelu obok paleniska, siedziała stara pani Nagle. Gdy babcia zobaczyła Bridie, nie zareagowała.

– To ja, babuniu, Bridie.

Rosetta stała z tyłu, zastanawiając się, dlaczego jej przyjaciółka nazwała się Bridie, a nie Bridget.

Stara pani Nagle zmrużyła oczy.

– Bridie? – spytała. Potem głos jej zadrżał. – Bridie? Nasza Bridie?

– Och, babuniu, wasza Bridie. Wróciłam do domu. – Uklękła na podłodze obok babci i objęła ją ramionami. Pani Nagle była taka drobna i krucha jak mała myszka.

– Wyglądasz wspaniale – powiedziała stara pani Nagle. – Powiodło ci się w Ameryce, dzięki Bogu.

Do izby wpadła pani Doyle.

– Bridie, czy to możliwe? – wykrzyknęła z oczami pełnymi łez.

– Mama! – Bridie zapomniała, że jest bogatą kobietą. Zapomniała, że jest panią Lockwood w wykwintnym ubraniu i drogich butach. Wtulając się w ramiona matki, znów była Bridie Doyle.

– Niechże na ciebie spojrzę! – Głos pani Doyle się załamał. Ujęła w dłonie twarz córki i wpatrywała się w jej rysy, szukając swego utraconego dziecka.

– Jestem bogata, mamu. Mogę ci kupić wszystko, co zechcesz. Co tylko dusza zapagnie!

– Boże, uchowaj nas przed bogactwem, Bridie Doyle. Pieniądze przynoszą same nieszczęścia. Jedyne ciężka praca i miłość Boga przysparzają trochę szczęścia. – Popatrzyła na Bridie, ale jej córka była zbyt rozkojarzona, żeby zauważyć ból w oczach matki. – Wróciłaś do domu, Bridie?

– Gdzie jest Michael? – spytała Bridie, pragnąc jak najszybciej zobaczyć swego syna.

Stara pani Nagle spuściła głowę. Pani Doyle przyłożyła rękę do ust. Bridie

przenosiła wzrok z jednej na drugą.

– Michael jest w Mount Melleray w Waterford – wyjaśniła jej matka cichym głosem.

– Gdzie? – Bridie opadła na krzesło.

– Ojciec Quinn wysłał go do klasztoru, żeby wyleczyć go z picia, niech Bóg ma nas w swojej opiece.

Stara pani Nagle się przeżegnała.

– Bóg się nim zajmuje, Bridie. Diabeł nie ma teraz do niego dostępu.

Bridie chciała spytać o swoje dziecko. Jeśli zabrał je z klasztoru, gdzie mógłby je przywieźć, jak nie tutaj?

– Czytałam, że spalono zamek – powiedziała drętwym głosem.

– Och, tak, to prawda. Okropna sprawa. Teraz lord Deverill sprzedaje posiadłość.

– Powiedz jej o dziecku, na litość boską! – wtrąciła babka.

– Jakim dziecku? – Bridie uchwyciła się okruszka nadziei.

– Lord Deverill ma nieślubnego syna – wyjaśniła pani Doyle, z dezaprobatą kręcąc głową. – O niczym innym się tu nie mówi.

– Kim jest matka?

– Nie wyjawiał. Ale chłopca wychowuje Kitty Deverill, teraz pani Trench.

– Boże, zmiłuj się nad nami! – znów wykrzyknęła pani Nagle i jeszcze żarliwiej wykonała znak krzyża na piersi.

Bridie zrobiło się lżej na duchu.

– Kitty wyszła za pana Trench?

– Tak.

– Mieszkają w Irlandii?

– W White House. No, wiesz, tam gdzie mieszkał Rupert Deverill.

– Biedny pan Rupert – powiedziała stara pani Nagle. – Często przynosił mi łośosia, i to zawsze wypatroszonego. Szlachetny człowiek.

– Widziałyście tego chłopca?

– Nie, ale słyszałam, że to ładne dziecko, rudowłose, jak jego siostra i babka.

– Och, Michael... – westchnęła cicho Bridie, dziękując mu w duchu, że zadbał o los jej syna. – Jak mu na imię?

– Jack – poinformowała pani Doyle.

Bridie poczuła ukłucie w sercu.

– Jack?

– Piękne imię, prawda? – Bridie domyśliła się, po kim jej syn nosi imię i zjeżyła się z zazdrości. – Musicie być głodne. – Pani Doyle popatrzyła na Rosettę, która ciągle stała w drzwiach. – Kim jest twoja przyjaciółka?

– To Rosetta, moja dama do towarzystwa – odparła Bridie.

– Bój się Boga! Masz damę do towarzystwa? – rzekła z dezaprobatą pani

Doyle. – No, rozgośćcie się. Bridie, możesz zająć swój dawny pokój, ale Rosetta będzie musiała dzielić z tobą łóżko albo spać na podłodze. Nie mamy tu oddzielnych pokoi dla dam do towarzystwa. – Z niezadowoleniem pokręciła głową. – Chyba ta Ameryka cię zepsuła, Bridie, albo świat całkiem zwariował.

Bridie zauważyła spojrzenie Rosetty. Gdyby jej matka знаła choć połowę prawdy, wysłałaby ją do ojca Quinna, żeby wyznała swe grzechy i spędziła resztę życia na odmawianiu zdrowasiek.

Po południu Sean wrócił na podwieczorek. Ledwie spojrzał na ładną, śniadą twarz Rosetty, od razu poprawił mu się nastrój. Była pierwszą Włoszką, która kiedykolwiek odwiedziła Ballinakelly. Rosetta też się ożywiła, na jej policzki wstąpił delikatny rumieniec. Bridie siedziała w znajomej izbie w otoczeniu rodziny i pozwoliła się ponieść wspomnieniom; ale wydawały jej się tak odległe, jakby należały do innego, dawno minionego życia. Skosztowała jedzenia, które uwielbiała w dzieciństwie, a które teraz dla niej było pozbawione smaku i, robiąc przykrość matce, pozostawiła połowę na talerzu. Uklękła, żeby odmówić modlitwę, ale podłoga wydała jej się zbyt twarda, by mogła skoncentrować się na słowach. Wyobraziła sobie ojca i Michaela, jak z pochylonymi głowami rozmawiają przy stole, a ich sprzeczne poglądy ścierają się i skrzą, i próbowała poczuć się częścią tego obrazu. Ale mała dziewczynka, która siedziała przy schodach, popijając maślanekę, nie miała już z nią wiele wspólnego. Równie dobrze mogła być całkowicie obcą osobą.

A później, gdy wsłuchiwała się w znajome odgłosy nocy, nie znajdowała w nich jak dawniej pocieszenia, lecz doświadczała niespokojnego poczucia wyobcowania. Nie była już Bridie Doyle. Wyrosła z tej skóry jak motyl z poczwarki. Do tego domu również nie należała.

Rozdział 37

Nazajutrz Bridie, pozostawiwszy Rosettę na farmie do pomocy pani Doyle w pracach domowych, bryczką należącą do Seana sama udała się do White House. Zadowolony z takiego obrotu sprawy Sean pod byle pretekstem zaglądał do domu.

Był kolejny ciepły wrześnieowy dzień. Promienie słońca oblewały krajobraz bladym jesiennym światłem, a wiatr niósł silny zapach morza. Bridie chciałyby napawać się przeszłością, odbijającą się echem w każdym zakątku tej ziemi, ale teraz mogła myśleć wyłącznie o swoim synu.

Krew pulsowała jej gorączkowo w żyłach. Nerwy ścisnęły żołądek i wywoływały mdłości. Nie wiedziała, jak zachowa się Kitty, zwłaszcza teraz, gdy zrozumie, że Bridie zna prawdę. A tym bardziej nie wiedziała, co powie swojemu synowi. Wyobrażała sobie, jak chłopiec, obecnie trzyipółletni, biegnie i wpada jej w ramiona. Trzymała się tej wizji kurczowo, aby nie stracić odwagi i nie zawrócić z drogi. Starła się wykrzesać w sobie wdzięczność wobec Kitty, że się nim zaopiekowała; w końcu mógł trafić do obcych ludzi i zaginać bez wieści. A tak przynajmniej wiedziała, gdzie go szukać i że ma dobry dom. Nie mogła jednak zdusić w sobie niechęci. Przede wszystkim nikt nie powinien jej go odbierać...

Spośród drzew wyłonił się White House. Zbudowano go na końcu drogi, na szczycie wzgórza, z otwartym widokiem na morze. Wysiadła z bryczki i przywiązała konia do palika przy bramie. Idąc do góry podjazdem, rozmyślała, co się stało z Jackiem O'Learym. Kitty poślubiła swojego nauczyciela, mężczyznę, którego kiedyś spisała na straty jako nudnego i pozbawionego poczucia humoru. Ciekawe, dlaczego nie uciekła i nie pobrała się potajemnie z Jackiem? Cóż, z tego powodu Bridie czuła złośliwą satysfakcję. Jak widać, żadna z nich nie mogła go mieć. Widziała w tym odrobinę sprawiedliwości.

Nagle usłyszała głosy. Śmiech kobiety i dziecinne piski radości. Udała się w tym kierunku. Odgłosy robiły się coraz wyraźniejsze, a ona prawie straciła dech. Wstrzymywała powietrze w przerażeniu i oczekiwaniu. A potem go zobaczyła i wydała z siebie głęboki jęk. Mały chłopiec w brązowych spodenkach, białej koszuli i czapce, podobnej do tej, jaką nosił Jack, dreptał obok kobiety, trzymając ją za rękę. Ale to nie była Kitty. Bridie przycisnęła rękę do serca i stanęła, przypatrując się z ukrycia małemu nieznanemu dziecku, w którego żyłach płynęła jej własna krew. Był to ładny chłopczyk, a jego uśmiech łamał jej serce. Wtem w drzwiach domu pojawiła się Kitty. Rozpostarła ramiona i uśmiechnęła się szeroko. Chłopiec krzyknął „Kitty” i chwycił ją i pobiegł w jej kierunku. Z okrzykiem radości Kitty objęła go i przytuliła do piersi. Zdjęła mu czapkę

i włożyła sobie na głowę. Chłopiec zachichotał i wyciągnął po nią rękę. Zanim Bridie zdążyła oswoić się z tą sceną, Kitty zniknęła w środku, zabierając chłopca ze sobą.

Bridie stała jak wrośnięta w ziemię; pierś jej przeszywał głęboki, palący ból. Kobieta, która przed chwilą trzymała Jacka za rękę, odwróciła się i zauważyła ją. Bridie musiała przedstawiać sobą zagadkową figurę – sama na podjeździe, z wyrazem rozpaczony na twarzy. Kobieta, osłaniając oczy przed słońcem, podeszła do niej.

– Dzień dobry – odezwała się. – Mogę w coś pomóc?

Bridie walczyła, żeby odzyskać głos.

– Przepraszam, chyba pomyliłam adres – wykrztusiła, po czym odwróciła się na pięcie i uciekła.

Kobieta z zafrasowaną miną przyglądała się, jak dziwna nieznajoma znika na podjeździe.

Za bramą Bridie osunęła się na trawę, zatopiła twarz w dłoniach i zaniosła się od płaczu. Jej nadzieja rozwiała się jak mgła. W marzeniach wyobrażała go sobie jako niemowlę. Ale on był już małym chłopcem i w jego oczach Kitty była jego matką, chociaż tak jej nie nazywał. Czy naprawdę wierzyła, że Kitty ucieszy się na jej widok i odda dziecko? Czy naprawdę była tak szalona, by oczekiwać, że Kitty nie kocha tego dziecka, jakby było jej własne? Bridie mogła być jego biologiczną matką, ale Kitty była jego matką pod każdym innym względem. Na tę myśl gwałtowna i rozpaczliwa zazdrość ścisnęła jej serce. Objęła się ramionami i pozwoliła zawładnąć rozpaczony.

Po chwili niepewnie się podniosła. Gdy odwiązywała konia, usłyszała z tyłu czyjeś kroki. Odwróciła się. To była Kitty; jej twarz w słonecznym świetle wydawała się bardzo blada i ściągnięta.

– Bridie? – Podeszła bliżej. – Czy to ty?

Bridie spojrzała w oczy kobiety, która kiedyś była jej bliska jak siostra, i dostrzegła w nich strach – dziki, nieskrywany strach, jak u lisa, do którego często ją porównywano. Zrozumiała, że pojawiła się pomiędzy nimi przepaść.

– Tak, ja.

– Wróciłaś – wychrypiała Kitty.

– Wróciłam po swojego syna – odparła Bridie z naciskiem.

Kitty zauważyła, że lata pobytu w Ameryce odcisnęły piętno na wyglądzie jej dawnej przyjaciółki; rysy jej twarzy stwardniały, tak że trudno ją było rozpoznać.

– Długo cię nie było – stwierdziła Kitty. – Teraz to już mały chłopiec.

– Mój mały chłopiec.

– Oddałaś go mnie, Bridie. Pozostawiłaś na moim progu, a ja przysięgam, że wychowam go i będę kochać jak własnego. Poświęciłam wszystko dla niego...

Dla ciebie.

– Nie oddałam ci go – zaprzeczyła Bridie spiętym głosem. – Michael to zrobił.

– Michael? – Na wspomnienie tego imienia Kitty zadrżała.

– Zakonnice mi go odebrały. Ukradły moje dziecko! – Głos Bridie, zboląły i pełen udręki, podniósł się o oktawę. – Michael go uratował i przekazał ci pod opiekę, żebym pewnego dnia, gdy już będę w stanie wrócić, mogła go odnaleźć. No i jestem. To moje dziecko, Kitty. Gdzie się podziało twoje współczucie?

– To współczucie popchnęło mnie, żebym zrezygnowała z mężczyzny, którego kochałam, i wypełniła obowiązek wobec twojego syna. Pozostawiono go na moim progu, ponieważ jest Deverillem. Mój ojciec go uznał. To mój brat, należy do mnie.

– Nie zmienia to faktu, że ja jestem jego matką – upierała się Bridie.

– Urodziłaś go, ale porzuciłaś.

– Nie pozostawiono mi wyboru.

– Jack jest przekonany, że nie ma matki.

Słowa Kitty, aczkolwiek delikatnie wypowiedziane, uderzyły w Bridie jak potężny cios. Chwyciła się ręką za gardło i zdusiła szloch.

– Powiedziałaś mu, że nie żyję? – wykrztusiła.

– A co miałam zrobić? Nie mogłam mu powiedzieć, że zostawiłaś go w klasztorze.

– Nie było innego sposobu? – jęknęła Bridie.

– On się za ciebie modli – powiedziała cicho Kitty, nagle czując ukłucie winy na widok cierpienia przyjaciółki. – Codziennie wieczorem modli się za swoją mamę, która spogląda na niego z nieba.

– Boże, miej litość! – zawodziła Bridie.

– Mam tylko na względzie dobro Jacka.

Bridie z furią na nią natarła.

– Myślisz wyłącznie o sobie! Ukradłaś Jacka O’Leary’ego, a teraz ukradłaś mojego syna!

– Nie mieszaj w to Jacka – odparowała Kitty, a całe jej współczucie dla Bridie nagle wyparowało. – On nigdy nie należał do ciebie.

– Teraz nie należy do żadnej z nas – stwierdziła Bridie z ponurą satysfakcją. – Tak tego nie zostawię, Kitty. Słyszysz? To jeszcze nie koniec! – Wskoczyła na bryczkę i ściągnęła lejce. – Lata spędzone w Ameryce dały mi nie tylko wielkie bogactwo, ale też wielką siłę. Jack Deverill jest moim synem. Należy do mnie. Raz musiałam go zostawić, ale drugi raz tego nie zrobię.

Dopiero gdy Bridie odjechała, Kitty dała upust swojemu bólowi. Padła na kolana, objęła się rękami i zawyla jak ranne zwierzę.

*

Bertie odłożył słuchawkę telefonu i z bolesną bezradnością wpatrywał się w szklankę whisky. Zamek został sprzedany. Ot, tak, po prostu. Nie trwało to długo. Zdaniem prawnika kupiec nalegał, żeby transakcję sfinalizować jak najszybciej i w najściślejszej tajemnicy. Zapłacił pełną cenę. Nawet nie próbował się targować. Bertie nie był pewien, dlaczego nabywca chciał utrzymać tajemnicę, ale o to nie spytał. Był tak przybity, że chciał szybko podpisać umowę i więcej o tym nie myśleć.

– Zamek sprzedany? Już? – wykrzyknęła Maud do telefonu. – Kto go kupił, Bertie? – Gdy odłożyła słuchawkę, różnym krokiem weszła do salonu, gdzie Victoria i Eric popijali sherry. – Nie do wiary, ktoś już kupił zamek!

– Wielkie nieba! – powiedział Eric. – Co za tempo!

– Kupcowi zależało, by jak najszybciej wejść w posiadanie – wyjaśniła Maud. Usiadła i podniosła swój na wpół opróżniony kieliszek. – Najważniejsze, że dostaniemy nasze pieniądze, reszta mnie nie obchodzi.

– Wiadomo, kto go kupił? – spytała Victoria.

– Nie, Bertie mówi, że to tajemnica.

– Jakie to głupie! – prychnęła Victoria. – Dlaczego ktoś miałby utrzymywać kupno zamku w tajemnicy?

– Nie wiem, ale kiedyś i tak się dowiemy – wyraziła swoją opinię Maud.

– Może sądzi, że byśmy mu go nie sprzedali, gdybyśmy wiedzieli, kim jest – skomentował Eric, drapiąc się po brodzie.

– Słusznie – przyznała mu rację Victoria. – A właściwie komu chcielibyśmy go sprzedać?

Maud pokręciła głową. Jasnoblond włosy, obcięte na stylowego boba, nawet nie drgnęły.

– Mnie jest wszystko jedno, kto go kupił.

– Doprawdy? – powiedziała jej córka. – Sądzę, że nie byłabyś zachwycona, gdyby kupił go jakiś członek naszej rodziny. Na przykład Digby.

– Oczywiście, że tego bym nie chciała, ponieważ jedynym Deverillem, który powinien tam mieszkać, jest Harry. Ale Digby nie chce zamku. Ani Beatrice. Mają swój Deverill Rising. Po co im, na Boga, kupa kamieni?

– Kitty? – podsunęła Victoria.

– Nie mają pieniędzy. – Maud nie ukryła złośliwej satysfakcji w głosie.

– Grace?

Maud odwróciła się do Victorii z nagle pobladłą twarzą.

– Grace Rowan-Hampton? Żartujesz?

Victoria wzruszyła ramionami.

– Stać ją na to.

– Po co jej byłby ten zamek?

– Ponieważ jest piękny – powiedziała Victoria. – Ja bym go nie chciała, bo nie marzę o mieszkaniu w Irlandii, ale jeśli kocha się Irlandię tak jak ona, ceni się Castle Deverill ponad wszystko inne. Oczywiście, że mogłaby go chcieć.

Grace kochała Bertiego, a więc odbudowa zamku miałyby sens. Maud z raptownym westchnieniem przyłożyła dłoń do ust.

– Sądzisz, że... – Konsekwencje byłyby tak straszne, że nawet nie chciała ich rozważać.

*

Digby wrócił do jadalni, gdzie jego żona delectowała się kolacją w towarzystwie Stoke'a i Augusty.

– Ktoś kupił zamek – zakomunikował, siadając i kładąc serwetkę na kolanach. – Bertie mówi, że nie wie kto.

– Wspaniała wiadomość dla Maud – powiedziała Beatrice. – Musi być zachwycona, że to stało się tak szybko. Wiesz, zaledwie wczoraj oglądała dom na Chester Square.

– Biedny Bertie – westchnął Stoke. – Nie jest w stanie przebywać z tą kobietą.

– Nie wyobrażam sobie, żeby mieli pieniądze na kupno dwóch domów – wtrąciła Beatrice. – Będą musieli się nauczyć znów ze sobą żyć.

– Maud jest bardzo chciwą kobietą – zauważyła Augusta. – Powinam mu to powiedzieć, zanim się ożenił, i zaoszczędzić mu wszystkich kłopotów.

– Na początku byli szczęśliwi – spierał się Digby.

– Ale później już nie – dodała stanowczo Augusta. – Nie jest dobrze być szczęśliwym już na samym początku. Życie ma swój środek i koniec. Ja jestem bliska końca i mogę bez wahania powiedzieć – czyż nie, Stoke? – że pomimo wszystkiego, co przecierpeliśmy, jesteśmy nadal szczęśliwi.

– Niebiańsko szczęśliwi! – zgodził się z pewną żalnością jej mąż.

– Nie można zerkać na boki – ciągnęła ostrym tonem Augusta. – Widzicie, Maud jest zbyt piękna, żeby przywiązać się do jednego mężczyzny. Czy to nie Eddie Rothmeade zawrócił jej w głowie?

– Eddie Rothmeade? – powtórzył Digby. – Nigdy nie słyszałem większej bzdury.

– Och, tak, tak było. Dużo o tym rozmawialiśmy z Adeline. Był taki moment, gdy myślałyśmy nawet, że odejdzie z nim w siną dal i nigdy jej nie zobaczymy. Maud byłaby do tego zdolna, wierzcie mi. Ale Eddie się nią zmęczył. A teraz Bertie ma jej dość. Samolubne kobiety w końcu nużą mężczyzn. Kobieta w małżeństwie musi nie tylko brać, ale i dawać. Ale Maud nie ma pojęcia o ofiarności.

– Na Boga, Augusto, nigdy mi o tym nie wspomniałaś! – obruszył się Stoke,

a jego sumiaste wąsy drgały jak u morsa.

– Adeline by mnie zabiła. Teraz, gdy nie żyje, nie może już mnie powstrzymać. – Augusta wytarła usta serwetką. – Jestem głęboką studnią wielu tajemnic, mój drogi. Ale przypuszczam, że zabiorę je ze sobą do grobu. A szkoda. Prawdę mówiąc, mam nadzieję, że pożyję dość długo, żeby dowiedzieć się, kto kupił zamek. Umieram z ciekawości!

Rozdział 38

Hrabstwo Cork, Irlandia, 1925

Dwaj chłopcy patrzyli na siebie w osłupieniu. Kobieta stwierdziła, że zamierza odbudować zamek. A to oznacza koniec ich zabaw w tym miejscu. Wyteżyli słuch.

– Pomyśleć, że bawiłam się w tych pokojach. Przyglądałam się wspaniałym damom przybywającym na Letni Bal w wykwintnych sukniach i lśniącej biżuterii, i napawałam się całym tym blaskiem. To były naprawdę piękne czasy! Nie sądzę, żeby gdziekolwiek na świecie było piękniej niż w Castle Deverill o tej porze roku wieczorem, gdy zachodziło słońce i zamieniało wszystko w złoto. Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie to było wspaniałe! Ale ja pamiętam. Dlatego pragnę zachować ten czar. Nie mogłam znieść myśli, że zamek przejdzie w obce ręce. – Westchnęła, kręcąc głową. – Ale teraz jest mój. Odbuduję go kamień po kamieniu, cegła po cegle. Przywrócę mu dawną świetność. Zrobimy to razem, ponieważ bez ciebie byłoby to możliwe. Och, Archie, jesteś taki wspaniałomyślny! – Celia wzięła męża za rękę. – Nasze dzieci będą się bawić z dziećmi Kitty, tak jak my w dawnych czasach. Historia zatoczy koło. Jedna duża szczęśliwa rodzina! – Archie objął żonę ramieniem i się uśmiechnął. – Jedna duża szczęśliwa rodzina – powtórzyła z zachwytem, wygodnie zapominając o wiekach rodzinnej klątwy, brutalności, chciwości i braku umiaru. – Tak być powinno. W końcu zamek Deverilla jest jego królestwem.

W ten sposób pieniądze Deverillów zatoczyły koło. Digby ocalił Archiego Mayberry'ego w zamian za przyjęcie z powrotem skompromitowanej żony, dając mu środki, dzięki którym w rezultacie ten ostatni mógł odwdziżyć się żonie za ich nadspodziewanie szczęśliwe małżeństwo. W pewnym sensie, rzecz można, głupiutka dziewczyna, wdziękając białe rękawiczki, ocaliła Castle Deverill.

Epilog

Connecticut, Ameryka, 1925

Ciemnowłosa dziewczynka o jasnej alabastrowej cerze leżała na brzuchu i wpatrywała się w żółty kwiatek. Wokół niego tańczyła maleńka, drżąca kula światła. Dziewczynka uśmiechnęła się. Za każdym razem, gdy mrugała, kulka przesuwała się gdzieś indziej, jakby świadomie uczestniczyła w tej zabawie. Dziecko wyciągnęło rękę, by ją złapać, ale kulka odskoczyła. Spróbowała znów: myślała, że tym razem się udało. Ale gdy rozpostarła palce, dłoń okazała się pusta. Kulka nadal unosiła się nad kwiatem.

– Wpatruje się w ten kwiatek bez końca – powiedziała matka dziecka, wyglądając przez okno. – Czy to normalne?

– Po prostu kocha przyrodę, nie ma powodu do zmartwień, Pam.

– Martwię się, mam. Chodzi mi o to, że gdy adoptuje się dziecko, nigdy do końca nie wiadomo, co się dostanie.

– Ona kocha kwiaty – powiedziała starsza kobieta.

Pam zmarszczyła brwi.

– Być może. Ale wygląda to tak, jakby widziała tam coś jeszcze. Nie tylko sam kwiat. Popatrz, próbuje to złapać.

– To pewnie jakiś mały owad.

Pam pokręciła głową.

– Nie. Obserwowałam ją już wcześniej. Ona ma jakąś wyimaginowaną przyjaciółkę.

Matka Pam uśmiechnęła się z wyrozumiałością.

– Wszystkie dzieci mają wymyślonych przyjaciół. Dzieci bywają bardzo pomysłowe. To całkiem naturalne, że jedynaczka wymyśla sobie koleżankę do zabawy. Zresztą nie zapominaj, że miała rodzeństwo. Może wyczuwa stratę brata?

– Nie wiem... Mam dziwne wrażenie, że widzi rzeczy, których my nie widzimy.

– Ale jest szczęśliwa, prawda? – spytała matka Pam.

– Tak, jestem tego pewna – przyznała Pam.

– A więc nie musisz się martwić, kochanie. Jeśli jest szczęśliwa, wszystko będzie dobrze.

– Z pewnością masz rację – zgodziła się z westchnieniem Pam. Nadal jednak obserwowała córeczkę z zatroskaną miną. – Czuję, że Bóg nam sprzyjał. To

prawdziwy cud, że to niemowlę było do wzięcia od razu, gdy przyjechaliśmy do Dublina. Siostra Agatha była doprawdy niezwykle uprzejma, że zgodziła się ją nam oddać. Powiedziała, że w tym wypadku łamie wszelkie zasady, ale wiesz, jak Larry potrafi być przekonujący.

– Zwłaszcza że obiecał przyozdobić tę ponurą kaplicę największym złotym krzyżem, jaki kiedykolwiek widziano w Irlandii. Jestem pewna, że zgodziłaby ci się oddać tyle dzieci, ile byś zapragnęła – powiedziała z przekąsem matka Pam. – Naprawdę uważam, że ani szczęście, ani Bóg nie mieli z tym nic wspólnego.

Dziewczynka porzuciła myśl o złapaniu świetlnego duszka. Podniosła wzrok ku miłej rudowłosej kobiecie, którą była Adeline Deverill.

– Witaj, babciu – powiedziała z uśmiechem.

Bantry Bay[13]

*Siedzę samotnie o zmierzchu,
Zdawać się może, że to było wczoraj,
Gdy patrzyliśmy, jak łodzie rybackie wracają do portu,
I mała flotylla śledziowa zarzuca kotwice.
A potem dziewczyny rybaków, kołysząc koszami,
Zbiegały starą kamienną drogą.
I każda śpiewała dla swego żeglarza:
Och, witamy z powrotem w Bantry Bay.*

*Potem słyszeliśmy słodkie dźwięki dud,
Dziewczyny odwracały się, by posłuchać
I cicho nucily do wtóru,
Póki muzyka unosiła się nad drewnianym pomostem.
„A teraz wszystkie razem – mówił dudziarz.
Złapcie się za ręce i wystukujcie rytm!”
I czule dźwięki pieśni i radosnego tańca,
Otuliły miękko Bantry Bay.*

*Siedzę samotnie o zmierzchu,
Otoczony cieniami przeszłości.
Widzę wokół siebie kochane twarze,
Które kiedyś zapełniały stary pirs.
Niektórzy odpłynęli w swój ostatni rejs,
Inni są tu jeszcze, starzy i siwi.*

*I czekamy na przyptyw o zmierzchu,
Aby wypłynąć w daleką drogę,
Ku wyspie wiecznego spoczynku,
Wzywani spokojnie z Bantry Bay.*

13 Autorem słów i muzyki do tej ballady jest James Lynam Molloy (1837–1909) – irlandzki poeta i kompozytor. Tłumaczenie własne.

Podziękowania

Z jaką przyjemnością pisałam tę książkę! Było to wielkie wyzwanie, ale jakże inspirujące – i świadomość, że jeszcze w dwóch powieściach podążę za postaciami, które tu stworzyłam, napełnia mnie bezmierną radością!

Najpierw muszę podziękować aniołom, ponieważ to dzięki jakiejś cudownej magii pewien mężczyzna, Tim Kelly, doznał natchnienia, żeby napisać do mnie mejla na temat jednej z moich książek, akurat wtedy gdy rozmyślałam o napisaniu tej powieści. Po wielce zabawnej korespondencji – doprawdy Tom jest niebywale błyskotliwy – okazało się, że urodził się i wychował w hrabstwie Cork, w miejscu, które zaczynałam poznawać na potrzeby mojej powieści. Tom jest człowiekiem wielkiej wiedzy i mądrości; wychwytuje każdy absurd, posiada niemal fotograficzną pamięć do szczegółów i głębokie zrozumienie ludzkiej natury. Wkrótce stał się moim mentorem, doradcą, a co najważniejsze – przyjacielem. W gruncie rzeczy nie odważyłabym się napisać tej książki bez niego. Dlatego właśnie jemu ją zadedykowałam, z wyrazami miłości i wdzięczności. Wielkie to szczęście, że się poznaliśmy.

Słowa podziękowań należą się moim irlandzkim przyjaciołom – Emer Melody i Frankowi Lyonsowi, że zaprosili mnie do swojego domu w Brandon w hrabstwie Cork i pokazali mi dziką i piękną okolicę, która dostarczyła mi natchnienia. Zwiedzaliśmy fascynujące ruiny zamków, spalonych podczas konfliktu, i chodziliśmy na długie spacery po białych plażach, za jedyne towarzystwo mając mewy i wiatr. Wróciłam do Londynu podekscytowana i napędzana pragnieniem, by rozpocząć pisanie o kraju, który ujął mnie za serce.

Chciałabym też podziękować mojemu anglo-irlandzkiemu przyjacielowi Billowi Montgomery'emu, za jego bezcenne porady i rewelacyjne anegdoty. W trakcie wspólnego lunchu w Sotheby Café w Londynie zapisałam całe strony notatek oraz długą listę tytułów książek, które pomogły mi poznać historię Irlandii. Zawsze kochałam Billa i jego cudownie ekscentryczną żonę Daphne, ponieważ gdy byłam dzieckiem, poświęcali mi dużo czasu. Daphne grała na pianinie i zachęcała nas do śpiewu, Bill zaś rozmawiał z nami jak z dorosłymi. Byli bardzo zabawni i oryginalni, a cudowne letnie wakacje, które spędziliśmy z nimi w ich domu w Connemara, na zawsze pozostaną w moich wspomnieniach. Są prawdziwym skarbem w moim życiu i dziękuję im obojemu.

Moi rodzice zawsze byli pod telefonem, gotowi odpowiedzieć na wszelkie pytania dotyczące ogrodnictwa czy rolnictwa, jak również pomóc mi znaleźć właściwe słowa lub po prostu podzielić się swoją opinią na temat tego, co pisałam.

Miałam wrażenie, że na wszystko mają odpowiedź! Moja matka jako pierwsza przeczytała tę książkę i pierwsza naniósł poprawki. Robiła to z wielkim sercem i jestem jej ogromnie wdzięczna, że znalazła na to czas. Im jestem starsza, tym lepiej rozumiem i tym bardziej doceniam wartość ich miłości. To oni uczynili mnie tym, kim jestem, a ponieważ moje pisarstwo jest moim przedłużeniem – zawdzięczam im wszystko.

Moja teściowa, April Sebag-Montefiore, w młodości była płodną i odnoszącą sukcesy pisarką. Dziś czyta książki mojego męża Sebaga, a są one naprawdę opasłe, zasługuje więc na gorące podziękowania, że znajduje również czas na moje. Jej słowa zachęty oraz mądrość życiowa są dla mnie bezcenne.

Chciałabym również podziękować Norze May Cremin i Noelowi Coakleyowi za przetłumaczenie klątwy na język celtycki, Stuartowi Squire za przetłumaczenie motta rodziny na łacinę, Peterowi Nyhanowi za przyjaźń i wsparcie, Nicky de Monfort za jej rady na temat Anglo-Irlandczyków, a Mary Tomlinson za skrupulatną, wnikliwą i pełną wyczucia adjustację.

Pisanie jest jedną z moich największych przyjemności, a jednocześnie dzięki mojej agentce i wydawczyni zarabiam w ten sposób na życie. Pragnę zatem wyrazić moją najszczerszą wdzięczność Sheili Crowley z agencji Curtis Brown – jest absolutnie nadzwyczajna i mam szczęście, że jestem jedną z jej autorek – oraz innym ciężko pracującym ludziom z tej agencji, którzy tworzą bezkonkurencyjny zespół: Katie McGowan, Sophie Harris i Rebecce Ritchie. Dziękuję Ianowi Chapmanowi i mojej redaktorce Suzanne Baboneau z brytyjskiego wydawnictwa Simon & Shuster za to, że we mnie uwierzyli. Wraz ze swoimi współpracownikami Clare Hey, Jamesem Horobinem, Dawn Burnett, Hannah Corbett, Sarą-Jade Virtue, Melissą Four, Ally Grant, Nico Poilblankiem, Gillem Richardsonem, Rumaną Haider i Dominikiem Brendonem sprawili, że moje hobby przerodziło się w zawodowy sukces, większy, niż mogłam sobie wymarzyć. Dziękuję!

Na koniec chciałabym podziękować trzem osobom, których miłość cenię ponad wszystko na świecie: Sebagowi, Lili i Sashy – a szczególnie mojemu mężowi, że w okresie, gdy był tak zajęty pisaniem swoich *Romanów*, znalazł czas i zaangażował się w pracę nad różnymi zawiłościami mojej fabuły, dzięki czemu pisanie tej książki sprawiało mi taką przyjemność. Świetnie nam się współpracuje.

